

ROBERT JACKSON
BENNETT

PAPIER:  WYKSIEŻYC

MIASTO SCHODÓW

PIERWSZY TOM CYKLU BOSKIE MIASTA

MIASTO SCHODÓW

ROBERT JACKSON
BENNETT

MIASTO SCHODÓW

PIERWSZY TOM CYKLU BOSKIE MIASTA

Przełożył
Piotr Zawada

PAPIER  WYKSIEZYC

Słupsk 2017

Tytuł oryginału
City of Stairs

Redaktor prowadzący
Artur Wróblewski

Redakcja
Magdalena Grajcar

Projekt okładki
Bogna Gawrońska

Opracowanie okładki
Krzysztof Krawiec

Skład i łamanie
Anna Szarko
e-mail: anna.szarko@gmail.com

Copyright © 2014 by Robert Jackson Bennett

Copyright © for the Polish edition by Papierowy Książyc 2017
Copyright © for the Polish translation by Piotr Zawada 2017

Wydanie I
Słupsk 2017

ISBN 978-83-65568-34-2

Wydawca:

PAPIER  WYKSIĘŻYC

Wydawnictwo Papierowy Książyc
skr. poczt. 220, 76-215 Słupsk 12
tel. 59 727-34-20, fax. 59 727-34-21
e-mail: wydawnictwo@papierowyksiazyc.pl
www.papierowyksiazyc.pl

*Dla Ashlee,
która pozwala mi wierzyć
w lepsze jutro*

1 Olwos rzekła im:

- Moje dzieci, dlaczegoż to uczyniłyście? Dlaczegoż na niebie kłębi się dym? Dlaczegoż rozpętałyście wojnę w dalekich krainach i przelałyście krew w obcych krajach?

A one odpowiedziały Jej:

- Ogłosiłaś nas Twym ludem, co uradowało nas i uszczęśliwiło. Lecz odnaleźliśmy tych, którzy nie należeli do Twego ludu, którzy nie chcieli do niego dołączyć ani o Tobie słuchać. Nie chcieli otworzyć uszu na Twe pieśni ani wypowiadać swymi językami Twych słów, więc cisnęliśmy nimi o skały, zniszczyliśmy ich domy, przelaliśmy ich krew i rozrzuciliśmy ich prochy. Mielśmy takie prawo, ponieważ jesteś Twym ludem. Niesiemy Twe błogosławieństwa. Należymy do Ciebie i dlatego postępujemy właściwie. Czyż nie tak właśnie powiedziałaś?

1 Olwos zabrakło słów.

~ KSIĘGA CZERWONEGO LOTOSU, CZĘŚĆ IV, 13.51-13.59

KTOŚ JESZCZE GORSZY



W takim razie uważam, że należy zapytać o intencje -mówi Vasilij Jarosław. - Zdaję sobie sprawę, że sąd może się ze mną nie zgadzać — ten sąd podejmował dotąd decyzje z myślą raczej o efektach niż intencjach - ale nie można przecież ukarać uczciwego, drobnego przedsiębiorcy tak wysoką grzywną z powodu niezamierzonych zniszczeń, prawda? Szczególnie gdy dotyczą one, cóż, dość *abstrakcyjnych* zagadnień?

Kaszel niesie się po sali sądowej, grzebiąc brzemiennej ciszę. Za oknem cienie sunących chmur ścigają się po murach Bułkowa.

Pani gubernator Turyin Mulaghesh tłumia westchnienie i spogląda na zegarek. *Jeśli będzie gadać jeszcze przez sześć minut, myśli, będziemy mieli nowy rekord.*

- Wysłuchaliście zeznań moich przyjaciół, - mówi Yarosław- moich sąsiadów, pracowników, rodziny, moich... moich bankierów. Ludzi, którzy mnie dobrze znają, którzy nie mają powodów, by kłamać. Raz po raz powtarzają, że to tylko niefortunny zbieg okoliczności!

Mulaghesh spogląda w prawo, wzdłuż sądowej ławy. Oskarżyciel Jindash, którego twarz stanowi podręcznikową ilustrację troski, szkicuje na papierze firmowym Ministerstwa Spraw Zagranicznych własną dłoń. Po lewej naczelną dyplomata Troonyi wpatruje się bez zażenowania w hojnie obdarzoną przez naturę dziewczynę siedzącą w pierwszym rzędzie sali rozpraw. Na końcu ławy sądu najwyższego, obok Troonyi'ego, stoi puste krzesło, na którym zwykle zasiada gościnnie profesor Efrem Pangyui, który jednak ostatnio coraz rzadziej pojawia się na postępowaniach sądowych. Chociaż jeśli Mulaghesh miałaby być szczerą, to niezmiernie cieszy ją to niestawiennictwo: sama jego obecność na sali sądowej, czy przecież w ogóle w tym cholernym kraju, przysporzyła jej wystarczająco wiele bólu głowy.

- Sąd - Yarosław dwukrotnie uderza w stół - musi się opamiętać!

Muszę znaleźć sobie kogoś, kto przychodziłby w takie miejsca za mnie, myśli Mulaghesh. Pozostaje to jednak tylko pobożnym życzeniem: jest gubernatorem polis Bułykowa, stolicy Kontynentu, więc nadzorowanie wszystkich tego typu spraw, nieważne jak błahych, pozostaje jej obowiązkiem.

- Wszyscy państwo już usłyszeli i muszą zrozumieć, że nigdy nie było moim zamierzeniem, by znak stojący przed moim zakładem wyrażał... właśnie coś takiego!

Yarosław krąży wokół kontrowersyjnego tematu, a przez salę rozpraw przechodzi szmer. Troonyi głaszcze się po brodzie i pochyła do przodu,

kiedy dziewczyna w pierwszym rzędzie krzyżuje nogi. Jindash koloruje paznokcie na swoim rysunku. Mulaghesh rzuca okiem na audytorium i diagnozuje przeróżne dolegliwości i choroby: chłopiec o kulach — krzywica, kobieta ze strupami na twarzy - ospa. Nie jest pewna, co dolega człowiekowi w kącie, ale żywi głęboką nadzieję, że to, czym jest pokryty, to tylko błoto. Yaroslawa i kilku pozostałych, jako względnie zamożnych Kontynentanów, stać na bieżącą wodę i dzięki temu stanowią dla Mulaghesh przykład pozbawionych brudu tubylców: bladych, o mocnych rysach i ciemnych oczach, a w przypadku mężczyzn udekorowanych przepastnymi, nieokiełznanymi brodami. Mulaghesh i inni Sajpurzy to ich całkowite przeciwieństwo - są niscy, szczupli i ciemnoskórzy, o nieco wydłużonych nosach i wąskich podbródkach. I, jak potwierdza nedorzeczny płaszcz z niedźwiedziej skóry Troonyi'ego, o wiele lepiej przystosowani raczej do ciepłego klimatu Sajpuru, leżącego daleko za Morzami Południowymi.

Do pewnego stopnia — choć mgliście — Mulaghesh jest w stanie zrozumieć brak zainteresowania ze strony Troonyi'ego i Jindasha: Kontynent pozostaje zdecydowanie, buńczucznie i uparcie zacofany, co czasami sprawia, że można zapomnieć o wielu niepokojących powodach, dla których Sajpur w ogóle zawraca sobie głowę okupowaniem tak żalosnego narodu (*ale czy możemy naprawdę nazywać się okupantami, myśli Mulaghesh, skoro jesteśmy tu od siedemdziesięciu pięciu lat? Kiedy staniemy się miejscowi?*). Gdyby Mulaghesh miała w tej chwili oddać komuś z sali rozpraw pieniądze i powiedzieć: „proszę, kup sobie za to lekarstwa i świeżą wodę”, wszystko wskazuje na to, że Kontynentanie prędzej napluliby jej na dłoń, niż przyjęli choćby jednego czerwonego centa.

Mulaghesh rozumie, dlaczego Kontynentanie mają pretensje do Sajpurów. Choć teraz może i wyglądają jak nędzarze i żebracy, to jednak ludzie ci byli niegdyś najpotężniejsi i najgroźniejsi na świecie. *Oczywiście o tym nie zapomnieli*, przychodzi na myśl Mulaghesh, gdy widzi, jak jeden z nich wpatruje się w nią z niczym niezmaconą wściekłością. *Stąd też tak bardzo nas nienawidzą...*

Yarosław zbiera się na odwagę.

No to jedziemy, myśli Mulaghesh.

- Nigdy nie było moim *zamierzeniem* — mówi wyraźnie mężczyzna - by mój znak odnosił się do któregoś z Bóstw, by w jakikolwiek sposób nawiązywał do niebios czy jakiegokolwiek boga!

Sala rozpraw wypełnia się szeptami, które przechodzą w ciche buczenie. Dramatyczny charakter tego twierdzenia nie robi na Mulaghesh ani pozostałych Sajpurach żadnego wrażenia.

- Skąd mają wiedzieć - mruczy Jindash - że tak wygląda każdy proces dotyczący Regulacji Międzynarodowych?

- Cicho - upomina go szeptem Mulaghesh.

Fakt powszechnego naruszania prawa dodaje Yarosławowi śmiałości.

- Tak, ja... Nigdy nie było *moim zamierzeniem* hołdowanie jakimkolwiek Bóstwu! Nic o nich nie wiem, nawet czym lub kim byli...

Mulaghesh ledwo powstrzymuje się przed wywróceniem oczami. Każdy Kontynentanin coś wie o Bóstwach: zaprzeczanie temu to jak dziwienie się na wieść, że deszcz jest mokry.

- ... i dlatego nie mogłem wiedzieć, że znak, który postawiłem na zewnątrz mojego sklepu z kapeluszami, przypadkowo przypomina pieczęć jednego z Bóstw!

Przerwa. Mulaghesh spogląda w górę, uświadamiając sobie, że Yarosław przestał mówić.

- Czy skończył pan, panie Yarosław? - pyta.

Ten się waha.

- Tak? Tak. Tak, tak mi się wydaje. Tak.
- Dziękuję. Może pan wrócić na miejsce.

Oskarżyciel Jidash wstaje, zabiera głos i przedstawia wielkie zdjęcie znaku, na którym wymalowano słowa: KAPELUSZE YAROSŁAWA. Pod literami znajduje się spory symbol - prosta linia zakończona skierowanym w dół zawijasem, który został lekko zmodyfikowany, by wyglądać na zarys ronda kapelusza.

Jindash obraca się na pięcie, by zwrócić się twarzą do audytorium.

- Czy to pański znak, panie Yarosław? - Jindash błędnie wymawia jego nazwisko. Mulaghesh nie jest w stanie stwierdzić, na ile było to zamierzone: nazwiska Kontynentanów do tego stopnia roją się od -sławów, -iliów, -uliów i całej reszty, że lawirowanie pośród nich jest prawie niemożliwe dla kogoś, kto — w przeciwieństwie do Mulaghesh - nie mieszka tu przynajmniej od dekady.

- T-tak - odpowiada Yarosław.

- Dziękuję. - Jindash wymachuje zdjęciem przed sędziami, audytorium, wszystkimi obecnymi. - Niech sąd zważy, że pan Yarosław rozpoznał ten znak - tak, ten właśnie znak - jako swój.

ND Troonyi kiwa głową, jakby zdążył już wnikliwie zgłębić całą sprawę. Audytorium Kontynentanów mruczy z zaniepokojenia. Jindash podchodzi do swej aktówki niczym iluzjonista przed zaprezentowaniem magicznej sztuczki - *Ależ wnerwią mnie*, myśli Mulaghesh, *że przysłali do Bułykowa tego pozerskiego zasrańca* - i przedstawia dużą rycinę z podobnym symbolem: zakończoną zawijasem prostą linię. Ale w tym przypadku symbol został stworzony tak, by wyglądał na wykonany z gęstych, splecionych winorośli - zawijas został nawet udekorowany małymi listkami.

Audytorium wzdycha w odpowiedzi na ukazany znak. Niektórzy ewidentnie pragną wykonać święte gesty, ale powstrzymują się, gdy

tylko przypominają sobie, gdzie się znajdują. Nawet Yarosław się wzdryga.

Troonyi prycha.

- *Doprawdy* nic nie wie o Bóstwach...

- Gdyby był tu szanowny dr Efrem Pangyui - Jindash gestem wskazuje puste krzesło przy Troonyim - nie mam wątpliwości, że szybko zidentyfikowałby to jako świętą pieczęć Bóstwa... Proszę wybaczyć, *zmarłego* Bóstwa...

Publiczność mruczy z oburzenia; Mulaghesh notuje w pamięci, by nagrodzić arogancję Jindasha wysłaniem go w miejsce zimne, niegościnne i pełne szcurów.

- ...znanego jako *Ahanas* — kończy Jindash. Owa pieczęć miała według Kontynentanów jakoby zwiększać płodność, do-rodność oraz siły witalne. Dla modysty oznaczałoby to, jakkolwiek w drugorzędnym stopniu, że wyrabiane przez niego kapelusze nadają wspomniane cechy tym, którzy je noszą. Chociaż pan Yarosław może protestować, usłyszeliśmy od jego finansistów, że zyski zdecydowanie wzrosły właśnie po postawieniu przed nieruchomością tego znaku! W istocie, kwartalny dochód pana Yarosława wzrósł o *dwadzieścia trzy procent*. - Jindash odkłada rycinę i pokazuje odpowiednio dwa i trzy palce. - Dwadzieścia. Trzy. Procent.

- A niech mnie - mówi Troonyi.

Zażenowana Mulaghesh zakrywa oczy.

- Jak... - zaczyna Yarosław.

- Przepraszam, panie Yarosław - mówi Jindash. - Ale teraz mówię ja. Dziękuję. Zamierzam kontynuować. Regulacje Międzynarodowe uchwalone przez sajpurski parlament w roku tysiąc sześćset pięćdziesiątym zakazują na całym Kontynencie publicznego

uznawania istnienia Bóstw w jakikolwiek sposób.

Nikommu nie wolno już szeptać ich imion i następnie padać na kolana na ulicy i wznosić modły. *Jakiegokolwiek* uznanie istnienia Bóstwa stanowi naruszenie Regulacji Międzynarodowych i tym samym wiąże się z karą. Wyrażna korzyść finansowa wskazuje, że pan Yarosław celowo umieścił ten znak oraz był świadom...

- Kłamstwo! — krzyczy Yarosław.
- ...jego boskiej natury. Nieistotne jest, że pieczęć odnosi się do Bóstwa, które już nie żyje i sama w sobie nie mogła nikogo niczym obdarzyć. Za uznanie istnienia Bóstwa sąd wymierza panu Yarosławowi oficjalną karę w wysokości - Jindash spogląda w notatki - piętnastu tysięcy drekli.

Audytorium wierci się i mruczy, aż dźwięk przechodzi w niski ryk.

- Nie może pan... Nie możecie... - bełkocze Yarosław.

Jindash wraca na swoje miejsce. Obdarza Mulaghesh wyniosłym uśmiechem; Mulaghesh poważnie rozważa uderzenie go pięścią.

Chciałaby w jakiś sposób pominąć całą tę pompę i widowiskowość. Sprawy dotyczące Regulacji Międzynarodowych zwykle trafiają do sądu co jakieś pięć miesięcy; zdecydowana większość wszystkich naruszeń rozwiązywana jest poza sądem, pomiędzy biurem Mulaghesh a obrońcą. Bardzo, bardzo rzadko ktokolwiek czuje się na tyle pewny siebie i swojej sprawy, żeby pójść z nią do sądu; a gdy już do tego dochodzi, zawsze jest to niedorzeczne, pełne dramatyzmu wydarzenie.

Mulaghesh rozgląda się po pełnej sali rozpraw; ludzie nawet stoją z tyłu, jakby ten nudny miejski proces był jednym wielkim przedstawieniem. Dociera jednak do niej, że *oni nie przyszli tu oglądać procesu*. Spogląda wzdłuż ławy sądowej na puste krzesło doktora Efrema Pangyua. *Przyszli zobaczyć człowieka, który sprawił*

mi tyle kłopotów...

Gdy sprawa dotycząca Regulacji Międzynarodowych trafia jednak do sądu, prawie zawsze zapada wyrok skazujący. W istocie Mulaghesh wydaje się, że przez dwie dekady na stanowisku gubernator polis uniewinniła tylko troje ludzi. *Skazujemy prawie każdego, myśli, ponieważ prawo każe nam wnosić przeciwko nim oskarżenia za to, że żyją po swojemu.*

Odchrząkuje.

- Oskarżyciel zakończył wystąpienie. Panie Yarosław, może pan spróbować oddalić te zarzuty.
- Ale... Ale to nie fair! - skarży się Yarosław. - Dlaczego wy możecie mówić o *naszych* pieczęciach, naszych świętych znakach, ale my już nie?
- Siedziba gubernator polis - Jindash wskazuje gestem ściany - formalnie należy do Sajpuru. Nie obejmuje nas tu jurysdykcja Regulacji Międzynarodowych, które dotyczą wyłącznie Kontynentu.
- To... To niedorzeczne! Nie, nie tylko niedorzeczne, to... *heretyckie!*
- Yarosław wstaje.

Na sali rozpraw jest cicho jak makiem zasiał. Wszyscy wpatrują się w Yarosława.

No, świetnie, myśli Mulaghesh. Mamy kolejny protest.

- Nie macie prawa nam tego robić - ciągnie Yarosław. - Ogołacie nasze budynki ze świętej sztuki, łupicie i plądrujecie nasze biblioteki, aresztujecie ludzi za samo wspomnienie *imienia...*
- Nie jesteśmy tu, by dyskutować o prawie czy historii -upomina go Jindash.

- Ależ jesteśmy! Regulacje Międzynarodowe odmawiają nam naszej historii! Ja... Nigdy nie widziałem znaku, który mi pokazaliście, znaku... znaku...

- Waszego Bóstwa - mówi Jindash. - Ahanas.

Mulaghesh widzi jak dwóch Ojców Miasta Bułykowa - tutejszej wersji wybieranych radnych – wpatruje się w Jindasha z lodowatą wściekłością.

- Tak! - kontynuuje Yarosław. - Nigdy nie zezwolono mi na coś takiego. A przecież była *naszym* bóstwem! Naszym!

Audytorium spogląda do tyłu na strażników sądowych, spodziewając się, że dopadną i powalą Yarosława na miejscu.

- To chyba nie do końca próba oddalenia zarzutów, prawda? - zauważa Troonyi.

- A ty... pozwoliłaś *temu* człowiekowi - Yarosław wskazuje palcem puste miejsce doktora Efrema Pangyua - przybyć do naszego kraju i przeczytać wszystkie nasze historie, wszystkie nasze opowieści, wszystkie nasze legendy, których my sami *nie znamy!* Których *nie pozwala* się nam znać!

Mulaghesh wykrzywia twarz w grymasie. Spodziewała się tego. Jest wyczulona na fakt, że globalna hegemonia Sajpuru to zaledwie ostatnie minuty historii świata. Przez setki lat, przed Wielką Wojną, Sajpur stanowił kolonię Kontynentu - oczywiście ustanowioną i wymuszoną przez Bóstwa - i w Bułykowie mało kto o tym zapomniał. Inaczej dlaczego Ojcowie Miasta określaliby obecny układ, oczywiście nieoficjalnie, jako „władcy służą służącym”?

Zignorowanie tych niepokojów było ze strony Ministerstwa Spraw Zagranicznych pokazem ogromnego zaniedbania i głupoty, podobnie jak pozwolenie na przybycie do Bułykowa szanownego doktora Pangyua, by zbadał historię Kontynentu; historię, której zgodnie z

prawem nie mogą uczyć się sami Kontynentanie. Mulaghesh ostrzegła Ministerstwo, że spowoduje to w Bułkowie zamęt. Zgodnie z jej przewidywaniami, czas jaki doktor Pangyui spędził w tym mieście nie przyczynił się do podtrzymania wizerunku misji pokoju i zrozumienia, z jaką rzekomo przybył doktor: Mulaghesh musiała poradzić sobie z protestami, groźbami i jednym przypadkiem napaści — gdy ktoś rzucił kamieniem w doktora Pangyui, ale zamiast tego przypadkowo trafił w podbródek policjanta.

- Ten człowiek - mówi Yarosław, wciąż wskazując puste krzesło - stanowi obelgę dla Buhkowa i całego Kontynentu! Ten człowiek jest... stanowi przejaw wielkiej pogardy, jaką żywi do Kontynentu cały Sajpur!

- No teraz to chyba pan trochę przesadził - stwierdza Troonyi.

- Pozwala mu się czytać coś, czego nie mogą czytać inni! -mówi Yarosław. - Pozwala mu się czytać zapiski naszych przodków!

- Pozwala mu na to — przerywa mu Jindash — Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Jego zadanie ma charakter dyplomatyczny. Ta kwestia nie jest częścią tego proce...

- Tylko dlatego, że wygraliście Wojnę, nie znaczy, że możecie robić, co wam się podoba! - protestuje Yarosław. - A to, że my przegraliśmy, nie znaczy, że wy możecie pozbawiać nas naszych wartości!

- Nagadaj im, Vasilij! - krzyczy ktoś z tyłu sali.

Mulaghesh uderza sędziowskim młotkiem; natychmiast zapada cisza.

- Panie Yarosław, czy miałabym rację, sądząc - mówi ze znużeniem - że zakończył pan oddalać zarzuty?

- Ja... nie uznaję tego sądu za legalny! - odpiera ochryple.

- Przyjęto do wiadomości. Pański werdykt, Naczelny Dyplomato

Troonyi?

- Och, winny - oznajmia Troonyi. — Bardzo winny. Niewiarygodnie winny.

Spojrzenia wszystkich wędrują w kierunku Mulaghesh. Yarosław kręci głową, bezgłośnie powtarzając „nie”.

Muszę zapalić, myśli Mulaghesh.

- Panie Yarosław - oznajmia. — Jeśli nie kwestionowałby pan prawdziwości tego naruszenia, pańska kara byłaby znacznie łagodniejsza. Jednakże, wbrew zaleceniom sądu — i wbrew moim *osobistym radom* - zdecydował pan się na proces. Ufam, że rozumie pan, iż zebrane przeciwko panu dowody wielce pana obciążają. I tak jak powiedział oskarżyciel Jindash, nie zebraliśmy się tu, żeby debatować o historii: my jedynie zajmujemy się jej skutkami. W zaistniałej sytuacji niestety jestem zmuszona...

Drzwi sali rozpraw otwierają się z hukiem. Siedemdziesiąt dwie głowy obracają się równocześnie.

W drzwiach staje niski sajpurski urzędnik. Wygląda na zdenerwowanego. Mulaghesh go rozpoznaje: Pitry jakiś tam, z ambasady - jeden ze sługusów Troonyi'ego.

Pitry przełyka ślinę i rusza chwiejnym krokiem wzdłuż przejścia w stronę sądowej ławy.

- Tak, słucham? - pyta Mulaghesh. - Co jest powodem tego wtargnięcia?

Pitry wyciąga rękę, w której trzyma napisaną na kartce wiadomość. Mulaghesh odbiera ją, rozkłada i czyta:

*CIAŁO EFREMA PangyUIA ODNALEZIONO W JEGO BIURZE
NA TERENIE UNIWERSYTETU BUŁYKOWSKIEGO.*

PODEJRZEWA SIĘ MORDERSTWO.

Mulaghesh podnosi wzrok i dociera do niej, że wszyscy na nią patrzą.

Ten cały cholerny proces jeszcze bardziej stracił teraz na znaczeniu, myśli.

Odchrząkuje.

- Panie Yarosław... W świetle ostatnich wydarzeń jestem zmuszona zrewidować rangę pańskiej sprawy.
- Co? - pytają równocześnie Jindash i Troonyi.
- Co? - Yarosław marszczy czoło.
- Panie Yarosław, czy powiedziałby pan, że czegoś się pan nauczył? - pyta Mulaghesh.

Dwóch Kontynentanów wchodzi przez drzwi sali rozpraw. Odnajdują wśród publiczności znajomych i szepcą im coś do uszu. Wkrótce wieści roznoszą się po całej sali.

- Zamordowany? - powtarza ktoś głośno.
- Czegoś... nauczył? — pyta Yarosław.
- Panie Yarosław, mówiąc bez ogródek — obwieszcza Mulaghesh - czy w przyszłości ma pan zamiar popełnić podobne głupstwo, jakim jest wystawienie na widok publiczny czegoś, co ewidentnie jest pieczęcią jednego z Bóstw? W celu zwiększenia sprzedaży?
- Co pani wyprawia? — pyta Jindash. Mulaghesh podaje mu wiadomość. Ten ogląda ją i blednie.
- Och, nie... Na wszystkie morza...
- Pobity na śmierć! — rzuca ktoś z publiczności.

Cały Bułyków już wie, myśli Mulaghesh.

- Ja... Nie - odpowiada Yarosław. — Nie, ja... Nie mam zamiaru?

Troonyi również przeczytał już wiadomość. Zaparło mu dech i wpatruje się teraz w puste krzesło doktora Pangyuia, jakby spodziewał się tam właśnie ujrzeć jego martwe ciało.

- Dobra odpowiedź - orzeka Mulaghesh. Uderza młotkiem. - W takim razie, na mocy nadanej mi władzy, oddalam opinię szacownego ND Troonyi'ego i zamykam tę sprawę. Jest pan wolny.

- Wolny? Naprawdę? - dopytuje Yarosław.

- Tak - odpowiada Mulaghesh. — I radziłabym skorzystać z tej wolności z całym należnym pośpiechem.

Audytorium przeszło już do krzyków.

- Nie żyje! - ryczy jakiś głos. - Naprawdę nie żyje! Zwycięstwo, wspaniałe zwycięstwo!

Jindash osuwa się na krzesło, jakby ktoś wyciągnął mu kręgosłup.

- Co teraz zrobimy? - pyta Troonyi.

- Nie. Nie! Kogo przyślą *tym razem?* - krzyczy ktoś z publiczności.

- Kogo to obchodzi? - odpowiada ktoś inny.

- Nie widzicie? - odpowiada pierwszy. - Znów nas najadą i będą okupować! Teraz przyślą kogoś jeszcze *gorszego!*

Mulaghesh odkłada młotek na bok i wdzięcznie zapala cygaretkę.

Jak oni to robią?, zastanawia się Pitry. Jak ktokolwiek w Bułykowie

może siedzieć przy murach miejskich czy nawet żyć z nimi w zasięgu wzroku, zerkać przez żaluzje i zasłony wysokich okien, i czuć się w jakimkolwiek stopniu normalny? Pitry próbuje patrzeć na coś innego: na swój zegarek, który spóźnia się już pięć minut i dalej zwiększa opóźnienie; na paznokcie, z których ten na małym palcu w irytujący sposób się rozwarstwia; nawet na stojącego na peronie bagażowego, który rzuca mu gniewne spojrzenie. Jednak ostatecznie Pitry nie może się oprzeć i zerka na lewo, na wschód, gdzie czekają mury.

To nie ich wielkość go niepokoi, chociaż zwykle w zupełności by wystarczyła. Gdy Pitry stara się ogarnąć wzrokiem ogromny bezmiar murów, coraz trudniej jego oczom je *dostrzec*. Zamiast murów zaczyna widzieć odległe wzgórza i gwiazdy oraz ruch drzew pieszczonych wiatrem: cienie nocnego krajobrazu po drugiej stronie, zupełnie jakby mury były przezroczyste niczym mętne szkło. W miejscu, gdzie spodziewa się ujrzeć szczyt murów, widzi jedynie nocne niebo i okazałe, łagodne oblicze księżyca. Ale gdy spogląda *wzdłuż* murów i wpatruje się w ich krzywiznę, dostrzega powolny proces wapnienia przy domach i rozklekotanych budynkach sto metrów dalej. Światła miasta odbijają się od ich gładkiej fasady.

A mimo to, znajdując się po ich drugiej stronie albo przechodząc blisko nich, myśli Pitry, nie widziałbym nic poza białym kamieniem. W jakiś sposób pociesza go ta myśl: byty, które stworzyły to miasto, pragnęły je chronić, ale jednocześnie nie chciały pozbawiać mieszkańców widoku wschodzącego i zachodzącego słońca. Pitry duma nad tym, jak wszelkie cuda, nieważne jak subtelne, zawsze znacząco wytrącają Sajpurów z równowagi.

Spogląda z powrotem na swój zegarek i dokonuje obliczeń. Czy pociąg się spóźnia? Czy tego rodzaju nietypowe pociągi się spóźniają? Być może po prostu przybywają zgodnie ze swoim czasem. Być może maszynista pociągu, kimkolwiek by nie był, nie poinformowano o telegramie, w którym była mowa o niepozostawiającej wątpliwości „trzeciej nad ranem” i teraz nie zdaje sobie sprawy, że ważni urzędnicy traktują to sekretne spotkanie z najwyższą powagą. Albo też nikogo

nie obchodzi, że osoba czekająca na pociąg może być zmarznięta, głodna i zdeprymowana owymi murami oraz że mlecznobłękitne spojrzenie stojącego na peronie bagażowego praktycznie grozi jej śmiercią.

Pitry wzdycha. Jeśli miałby teraz umrzeć i w ostatnich chwilach ujrzeć w przebłysku całe swoje życie, byłby to z pewnością nudny pokaz. Spodziewał się, że posada w sajpurskiej ambasadzie będzie ciekawą i egzotyczną pracą, która pozwoli mu podróżować do nowych i egzotycznych krain (oraz poznawać nowe i egzotyczne kobiety), póki co jednak polegała ona na czekaniu. Jako asystent zrzeszonego ambasadorskiego administratora, Pitry nauczył się jak oczekiwać na nowe i mało interesujące sprawy na równie nowe i mało interesujące sposoby, stając się ekspertem od spoglądania, jak sekundnik zegara powoli odmierza kolejne godziny. Sensem posiadania asystenta była możliwość przekazania mu wszystkich śmiertelnie nudnych spraw, jakie wypełniają dniówkę biurokracji, zawyrokował.

Spogląda na zegarek. Może jeszcze ze dwadzieścia minut. Jego oddech paruje. *Na wszystkie morza, co za okropna robota.*

Być może mógłby poprosić o przeniesienie. Dla Sajpura istnieje tu przecież wiele możliwości: Kontynent jest podzielony na cztery części, z których każda ma własnego gubernatora regionalnego; stopień niżej znajdują się gubernatorzy polis, którzy zawiadują każdym z obszarów metropolitalnych Kontynentu, a jeszcze niżej istnieją ambasady, które zarządzają... cóż, prawdę mówiąc, Pitry nigdy nie był do końca pewien, czym zarządzają ambasady. Czymś związanym z kulturą, co najwyraźniej wiąże się z dużą ilością bankietów.

Bagażowy na peronie odchodzi od swojego stanowiska i staje na krawędzi peronu. Ponownie spogląda na Pitry'ego, który kiwa głową i posyła mu uśmiech. Bagażowy spogląda na chustę Pitry'ego oraz jego krótką, ciemną brodę i dwukrotnie pociąga nosem - *wyczuwam cebulaka* - po czym z przeciągłym spojrzeniem odwraca się i wraca na swoje stanowisko, jakby mówił: „Wiem, że tu jesteś, więc nie próbuj

niczego ukraść”. Zupełnie jakby na tej opuszczonej stacji znajdowało się coś, co warto ukraść.

Nienawidzą nas, myśli Pitry. Bez dwóch zdań. Pogodził się już z tym podczas swego krótkiego okresu pracy w ambasadzie. Każemy im zapomnieć, ale czy potrafią? Czy my potrafimy? Czy ktokolwiek potrafi?

Mimo to Pitry nie doceniał istoty ich nienawiści. Nie pojmował jej, dopóki nie przybył tu i nie ujrzał pustych miejsc na ścianach i w witrynach sklepów, ram i fasad pozbawionych wszelkich wizerunków i rzeźbień. Widział, jak mieszkańcy Bułykowa zachowywali się o konkretnych godzinach - jakby zdawali sobie sprawę, że w danej chwili nastąpiła pora na okazanie szacunku, jednak nie mogli tego zrobić, więc po prostu kręcili się bez celu. W swych przechadzkach po mieście Pitry natrafiał na ronda i zaułki, gdzie bez wątplenia niegdyś znajdowały się wspaniałe rzeźby czy pachnące kadzidłem świątynie, a obecnie wypełniał je bruk i tak wspaniałe obiekty jak lampy uliczne, nijakie ogrody miejskie czy pojedyncze ławki.

W Sajpurze dominowało przekonanie, że Regulacje Międzynarodowe okazały się ogromnym sukcesem - jako że trzymały w ryzach i kontrolowały działania Kontynentu przez ostatnie siedemdziesiąt pięć lat. Niemniej podczas swego pobytu w Bułykowie Pitry nabrał przekonania, że powierzchowny sukces Regulacji - jako że nikt w mieście, przynajmniej oficjalnie, nie wznosił modłów, nie wspominał czy też nie uznawał jakichkolwiek aspektów Bóstw - w rzeczywistości stanowi wielkie nieporozumienie.

Miasto wie. Miasto nie zapomniało. Jego przeszłość zapisana jest w jego kościołach, nawet jeśli obecnie się o niej milczy.

Pitry drży na zimnie.

Nie jest pewien, czy wolałby być teraz w biurze, pośród niepokoju i chaosu będącego następstwem morderstwa doktora Efrema Pangyua, gdzie telegrafy wypluwają papiery niczym rzygający pijacy, nie

zważając, że jest już po godzinach. Gdzie urywają się telefony. Gdzie sekretarki biegają po biurach, nabijając wiadomości na szpikulce z zapamiętałością dzierzb.

Ale wtedy przyszedł jeden telegram, który uciszył wszystkich.

AMB-K THIVANI DO BUŁYKOWA STACJA MOROWA 3:00 STOP
VTS512

Oznaczenie na końcu w oczywisty sposób wskazywało, że wiadomość nie nadeszła z biura pani gubernator polis, ale biura gubernatora *regionalnego*, jedyne na Kontynencie miejsca o bezpośrednim i natychmiastowym połączeniu z Sajpurem. I, jak z wielkim lękiem przyznał sekretarz Departamentu

Komunikacji, telegram został prawdopodobnie przekierowany poprzez Morza Południowe przez samo Ministerstwo Spraw Zagranicznych.

Nastąpiła ożywiona dyskusja o tym, kto powinien powitać tego całego Thivaniego, jako że został on bez wątpienia przysłany tu w odpowiedzi na śmierć profesora, w celu wymierzenia szybkiej i strasznej kary. W końcu czyż doktor Efrem Pangyui nie był jednym z najbystrzejszych i najulubieńszych synów Sajpuru? Czyż jego dyplomatyczna misja nie była jednym z największych naukowych przedsięwzięć w historii? W ten oto sposób szybko zdecydowano, że to Pitry — młody, ochoczy i w chwili podejmowania decyzji nieobecny - nada się do tego najlepiej.

Niemniej zastanawiano się nad oznaczeniem AMB-K — Ambasador Kulturalny. Dlaczego przysyłano właśnie kogoś *takiego*? Czy AK nie byli najniższą kastą Ministerstwa? Większość z nich to niedoświadczeni studenci, często wykazujący raczej niezdrowe zainteresowanie obcymi kulturami i ich historią, czym pogardzali Sajpurzy z dużych miast. Zwykle funkcją AK było występowanie w roli ozdoby przyjęć i bankietów — i niewiele ponad to. Dlaczego więc w sam środek jednej z największych dyplomatycznych klęsk ostatniej dekady wysyłano właśnie zwykłego AK?

- Chyba że - zastanawiał się na głos Pitry w ambasadzie -nie ma to żadnego związku ze sprawą. Może to tylko przypadek.
- Och, z pewnością ma związek - odpowiedział Nidayin, wicedyrektor Departamentu Komunikacji w ambasadzie. - Telegram przyszedł zaledwie kilka godzin po naszym komunikacie. To ich reakcja.
- Ale czemu AK? Równie dobrze mogli wysłać hydraulika albo harfistkę.
- Chyba że — rzucił Nidayin - pan Thivani nie jest wcale ambasadorem kulturalnym. Może być kimś zupełnie innym.
- Chcesz powiedzieć - upewnia się Pitry, wkładając palce pod chustę, by podrapać się po głowie - że telegram *klamie*?

Nidayin po prostu pokręcił głową.

- Och, Pitry. Jak w ogóle znalazłeś się w Ministerstwie?

Nienawidzę cię, Nidayin, myśli Pitry zimno. Pewnego dnia zatańczę z twoją piękną dziewczyną, która następnie zakocha się we mnie bez pamięci i nakryjesz nas baraszkujących pośród pogniecionych prześcieradeł i twoje skazone serce przesyje lód..

Niemniej Pitry widzi teraz, jakim był głupcem. Nidayin sugerował, że Thivani może podróżować jako AK, a w rzeczywistości być jakimś wysokiej rangi tajnym agentem, wysłanym na wrogie terytoria, by wyeliminować opór wobec Sajpuru. Pitry wyobraża sobie tęgiego, brodatego mężczyznę z pasami materiałów wybuchowych i błyszczącym nożem w zębach, nożem, który wiele razy posmakował krwi... Im więcej Pitry myśli o Thivanim, tym bardziej ten go przeraża. *Być może wyłoni się z wagonu pociągu niczym Dżinifryt, z ogniem w oczach, tryskając z ust czarną trucizną.*

Ze wschodu rozlega się dudnienie. Pitry spogląda na mury miejskie i

malutką szczelinę u ich stóp. Z jego perspektywy wygląda ona jak wyżarta przez szkodniki dziura, ale w rzeczywistości ma prawie dziesięć metrów wysokości.

Mały i ciemny otwór wypełnia się światłem. Następuje błysk, pisk i przejeżdża przez niego pociąg.

Nie do końca pociąg: jedynie poobijana, obskurna lokomotywa i smutny, pojedynczy wagon pasażerski. Wygląda jakby przyjechał z kopalni węgla, jak wagonik przewożący górników pomiędzy kopalniami. Zupełnie nie jak pojazd ambasadora -nawet kulturalnego.

Na peron wjeżdża pociąg. Pitry podbiega do niego i staje przy drzwiach z rękami założonymi z tyłu i klatką piersiową wysuniętą z galanterią do przodu. Guziki ma zapięte? Chustę prosto? Wypolerował naramienniki? Nie może sobie przypomnieć. Gorączkowo liże kciuk i zaczyna przecierać jeden z nich. Wtedy drzwi otwierają się ze zgrzytem i oto jest...

Czerwień. Nie, nie czerwień - bordo. Dużo bordowego, jakby w drzwiach wisiała kotara. Jednak wtedy kotara porusza się i Pitry dostrzega, że pośrodku przedzielona jest pionowym pasem białego materiału z rzędem guzików.

To nie kotara, tylko klatka piersiowa człowieka w bordowym płaszczu. Największego człowieka, jakiego Pitry widział w całym swoim życiu - prawdziwego olbrzyma.

Olbrzym prostuje się i wysiada z wagonu. Jego stopy opadają na posadzkę niczym kamienie młyńskie. Pitry cofa się, by zrobić mu miejsce. Długi, bordowy płaszcz muska czubki ogromnych czarnych butów, na jego rozpiętej u góry koszuli nie ma szalu, a całości obrazu dopełnia przechylony na piracką modłę szary kapelusz o szerokim rondzie. Na prawej dłoni olbrzym ma miękką, szarą rękawiczkę, na lewej, nieosłoniętej, nosi plecioną, złotą bransoletę - osobliwie, pretensjonalnie kobiecą. Jest wysoki na dużo ponad dwa metry, niemożliwie szeroki w barach, ale nie ma na sobie nawet grama

tłuszczu. Oblicze ma wąskie, wychudłe. Pitry nie spodziewałby się takiej twarzy u sajpurskiego ambasadora: skóra mężczyzny jest blada, poznaczona wieloma różowymi bliznami, broda i włosy są koloru jasnego blondu, a oczy - czy raczej *oko*, ponieważ drugie jest tylko ciemną, zacienioną jamą - mają kolor tak jasny, że aż białawoszary

Mężczyzna jest Drejlingiem, człowiekiem Północy. Jakkolwiek niemożliwe się to wydaje, ambasador to jeden z górskich dzikusów, obcy zarówno dla Kontynentu, jak i Sajpuru.

Jeśli tak wygląda ich odpowiedź, myśli Pitry, to jest wyjątkowo okropna i straszna...

Olbrzym wpatruje się w Pitry'ego biernym, beznamiętnym spojrzeniem, jakby zastanawiał się, czy ów karłowaty Sajpur jest chociaż wart przydeptania.

Pitry usiłuje należycie się uklonić.

- Ambasadorze Thivani, witaj w c-cudownym mieście, jakim jest B-Bułyków. Nazywam się Pitry Sutturashni. Mam nadzieję, że podróż minęła spokojnie?

Cisza.

Pitry, wciąż ugięty, podnosi tylko głowę. Olbrzym wpatruje się w niego i unosi lekko jedną brew, sprawiając wrażenie pogardliwego zakłopotania.

Gdzieś zza olbrzyma ktoś odchrząkuje. Olbrzym bez słowa odwraca się i rusza w stronę biura kierownika stacji.

Pitry patrzy jego śladem i drapie się po głowie. Ktoś ponownie odkasłuje i Pitry zdaje sobie sprawę, że w drzwiach wagonu stoi jeszcze jedna postać.

Jest to ciemnoskóra Sajpurka, jeszcze niższa od Pitryego. Ubrana jest

raczej zwyczajnie — w niebieską szatę, którą wyróżnia jedynie sajpurski krój - i obserwuje go zza przeraźliwie grubych szkieł okularów. Ma na sobie także jasnoszary trencz i niebieski kapelusz o wąskim rondzie, z papierową orchideą założoną za wstążkę. Pitry zauważa, że coś jest nie tak z jej oczami... Spojrzenie olbrzyma było niesamowicie martwe i nieruchome, ale oczy tej kobiety są jego dokładnym przeciwieństwem: ogromne, delikatne i ciemne, niczym głębokie studnie, w których pływa wiele ryb.

Kobieta posyła mu uśmiech. Nie jest on ani uprzejmy, ani nieuprzejmy; przypomina srebrny talerz, wyciągnięty na tę jedną okazję, a następnie wypolerowany i odłożony z powrotem.

- Dziękuję za wyjście po nas o tak późnej porze - mówi.

Pitry spogląda na nią i z powrotem na olbrzyma, który, ku zgrozie bagażowego, wpycha się właśnie do biura kierownika stacji.

- Am... ambasador Thivani?

Kobieta kiwa głową i wysiada z pociągu.

Kobieta? Thivani jest kobietą? Dlaczego nikt mi...?

Niech cholera weźmie Departament Komunikacji! Razem z ich plotkami i kłamstwami!

- Naczelnny Dyplomata Troonyi - mówi kobieta — jest zapewne zajęty następstwami morderstwa. Inaczej z pewnością pojawiłby się osobiście?

- Um... - Pitry nie chce przyznać, że ma równie mgliste pojęcie o intencjach ND Troonyi'ego, jak o ruchu gwiazd po niebie.

Kobieta mruga do niego zza szkieł okularów. Cisza wzmaga się i pochłania Pitryego niczym przyływ. Ten próbuje coś z siebie wydusić, cokolwiek.

- To bardzo miło, że pani przyjechała — mówi. Nie, nie, totalnie *źle*. Mimo to kontynuuje: - Mam nadzieję, że podróż była przyjemna? — *Źle! Jeszcze gorzej!*

Kobieta zawiesza na nim wzrok.

- Nazywa się pan Pitry, tak?

- T-tak. - Za nimi rozlega się krzyk. Pitry ogląda się, ale Thivani nie - ona przypatruje się Pitry emu jak interesującemu owadowi. Pitry dostrzega, że olbrzym wrywa coś z rąk bagażowemu - chyba podkładkę do notowania - ku niezadowoleniu tego drugiego. Olbrzym pochyla się, ściąga z prawej dłoni szarą rękawiczkę i rozprostowuje palce, by... coś mu pokazać. Twarz bagażowego, wcześniej w kolorze zeschniętego buraka, nagle mocno blednie. Olbrzym odrywa od podkładki kartkę papieru, oddaje ją bagażowemu i wychodzi.

- Kim on...?

- To mój sekretarz — odpowiada Thivani. — Sigrud.

Olbrzym wyciąga zapalną, zapala ją o paznokieć kciuka i podpala kartkę.

- S-sekretarz? - pyta Pitry.

Płomienie obejmują palce olbrzyma. Jeśli odczuwa ból, to tego po sobie nie okazuje. Gdy uznaje papier za dostatecznie spalony, dmucha na niego *-puf-* i żarzące się resztki tańczą po peronie stacji. Wkłada z powrotem szarą rękawiczkę i chłodno rozgląda się po stacji.

- Tak - potwierdza kobieta. - A teraz, jeśli to nie kłopot, chciałabym pojechać prosto do ambasady. Czy poinformowano urzędników Bułykowa o moim przyjeździe?

- Cóż. Uch...

- Rozumiem. Czy dysponujemy ciałem profesora?

Pitry ma mętlik w głowie. Być może po raz pierwszy w życiu zastanawia się, co po śmierci dzieje się z ciałem - i wprowadza go to w konsternację jeszcze większą, niż myśl o tym, co dzieje się z duszą.

- Rozumiem - powtarza kobieta. - Czy przyjechał pan samochodem?

Pitry kiwa głową.

- W takim razie proszę mnie do niego zaprowadzić.

Pitry ponownie z zakłopotaniem kiwa głową i prowadzi ją przez pogrążoną w cieniu stację do zaparkowanego w alejce samochodu. Nie może przestać zerkać na nią przez ramię.

Przysyłają kogoś *takiego*? Zwykłą, niską dziewczynę o zbyt wysokim głosie? Co ona może osiągnąć w tym wiecznie wrogim, wiecznie podejrzanym miejscu? Czy jest w stanie przetrwać chociaż noc?

Nawet dziś, po przeprowadzeniu tylu badań i pozyskaniu tak wielu artefaktów, wciąż nie mamy pojęcia, jak w rzeczywistości wyglądali. Wszystkie rzeźby, obrazy, malowidła ścienne, płaskorzeźby i zdobienia okazują ich postaci w sposób niewyraźny lub niespójny. Kolkan przedstawiany jest na przykład jako gładki kamień pod drzewem, mroczna góra na tle jasnego słońca albo gliniany człowiek siedzący na górze. Mimo to, wszystkie te niekonsekwentne wizerunki wciąż lepsze są od innych, przedstawiających niejasne, zawieszane w powietrzu wzory czy kolory, nie więcej niż pojedyncze pociągnięcia pędzla. Przykładowo, jeśli potraktujemy starożytną sztukę Kontynentu dosłownie, to Bóstwo o imieniu Dżukow najczęściej ukazywało się pod postacią chmary szpaków.

Podobnie jak w przypadku większości takich badań, ciężko cokolwiek wywnioskować z tak rozbieżnych strzępków informacji. Można zastanawiać się, czy obiekty tych dzieł sztuki w rzeczywistości same zdecydowały o przedstawieniu ich w takiej formie, czy też być może doświadczane były w sposób nieprzekładalny na sztukę konwencjonalną.

Być może nikt na Kontynencie nie wiedział nigdy do końca, co tak naprawdę widzi. A teraz, gdy Bóstw już nie ma, prawdopodobnie my także nigdy się tego nie dowiemy.

Czas sprawia, że wszystko w końcu milknie. Najwyraźniej bogowie nie są tu wyjątkiem.

~ ISTOTA SZTUKI KONTYNENTALNEJ, DR EFREM PANGUI

MUSIMY ICH UCYWILIZOWAĆ



...hara obserwuje.

Obserwuje niszczące łuki, nachylone, szerokie sklepienia, podniszczone iglice i kręte ulice. Obserwuje spłowiały maswerk fasad budynku, mozaikę dachówek na zapadniętych kopułach, ubrudzone

sadzą, półkoliste lunety oraz odkształcone, strzaskane okna. Obserwuje ludzi: niskich, owiniętych w szmaty, niedożywionych - przechodzących chwiejnie przez prostokątne portale i portyki, żebraków w mieście widmowych cudów. Widzi wszystko, co spodziewała się zobaczyć, lecz mimo to owe ponure ruiny rozpalają jej wyobraźnię - zastanawia się, jak mogły wyglądać siedemdziesiąt, osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt lat wcześniej.

Bułyków. Miasto Murów. Najświętszy Szczyt. Siedzisko Świata. Miasto Schodów.

Nigdy nie rozumiała tego ostatniego. Mury, szczyty i siedziska świata - oto powód do przechwałek. Ale schody? Co mają do tego schody?

Jednak teraz Ashara - a zwykle po prostu Shara — w końcu je dostrzega. Schody prowadzą wszędzie i donikąd: olbrzymie góry schodów, które nagle wyrastają z krawężnika, by wbić się we wzgórze; dalej nierówne schody prowadzące w dół zoczy niczym wąskie strumienie. A czasem też schody materializują się przed człowiekiem niczym wodospady bystrych górskich potoków, zaledwie kilka metrów dalej odsłaniające szeroki widok na panoramę miasta

Nazwa musiała być nowa. Coś takiego mogło powstać dopiero po Wojnie. Gdy wszystko... się zepsuło.

Więc tak wygląda Mgnienie, myśli Shara. Albo raczej jego skutki...

Zastanawia się, dokąd te schody prowadziły przed Wojną. Na pewno nie tam, gdzie teraz. Zmaga się z rzeczywistością miejsca, w którym się znajduje, powodu, z jakiego się tu znalazła; niedowierzaniem, że to wszystko dzieje się naprawdę...

Bułyków. Miasto Bóstw.

Shara wygląda przez okno samochodu. Niegdyś największe miasto świata, a teraz jedno z najbardziej spustoszonych miejsc znanych człowiekowi — a mimo to ludzkość kurczowo się go trzyma: Bułyków

pozostaje trzecim czy czwartym najbardziej zaludnionym miastem na świecie, chociaż kiedyś było znacznie, znacznie większe. Dlaczego ludzie tu zostają? Co ich trzyma w tym cienistym i zimnym półmieście po wiwisekcji?

- Czy bolą panią oczy? - pyta Pitry.
- Słucham? - odpowiada pytaniem Shara.
- Pani oczy. Mnie wszystko falowało przed oczami, kiedy pierwszy raz tu przyjechałem. Gdy patrzy się na miasto, w niektórych miejscach rzeczy nie wyglądają... właściwie. Robi się człowiekowi niedobrze. Podobno kiedyś zdarzało się to dużo częściej, ale teraz stopniowo już zanika.
- Pitry, jakie to wrażenie? - pyta Shara, chociaż zna odpowiedź: od lat czytała i słuchała o tym zjawisku.
- To jakby... Nie wiem. Jakby patrzyło się przez szkło.
- Szkło?
- No... nie do końca szkło. Jak przez okno. Ale okno wychodzi na miejsce, którego już nie ma. Ciężko to wytłumaczyć. Musi pani zobaczyć sama.

Wewnętrzny historyk ściera się w jej umyśle z instynktem agenta. *Patrz na łuki przejść, nazwy ulic, na ślady i wgniecenia w murach miejskich!*, mówi pierwszy. *Patrz na ludzi, spójrz gdzie chodzą. jak oglądają się za siebie*, mówi drugi. Na ulicach widać jedynie kilkoro ludzi: w końcu jest już dobrze po północy. Wszystkie budynki wydają jej się bardzo małe: gdy samochód wjeżdża na wzgórze, Shara dostrzega połączenie niskich, jednolitych konstrukcji, ciągnące się aż do murów po drugiej stronie. Nie jest przyzwyczajona do widoku tak surowej linii dachów.

Przed Wojną wyglądało to lepiej, przypomina sobie. Niemniej

osobliwa pustka krajobrazu każe jej się zastanowić: *Czy naprawdę tak wiele zniknęło wtedy nagle, w przeciągu minut?*

- Pewnie pani to wie — mówi Pitry — ale do poruszania się po okolicach ambasady samochód bardzo się przydaje. Ta dzielnica nie ma zbyt dobrej reputacji. Gdy ustanowiono tu ambasadę, większość szanowanych obywateli się wyprowadziła. Podobno nie życzyli sobie towarzystwa cebulaków.

- A, tak - odpowiada Shara. - Zapomniałam, że tak nas tu nazywają. *Cebulaki*, przypomina sobie, co odnosi się do ilości szalotki, jaką Sajpurzy dodają do jedzenia. Co jest błędem, jako że każdy rozsądny Sajpur woli czosnek.

Shara spogląda na Sigruda, który wpatruje się przed siebie -chyba. Zawsze ciężko stwierdzić, czemu w danym momencie Sigrud poświęca uwagę. Siedzi bez ruchu i zdaje się tak beztrosko niewzruszony wszystkim wokół, że można prawie wziąć go za posąg. W każdym razie nie wygląda, jakby miasto zainteresowało go czy zrobiło na nim wrażenie. Kolejne zdarzenie, które nie grozi przemocą ani jej nie wymaga po prostu niewarte jest jego uwagi.

Shara stara się odłożyć myślenie na następne godziny, które z pewnością będą trudne i zawikłane. Zwłaszcza stara się unikać tej jednej myśli, która męczy ją od wczoraj, kiedy w jej ręce trafiła wiadomość z telegrafu. Ale myśl nie znika.

Och, biedny Efremie. Jak to ci się mogło przydarzyć?

Gabinet ND Troonyi'ego doskonale odtwarza okazałe saj-purskie biuro, chociaż jest też nieco krzykliwy: ciemne, drewniane żaluzje, czerwony i kwiecisty dywan, łagodnie niebieskie ściany, nad biurkiem miedziane lampy z paciorkowymi kominami. Paproć słoniowa, gatunek rodzimy dla Sajpuru, kwitnie na jednej ze ścian, jej delikatne liście opadają zielono-szarą falą od omszałej podstawy; pod nią mały

garnuszek wody wrze nad małą świeczką; smuga pary unosi się, zapewniając paproci niezbędną do przeżycia wilgoć. Shara zauważa jednak, że żadna z tych rzeczy nie świadczy o połączeniu kultur, nie dowodzi uczenia się siebie nawzajem, komunikacji czy postregionalnej jedności - a tak właśnie twierdzą ministerialne komisje w Sajpurze.

Ogólny wystrój wnętrza to jednak nic w porównaniu z wyraźnym wykroczeniem, które wisi na ścianie za krzesłem biurowym.

Shara wpatruje się w to miejsce, rozwścieczona i jednocześnie chorobliwie zafascynowana. *Jak mógł być takim głupcem?*

Troonyi wpada do biura z wyrazem twarzy tak teatralnie ponurym, jakby to on sam umarł, a nie Efrem.

- Pani ambasador Thivani - rzuca. Wysuwa do przodu lewy obcas, podciąga prawe ramię i kłania się w najdworniejszym z ukłonów. - To zaszczyt móc panią tu gościć, nawet w tak przykrych okolicznościach.

Shara od razu zaczyna zastanawiać się, do jakiej szkoły przygotowawczej w Sajpurze uczęszczał. Oczywiście, zapoznała się wcześniej z jego kartoteką, co wzmocniło jej przekonanie, że plewy potężnych rodów zbyt często przerzuca się do rozsianych po całym świecie sajpurskich ambasad. *Uważa, że i ja pochodzę z takiej rodziny, przypomina sobie, stąd całe to przedstawienie.*

- To zaszczyt móc tu być.

- I dla nas, jesteśmy... - Troonyi podnosi wzrok i dostrzega Sigruda, który rozsiadł się na krześle w kącie i leniwie nabijał fajkę.. - Ekhm... K-kto to jest?

- To Sigrud - odpowiada Shara. - Mój sekretarz.

- Czy jego obecność jest niezbędna?

- Sigrud pomaga mi w wielu sprawach. Również poufnych.

Troonyi przygląda mu się uważnie.

- Jest głuchy albo niemy?

Sigrud przez moment spogląda w górę, po czym wraca wzrokiem do fajki.

- Nie — odpowiada Shara.

- Cóż - rzuca Troonyi. Wyciera czoło chusteczką i dochodzi do siebie. - Fakt, że pani minister Komayd tak prędko kogoś przysłała, by upewnić się co do właściwego potraktowania jego szczątków — mówi, siadając za biurkiem - jest najlepszym świadectwem uczczenia jego pamięci. Czy podróżowała pani całą noc?

Shara kiwa głową.

- A niech mnie. Co za okropność. Herbaty! - krzyczy nagle Troonyi bez widocznego powodu. - *Herbaty!* - Chwyta stojący na biurku dzwonek i poczyną gwałtownie nim potrząsać, po czym, gdy nie przynosi to pożądanego efektu, kilkakrotnie uderza nim o biurko. Dziewczyna, najwyżej piętnastoletnia, wpada do pokoju, dzierżąc okręt herbacianej tacy.

- Co tak długo? — wypala Troonyi. - Mam *gościa*. — Dziewczyna odwraca wzrok i nalewa herbaty. Troonyi odwraca się do Shary, zupełnie jakby byli sami. - Mniemam, że byia pani niedaleko, w Ahanasztanie? Uważam to polis za okropne. Tamtejsze mewy to wykwalifikowani złodzieje, a ludzie się od nich uczą. - Gestem odsyła dziewczynę, która kłania się nisko, zanim wychodzi. - Jednakże musimy ich ucywilizować. Oczywiście ludzi, nie ptaki. — Śmieje się. - Napije się pani? To nasz najlepszy sirlang...

Shara kręci głową z najlżejszym z uśmiechów. Po prawdzie, będąc całkowicie uzależnioną od kofeiny, desperacko potrzebuje się napić,

ale niech ją szlag, jeśli przyjmie cokolwiek od ND Troonyi'ego.

- Jak pani sobie życzy. Ale Bułyków, jak zapewne już pani słyszała, to coś całkiem innego. Tutaj nadal pozostały struktury, na które nie mamy wpływu. I nie chodzi wyłącznie o mury. Zaledwie trzy miesiące temu pani gubernator polis musiała powstrzymać ludzi przed powieszeniem kobiety za zadawanie się z mężczyzną... Przepraszam, że poruszam ten temat z młodą damą... Za zadawanie się z innym mężczyzną po śmierci jej męża. A on umarł już wiele *lat* wcześniej! Ojcowie Miasta oczywiście nie chcą mnie słuchać, ale Mulaghesh... - Milknie. - To właśnie miasto zdziśiatkowane przez przeszłość najbardziej sprzeciwia się reformom. Nie uważa pani, że to dziwne?

Shara uśmiecha się i kiwa głową.

- Zgadza się całkowicie. - Bardzo stara się unikać patrzenia na obraz wiszący Troonyi'emu nad ramieniem. - A więc dysponujecie ciałem doktora Pangyui?

- Słucham? Ach, tak - odpowiada z ustami pełnymi biszkoptu. - Proszę wybaczyć. Tak, tak, mamy ciało. Okropna sprawa. Prawdziwa tragedia.

- Czy mogę je obejrzeć przed transportem?

- Pragnie pani obejrzeć *zwłoki*? Nie są... Przepraszam, ale *nie nadają* się do oglądania.

- Znam przyczynę śmierci.

- Czy aby na pewno? Brutalna śmierć. *Brutalna*. Odrażająca zbrodnia, moja droga.

Moja droga, myśli Shara.

- Tak właśnie mi powiedziano. Niemniej nalegam na możliwość ich obejrzenia.

- Jest pani pewna?

- Tak.

- Cóż... Hm. - Troonyi uśmiecha się najuprzejmiej jak potrafi. - Coś pani powiem, moja droga. Byłem kiedyś na pani miejscu. Młody AK, pełen patriotyzmu, dbający o pozory, pragnący się pokazać. Wie pani, wszystko, co niezbędne, by wyrobić sobie nazwisko. Ale proszę mi wierzyć: może pani wysyłać wszystkie możliwe sygnały, a po drugiej stronie i tak nikogo nie ma. Nikogo, kto by *słuchał* Ministerstwo po prostu nie zwraca sobie głowy ambasadorami kulturalnymi. To rodzaj otrzęsin, moja miła: robi się swoje, aż będzie można się stąd wydostać. Ale proszę się nie przepracowywać, tylko dobrze się bawić. Jestem pewien, że już wkrótce zostanie przysłany ktoś, kto zajmie się tą sprawą na poważnie.

Shara nie jest właściwie zła; jej irytacja już dawno przemieniła się w zakłopotanie. Gdy zastanawia się, jak odpowiedzieć, jej wzrok błądzi z powrotem na powieszony na ścianie obraz.

Troonyi podchwytuje jej spojrzenie.

- Ach, widzę, że zajmuje panią moja ślicznotka. — Wskazuje gestem obraz. - *Noc Czerwonych Piasków*, autorstwa Rishny. Jedno z wielkich dzieł patriotycznych. Przykro mi stwierdzić, ale to nie oryginał, a jego bardzo stara kopia. Ale daje radę.

Mimo że Shara widziała ten obraz wiele razy - jest dość popularny w szkołach i ratuszach Sajpuru - malowidło wciąż wydaje jej się osobliwe i niepokojące. Przedstawia bitwę rozgrywającą się nocą pośród rozległej, piaszczystej pustyni: na najbliższych wydmach stoi mała, skromna armia Sajpurów, wpatrująca się poprzez pustynię w olbrzymi wrogi oddział uzbrojonych szermierzy. Ich zbroje są wielkie i mocne, połyskują, chronią każdy cal ich ciała; hełmy przedstawiają lśniące oblicza wrzeszczących demonów; miecze są olbrzymie, długie na prawie dwa metry, i migoczą zimnym blaskiem. Obraz nie pozostawia wątpliwości, że ci przerażający ludzie zakuci w stal i

uzbrojeni w ostrza porozcinają tych biednych, obdartych Sajpurów na pół. Mimo to szermierze trwają w czymś na kształt szoku: wpatrują się w Sajpura, który stoi samotnie na tyłach swej armii, na szczycie wysokiej wydmy, nieustraszony i zachwycający w swym trzepoczącym płaszczu - z pewnością jest to generał owych przerzedzonych sił. Manewruje dziwną bronią: długim, wąskim działem, delikatnym niczym ważka, które wystrzeliwuje płomienną kulę ponad jego armią, ponad głowami wrogiej armii, gdzie ta uderza...

W coś. Możliwe, że w kogoś: kogoś wysokiego, skrytego w cieniu. Ciężko dojrzeć, a może też malarz nie do końca wiedział, jak ma wyglądać ta postać.

Shara wpatruje się w sajpurskiego generała. Zdaje sobie sprawę, że obraz jest niezgodny z prawdą: w rzeczywistości Kaj stał na *przedzie* swej armii podczas Nocy Czerwonych Piasków i to nie on osobiście był odpowiedzialny za śmiertelny wystrzał, ani też nawet nie znajdował się w pobliżu broni. Shara przypomina sobie twierdzenia niektórych historyków - że wynikało to z jego odwagi jako dowódcy; inni zaś uważają, że Kaj, który przecież nigdy dotąd nie używał broni eksperymentalnej na taką skalę i nie wiedział, jaki to przyniesie skutek, pragnął znajdować się jak najdalej od niej na wypadek klęski. Niemniej niezależnie od tego, gdzie stał, wszystko zaczęło się w chwili tego śmiertelnego wystrzału.

Dosyć uprzejmości.

- Ambasadorze, czy spotyka się pan w tym biurze z Ojcami Bułykowa? - pyta Shara.
- Hmm? A, tak. Oczywiście.
- I nigdy nie... komentowali tego obrazu?
- Nie przypominam sobie. Czasami milkną na jego widok. Wspaniałe dzieło, moim zdaniem.

Shara się uśmiecha.

- Naczelnny Dyplomato Troonyi, czy jest pan świadom, w jakim celu profesor przybył do tego miasta?

- Mhm? Oczywiście. Odbiło się to szerokim echem. Przegrzebywanie starych muzeów, przeglądanie starych dzieł i zapisków... Dostałem na ten temat sporo korespondencji. Część mam tutaj. - Na te słowa przekłada papiery w szufladzie.

- I jest pan świadom, że to Minister Spraw Zagranicznych Vinya Komayd zatwierdziła tę misję?

-Tak?

- A więc zdaje pan sobie sprawę, że sprawa jego śmierci nie podlega jurysdykcji ani ambasady, ani gubernator polis, ani gubernatora regionalnego, ale bezpośrednio pod Ministerstwo Spraw Zagranicznych?

Gdy Troonyi przeskakuje w myślach kolejne szczeble, jego oczy o kolorze ptasiego guana poruszają się żwawo.

- Ufam, że... ma to sens...

- W takim razie zapewne nie wie pan - mówi Shara - że nadany mi tytuł ambasadora kulturalnego to właściwie głównie *formalność*.

Troonyi'emu drgają wąsy. Spogląda na Sigruda, jakby szukał u niego potwierdzenia, ale ten po prostu siedzi ze złączonymi dłońmi.

- Formalność?

- Tak. Chociaż zdaję sobie sprawę, że mój przyjazd do Bu-łykowa również uznaje pan za formalność, powinien pan zatem wiedzieć, że jestem tu z innych powodów. - Shara sięga do swej torby na ramię i wyciąga z niej małą, skórzaną odznakę, którą przesuwa po stole do

Troonyi'ego. Pośrodku odznaki widnieją małe, proste i wyraźne insygnia Sajpuru, pod nimi zaś równie mały napis:

MINISTERSTWO SPRAW ZAGRANICZNYCH

Zrozumienie tego wszystkiego zajmuje Troonyi'emu dłuższą chwilę.

- Co... Hmm - wydusza z siebie tylko.
- Więc owszem - mówi Shara. - Nie jest pan już najstarszym stopniem urzędnikiem w ambasadzie. - Shara wyciąga rękę, chwyta dzwonek z biurka Troonyi'ego i dzwoni. Herbaciana dziewczyna wchodzi do środka i jest wyraźnie zakłopotana, gdy to Shara wydaje jej polecenie.
- Sprowadź proszę kogoś od konserwacji, żeby zdjął ten obraz.

Troonyi praktycznie zaczyna toczyć pianę z ust.

- Chwileczkę! Co chce pani...?
- Chcę - mówi Shara — żeby to biuro wyglądało jak stanowisko pracy odpowiedzialnego przedstawiciela Sajpuru.

Dobrym początkiem będzie ściągnięcie *obrazu*, który idealizuje *moment*, w którym historia Kontynentu przybrała bardzo, bardzo krwawy obrót...

- To wielki moment dla naszego ludu, panno...
- Tak, dla *naszego*. Nie dla *ich*. Panie Troonyi, przypuszczam, że pański brak posłuchu i *szacunku* ze strony Ojców Miasta Bułykowa, jak też brak awansu na kolejne szczeble kariery przez ostatnie *pięć lat* wynika właśnie z faktu, że jest pan skłonny dekorować ścianę w swoim biurze malowidłem, które obraża i rozwściecza ludzi, z którymi ma pan tu pracować! Sigrud! - Olbrzym wstaje. - Skoro konserwatorzy nie śpieszą się z wykonywaniem poleceń kogoś innego niż ND

Troonyi, zdejmij proszę ten obraz i *roztrzaskaj* go o kolano. Panie Troonyi - proszę usiąść. Musimy przedyskutować warunki pańskiego przejścia na emeryturę.

Po załatwieniu tej sprawy i wyjściu Troony'ego, Shara siada przy biurku, nalewa sobie do filiżanki słuszną porcję herbaty i wypija ją. Cieszy się z usunięcia obrazu, mimo że mało w tym patriotyzmu: musi przyznać, że pracując dla Ministerstwa coraz częściej odczuwa niesmak na skutek podobnych przejawów szowinizmu.

Spogląda na Sigruda, który siedzi z nogami na biurku i trzyma strzęp zniszczonego już płótna.

- Co myślisz? - pyta. - Za ostro?

Sigrud spogląda na nią: *A ty jak myślisz?*

- Dobrze - odpowiada Shara. - Cieszę się, że tak uważasz. Muszę przyznać, że miałam z tego całkiem sporą frajdę.

Sigrud odchrząka, i przemawia głosem z dymu i błota, z akcentem gęstszym od kryjącej dachy smoły.

- Kim jest Shara Thivani?

- Mało ważną ambasador kulturalną, która stacjonowała w Dżukosztanie sześć lat temu. Zginęła w wypadku na łodzi, ale nadzwyczaj dobrze szła jej papierkowa robota - wszędzie można było natrafić na wzmianki zarówno o niej, jak i wykonanej przez nią pracy. Gdy jej zezwolenie miało wygasnąć, a ją samą mieliśmy usunąć z bazy danych, postanowiłam interweniować i wstrzymać ten proces.

- Ponieważ jesteście imienniczkami?

- Być może. Ale łączy nas więcej - czyż nie wyglądam na szarą,

niepozorną, drobną urzędniczkę?

Sigrud uśmiecha się złośliwie.

- Nikt już nie uwierzy, że jesteś zwykłą AK. Nie po wylaniu Troonyi'ego.
- Nie, i nie *chcę*, żeby uwierzyli. Chcę, żeby się martwili. Chcę, żeby zastanawiali się, kim naprawdę jestem. - Shara podchodzi do okna i wpatruje się w pocernione dymem nocne niebo. - To prawda, że jeśli wetkniesz kij w mrowisko, mrówki mogą wyjść i zacząć cię ścigać - ale wtedy przynajmniej możesz się im dobrze przyjrzeć.
- Jeśli naprawdę chciałaś namieszać, mogłaś po prostu posłużyć się *prawdziwym* nazwiskiem.
- Owszem, chcę namieszać, ale nie chcę *zginąć*.

Sigrud uśmiecha się szelmowsko i na powrót poświęca uwagę trzymanemu w dłoniach strzępowi płótna.

- Co takiego tam widzisz? - pyta Shara.

Sigrud odwraca pozostałości płótna tak, by też mogła im się przyjrzeć. Na owym fragmencie widać zwróconego profilem Kaja. Jego surową, patrycjuszowską twarz oblewa blask światła, eksplodującego z broni.

Sigrud odwraca obraz i chwyta go tak, że z jego perspektywy twarz Shary i maleńka, namalowana twarz Kaja znajdują się obok siebie.

- Zdecydowanie widać rodzinne podobieństwo — mówi.
- Och, cicho bądź! — wypala Shara. — I odłóż to!

Sigrud uśmiecha się, zgniata płótno i wyrzuca je do kosza na śmieci.

- W porządku - mówi Shara. Wypija drugą filiżankę herbaty, czym wprawia swoje ciało w zachwyty. - W takim razie powinniśmy chyba

ruszać dalej. Sprowadź mi proszę Pitry'ego. - Już ciszej, dodaje: - Mamy do obejrzenia zwłoki.

Pokój jest mały, pusty, gorący i niewietrzony. Rozkład jeszcze się nie rozpoczął, więc niewielkie pomieszczenie szczęśliwie pozbawione jest owego specyficznego zapachu. Shara wpatruje się w to, co znajduje się na łóżku polowym: zwisa z niego mała, chuda noga. *Zupełnie jakby po prostu postanowił się zdrzemnąć.*

Nie widzi tam swojego bohatera ani drobnego, miłego człowieka, którego kiedyś poznała - jedynie wgniecione i zaskorupiałe ciało, ledwie przypominające ludzką istotę. Oczywiście, dostrzega również coś znajomego: małą, ptasią szyję, lniany garnitur, długie, smukłe ramiona i palce oraz, tak, jego niedorzecznie kolorowe skarpety... Ale to nie jest Efrem Pangyui. To niemożliwe.

Shara dotyka kłap jego marynarki. Zostały rozszarpane na strzępy.

- Co się stało z jego ubraniem?

Pitry, Sigrud oraz strażnik skarbcza nachylają się, by spojrzeć.

- Słucham? - pyta strażnik. Ponieważ ambasada nie dysponuje zakładem pogrzebowym, śmiertelna powłoka doktora Efrema Pangyui została umieszczona w skarbcu ambasady, na łóżku polowym, niczym drogocenna pamiątka rodzinna oczekująca na biurokratyczne zezwolenie, by wrócić do domu. *Właściwie tak właśnie jest*, myśli Shara.

- Spójrzcie na jego ubranie - mówi. — Wszystkie szwy i mankiety rozcięte. Nawet nogawki. Wszystko.

- I?

- Czy ciało przywieziono w takim stanie?

Strażnik zaszczyca ciało nieufnym spojrzeniem.

- Cóż, to nie *nasza* sprawka.
- Twierdzisz, że to robota bułykowskiej policji?
- No nie wiem. Przykro mi, proszę pani, ale nie mam pojęcia.

Shara się nie porusza. Oczywiście, miała już do czynienia z takimi sytuacjami, a nawet sama raz czy dwa dopełniała takiej procedury - im więcej ubrań na człowieku, im więcej kieszeni, podszewek i mankietów, tym więcej miejsc, w których można coś schować.

Co sprowadza mnie do pytania: dlaczego ktoś miałby uważać że historyk na misji dyplomatycznej ma coś do ukrycia?

- Może pan iść - mówi Shara.
- Słucham?
- Może pan nas zostawić.
- Cóż... Jest pani w skarbcu. Nie mogę po prostu tu pani zostawić...

Shara spogląda na niego. Być może sprawia to zmęczenie podróżą czy też troska na jej twarzy, a może echem odbijają się wydawane przez jej ród od pokoleń polecenia, niemniej strażnik kaszle, drapie się po głowie i znajduje sobie jakieś zajęcie w korytarzu.

Pitry rusza już za nim, ale Shara go powstrzymuje.

- Nie, Pitry, pan nie. Proszę zostać.
- Jest pani pewna?
- Tak. Potrzebna mi opinia kogoś z ambasady, nawet jeśli niewielka.
- Spogląda na Sigruda. - Co myślisz?

Sigrud nachyla się nad małym ciałem. Dość ostrożnie przygląda się czaszce, niczym malarz próbujący odkryć fałszerstwo. Ku widocznemu obrzydzeniu Pitry'ego podnosi płat skóry i przygląda się wgłębieniom na kości.

- Jakieś narzędzie — oznajmia. - Może klucz. Coś z zębami.
- Jesteś pewien?

Kiwa głową.

- Nic, co mogłoby nam pomóc?

Wzrusza ramionami. *Może tak, może nie.*

- Pierwsze uderzenie poszło w czoło. — Wskazuje tuż nad miejscem, które niegdyś było lewym łukiem brwiowym profesora. - Tu ślady są głębokie. Inne... Nie aż tak.

Jakiegokolwiek narzędzie, myśli Shara. Jakiegokolwiek broń. Każdy mógł to zrobić.

Wciąż wpatruje się w ciało. Po raz drugi tego wieczoru upomina się, *by nie zwracać uwagi na otoczkę.* Ale jest to zniszczony wizerunek jej bohatera, jego ręce, szyja, koszula i krawat — czy wolno jej uznać te znajome elementy za zwykłą otoczkę?

Chwila, moment. Krawat?

- Pitry. Czy często widywał pan profesora, odkąd się tu pojawił? — pyta.
- *Widywałem go, owszem, ale nie przyjaźniliśmy się.*
- W takim razie nie będziesz pewnie pamiętać - mówi łagodnie Shara — czy wyrobił w sobie nawyk noszenia krawata?
- Krawata? Nie wiem, proszę pani.

Shara sięga i wydobywa krawat. Jest wykonany z kunsztownego jedwabiu w czerwone i kremowobiałe paski. Oznaka niedawnego zainteresowania się północą.

- Efrem Pangyui jakiego *ja* znałam, zawsze wołał szale. Rozumiem, że to bardzo akademicki wizerunek - szale, zwykle pomarańczowe, różowe albo czerwone. Szkolne kolory. Ale nie przypominam sobie, by kiedykolwiek nosił krawat. Pitry, czy zna się pan na krawatach?

- Trochę, jak sędzę. Tutaj są dość popularne.

- Tak. W przeciwieństwie do Sajpuru. Czy powiedziałby pan, że ten krawat jest niezwykle wysokiej jakości? - Odwraca się, by mu go pokazać. - Bardzo wytworny i bardzo... cienki?

- Hmm. Tak?

Nie odrywając wzroku od krawata, Shara wyciąga otwartą dłoń w stronę Sigruda.

- Poproszę nóż.

Momentalnie w dłoni olbrzyma pojawia się maleńki fragment błyszczącego metalu - jakiegoś rodzaju skalpel. Sigrud podaje go Sharze, która poprawia okulary na nosie i pochyla się nad ciałem. Spod koszuli wydobywa się mdły zapach gnicia. Shara stara się go zignorować - kolejny nieprzyjemny element otoczki.

Przygląda się białemu jedwabowi. *Nie, nie zrobiłby tego z białym, myśli. Zbyt widoczne...*

Dostrzega we włóknie materiału szwy wykonane niesamowicie cienką nicią. Nacina skalpelem każdy z nich. Nici formują wewnątrz krawata niewielką kieszonkę.

W środku znajduje się strzępek białego materiału. Nie tego, z którego zrobiony jest krawat - jakiegoś innego. Shara wyciąga go i przybliża do

światła.

Na jednej stronie białego materiału zapisano coś węglem drzewnym - pewnego rodzaju kod.

- Nigdy by nie pomyśleli, żeby poszukać w krawacie -mówi łagodnie.
- Przynajmniej nie w takim *ładnym*. Nie spodziewaliby się tego po Sajpurze, prawda? I on zdawał sobie z tego sprawę.

Pitry wpatruje się w rozbebeszony krawat.

- Gdzie on się tego nauczył?

Shara oddaje skalpel Sigrudowi.

- To bardzo dobre pytanie - stwierdza

Światło świtu wkrada się przez okno biura, przechodząc ponad ogołoconym biurkiem i dywanem, pełnym wgłębień po meblach, których Shara kazała się pozbyć. Ona sama podchodzi do okna. Dziwne: mury miejskie nie powinny przepuszczać do miasta jakiegokolwiek światła, chyba żeby słońce znajdowało się bezpośrednio nad nim. Mimo to Shara dostrzega wspinające się po horyzoncie słońce, chociaż nieco przymglone za dziwną przezroczystością murów.

Jak on się nazywał, ten, co o tym pisał? Shara strzela palcami, próbując sobie przypomnieć.

- Voczek - mówi. - Anton Voczek. Właśnie. - Profesor Uniwersytetu Bułykowskiego. Wiele lat temu teoretyzował on na temat ciągłego funkcjonowania Cudu Murów, jednego z najstarszych i najbardziej znanych cudownych znaków rozpoznawczych miasta - mianowicie, że jest ono dowodem na dalsze istnienie przynajmniej jednego z pierwotnych Bóstw. Tak otwarte pogwałcenie RM sprawiło, że

profesor musiał się ukrywać, ale i tak Kontynentanom nie podobała się jego teoria: jeśli Bóstwa wciąż istniały, to gdzie się podziewały, gdy ich ludowi potrzebna była pomoc?

Shara przypomina sobie słowa Efrema: *na tym właśnie polega problem z cudownościami. Są bardzo dosłowne. Robią tylko to, do czego zostały stworzone.*

Wydaje jej się, jakby rozmawiała z nim zaledwie wczoraj, choć minął już ponad rok. Gdy Efrem Pangyui po raz pierwszy przybył na Kontynent, Shara uczyła go umiejętności wywiadowczych: rzeczy prostych, jak eksfiltracja, uniki i wykręty; jak radzić sobie z przeróżnymi biurokratycznymi zawłościami oraz, chociaż nie przypuszczała, że do tego dojdzie, jak stwarzać i chronić miejsca wymiany informacji. Chodziło głównie o podjęcie środków ostrożności, jako że żadne miejsce na Kontynencie nie było dla Sajpurów całkowicie bezpieczne. Jako najbardziej doświadczony czynny agent na Kontynencie, Shara miała nedorzecznie wysokie kwalifikacje, jak na to niewymagające stanowisko, ale uparła się na nie - ponieważ nie istniał Sajpur, którego czciłaby i szanowała bardziej niż Efrema Pangyui - reformatora, nauczyciela i sławnego historyka. To właśnie on w pojedynkę zmienił sposób, w jaki Sajpurzy postrzegali i rozumieli przeszłość, to on wskrzesił cały sajpurcki system prawny, to on odebrał sajpurckie szkoły bogatym i wprowadził edukację do slumsów... Shara czuła się bardzo dziwnie, gdy ów wielki człowiek siedział naprzeciwko niej w Ahanasztanie i cierpliwie kiwał głową, kiedy tłumaczyła mu (mając nadzieję, że za bardzo nie widać po niej zachwyty), że gdy pogranicznik prosi o dokumenty, *w rzeczywistości* chodzi mu o dwudziestodreklowe banknoty. Było to z pewnością surrealistyczne doświadczenie, niemniej również jedno z jej najcenniejszych wspomnień.

Wysłała go w drogę, zastanawiając się, czy jeszcze się spotkają. I zaledwie wczoraj odebrała ze swojego biurka telegram, informujący, że znaleziono profesora Pangyui martwego - nie, nie tyle martwego, co *zamordowanego*. Już sam ten fakt był dla Shary wystarczającym

szokiem, a znalezienie do tego wszytych w jego ubranie tajnych informacji - czego z pewnością to nie *ona* go nauczyła...

Jakoś teraz nie chce mi się wierzyć, że jego zadanie faktycznie polegało na badaniu historii.

Shara trze dłońmi oczy. Plecy ma sztywne po podróży pociągiem. Spogląda na zegarek i zamyśla się.

W Sajpurze dochodzi ósma rano.

Nie ma ochoty robić tego teraz — jest zbyt zmęczona, zbyt słaba — ale w przeciwnym razie poniesie później tego konsekwencje. Taka ilość prostych przeoczeń, jak na przykład niepoinformowanie o podróży do Bułykowa, może zostać odebrana jako zdrada.

Shara otwiera drzwi swego nowego biura i upewnia się, że na zewnątrz nikogo nie ma. Zamyka drzwi na zamek. Podchodzi do okna i zasuwą zewnętrzne żaluzje (co przynosi jej ulgę -ma dość dziwnego, mętnego widoku słońca). Zamyka okno.

Pociąga nosem, przebiera palcami. Liże opuszek palca wskazującego i zaczyna pisać na samej górze szyby okiennej.

W swoim fachu Shara często dopuszcza się nielegalnych czynów. Ale czym innym jest pogwałcenie prawa kraju, przeciwko któremu się występuje, a czymś jeszcze innym to, co Shara właśnie robi - co w Sajpurze napawa lękiem, a na Kontynencie - miejscu, w którym powstała ta konkretna ustawa -jest bardzo żarliwie zakazywane, regulowane i monitorowane.

W tej chwili, w biurze ND Troonyi'ego, Shara zamierza dokonać cudu.

Jak zwykle zmiana jest prawie niezauważalna: powietrze faluje, muska skórę chłodem, jakby ktoś gdzieś uchylił drzwi; gdy Shara pisze, opuszką palca zaczyna czuć, że powierzchnia szyby coraz bardziej mięknie, aż wydaje się jej, że pisze po wodzie.

Szyba się zmienia: zachodzi mgłą, pojawia się na niej szron; jednak chwilę później szron cofa się, ale za oknem nie ma już śladu po zewnętrznych żaluzjach. Zamiast nich widać jakby dziurę w ścianie, a po drugiej stronie znajduje się gabinet z wielkim biurkiem z drewna tekowego, za którym wysoka, przystojna kobieta przegląda zawartość grubej teczki.

Jak dziwnie jest, myśli Shara, dosłownie zmieniać świat...

Shara lubi myśleć, że jest ponad takie odczucia, chociaż irytuje ją fakt, że nawet znaczna przewaga technologiczna Sajpuru wciąż nie dorównuje większości boskich sztuczek. Bóstwo Ol-wos dokonało tego pomniejszego cudu setki lat temu, by móc spojrzeć w jedno zamrożone jezioro i być w stanie dostrzec dowolne inne, znajdujące się setki kilometrów dalej. By móc się przez nie komunikować. Shara nigdy nie była do końca pewna, dlaczego ten cud działa także na szkło: wedle ogólnie przyjętej teorii pierwotne kontynentalne określenie na „szkło” przypominało to na „lód”, więc cud mimowolnie zachodzi i tu - chociaż Bóstwa lubiły w różnych, dziwnych celach zamykać i przechowywać przedmioty, a nawet ludzi, w szkło grubości włosa - niczym pochwycone przez kryształ promienie słońca.

Kobieta w odbiciu spogląda w górę. Perspektywa jest nieco osobliwa: przypomina widok z iluminatora. Shara zdaje sobie sprawę, że w rzeczywistości po drugiej stronie szyby znajduje się żaluzja okna ambasady, a za nią spadek o wysokości trzydziestu metrów. To wszystko jest jedynie iluzją obrazu i dźwięku: gdzieś w Ghaladeshu, w leżącym za Morzami Południowymi Sajpurze, okno biura tej kobiety ukazuje Sharę, wyglądającą z pokojów Troonyi'ego.

Kobieta wygląda na zaskoczoną. Ruchowi jej ust towarzyszy głos, delikatny i metaliczny, jakby rozchodził się we wnętrzu rynn.

— Och! Och.

— Wyglądasz, jakbyś spodziewała się kogoś innego - mówi Shara.

— Nie. Zastanawiałam się, czy zadzwonisz, ale nie spodziewałam się, że użyjesz do tego *specjalnego* połączenia. - Mimo zniekształceń głos jest dość niski i ochryply, właściwy nałogowemu palaczowi.

— Wolałabyś, żebym z niego nie korzystała?

— Bardzo rzadko korzystasz z otrzymanych środków - mówi kobieta, wstając i podchodząc do okna - w celach, do których zostały przeznaczone.

— Co prawda nie jest to... wyjątkowa sytuacja - mówi Shara. — Chciałam, żebyś wiedziała, że... Że natrafiłam w Bułykowie na pewne działania.

Kobieta w oknie uśmiecha się. Pomimo dojrzałego wieku jest uderzająco piękna: kruczoczarne włosy opadają gęstymi lokami na ramiona, kosmyk nad czołem przepleciony jest pasmem siwizny i choć kobieta ta jest w wieku, w którym większość zaczyna już porzucać myśl o posiadaniu atrakcyjnej figury, ona wciąż zachowuje wszystkie te zaokrąglenia, o których Shara może jedynie pomarzyć. Urok cioci Vinyi zawsze sięgał poza jej piękno: jest coś w tych szeroko rozstawionych i dużych, mocno brązowych oczach. Zupełnie jakby ciocia Vinya zawsze częściowo trwała pogrążona we wspomnieniach, za jakie większość ludzi byłaby skłonna zabić.

- Nie działania - mówi Vinya. - Otwartą misję dyplomatyczną.

Shara wzdycha w duchu.

- Skąd wiesz?

- Tożsamość Thivani — odpowiada Vinya. — Czekala u ciebie już od lat. Mam w zwyczaju zauważać takie rzeczy. Kiedy ktoś, jakby to powiedzieć, podchodzi do lady i chowa do rękawa biszkopt albo dwa. Nazwisko to nagle aktywuje się akurat wtedy, gdy dochodzi do nas wieść o biednym Efremie... Nie mogłaś zrobić nic innego, prawda?

Błąd, myśli Shara. Nie powinnam była tego robić, będąc aż tak zmęczona.

- Shara, co ty właściwie *wyprawiasz*? - pyta łagodnie Vinya. - Wiesz, że nigdy nie wyraziłabym na to zgody.
- Dlaczego nie? Byłam najbliżej i mam najlepsze kwalifikacje.
- *Nie masz* najlepszych kwalifikacji, ponieważ byłaś związana z Efremem emocjonalnie. Mamy z ciebie większy pożytek gdzie indziej. I powinnaś była najpierw wysłać zapytanie.
- W takim razie możesz sprawdzić swoją skrzynkę — odpowiada Shara.

Przez twarz Vinyi przebiega cień irytacji. Podchodzi do szczeliny na listy w drzwiach, przegląda leżący pod nią stos i wyciąga z niego mały świstek papieru.

- Cztery godziny temu - mówi. — Bardzo w czas.
- Wystarczająco. Więc - odpowiada Shara — wypełniłam wszystkie niezbędne procedury. Nie złamałam żadnych zasad. Jestem agentem najwyższego stopnia i specjalistką w tej dziedzinie. Nikt nie zna historii Bułkova lepiej ode mnie.
- O, tak - mówi Vinya. Z powrotem podchodzi do okna, by w nie spojrzeć. — Jesteś naszym najbardziej doświadczonym agentem w historii Kontynentu. Wątpię, żeby ktokolwiek na świecie wiedział więcej od ciebie o ich martwych bogach. Zwłaszcza teraz, gdy Efrem już nie żyje.

Shara odwraca wzrok.

- Przykro mi - oznajmia Vinya. - To było niedelikatne z mojej strony. Musisz zrozumieć... Często trudno mi okazać najprostsze współczucie, nawet w tym przypadku.

- Wiem - mówi Shara. Minęło trochę ponad siedem lat od czasu, gdy ciocia Vinya została Ministrem Spraw Zagranicznych. Od zawsze była siłą napędową Ministerstwa, urzędniczką, przez której rękę przechodziły w jedną bądź drugą stronę wszystkie decyzje; w końcu była to już jedynie kwestia oficjalnego mianowania. Od momentu jej awansu wpływy Ministerstwa znacząco się rozszerzyły: obejmowały teraz handel, przemysł, partie polityczne i zarządzanie środowiskiem. Kiedykolwiek Shara zbliżała się ostatnio do Sajpuru - co zdarzało się bardzo rzadko - słyszała, że Vinya Komayd, matrona znakomitego rodu Komaydów i jedna z najważniejszych osobistości w Ghaladeshu, przymierza się właśnie do objęcia następnego w kolejności wysokiego stanowiska, mianowicie do zostania panią premier. Pomysł ten jednocześnie deprymuje i ekscytuje Sharę; być może kiedy jej ciotka zajmowałaby najwyższe stanowisko w Sajpurze, czyli na całym świecie, Shara mogłaby w końcu wrócić do domu... Ale co to byłoby za dom?

- Gdybyś to nie ty szkoliła Efrema - mówi Vinya - gdybyś to nie ty zgłosiła się na ochotnika, by go przetestować, by spędzić z nim tak wiele czasu... Moja kochana, wiesz, że nie wahałabym się ani sekundy. Ale przecież zdajesz sobie sprawę, że urzędnikom nigdy nie pozwala się reagować na śmierć ich własnych agentów.

- Nie podlegał mi. Jedynie go szkoliłam.

- Prawda, ale musisz przyznać, że byłaś już karana za brawurę, szczególnie jeśli chodzi o sprawy osobiste.

Shara wzdycha.

- Nie wierzę, że znowu do *tego* wracamy.

- Ja wracam, nawet jeśli ty nie chcesz o tym słyszeć. Ten temat pojawia się we wszelkich kręgach politycznych, za każdym razem, gdy staram się o dofinansowanie.

- To było siedemnaście lat temu!

- Dokładnie szesnaście. Wiem. Wyborcy mogą mieć krótką pamięć. Politycy nie.

- Czy podczas całej mojej zagranicznej kariery wywołałam choćby cię jakiegoś skandalu? Ciociu, przecież mnie znasz. Jestem dobra w tym, co robię.

- Moja kochana, nie zaprzeczę, że dzięki tobie pracuje mi się lepiej, oczywiście, że nie. - Vinya wzdycha i zamyśla się.

Shara nie porusza twarzą i z zamkniętymi oczami analizuje ostatnie pięć minut. Rozmowa nie przebiega zgodnie z jej oczekiwaniami. Spodziewała się od ciotki surowej nagany, ponieważ wygląda na to, że natknęła się na jakąś znacznie bardziej poważną i niebezpieczną operację, w którą wmieszany był Pangyui. Póki co jednak ciocia Vinya zareagowała, jakby Pangyui naprawdę był jedynie zwykłym historykiem na misji dyplomatycznej. *Co znaczy, że albo nic nie wie, albo nie chce zdradzić, że wie.*

Shara więc czeka. Nauczyła się już, że pewne sprawy z czasem po prostu wychodzą na jaw, pomimo nawet najlepszych starań przeciwnika. I chociaż Vinya jest jej ciocią, to każda relacja pomiędzy dowódcą a agentem ma w sobie coś z konfrontacji.

- No cóż - mówi Vinya. - Chyba należy mi się jakiś raport. Jak wygląda sytuacja?

Ciekawie, myśli Shara.

- Źle. Narastają buntownicze nastroje. Stwierdzenie, że ND Troonyi nie prowadził ambasady w najlepszy możliwy sposób, byłoby sporym niedopowiedzeniem.

- Troonyi... Dobry Boże, zapomniałam, że to jego tam wcisnęli. Czy są tam jakieś młode dziewczyny?

Shara przypomina sobie dziewczynę od herbaty.

- Jedna.
- W ciąży?
- Nie jestem w stanie stwierdzić.
- Cóż. Dzięki morzom za takie drobnostki.
- A co z Mulaghesh, gubernator polis? Postępowała z Bułykowem w bardzo... zdecentralizowany sposób. W sumie jednak trzymała się zasad. Mogę na niej polegać?
- Prawdopodobnie. Jest byłym żołnierzem, walczyła w powstaniach. Hierarchię ma we krwi. Zawsze dobrze ci szło z takimi jak ona. A teraz
 - co z profesorem?
- Cały czas zbieram informacje - odpowiada Shara. Same banały.
- I co zrobisz, gdy już dowiesz się, kto go zabił i dlaczego? -pyta Vinya.
- Ocenię sytuację i stwierdzę, jakie zagrożenie stanowi dla Sajpuru.
- Nie przyszła ci na myśl zemsta?
 - Gdy cały świat patrzy - oznajmia Shara - nie ma miejsca na zemstę. Musimy być rozsądni i zdystansowani. Jak zwykle mam być jedynie narzędziem w rękach mojego narodu.
 - Wystarczy tej retoryki - przerywa jej Vinya. - Nie mam pojęcia, czy w ogóle jeszcze na kogoś działa. - Odwraca się, by dać sobie czas do namysłu. - Wiesz co, zrobimy tak. Będę hojna. Dostaniesz na to tydzień.

Shara wpatruje się w nią, rozwścieczona.

- Tydzień?!
- Tak. Tydzień, by zobaczyć czy coś z tego w jakikolwiek sposób

zagroza Sajpurowi. Kochana moja, cała populacja Bułkowa życzyła biedakowi śmierci! To równie dobrze mógł być woźny. Dam ci tydzień, żebyś mogła wykazać, że istnieje jakiś poważniejszy powód, który usprawiedliwiłby twoją obecność w Bułkowie. Jeśli go nie znajdziesz, odwołam cię, a twoje obowiązki przejmie ktoś inny. Moja droga, nie wykorzystujemy twoich talentów w należyty sposób. Ministerstwo ma dla ciebie znacznie ważniejsze zadania.

- Tydzień... - Shara przez chwilę rozważa, czy powiedzieć Vyni o tajnej wiadomości, ale decyduje, że potencjalne złe konsekwencje tego ruchu przewyższają te dobre.

- Och, czy to nie ta dziewczyna powiedziała mi właśnie, że jest najwyższym stopniem agentem w okolicy? Powiedziałaś to, jakby rozwiązanie tej sprawy było niczym obalenie domku z kart. - Vinya porusza palcami, imitując ruch opadania. - Moja kochana, jeśli faktycznie jesteś taka dobra, to z pewnością zajmie ci to zaledwie kilka godzin.

Sfrustrowana Shara poprawia okulary.

- Świetnie.

- Dobrze. Informuj mnie na bieżąco. I będę zobowiązana, jeśli uda ci się powstrzymać tego człowieka przed dalszym mordowaniem, przynajmniej w ciągu najbliższych kilku dni.

- Tego nie mogę obiecać.

- Wiem. Po prostu pomyślałam, że nie zaszkodzi spróbować.

- A jeśli rozwiążę tę sytuację w tydzień? - pyta Shara. - Jeśli istotnie tym razem dokonam niemożliwego, czy istnieje szansa, że...

- Że co?

- Że zostanę przeniesiona?

- Przeniesiona?

- Tak. Z powrotem do Ghaladeshu. Rozmawialiśmy o tym ostatnim razem - dodaje, gdy widzi pozbawione zrozumienia spojrzenie Vinyi.

- Ach. Ach, tak. Zgadza się, rozmawialiśmy, czy nie...

Zdajesz sobie z tego sprawę, myśli Shara. I rozmawialiśmy o tym już wcześniej, i jeszcze wcześniej, i jeszcze...

- Muszę przyznać - rzuca Vinya - że jesteś jedynym agentem jakiego znam, który naprawdę pragnie pracy za biurkiem w swoim kraju. Myślałam, że Kontynent ci się spodoba, jest tam wszystko, do czego się szkoliłaś.

- Jestem za granicą - mówi miękko Shara - od szesnastu lat.

- Shara... - Vinya uśmiecha się z zakłopotaniem. - Wiesz, że jesteś moim czołowym agentem na Kontynencie. Nikt nie wie więcej o Bóstwach niż ty... Co więcej, prawie nikt w Ghaladeshu nie wie, że na Kontynencie do pewnego stopnia wciąż można odnaleźć ślady Bóstw.

Tak wiele razy słyszałam już tę gadkę.

- Nieważne, jak nieznaczna byłaby dalsza egzystencja Bóstw, polityką Ministerstwa pozostaje jej nieujawnianie. Sajpurzy wolą uważać całą tę historię za przedawnioną i wygasłą. Nie mogą dowiedzieć się, że na Kontynencie wciąż działają niektóre z cudów... i z pewnością nie mogą wiedzieć, że niektóre boskie stworzenia wciąż istnieją, chociaż przyznają, że tobie i twojemu człowiekowi bardzo dobrze idzie ich eliminowanie.

Shara milczy, gdyż dochodzi do wniosku, że jej ciotka nie ma pojęcia, z czym to się wiąże.

- Dopóki same Bóstwa pozostają przeszłością - i nie posiadamy się z radości, że tak to wygląda - nie istnieje powód, dla którego

mielibyśmy mówić ludziom o czymś, czego wiedzieć nie chcą - stwierdza Vinya.

Shara decyduje się na wypowiedzenie oczywistości.

- Więc skoro widziałam tak wiele z tego, do czego istnienia nie możemy się przyznać, nie mogę wrócić do domu.
- A z racji tego, kim jesteś, jeśli miałabyś wrócić do domu, trafisz pod krzyżowy ogień pytań. A ponieważ wiesz tak wiele, czego nie powinien wiedzieć nikt inny...

Shara zamyka oczy.

- Kochana, daj mi trochę czasu - prosi Vinya. - Robię, co mogę. Ludzie u władzy słuchają mnie bardziej niż kiedykolwiek. Niedługo nie pozostanie im nic innego, jak tylko dać się przekonać.
- Problem polega na tym - oznajmia cicho Shara — że jako agenci musimy chronić swój dom... ale czasami musimy też do niego wrócić, by przypomnieć sobie, za jaki dom walczyliśmy.
- Nie rozczulaj się nad sobą! - drwi Vinya. - Moje dziecko, pochodzisz z Komaydów. Płyń w tobie krew twoich rodziców i moja. Jesteś patriotką. Sajpur masz we krwi.

Widziałam śmierć dziesiątek ludzi, chce powiedzieć Shara, i na wielu podpisałam wyroki śmierci. Nie mam w sobie już nic z moich rodziców.

Vinya uśmiecha się, oczy jej błyszczą.

- Dbaj o siebie, kochana. W Bułykowie historia ciąży nieco bardziej. Na twoim miejscu byłabym ostrożna, szczególnie skoro w prostej linii pochodzisz od człowieka, przez którego cały Kontynent runął z hukiem. - Po tych słowach wyciąga przed siebie dwa palce, przeciera szkło i już jej nie ma.

Obowiązkiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych jest kontrola tego, czego nie da się kontrolować.

Nawet jeśli coś jest niewykonalne, nie znaczy to, że lud Sajpuru nie oczekuje realizacji niewykonalnego: w końcu czyż przed Wojną takie rzeczy nie działały się na Kontynencie codziennie po wiele razy?

Czyż nie dlatego właśnie Sajpur, a razem z nim reszta świata, co noc miewa problemy ze snem?

~ PREMIER ANTA DOONIJESH W LIŚCIE DO MINISTER VINI
KOMAYD, 1712

ZAKAZANE



Uniwersytet Bułykowski to rozległy budynek o wielu salach, kamienna sieć przedsionków i korytarzy, ukrytych za górującymi nad zachodnim Bułykowem murami. Kamienne ornamenty uniwersytetu przebarwione są deszczem i ciemnymi wykwitami pleśni; posadzki i chodniki wygładzone, jakby przemierzano je przez wiele lat, a ich pokaźne, spuchnięte kominy, przypominające bardziej gniazda os niż jakiegokolwiek funkcjonalne cechy elementy architektury, wykonane są w stylu zaniechanym przynajmniej kilka stuleci wcześniej.

Niemniej, jak zauważa na wejściu Shara, sieci wodno-kanalizacyjnej niczego nie brakuje. Jak w przypadku większości budynków, widać jedynie jej fragmenty: łączenia z głównymi rurami, spryskiwacze na suBcie, zwykłe krany i umywalki. Wszystko jednak wygląda całkiem nowoczesnie.

Shara próbuje się nie uśmiechać, ponieważ wie, że pomimo starożytnego wyglądu, sam budynek uniwersytetu ma ledwie niewiele więcej niż dwadzieścia lat.

- W którym skrzydle teraz jesteśmy? - pyta.
- Językowym - odpowiada Nidayin. - I tutaj mówi się na nie „komory”.

Shara mruga powoli w odpowiedzi na tak bezzwłoczną odpowiedź. Jak się okazuje, Nidayin nie różni się zbyt wiele od innych urzędników ambasady — jest równie przemyślny, jaśniepański i zarozumiały. Jednakże jest również oficjalnym przedstawicielem ambasady do spraw publicznych, co oznacza, że to właśnie on formalnie zaprasza ambasadorów i dyplomatów w istotne miejsca - takie jak uniwersytet.

- Bardzo długie komory — mówi Pitry, rozglądając się wokół. - Tak naprawdę to bardziej korytarze.
- Określenie „komory” - upomina go Nidayin - ma bardzo symboliczne znaczenie.
- To znaczy jakie?
- Z pewnością nie ma to żadnego znaczenia dla śledztwa - odpowiada Nidayin, który ewidentnie nie spodziewał się takiego przepytania.

Kroki odbijają się echem pośród kamieni. Po śmierci doktora Pangyua uniwersytet jest pusty. Być może dzieje się tak za sprawą niebieskiego światła lamp (gazowych, jak zauważa Shara) igrającego na kamiennych murach, ale Shara nie może pozbyć się wrażenia, że całość jest w pełni organiczną strukturą, zupełnie jakby znajdowali się w owadzie ulu czy może brzuchu jakiegoś gigantycznego stworzenia. *Zapewne właśnie taki efekt chcieli osiągnąć architekci, myśli.*

Zastanawia się, co Efrem sądził o tym miejscu. Zdążyła już obejrzeć jego pokoje w ambasadzie. Zgodnie z jej oczekiwaniami, okazały się

kompletnie puste, pozbawione oznak indywidualności. Efrem był tego rodzaju człowiekiem, który żył dla pracy, szczególnie tego rodzaju pracy, w tym pełnym historii miejscu. Shara nie ma wątpliwości, że któraś z szuflad jego akademickiego gabinetu wypchana jest setkami nakreślonych węglem drzewnym szkiców przedstawiających uniwersyteckie gzymsy, bramy, oraz prawie na pewno, dziesiątki gałek od drzwi, jako że Efrem od zawsze fascynowało to, co ludzie robią z rękami. Powiedział jej kiedyś, że *to ich sposób na interakcję ze światem. Duszę można ujrzeć w oczach, ale podświadomość, istota ich zachowania, znajduje się w rękach. Przypatrz się dłoniom człowieka, a dowiesz się, co kryje się w jego sercu*. I być może miał rację - Efrem zawsze wszystkiego dotykał, gdy tylko dokonywał nowego odkrycia: gładził powierzchnie stołów, stukał w ściany, ugniatał ziemię, pieścił dojrzały owoc... Efremowi Pangyuiowi nigdy nie było dość doświadczenia świata.

— Cóż, teraz mnie pan zaniepokoił — mówi Pitry.

— Nie ma to żadnego znaczenia — powtarza Nidayin.

- Nie wie pan - oznajmia Pitry.

- Właśnie, że *wiem* — mówi Nidayin. - Po prostu w tej chwili nie dysponuję odpowiednimi pomocami. Nie chciałbym nikogo wprowadzić w błąd.

— Co za bzdury - prycha Pitry.

Sigrud wzdycha łagodnie, co w jego przypadku oznacza wybuch rozdrażnienia.

Shara odchrząkuje.

- Uniwersytet ma sześć komór - mówi — ponieważ Kontynentanie postrzegali świat jako serce o sześciu komorach, z których każda stanowiła dom dla jednego z pierwotnych Bóstw. Przepływ energii pomiędzy nimi tworzył przepływ czasu, losu, wszystkich zdarzeń: był

krwią świata. Uniwersytet stanowi mikrokosmos tego związku. Przybycie tu oznaczało uczenie się wszystkiego o wszystkim. Przynajmniej tak to miało wyglądać.

- Naprawdę? - pyta Pitry.

— Tak — odpowiada Shara. — Ale to nie jest ten sam uniwersytet. Tamten został zniszczony podczas Wojny.

- Ma pani na myśli: podczas Mgnienia - poprawia Nidayin. - Zniknął, tak jak większość Bułykowa. Zgadza się?

Shara ignoruje go.

- Uniwersytet został odbudowany na podstawie szkiców i sztuki powstałej przed Wojną. Władze Bułykowa bardzo nalegały, żeby odtworzyć go dokładnie takim, jakim był: zburzono sporą część pozostałej po Wojnie starożytnej architektury, żeby uniwersytet można było odbudować z prawdziwie starożytnego kamienia. Oficjele chcieli, żeby był autentyczny — albo chociaż „tak autentyczny, jak to tylko możliwe, przy wszelkich nowoczesnych udogodnieniach” - opowiada, delikatnie dotykając lampy gazowej.

- Skąd pani to wszystko wie? - pyta Pitry.

Shara poprawia okulary.

- Czego się teraz tu uczy?

- Hmm, obecnie głównie ekonomii - odpowiada Nidayin. - Handlu. Również podstawowego przyuczenia do zawodu. Głównie dlatego, że polis poczyniło wiele starań, by stać się istotnym ośrodkiem handlu. To inicjatywa ruchu na rzecz Nowego Bułykowa, który spotyka się ostatnio z gwałtownymi reakcjami. Część ludzi uważa go za modernizację. Nie mylą się. Co jakiś czas na terenie kampusu dochodzi do sporadycznych protestów. Albo chodzi o Nowy Bułyków, albo, cóż...

- Albo o doktora Panguia - dokańcza Shara.

- Tak.

- Przypuszczam - mówi Pitry, przyglądając się z roztargnieniem drzwiom - że nie wolno tu uczyć historii.

- Nie bardzo, nie — potwierdza Nidayin. — RM szczegółowo określają to, czego można uczyć. Regulacje właściwie paraliżują wszystko, co się tu robi. Jest problem z naukami ścisłymi i podstawami fizyki, jako że przez długi czas nic tutaj *nie działało* zgodnie z nimi. Zresztą, w niektórych miejscach do tej pory dalej tak jest.

Oczywiście, myśli Shara. Jak uczyć ludzi przedmiotów ścisłych, gdy lokalne wschody słońca przeczą każdego ranka ich prawom?

Sigrud zatrzymuje się. Dwukrotnie pociąga nosem, po czym spogląda na drzwi po prawej. Jak prawie wszędzie na uniwersytecie, te także wykonano z grubego drewna. Pośrodku mają okno z mocnego szkła. Poza tym, niczym się nie wyróżniają.

- Czy to gabinet doktora Panguia? — pyta Shara.

- Tak - odpowiada Nidayin. - Skąd on...?

- Czy był tam ktoś poza policją?

- Nie wydaje mi się.

Mimo to Shara wykrzywia twarz w grymasie. Policja na-miesza wystarczająco.

- Nidayin, Pitry - chciałabym, żebyście panowie sprawdzili wszystkie biura i pokoje tej komory. Musimy wiedzieć, kto jeszcze z kadry uniwersyteckiej mógł być w pobliżu, jak również poznać naturę ich relacji z doktorem Panguiem.

- Jest pani pewna, że powinniśmy wszczynać takie śledztwo? — pyta

Nidayin.

Shara obdarza go spojrzeniem, które nie jest do końca chłodne: być może jest chłodniejszą wersją letniego.

- Nie chciałbym sprzeciwiać się poleceniom, ale... jest pani tylko tymczasowym ND - oznajmia.
- Tak - odpowiada Shara. - Jestem. - Wyjmuje mały, różowy świstek telegramu i podaje go Nidayinowi. - I jak pan widzi, wypełniam polecenia gubernator polis.

Nidayin otwiera telegram.

AMB-K THIVANI WSTĘP ZBADA POLIS WYMAG POMOC POLIS
STOP GHS512

- Och - wyrzuca z siebie Nidayin.
- Uściślając, to śledztwo wstępne - oznajmia Shara. - Ale powiedziano mi, że mam korzystać z dowodów, póki są jeszcze świeże. Czy ma pan jakieś obiekcje?
- Nie - odpowiada Nidayin. - Nie, żadnych.

Razem z Pitrym zaczyna obchód, sprawdzając sąsiadujące pomieszczenia. Dwadzieścia kroków dalej znów zaczynają się gryźć.
To powinno ich zająć na jakiś czas.

Shara wsuwa telegram do kieszeni płaszcza. Zdaje sobie sprawę, że prawdopodobnie jeszcze nie raz będzie musiała go wyciągać.

Oczywiście, Gubernator Polis Mulaghesh wcale nie wysłała takiego telegramu, niemniej, niezależnie od zamiarów, przydaje się mieć znajomych w Departamencie Komunikacji.

- A teraz - oznajmia Shara - zobaczmy, co nam zostało.

Podarte papiery, którymi zavalony jest gabinet doktora Efrema Panguia sięgają im po kolana, a samo biurko przypomina barkę, zagubioną wśród pożółkłych fal. Shara włącza lampy gazowe i szacuje zniszczenia: na zawieszonych na ścianach tablicach korkowych dostrzega niezliczone pinezki, wciąż przyszpilające skrawki papieru.

- To policja musiała je wszystkie podrzeć - ironizuje cicho. - Na pewno.

Gabinet jest mały i obskurny, w żaden sposób nie przystaje do człowieka o statusie doktora Panguia. W pomieszczeniu znajduje się jedno okno, ale jego szyba jest ze szkła tak ciemnego, że równie dobrze mogłyby zastępować ją cegły.

- Myślę, że trzeba to wszystko zapakować i zabrać z powrotem do ambasady. — Przerywa na chwilę. — Powiedz, ile osób nas śledziło?

Sigrud podnosi dwa palce.

- Zawodowcy?

- Wątpię.

- Czy dostrzegł ich Nidayin albo Pitry?

A jak ci się wydaje?, odpowiada jej spojrzeniem Sigrud.

Shara uśmiecha się.

- Mówiłam. Gdy wetkniesz kij w mrowisko... Ale wracając do sprawy bieżącej - co myślisz?

Sigrud pociąga nosem. Pociera go.

- Cóż... Zdecydowanie ktoś czegoś tu szukał. Ale wydaje mi się, że tego nie znalazł. - Shara kiwa głową, zadowolona z potwierdzenia jej

własnych wniosków. Spojrzenie pojedynczego, szarego oka Sigruda skacze po stertach papieru.

— Jeśli szukaliby jednej rzeczy i ją znaleźli, to na tym by skończyli. Nie wygląda, jakby skończyli.

- Dobrze. Też tak uważam.

Co sprowadza nas do pytania - czego ten ktoś szukał? Wiadomości z krawata profesora Pangyuia? Shara nie jest jeszcze tego pewna, ale coraz bardziej utwierdza się w przekonaniu, że Pangyui nie został zamordowany jedynie z powodu popełnienia w Bułykowie herezji.

Nic nie zakładaj, upomina się Shara. *Nie wiesz, dopóki się nie dowiesz.*

- No dobra — mówi Shara. - Gdzie?

Sigrud ponownie pociąga nosem, przedziera się przez papiery do biurka i przesuwa stopą pozostałe sterty, robiąc miejsce po przeciwnej stronie od stanowiska pracy profesora. Duża, ciemna plama wciąż barwi kamienną posadzkę. Shara musi podejść bardzo blisko, zanim wyczuwa miedziany zapach zaschniętej krwi.

- Więc nie siedział przy biurku - oznajmia Shara.

- Nie wydaje mi się.

Chciałaby wiedzieć, gdzie leżał, gdy go znaleziono, co leżało obok, co miał ze sobą... Oczywiście informacje te znajdowały się w policyjnym raporcie, ale już nie było w nim ani słowa o podartym stroju Pangyuia - więc ciężko uznać całość za wiarygodne źródło. Shara dochodzi do wniosku, że będzie musiała pracować z tym, co ma.

- Znajdź mi proszę jakąś torbę na te papiery - mówi łagodnie.

Sigrud kiwa głową i z godnością oddala się korytarzem.

Shara bada pomieszczenie. Ostrożnie podchodzi do przodu, pochyla się i podnosi strzępek papieru.

...choć twierdzi się, że historia Kaja, jako Sajpura o wyjątkowych prawach, nie podważa jego czynów. Owszem, jego ojciec kolaborował z Kontynentem, i nic nie wiemy o jego matce. Wiemy za to, że Kaj był uczonym i kimś na kształt naukowca, przeprowadzał w domu eksperymenty, i chociaż w masakrze nie stracił nikogo bliskiego, to...

Shara podnosi inną notkę.

...można zastanawiać się, do czego na pierwotnym uniwersytecie służyła komora Olwos, jako że ta podobno nie pochwalala działań Kontynentu, jak również czynów pozostałych Bóstw. Uważana za Bóstwo nadziei, światła i odporności, Olwos wycofała się ze świata w roku 775, z początkiem Złotego Wieku Kontynentu, co uznano za wielką tragedię. Dyskutowano zawzięcie, dlaczego dokładnie właściwie tak uczyniła. Pojawiły się teksty sugerujące, że Olwos przewidziała w wyborach pozostałych Bóstw wyłącznie żal, niemniej wiele z tych tekstów prędko zostało zniszczonych, prawdopodobnie przez pozostałe Bóstwa...

I jeszcze inną:

...wedle wszelkich źródeł, Kaj nie spędził na Kontynencie zbyt wiele czasu. Umarł z powodu infekcji w roku 1646 r. Spał, jadł i mieszkał sam, a odzywał się wyłącznie w celu wydawania poleceń Jego porucznik Sagresha, tak opisuje go w listach: „Zupełnie, jakby ojczyzna tych, których podbił, i długie rządy nad swymi ludźmi rozczarowały go tak bardzo, że trwale go to skrzywdziło. Chociaż nigdy tak nie powiedział, prawie słyszałam jego myśli: „Czy kraina bogów nie powinna być dlań przystosowana?” Chociaż Kaj oczywiście nie mógł wiedzieć, że to on był prawie całkowicie wyłącznie odpowiedzialny za dewastację Kontynentu—w końcu to przecież on, zabijając Bóstwo Taalhawas, doprowadził do

Mgnienia.

Shara rozpoznaje w tych strzępach stare, publikowane artykuły Efrema. Musiał sprowadzić tu swe stare publikacje, które policja następnie podarła podczas „przeszukania”. *Być może cieszyło ich niszczenie tak wielu uznanych sajpurskich pism. Jeśli to oczywiście robota policji.*

Dostrzega zwalisty kształt w kącie pomieszczenia. Jest to solidny, robiący wrażenie sejf; co więcej, jego drzwi są uchylone. Shara przygląda się potwornie skomplikowanemu zamkowi: nie radzi sobie dobrze z wytrychem, i chociaż poznała kilku lepszych od siebie fachowców, to myśli, że zbledliby na jego widok. Nie widać śladów uszkodzeń ani na zamku, ani na drzwiach, ani na reszcie sejfu; nie ma też śladu po tym, co mogło się w nim znajdować.

Gdy Shara siada, by zebrać myśli, zauważa wystający ze sterty róg mocno wyróżniającego się papieru: nie jest to strona publikacji akademickiej, ale oficjalne pismo, opatrzone w górnym lewym rogu godłem Ministerstwa Spraw Zagranicznych, a w górnym prawym - godłem biura gubernator polis.

Wyciąga kartkę ze stosu - jest to wypełniony przez Efrema formularz. Ciężko stwierdzić, czego dokładnie dotyczy, jako że sam wniosek zredukowany jest do kodu: ACCWHS14-347.

Efrem podpisał się na dole, ale potrzeba tu też innego podpisu - pod pustym miejscem widnieją słowa: TURVIN MULAGHESH, GUBERNATOR POLIS BUŁYKOWA.

- Znalazłaś coś? - pyta Sigrud od drzwi.
- Nie jestem pewna.

Gdy pakują materiał dowodowy, Shara odkrywa, że nie był to jedyny dokument od gubernator polis, który znalazł się w posiadaniu Efrema: pośród strzępów papieru znajduje się spora ilość przepustek,

prawdopodobnie wręczonych mu przez strażnika, gdy dostał zezwolenie na wejście... do jakiegoś miejsca.

Shara liczy je po zakończeniu poszukiwań: dziewiętnaście. Zdaje sobie sprawę, że Efreem pewnie nie zatrzymał ich celowo, bo wszystkie straciły ważność po odbyciu wizyty. Po prostu opróżnił kieszenie po powrocie do gabinetu.

Shara ponownie spogląda z powrotem na sejf w kącie pomieszczenia. *Być może Efreem przyniósł tu coś więcej, niż tylko same przepustki.*

Nidayin i Pitry wpadają do pomieszczenia; obaj wyglądają na rozdrażnionych. Nidayin trzyma w dłoni podłużny, poplamiony kawałek papieru.

- Cóż... - mówi. - Skończyliśmy. Mamy w sumie sześćdziesiąt trzy nazwiska przypisane do konkretnych departamentów, prawo urzędowania, powiązania z profesorem i...

- Dobra robota - mówi Shara. - Sigrudzie, dodaj to proszę do naszej kolekcji. Myślę, że mamy wszystko, po co tu przyszliśmy. Wrócimy teraz do ambasady. A potem, Pitry, prawdopodobnie będzie pan musiał ponownie zatankować. Myślę, że czeka nas krótka wycieczka poza Bułyków.

- Dokąd jedziemy? - pyta Pitry.

Shara dotyka wepchniętych do kieszeni przepustek.

- Szczerze mówiąc - oznajmia — nie jestem do końca pewna.

Gdy wychodzą z uniwersytetu i kierują się w stronę samochodu, Shara zwalnia kroku.

Sigrud idzie za nią. Gdy wypuszcza powietrze przez nos, słychać

delikatny cichy syk.

Shara spogląda w bok i w dół, na jego rękę.

Sigrud wykonuje nieznaczny gest palcem wskazującym i środkowym prawej ręki, nic ponad stuknięcie o udo. Shara spogląda w prawo.

Wyglądają na zwyczajnych ludzi, jakich wiele przesiaduje w kawiarniach, ale oczywiście to przecież oczywiste. Mężczyzna, owinięty grubym, szarym płaszczem, o tłustych włosach i dwudniowym zarostem, nieśpiesznie odpakuje cygaro; towarzyszy mu kobieta w wieku pięćdziesiąt-pięćdziesiąt pięć lat, o chudej, zgorzkniałej twarzy, o posiniałych, zniszczonych dłoniach i siwych włosach związanych w prosty ciasny kok. Kobieta nie podnosi wzroku znad zszywanego materiału, lecz Shara i tak dostrzega, że drżą jej ręce.

Nie. To nie zawodowcy.

- Wysadzimy cię na rogu - mówi Shara. - A potem idź za nimi.

Sigrud kiwa głową i wsiada do samochodu.

Wydostanie się z Bułykowa drogą obejmuje szeregu zezwoleń, przedostania się przez punkty kontroli, zatory, i korki na drodze, czerwono-białe, pasiaste bramy, pilnującą straż i jeszcze odhaczenie na wielu listach. Do tego wszyscy pracownicy - w czarnych bądź purpurowych strojach z dziesiątkami mosiężnych guzików — są Kontynentanami. *Czyżbyśmy przejęli kontrolę nad tym miastem do tego stopnia, myśli Shara, że egzekwują ją sami jego mieszkańcy?* Jej dokumenty działają niczym magiczna ochrona, powodując szalone wymachiwanie rękami, a czasami nawet saluty Shara i Pitry przedzierają się przez sieć punktów kontroli w przeciągu pół godziny - co mieszkańcom Bułykowa udaje się osiągnąć jedynie w przypadku wstania bardzo wcześnie rano.

„Kwatery” gubernator polis to zawsze śliski temat na Kontynencie. Shara zdaje sobie sprawę, że oficjalnie stanowisko Sajpuru na temat kwater gubernatorów - czy to polis, czy regionalnych — zakłada ich tymczasowość: to w praktyce należna jej część. Jako sajpurska urzędniczka, Shara zna te słowa na pamięć. Oficjalne stanowisko zakłada, że kwatery gubernatorów pełnią rolę stacji monitorujących, ustanowionych przez Sajpurów wyłącznie dla utrzymania pokoju - i pozostaną na miejscu do czasu, aż stanie się on trwały. Każdy na Kontynencie codziennie zadaje jednak pytanie: kiedy dokładnie to nastąpi?

Sądząc po wysokich na sześć metrów betonowych murach, utrzymywanej w gotowości artylerii, żelaznych bramach oraz niosących się echem żołnierskich okrzykach ponad murami (umiejscowionych mniej niż dwie mile od murów Bułykowa), kwatery gubernator polis Mulaghesh sugerują, że trochę to jeszcze potrwa. Gmach jest imponujący, majestatyczny, w większości opustoszały i wygląda na zdecydowanie trwały. Po wejściu do środka widać, że za biurkiem pani gubernator znajdują się wysokie od podłogi do sufitu okna, przez które Shara dostrzega zielone, pofałdowane, okolone betonowym murem pagórki. Widzi również żołnierzy, przeprowadzających musztrę na placu defilad, dziesiątki miękkich, błękitnych chust poruszających się w górę i w dół, podczas gdy dowódca wy-szczekuje rozkazy.

- Gubernator Mulaghesh zaraz do pani dołączy — mówi asystent, młody człowiek o twarzy jakby wyrzeźbionej dłutem, a także nieco zagłodzonym i wynędzniałym obliczu. - Właśnie promenaduje.

- Przepraszam, co robi?

Asystent uśmiecha się w sposób, który ewidentnie uważa za elegancki.

- Poszła poćwiczyć.

- Ach, rozumiem. W takim razie poczekam.

Asystent ponownie się uśmiecha, jakby chciał powiedzieć: „To urocze, że uważała pani, że ma wybór.”

Shara rozgląda się po biurze, które ma duszę i ornamentacje jak topór: wszystkie powierzchnie są zupełnie szare i puste, zaprojektowane dla funkcjonalności, które to zadanie niewątpliwie spełniają.

Otwierają się małe drzwi z boku pomieszczenia. Do środka wchodzi niskawa kobieta w wieku około czterdziestu pięciu lat. Ma na sobie szary podkoszulek o standardowym, prostym kroju, jasnoniebieskie bryczesy i ciężkie buty. Jest złana potem, który spływa kroplami po jej wyjątkowo dużych i wyjątkowo brązowych ramionach. Kobieta zatrzymuje się i przygląda się Sharze chłodno, po czym równie chłodno uśmiecha się i podchodzi do biurka. Chwyta za jego róg, łapie się prawą ręką za kostkę prawej, uniesionej nogi i rozciąga mięsień czworogłowy.

- No cóż, cześć - mówi.

Shara uśmiecha się i wstaje. Turyin Mulaghesh jest zupełnie taka, jak jej biuro - chłodna, skąpej budowy i bezwzględnie wydajna. Jest stworzona do walki i dyscypliny - i nie toleruje innego podejścia do życia. To jedna z najbardziej umięśnionych kobiet, jakie Shara kiedykolwiek widziała; obnosi się z muskularnym bicipsem oraz masywną szyją i ramionami. Shara słyszała o wyczynach Mulaghesh podczas drobnych, niewielkich powstań, będących następstwem Lata Czarnych Strumieni. Gdy przygląda się ogromnej bliźnie, biegnącej wzdłuż lewej inii szczęki Mulaghesh - nie wspominając nawet o jej zdartych knykciach - łapie się na tym, że bez problemu jest w stanie we wszystko to uwierzyć. Dość powiedzieć, że Mulaghesh to nietypowa osoba, jak na tak ważne, biurokratyczne stanowisko.

- Dzień dobry, pani gubernator Mulaghesh — mówi Shara. -Jestem...

- Wiem, kim pani jest - odpowiada Mulaghesh. Kończy się rozciągać,

otwiera szufladę i wyciąga cygaretkę.

- Jest pani tą nową... Jak to się nazywa... Naczelną Dyplomatką.
- Tak. Ashara Thivani, była Ambasador...
- Tak, tak. Ambasador Kulturalna. Przybyła pani zeszłej nocy, tak?
- Zgadza się.

Mulaghesh opada na krzesło i kładzie stopy na biurku.

- A wydaje się, jakby i Troonyi'ego przysłali tu ledwie dwa tygodnie temu. Dziwię się, że sama wciąż mam robotę. Myślałam, że w trakcie mojego urzędowania gość spali do cna całe miasto. Taki z niego kurwa osioł. - Mulaghesh spogląda stalowoszarymi oczami na Sharę. - Ale może jednak tylko wywołał pożar. W końcu Pangyui zginął na jego warcie. - Wskazuje na Sharę filtrem cygaretki. - To dlatego pani tu jest, prawda?
- To jeden z powodów, tak.
- Innym będzie zapewne - kontynuuje Mulaghesh, zapalając cygaretkę - oszacowanie przez Ministerstwo czy moje działania... lub ich brak... mogły przyczynić się do śmierci emisariusza kultury. Ponieważ w pewien sposób zdarzyło się to również na *mojej* warcie. Zgadza się?
- Nie jest to moim priorytetem — oznajmia Shara.
- Brawo - mówi Mulaghesh. - Ewidentnie ma pani całą tę dyplomatyczną otoczkę w małym palcu.
- Ale taka jest prawda — z naciskiem mówi Shara.
- Wydaje mi się, że to jest *pani* wersja prawdy. Ale niekoniecznie wersja Ministerstwa. - Mulaghesh wzdycha i otula głowę wieńcem dymu. - Proszę posłuchać, cieszę się, że pani tu jest, ponieważ jeśli

przekaze im pani to, co *sama* powtarzam od roku, to moze wtedy wreszcie posluchaja. Kiedy po raz pierwszy uslyszalam te bzdury o ekspedycji kulturalnej, wiedzialam, po prostu *wiedzialam*, ze to sie dobrze nie skonczy. Bułków jest jak słoń. Ma dobrą pamięć. Ahanasztan, Taalwasztan... Tamte rejony jakoś potrafiły się zebrać. Przechodzą modernizację. Sprawiają sobie tory kolejowe, lekarzy... Cholera, pozwalają nawet głosować kobietom. - Prycha, odchrząkuje i spluwa do kosza na śmieci, stojącego na jej biurku. — Tutaj - wskazuje okna, wychodzące na mury Bułkowa — ciągle uważa się, że trwa Złoty Wiek. Albo że *powinien* trwać. Raz na jakiś czas zapomina się o tym i wtedy jest spokój, ale niedługo później ktoś znów wkłada kij w mrowisko i mam na głowie kolejny kryzys. Kryzys, którego *sama* nie mogę zażegnać, ponieważ oficjalne stanowisko to „łapy precz”. Jak zawsze brzmi to kurewsko mocarnie w Ghaladeshu, za cholernym oceanem, ale gdy ma się te mury w odległości dnia marszu, wtedy to tylko słowa.

Shara decyduje się jej przerwać.

- Pani gubernator, zanim przejdziemy dalej...

- Tak?

- Kto *pani zdaniem* zabił doktora Panguia?

Mulaghesh wygląda na lekko zaskoczoną.

- Moim? Cholera. Nie mam pojęcia. To mógł być ktokolwiek. Całe miasto życzyło mu śmierci. Poza tym nie otrzymałam pozwolenia na wszczęcie śledztwa.

- Ale na pewno ma pani jakieś typy.

- Pewnie, że mam. — Przygląda się Sharze przez dłuższą chwilę. - Czemu to panią interesuje? Dyplomatę. Przecież przyjechała tu pani poimprezować, prawda?

Shara sięga do szaty i wyciąga odznakę Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Mulaghesh nachyla się do przodu i, trzeba jej to przyznać, ogląda ją bez widocznej reakcji.

Po dłuższej chwili czyta na głos nazwisko.

- Komayd.
- Tak - odpowiada Shara.
- Rozumiem, że nie Thivani.
- Nie - mówi Shara.
- Komayd. Jak *Vinya* Komayd?

Shara wpatruje się w nią bez mrugnięcia.

Mulaghesh rozsiada się wygodniej. Patrzy przez jakiś czas na Sharę.

- Ile pani ma lat? — pyta w końcu.
- Trzydzieści pięć.
- Więc... to, co wydarzyło się szesnaście lat temu. Partia Nacjonalistyczna. Czy to...?

Shara musi bardzo się starać, by nie pokazać po sobie emocji.

Mulaghesh kiwa głową. Sharze wydaje się, że dostrzega szelmowski błysk w jej oku.

- Hmm. Dlaczego nie powiedziała pani tak od razu?
- Obawiam się, że zaczęła pani mówić, zanim miałam szansę się odezwać.

- Chyba tak — odpowiada Mulaghesh. - Po bieganiu zawsze się rozgaduję. - Wkłada cygaretkę z powrotem do ust. - A więc przybyła tu pani, by zbadać sprawę morderstwa profesora.

- Przybyłam tu - odpowiada Shara, odbierając odznakę -by sprawdzić, czy cokolwiek w Bułykowie stwarza zagrożenie dla Sajpuru.

- W Bułykowie? Szlag. Przez ostatnich piętnaście lat to miasto ledwie wygrzebało się z nędzy. Gdy tu pierwszy raz przyjechałam, pewnie nie wyglądało inaczej niż wtedy, gdy zajął je Kaj. Ludzie srali do wiader. Ciężko to uznać za zagrożenie,

- Myślano tak samo przed Latem Czarnych Strumieni, gdy wprowadziliśmy Regulacje i w Bułykowie wybuchło powstanie. Miasto było potem w jeszcze gorszej kondycji. Wygląda na to, że namiętność Bułykowa znacznie przewyższa jego ograniczenia.

- Poezja - mówi Mulaghesh. Gładzi się kciukiem po bliźnie na szczęce. - Ale pewnie to prawda. - Wygina się na krześle w sposób, jaki wydawał się Sharze niemożliwy i zamyśla się.

Shara zdaje sobie sprawę, że gubernator zastanawia się, czy powinna wyciągnąć pomocną dłoń do tej nowej, tajemniczej urzędniczki: dobre uczynki i życzliwe gesty bardzo często kończyły się kłopotami w Ministerstwie - gdy ktoś tracił grunt pod nogami, karę ponosili wszyscy, którzy tego kogoś wspierali.

- Potrzebuję pani pomocy, pani gubernator - mówi Shara. - Nie mogę polegać na ambasadzie.

Mulaghesh odchrząka.

- A kto może?

- Słusznie. I jestem skłonna zrobić co trzeba, by zdobyć pani poparcie.

- Naprawdę?
- Tak. Chciałabym przejść do dalszych działań tak szybko, jak to tylko możliwe. A do tego potrzebuję pani pomocy.

Mulaghesh przeżuwa koniec cygara.

- Nie wiem, czy jest pani w stanie dać mi to, czego chcę.
- Może się pani zdziwić.
- Mogę. Nie mam problemu ze służbą, pani ambasador. A to właśnie robimy dla społeczeństwa: służymy. Ale ja siedzę w tym już wystarczająco długo. Chcę przenieść się w miejsce znacznie lepsze od tej zacofanej ruiny.

Sharze wydaje się, że dobrze wie, dokąd zmierza pani gubernator.

- Ahanasztan?

Mulaghesh wybucha śmiechem.

- Ahanasztan? Myśli pani, że pragnę więcej odpowiedzialności? Na wszystkie morza, nie. Chcę stacjonować na Javracie.
- Na Javracie? - pyta zaskoczona Shara.
- Tak. Daleko na Morzach Południowych. Chcę pojechać gdzieś, gdzie są palmy. Słońce. Plaże. Dobre wino i mężczyźni, których skóra nie przypomina bydlęcego tłuszczu. Pani ambasador, chcę udać się daleko od Kontynentu. Nie chcę już mieć z nim nic wspólnego.

Shara jest nieco zaskoczona. W polis Ahanasztanu znajduje się jedyny na całym Kontynencie funkcjonujący port, a jako że od czasu Wojny handel morski zyskał na znaczeniu, Ahanasztan jest jednym z kilku polis na całym Kontynencie o jakimkolwiek poziomie zamożności. Co więcej, ponieważ niemal całą siłę militarną Sajpuru stanowi flota, Ahanasztan jest również miastem najbliższym związanym z Sajpurem, co

czyni z gubernatora tego polis jedną z najważniejszych osób na świecie. Zapewne każdy sajpurski urzędnik na Kontynencie chciałby dostać tę robotę... ale chęć przeniesienia się na malutką wysepkę Javratu oznacza, że Mulaghesh zasadniczo pragnie zupełnie wycofać się z polityki. Shara nigdy jeszcze nie spotkała Sajpura, którego ambicje kończyły się wcześniej niż dopiero wraz ze śmiercią.

- Czy uważa pani, że to możliwe? - pyta Mulaghesh.

-To... możliwe, z pewnością - odpowiada Shara. - Niemniej spodziewam się, że Ministerstwo będzie nieco zdezorientowane.

- Nie chcę awansu - podkreśla Mulaghesh. - Ile życia mi zostało, dwie dekady? Mniej? Pani ambasador, chcę zabrać stare kości w jakieś ciepłe miejsce. Wszystkie te rozgrywki... Zdążyły mi obrzydnąć.

- Zapewniam panią, że zrobię co w mojej mocy, by to umożliwić.

Mulaghesh obdarza ją uśmiechem, jakiego nie powstydziliby się rekin.

- Doskonale. W takim razie zaczynamy.

- Powiem pani, że ten ruch na rzecz Nowego Bułykowa przewrócił wielkie wiadro z gównem - mówi Mulaghesh. - Napełniało się już od jakiegoś czasu. Ludzie dostrzegają, że można zarobić na modernizacji - innymi słowy na współpracy z Sajpurem - i tak właśnie czynią. Bogaci Bułykowa w ogóle nie chcą współpracować, na dodatek robią wokół tego wystarczająco wiele szumu, by słuchali ich biedni.

- Co to ma wspólnego z doktorem Panguiem?

- Cóż, najważniejszym argumentem ruchu przeciwko Nowemu Bułykowowi jest „zejście z utartej drogi”. - Na to stwierdzenie Mulaghesh przewraca oczami, uśmiecha się szyderczo i pogardliwie macha ręką. — Nigdy tak nie było, więc nie powinno tak być.

Najwięksi ekstremiści nazywają się, dość śmiało, Odnowicielami. Samozwańczy strażnicy narodowej i kulturalnej tożsamości Bułykowa... Wie pani, o jakich głębach mówię. Tak więc gdy pojawił się Pangyui i zaczął przeprowadzać wivisekcję historii i kultury Kontynentu, cóż, stał się ich głównym celem.

- Aha.

- No właśnie. Odnowiciele przegrywali debatę, ponieważ, cholera, nikt nie będzie głosował przeciwko dobrobytowi. A gdy przegrywa się debatę, zmienia się temat.

- Innymi słowy, Pangyui był dobry jako rozproszenie uwagi.

- Właśnie. Wzięli na cel brudnego Sajpura, co to pojawił się tu z błogosławieństwem zagranicznej potęgi, z którą mieli pójść do łóżka. Krzyczeli, wyli, psioczyli i narzekali na to straszliwi świętokradztwo. Wątpię, żeby chodziło konkretnie o doktora

Pangyui i jego „misję zrozumienia kulturowego”. Cóż, może niektórym i owszem, ale inni po prostu użyli go jako argumentu politycznego. Teraz wyparli się jakichkolwiek związków z morderstwem, a ich oficjalne stanowisko brzmi, że była to po prostu uczciwa debata polityczna. Wie pani, zwykła, obrzydliwa, oszczercza debata w starym stylu. Nic nadzwyczajnego.

Shara niczemu się nie dziwi. Zgłębianie polityki może przybierać różne postacie w różnych krajach, niemniej pod całą tą pompą i wystawnością i tak kryje się to samo szkaradztwo.

- Ale czy ma to jakiś związek z morderstwem doktora Pangyui?

- Może tak. Może nie. Czy mogło to skłonić jakiegoś czubka do zatłuczenia profesora na śmierć? Mogło. Czy znaczy to, że odpowiedzialne są partie polityczne Bułykowa? Może. Czy możemy cokolwiek z tym zrobić? Pewnie nie.

- A co, jeśli siły Bułykowa współdziałały? - pyta Shara.

Mulaghesh przestaje żuć cygaretkę.

- Co konkretnie ma pani na myśli?
- Obejrzelśmy kwatery profesora. Zostały przetrząśnięte. Podejrzewam, że nie wydarzyłoby się to bez wiedzy kogoś z bułykowskiej policji. Wiele materiałów zostało podartych, zniszczonych. Ktoś czegoś szukał.
- Czego?
- Nie wiem.
- Dlaczego w takim razie przychodzi pani z tym do mnie?
- Cóż... To zależy, czego dokładnie ten ktoś szukał. - Shara sięga do płaszcza i wyciąga przepustki, które kładzie na biurku Mulaghesh i przesuwa w jej stronę.

Mulaghesh opada szczęką. Pani gubernator wyciąga cygaretkę i zamiera, chwilę siedzi z nią w ręku, po czym odkłada na stół.

- O, cholera.
- Co to jest, pani gubernator? - pyta Shara.

Mulaghesh chrząka z frustracji.

- Czym one są??
- To przepustki dla gości - odpowiada niechętnie Mulaghesh. - Przypina się je do koszuli, dzięki czemu widać, że ma się dostęp. Tracą ważność co tydzień, ponieważ, cóż, dostęp jest ograniczony. Najwyraźniej musiał zabrać te przeterminowane do domu, chociaż dostał wyraźne instrukcje, żeby je zniszczyć. Tak to się właśnie kończy, gdy powierza się tego rodzaju robotę cywilom.

- Dostęp... do czego?

Mulaghesh gasi cygaretkę na stole.

- Myślałam, że pani będzie wiedzieć. Znaczy, każdy jakby wie o Magazynach.

Shara otwiera usta, gdy to słyszy.

- Magazyny? Jak... Zakazane Magazyny?

Mulaghesh niechętnie kiwa głową.

- One istnieją?

Wzdycha ponownie.

- Tak. Tak, istnieją. - Drapie się po głowie. - O, cholera -powtarza.

- Pokazano mi je w pierwszym tygodniu. Po tym, jak zostałam gubernatorem - mówi Mulaghesh. - Wiele lat temu. Wywieźli mnie na wieś. Nie powiedzieli, dokąd jedziemy. I w pewnym momencie dojechaliśmy do bunkrów. Były ich dziesiątki. Zapytałam, co w nich jest. Odpowiedziało mi wzruszenie ramion. „Nic szczególnego. Nic wyjątkowego.”. Zboże, opony, przewody, tego rodzaju rzeczy. Poza jednym bunkrem. Jeden był inny, chociaż wyglądał tak samo jak pozostałe. Taki kamuflaż. Ukrycie na widoku. My, Sajpurzy, to mądry lud. Nie otwarto jednak drzwi. „Są tu. Istnieją”, usłyszałam po prostu. „I najbezpieczniej będzie nikomu o nich nie wspominać, ani nawet o nich nie myśleć.”. Co też zrobiłam. Oczywiście, do czasu przybycia profesora.

Shara wpatruje się w nią.

- I... tam właśnie jeździł doktor Pangyui?

- Przybył tu, żeby uczyć się historii - mówi Mulaghesh i wzrusza ramionami. - Gdzie jest więcej historii niż w Zakazanych Magazynach? Cóż... Dlatego to takie niebezpieczne.

Shara siedzi w pełnej osłupienia ciszy. Zakazane Magazyny zawsze były w Ministerstwie pewnego rodzaju miejską legendą. Jedyna sugestia na temat ich istnienia znajduje się w malutkiej podsekcji Regulacji Międzynarodowych:

Wszelkie przedmioty, dzieła sztuki, artefakty oraz urządzenia cenione przez ludy Kontynentu nie mogą zostać wywiezione poza terytorium Kontynentu, lecz w przypadku bezpośredniego pogwałcenia Regulacji przez istotę tych przedmiotów, dzieł sztuki, artefaktów oraz urządzeń, zostaną one zabezpieczone, a dostęp do nich ograniczony.

Zgodnie z wiedzą Shary oraz jakiegokolwiek studenta historii sprzed Wielkiej Wojny, Kontynent praktycznie opływał w takie przedmioty. Przed inwazją Kaja, codzienne życie ludzi na Kontynencie było napędzane, podtrzymywane i wspomagane niezliczoną ilością cudownych przedmiotów: imbryków, które nigdy nie stawały się puste, zamków, które odpowiadały jedynie na odrobinę krwi konkretnej osoby, koców, które zapewniały ciepło i ochronę niezależnie od pogody... Dziesiątki z nich opisano w tekstach uzyskanych przez Sajpur po Wielkiej Wojnie. Niektóre z owych cudownych przedmiotów nie były jednak tak łagodne.

Co sprowadzało się do pytania: gdzie znajdują się te przedmioty obecnie? Jeśli Bóstwa stworzyły tak wiele z nich, i jeśli RM nie pozwalały Sajpurowi (co wielu uznało za niezwykłą i niemądrą decyzję dyplomatyczną) wywieźć ich z Kontynentu czy zniszczyć, to gdzie w takim razie mogły się znajdować?

Niektórzy zatem uważali, że wciąż znajdują się tutaj. Ukryte gdzieś na Kontynencie. Przechowywane bezpiecznie w magazynach tak tajemnych, że nikt o nich nie mówi.

Ale to przecież musiało być niemożliwe. Jak można ukryć tak ogromne magazyny, o tak wielkim znaczeniu przed ludźmi w Ministerstwie, gdzie praca wszystkich tak bardzo się przeplata? Shara w całej swej karierze nie widziała niczego, co wskazałoby na ich istnienie. A widziała całkiem sporo.

- Jak to...? Jak to możliwe? - pyta. - Jak można ukryć coś tak wielkiego?

- Wydaje mi się - odpowiada Mulaghesh - że to z powodu wieku. Ludziom się wydaje, że istnieje wiele magazynów, ale tak naprawdę jest tylko jeden. Poprzedza wszystkie używane obecnie sieci wywiadowcze. Cholera, jest pewnie starszy od Rządów Kontynentalnych, zanim jeszcze zaczęliśmy porozumiewać się na taką skalę z Kontynentem. Ministerstwo daje znać, jeśli to potrzebne. Pani widocznie nie musiała wiedzieć.

- Ale tu? W Bułykowie?

- Nie w Bułykowie, nie. W pobliżu. Po śmierci Kaja jego porucznicy zebrali wszystkie cudowne przedmioty, jakie udało im się znaleźć i zamknęli je. Zamknęli tak wiele, że nikt nie był w stanie ich ruszyć, nie zdradzając jednocześnie wszystkim na Kontynencie, gdzie się znajdują. Tak więc musieli zatrzymać je tutaj i budować naokoło.

-Ile?

- Tysiące, jak mi się zdaje.

- Tak się pani zdaje?

- Cóż, z pewnością nigdy nie miałam potrzeby wejść do środka. Kto wie, co tam się znajduje? Wszystko jest skatalogowane, ułożone i pozamykane, to na pewno. Ale i tak... nigdy nie chciałam wiedzieć. Takie rzeczy powinny być martwe. Wolałam, żeby tak pozostało.

Ogromnym wysiłkiem woli Sharze udaje się powrócić do sprawy

bieżącej.

- A Panguyi nie?

- Przybył tu, żeby studiować przeszłość tak, jak jeszcze nikt przed nim - wyjaśnia Mulaghesh. - Obstawiam, że naprawdę przybył tu z powodu Magazynu. Siedzimy na szczycie składu historii; przypuszczam, że ktoś w Ministerstwie stracił cierpliwość. Chcieli otworzyć pudełko.

Te wieści sprawiają, że Shara czuje się trochę zdradzona. Efrem nigdy nic o czymś takim nie wspominał. Nic dziwnego, że tak prędko pojmował jej nauki. Już wtedy skrywał wiele tajemnic.

Trudno uwierzyć, że Vinya nic o tym nie wie. Czy naprawdę zamierzam w tym grzebać? Nie pierwszy raz przypadkowo natrafiła na jeden z projektów swej ciotki - i za każdym razem dla jej kariery najrozsądniejszym posunięciem okazywało się przymykanie oka.

Przypomina sobie Efrema leżącego na łóżku polowym w skarbcu ambasady, jego czaszkę przyodzianą w prostą maskę tej małej, delikatnej twarzy...

Sharze ściska się żołądek. Efrem... Czy ty zginąłeś przez ciocię Vinyę?

- Wie pani, które konkretnie artefakty studiował? - pyta Shara.

- Mówił, że chciał tylko przyjrzeć się księgom i kilku nieaktywnym przedmiotom.

Shara kiwa głową. Zna to określenie: „aktywne” przedmioty odnosiły się często do rzeczy codziennych — takich jak pudło, pióro, obraz - które posiadały pewne cudowne właściwości, czy to wyraźne, czy ukryte. Na przykład obrazy Świętego Varczeka były ewidentnie cudowne, ponieważ postacie na płótnie poruszały się, powłóczyły nogami albo plotkowały; ale już na przykład prześcieradła Bóstwa Dżukowa miały nieco mniej ewidentnie cudowne właściwości,

przynajmniej aż ktoś nie wszedł do łoża zaścielonego tymi prześcieradłami - wtedy spostrzegął, że jest nagi i znajduje się na oblanej blaskiem księżyca plaży kilka kilometrów dalej.

Niemniej gdy potęga Bóstw, dzięki której nakładano cuda na owe przedmioty, mijała — innymi słowy, gdy umierali bogowie — cudowne właściwości zwykle dość szybko zanikały. Takie przedmioty uznawano za „nieaktywne”: nie były już cudownej natury, ale z pewnością nie można im było ufać.

- Nie wiem, które oglądał — mówi Mulaghesh. - Niewiele wiem na ten temat i nie chcę wiedzieć. Wszystko ustalono jeszcze za czasów Kaja. I dopiero Pangyui jako pierwszy naprawdę wszedł do środka.

- Zdawał sobie sprawę z zagrożenia. Był o tym wszystkim niezwykle dobrze poinformowany. Myślę, że przeczytał i przestudiował wystarczająco dużo starych historii, by wiedzieć o artefaktach wszystko, jeszcze zanim przekroczył tamte drzwi. Był ostrożny. To, co zabrał, przechował i obserwował w bezpieczny sposób.

- Zabrał coś?

Mulaghesh wzrusza ramionami.

- Tak. Z jego opisów wynika, że większość rzeczy z Magazynu to zwykle śmieci. Piętrzą się też tam liczne stosy książek. Wedle tego, co mówił, to właśnie ich szukał. Ostrożnie wybrał kilka przedmiotów i studiował je poza... normami Magazynu. Które, jak mi się zdaje, są dość represyjne.

Sejf, myśli Shara.

- I myśli pani, że jego morderstwo miało cokolwiek wspólnego z Magazynem?

- Można by tak pomyśleć - mówi Mulaghesh. - Ale wątpię. Jak mówiłam, nikt nie wie zbyt wiele o Magazynie. Bunkry, których jest

częścią, są bardzo uważnie monitorowane. Nie było żadnych zająć. Jak dla mnie, istnieje dużo więcej publicznych powodów jego śmierci.

- Ale niebezpieczeństwo tak istotne jak Magazyn...
- Proszę posłuchać, nie mam za dużych możliwości w Bułykowie, ale mogę obserwować. Nikt nie kręcił się koło Magazynu. Tego jestem pewna. Pytała pani o radę. Moją radą jest przyjrzeć się Odnowicielom.

Shara rozważa to niechętnie.

- Przypuszczam - mówi - że nie dałoby się uzyskać dla mnie dostępu do Ma...
- Nie - odpowiada ostro Mulaghesh. - Nie dałoby się.
- Wiem, że nie mam zgody, ale gdyby coś takiego miało przejść niezau...
- Proszę nawet nie kończyć. Sugerowanie tego byłoby zdradą.

Shara wpatruje się w nią.

- W sprawach historycznych tego typu jestem prawie tak dobrze poinformowana jak Pangyui.
- Gratulacje - rzuca Mulaghesh. - Ale nie po to panią tu przysłano. Nie ma pani zezwolenia. Jedyńm sposobem, by utrzymać to w tajemnicy, to nie pokazywać tego innym ludziom. A to tyczy się również pani, pani ambasador Komayd.

Shara poprawia okulary. Bezcelnie zapamiętuje wszystkie te informacje, by później je przeanalizować.

- Rozumiem - mówi w końcu. — Wróćmy do Odnowicieli.

Mulaghesh kiwa z aprobatą głową.

- Właśnie.
- Ma pani wśród nich jakieś wtyki?
- Niestety nie - odpowiada Mulaghesh. - A przynajmniej nikogo wiarygodnego. Nie chcę w to brnąć, nie chcę żeby zaczęli obwieszczać, że się im przyglądam.
- Przypuszczam, że stronnicy Nowego Bułykowa mogliby nam pomóc.
- Do pewnego stopnia. Jeden z Ojców Miasta jest istotnym orędownikiem ich sprawy, co jest dość nietypowe. Ale prawdopodobnie nie chce zbyt mocno zacieśniać więzi z Sajpurami takimi jak my. Mogą go oskarżyć o zмовę. Istnieją jednak możliwości formalne. On co miesiąc urządza przyjęcie dla członków swojej partii, sprowadzając na nie także wielbicieli sztuki. Coś na kształt zbiórki funduszy — mamy rok wyborczy. Zwykle w ramach formalności zaprasza także mnie i naczelnego dyplomatę. Więc jeśli chciałaby pani z nim porozmawiać, to jest pewna szansa.
- Co jeszcze może mi pani o nim powiedzieć?
- Jest przy forsie. Rodzina o ustalonej reputacji. Wiele lat wcześniej zajęli się handlem cegłami, które cholernie przydają się przy odbudowie całego miasta. Siedzą też w polityce. Jakiś członek rodziny Votrowów zawsze był jednym z Ojców Miasta od, cholera, koło sześćdziesięciu lat?

Shara, która przez cały ten czas kiwała głową, teraz zastyga w bezruchu.

Jeszcze raz powraca do tego, co przed chwilą usłyszała. I jeszcze raz, i jeszcze...

Och, mam szczerą nadzieję, że nie powiedziała właśnie tego, co mi się wydaje...

- Przepraszam - mówi Shara. - Ale o jaką rodzinę chodzi?
- Votrowów. Czemu pani pyta?

Shara powoli odchyła się na krześle.

- A jego imię... Czy jego imię...
- Tak?
- Czy ma na imię Vohannes?

Mulaghesh unosi brew.

- Zna go pani?

Shara nie odpowiada.

Słowa powracają do niej z hukiem, jakby było to zaledwie wczoraj.

Gdy widziała go po raz ostatni, powiedział: Jeśli wrócisz ze mną do domu, uczynię z ciebie księżniczkę.

Myślę, moje drogie dziecko, że najbardziej pragniesz księcia. Ale w domu nie możesz sobie na to pozwolić, prawda? Zabiliby cię za coś takiego, odpowiedziała wtedy. Zadufany uśmiech na jego twarzy stopniał, niebieskie oczy stały się kruche niczym lód zanurzony w cieplej wodzie. Shara zrozumiała, że go zraniła, autentycznie i głęboko zraniła; odnalazła w nim miejsce, o którym nikt inny nie wiedział, i doszczętnie je spaliła.

Shara zamyka oczy i ścisną grzbiet nosa.

- Ojej.

Kolumny przebijają szare niebo raz za razem, dźgając je, tnąc. Te

krwawi lekkim deszczem, który sprawia, że kruszejące fasady budynków wyglądają, jakby lśniły od potu. Mimo że wojna, która oszpeciła miasto takimi ranami, dawno już się skończyła, ciało i krew budynków pozostaje połamane i odsłonięte. Odwodnione dzieci wdrapują się na ruiny świątyni, której zwalone mury tańczą mignięciami obozowych ognisk, a w otworach i pieczarach odbijają się echa krzyków. Nieszczęśnicy wykonują małpie gesty w stronę przechodniów i upraszają o monety, jedzenie, uśmiech, ciepłe miejsce do spania; lecz w ich rękawach błyszczą metal, małe ostrza ukryte w brudnych ubraniach, gotowe odpłacić szybką przemocą jakiegokolwiek gestowi dobroci. Nowa generacja Bułkowa.

Nieliczni, którzy widzą przechodzącego Sigruda, nic nie mówią: nie błagają, nie grożą. Obserwują go w milczeniu, aż przejdzie.

Tłum kobiet przed nim przechodzi przez ulicę, ramiona mają pochylone, pokorne, wzrok odwrócony, sylwetki zagrzebane pod warstwami ciemnej wełny. Szyje, ramiona i kostki są starannie zasłonięte. Warkot i pisk samochodów. Smród końskiego gówna. Rury sterczą z budynków kilka pięter wyżej, ścieki wypływają z nich na chodniki. Miasto zbyt stare i zbyt trwale osadzone, by mieć porządną kanalizację. Kolumnady zastawione posągami bez twarzy wpatrują się w niego: niewidome, niewzruszone. Przysadziste konstrukcje o grubych murach i powykrzywianych loggiach rozbrzmiewają muzyką i śmiechem; domy wpływowych, możnych, ukrytych. Na ich balkonach ludzie w grubych czarnych płaszczach ozdobionych orderami i insygniami, rzucają Sigrudowi groźne spojrzenia, zastanawiając się Co to tu robi? Jak można było pozwolić tu wejść temu górskiemu dzikusowi? Obok owych bulwiastych posesji znaleźć można fragment fasady zagadkowego budynku, połówkę ściany z pustymi oknami, do której przywierają drewniane schody. Poza nimi są tu jeszcze inne kręte rzeki schodów, niektóre zaokrąglone i wiekowe, niektóre ostre i świeże, niektóre szerokie, niektóre strasznie wąskie.

Podążając za śladami, Sigrud przechodzi po nich wszystkich. Kobieta i mężczyzna uciekają z uniwersytetu; nie jest to zbyt emocjonujący

pościg: zadni z nich profesjonaliści i są całkiem niewrażliwi na sztukę ulicy. Narzekają głośno, potem cicho, potem znów głośno. Choć Sigrud trzyma się na dystans, co nieco jednak słyszy.

Spodziewaliśmy się tego. Powiedzieli ci, że to się może wydarzyć - mówi mężczyzna. Kobieta odpowiada; najpierw cicho, potem głośniej, gdy zaczyna się wściekać:... ci ludzie zjawiają się w mojej robocie! Gdzie spędzam czas i jem śniadanie! Gdzie przez dekady wycierałam podłogi! I mężczyzna: Znałaś zagrożenie! Znałaś! I teraz się wahasz? Straciłaś wiarę? Kobieta milczy.

Sigrud przewraca swym jedynym okiem. Ich niekompetencja jest przygnębiająca. Nie jest nawet pewien, czy chce zawracać sobie głowę dalszym ukrywaniem się. Bordowy płaszcz ma zwinięty i wepchnięty pod ramię, ponieważ w oczywisty sposób zwracałby na siebie uwagę, lecz mimo to mężczyzna o wzroście dwóch metrów zwykle nie nadaje się do tajnych zadań. Sigrud wie jednak, że tłum przypomina określone struktury właściwe pojedynczym ludziom: ma swoją własną psychologię, zwyczaje, naturę. W sposób nie do pomyślenia przyjmuje określone formy - kanały i korytarze ruchu ulicznego, zakręty wokół blokad - i rozkłada je tak, że to wszystko wygląda wręcz na zaplanowane, gdy patrzy się na to w taki sposób. Chodzi po prostu o umiejscowienie siebie pośród tych struktur, jakby unosiło się wraz z ławicą ryb, gdy ta zakręca i pływa po dnie oceanu. Tłum, jak człowiek, nigdy nie wie o sobie wszystkiego.

Para zatrzymuje się obok chybottliwego, dziwnie zaokrąglonego budynku mieszkalnego. Kobieta o poszarzałej twarzy nerwowo kiwa głową, gdy mężczyzna szepce jej swe ostatnie polecenia, po czym wchodzi do środka. Sigrud uważnie zapisuje adres, kryjąc się pod osłoną stajni.

- Hej! - Stajenny wchodzi przez boczne drzwi. - Kim pan jest? Co pan...?

Sigrud odwraca się i spogląda na stajennego. Chłopak traci rezon.

- Och. Cóż...

Sigrud odwraca się z powrotem. Towarzysz kobiety oddala się. Sigrud wykrada się ze stajni i zaczyna go śledzić.

Ten pościg jest... nieco odmienny. Mężczyzna zanurza się w tę część Bułykowa, która została zdecydowanie bardziej spustoszona przez Mgnienie, Wojnę i wszystkie inne katastrofy, jakie nagromadziły się w tym trudnym okresie historii świata. Schodów jest tu trzy- albo czterokrotnie więcej; Sigrudowi jest nieco ciężko policzyć je jednym okiem. Spiralne schody wznoszą się i kończą w powietrzu, niektóre zaledwie trzy metry nad ziemią, inne pięć czy dziesięć. Jest w nich coś przypominającego kości, pomarszczone rogi masywnych, egzotycznych przeżuwaczy. Ptaki i koty znalazły sobie dom na niektórych najwyższych stopniach. W jednym, zupełnie niedorzecznym przypadku, ogromne bazaltowe schody ciągną się przez całe wzgórze, tonąc stromo dwanaście metrów pod ziemię, w rozpadlinie, przez którą najwyraźniej osunęło się kilka małych domów. Ich pozostałości chwieją się irytująco na krawędzi szczeliny.

Na szczęście ścigany przez Sigruda człowiek nie wchodzi ani nie schodzi tymi skróconymi schodami, niemniej biegnie truchtem poprzez alejki i uliczki, często równie schizofreniczne jak same schody. Sigrud spogląda zdezorientowany na budynki, które wydają się być ze sobą stopione, niczym zabawki przyciśnięte do siebie przez dziecko: z budynku przypominającego nudną firmę prawniczą, niczym jakaś niestosowna narośl, wystaje ćwierć łaźni. W niektórych miejscach te inwazyjne budynki zostały niechlujnie wycięte: sporą część sklepu obuwniczego ewidentnie przesunięto z pierwotnego miejsca do środka banku.

Tempo pościgu się zwiększa. Sigrud podąża za śledzonym, który skręca w lewo, a następnie chowa się pośród walących się pozostałości wielkiego muru. Sigrud przechodzi przez inną dziurę, ale utrzymuje kontakt wzrokowy. Jego cel - który, jak wydaje się Sigrudowi, nie jest świadom inwigilacji - wbiega po chybotliwych schodach na dach

starego kościoła. Sigrud, strategicznie ostrożnymi krokami, wskakuje za nim, zmniejszając dystans.

Sigrud wspina się na górę i wygląda na dach. Dostrzega, że mężczyzna biegnie w stronę krawędzi, nie zatrzymując się. Ani gdy ma do niej dziesięć metrów, ani pięć, dwa, po czym...

Skacze.

Ostatnie, co widzi Sigrud, to trzepot szarego płaszcza, gdy mężczyzna gwałtownie spada na ulicę, z rozciągniętymi ramionami i rozpostartymi palcami.

Sigrud marszczy brwi, wspina się na dach i podchodzi do krawędzi.

Ulica znajduje się prawie dwanaście metrów niżej. Nie ma ciała ani żadnego po nim śladu. Mężczyzna nie mógł w nic wskoczyć: wszystkie mury są gładkie i strome. Wygląda to, jakby skoczył i po prostu...

Zniknął.

Sigrud chrząka. Kłopotliwa sytuacja.

Rozważa próbę wspięcia się na mur, ale uznaje to za nieuzasadnione. Wraca w dół schodami i wychodzi na ulicę.

Nie ma tam nikogo, nic. Ta część Bułykowa wydaje się prawie całkowicie opuszczona.

Sigrud dotyka każdej kostki brukowej. Żadna nie jest ciepła; wszystkie są jednolite.

Wzdycha.

Praca ze Sharą Komayd wystawiła go na wiele zaskakujących zdarzeń oraz dziesiątki cudownych, przerażających i dziwnych spraw. Żadnej z nich jednak nie uznał za wyjątkowo niesamowitą czy poruszającą: głównie go irytują.

Odwraca się, by namierzyć ambasadę - doznaje wtedy dziwnego uczucia.

Czy właśnie dostrzegł kątem oka, że ulica się zmieniła? Jest tego pewien, choć wydaje się to niemożliwe: przez sekundę widział nie walące się fasady budynków i opuszczonych domów, ale raczej ogromne, smukłe wieżowce, skrzące się bielą i złotem.

Oszacowanie całości zniszczeń spowodowanych przez Mgnienie jest praktycznie niemożliwe.

Nie chodzi tu jedynie o próbę oszacowania ogromnej siły rażenia Mgnienia: jego niszczycielska istota jest tak osobliwa i zagmatwana, że zarówno Sajpurowie, jaki Kontynentanie, oraz ktokolwiek, kto tego doznał czy nastąpił po Mgnieniu — nikt taki nie jest w stanie zrozumieć, co utraciliśmy.

Fakty są jednak proste, choć może tylko powierzchownie:

W roku 1639, po pierwszej udanej próbie zabójstwa Bóstwa i obaleniu kontynentalnych placówek w Sajpurze, Avshakta si Komayd, świeżo ustanowiony Kajem, zebrał małą zdezelowaną flotę statków i wypłynął ku Kontynentowi — wtedy oczywiście zwanemu Świętymi Ziemiemi.

Święte Ziemie okazały się być kompletnie nieprzygotowane na takie posunięcie: życie tamtejszych ludzi pod ochroną Bóstw przez prawie tysiąc lat sprawiło, że nikomu, nawet Sajpurom, nie śniło się o ich podbiciu, czy też, co wydawało się jeszcze bardziej niewyobrażalnym pomysłem, o możliwości zabicia jednego z Bóstw. Mieszkańców Świętych Ziem i pozostałe trzy Bóstwa (jako że Olwos i Kolkan odeszli dużo wcześniej) mocno zmartwiła długa nieobecność Bóstwa Vurtji - nie wiedzieli wtedy, że Vurtja wraz ze swoimi siłami zginęła w rzezi w roku 1638 podczas Nocy Czerwonych Piasków. Gdy na południowym wybrzeżu Ahanasztanu dostrzeżono ową flotę, Bóstwa zareagowały szybko, spodziewając się powrotu zaginionych przyjaciół.

Wtedy nastąpił ich upadek. Kaj przewidział bitwę przy brzegu i dlatego wyposażył kilka statków w takie same mechanizmy, jakie wykorzystał do zamordowania Vurtji. Troska Bóstw była tak wielka, że sam Taalhawras, ich przywódca, wyszedł powitać flotę w porcie Ahanasztanu.

Zachowane świadectwa marynarzy Kaja znacznie różnią się między sobą na temat tego, co dokładnie miało miejsce. Niektóre mówią o „stojącej w porcie postaci o ludzkiej

sylwetce i głowie orła". Inne o „pokrytym rusztowaniem ogromnym posagu o ledwie męskim wyglądzie który w jakiś sposób się poruszał". Jeszcze inne wspominają jedynie o „snopie błękitnego światła, rozciągającym się do samych niebios".

Gdy Taalhawras się ukazał, Kaj skierował na niego wszystkie mechanizmy i powalił go tak, jak wcześniej Vurtję.

Panieważ jednak Taalhawras był bogiem- budowniczym, wszystko co stworzył zniknęło w momencie, gdy sam zniknął; a sądząc po olbrzymim spustoszeniu, jakie wywołało Mgnienie, stworzył znacznie więcej, niż się komukolwiek wydawało. Taalhawras dokonał w gruncie rzeczy znaczących zmian w fundamentach samych realiów Kontynentu. Istoty tych zmian prawdopodobnie nie pojmie ludzki umysł; jednakże, gdy zmiany te zniknęły — można w tym miejscu wyobrazić sobie wypadające ze swych miejsc podpory, rygle, nakrętki i tak dalej — zmieniły się gwałtownie realia Świętych Ziem.

Marynarze Kaja nie doświadczyli Mgnienia: zarejestrowali jedynie, że przeżyli okropny sztorm, który na dwa dni i trzy noce uniemożliwił im przybicie do brzegu. Założyli, że była to obrona Bóstw i nie ustawali w wysiłkach wyłącznie dzięki determinacji samego Kaja. Nie mogli wiedzieć o kosmicznym rozpadzie, który miał miejsce zaledwie w odległości kilku kilometrów.

Znikały całe państwa. Ulice zapadały się w otchłań. Świątynie obracały w popiół. Wyparowały gwiazdy. Niebo zasnuło się chmurami, zapowiadając permanentną zmianę klimatu Kontynentu — to, co było niegdyś suchym, piaszczystym, słonecznym miejscem, wkrótce miało stać się zachmurzone, wilgotne i przejmująco chłodne, na podobieństwo położonych na północ krain Drejlingów. Budynki boskiej natury implodowały w pojedyncze kamienie, a los zabranych w ten sposób, zgromadzonych w nich ludzi określić można jedynie mianem straszliwego. Sam Bułyków, jako miasto najświętsze ze wszystkich, jak również beneficjent wielu względów Taalhawrasa, w jednej brutalnej chwili skurczył się do wewnątrz, naruszając w ten sposób samą naturę miasta i tracąc setki tysięcy ludzi, jeśli nie więcej, w sposób, którego najlepiej sobie nie wyobrażać. Kompletnie zniknęło także Siedzisko Świata, świątynia i miejsce spotkań Bóstw,

pozostawiając po sobie jedynie dzwonnice, która skurczyła się do wysokości zaledwie kilku pięt.

W skrócie, cały styl życia- wraz z jego historią oraz wiedzą o tejże -przepadł w mgnieniu oka.

- „O UTRACONEJ HISTORII”, DR EFREM PANGUI, 1682

MARTWE JEZYKI



Delikatne pociągnięcia grafitu zlewają się ze sobą w świetle lamp. Shara wzdycha, zapala kolejną, stawia ją na biurku i próbuje czytać dalej. Cholerne miasto, myśli. Jak bardzo muszą być zacofani, skoro nasza własna ambasada nie potrafi zapewnić wystarczająco dużo nafty, by oświetlić pomieszczenie?

Zapisała wiele kartek, próbując złamać kod profesora, starając się oddzielić prawdę od pokręconych znaków, jakby wyciskała wodę z kamienia. Filizanka noonyańskiej herbaty stygnie obok dokumentów (Shara postanowiła ograniczyć sirlang: jeśli utrzyma obecne tempo, w ciągu tygodnia wyczerpie zapasy ambasady). Nachyla się nad dokumentami tak bardzo, że żar z lamp staje się nie do wytrzymania.

Shara uznaje, że to adres. Jest w stanie stwierdzić ten fakt po samym ułożeniu znaków. Złamała już część kodu, ale spodziewa się, że to nie do końca jest kod, nie w tradycyjnym znaczeniu tego słowa: raczej wiadomość została przetłumaczona na mieszankę obcych alfabetów. Górne połowy tego, co Shara uznaje za spółgłoski, zapisana jest w Gheshati, nieużywanym alfabecie pochodzącym z Sajpuru Zachodniego. I choć zrozumienie tego zajęło jej wiele godzin, wydaje jej się, że dolne połowy są w chotokańskim, niezwykle rzadkim, niezrozumiałym i problematycznym języku z gór położonych na wschód od Republik Drejlingów.

Teraz musi jeszcze tylko rozszyfrować samogłoski.

I liczby.

Och, liczby...

Jej podziw dla profesora nieco przygasł: Pangyui, ty tajemniczy, stary jaszczurze...

Odstawia herbatę i siada z powrotem na krześle. Stara się wierzyć, że zajmuje to tak długo, ponieważ sam kod jest trudny. Nie chce brać pod uwagę myśli, że tak naprawdę jest mocno rozkojarzona.

Jest tu. W tym samym mieście co ja. Może kilka budynków dalej. Czemu nie wzięłam tego pod uwagę? Jak mogłam być taka głupia?

Jak w przypadku wielu z życiowych celów Shary, wszystko zaczęło się od gry.

Pierwsze dni każdego semestru w Akademii Fadhuri w Gha-ladeshu zawsze były najtrudniejsze. Najjaśniej świecące młode gwiazdy z każdego hrabstwa i wyspy Sajpuru zbierały się razem w świętych halach Fadhuri i prędko odkrywały, że pomimo wszystkich swych dotychczasowych doświadczeń, w rzeczywistości nie są wcale wyjątkowe: każdy student był geniuszem u siebie, tak więc przybywał tu z zamiarem udowodnienia — pośród wybitnie wyjątkowych - swej własnej wyjątkowości.

Jako sposób na pozbycie się napięcia, tradycją szkoły było organizowanie turnieju w Batlan w weekend przed rzeczywistym rozpoczęciem semestru. Stało się to tak popularnym wydarzeniem, że rodzice zachęcali swe pociechy, by wsiąkły w strategię i rozgrywki przed przybyciem, być może zakładając - błędnie - że wysokie miejsce na turnieju zapewni lepsze stopnie i bardziej świetlaną przyszłość.

Szesnastoletnia Shara Komayd była jedną z takich studentek. Nie tylko niezachwianie wierzyła, że jest najgenialniejszym dzieckiem w tamtym miejscu, ale również gardziła Badanem, uważając go za efekciarską grę o zbyt dużym stopniu przypadkowości: rzut kośćmi na początku każdej tury determinował możliwości graczy i czynił grę bardziej spontaniczną, chociaż odbierał graczom wiele kontroli. Zawsze wolała nieco podobną grę, Tovos Va - dużo wolniejszą i bardziej umysłową, nagradzającą graczy za planowanie kilku ruchów do przodu. Rzadko jednak miewała okazję, by w nią grać: Tovos Va było grą Kontynentanów, nieznaną w Sajpurze.

Niemniej nauki pobrane podczas Tovos Va do pewnego stopnia przekładały się na Batlan - choć żeby zminimalizować wpływ losowości trzeba było planować bardzo, bardzo daleko do przodu. Jeśli gracz w Tovos Va zrobił to wystarczająco wcześnie i wystarczająco dobrze umiał przewidywać, bez problemu roznosił każdego przeciętnego gracza w Batlan.

W ów pierwszy weekend przed rozpoczęciem semestru Shara przebijała się przez listę rankingową w Batlan niczym taran. Nie wygrywała: gromiła innych graczy. Ponieważ zasadniczo wygrała pierwszych dwanaście partii, i musiała rozegrać kolejnych trzydzieści sześć przed dotarciem do finału, czuła coraz większą pogardę dla pozostałych graczy, którzy skręcali się w jej pułapkach, jako że wydawało im się, że grają w jedną grę, a w rzeczywistości grali w zupełnie inne. I pokazywała tę pogardę: wzdychała, przewracała oczami, siedziała, podpierając podbródek i pojękiwała, gdy przeciwnicy wykonywali jeden nierozważny ruch za drugim.

Pozostali studenci patrzyli na nią z wyraźną nienawiścią. Gdy odkryli, że ma szesnaście lat, o dwa mniej od przeciętnych studentów pierwszego roku w Fadhuri, nienawiść przechodziła w furję.

Shara była tak bardzo przekonana, że zmiecie zupełnie wszystkich, że nie zawracała sobie głowy obserwacją listy rankingowej. Gdy w końcu na nią spojrziała, zauważyła, że jeden inny gracz radził sobie równie

dobrze jak ona, tylko przejeżdżał akurat po zawodnikach po drugiej stronie holu: VOTROW.

Wychyliła się na krzesło i rozejrzała po pomieszczeniu, by mu się przyjrzeć. Wypatrzenie go nie zajęło jej wiele czasu.

Ku jej zaskoczeniu, nie był Sajpurem, ale Kontynentaninem: wysokim, szczupłym i bladym młodym mężczyzną o rudoblond włosach, mocnej szczęce i jasnobłękitnych oczach.

- Zrobiłem ruch - rzucił przeciwnik Shary.
- Cśś - upomniała go, ponieważ chciała przypatrzeć się chłopcu.
- Co? — zapytał rozwścieczony przeciwnik.
- Och, no dobra - odpowiedziała Shara i wykonała dwa ruchy, które prawdopodobnie zniszczą go w następnej rundzie, po czym wróciła do obserwacji Kontynentanina.

Wysyłanie dzieci do Sajpuru dla nauki nie było niczym niezwykłym wśród bogatych Kontynentanów. Sajpur stanowił teraz najbogatszy naród świata, a Kontynent wciąż wydawał się dość niebezpieczny. Chłopak z pewnością wyglądał na arystokratę: przygarbił się na krzesło z wyrazem znudzonego zadowolenia na twarzy i cały czas rozmawiał z przeciwnikami, radośnie z nich drwiąc, zupełnie jakby siedzieli właśnie w kawiarni.

Chłopak podniósł wzrok i pochwycił spojrzenie Shary. Uśmiechnął się i mrugnął.

Zakłopotana Shara wróciła do gry.

W końcu, po dwóch godzinach i starciu na miazgę połowy fadhurskich studentów, Shara usiadła naprzeciwko Kontynentanina. Ze wszystkich graczy, zostali tylko oni dwoje: reszta uczniów wraz z kadrą nauczycielską stała wokół nich i obserwowała.

Shara gapiła się nieufnie na kontynentańskiego chłopca, który usiadł z wyniosłym uśmiechem, rozprostował plecy i strzelił palcami.

- Cieszę się na pierwszą poważną rozgrywkę, a ty? - Zaczął wykladać pionki do Batlanu.
- Nie wiem, o co ci chodzi - odpowiedziała Shara, rozkładając swoje.
- Hmm. Może i tak. Powiedz, słyszałaś kiedyś o Tovos Va?

Coś wewnątrz Shary zapiszczało. Zawahała się nieznacznie przez wyłożeniem następnego pionka.

- To bardzo popularna gra tam, skąd pochodzę - poinformował pogodnie chłopak. — Mieliliśmy w Bułykowie doroczny turniej. Zastanawiam się, które z nich wygrałem? Wygrałem trzy z rzędu. Nie mogę przypomnieć sobie, które dokładnie...

Shara skończyła wykladać pionki.

- Sugeruję jaśnie panu - rzuciła - żeby grał, a nie gadał.

Spojrzał na jej ułożenie planszy i zaśmiał się.

- Ależ miło ujrzyć, że nie myliłem się w moich przypuszczeniach! Przypomina to nieco Zwód Misczenia - oznajmił. - Czy raczej przypominałoby, gdybyśmy grali w Tovos Va. Całe szczęście, że to Batlan, no nie? - Skończył układać swoje pionki.

Shara obrzuciła je spojrzeniem.

- A to - obwieściła - Spirala Strowskiego.

Chłopak uśmiechnął się triumfalnie.

- Albo też chciałbyś, żebym tak myślała - orzekła Shara - chociaż przypuszczam, że w trzech ruchach przejdzie w Rygiel Awangardy, a potem w zwykłą flankę.

Chłopak mrugnął, jakby ktoś trzasnął go w twarz. Jego uśmiech wyparował.

- Ale całe szczęście, że to Batlan, no nie? - rzuciła bestialsko Shara. Pochyliła się. - Wyglądasz znacznie ładniej z twarzą wytartą z samozadowolenia.

Studenci wokół wydali z siebie jęk.

Chłopak wpatrywał się w nią. Zaśmiał się raz, z niedowierzaniem.

- Rzuć kośćmi — powiedział.

- Z radością.

Rzuciła kośćmi i gra się rozpoczęła.

Nastąpiła czterogodzinna batalia: rozgrywka niekończących się początków, pozycji obronnych, zmian planów i ustawień. Jeden z nauczycieli nazwał ją najostrożniejszą rozgrywką Badanu, jaką kiedykolwiek widział: chociaż oczywiście wcale nie grali w Batlan, ale inną grę: połączenie Batlanu i Tovos Va, którą wymyślali na bieżąco podczas starcia.

Bez przerwy do niej mówił, paplając i trajkocząc. Przez trzy godziny Shara opierała się, ignorując wszelkie drwiny, ale w końcu Kontynentanin spytał:

- Powiedz mi, czy twoje życie jest tak bardzo pozbawione rozrywki, że masz wystarczająco dużo czasu na studiowanie mało znanych, zagranicznych gier? Wykonał ruch, który sprawiał wrażenie agresywnego, ale Shara wiedziała, że to zmyłka. - Nie masz żadnych przyjaciół? Żadnej rodziny?

- Zakładasz, że wasza gra jest trudna do pojęcia - odpowiedziała rozdrażniona Shara. — Jak dla mnie wasza gra i kultura to dziecięca tandeta. — Zignorowała jego zmyłkę i ruszyła do przodu, w ruchu,

który dla kogoś niezorientowanego wyglądałby na samobójczy.

Roześmiał się.

- To mówi! Ten toporek bojowy mówi!

- Jestem pewna, że dla kogoś o twojej pozycji, ktoś, kto nie toleruje bezwzględnie każdej twojej zachcianki jest nie do pomyślenia.

- Być może. Być może przybyłem tu wyłącznie po to, by ktoś mi odpyskował. Ale zastanawiam się, co mogło dźgnąć cię do tego stopnia, że tak bardzo wyszlifowało to ostrze, mój bojowy toporek? - Wycofał się i podwoił obronę (Kiedy oni w końcu zaczną grać? - poskarżył się pobliski student).

- Mylisz się, jaśnie panie - rzuciła Shara. - Jesteś tylko przewrażliwiony. W istocie, spodziewałabym się, że siedzenie na krześle bez poduszki z pewnością pokieroszuje twe książęce półdupki.

Podczas gdy studenci się zaśmiewali, Shara spokojnie zaczęła zastawiać pułapkę.

Kontynentański chłopak nie wyglądał na znieważonego; zamiast tego dziwnie błyszczały mu oczy.

- Ojej - przemówił. - Jeśli naprawdę chcesz sprawdzić, to nie będę cię powstrzymywał. — Wykonał ruch.

- Co to miało znaczyć? — spytała Shara. Zrobiła kolejny ruch, pozornie się wycofując, a tak naprawdę dalej zastawiając sidła.

- Nie udawaj niewiniątka — powiedział. — Sama poruszyłaś ten temat, moja droga. Po prostu spełniam twoją zachciankę. -Wykonał kolejny ruch, tym razem na oślep.

- Nie wyglądasz, jakbyś spełniał moje zachcianki - odpowiedziała Shara. Wycofała się jeszcze bardziej, wystawiając przynętę i

zastanawiając się dlaczego nagle zaczął grać tak kiepsko?

- Pozory mogą mylić. - Rzucił kośćmi i ponownie ruszył do przodu.
- Zgoda - powiedziała. - To co, chcesz już kończyć?
- Co kończyć?
- Grę. Jeśli chcesz, możemy skończyć.
- Remis?
- Nie - odpowiedziała Shara. - Właśnie wygrałam. Zostało jeszcze kilka ruchów, ale cóż. Wygrałam.

Pozostali studenci spoglądali na siebie ze zdumieniem.

Kontynentanin pochylił się do przodu, spojrzawszy na jej pionki i przypomniał sobie kilka ostatnich ruchów: wyraźnie nie poświęcił grze należytej uwagi. Shara pojęła, że w trakcie tych kilku ruchów patrzył nie na planszę, ale na nią.

Chłopcu opadła szczęką.

- Och. Och, rozumiem.
- Tak.
- Hm. Cóż. Nie, nie. Dograjmy to do końca, jak nakazuje honor, dobrze?

To była zwykła formalność, wydłużona przez kilka szczęśliwych rzutów kośćmi, ale niedługo potem Shara zbierała z planszy jego pionki. Ku jej irytacji, chłopak nie wyglądał na zawstydzonego czy speszzonego. Wciąż się do niej uśmiechał.

Wykonała przedostatni ruch.

- Muszę zapytać—jak to jest przegrać z sajpurską dziewczyną?
- Ty - rzucił, metaforycznie wkładając głowę pod topór — nie jesteś dziewczyną.

Shara zawahała się podczas ruchu - co chciał przez to powiedzieć?

Zabrała mu ostatniego pionka. Studenci wokół wybuchnęli okrzykami radości, ale prawie ich nie słyszała. Kolejna z jego gier.

- Zanim zapytasz, tak, możemy jeszcze kiedyś zagrać.
- Szczerze mówiąc, wołałbym, żebyśmy raczej poszli się pieprzyć - rzucił radośnie.

Wbiła w niego zdumione spojrzenie.

Mrugnął, wstał i odszedł do kolegów. Patrzyła jak odchodzi, po czym rozejrzała się po wiwatujących studentach.

Czy nikt tego nie słyszał? Czy naprawdę miał to na myśli? Czy naprawdę chce...?

- Kto to był? - zapytała głośno.
- Naprawdę nie wiesz? - odpowiedział jakiś student.
- Nie.
- Naprawdę? Naprawdę nie wiesz, że grałaś z Vohannesem Votrowem, najbogatszym palantem na całym przeklętym Kontynencie?

Shara gapiała się na pustą planszę i rozważała, czy przypadkiem chłopak przez cały ten czas nie rozgrywał zupełnie innej gry: ani Batlanu ani Tovos Va; gry, o której ona nie miała najmniejszego pojęcia.

Przez te liczby Shara niechybnie straci kawałek życia.

Przetłumaczyła większość kodu profesora. Teraz można odczytać:
UL_CA W_S_KA 3411, BANK ŚW__T_G_M___W__W__,
SKR_TKA____, GH_V_NY TA____KAN_____.

.

Skrytka w banku. Banku, którego patronem jest jakiś święty. Normalnie zawęziłoby jej to wybór, ale bułykowska ulica Wysoka jest bardzo długa, a do tego prawie każdy bank nazwany jest na cześć jakiegoś świętego.

Właściwie, to prawie wszystko na Kontynencie zostało nazwane na cześć jakiegoś świętego. Sajnurscy historycy szacują, że przed Wielką Wojną istniało około siedemdziesięciu tysięcy świętych. Najwyraźniej Bóstwa uznawały przydzielanie świętości za irytującą formalność, spełnianą bez większego zastanowienia. Gdy uchwalono RM, pomysł próby pozbawienia struktur polis imion świętych - jak również kompletnej zmiany nazw miast i regionów, z których wszystkie otrzymały miano któregoś z Bóstw czy boskich istot - okazał się zbyt przytłaczający. Sajpur w pewnym momencie po prostu dał sobie z tym spokój, co uznano za ogromne ustępstwo i ogromną marginalizację. Shaw wolałaby, żeby było inaczej. To ułatwiłoby jej obecne zadanie.

Nazwy. Nazwy to zawsze problem. W końcu Morza Południowe tak naprawdę znajdują się na północny wschód od Sajpuru - nazywa się je tak, ponieważ to Kontynent nazwał je pierwszy, a każda nazwa, jak wciąż uczył się Sajpur, umiera powoli i nie bez walki.

Jeśli chodzi o liczby... Shara jeszcze ich nie rozszyfrowała, ale zdążyła im się przyjrzeć. Wszystkie cyfry są zawsze niesamowicie problematyczne w starożytnych językach: przykładowo, jeden szczególnie żarliwy kult Bóstwa Dżukowa odmówił uznania liczby siedemnaście, chociaż żaden z historyków nie jest w stanie stwierdzić

dlaczego.

Shara przypomina sobie rozmowę przeprowadzoną z doktorem Pangyuiem w ahanasztańskiej kryjówce.

- Martwych języków - powiedział - jest tyle co gwiazd.
- Aż tak dużo?
- Starożytni Kontynentanie nie byli głupi. Wiedzieli, że najlepszym sposobem na kontrolę myśli innych narodów będzie kontrola sposobu ich wypowiedzi. A gdy te języki wymarły, to samo stało się ze sposobami myślenia i patrzenia na świat. Umarły bezpowrotnie.
- Jest pan jednym z tych akademików, co to próbują przywrócić ojczysty język Sajpurów? - zapytała Shara.
- Nie. Ponieważ Sajpur to duże miejsce i posiada wiele języków ojczystych. Takie czcze, szowinistyczne zadania mnie nie interesują.
- Dlaczego w takim razie w ogóle marnować czas na ich szukanie?

Zapalił swą fajkę.

- Wszyscy odtwarzamy naszą historię, ponieważ chcemy dowiedzieć się, w jaki sposób teraźniejszość stała się teraźniejszością, czyż nie?

A mimo to Pangyui ją okłamał. Wykorzystał ją do osiągnięcia swych ukrytych celów.

Shara wraca do pracy, wiedząc, że ma przed sobą wiele godzin. Być może dlatego, by powstrzymać się od wspomnienia.

Minęły dwa miesiące semestru, zanim spotkała go ponownie. Czytała właśnie w bibliotece o wyczynach Sagreshy, porucznika Kaja i słynnej bohaterki wojennej, gdy zauważyła, że ktoś usiadł przy stole obok

okna.

Głowę miał pochyloną, kręcone, rudoblond włosy przesłaniały brwi. Zawsze wydawał się siedzieć na krześle w niewłaściwy sposób: bokiem i prawie na plecach. Na kolanach miał księgę o Thinadeshim, inżynierze, który sprowadził na Kontynent tory kolejowe.

Shara spoglądała na niego gniewnie. Zastanawiała się przez chwilę, po czym wstała, zebrała książki, usiadła naprzeciwko niego i po prostu patrzyła.

Nie podniósł wzroku. Odwrócił stronę.

- Czego chcesz? - spytał po chwili.
- Czemu tak mi powiedziałaś?

Spojrzał na nią poprzez zasłonę rozczochranych włosów. Chociaż Shara sama nie piła, przez jego spuchnięte powieki, była w stanie stwierdzić, że właśnie doświadcza tego, co nauczyciele w Fadhuri nazywali „poranną głową”.

- Co? - spytał. - Na turnieju?

Kiwnęła głową.

- No cóż. - Skrzywił się, jakby ze wstydu i wrócił do książki. - Może żeby cię zdenerwować. W końcu wyglądałaś strasznie poważnie. Nie widziałem, żebyś choć raz się uśmiechnęła, mimo godnych podziwu wyników.

- Ale o co ci chodziło?

To pytanie sprokurowało długie, pełne zmieszania spojrzenie.

- Czy, ehkm, mówisz serio?
- Tak.

- A jak myślisz, o co mogło mi chodzić, gdy powiedziałem, że chcę się z tobą pieprzyć? - zapytał powoli i niepewnie.

- Nie, nie to. - Shara machnęła ręką. - To było oczywiste. Powiedziałeś, że... nie jestem dziewczyną.

- O to jesteś wściekła? O to?

Shara także spiorunowała go wzrokiem.

- No, ten. Cóż. Widywałem wcześniej dziewczyny. Wiele dziewczyn. Można być dziewczyną w dowolnym wieku. Koło czterdziestki. Pięćdziesiątki. Jest w nich jakaś kapryśność, tak jak czterdziestoletni mężczyzna może być równie niecierpliwy i wojowniczy co pięcioletni chłopiec. Ale kobietą też można być w dowolnym wieku. A ty, moja droga, duchowo jesteś prawdopodobnie na etapie pięćdziesięcioletniej—czy pięćdziesięcioczwolletniej kobiety, odkąd skończyłaś sześć lat. Widzę to. Nie jesteś dziewczyną. - Powrócił do książki. - W rzeczy samej, jesteś prawdziwą kobietą. Prawdopodobnie całkiem starą.

Shara zastanowiła się nad tym, po czym wyciągnęła swoje materiały i zaczęła czytać, siedząc naprzeciwko niego i czując się zdezorientowana, wściekła oraz dziwnie skomplementowana.

- Tak dla twojej informacji, ta biografia Thinadeskiego jest gówniana - rzuciła.

- Serio?

- No. Autor jest tendencyjny. A jego bibliografia podejrzana.

- Ach. Bibliografia. Bardzo istotne.

- Tak.

Odwrócił stronę.

- Przy okazji, czy zastanawiałaś się nad tym, co mówiłem o

pieprzeniu się?

- Zamknij się.

Chłopak się uśmiechnął.

Zaczęli spotykać się w bibliotece prawie każdego dnia, a ich relacje przypominały kontynuację partii Batlanu: długi, wyczerpujący konflikt, w którym żadna ze stron nie odpuszczała ani na moment. Shara zdawała sobie sprawę, biorąc pod uwagę ich narodowości, że oboje odgrywali odwrócone role: ona była zawziętą, nieufną konserwatystką, z zapalem występującą w obronie słusznego sposobu życia i budującą zdyscyplinowane, pełne użyteczności życie; on natomiast był tolerancyjnym libertynem, upierającym się, że jeśli dana osoba ma ochotę na coś, co nie krzywdzi innych, co więcej, jest skłonna za to zapłacić, dlaczego ktokolwiek miałby się wtrącać?

Oboje zgadzali się co do tego, że ich narody znajdowały się względem siebie w niewygodnym i niebezpiecznym położeniu.

- Sajpur upaśł się i osłabł na handlu — powiedziała mu raz Shara. — Wydaje nam się, że możemy kupić sobie bezpieczeństwo. Przekonanie, że każdego dnia mielibyśmy o nie walczyć, nigdy nawet nie przechodzi nam przez myśl.

Vohannes przewraca oczami.

- Malujesz swój świat szarym cynizmem.

- Ale tak jest - upiera się Shara. - Sajpur osiągnął swoją pozycję dzięki potędze militarnej. Jego cywilni przywódcy są zbyt tolerancyjni.

- A ty co byś zrobiła? Kazała sajpurskim dzieciom nauczyć się kolejnej przysięgi, kolejnego zobowiązania wobec Matki Sajpur? - Vohannes zaśmiewa się. - Moja droga Sharo, czy nie widzisz, że twoje

państwo jest wielkie właśnie dlatego, że pozwala swym ludziom na człowieczeństwo? I to w sposób, jaki Kontynentowi od zawsze był obcy.

- Kontynentanin podziwia Sajpur?
- Oczywiście! Nie tylko dlatego, że nie zarazę się tu trędem, czego nie można powiedzieć o Kontynencie. Ale tu pozwalacie ludziom... być ludźmi. Wiesz, jak rzadko się to zdarza?
- Myślałam, że wolałbyś karę i dyscyplinę — odpowiedziała Shara. — Wiarę i samozaprzeczenie.
- Tylko kolkaszańscy Kontynentanie tak uważają. I to parszywy sposób na życie. Uwierz na słowo.

Shara pokręciła głową.

- Mylisz się. Pokój utrzymują zapał i siła. Świat nie zmienił się tak bardzo.
- Moja droga Sharo, uważasz, że świat jest zimnym i gorzkim miejscem. Jeśli twój pradziad czegoś cię nauczył, to mam nadzieję, że tego, iż jeden człowiek może znacząco polepszyć życie innych.
- Na Kontynencie takie uwielbienie Kaja sprowadziłoby na ciebie śmierć.
- Dużo rzeczy na Kontynencie sprowadziłoby na mnie śmierć.

Będąc wykształconymi potomkami wpływowych rodów, oboje zakładali po prostu, że zmienią świat, choć nigdy nie mogli ustalić najlepszego na to sposobu: jednego dnia Shara chciałaby napisać opasłą, epicką historię Sajpuru i całego świata, a drugiego zastanawiała się nad ubieganiem się o urząd, jak jej ciocia; jednego dnia Vohannes marzył o sfinansowaniu wielkiego artystycznego projektu, który kompletnie odmieniłby politykę Kontynentu, a

drugiego rzeczowo planował założenie biznesu. Ostro krytykowali nawzajem swoje pomysły i radośnie dawali upust tej krytyce i niekontrolowanemu jadowi.

Z perspektywy czasu, możliwe, że zaczęli ze sobą sypiać wyłącznie z powodu wyczerpania rozmowami.

Ale chodziło też o coś więcej. W głębi duszy Shara zdawała sobie sprawę, że dopóki nie poznała Vohannesa, nigdy wcześniej nie miała z kim naprawdę porozmawiać. Podejrzewała, że on czuł to samo: oboje pochodzili ze słynnych, szanowanych rodzin, oboje byli sierotami i obojga osamotniły okoliczności. Zupełnie jak ich rozegraną na turnieju partię, swoją relację wymyślali dzień po dniu i jedynie ją byli w stanie zrozumieć.

Na pierwszym i drugim roku studiów, gdy tylko nie była zajęta nauką, Shara zajmowała się tym, co później uznała po prostu za niezbadane ilości seksu. A podczas weekendów, gdy sprzątaczkę zostawiała w domach i wszyscy mogli spać do późna, zostawiała u niego, przesypiając dnie w jego ramionach i zastanawiała się, co też wyprawia z tym obcokrajowcem, chłopakiem z miejsca, które powinna całym sercem nienawidzić.

Nie uważała tego za miłość. Nie uważała tego za miłość, gdy odczuwała osobliwą boleść i niepokój, gdy nie było go obok; nie uważała tego za miłość, gdy doznawała ulgi, kiedy dostawała od niego wiadomość; nie uważała tego za miłość, gdy czasami wyobrażała sobie, jak mogłoby wyglądać ich życie po pięciu, dziesięciu, piętnastu latach razem. Nazwanie tego miłością nie przyszło jej nawet do głowy.

Jakże głupi są młodzi, zwykła myśleć Shara dużo później, że nie widzą tego, co mają pod samym nosem.

Shara opiera się na krześle i podziwia swoje dzieło:

ULICA WYSOKA 3411, BANK ŚWIĘTEGO MORNWIEWY, SKRYTKA
0813, GHIVENY TAORSKAN 63611

Wyciera pot z czoła, sprawdza godzinę. Jest trzecia w nocy.

I gdy dociera do niej ten fakt, zaczyna to również odczuwać.

Teraz ta trudniejsza część. Jak dostać się do zawartości skrytki.

Ktoś puka do jej drzwi.

-Proszę.

Drzwi otwierają się. Sigrud wczłapuje do środka, siada przed jej biurkiem i zaczyna nabijać fajkę.

— Jak poszło?

Sigrud robi dziwną minę: zmieszanie, konsternacja, lekka fascynacja..

- Żle?

- Żle - odpowiada. — Trochę dobrze. Ale też... dziwnie.

- Co się stało?

Z niejaką wrogością wkłada fajkę do ust.

- Cóż, kobieta z tej dwójki pracuje na uniwersytecie. Sprząta tam... Irina Torskeny. Niezameżna. Bez rodziny. Nic poza pracą. Sprawdziłem jej grafik; sprzątała biuro profesora, jego kwatery. Wszystko. Została przypisana do doktora Pangyui w momencie jego przyjazdu.

- Dobrze - odpowiada Shara. - Przyjrzymy się jej.

- Ten drugi... mężczyzna, cóż... - Sigrud opowiada o wprawiających w konfuzję wyczynach w spustoszonych dzielnicach Bułykowa.

- Czyli po prostu... zniknął? - pyta Shara.

Sigrud potwierdza skinieniem głowy.

- Czy towarzyszył temu jakiś dźwięk? Jakby trzask bicza?

Sigrud kręci głową.

- Hmm. Jeśli byłby to trzask bicza, pomyślałabym, że...

- Szafka Paresiego.

- Parnesiego.

- Wszystko jedno.

Shara pociera skroń, zastanawia się. Chociaż Święty Parnesi nie żyje od setek lat, jego dzieła wciąż ją niepokoją: był kapłanem Bóstwa Dżukowa, który zakochał się bez pamięci w kolkasztańskiej zakonnicy. Jako że Bóstwo Kolkan bardzo surowo podchodziło do seksu, Parnesi miał problemy z odwiedzaniem swej kochanki w klasztorze. Dżukow - będąc żywym, mądrym Bóstwem - stworzył cud, który pozwolił Parnesiemu ukrywać się na linii wzroku przed wrogami zarówno śmiertelnymi, jak i Bóstwami: „szafkę”, czy też niewidzialną kieszeń powietrzną, do której w każdym momencie mógł wejść, a która umożliwiała mu łatwą infiltrację klasztoru.

Ale, oczywiście, można było też użyć tego cudu w mniej jowialnym celu. Zaledwie dwa lata wcześniej odnalezienie źródła wycieku dokumentów w Ahanasztanie zajęło Sharze większość z trzech miesięcy. Winowajcami okazało się być trzech kupców, którzy w jakiś sposób odkryli ten cud. Gdyby jeden z nich nie przesadził ze swoją wodą kolońską - jako że Szafka Parnesiego nie maskuje zapachu - Sigrud mógłby nigdy go nie złapać.

Ale złapał go, a sprawy potoczyły się dość makabrycznie... Chociaż mężczyzna szybko podał nazwiska swoich współników.

- Obawiałam się, że po Ahanasztanie ten cud zyska na popularności - mówi Shara. - Coś takiego kalibru... Mogło zakończyć się katastrofą. Ale jeśli to nie Parnesi... Jesteś pewien, że zniknął?

- Umiem odnajdywać ludzi - mówi Sigrud z nieprzejednaną, niewzruszoną pewnością. - Ale jego nie mogłem znaleźć.

- Widziałeś, żeby wyciągał srebrny materiał? Skalp Dżukowa podobno powodował coś podobnego... Ale nikt od czterdziestu lat nie widział żadnej jego części. Wyglądałoby to jak srebrny materiał.

- Twoje sugestie nie biorą pod uwagę większego problemu - mówi Sigrud. - Nawet jeśli ten człowiek był niewidzialny, to z kilku pięter spadłby ze skutkiem śmiertelnym.

- Och. Racja.

- Nic nie widziałem. Przeszukałem ulice. Przeszukałem okolicę. Pytałem. Nic nie znalazłem. Ale...

- Ale co?

- Przez moment... nie czułem się, jakbym tam był.

- To znaczy?

- Nie wiem - przyznaje Sigrud. - Zupełnie jakbym znajdował się... w jakimś starszym miejscu. Widziałem budynki, których w rzeczywistości tam nie było.

- Jakie budynki?

Sigrud wzrusza ramionami.

- Nie mam słów na to, co widziałem.

Shara poprawia okulary. Kłopotliwa sytuacja.

- Jakieś postępy? - pyta Sigrud, spoglądając na zestaw lamp i stos papierów. - Widzę, że wypijaś ze trzy imbryki herbaty... Więc nowiny będą albo bardzo dobre, albo bardzo złe.

- Jak u ciebie, i takie, i takie. Treścią wiadomości jest adres bankowej skrytki. Pytanie, jak się do niej dostać.

- Chyba nie zamierzasz kazać mi obrabować banku?

- O rany, nie - mówi Shara. - Już wyobrażam sobie nagłówki... - I liczbę trupów.

- Nie możesz pociągnąć za jakieś sznurki?

- Sznurki?

- Jesteś dyplomata - mówi Sigrud. - Ojcowie Miasta są w mniejszym bądź większym stopniu marionetkami, prawda? Nie możesz ich jakoś wykorzystać?

- Raczej w mniejszym. Być może mogę ich zmusić, chyba, że skrytka jest obserwowana. A wygląda na to, że Pangyui był bardzo, bardzo uważnie obserwowany. Igrał z... sama nie wiem z czym. Okazuje się, że nie powiedział mi całej prawdy. - Shara spogląda na Sigruda. - Nawet nie wiem, czy mogę powiedzieć to tobie. Ale jeśli chcesz, to powiem.

Sigrud wzrusza ramionami.

- Szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie to.

Shara nie zawraca sobie głowy ukryciem ulgi. Jedną z rzeczy, które najbardziej ceni u swojego „sekretarza” jest to, jak bardzo nie obchodzą go wszelkie zawiłości i tajemnice. Sigrud jest młotem w świecie gwoździ i to go zadowala.

- Dobrze — mówi Shara. — Nie chciałabym rozpowiadać, że

interesujemy się badaniami Pangyuia. Jeśli dowiedzą się, że my nie wiemy tego, co wiedział on... Cóż. Byłoby to niemądre.

Musimy być bardziej subtelni w naszych poczynaniach. Póki co, nie jestem jednak pewna, jak to osiągnąć.

- To co teraz robimy?

Z początku Shara nie wie, co powiedzieć, ale dociera do niej, że przez całą noc obmyślała strategię: po prostu nie była tego świadoma.

Serce się jej kraje, gdy pojmuje, co jest rozwiązaniem: jest pewna, że to zadziała i wie, że byłaby głupia, nie próbując tak uczynić.

- Cóż - mówi Shara. - Mamy jeden ślad. Kogo mamy w Ministerstwie, kto radzi sobie z finansami?

- Finansami?

- Tak. Konkretnie z bankowością.

Sigrud wzrusza ramionami.

- Chyba słyszałem, że Yonji wciąż tu jest.

Shara notuje ten fakt.

- Nada się. Muszę się z nim niedługo skontaktować, żeby sprawdzić... Myślę, że mam rację, ale potrzebna mi jego pomoc, żeby potwierdzić dokładne finansowe dane.

- Więc ciągle musimy radzić sobie sami? Tylko ty i ja przeciwko całemu Bułkowowi?

Shara kończy notatkę.

- Hm. Nie. Wątpię, żeby to wystarczyło. Zaczynij badać grunt. Spodziewam się, że będziemy musieli zatrudnić kilka ciał albo oczu.

Nie mogą się dowiedzieć, że ma to jakikolwiek związek z Ministerstwem. Ale tobie zwykle dość dobrze idzie z podwykonawcami.

- Ile jesteście skłonni im zapłacić?

Shara odpowiada.

- Właśnie dlatego tak dobrze mi z nimi idzie.
- Bardzo dobrze. Teraz ostatnia sprawa. Muszę cię zapytać: masz jakieś ubrania na imprezę?

Sigrud leniwie wskazuje na upačkane błotem buty i koszulę ze śladami od smogu.

- A co jest nie tak z tym?

W świetle przedświtu Shara czeka na sen i wspomina.

Było to mniej więcej w połowie ich związku, chociaż żadne z nich wtedy tego nie wiedziało. Siedział pod drzewem, obserwując jak osady wioślarskie ćwiczą na Khamardzie, zaraz przy akademii. Osada dziewcząt właśnie zepchnęła łódź do wody i ładowała się do środka. Gdy Shara podeszła i usiadła mu na kolanach, jak często robiła, poczuła miękkie wybrzuszenie, przyciskające się do niej na wysokości krzyża.

- Powinnam się martwić?
- Dlaczego?
- Jak myślisz?
- Kochanie, na dworze staram się w ogóle nie myśleć. To zwykle wszystko rujnuje.

- Czy powinnam się martwić - rzuciła - że twoja przychylność może pewnego dnia przejść na inną dziewczynę?

Vohannes roześmiał się, zaskoczony.

- Nie wiedziałem, że mój toporek bojowy jest taki zazdrosny!
- Nikt nie jest zazdrosny do czasu, aż będzie miał powód. - Sięgnęła ręką i złapała za wybrzuszenie. - A to mi wygląda na powód.

Chrząka, wcale nie niezadowolony.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że nasz związek jest taki formalny.
- Formalny? Chcesz powiedzieć, że to formalność?
- Dla mnie tak. Więc jak w takim razie będzie? Kochanie, chcesz powiedzieć, że zakładasz, że jesteś moja, a ja twój? Jesteś pewna, że chcesz być moją dziewczyną na zawsze i należeć tylko do mnie?

Shara milczała. Odwróciła wzrok.

- Co? — zapytał Vohannes.
- Nic.
- Co? - powtórzył sfrustrowany. - Co znowu powiedziałem?
- Nic!
- Nie wygląda to na nic. Powiało chłodem.
- Powinno to być nic. To... ja tak mam. Sajpurki tak mają.
- Och, Shara, po prostu powiedz, co chcesz powiedzieć, Przynajmniej będę wiedzieć.
- Zakładam, że dla ciebie to nic nie znaczy, co? Nazywanie kogoś

twoim. Mówienie, że należy do ciebie. Że ja jestem twoja. Ale my tak nie mówimy. I może tego nie zrozumiesz... ale twój lud nigdy nie był zniewolony. Z twoich ust to stwierdzenie brzmi zupełnie inaczej, Vo.

Vohannes gwałtownie wciąga powietrze.

- Och, bogowie, Shara, wiesz, że nie to miałem na myśli...
- Wiem. Wiem, że dla ciebie było to całkowicie niewinne stwierdzenie. Ale zniewolenie i uczynienie kogoś swoim - tutaj znaczy to coś zupełnie innego. Nie mówimy tak. Ludzie wciąż pamiętają, jak było wcześniej.
- Cóż. - Głos Vohannesa nagle zgorzkniał. - My nie pamiętamy. Utraciliśmy to. Zostało to nam zabrane. Przez twojego cholernego pradziadka czy jakoś tak.
- Nie cierpię, kiedy mówisz o...
- Och, wiem, że tak. Ale przynajmniej twój lud posiada swoje wspomnienia, jakkolwiek przykre by nie były. Możesz tu czytać o mojej historii. Cholera, w samej szkolnej bibliotece można znaleźć więcej informacji na nasz temat niż wiemy my sami! Ale jeśli spróbowałbym zabrać tę wiedzę do domu, twój lud ukarałby mnie grzywną, więzieniem, albo czymś jeszcze gorszym.

Speszona Shara nie odpowiedziała. Oboje odwrócili się w stronę rzeki. Młody łabędź zanurzył ciemny dziób w trzcinach; po wysunięciu z nich długiej białej szyi, z dzioba wystawały mu nerwowo wymachujące nogi malutkiej, białej żaby.

- Nie cierpię tego.
- Czego?
- Poczucia, że się różnimy. — Długa pauza. — I tego, że chyba tak naprawdę wcale się nie znamy.

Shara patrzyła, jak osady wioślarskie suną po wodzie, tricepsy i mięśnie czworogłowe prężyły się w świetle poranka. Najpierw przepłynęła osada dziewcząt, po nich chłopcy, mający na sobie znacznie mniej ubrań i ukazujący dużo więcej mięśni.

I czy jej się tylko wydawało, czy wybrzuszenie napierające na jej krzyż poruszyło się nieco, gdy osada chłopców wypłynęła z cienia wierzby na światło słoneczne?

Vohannes westchnął.

- Co za dzień.

Nie jesteśmy sobą. Nie pozwala nam się być sobą. Bycie sobą postrzegane jest jako zbrodnia, jako grzech. Jako kradzież.

Jesteśmy wyłącznie pracą. Jesteśmy drewnem, które pozyskujemy z drzew naszego kraju; rudą, którą wydobywamy z jego kości; kukurydzą, pszenicą i zbożem, które zasiewamy na jego polach.

Niemniej nigdy go nie spróbujemy. Nie zamieszkamy w domach zbudowanych ze świętego przez nas drewna. Nie przekazujemy naszych metali na narzędzia dla siebie. Wszystko to nie jest nam przeznaczone.

My sami nie jesteśmy sobie przeznaczeni.

Nie jesteśmy przeznaczeni ludziom po drugiej stronie wody. Nie jesteśmy przeznaczeni dzieciom bogów. Jesteśmy dla ich celów jak metal, kamień i drewno.

Nie protestujemy, ponieważ nie mamy głosu. Posiadanie głosu jest przestępstwem.

Nie możemy myśleć o protestach. Takie myśli są przestępstwem. Te słowa— słowa, które słyszycie- zostały mi ukradzione.

Nie zostaliśmy wybrani. Nie jesteśmy dziećmi bogów: Nie mamy dusz, jesteśmy dziećmi popiołu, jesteśmy niczym błoto i brud.

Ale jeśli tak jest, dlaczego bogowie w ogóle nas stworzyli? A jeśli naszym przeznaczeniem jest wyłącznie praca, to po co nam umysły, po co pragnienia? Dlaczego nie możemy być jak bydło na polu czy kury w kurniku?

Moi ojcowie i matki umarli w niewoli. Ja umrę w niewoli. Moje dzieci umrą w niewoli. Skoro jesteśmy wyłącznie własnością dzieci bogów, dlaczego bogowie pozwalają nam na smutek?

Bogowie są okrutni nie dlatego, że kazały nam pracować Są okrutni, ponieważ pozwalają

nam mieć nadzieję.

- ŚWIADECTWO NIEZNANEGO SAJPURA, OK 1470

TO, CO ROBI NAJLEPIEJ



Dom Votrowów jest jednym z najnowocześniejszych w całym Bułykowie, czego jednak nie można stwierdzić, kiedy się na niego patrzy: jest masywnym, zwalistym, niskim budynkiem z ciemnoszarego kamienia i delikatnych przypór. Małe okna zdobią jego wybrzuszone strony niczym plamki, niektóre wypełnione słabym migotaniem płomyków świec. Po stronie południowej, z dala od dominującego północnego wiatru, znajdują się ogromne, otwarte balkony zbudowane na kształt schodów, każdy kolejny nieco mniejszy od tego pod nim, kończące się na szczycie małym bocianim gniazdem. Dla Shary, która dorastała oglądając smukłe, uproszczone i drewniane budowle Sajpuru, jest to prymitywne, barbarzyńskie i nie przypomina siedziby ludzkiej, a raczej zniekształcony, wodny polip. Dla Bułykowa to jednak nowość, gdyż w przeciwieństwie do wielu domów starych rodów, ten został zbudowany z myślą o dostosowaniu się do chłodnego, zimowego klimatu, który -o czym nie można zapominać - jest dość świeżą sprawą.

Dla tych ludzi przyjęcie do wiadomości zmian byłoby równoznaczne ze śmiercią, myśli Shara, gdy podjeżdża tam samochodem.

Przewraca jej się w żołądku. Czy on naprawdę może być w środku? Shara nie wiedziała wcześniej niczego o jego domu, a oglądanie go teraz, zrozumienie, że naprawdę istnieje i że on miał życie poza Sharą dziwnie ją porusza.

Cicho, upomina szумы w głowie, co sprawia jedynie, że stają się

wyraźniejsze.

Długi korowód automobili i powozów posuwa się niemrawo w stronę posiadłości Votrowów. Shara obserwuje, jak bogaci i szacowni obywatele Bułykowa wyłaniają się z przeróżnych środków transportu, z jedną stroną kołnierza podniesioną, by osłonić twarz od mroźnego powietrza, zanim wejdą do środka. Po upływie prawie pół godziny Pitry, mlaskając z niezadowolenia i wykrzywiając twarz w grymasie, wjeżdża przez bramę posiadłości i hamuje pod drzwiami.

Służący wita ją spojrzeniem chłodnym niczym nocny wiatr. Shara wręcza mu oficjalne zaproszenie. Odbiera je, odpowiada kurtuazyjnym skinieniem głowy i dłonią w białej rękawiczce wskazuje drzwi, których dobitnie nie przytrzyma.

Sigrud wysiada i pośród pisków samochodowych amortyzatorów wchodzi na pierwszy stopień; służący niemal niezauważalnie drga, kłania się nisko Sharze i otwiera drzwi.

Shara przekracza próg. Byłam w życiu na wielu przyjęciach - z dowódcami wojskowymi, generałami i dumnymi mordercami, ale dopiero to wzbudza we mnie prawdziwy lęk.

W zupełnym przeciwieństwie do zewnątrz, wewnątrz jest oszałamiająco wystawne: setki płomieni oświetlają hol wejściowy, każdy z nich sączy się poprzez zabarwione szkło, by zapewnić migający, złoty odcień; zdumiewająco skomplikowany żyrandol z kryształowych płytek wydaje się skapywać z zaokrąglonego sufitu, sprawiając wrażenie olbrzymiego, świecącego stalaktytu; na środku pokoju, dwa duże paleniska wypełnia buzujący ogień, a pomiędzy nimi kręcone schody pną się w górę w stronę sklepienia.

Gdyby nie twoja duma, zamieszkałabyś tu z nim, mówi jej głos nie całkiem różny od głosu Cioci Vinyi.

Nie kochał mnie, odpowiada głosowi, ani ja jego.

Shara nie jest wystarczająco głupia, żeby przekonywać się, że to prawda; ale też zdaje sobie sprawę, że to nie do końca kłamstwo.

- Jest taki wielki, ponieważ to oczywiście on ma na własność wszystkich cholernych budowniczych.

Mulaghesh staje na baczność przed filarem. Samo spojrzenie na jej postawę sprawia, że Sharę bolą plecy. Mulaghesh ma na sobie swój mundur, wyprasowany, wyczyszczony, bez skazy. Włosy ma spięte w ciasny kok, a wysokie po kolana czarne buty są wypolerowane na wysoki połysk. Lewą pierś obwieszoną ma orderami; na prawej też prawie w ogóle nie ma wolnego miejsca. Ogólnie nie wygląda na dobrze ubraną, ale raczej uważnie zmontowaną. Sharę niemal kusi, żeby przeszukać jej szwy w poszukiwaniu nitów.

- Prawdziwy dom zniknął podczas Mgnienia - odzywa się Mulaghesh. — Tak przynajmniej słyszałam.

- Dzień dobry, pani gubernator. Wygląda pani dość... imponująco.

Mulaghesh kiwa głową, ale nie odrywa wzroku od śmietanki towarzyskiej gromadzącej się przy ogniu.

- Nie chcę, żeby ci ludzie zapomnieli, kim jestem — mówi. — Pomimo wszelkich pozorów dyplomacji, stanowimy w tym mieście siłę militarną.

Żołnierzem jest się przez całe życie, myśli Shara. Obok paleniska po prawej znajduje się cokół, na którym stoi pięć niskich posągów.

- Czy to właśnie powód tego przyjęcia? - pyta Shara.

- Owszem - odpowiada Mulaghesh. Razem z Sharą podchodzą do nich. - To aukcja sztuki na rzecz partii Nowego Bułykowa oraz wielu innych, równie mętnych i wartych uwagi spraw. Votrow dał się dobrze poznać jako mecenas sztuki. Również kontrowersyjnych prac.

Shara widzi dlaczego: choć żadna z kamiennych figur nie jest naga do tego stopnia, żeby pokazywała cokolwiek, co można by chcieć zobaczyć, bardzo się do tego zbliżają, bo elementy owe zasłaniają takie drobiazgi jak zgięcie togi czy gryf gitary. Z pięciu figur, trzy przedstawiają kobiety, dwie mężczyzn, choć żadna z postaci nie jest szczególnie piękna: są zwaliste, o szerokich biodrach i tłustych udach.

Shara mruży oczy, odczytując plakietkę na podstawie cokołu.
Odpoczywający chłopi.

- Tak - mówi Mulaghesh. - Dwie sprawy, o których Bułyków nie lubi myśleć: nagość i bieda. Chociaż szczególnie bieda.
- Zdaję sobie sprawę ze stanowiska tego miasta wobec seksualności.
- Nie tyle stanowiska, co groźnego spojrzenia - mówi Mulaghesh. Przechwytuje róg z ale od przechodzącego lokaja i pije z niego łąpczywie. - Nawet nie mogę z nimi o tym rozmawiać.
- Tak, nie spodziewałabym się innej opcji. Ich obrzydzenie dla naszych bardziej... liberalnych układów małżeńskich jest ogólnie znane - mówi Shara.

Mulaghesh prychnął.

- Nie wyglądało to liberalnie, gdy to ja byłam zamężna.

Jako że prawie wszyscy Sajpurzy byli uznawani przez Imperium Kontynentalne za majątek ruchomy, wielu z nich było przymuszanych do małżeństw bądź rozwodów pod wpływem kaprysu właściciela, czy to prywatnego, czy firmy kontynentalnej. Traumatyzacja ta mocno wpłynęła na sajpurские prawa związane z małżeństwami i osobistą wolnością po tym, jak Kaj obalił Kontynent: w Sajpurze wyrażający zgodę przyszli małżonkowie podpisują umowę na sześć lat, którą po tym czasie mogą odnowić bądź nie. Wielu Sajpurów ma w ciągu życia dwóch, trzech czy nawet więcej małżonków; i chociaż małżeństwa homoseksualne nie są w Sajpurze oficjalnie uznawane, zapalczywe przestrzeganie

wolności osobistej nie pozwala na ich zakaz.

Shara przygląda się skandalicznym wypukłościom pod togą jednej z figur.

- Można by więc uznać te prace za niezgodne z wartościami kulturowymi.
- Lub szczeranie w oczy możliwym, tak.
- Dość grubiańskie określenie sprawy - mówi ktoś. Wysoka, szczupła młoda kobieta, ubrana w menażerię futer, podchodzi, by stanąć pomiędzy nimi. Jest bardzo młoda, ma niewiele więcej niż dwadzieścia lat, ciemne włosy i wysokie, wyraziste kości policzkowe. Udaje jej się wyglądać jednocześnie bardzo kontynentalnie i kulturalnie, co często wzajemnie się wyklucza. - Powiedziałabym, że to przyjmowanie nowego.

Mulaghesh wznosi róg w sardonicznym toaście.

- Wypiję za to. Niech jego stopy znajdą ziemię i niech pobiegnie szybko i daleko.
- Pani gubernator, nie zabrzmiało, jakby uważała to pani za prawdopodobne.

Mulaghesh chrząka do swojego ale.

Młoda kobieta nie wygląda na zaskoczoną, ale mimo to mówi:

- Pani gubernator, zawsze zniechęca nas fakt, że tak mocno wątpi pani w nasze wysiłki. Chciałabym, żeby udzieliła nam pani wsparcia, jako przedstawicielka naszego kraju.
- Nie jestem w pozycji do udzielania czegokolwiek, szczególnie wsparcia. Ani do wygłaszania oficjalnych przemówień. Niemniej, pani Iwańjo, czuję się w obowiązku dość często wysłuchiwać waszych

Ojców Miasta. I nie jestem pewna, czy pani pomysły, jakkolwiek ambitne, trafiają na podatny grunt.

- Wszystko się zmienia — oznajmia młoda kobieta.
- Istotnie - odpowiada Mulaghesh. Wpatruje się złowrogo w ogień. - Ale nie w stopniu, w jaki pani to sobie wyobraża.

Młoda kobieta wzdycha i odwraca się do Shary.

- Mam nadzieję, że pani gubernator za bardzo pani nie przygnębiła. Życzyłabym sobie, żeby pani pierwsze wydarzenie towarzyskie w Bułykowie nie pozostawiło przykrego wrażenia. W końcu jest pani naszym nowym ambasadorem kulturalnym, zgadza się?
- Owszem - odpowiada Shara. Uprzejmie kiwa głową. -Shara Thivani, ambasador kulturalna drugiej klasy i pełniąca obowiązki szefa Ambasady Sajpuru.
- Iwańja Restrojka, asystent kuratora studia, które dostarczyło eksponaty. To wielki zaszczyt, że jest tu pani z nami, ale muszę panią ostrzec, że nie każdy powita panią równie ciepło -czasami ciężko pozbyć się staroświeckich postaw. Mimo to mam nadzieję, że w ostatecznym rozrachunku uzna mnie pani za przyjaciółkę.
- Niemiernie mi miło, że pani tak mówi - odpowiada Shara. - Dziękuję.
- Proszę za mną, przedstawię panią wszystkim - mówi Iwańja. - Bądź co bądź, pani gubernator z pewnością nie będzie chciała zniżyć się do tak towarzyskich obowiązków.

Mulaghesh chwyta kolejne ale.

— To pani pogrzeb, pani ambasador - mówi. - Proszę się mieć na baczności. Pani Iwańja gustuje w pakowaniu się w kłopoty.

- Gustuję w rzeczach dobrych - odpowiada Iwańja, uśmiechając się błogo.

Natychmiast staje się jasne, że pomimo swojej młodości, pani Iwańja Restrojka jest zaprawioną w bojach osobą z towarzystwa. Przedziera się przez grupy wspaniałych i możnych niczym rekin poprzez ławicę ryb. W ciągu godziny Shara kiwa głową czy ściska rękę prawie każdej znakomitości na przyjęciu.

- Chciałam być artystką - zwierza się Sharze Iwańja. - Ale jakoś się nie złożyło. Nie miałam... Nie jestem pewna. Chyba wyobraźni, ambicji, albo obydwu. Żeby tworzyć coś nowego, trzeba mieć dystans, a ja zawsze bardzo się angażowałam.

Przed jednym z palenisk podnosi się niewielka wrzawa.

- O co może chodzić? - zastanawia się Iwańja, ale Shara już widzi: Sigrud staje jedną nogą na brzegu paleniska, sięga do ognia i wyciąga mały, żarzący się węgielek. Nawet stąd Shara słyszy skwierczenie, gdy Sigrud dotyka go palcami - ale gdy podnosi go do fajki, na jego twarzy nie widać bólu. Zaciąga się dwa razy, wypuszcza obłok dymu i wrzuca węgielek z powrotem. Następnie wycofuje się do przyciemnionego kąta, gdzie krzyżuje ręce, opiera się o ścianę i rzuca groźne spojrzenie.

- Kto to jest? - pyta Iwańja.

Shara odchrząkuje.

- To Sigrud, mój sekretarz.

- Twoim sekretarzem jest Drejling?

- Tak.

- Ale czy oni nie są dzikusami?

- Wszyscy jesteśmy wytworami naszych środowisk.

Iwańja wybucha śmiechem.

- Och, pani ambasador... Jest pani znacznie bardziej prowokacyjna niż mogłabym przypuszczać. To będzie wspaniała przyjaźń. Ach! Cóż za wycucie czasu! - odrywa się od Shary i truchta w kierunku wysokiego, brodatego dżentelmena, schodzącego powoli po schodach i podpierającego się białą laską. Dokucza mu prawe biodro: co drugi krok uderza się ręką, by je ustabilizować, ale i tak udaje mu się utrzymać królewską postawę. Ubrany jest w schludną, nieco konserwatywną, ale elegancką białą marynarkę. Do tego paraduje z ozdobną, złotą szarfą.

- Tu jest mój kochany! Długo zajęło ci zejście na dół. Wydawało mi się, że to kobietom przyszykowanie się zabiera wieczność, nie mężczyznom.

- Będę musiał skonstruować w tym cholernym domu windę - odpowiada on. - Te schody z pewnością mnie wykończą.

Iwańja zarzuca sobie nakrycie na ramiona.

- Brzmisz jak starzec.

- Tak się czuję.

- Ale czy tak całujesz? — Iwańja przyciąga go do siebie, choć on opiera się nieco, zanim się jej poddaje. Ktoś krzyczy radośnie. - Nie - oznajmia Iwańja. - Jeszcze nie. Kochany, czy będę musiała sprawdzać każdego dnia?

- Jeśli tak, to będziesz musiała wcześniej się umówić. Widzisz, ostatnio jestem potwornie zajęty. A teraz, któż to tym razem przyszedł ze mnie zdzierać? - pyta radośnie.

Spogląda na zgromadzonych. Blask ognia tańczy mu po twarzy.

Sharze ściska się serce: założyła, że facet jest stary, ale nie jest. W

istocie prawie w ogóle się nie postarzał.

Włosy ma dłuższe i choć na skroniach przyprószone siwizną, to wciąż mają one ów dziwny, czerwonawy odcień. Brodę ma jasnomiedzianą, choć krótko obciętą, w przeciwieństwie do ogromnych, strzępiastych bród, jakie popularne są wśród bogatych Kontynentanów. Shara przygląda się tej samej silnej szczęce i nieznikającemu uśmiechowi. I choć oczy straciły nieco ze swego dzikiego blasku, wciąż są to te same jasne, przeszywająco błękitne oczy, które tak dobrze pamięta.

Dyletanci i inni uczestnicy przyjęcia pomału zwalają mu się na głowę.

- A niech mnie - mówi. - Taki tłok! Mam nadzieję, że wzięliście ze sobą portfele... - Śmieje się, witając gości. Choć może znać jedynie garść z nich, traktuje ich niczym starych przyjaciół.

Shara obserwuje - zafascynowana, przerażona, wstrząśnięta. Jakże niewiele się zmienił, myśli.

Dochodzi do niej, że wciąż go za to nie cierpi. To z jego strony okropnie niegrzecznie, aż nie do zniesienia: po tych wszystkich latach miał okazać się być dokładnie taki sam.

- Widziałeś eksponaty? — pyta go Iwańja. - Kochany, musisz je zobaczyć, póki możesz. Są cudownie wstrętne. Świetne. Nie mogę się doczekać, co na to gazety.

- Prawdopodobnie będą zawierać wiele nieuprzejmych słów - odpowiada.

- Och, z pewnością. Będą sapać i dyszeć. Mam taką nadzieję. Jest tu Rivegny z odlewni. Już od jakiegoś czasu chciałeś, żeby się pojawił, prawda? Cóż, w końcu się pojawił. Spodziewałam się, że jak na dowodzącego przemysłem przystało, okaże się dość brutalnym typem, ale wydaje się być całkiem smukły. Musisz z nim pomówić. Przyniosę ci kopertę na czek. Och, no i jest z nami nowa ambasador kulturalna. Wiesz, że ma za asystenta człowieka z północy? Za sekretarza? I

wyobraź sobie kochany, że on tu jest! Włożył ręce do ognia, co było absurdalne! Nie mogę przestać się śmiać. Znaczący, wieczór układa się świetnie.

Podnosi wzrok, rozgląda się z rozbawieniem po pomieszczeniu. W pierwszym odruchu nie zatrzymuje na niej wzroku. Shara aż zatacza się od tej zniewagi, jakby uderzyła ją ściana dźwięku.

Ale wtedy jego oczy rozbłyskują, a on sam powoli wraca do niej spojrzeniem.

W ciągu kilku sekund przez jego twarz przebiega wiele emocji: Shara najpierw dostrzega zmieszanie, potem rozpoznanie, niedowierzenie i złość. Po tej mieszaninie emocji jego delikatne rysy układają się w znajomy kształt: pogardliwy uśmieszek, zadufany i elegancki tak bardzo, jak tylko to możliwe.

- Nowa ambasador?

Shara poprawia okulary.

- Ojej.

Sigrud wpatruje się w ogień, masując kciukiem wnętrze urękawiczonej dłoni. Przypomina sobie powiedzenie ze stron rodzinnych: Zazdrość ogniowi, ponieważ albo pali się, albo nie. Ognie nie czują zadowolenia, smutku, złości. Palą się, albo nie.

Zrozumienie owego powiedzenia zajęło Sigrudowi kilka lat, ale znacznie więcej poświęcił na przejęcie cech ognia: stał się tylko żywy i nic więcej.

Sigrud obserwuje, jak Shara i mężczyzna z laską krążą wokół siebie pośród tłumu. Widzi jak stoją, twarze prawie odwrócone, ale nigdy do końca: w każdej chwili pozostają wzajemnie w swoim polu widzenia,

zaglądając komuś przez ramię czy spoglądając w bok, by pochwycić udawany brak zainteresowania.

Obserwują bez obserwacji. Jego zdaniem jest to dość niezdarny taniec.

Mężczyzna z laską ciągle spogląda na zegarek - być może by nie wyglądać, jakby zbyt ochoczo wypatrywał spotkania, stwierdza Sigrud. Po przywitaniu się z przybyłymi, gospodarz zatrzymuje lokaja i szepcze mu coś do ucha. Ten kilkakrotnie okrąża tłum, zanim wreszcie podchodzi do Shary. Podaje jej małą, białą wizytówkę. Shara chowa ją z uśmiechem i po zakończeniu rozmowy z gadatliwą młodą dziewczyną w futrze wymyka się na górę.

Sigrud odwraca się z powrotem w stronę ognia. Z pewnością byli kochankami. Ich ruchy zdradzają przeszłe pieszczoty. Jest tym rozbawiony: choć mała i cicha, Shara Komayd jest równie groźna jak on. Dostrzega jednak, że dziwienie się temu jest niemądre. Wszystkie stworzenia na tym świecie zaznają w swoim życiu odrobiny miłości, nawet jeśli na krótko.

Sigrud przypomina sobie statek wielorybiczny Svordyaaling. Pokład śliski od krwi i tłuszczu, po tym jak załoga obdarła martwego wieloryba ze skóry, tak jak obiera się jabłko. Cuchnący, krwawiący zewłok przyczepiony do boku statku, za którym unosiła się chmara mew. Dzień po zabiciu, po pościgu, po tym jak przywódca przebił harpunem płuca bestii, aż z grzbietowego nozdrza wieloryba buchnęła krew. Po tym jak wciągnęli wieloryba z powrotem na statek po przepłynięciu oceanu... Podczas takich dni, siedząc głęboko pod pokładem, Sigrud wyciągał z płaszcza medalion. Trzymał go w dłoniach, otwierał i oglądał w świetle świec.

Sigrud patrzy na swoją bolącą rękę. Nie może sobie przypomnieć wyglądu medalionu, ani znajdującego się wewnątrz niego portretu. Wydaje mu się, że pamięta przynajmniej ciężar medalionu trzymanego w dłoni, ale być może tylko sobie to wyobraża.

- Wydaje się pan być czymś bardzo zaabsorbowany - odzywa się głos. Przy ogniu siada obok niego kobieta w średnim wieku, w oczywisty sposób bogata i wpływowa. - Może drinka? - Wyciąga w jego stronę kieliszek z winem.

Sigrud wzrusza ramionami, przyjmuje naczynie i opróżnia je jednym łykiem. Złota bransoleta na lewym nadgarstku dzwoni, gdy uderza w guziki rękawa. Kobieta patrzy zafascynowana i zaciekawiona.

- Doprawdy wyjątkowy z pana gość - mówi. - Wątpię, czy Votrow kiedykolwiek gościł pod swoim dachem kogoś takiego jak pan.

Sigrud pyka z fajki i patrzy w ogień.

- A pan w jakim celu tu przybył? - pyta dalej kobieta.

Sigrud ponownie zaciąga się fajką. Zastanawia się.

- Kłopotów - odpowiada wreszcie.

Ktoś opowiedział sprośny żart; część gości wybucha śmiechem, a ci bardziej taktowni odwracają się urażeni.

Brzęk szkła, szum śmiechu. Wiwaty rozbrzmiewające w jakiejś odległej przestrzeni tego osobliwego domu. Jakże głucho i strasznie brzmi dziki odgłos przyjęcia zza kilku metrów kamienia, myśli Shara.

Spiralne schody pną się jeszcze wyżej. Shara zastanawia się, czy on będzie czekał na ich szczycie; jeśli tak, to mądrzej byłoby potknąć się i zlecieć na dół niż ryzykować rozmowę.

Zbiera się w sobie i dociera schodami do czegoś, co rzekomo stanowi bibliotekę, ale jest zdecydowanie za duże jak na jedno pomieszczenie. Jedną ze ścian zdobi olbrzymi rodzinny portret. Podczas ich dwuletniego związku Vohannes nie wspomniał o rodzicach ani razu,

co teraz wydaje się jej dziwne. Wyglądają oni jednak w dużym stopniu tak, jak sobie ich wyobrażała: są dumni, królewscy i wyniośli. Ojciec Votrow prezentuje niemal militarystyczny mundur, z dużą ilością orderów i baretek; Mama Votrow ma na sobie wykwinną balową suknię w kolorze różowym. To ten rodzaj ludzi, którzy co pewien czas oceniają swoje dzieci, zamiast je wychowywać. Ale najbardziej zaskakuje ją stojący obok wyglądającego na jakieś jedenaście lat Vohannesa drugi chłopiec, trochę starszy, o ciemniejszych oczach i bledszej skórze. Ta dwójka wygląda tak podobnie, że mogą być jedynie braćmi, a jednak Vohannes o nim także nigdy nie wspominał.

Wzmaga się wiatr; migoczą płomyki świec. Shara oblizuje palce, bada powietrze i identyfikuje źródło przeciągu: pobliskie okno. Podchodzi do niego.

Światła Bułykowa rozciągają się poniżej niczym morze błękitno-białych gwiazd. Tego wieczoru księżyc świeci słabo, ale Shara i tak dostrzega pośród dachów dziwne, obce formy: na wpół zawaloną świątynię, zniszczony szkielet dworku, kręcone i chwiejne schody.

Spogląda w dół. Trzech strażników w hełmach i z kuszami patroluje mury domu Votrowów. ciekawe. Nie widziała żadnych strażników, gdy wchodzili od frontu.

Słysząc odgłos naciskanej klamki. Shara odwraca się i przygląda, jak ktoś popycha dwuskrzydłowe drzwi, a pomiędzy nimi pojawia się końcówka białej laski.

Ostatnia szansa na ucieczkę! Shara wstydzi się, że natychmiast całkowicie nie zbywa tej myśli.

Kulejąc, wchodzi Vohannes. Biały płaszcz w świetle lamp wydaje się miodowozłoty. Mężczyzna spogląda na nią niedbale, unikając kontaktu wzrokowego, po czym podchodzi do wózka z drinkami i coś sobie nalewa, by następnie pokuśtykać dalej.

- To pomieszczenie jest o wiele za duże - oznajmia. - Nie uważasz?

- Zależy od przeznaczenia. — Shara nie wie, co zrobić z rękami czy ciałem: miała już do czynienia z wieloma dygnitarzami i arystokratami, ale teraz uczucie skrępowania gwałtownie ją przygniata. - Przykro mi, że wyciągnęłam cię z twojego własnego przyjęcia.

- A, to. Byłem już na takich. Wiem, jak się kończą. - Vohannes uśmiecha się do niej. Jego uśmiech wciąż jest obezwładniający. - Nie siedzę, jak to mówią, na szpilkach. Podoba ci się widok?

- Jest dość... spektakularny.

- Można tak powiedzieć. - Dołącza do niej przy oknie. -Mój ojciec nie przestawał gadać o tym widoku. Takim, jaki był kiedyś. Wskazywał palcem i mówił: „Tu, na rogu, znajdował się Szpon Kiwreja! A tam, po drugiej stronie parku, Studnia Ahanas, skąd kolejka ciągnęła się dalej wzdłuż ulicy”. Byłem pod wrażeniem, oczarowany do momentu, kiedy zdałem sobie sprawę, że mojego drogiego taty nie było wtedy jeszcze na świecie. Wszystko to miało miejsce na długo przed nim. Nie mógł tego wiedzieć. Po prostu mówił tak, jak mu się wydawało. Teraz już nie obchodzi mnie ani co miał na myśli, ani czym były te wszystkie starocie.

Shara kiwa sztywno głową.

Vohannes patrzy na nią z ukosa.

- No, dalej.

- Co dalej?

- Dalej, opowiadaj. Wiem, że aż cię nosi.

- Cóż... - Shara odkasłuje. — Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć... Szpon Kiwreja był wysokim, metalowym monumentem z małymi drzwiczkami z przodu. Odwiedzający wchodzili przez nie i znajdowali tam coś, co czekało specjalnie na nich. Co zmieniało ich życie.

Czasami na lepsze, jak tobolek lekarstw, by uzdrowić chorego krewnego. A czasem na gorsze: worek monet razem z adresem prostytutki, która z czasem doprowadzała klienta do ruiny.

- Ciekawe.
- Prawdopodobnie było to świadectwo osobliwego poczucia humoru Bóstwa Dżukowa: innymi słowy, powtarzający się żart.
- Rozumiem. A studnia?
- Och, zawierała po prostu leczniczą wodę. Bóstwo Ahanas miało ich pełno na całym Kontynencie.

Vohannes potrząsa z uśmiechem głową.

- Wciąż nieznośna z siebie mądrała.

W odpowiedzi otrzymuje spięty, gorzki grymas.

- A z ciebie zadowolony z siebie beztroski ignorant.
- Czy ignorancją jest, że nie zależy mi, by to wiedzieć?
- Tak. Właściwie to niemal definicja ignorancji.

Vohannes taksuje ją wzrokiem.

- Wiesz, wyglądasz zupełnie inaczej niż się spodziewałem.

Shara jest zbyt urażona, by odpowiedzieć.

- Myślałem, że będziesz miała na sobie oficerki i szary żołnierski mundur - mówi. - Jak Mulaghesh tam w dole, tylko bardziej.
- Byłam aż taką zmorą?
- Byłaś sakramencko bystrą małą faszystką - mówi Vo. - Albo może

małą i dziką młodocianą patriotką, jakich wiele w Sajpurze. Spodziewałem się, że wkroczysz tu w glorii chwały, a nie że wślizgniesz się przez tylne drzwi jak mała myszka.

- Och, przymknij się, Vo.

Ten wybucha śmiechem.

- Jakież to niezwykle, że tak szybko wracamy do starych przyzwyczajzeń, nawet po tylu latach rozłąki! Powiedz mi: czy powinienem cię aresztować za pogwałcenie RM? Zauważyłem, że wspomniałaś kilka zakazanych imion...

- Myślę, że jest tam klauzula - odcina się Shara - uściślająca, że ambasador zawsze chodzi po terytorium Sajpuru. Wiesz, ta głupkowata przemowa to chyba najdłuższe, co kiedykolwiek powiedziałeś o swojej rodzinie.

- Tak?

- W szkole nigdy o nich nie mówiłeś. - Shara kiwnięciem głowy wskazuje obraz. - A już z pewnością nigdy nie powiedziałeś mi, że masz brata. Wygląda prawie dokładnie jak ty.

Tym razem to jemu przykleił się do twarzy grymas.

- Miałem brata - odpowiada. - I pewnie dlatego ci o nim nie powiedziałem, bo nie był dobrym bratem. Nauczył mnie grać w Tovos Va; więc chyba to jemu właśnie powinniśmy być wdzięczni za to, że na siebie trafiliśmy. - Shara próbuje dopatrzeć się w tej wypowiedzi ironii, ale jej nie dostrzega. — Zmarł, zanim poszedłem do szkoły. Nie zginął razem z moimi rodzicami ani podczas Czasu Dżumy, tylko... później.

- Przykro mi.

- Naprawdę? Mnie jakoś nie. Jak już mówiłem, nie był zbyt dobrym

bratem.

- Twoja rodzina zostawiła ci wspaniały dom. O tym też nigdy nie mówiłeś.
- Bo wtedy jeszcze nie istniał. - Vo stuka laską o kamienną posadzkę.
- Zburzyłem starą posiadłość Votrowów od razu po powrocie ze szkoły i wybudowałem tę. Wszyscy moi prawni opiekunowie - stare trolle łąziły za mną jak pisklęta za mamą, serio - wszyscy byli przerażeni, zwyczajnie przerażeni. A to nawet nie była prawdziwa rezydencja Votrowów! Przynajmniej nie ta kilkusetletnia, o której wszyscy mówili. Nikt nie wie, gdzie do cholery podziąła się tamta, razem z resztą Bułykowa. Zawsze po prostu udawaliśmy, że to ten sam dom i nic się z nim nie stało; nie było Mgnienia, Wielkiej Wojny, niczego. Żałuję tylko wstawienia tu tych wszystkich schodów. - Mruga i łapie się za biodro.
- Spadłeś ze schodów?

Pełne bólu kiwnięcie głową.

- Przepraszam - mówi Shara. - Boli?
- Na zmianę pogody. Ale powiedz mi szczerze - Vohannes rozpościera ramiona i odwraca głowę. Światło pada mu na twarz. - Tak poza tym, jak obszedł się ze mną czas? Czy wciąż jestem tym przystojniakiem, w którym zadurzyłaś się po uszy od pierwszego wejrzenia? Przyznaj, że tak.

Shara opiera się chęci wypchnięcia go przez okno.

- Jesteś strasznym dupkiem, Vo. To się nie zmieniło.
- Potraktuję to jako „tak”. Nie pozwolę ci na zgrywanie uprzejmej, szarej myszki. Nie ze mną te numery. Dziewczynie, którą znałem nikt nie dałby rady stąpić ostrza.

- W takim razie być może nie znałeś mnie tak dobrze, jak ci się wydaje - odpowiada Shara. - Zastanawiałeś się kiedyś, czy twoi rodzice pochwaliliby dom i to przyjęcie?

Vohannes szeroko się do niej uśmiecha.

- Podejrzewam, że w tym samym stopniu, co rozmowę z sajpurskim oficerem wywiadu.

Ktoś na dole zanosi się śmiechem. Trzaska tłuczone szkło i ich uszu dochodzi jęk publiczności.

No i tak oto doszliśmy do sedna, myśli Shara.

- Cieszę się, że się nie dziwisz - mówi Vohannes. - Zresztą, nie sprawiasz wrażenia, jakbyś to ukrywała. Nie było szans, żeby Ashara Komayd, najlepsza z klasy w Fadhuri, bratanica Minister Spraw Zagranicznych i prawnuczka przekłętego Kaja została jedynie ambasadorem kulturalnym.

Shara uśmiecha się smutno na te pochlebstwa.

— I chociaż Ashara to imię częste jak woda—stwierdza Vo—to już Komayd, cóż... Trzeba było szybko się tego pozbyć. Stąd Thivani.

- Mogłam wyjść za mąż - zauważa Shara. - I przyjąć nazwisko męża.

- Nie jesteś zamężna — mówi Vohannes lekceważąco. Wylewa resztę drinka za okno. - Potrafię poznać zamężną kobietę po pewnych zachowaniach i znakach, których po tobie nie widać. Nie martwisz się, że ktoś cię rozpozna?

- Kto? - pyta Shara. - Na Kontynencie poza tobą i mną nie ma nikogo z Fadhuri. Wszyscy politycy, którzy znali moją rodzinę, zostali w Ghaladeshu. Tutaj są tylko Kontynentanie i wojsko, a nikt z nich nie zna mojej twarzy.

- A gdyby ktoś szukał Ashary Komayd?
- Dowiedziałby się, że wycofała się z życia publicznego, żeby uczyć w szkółce w Tohmayu, na południu Sajpuru. Szkole, którą jak mi się wydaje, zamknięto jakieś cztery lata temu.
- Mądrze. Zatem jedynym powodem, dla którego ktoś o twojej randze, jakakolwiek by ona nie była, miałby przybyć do Bułykowa właśnie teraz... Cóż, musi chodzić o tego Pangyuia, prawda? Ale nie mam pojęcia, dlaczego przyszedł z tym do mnie. Unikałem go jak dżumy. Zbyt wiele politycznych konsekwencji.
- Odnowiciele - mówi Shara.

Vohannes kiwa powoli głową.

- Ach, rozumiem... Jakie to polityczne z twojej strony. Kto opowie ci o nich lepiej niż człowiek, którego nienawidzą najbardziej na świecie? - Vohannes zastanawia się przez chwilę. — Porozmawiajmy gdzieś indziej - mówi. - Gdzie będzie mniejszy pogłos.

Morotka, lokaj Votrowów, przebiera nogami z zimna. To głupie, że musi tu być. Przyjęcie zaczęło się kiedy, godzinę temu? Mniej? Lecz jego obowiązkiem jako lokaja jest przytrzymywanie drzwi gościom i zajmowanie się ich samochodami.

Wielu z tych głupich ludzi woli tylko pojawić się i dać się zauważyć; pokazać się, jakkolwiek by to nazwać i czym prędzej wyjść. Pan Votrow wie jednak, że niestety ludzie ci zwykle są ważniejsi od innych i potrzebują specjalnego traktowania. Ale czy nie mogli pojawić się na wystarczająco długo, by Morotka mógł łyknąć śliwkowego wina, zaciągnąć się tabaką i ogrzać stopy przy kuchennym ogniu? Nie, oczywiście, że nie. Przebiera więc nogami z zimna i zastanawia się, czy praca w kuchni nie byłaby lepsza. Nie ma nic przeciwko marchewkom i ziemniakom. Dałby sobie z nimi radę.

Od zachodu rozlega się brzęk, jakby puszka toczyła się po ulicy. Morotka rozgląda się z zaciekawieniem. Na zachodnim murze posiadłości dostrzega strażnika - czy nie powinno być ich dwóch? Pan Votrow woli, żeby jego goście nie widzieli brzydkich konieczności, jakie wiążą się z jego raczej radykalnymi poglądami, ale zwykle po rozpoczęciu przyjęcia ochrona wraca do zwykłych obowiązków.

Morotka odchrząkuje. Być może głupiec ma dość rozumu, by unikać obowiązków na zewnątrz, gdy tylko się da, myśli. Mruży oczy. Czy tam na murze coś jest? Czy coś bardzo wolno porusza się w stronę pozostałego strażnika?

Na końcu podjazdu błyskają światła. Samochód z kasznięciem odpala silnik i zaczyna toczyć się w stronę rezydencji.

- O, nie - mówi Morotka. Wychodzi i macha ręką. - Nie, nie, nie. Co ty robisz?

Samochód jedzie w jego stronę. Gdy zakręca po podejździe, Morotka krzyczy:

- Podejdziesz na wezwanie, jasne? Nie dałem sygnału. Nie obchodzi mnie, co mówi twój pan, podejdziesz na wezwanie.

Gdy samochód zatrzymuje się przed nim, Morotka kątem oka dostrzega ruch na murze posiadłości: jakaś ciemna postać wychyla się i wskazuje na pozostałego strażnika. Coś trzaska, a strażnik sztywnieje i pada do tyłu, jego hełm odbija się od muru i z brzękiem toczy się po ulicy poniżej.

W oknie samochodu coś błyska.

- Ale przecież zostaliśmy wezwani.

Rozlega się ostre trzaśnięcie i Morotce zdaje się, że samochód odpływa.

Sigrud wpatruje się w ogień, pogrążony we wspomnieniach.

Krew w wodzie, harpun w rękach. Potworny cień na morzu rzuca się, zawodzi, tryska posoką. Wtedy uznał te wydarzenia za piekielne, chociaż nie znał jeszcze piekła.

Skórzany materiał rękawiczki piszczy, gdy Sigrud zaciska dłoń w pięść.

- Wszystko w porządku? - pyta jego towarzyszka. Przygląda mu się uważnie. — Może kolejny kieliszek wina? - Przywołuje gestem lokaja.

Wtedy do uszu Sigruda dociera bardzo słaby, ale jednak wyraźny dźwięk: miękkie trzaśnięcie dochodzące sprzed rezydencji. Sigrud bardzo dobrze go zna.

W końcu coś na odwrócenie uwagi.

- Proszę - mówi kobieta, wracając z kolejnym kieliszkiem. - Oto...

Ale patrzy już jedynie na puste miejsce.

- Wrogiem starego Bułykowa - mówi Vohannes - nie jest ani Sajpur, ani ja, ani ruch na rzecz Nowego Bułykowa. Jest nim czas. - Siedzą na łóżku w jednym z pokoi gościnnych. Jest on, podobnie jak inne na tym piętrze, pełen mocnej, ciepłej czerwieni oraz złocień. Teren posiadłości kończy się zaraz za oknem, a poniżej mury delikatnie zakręcają wokół domu. - Widzisz, istnieje ogromna luka pokoleniowa w historii Bułykowa: po Wielkiej Wojnie i Mgnieniu wiele czasu zajął powrót do normalności. Istnieje wymierająca część populacji, która wciąż pamięta stare zwyczaje i uparcie się ich trzyma, a rośnie też nowe pokolenie, które nie zdaje sobie z nich sprawy i którego nie obchodzą. Ci ludzie wiedzą tylko tyle, że są biedni, a nie muszą tacy być.

- Ruch na rzecz Nowego Bułkowa - odpowiada Shara.

Vohannes macha ręką.

- To tylko nazwa. Mamy do czynienia z czymś więcej niż samą polityką. Chodzi o zmianę pokoleniową, której przecież nie stworzyłem osobiście: po prostu płynę z prądem.
- A Odnowiciele cię za to nie cierpią.
- Jak mówiłem, walczą z historią. A taką walkę przegrywa każdy.
- Grozili ci jakoś?
- Nie bądź niedorzeczna.
- Więc po co ci strażnicy na zewnątrz?

Vohannes robi dziwną minę.

- Hmm. Wolę zachować w tej kwestii dyskrecję... Ale oczywiście, że ty to zauważyłaś. Nigdy nie grozili mi bezpośrednio, o nie. Ale wiele politycznych gadek balansuje na granicy przemocy. Najbardziej krytykuje mnie Ernst Wykłów, którego można nazwać najważniejszym graczem w całej tej rozgrywce o Odrodzenie. Kolejny Ojciec Miasta. Raczej dogmatyczny gość. Szasta forszą. Myślę, że można powiedzieć, iż jest moim politycznym przeciwnikiem. Nigdy nie walczyłem z nim bezpośrednio, bo nie muszę, ale on przedstawia mnie nie jako przeciwnika politycznego, a demona wysranego z piekła.
- Wygląda na mądrego gościa.
- Nie próbuj być urocza. Jesteś w tym okropna.
- A ten Wykłów - mówi Shara. — Czy mógł...
- Czy mógł być jednym z naj większych agitatorów za protestami

przeciwko Panguiowi? — Vohannes uśmiecha się dziko; zaskakująco brzydki wyraz twarzy. - O, tak. Nie wątpię, że siedzi w tym po szyję i nie płakałbym, gdybyś poszczuła na niego psy. Gość jest cuchnącym worem koziego gówna. Z brodą.

- Z ruchem Nowego Bułykowa związanych jest jeszcze dwóch Ojców Miasta - stwierdza Shara. - Ale żaden nie wzbudza takiej nienawiści jak ty.

- No cóż - przyznaje Vohannes. - Stałem się dość ikoniczną postacią. Wiesz, że zawsze gustowałem w modzie i architekturze... A dzięki temu mogę się z ludźmi drażnić. Pozwalam sobie na nieco dekadencji w przestrzeni publicznej i obrażam ich staroświeckie wartości: skromność i represję. W odpowiedzi oni perorują nienawistnie, a mnie przybywa wielu nowych wyborców. — Delikatnie zaciąga się papierosem. - Tak czy tak wygrywam. Chociaż nie ufają mojej przeszłości... Biorąc pod uwagę moje wykształcenie, uważają mnie za pół-Sajpura. - Spojrzenie pełne winy. - Ale mam... kilka własnych projektów, które mogą spowodować tarcia.

- Na przykład?

- Cóż... Sajpur jest oczywiście największym na świecie importerem broni. Wszyscy ci żołnierze muszą używać kuszy zamiast strzelb, czyli zwykłych zmechanizowanych łuków i strzał. Jak zapewne wiesz, chodzi o saletrę. Sajpur i jego sojusznicy prawie jej nie mają, a nie da się wytwarzać bez niej prochu. Kontynent natomiast ma saletry w bród...

- Chcesz zbroić Sajpur? - pyta zaskoczona Shara. Pytanie, którego nie zadaje to: „Dlaczego nic o tym nie wiem?”

Vohannes wzrusza ramionami.

- Moja rodzina zajmowała się produkcją cegieł. Górnictwo zbytnio się od tego nie różni.

- Ale Vo, to... Czyś ty oszalał?
- Oszalał?
- Tak! To znacznie, znacznie bardziej niebezpieczne od jakichkolwiek politycznych kombinacji, z jakimi miałeś do czynienia! Kolaboracja z Sajpurem przy zwykłym handlu jest już wystarczająco kontrowersyjna, ale tworzenie broni... Dziwię się, że nikt w Bułykowie dotąd cię nie zamordował!
- Tak, cóż, jeszcze nie ogłosiłem tego publicznie... Wygląda na to, że zawieranie tego typu umów z Sajpurem trochę trwa.
- Więc naprawdę zamierzasz czerpać korzyści z wojny?
- Zamierzam — mówi zdecydowanie Vohannes - sprowadzić do Bułykowa przemysł i dobrobyt. Przemysłem Sajpuru jest wojna. To największy biznes na świecie. Bułyków jest niewyobrażalnie biedny. Poza Ahanasztanem ciężko powiedzieć, żebyśmy mieli sensowny port, podczas gdy stocznie Ghaladeshu co miesiąc produkują nowe pancerniki. A my mamy surowce dla tego wielkiego i strasznego przemysłu. Nie mogę zmienić pieprzonych okoliczności geopolitycznych. Po prostu jakoś sobie z nimi radzę.

Shara śmieje się z niedowierzaniem.

- Ojej... Miałam już do czynienia z wieloma hersztami i watażkami, ale nigdy bym nie pomyślała, że będzie się do nich zaliczać Vohannes Votrow.

Vohannes przybiera królewską pozę.

- Robię to co trzeba, żeby pomóc mojemu ludowi.
- Och Vo, proszę. - Shara wzdycha. - Odpuść mi całą tę retorykę. Słyszałam już dość przemówień.

-To nie jest retoryka. Ani przemówienie! Shara, próbowałam już wcześniej nawiązać kontakt z Sajpurem i jego partnerami handlowymi, ale Sajpur nie chce nam wyświadczyć takiej przysługi; chce, żeby sprawy miały się tak jak dotychczas, to znaczy żeby Sajpur miał nad wszystkim kontrolę. Nie zależy mu na bogactwie Bułkowa, tak samo jak nie chce, żebyśmy przeprowadzali rytuały Bóstw. Jeśli zostanę zmuszony do prostytuowania się, by pomóc memu miastu, mojemu krajowi, z radością tak uczynię. Naprawdę ani trochę się nie zmienił, myśli Shara, rozdarta między rozbawieniem a szokiem. Wciąż jest, na swój przewrotny sposób, pełnym szczytnych celów idealistą.

- Vo, posłuchaj - mówi Shara. - Pracowałam już z ludźmi, którzy robili to, co ty teraz. Wiem, jak to działa. Większość z nich stanowi teraz pokarm dla robaków, ryb, ptaków albo głębokich korzeni drzew.

- Więc martwisz się o moje bezpieczeństwo.

- Tak! Oczywiście, że tak! To nie jest gra, w którą chciałabym, żebyś grał ty!

- To twoja gra, chcesz powiedzieć.

- Tak! Nie rozumiem, dlaczego nie jesteś zadowolony z tego, co masz!

- To znaczy z czego?

-Wygląda na to, że masz ogromny majątek, obiecującą karierę polityka oraz czułą kochankę!

- Narzeczoną - mówi obojętnie.

Coś wewnątrz Shary się otwiera. Brzuch wypełnia jej lód.

- Ach.

Nie powinno mi tak zależeć, myśli. Do cholery, jestem

profesjonalistką. Co za durne uczucie...

- Tak. Nie miała dziś na palcu pierścionka. Ma kamień wielkości szklanki do whiskey. - Pokazuje wielki, wyobrażony klejnot. - Mówi, że to tradycja. I pokazówka. I tak jest, ale... Nie ustaliliśmy jeszcze daty. Żadne z nas nie lubi zbyt planować. - Vohannes spogląda na swoje ręce. - Przepraszam. To pewnie niezbyt miły temat - odkasłuje - do rozmowy.

- Zawsze wiedziałam, że czeka cię świetlana przyszłość, Vo - mówi Shara. - Ale szczerze mówiąc, nigdy nie wyobrażałam sobie siebie biorącego ślub. Znaczy...

Cisza się przeciąga. W końcu Vohannes kiwa głową.

- Owszem - stwierdza ostrożnie. - Ale. Pewne rozwiązania uznawane za granicą nie są tutaj... tak dobrze tolerowane. Kolkasztaninem jest się na całe życie... - Wzdycha i zaczyna masować sobie biodro. — Shara, potrzebuję twojej pomocy. Bułyków jest zrujnowanym miastem, owszem, ale może być wielki. Sajpur trzyma rękę na kasie... A ja potrzebuję jedynie malutkiej części. Zrobię wszystko, o co poprosisz.

Realia mojej pracy nigdy nie wydawały się jeszcze tak nierzeczywiste i absurdalne, myśli Shara.

Zanim jednak cokolwiek odpowiada, na niższych piętrach rozbrzmiewają krzyki.

- Co się dzieje? - pyta Vohannes, ale Shara stoi już przy oknie. Ledwie jest w stanie dostrzec kształty dwóch ciał leżących w cieniu pod murami posiadłości.

- Hmm - odpowiada.

Kopią w drzwi i równocześnie wpadają do pokoju. To doprawdy perfekcyjne: piękna, śmiertelnie niebezpieczna choreografia; szary materiał faluje, gdy dopadają dekadentkich imprezowiczów. Maski Czejszeka nieznacznie się zsuwa — zasłania widok w lewym kącie oka - ale poza tym ten czuje się wspaniały, olśniewający, wybrany.

Patrzcie no tylko, jak ci zdrajcy i grzesznicy drżą i wrzeszczą. Patrzcie, jak uciekają. Patrzcie na mnie i bójcie się.

Jeden z jego towarzyszy przewraca kopniakiem barek. Butelki się roztrzaskują; morze alkoholu zalewa hol. Czejszek i jego towarzysze broni krzyczą do ludzi, by ci padli na ziemię. Czejszek celuje z kuszy do człowieka, który wygląda jakby chciał zgrywać bohatera; ryczy mu w twarz i rzuca nim o podłogę.

Spełnianie woli Bóstw, myśli Czejszek, jest ekscytujące i słuszne.

Kobieta wrzeszczy. Czejszek wydziera się na nią, by się zamknęła.

Szybko i łatwo jest już po wszystkim. Właściwie czego spodziewać się po tych miękkich, wytwornych ludziach. Gubernator polis także tu jest, jak można się było spodziewać, choć mają wyraźne rozkazy, by jej nie ruszać. Ale czemu, czemu? Dlaczego przebaczać właśnie tej, która zatwierdziła tak wiele niesprawiedliwych kar?

Kiedy zakładnicy są już wystarczająco zastraszeni, dowódca Czejszeka (żaden z nich nie zna imion pozostałych - nie potrzebują imion, jako że są jednym) przechadza się wśród imprezowiczów, łapie ich za włosy i podnosi im głowy, by spojrzeć na twarze.

- Nie tutaj - mówi po jakimś czasie.

- Na pewno? - pyta Czejszek.

- Wiem, kogo szukam. - Dowódca rozgląda się po tłumie zakładników, wybiera starszą kobietę i celuje kuszą w jej lewe oko. - Gdzie?

Kobieta zaczyna płakać.

- Gdzie?
- Nie rozumiem!
- Brakuje nam tu kogoś specjalnego, tak? - pyta sarkastycznie. - Gdzie ten ktoś może być?

Stara kobieta wskazuje z zawstydzeniem na schody.

~ Chyba mnie nie okłamujesz?

- Nie! - krzyczy. - Votrow poszedł z kobietą na górę!
- Kobietą? A więc nie jest sam? Na pewno?
- Tak. I... - Kobieta się rozgląda.
- Co? O co chodzi?
- Ten w czerwonym płaszczu... Nigdzie go nie widzę.
- Kto? - Gdy kobieta nie odpowiada, mężczyzna łapie ją za włosy i potrząsa jej głową. - Co przez to rozumiesz? - ryczy.

Zaczyna szlochać i nic nie da się już z niej wyciągnąć.

Dowódca ją puszcza. Wskazuje na trzech swoich ludzi.

— Zostańcie tu — mówi. — Pilnujcie ich. Zabijcie każdego, kto się ruszy. — Następnie wskazuje na Czejszeka i pozostałą czwórkę. — Pozostali na górę, za mną.

Wchodzą cicho po schodach, pędzą niczym wilki przebijające się przez górskie lasy. Czejszek drży z radości, podekscytowania i gniewu. Jakże to właściwe, że na zdrajców, grzeszników i ohydnych ignorantów spadnie karząca ręka bólu, sięgająca po nich z zimna nocy. Do

pewnego stopnia spodziewał się, że zastaną ich w trakcie jakiegoś pornograficznego rytuału, krew zanieczyszczona zagranicznymi alkoholami, powietrze wypełnione zapachem kadzidła, a oni sami z radością oddający się hańbiącym czynom. Czejszek słyszał na przykład o miejscach niedaleko Qivos, gdzie — oczywiście z pełnym przyzwoleniem Sajpuru - kobiety przechadzają się po ulicach w sukienkach tak krótkich, że widać ich... ich...

Rumieni się na samą myśl.

Wyobrażanie sobie takich rzeczy to grzech. Trzeba oczyścić z tych myśli umysł i ducha.

Dowódca podnosi dłoń w rękawicy, gdy dochodzą do drugiego piętra. Zatrzymują się. Obraca zamaskowaną twarz, zaglądając przez małe, czarne otwory w drzwiach. Następnie wskazuje na pozostałych i Czejszek z dwoma innymi ruszają przeszukać piętro, podczas gdy dowódca i pozostali idą jeszcze wyżej.

Czejszek ogląda korytarze i sprawdza pokoje, ale nic nie znajduje. Jak na tak duży dom, jest tu okropnie pusto. Kolejna hańbiąca oznaka wybryków Votrowa, myśli Czejszek. Nawet kamień własnego kraju wykorzystuje w zły sposób!

Czejszek podchodzi do zakrętu, dwukrotnie puka w ścianę. Przysłuchuje się i słyszy kolejne pukanie, następnie trzecie, z głębi domu. Kiwa z zadowoleniem głową, świadom bliskości swych towarzyszy, i wraca do patrolowania.

Wygląda za okno. Nic. Rozgląda się po pokojach. Nic poza pustymi łózkami. Być może Votrow trzyma tu swoje kochanki, po jednej w każdym pokoju, myśli Czejszek. Czuje się oburzony i nieczysty.

Skup się. Sprawdź jeszcze raz. Puka po raz kolejny. Słyszy pukanie z innego miejsca, po czym...

Nic.

Zatrzymuje się. Słucha. Puka jeszcze raz. Znow słyszy w odpowiedzi drugie pukanie, ale trzeciego nie ma.

Może odszedł za daleko, żeby mnie usłyszeć. Czejszek zna swoje rozkazy i zaczyna się wycofywać, podążając wzdłuż korytarzy w stronę schodów.

Gdy do nich dociera, puka dwukrotnie w mur i przysłuchuje się.

Tym razem nic - ani drugiego, ani trzeciego.

Zwalcza rosnącą w piersi panikę i puka ponownie.

Nic. Rozgląda się, myśląc, o co może chodzić i wtedy dostrzega postać siedzącą w przyciemnionym foyer, rozpartą w białym, wyściełanym fotelu.

Czejszek unosi kuszę. Postać się nie porusza. Wygląda na to, że go nie zauważyła. Czejszek wycofuje się w stronę ściany, podążając wzdłuż granicy cienia z kuszą cały czas wycelowaną w tę postać...

Gdy się zbliża, dostrzega, że ubrana jest na szaro, a na kolanach ma szarą maskę.

Czejszek opuszcza kuszę.

To jeden z jego towarzyszy. Ma zdjętą maskę, a zgodnie z rozkazem nigdy mieli ich nie ściągać.

Czejszek robi jeszcze dwa kroki do przodu i zatrzymuje się. W poprzek odsłoniętej szyi mężczyzny biegnie czerwono-purpurowy pas odsłoniętego ciała. A on sam wpatruje się w sufit wzrokiem trupa.

Czejszekowi robi się niedobrze. Rozgląda się, chce zapukać, zawołać kogoś, ale razem z nimi w korytarzu jest jeszcze ktoś. Albo coś, a nie chce przecież zdradzić swojej pozycji.

To nie może się dziać. Miały tu być same osoby z towarzystwa,

artyści...

Zastyga w bezruchu.

Czy ze strony północnego korytarza dochodzi odgłos jakby dławienia?

Przygotowuje kuszę. Puls dudni mu w uszach. Idzie do przodu, mija zakręt...

Jeden z jego towarzyszy stoi w drzwiach w ścianie wzdłuż korytarza. Prawie go nie widać. Drży lekko, szarpiąc ramionami, ręce przy bokach, a na masce ma coś dużego i biało-różo-wego, ciągnącego się do wnętrza pomieszczenia, dokąd wzrok Czejszeka nie sięga.

Gdy Czejszek podchodzi, dostrzega, że na twarzy towarzysza jest kilka cosiów: para wielkich dłoni obejmuje boki jego głowy, a kciuki zostały wepchnięte głęboko w jego oczodoły, aż po drugie stawy.

Jego towarzysz dławi się, bulgocze. Krew tryska wokół kciuków, barwiąc nadgarstki, ściany, podłogę.

Czejszek już widzi.

Olbrzymi mężczyzna stoi w cieniu drzwi i właśnie morduje towarzysza Czejszeka gołymi rękami.

Olbrzym podnosi wzrok, jego jedyne oko płonie bladym ogniem.

Czejszek krzyczy i strzela z kuszy na oślepa. Olbrzym odsuwa się, puszcza towarzysza Czajszeka i pada do tyłu. Leży w korytarzu, całkowicie nieruchomo.

Czejszek, popłakując bez zahamowań, podbiega do swego towarzysza i ściąga mu maskę. Gdy widzi co jest pod nią, jego szloch przechodzi w wycie.

Trzyma swego martwego towarzysza w ramionach. Właśnie to przytrafia się honorowym synom mojego kraju, chce powiedzieć.

Właśnie to przytrafia się sprawiedliwym w tych skalanych czasach.
Nie jest jednak w stanie zapanować nad słowami.

- Przynajmniej go zabiłem — mówi swemu martwemu przyjacielowi, pociągając nosem. - Proszę, niech to wystarczy. Proszę. Przynajmniej zabiłem faceta, który ci to...

Dochodzi go zirytowane chrząknięcie. Zaskoczony Czejszek nieruchomieje i rozgląda się.

Pokazując zdumiewającą determinację, olbrzym siada powoli i spogląda na swoje złożone na kolanach ręce.

Otwiera lewą dłoń. Znajduje się w niej błyszczący w świetle lamp gazowych bełt kuszy Czejszeka, który najwyraźniej został złapany już w locie, przed dotarciem do celu.

Olbrzym z konsternacją spogląda na bełt, jakby była to dziwaczna dziecięca zabawka, po czym podnosi wzrok na Czejszeka, a jego jedyne oko wypełnia zimny, szaroniebieski spokój, niczym w sercu góry lodowej.

Czejszek szamocze się z przeładowaniem kuszy. Nawałnica ruchów. Czuje palce wokół gardła, krew napływa mu do oczu, podłoga zostaje w dole, a ostatnie co widzi to szklane okno pędzące w jego stronę, rozbijające się na nim, a potem obejmuje go chłód nocy i - prawie zaraz potem - ulica poniżej.

Gdy do pomieszczenia wpada dwóch mężczyzn, Shara jest już gotowa: siedzi nieruchomo na łóżku, ręce ma podniesione. Vohannes jednak nie stosuje się do zaoferowanej mu rady, ale zrywa się na nogi, laskę wysuwa do przodu niczym rapier i zaczyna na nich złorzeczyć.

- Ręce do góry — krzyczy jeden z mężczyzn.

- Ja już to zrobiłam - mówi Shara.

— Na ziemię! - ryczy drugi. Shara zauważa, że są ubrani w szare szaty, przewiązane mocno wokół stawów i szyi. Wygląda to na ubiór ceremonialny. Na twarzach mają dziwnie płaskie, szare maski.

— Wszyscy usiadźmy — prosi Shara.

Vohannes nie jest tak spokojny.

— Prędzej wyrucham waszych przodków niż wysłucham tego, co macie do powiedzenia!

— Vo — upomina go cicho Shara.

— Na ziemię! Na ziemię! - wrzeszczy drugi napastnik. - No! Już!

— Złap go — mówi pierwszy.

— Słuchajcie - odzywa się Shara.

— Pierdol się! — krzyczy Vohannes. Zamierza się na jednego z nich swoją laską.

Ten odchrząkuje.

— Przestań!

— Na ziemię, do cholery! - wrzeszczy drugi.

Ale Vohannes już szykuje się do kolejnego ciosu. Jeden z zamaskowanych mężczyzn łapie jego laskę; szarpną się przez moment, Vohannes puszcza ją i obaj zataczają się do tyłu.

Kusza napastnika trzaska i Shara robi unik w lewo, gdy bełt przecina powietrze w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą była jej szyja i wbija się w wezłowie łóżka.

Trzej mężczyźni wpatrują się w nią z zaskoczeniem, a bełt drży tuż za nią.

Shara odchrząkuje.

— Słuchajcie - mówi do dwóch napastników. - Posłuchajcie mnie teraz. Popełniliście poważny błąd.

— Zamknij się i padnij na ziemię! - wrzeszczy jeden z nich.

— Odłóżcie broń — mówi Shara. Głos ma gładki jak świeże mleko. - I spokojnie się poddajcie.

- Ohydna cebulaczko - warczy jeden z nich. - Zamknij się i padnij na ziemię.

- Dlaczego... - Vohannes próbuje wstać.

- Przestań, Vo - mówi.

- Co?

- Nie grozi nam niebezpieczeństwo.

- Zamknij się! - krzyczy jeden z napastników.

- Prawie odstrzelili ci twarz! — desperuje Vohannes.

- Cóż, grozi nam pewnego rodzaju niebezpieczeństwo -przyznaje. — Ale po prostu... Musimy poczekać.

Zauważa, że obaj napastnicy stają się coraz bardziej niepewni, więc gdy Vohannes pyta „na co?”, trochę się rozluźniają.

- Na Sigruda.

- Co? O czym ty mówisz?

- Po prostu musimy poczekać - wyjaśnia Shara - aż zrobi to, co potrafi najlepiej. - Zwraca się do napastników: - Pomogę przyjacielowi wstać. Proszę, nie krzywdźcie mnie. - Pomaga Vohannesowi usiąść na łóżku.

- Kim jest... Sigrud? - pyta Vohannes.

Niedaleko rozlega się potworny krzyk i odgłos tłuczonego szkła, potem nastaje cisza.

- To jest Sigrud - oznajmia Shara.

Obydwaj zamaskowani mężczyźni spoglądają na siebie nawzajem. Chociaż Shara nie widzi ich twarzy, jest w stanie stwierdzić, że są zmartwieni.

- Odłóżcie broń - mówi Shara. - I poczekajcie tu z nami. W ten sposób macie szansę przeżyć. Bądźcie rozsądni.

Jeden z zamaskowanych mężczyzn, najwyraźniej dowódca, mówi:

- Pogrywa z nami. Paskudna cebulaczka z nami pogrywa. Nie słuchaj jej. To kamerdyner wydaje takie dźwięki. Idź sprawdzić. Jeśli kogoś zauważysz, zabij bez wyrzutów sumienia. - Drugi zamaskowany mężczyzna, wciąż roztrzęsiony kiwa głową i wychodzi. Dowódca łapie go jeszcze za ramię. - Tylko z nami pogrywa. Zostaniemy nagrodzeni - mówi i poklepuje go po plecach.

- Właśnie wysłałeś go na śmierć - stwierdza Shara.

- Zamknij się - warczy dowódca. Oddycha ciężko.

- Reszta twoich ludzi już nie żyje albo właśnie umiera. Poddaj się.

- To właśnie wszyscy zawsze powtarzacie, prawda? Poddaj się, poddaj się, zawsze poddaj się. Mamy dość poddawania się. Nie ustąpimy wam już bardziej.

- O nic cię nie proszę - mówi Shara.
- Jeśli chcesz, żebym rzucił broń, bym odrzucił moją wolność, to prosisz mnie o wszystko, co mam.
- Wojna już się skończyła. Nastął czas pokoju.
- Waszego pokoju. Pokoju dla takich jak on - mówi z obrzydzeniem mężczyzna, wskazując na Vohannesa.
- Hej... - protestuje Vohannes.
- Przyjmujecie grzeszników, tchórzy, bluźnierców — kontynuuje dowódca. - Ludzi, którzy przymknęli oko na swoją historię, na wszystko, kim są. W taki właśnie sposób prowadzicie z nami wojnę.
- My - mówi Shara z naciskiem - nie prowadzimy wojny.

Dowódca nachyla się i szepcze:

- W chwili gdy cebulak wstępuje do Boskiego Miasta, ja wypowiadam mu wojnę.

Shara milczy. Dowódca wstaje, wsłuchuje się. Żadnych odgłosów.

- Twój przyjaciel nie żyje - mówi Shara.
- Zamknij się - rzuca dowódca. Sięga ponad ramieniem i wyciąga krótki, cienki miecz. - Wstańcie. Sam was stąd wyprowadzę.

Shara, podtrzymując kulejącego Vohannesa, wychodzi z nim z pokoju gościnnego i idzie wzdłuż korytarza. Dowódca kroczy za nimi.

Po kilku sekundach Shara zatrzymuje się.

- Dalej - warczy dowódca.
- Nie widzisz, co jest przed nami? - pyta Shara.

Mężczyzna obchodzi ich naokoło i dostrzega, że coś leży na korytarzu.

- Nie - szepcze i podchodzi.

Zgniecione, zamaskowane ciało leży w obfitej kałuży krwi. Chociaż trudno dojrzeć to przez namoczony szary materiał, jego szyja wygląda na szeroko rozciętą. Dowódca kuca i delikatnie sięga za maskę, by dotknąć czoła mężczyzny. Coś szepcze. Po chwili wstaje z powrotem, a jego ręka, w której trzyma miecz drży.

- Dalej - mówi szorstko. Shara widzi, że płacze.

Idą dalej. Dom wydaje się okropnie cichy lecz zanim docierają do schodów, dochodzi ich dźwięk szamotaniny - trzaska drewno, dzwonią rozbijane talerze i rozlega się też jakiś zgrzytliwy dźwięk. Dostrzegają otwarte drzwi prowadzące do dużego pokoju po lewej. Na progu tańczy wiele cieni.

- Sala balowa - mruczy Vohannes.

Dowódca rusza szybko do przodu z wyciągniętym mieczem; zbiera się w sobie i wpada do pokoju.

Shara, ciągnąc za sobą Vohannesa, podąża w tym samym kierunku i zagląda do środka, chociaż dobrze wie, co tam ujrzy.

Sala balowa jest dość bogato zdobiona, a przynajmniej taka była. Jeden zamaskowany napastnik klęczy na podłodze, ściska się za nadgarstek i wrzeszczy: jego dłoń została całkowicie amputowana, a krew tryska na drewnianą podłogę. Kolejny siedzi w kącie, wyraźnie martwy. Z jego szyi wystaje rękojeść krótkiego, czarnego noża. Na środku pokoju leży przewrócony na ziemię stół, a za tą barykadą stoi Sigrud, cały pokryty potem i krwią. Zaciska lewe ramię wokół głowy kolejnego oszalałego i godnego pożałowania zamaskowanego napastnika. W prawej ręce Sigrud trzyma pozostałości żyrandola - najwyraźniej wyrwanego z sufitu - którego używa, by opędzić się od jeszcze innego napastnika, który próbuje walczyć z nim mieczem.

Choć ciężko to stwierdzić przez te wszystkie latające w powietrzu, błyszczące kryształki, wygląda na to, że napastnik stopniowo przegrywa, bo wycofuje się wraz z każdym ciosem, a w tym czasie Sigurd, używając pięści zaciśniętej na żyrandolu, okłada twarz trzymanego nieszczęśnika.

Dowódca napastników zastyga na ten widok, po czym podnosi wysoko miecz, wydziera się na całe płuca i rusza do walki, przeskakując przez stół.

Sigurd rzuca mu poirytowane spojrzenie - „Co znowu?” - i podnosi uwięzionego mężczyznę akurat tak, by miecz dowódcy wbił się w jego plecy.

Obaj zamaskowani mężczyźni zachłystują się w zaskoczeniu. Sigurd macha żyrandolem, zahacza ostrze wolnego napastnika, popycha mężczyznę na podłogę i wypuszcza żyrandol.

Dowódca puszcza rękojeść miecza, wyciąga krótki nóż i z przejmującym krzykiem rzuca się na Sigruda.

Sigurd wypuszcza z objęć martwego (czy też umierającego) mężczyznę, łapie dowódcę za nadgarstek, zanim ten dosięga go nożem, mocno uderza go głową i - ku głośnemu przerażeniu Vohannesa - otwiera szeroko usta, pochyla się do przodu i wyrywa zębami większą część gardła dowódcy.

Tryskająca krew wręcz płynie strumieniem. Shara czuje do siebie lekkie obrzydzenie, kiedy myśli: „to na pewno znajdzie się w gazetach”.

Sigurd, teraz już całkowicie pokryty szkarłatem, upuszcza dowódcę, łapie za miecz wystający z pleców martwego mężczyzny i pozornie bez wysiłku rzuca nim niczym oszczepem we wrzeszczącego napastnika z obciętym nadgarstkiem. Czubek ostrza wbija się tuż pod staw żuchwowy. Mężczyzna od razu się przewraca. Miecz chwieje się, jest wbity głęboko w czaszkę, więc nie wypada, ale owemu chwianiu

towarzyszy nieprzyjemny, trzeszczący odgłos.

Sigrud obraca się w kierunku jęczącego mężczyzny uwięzionego pod pozostałościami żyrandola.

- Nie - mówi Shara.

Sigrud odwraca się, by na nią spojrzeć. Jego jedyne oko płonie zimnym gniewem.

- Potrzebny nam jeden żywy.

- Strzelili do mnie - mówi i pokazuje krwawiącą dłoń. - Strzałą.

- Potrzebny nam jeden żywy, Sigrud.

- Strzelili do mnie - mówi ponownie, rozwścieczony. - Strzałą.

- Na dole musi być ich więcej - mówi Shara. - Pomyśl o zakładnikach. Zaopiekuj się nimi. Ostrożnie.

Sigrud robi minę, jakby był dzieckiem, które musi wykonać jakąś uciążliwą, domową pracę. Podchodzi do człowieka z nożem w szyi, wyciąga ów nóż i wychodzi z pomieszczenia.

Vohannes wpatruje się w zniszczoną salę balową.

- To? To twój człowiek potrafi najlepiej?

Shara podchodzi do zamaskowanego mężczyzny próbującego podnieść żyrandol i zaczyna go rozbierać.

- Każdy ma jakiś talent.

Gdy Sigrud zbiega po schodach, nie widzi żadnych zamaskowanych napastników, którzy broniliby zakładników.

- Całe szczęście, że przyszedłeś, my... — mówi jedna z kobiet, a potem go dostrzega. Zaczyna krzyczeć.

Mulaghesh nie jest nawet w połowie tak zszokowana. Odchrząkuje zza filaru w holu, gdzie pochyła się właśnie nad odzianą w szaty postacią i zdaje się spokojnie dusić ją za pomocą bardzo kolorowej wstążki. Spogląda na Sigruda. Na lewym oku ma siniaka, jak od mocnego uderzenia.

— Dwóch więcej. Za drzwiami - mówi.

Gdy Sigrud wychodzi na zewnątrz, samochód już ruszył, ale nie rozwinął jeszcze dużej prędkości. Buty Sigruda uderzają głucho o kostkę brukową, gdy ten biegnie. Słyszy, jak jeden gość pogania drugiego:

— Ruchy! Szybciej!

— Staram się! — Rozlega się odpowiedź.

Samochód włącza wyższy bieg, ale zanim zdoła odjechać, Sigrud skacze do przodu i łapie za tylne drzwi.

— Kurwa! - krzyczy jeden z mężczyzn. - O, bogowie.

Ręce Sigruda są tak śliskie od krwi, że prawie puszcza klamkę. Wciska but w stopień, sięga prawą ręką i wbija czarny nóż w dach samochodu.

— Zastrzel go, do cholery! - krzyczy ktoś.

W oknie pojawia się kusza. Sigrud przechyla się na bok. Bełt przebija szklaną szybę i mija go o centymetry, ale nie rozbija szyby całkowicie. Sigrud uderza w nią lewą ręką, łapie za kołnierz gościa, który do niego strzelał i kilkakrotnie wali nim o drzwi i dach samochodu.

Kierowca, teraz już całkowicie spanikowany, zaczyna gwałtownie skręcać. Sigrud widzi jak klienci kawiarni i restauracji, a także

kierowcy konnych powozów, wpatrują się w nich z zaskoczeniem, gdy ci przelatują obok. Zachwycone małe dziecko wskazuje na nich i śmieje się.

Sigrud czuje, jak złapany mężczyzna traci przytomność i zaczyna przeciągać go jedną ręką przez wybite okno. Wtedy samochód skręca ostro...

Podnosi wzrok. Pędzi na nich róg budynku. Sigrud od razu spostrzega, że kierowca zamierza przeszurać samochodem o bok budynku i w ten sposób pozbyć się atakującego.

Sigrud rozważa wspięcie się na dach samochodu, ocenia, że nie ma na to dość czasu, wyrywa nóż i odskakuje.

Lądowanie jest bolesne, ale nie aż tak, jak dla nieprzytomnego mężczyzny wystającego przez rozbitą szybę samochodu: rozlega się mokre plask i coś spada na kamienne ulice. Sigrud słyszy jak kierowca zaczyna krzyczeć ze zgrozy, a to, co pozostało z pasażera wypada przez okno i ląduje w rynsztoku.

Samochód skręca mocno i warcząc, jedzie wzdłuż ulicy. Sigrud, teraz już nieco sfrustrowany, wstaje i biegnie za nim.

Skręca w tę samą ulicę. Samochód zatrzymał się kilka metrów dalej. Sigrud podbiega do niego i gwałtownie otwiera drzwi, by zobaczyć...

Nic. Samochód jest pusty.

Sigrud rozgląda się wokół. Ulica kończy się pozbawioną otworów ścianą budynku, ale przed nią też niczego nie ma: żadnych okien, drabin, bramy, śluz, pokrywy, studzienki czy drzwi.

Sigrud odchrząkuje, chowa nóż do pochwy i powoli idzie wzdłuż ulicy, sprawdzając ścianę. Niczego nie znajduje. Zupełnie jakby kierowca po prostu zniknął.

Wzdycha i drapie się po policzku.

- No nie, znowu.

Jestem kamieniem pod drzewem.

Jestem górą pod słońcem.

Jestem rzeką pod ziemią.

Mieszkam w jaskiniach pagórków.

Mieszkam w jaskiniach waszych serc.

Widziałem, co tam jest.

Wiem, co żyje w waszych umysłach.

Wiem, co to prawda. Wiem, co to sprawiedliwość.

Jestem Kolkan, a wy będziecie słuchać.

- KOLKASZTAWA, KSIĘGA DRUGA

PAMIĘĆ WYRYTA W KAMIENIU



esa oficcerska bułykowskiego Departamentu Policji jest ciekawym punktem obserwacji rozwijającej się paniki. Obecni w mesie mogą patrzeć przez szybę na to, co dzieje się w biurach na przedzie, gdzie wybuchają właśnie pełnowymiarowe rozruchy - uczestniczą w nich politycy, reporterzy, oburzeni obywatele oraz członkowie rodzin zakładników. Widać stąd także korytarz prowadzący do pokojów przesłuchań, gdzie bułykowska policja wciąż nie może dociec, kto dokładnie jest podejrzany, kto powinien jechać do szpitala i co, na bogów, zrobić z Sigrudem.

- To dla mnie nowe doświadczenie — mówi Shara.
- Naprawdę? - pyta Mulaghesh. - A wydawałoby się, że musiałaś już kiedyś być aresztowana. Przynajmniej kilka razy
- Nie, nie. Ja nigdy nie daję się aresztować. To jeden z plusów bycia agentem prowadzącym.
- Bardzo wygodnie. Wyglądasz całkiem spokojnie jak na kogoś, kto właśnie przeżył próbę zamachu na swoje życie. Jak się czujesz?

Shara wzrusza ramionami. Po prawdzie czuje się niedorzecznie, siedząc i popijając herbatę z Mulaghesh, podczas gdy wokół wzbiera chaos. Ich status od razu oddzielił ich od pozostałych ocalonych zakładników, szczególnie w przypadku Mulaghesh, którą zna większość policjantów. Mulaghesh przykłada do oka woreczek z lodem i od czasu do czasu narzeka, że coś jest „kurewsko wolne” albo alternatywnie „kurewsko stare”. Zdążyła już wydać polecenia lokalnej placówce. Mały zespół sajpurskich weteranów powinien wkrótce przybyć, by zapewnić im obu ochronę. Chociaż Shara nic na ten temat nie powiedziała, osobiście jest tym przerażona: troska o własne bezpieczeństwo często utrudnia przebicie się przez ochronę przeciwników. Zresztą Sigrud często i tak zapewnia wystarczające bezpieczeństwo. Obecnie jednak siedzi on w celi. Pojmanemu napastnikowi nic się nie stało, jest teraz w innej małej celi, zarezerwowanej zwykle dla najbrutalniejszych przestępców.

Policjant zaparza nową herbatę, którą Shara bezzwłocznie wypija.

- To pani czwarta - zauważa Mulaghesh.
- No i?
- Zwykle tyle pani pije?
- Tylko gdy pracuję.

- Wygląda pani na taką, co zawsze pracuje.

Shara wzrusza ramionami, nie przerywając picia.

- Pani ambasador, jeśli będzie pani dalej pić takie ilości, radziłabym odwiedzić urologa.

- Jak pani oko?

- Czuję się upokorzona. Ale bywało gorzej.

- Nie może być aż tak źle. Bez wątpliwości to on przegrał.

- Był taki czas - wzdycha Mulaghesh - gdy załatwiałam takich idiotów bez najmniejszego wysiłku. Ale to już chyba przeszłość. Co ja bym dała - krzywi się, dotykając oka - za młodzieńczy wigor. Chociaż wątpię, czy byłabym w stanie dorównać pani człowiekowi, nawet będąc w kwiecie wieku. Skąd go pani wytrzasnęła?

- Z dość nieprzyjemnego miejsca - odpowiada po prostu Shara.

Powoli zamyka się w sobie. Zanika dźwięk odległych krzyków i Shara zaczyna układać listę.

W ocenie Shary, centrum wywiadowcze składa się w połowie z list, a w połowie z cierpliwości. W końcu większość pracy szpiegowskiej polega na zbieraniu informacji i katalogowaniu ich: kto należy do jakiej grupy i dlaczego; gdzie jest teraz, skąd jesteśmy tego tacy pewni, i czy mamy kogoś w tej okolicy innego. A teraz, skoro już skatalogowaliśmy te grupy, jakie niebezpieczeństwo stwarzają? I tak dalej i tak dalej i tak dalej.

Kiedykolwiek więc Shara nad czymś się zastanawia, układa w ten sposób myśli, oddzielając ziarno od plew i starając się wyselekcjonować prawdę z wszystkiego, co wie, co często skutkuje niekończącą się listą zebranych komentarzy, kwalifikacji, klasyfikacji i wyjątków.

Fakt: Zaatakowano mnie mniej niż tydzień po ataku na Efrema Panguia.

I: Nie jestem pewna, czy to właśnie mnie atakowali.

A: W takim razie kogo?

1. Vo planuje produkować zbrojenia dla Sajpuru. To wystarczający powód, by go zabić.

a) Dlaczego w takim razie go nie zabili, gdy tylko mieli taką możliwość?

Mogli go zastrzelić w momencie, gdy weszli do pomieszczenia.

b) Jego plany nie są oficjalne ani publicznie znane.

1) To nie wystarczy - zawsze mogą istnieć przecieki.

II Efrem został pobity na śmierć tępym narzędziem w swoim biurze.

Ci faceci z pewnością byli większymi profesjonalistami.

A: Ktokolwiek zaatakował Efrema, nie został złapany, co jest oznaką profesjonalizmu, jeśli jakaś w ogóle wystąpiła.

1. Profesjonalizm i nieudolność lokalnych organów władzy to dwie zupełnie różne rzeczy.

B. Efrem mógł zostać zaatakowany w związku z Magazynem. Ani Vo ani ja nie jesteśmy z nim powiązani.

1. Wiem, że istnieje.

a) Ale to raczej nie wystarczy, by ktoś chciał mnie za to zabić.

2. W odczuciu przeciętnego Kontynentanina wszyscy troje jesteśmy heretykami.

a) To też nie wystarczy. Co dla przeciętnego Kontynentanina nie jest herezją?

Fakt: Efrem Paneyui przeprowadzał badania w Zakazanym Magazynie.

I: Czy Vinya wie? Jak mogłaby nie wiedzieć?

A. Efrem pracował dla Kontynentu? Był zdrajcą?

1. Nie bądź idiotką.

B. Dlaczego mi nie powiedziała? Co jest tam takiego, o czym nie powinnam wiedzieć?

1. Pewnie wiele rzeczy.

2. Czy Kontynentanie zabiliby go, żeby dostać się do Magazynu?

a) Mulaghesh zapewniała, że do Magazynu nie wchodził nikt poza Efremem.

C. Jeśli Vinya wie o działaniach Efrema, to dlaczego pozwala mi tu zostać?

1. Może uważa, że jestem zbyt tępa, by to odkryć.

2. Chroni mnie? Przed czym?

a) Nie bądź nedorzeczna. Ledwo przed chwilą mnie zaatakowano - oczywiście, że mnie nie chroni.

3. Czy chce, żebym zginęła?

a) Jest twoją ciocią.

1) Jest w pierwszej kolejności ministrem, dopiero w drugiej ciocią.

a) Okej, w takim razie dlaczego pani minister miałaby chcieć mojej śmierci?

2) Jeśli Vinya chciałaby żebym zginęła, już byłabym martwa, koniec historii.

4. Czy Vinya chciała śmierci Efrema?

a) Całkiem możliwe, że Efrem był agentem Ministerstwa. Dlaczego ktoś miałby chcieć zabić swojego własnego agenta?

Fakt: Nie spałam od dwudziestu trzech rodzin.

I potrzebuję więcej cholernej herbaty.

Shara wzdycha.

- Czy ten pani Kapitana Nesrhew już się odezwał?

- Nie - odpowiada Mulaghesh. - Wciąż nie. Ale jest czwarta nad ranem, a on nie mieszka w pobliżu.

- Wie pani, gdzie mieszka? Skąd?

- Proszę nie udawać takiego niewiniątka, pani ambasador -mówi Mulaghesh. - Nie pasuje to do pani. - Shara uśmiecha się w duchu: w rzeczy samej, młodzieńczy wigor... - W każdym razie, chociaż Nesrhew i ja mamy... wspólną historię, nie jestem pewna czy to wystarczy, by przychylił się do pomysłu, żeby zagraniczny ambasador, przejął tak ważne śledztwo.

- Nie przejmuję go - uściśla Shara. - Oni będą mieć swoje śledztwo, a ja swoje. Po prostu chcę porozmawiać z pojmanym jako pierwsza.

O ile prostsze byłoby to w Qivos, myśli. Moglibyśmy zgarnąć go z ulicy i twierdzić, że nigdy go tam nie było... Przychodzi jej również na myśl, że cywilizowane kraje są dla niej coraz większą niedogodnością. Przez chwilę zazdrości Vohannesowi, że zachował swe ideały - jakkolwiek

bezskuteczne się wydają.

Wpada na pewien pomysł i łapie starą gazetę. Przewraca strony, aż znajduje artykuł o tytule OJCIEC MIASTA WYKŁÓW SPRZECIWIĄ SIĘ DZIELNICOM IMIGRANTÓW. Pod nim znajduje się zdjęcie mężczyzny o okrągłej twarzy, surowych rysach i ogromnej brodzie. Dla Shary wygląda on jak ktoś, kto ciągle musi zastanawiać się, czy powinien krzyczeć, czy tylko bardzo głośno mówić.

- Dlaczego czyta pani o Wykłowie? - pyta Mulaghesh.
- Zna go pani?
- Wszyscy go znają. To kawał chuja.
- Zasugerowano mi - oznajmia Shara - że może być jakoś powiązany z morderstwem Pangyuia.
- Czy to Votrow tak pani powiedział?

Shara kiwa głową.

- Na pani miejscu bym się pilnowała, pani ambasador -ostrzega Mulaghesh. - Votrow może po prostu przekazywać pani swoją prywatną czarną listę.

Shara dalej wpatruje się w zdjęcie. Mulaghesh wyraziła głośno jej własne obawy. Poruszam się po omacku, myśli. Zwykle na przygotowanie operacji mam sześć miesięcy albo chociaż tygodni. A nie sześć godzin...

Wypija więcej herbaty i decyduje się nie przyznawać Mulaghesh, że tankuje kofeinę w tym tempie tylko wtedy, gdy praca idzie jej bardzo, bardzo źle.

Kapitan Nesrhew - całkiem przystojny i przynajmniej dziesięć lat młodszy od Mulaghesh - pojawia się w końcu o wpół do szóstej rano.

Z początku nie jest zbyt otwarcie nastawiony na cokolwiek, co jest powszechne wśród ludzi obudzonych o tej godzinie; Shara ma jednak doświadczenie w zabawie w odznaki i biurokrację, więc po kilkukrotnym użyciu terminu „incydent międzynarodowy” Nesrhew niechętnie zgadza się na „jedną godzinę, od teraz”.

- To wystarczy - mówi Shara, która z pełną premedytacją zamierza zignorować ten limit czasowy. — Co z Votrowem?

- Po złożeniu zeznań jego dziewczyna od razu zabrała go do domu - informuje Nesrhew. - Tego człowieka można prowadzić za fiuta, jeśli tylko wystarczająco dobrze się go ściśnie.

Wydaje się oczekiwać chichotu, ale Shara nawet nie próbuje go udawać.

Jak się okazuje, pojmany mężczyzna jest prawie chłopcem. Shara na wejściu ocenia go na około osiemnaście lat. Siedzi w celi za dużym drewnianym stołem, rzucając jej groźne spojrzenie i pociera nadgarstek.

- Och, to ty - mówi. - Czego chcesz?

- Głównie udzielić ci pomocy medycznej. - Przytrzymuje drzwi dla lekarza, który jest już dość zmęczony.

Lekarz przygląda się pojmanemu chłopcu z rosnącym Szokiem. - Czy ten dzieciak wypadł przez szybę?

- Został wielokrotnie uderzony żyrandolem.

Lekarz mamrocze coś pod nosem i kręci głową: Ci ludzie wymyślają takie durne sposoby, by się kaleczyć. - Większość ran wygląda na powierzchowne. Nadgarstek jest dość mocno zwichnięty

Gdy kończy, kiwa im głową i wychodzi. Shara siada naprzeciwko chłopca i kładzie swą torbę obok siebie. W pomieszczeniu jest dość zimno: ściany są wykonane z grubego kamienia, a ktokolwiek zaprojektował budynek, nie zdecydował się zainstalować tu ogrzewania.

- Jak się czujesz? - pyta Shara.

Chłopak nie odpowiada, zajęty dąsaniem się.

- Myślę, że mogę po prostu przejść do sedna - mówi Shara - i zapytać, dlaczego mnie zaatakowałeś.

Podnosi wzrok, patrzy jej przez chwilę w oczy, po czym odwraca się.

- Czy po to właśnie zostałeś tu przysłany? Twój koleczy mieli ku temu wiele okazji.

Mruga.

- Jak się nazywasz?

- Nie mamy imion - odpowiada chłopak.

- Nie?

-Nie.

- Dlaczego?

Zastanawia się nad odpowiedzią, ale zwleka.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ jesteśmy uciszonymi - odpowiada chłopiec.

- Co to znaczy?

- Nie mamy przeszłości. Nie mamy historii. Nie mamy kraju. - Jego słowa brzmią, jakby były powtarzalnymi frazesami. -Odmawia się ich nam. Ale my ich wcale nie potrzebujemy. Nie potrzebujemy ich, żeby wiedzieć, kim jesteśmy.

- A kim jesteście?

- Jesteśmy przeszłością, która domaga się głosu. Jesteśmy tym, co nie może popaść w zapomnienie. Nie można nas zignorować. Jesteśmy pamięcią wyrytą w kamieniu.

- Zatem jesteście Odnowicielami - oznajmia Shara.

Chłopak milczy.

- Czy tak?

Odwraca wzrok.

- Wasze bronie, stroje, samochód - zauważa Shara. -Wszystko to jest bardzo drogie. Ludzie zauważają taki przepływ gotówki. Teraz właśnie tego dochodzimy. Kto ma z tym związek? Ernst Wykłów? - Żadnej reakcji. — Jest zamożnym stronnikiem Odnowienia, prawda? Z tego co rozumiem, jego plakaty wyborcze zdaje się cechować duża obrazowość broni. Czy śledztwo doprowadzi nas właśnie do niego?

Chłopiec wpatruje się w stół.

- Nie sprawiasz na mnie wrażenia zatwardziałego, brutalnego przestępcy — stwierdza Shara. — Dlaczego więc tak się zachowujesz? Nie masz domu? To wszystko to tylko nieprzyjemna polityka. Mogę to zakończyć. Mogę cię stąd wydostać.

- Nie będę mówić — odpowiada chłopiec. - Nie mogę mówić. Jestem uciszony przez ciebie i twój lud.

- Obawiam się, że tu się mylisz.

- Nie myślę się, kobieto - mówi. Wpatruje się w nią, a gdy odwraca wzrok, spogląda przelotem na jej odsłoniętą szyję i obojczyk.

Ach. Staroświecki, co?

- Mam nadzieję, że nie łamię żadnych zasad - mówi Shara. - Czy czeka cię jakiegoś rodzaju kara za przebywanie sam na sam w jednym pomieszczeniu z niezamężną kobietą?

- Nie jesteś kobietą - odpowiada chłopiec. - Najpierw musiałabyś być człowiekiem. Cebulaki się nie liczą.

Shara uśmiecha się miło.

- Jeśli to prawda, to dlaczego tak się denerwujesz?

Chłopiec nie odpowiada.

Shara nie uważa się za przesadnie atrakcyjną, ale zawsze jest gotowa spróbować.

- Dość tu gorąco - mówi. - Nie sądzisz? Ręce mi się pocą, gdy mi gorąco. - Ściąga rękawiczki, palec po palcu, delikatnie je składa i kładzie na stole. - Czy tobie też pocą się dłonie? - Sięga po jego nadwyreżoną rękę.

Chłopak odsuwa się, jakby go parzyła.

- Nie dotykaj mnie, kobieto! I nie próbuj pogrywać ze mną swoją... sekretną kobiecością!

Shara musi się bardzo starać, by nie wybuchnąć śmiechem. Nie słyszała tego wyrażenia wypowiedzianego na głos nigdzie poza jej lekcjami historii. Co więcej, nigdy nie słyszała, żeby ktoś wymawiał je z taką szczerością.

- Jak na kogoś, kto odmawia rozmowy, całkiem sporo gadasz. Ale przyznam, że i tak gadasz mniej od swojego kumpla. - Wyciąga z torby

teczkę i pokazuje mu ją.

- Kogo?

- Tego drugiego, którego złapaliśmy - mówi Shara. — On też nie chciał nam podać swojego imienia, choć był bliski śmierci. Mówił jednak o wielu innych sprawach. — Oczywiście, nie była to prawda. - Sigrud zabił wszystkich pozostałych napastników, poza tym, który zniknął. - Uśmiecha się do chłopca, promieniując radością.

- Jak działała ta sztuczka ze znikaniem? — pyta.

Chłopiec wzdryga się.

- Wiem, że tak przemieszczacie się po mieście - oznajmia Shara. - Samochody. Ludzie. Znajdują ulicę czy alejkę, wchodzi w nią i nagle puf! Znikają. To dość... niezwykle.

Przy uszach chłopca zbiera się błyszczący pot.

- Mówił bez ładu i składu - rzuca Shara. - Był osłabiony od utraty krwi. Nie jestem pewna, co z tego było prawdą, a co nie, ale... Kusi mnie, by uwierzyć prawie we wszystko. Co rzeczywiście byłoby dość wyjątkowe.

- To... to nie może być prawda — odzywa się chłopiec. — Żaden z nas nie puściłby pary z gęby. Nawet umierając. Nawet wrzuceni do Slonheimu.

- W zasadzie mogę to zaaranżować - mówi Shara. - Byłam tam. Jest gorszy, niż sobie to wyobrażasz.

- Nigdy nie puścilibyśmy pary z gęby.

- Tak, ale przy braku pełnej kontroli nad sobą... jest to całkowicie zrozumiałe. Co jeszcze nam powiesz? Jeśli powiesz nam to ty, i to uczciwie, potraktujemy cię łagodnie. Upewnimy się, że wrócisz do

domu. Możemy o wszystkim zapomnieć. Ale jeśli nie...

- Nie - odpowiada chłopiec. - Nie. Nigdy tego nie... Zostaniemy nagrodzeni.

- Czym?

Chłopiec bierze niespokojny wdech i zaczyna intonować.

- Co to? - pyta Shara. Nachyla się, by lepiej słyszeć.

Jego słowa brzmią:

- Na górze przy kamieniu zostaniemy nagrodzeni najświętszą ze świętości. Na górze przy kamieniu zostaniemy nagrodzeni najświętszą ze świętości.

- Nagrodzeni więzieniem, śmiercią - dodaje Shara. - Tak wielu z was już zginęło. Widziałam to. Wiem, że ty też widziałeś. Czy dostali to, czego chcieli?

- Na górze przy kamieniu zostaniemy nagrodzeni najświętszą ze świętości - mówi głośniejszym głosem chłopak. - Na górze przy kamieniu zostaniemy nagrodzeni najświętszą ze świętości.

- Czy ich rodziny też zostaną nagrodzone? Ich przyjaciele? A może oni nie mają przyjaciół?

Chłopiec po prostu intonuje dalej. Shara wzdycha, zastanawia się, po czym wychodzi z pomieszczenia.

- Potrzebuję cię, żołnierzu - mówi Shara.

Sigrud otwiera oko. Póллеży w kącie swojej celi. Dłoń ma zawiniętą w bandażu i jest częściowo wytarty z krwi. Shara wie, że Sigrud nie śpi: jego fajka wciąż się pali.

- Już niedługo cię wypuszczą - mówi. - Udało mi się to załatwić, pomimo... strat w ludziach. Zakładnicy potwierdzają, że zachowałeś się jak bohater.

Sigrud wzrusza ramionami, niewzruszony, pełen pogardy. — No tak. A teraz słuchaj. Poprosiłam cię, żebyś rozpuścił wici i poszukał nowych podwykonawców. Udało ci się?

Sigrud kiwa głową.

- Dobrze. Będziemy potrzebować pomocy jakichś zbirów. Gdy cię zwolnią, chcę, żebyś schwytał tę pokojówkę z uniwersytetu. Tę, która pracowała przy Pangyuiu, tę, która nas śledziła. Powinniśmy byli zrobić to od razu, ale byliśmy... zajęci. Pochwyć ją i przyprowadź do ambasady. Sama chcę ją przepytąć. Chcę też, żeby twoi wykonawcy nie wychylali się, obserwowali jej mieszkanie i patrzyli, kto wchodzi i wychodzi. Chcę, żeby to zostało wykonane... - Patrzy na zegarek. - Na szóstą wieczorem. I musisz być dyskretny. Załóż, że i ty i ona jesteście obserwowani. Rozumiesz?

Sigrud wzdycha. Robi minę, jakby rozważał różne opcje i wreszcie zdecydował, że nie ma dziś nic lepszego do roboty.

- Szósta wieczorem.

- Dokładnie.

- Ocalony - pyta. - Mówi?

- Nie. I nie jest z tych gadatliwych.

- Więc?

Shara poprawia okulary.

- Zyskałam trochę czasu, ale niewystarczająco dużo, by złamać go na zwykły sposób.

-Więc?

- Cóż. - Wpatruje się w zamyśleniu w róg celi. - Chyba trzeba go będzie naćpać.

Sigrud ożywia się. Patrzy na nią z niedowierzaniem, po czym uśmiecha się.

- Cóż. Przynajmniej będziecie mieć jakąś rozrywkę.

Shara stoi przy drzwiach celi, obserwując uwięzionego chłopca przez szybkę. Patrzy na zegarek - czterdzieści minut. Chłopiec kręci głową, jakby wzdygał się z zimna, po czym bierze szklankę wody i wypija. Do tej pory siedem łyków, myśli Shara. Gdyby tylko był wystarczająco spragniony...

Chłopiec powoli coraz bardziej się pochyla, jakby uszło z niego powietrze. Shara znów spogląda na zegarek: nie idzie to niezwykle wolno, ale nie miałyby nic przeciwko, by trwało trochę krócej.

- To nie może być aż tak interesujące - mówi Mulaghesh, dołączając się.

- I nie jest - mówi Shara.

- Mm. Słyszałam, że nasz ocalony nie chciał gadać.

- Nie. Jest fanatykiem. Niezbyt to szczęśliwe, ale można się było tego spodziewać. Nie sądzę, żeby obawiał się śmierci. Bardziej boi się tego, co jest potem.

Chłopiec z celi podnosi głowę i wbija spojrzenie w ścianę. Twarz ma zdziwioną, przestraszoną, zafascynowaną. Zaczyna nieco drżeć.

- Co jest z nim nie tak? - pyta Mulaghesh. - Oszalał?

- Nie, nie. Cóż, może, zważywszy na to, co zrobił. Ale to nie to.
- Więc co?
- To... nieortodoksyjny sposób, jakiego nauczyłam się w Qivosie. Przydaje się, gdy czas goni, chociaż wolałabym, żebyśmy mieli go na to więcej... Przynajmniej cztery czy pięć godzin. Ale to tani sposób. I prosty. Po prostu potrzebna jest ciemnia, trochę efektów dźwiękowych... i kamień filozoficzny.
- Co?
- Proszę nie udawać niewiniątka, pani gubernator - cytuje Shara. - Nie pasuje to do pani.
- Podała mu coś pani?
- Tak. To silny halucynogen, który właściwie występuje tu dość powszechnie, choć nie jest tu używany dla przyjemności. Co zrozumiałe, jako że na Kontynencie ma swoją historię.

Mulaghesh wciąż jest zbyt zdumiona, by się odezwać.

- Istnieją dziesiątki historii o ludziach, którzy używają go, by komunikować się bliżej z Bóstwami - kontynuuje nieobecnie Shara. - Przełamywanie barier, łączenie się z nieskończonym, tego rodzaju rzeczy. Także wzmacnianie pewnych cudów: akolici Bóstwa zwykli przyjmować go przed dokonywaniem zdumiewających i cudownych wyczynów. Mocna rzecz — ale to wciąż tylko narkotyk.
- Po prostu chodzi pani z czymś takim w kieszeni?
- Pitry załatwił mi trochę z ambasady. Zwykle lubię sprawiać, by poczuli się jakby byli w domu z gorączką, myśleli, że obok znajduje się ich rodzina, albo przynajmniej ludzie, którzy podają się za członków ich rodziny. W większości przypadków są tak tym poruszeni, że wszystko nam wyjawiają. Nie jestem jednak pewna, czy tutaj tak

będzie, jako że cela więzienna może wywołać delirium znacznie bardziej...

Chłopiec stęka, patrzy najpierw na swoje ramię, a potem na sufit, po czym łapie się za głowę i zaczyna szlochać.

- ...koszmarnego rodzaju.
- Czy to nie tortury?
- Nie - odpowiada cicho Shara. - Widywałam tortury. Wyglądają zupełnie inaczej. A poza tym, otrzymujemy dzięki temu dość dokładne odpowiedzi. Za pomocą tortur otrzymuje się zwykle to, co chce się usłyszeć. Poza tym, na tę metodę ludzie są zwykle bardziej skłonni przymknąć oko. Głównie dlatego, że nigdy nie są do końca pewni, że rzeczywiście miało to miejsce.
- Cieszę się, że zdecydowałam się pozostać żołnierzem — mówi Mulaghesh - i nigdy nie zajmowałam się pani robotą. Pozostawia to jakiś niesmak.
- Byłby dużo gorszy, jeśli nie otrzymalibyśmy takich ratujących życie informacji.
- Czy to znaczy, że moralność zostawiamy na progu?
- Narody nie mają moralności - mówi Shara, cytując z pamięci ciocię. - Tylko interesy.
- To pewnie prawda. Ale wciąż nie mogę się nadziwić, że robi pani coś takiego.
- Dlaczego?
- Cóż... Nie byłam w Ghaladeshu podczas skandalu w Partii Narodowej. Nikt nie potrzebował być, żeby wszystko o nich usłyszeć. Wszyscy o tym rozmawiali. Człowiek, który, jak wszyscy założyli, miał

zostać premierem, spektakularnie zakończył karierę... Nie wspominając o tym, że skarbnik partii próbował popełnić samobójstwo... Nie ma nic nędzniejszego niż nieudana próba zachowania godności. Ale przede wszystkim pamiętam, że słyszałam o dziewczynie, przez którą to wszystko się zaczęło. Która wprowadziła całe to zamieszanie.

Shara mruga powoli. Na końcu korytarza konwersacja pomiędzy trzema policjantami przeradza się w pełną oburzenia sprzeczkę.

- To nie do końca jej wina, mówili - oznajmia Mulaghesh. - Po prostu była pełna pasji i bardzo młoda. Nie więcej niż dwadzieścia lat, mówili. Nie wiedziała, że istnieje korupcja, której nie powinno się demaskować i bywają kamienie, pod które się nie zagłada.

Sekretarka wypada wściekła z biura i ucisza tamtych trzech policjantów, którzy rzucają sobie brzydkie spojrzenia i rozchodzą się.

- Pozwoliła dojść do głosu swojemu sercu — mówi Mulaghesh - a nie głowie. Doszło do pewnych błędów.

Shara wpatruje się w drżącego w pomieszczeniu chłopca, który teraz wygląda na rozdartego pomiędzy śmiechem a płaczem.

- Zawsze sobie wyobrażałam - mówi Mulaghesh - że w całej tej zgniliznie po prostu trafiła się jedna uczciwa dziewczyna. Tyle.

Chłopak odchyła się do tyłu i przykłada głowę do kamiennego muru, patrząc w przestrzeń pustym, szklistym spojrzeniem. Shara zasuwa wizjer w drzwiach.

Wystarczy.

- A teraz wybacz, kolej na mnie - mówi Shara. Otwiera drzwi, wślizguje się do środka i zamyka je za sobą.

Nigdy tak bardzo się nie cieszyła, że wchodzi do więziennej celi.

Chłopiec stara się na niej skupić.

- Kto tam?

Shara ucisza go.

- Nie martw się. To ja. Wszystko w porządku.

- Kto? Kto „ja”? - Chłopak oblizuje usta. Leje się już z niego pot.

- Musisz się zrelaksować. Teraz będziesz zdrowieć.

- Tak?

- Tak. Źle upadłeś. Nie pamiętasz?

Mruży oczy, próbując sobie przypomnieć.

- Może. Myślę... że przewróciłem się na przyjęciu...

- Tak. Musieliśmy umieścić cię w zimnym, ciemnym miejscu, żebyś się zrelaksował. Byłeś bardzo poruszony, ale wszystko będzie dobrze.

- Na pewno? Na pewno będzie dobrze?

- Na pewno. Jesteś w szpitalu. Po prostu musimy cię tu Potrzymać odrobinę dłużej, żeby się upewnić.

- Nie! Nie, muszę już iść! Muszę... Muszę... - Szamocze się z krzesłem, próbuje wstać.

- Co musisz zrobić?

- Muszę wrócić do pozostałych.

- Do kogo? Do przyjaciół?

Przełyka ślinę i kiwa głową. Już prawie dyszy. Shara wyobraża sobie, że chłopak widzi teraz oślepiające wybuchy kolorów, szemrzące cienie, zimne ognie...

- Gdzie musisz pójść? - pyta.

Chłopak ma problem z tym pytaniem.

- N-nie... Muszę... iść.

- Obawiam się, że nie możesz - mówi łagodnie Shara. -Musimy się tobą zająć. Ale możemy powiadomić twoich przyjaciół. Gdzie ich znajdziemy?

- Gdzie? - pyta, zmieszany.

- Tak. Gdzie są twoi przyjaciele?

- Są... Są gdzieś indziej. To miejsce z innego miejsca. Tak mi się wydaje.

- W porządku. A gdzie jest to miejsce?

Chłopak pociera oczy. Gdy spogląda na Sharę, ta dostrzega, że ma on kilka popękanych naczynek krwionośnych.

- Gdzie? - pyta ponownie.

- To nie... to nie tak. To... starsze miejsce. Gdzie wszystko być powinno.

- Powinno?

- Jak wszystko być powinno.

- Ale jak dostajesz się do tego miejsca, by spotkać się z przyjaciółmi?

- To trudne. — Wpatruje się w światło na suficie. Odwraca wzrok,

jakby ten widok sprawiał mu ból. - Świat jest... jałowy - mówi. - Wytarty.

- Och, tak?

- Wszystko jest niekompletne. Miasto. Ma miejsca, gdzie wszystko było, ale teraz nic tam nie ma. Została zabrana. Tkanka... — marszczy brwi — ...łączna. Ale wciąż można do nich dotrzeć. Do miejsc. Jeśli przynależysz. Złoto jest... splamione, ale wciąż błyszczący. Perła pękła. Ale wciąż jest to miasto. Wciąż to czuję - klepie się w serce - tutaj.

- Tak właśnie ludzie znikają?

Zaczyna się śmiać.

- Znikają? Co za... niedorzeczny pomysł. — Bawi go to tak bardzo, że on sam prawie spada z krzesła.

Shara próbuje innej metody.

- Dlaczego przyszedłeś dziś na przyjęcie?

- Dziś?

- Tak.

- Och. - Chłopak przytrzymuje rękami głowę. - Jesteś pewna, że to było dziś? Wydaje się tak dawno temu...

- Nie. To było kilka godzin temu.

- A wydawało mi się, że przeciekają mi przez palce lata — szepce. - Jak wiatr. — Zastanawia się nad tym. — Przybyliśmy po... metal.

- Po metal?

- Tak. Próbowaliśmy trochę kupić, ale to było zbyt wolne. Nie lubiliśmy go... Nie cierpimy go. Ale musieliśmy go mieć.

- Votrowa?
- Tak. Jego.

Shara kiwa głową.

- A czy tamta kobieta miała z tym coś wspólnego?
- Kto?

Shara zastanawia się.

- Cebulaczka.
- Och. Och, ona. - Znów wybucha śmiechem. - Wiesz, że w ogóle nie mieliśmy pojęcia, że tam będzie?
- Rozumiem - odpowiada cicho Shara. - Na co wam metal?
- Nie możemy latać na łodziach z drewna - odpowiada. -bynajmniej tak mówili. Wszystko by się rozleciało. Drewno jest za słabe. - Podąża spojrzeniem za czymś niewidocznym. -Och, bogowie... Ale piękne.

Shara zastanawia się, czy przypadkiem nie podała mu za dużo specyfiku.

- Czy razem ze znajomymi zabiliście doktora Pangyuia?
- Kogo?
- Profesora-cebulaka.
- Cebulacy nie mają profesorów. Nie mają do tego odpowiednich umysłów.
- Tego małego obcego profesora, który... zbluźnił.
- Wszyscy obcy bluźnią. Samo to, że są żywi, jest bluźniercze.

Jesteśmy tylko my. Jesteśmy dziećmi bogów. Pozostali są ludźmi z popiołu i gliny. To, że żyją i nie składają nam hołdu jest największym bluźnierstwem. — Marszczy czoło i nachyla się do przodu, jakby bolał go żołądek. - Och. Och, bogowie.

- Był tu facet, który prowadził badania na uniwersytecie -Shara mówi wolno i wyraźnie. - Nie chcieliście go tu. To znaczy, miasto go nie chciało. Ostro się temu sprzeciwiano.

Chłopiec pociera oczy.

- Moja głowa. Coś... coś jest w mojej głowie...

- Umarł kilka dni temu. Pamiętasz?

Zaczyna jęczeć.

- Ktoś tam jest... - Stuka się knykциями w głowę wystarczająco głośno, by było to słychać. — Proszę... Pomóż mi go wydostać...

- Ktoś zaatakował go na uniwersytecie. Pobito go na śmierć.

- Proszę. Proszę!

- Powiedz mi, co wiesz o profesorze.

- Jest w mojej głowie! - krzyczy chłopak. — Jest w środku! Jest uwięziony już od bardzo dawna! Pozwólcie mi ujrzeć światło, och, pozwólcie mi ujrzeć światło!

- Cholera — mówi Shara. Podchodzi do drzwi celi i kładzie rękę na zasłoniętym wizjerze. - Chcesz światła?

- Tak! - krzyczy chłopiec. - Na litość boską, tak!

- Dobrze. - Shara odsuwa zasłonkę. Do środka przedostaje się strużka światła.

— Już—mówi. Odwraca się do niego. - Czy teraz powiesz mi...?

Chłopak zniknął.

Nie tylko on; nie ma połowy pokoju. Zupełnie, jakby pół pokoju zostało odcięte pionową ścianą czarnej wody, tylko że na jej środku znajduje się mała plama żółtego światła, żółtego niczym niebo przed sztormem.

- Och - mówi Shara.

Plama żółtego światła poszerza się. Shara czuje, jakby ktoś sięgał do jej głowy grubymi, mocnymi dłońmi i otwierał małe drzwi...

Shara ma czas na jedną myśl - Wydawało mi się, że to ja podałam środek jemu - po czym zaczyna widzieć wiele rzeczy.

Jest tam stare i powykręcane drzewo.

Stoi na szczycie samotnego wzgórza. Jego gałęzie tworzą ciemne sklepienie na tle żółtego nieba.

Pod drzewem znajduje się kamień. Jest ciemny i gładki, wypolerowany do tego stopnia, że wygląda, jakby ciągle był mokry.

Na środku kamienia wyrzeźbiona jest twarz. Shara ledwie ją dostrzega.

Rozlega się głos, huczący niczym grzmot:

KIM JESTEŚ?

Wszystko znika - wzgórze, drzewo, kamień - i rzeczy się zmieniają.

Słońce, jasne, potworne i palące. Nie wielka kula światła, do jakiej Shara jest przyzwyczajona: wygląda ono, jakby niebo było kartką cienkiego, żółtego papieru, a za nią stał ktoś trzymający oleistą, płonąca pochodnię.

Kraina oświetlona jest starożytnym ogniem. Ale kto go rozpałił?

Pod słońcem znajduje się samotna, dziwna góra. Wznosi się z ziemi prostym i sztywnym kształtem. Wierzchołek jest gładki i zaokrąglony - zupełnie jak kamień, który widziała chwilę wcześniej - a boki są pionowe i pofałdowane. Cała góra jest strasznie, niepokojąco organiczna, chociaż może to zwyczajnie wynikać z faktu, jak gładka powierzchnia wygląda w drżącym świetle słońca.

Ponownie odzywa się głos:

JAK SIĘ TU DOSTAŁAŚ?

I ponownie, miejsce znika.

Zbocze wzgórza wyrasta przed nią, oświetlone blaskiem ognia. Jest noc. Cienie skaczą wokół niej: twarze, dłonie, wszystkie zdziczałe, wszystkie powykręcane. Ponad nią znajduje się księżyc, wielki i wezbrany niczym pajęczne jajo. Sprawia wrażenie, jakby balansował na szczycie wzgórza i Sharze wydaje się, że dostrzega postać w trójskrzydłym kapeluszu, tańczącą przed nim, podrzucającą coś w niebo - dzban? - jakby chciała zaprosić ów księżyc do zabawy.

Szpaki zalewają nocne niebo ciemną, piszczącą powodzią.

NIE WIDZĘ CIĘ. ZBLIŻ SIĘ.

Ciemność znika. Shara czuje, jak coś ją odpycha.

Droga na równinie. Ponownie, żółte niebo oświetlone słońcem jak blask gasnącej pochodni. Poza nim nie ma nic oprócz zakurzonej drogi i równiny.

Shara jest ciągnięta wzdłuż drogi, jakby unosiła się centymetry nad ziemią.

Wzgórza wznoszą się na horyzoncie, pobrużdzone, żółte i jałowe. Jest przesuwana w ich stronę, jakby była ciągnięta na sznurku, i wlatuje wzdłuż ich gładkich zbocz, aż widzi pęknięcie pomiędzy dwoma wzgórzami, małą szczelinę, ranę po nożu, jaskinię.

Coś ciągnie ją do jaskini, do siebie.

Shara wchodzi. Światło wokół niej gaśnie.

Te wzgórza są puste.

Nie, nie wzgórza - posągi.

Ale podobieństwo do kogo udają?

Na końcu jaskini ktoś jest. Shara go nie widzi. Wydaje się jej, że dostrzega wysoki kształt, okryty szarą szatą, jakby grubym płaszczem.

Nie widzi twarzy, ale czuje na sobie wzrok.

TU JESTEŚ.

Nie widzi rąk, ale czuje się, jakby była w czyjejs garści.

JAK SIĘ TU DOSTAŁAŚ? NIE, TO NIEWAŻNE. WYPUŚĆ MNIE.

Nie widzi ruchu, ale czuje, jakby ściany zamykały się wokół niej.

WYPUŚĆ MNIE. MUSISZ MNIE WYPUŚCIĆ.

Trzepot szarej szaty. Zbliża się, ale ona wciąż nie widzi.

NIE MIELI PRAWA. NIE MIELI PRAWA MI TEGO ZROBIĆ.

Shara szarpie się. Sięga, próbuje go odepchnąć. Nie! Nie!

MUSISZ MNIE WYPUŚCIĆ.

W ciemności pojawia się jasny płomień.

Sharze chwilę zajmuje zrozumienie, że stoi w więziennej celi. W środku pomieszczenia coś płonie, a światło migoczące na kamiennych ścianach nadaje celi pierwotny wygląd, podobnie jak w jej wizjach. Dopiero gdy słyszy krzyk Mulaghesh: -Wyłaź stamtąd! Shara! Po co tam stoisz! Wychodź, do cholery! - dopiero wtedy zdaje sobie sprawę, gdzie się znajduje.

Rozlega się inny głos. Shara uświadamia sobie, że ktoś krzyczy.

Wtedy ogień w więziennej celi staje, spogląda na nią i sięga w jej stronę.

W płomieniach Shara widzi twarz, popękaną i pełną pęcherzy.

To chłopak, ale płonie, jakby ktoś oblał go naftą.

Ten otwiera usta, by ponownie krzyknąć. Shara obserwuje, jak płomienie pochłaniają jego usta i dostają się do gardła. Widzi, jak wrze jego język.

Drzwi za nią gwałtownie się otwierają. Mulaghesh chwyta ją i wyciąga na korytarz.

Drzwi celi więziennej zatrząskują się, ich krawędzie i otwory przepuszczają jasne światło. Z drugiej strony słychać walenie w drzwi i wrzaski. Wpadają policjanci, ale nie wiedzą co robić.

— Och — mówi Mulaghesh. — Och, na morza. Co za kurew-ski

świat. Niech ktoś przyniesie koce! Musimy go zgasić! No już, ludzie, ruszać się!

Walenie w drzwi słabnie. Powietrze wypełnia zapach rozgrzanego tłuszczu, jak przy wytwarzaniu świec. Gdy policjanci w końcu przynoszą koce i przyprowadzają lekarza, nad górną krawędzią wydostaje się już ciemny dym.

Przygotowują się i otwierają drzwi. Po drugiej stronie są one czarne, zwęglone. Za nimi jest ściana dymu, gładka i gęsta niczym czarna woda.

- Nie - mówi Mulaghesh. - Nie. Za późno. O wiele za późno.

Spośród morza czerni wyłania się ciemny, pomarszczony cień. Shara przysuwa się, by spojrzeć, ale Mulaghesh ją odciąga.

Dziki zamęt. Korytarze pełne ludzi, którzy krzyczą i wrzeszczą, walczą, żeby się wydostać. Shara chce zapytać: O co cały ten hałas?, ale czuje się zbyt oszołomiona i spowolniona, by to zrobić.

Widzi sajpurskich żołnierzy, którzy przebijają się przez tłum, by się do niej dostać; czuje, jak Mulaghesh wpycha ją w ich ramiona, jak wyciągają ją ze spanikowanego tłumu. Czuje to, ale jakoś nie zauważa. To chyba właśnie jest szok, myśli z pewnym zaciekawieniem.

Wpychają ją do samochodu razem z Mulaghesh i dwoma żołnierzami. Pitry z niepokojem spogląda na nich z siedzenia kierowcy. Mulaghesh każe mu natychmiast jechać do ambasady. Gdy ruszają, opancerzony samochód ozdobiony na boku insygniami gubernator polis także odpala silnik i podąża zaraz za nimi.

- Patrzcie do góry - instruuje żołnierzy Mulaghesh. - Na dachy. I obserwujcie alejki.

- Czego tam mają szukać? - pyta łagodnie Shara.
- Oszalała pani? Kolejnych zabójców! Ile to już, dwukrotnie w ciągu sześciu godzin? Na morza, nawet nie wiem, jak tego dokonał... Musiał mieć na sobie jakieś urządzenie, jakąś piersiówkę z olejem, czy coś... Nie wiem, jak policja mogła to przegapić, chyba że ktoś przemycił mu to do celi. Nie zdziwiłabym się.

Wydaje się jej, że mnie zaatakował, myśli Shara.

Ale to nie tak. Dokładnie wiem, co to było.

Ale do tej pory tylko o tym czytałam...

- Odwróciłam się - mówi Shara. - Co pani widziała?
- Wcale nie - mówi Mulaghesh. - Patrzyła pani prosto na niego. Myślałam, że to był jakiś rodzaj gierki umysłowej, że pani z nim pogrywa. Podeszła pani do drzwi i odsłoniła wizjer, tak, że mogłam go widzieć. Wtedy powiedziała pani coś o świetle i odwróciła się. Oboje po prostu... patrzyliście na siebie nawzajem.
- Jak długo?
- Cholera, nie wiem. A potem on... zapalił się. Nie widziałam, żeby cokolwiek włączał, by wciskał jakiś przycisk czy zapalał zapałkę. Nie wyglądał, jakby w ogóle się poruszył. Chcę wiedzieć, czego użył. Mogą znowu tego spróbować.

- A... A czy słyszała pani jakiś głos?

- Co?

- Głos? Gdy wpatrywaliśmy się w siebie?

Mulaghesh odwraca wzrok od ulicy i spogląda na Sharę.

- Jest pani w szoku. Powinna pani się położyć i odpocząć. Proszę

pozwolić mi przejąć dowodzenie. To moje zadanie. Znam się na tym. Dobrze?

Odezwał się do mnie z serca świata.

Nie - on był sercem świata.

- Nie musi pani - mówi łagodnie Shara — tak rozkazywać swoim ludziom.
- Shara, po prostu się połóż...
- Nie - odpowiada. - To nie był zaplanowany, skoordynowany atak. A już z pewnością nie była to próba zabójstwa.
- W takim razie co?

Shara rozważa, czy jej powiedzieć.

Pewnych sekretów nie można znosić samotnie.

- Pitry, czy może pan się na chwilę zatrzymać? I przy okazji zamknąć tutaj przesłone?
- Co? - pyta Mulaghesh. - Dlaczego?
- Ponieważ obawiam się, że pani żołnierze muszą dołączyć do Pitryego na przednim siedzeniu - mówi Shara. - Bo to będzie bardzo prywatna rozmowa.

Gdy przejeżdżają obok nich, zniszczone budynki jawią się niczym dzikie krajobrazy, jakby szare lodowce spelzały w dół zbocza. W jednym z okien pojawia się pobladła twarz; młoda dziewczyna wylewa na zewnątrz ogromną ilość ludzkim odchodów. Przechodnie zatrzymują się tylko na moment: nie jest to dla nich rzadkie zjawisko.

- Przeczytałam chyba najwięcej o historii Kontynentu ze wszystkich żyjących ludzi - mówi Shara. - Więcej ode mnie wiedział tylko Efrem Pangyui. Niestety już nie żyje. Co oznacza, że zostałam tylko ja.
- Co chce pani przez to powiedzieć? - pyta Mulaghesh.
- Czytałam o przypadkach samozapłonu, które występowały na Kontynencie. Nie zdarzyło się to od dekad, ale kiedyś, dawno temu, od czasu do czasu się zdarzało. Wtedy powody tych samozapłonów były powszechnie znane: stanowiły skutek opętania przez Bóstwa.
- Że czego? - pyta Mulaghesh.
- Opętania przez Bóstwa. Bóstwo mogło przekazać swoją inteligencję śmiertelnikowi, by porozumiewać się z nim bezpośrednio - zasadniczo używając go prawie jak kukiełki. Było to dość popularne wśród niektórych z pomniejszych Bóstw — duszków, duchów, chowańców i tak dalej.
- Kaj zabił je wszystkie podczas Wielkiej Czystki - mówi Mulaghesh.
- Prawda?
- Rzekomo. Ale główne Bóstwa nie były w stanie opętać śmiertelników do tego stopnia. Ich istoty były zbyt duże, zbyt potężne, zbyt intensywne. Śmiertelne ciało nie było w stanie tego znieść. Powstawało coś jakby duchowe tarcie, które skutkowało samozapłonem.

Mulaghesh milczy przez długi, długi czas.

- I... twierdzi pani, że to właśnie miało miejsce.
- Jestem tego pewna.
- Dlaczego?
- Ponieważ - Shara bierze wdech - cokolwiek opętało tego chłopca,

rozmawiało też ze mną. Dla pani, poza całą, wyglądało to jakbyśmy po prostu stali nieruchomo. Ale dla mnie... Coś... gdzieś mnie zabrało. Byłam tam przez jakiś czas. Wciągnęło mnie. Chciało mnie zobaczyć. I chciało, żebym wypuściła to coś... z miejsca, w którym przebywało.

- Rozmawiało z panią?

- Tak.

Mulaghesh przełyka ślinę.

- Czy... jest pani tego pewna?

- Tak.

- Czy nie był to po prostu efekt uboczny specyfiku, którego użyła pani na tym chłopaku? Może wchłonęła pani trochę przez skórę?

- Jestem pewna, że się do tego przyczynił, ale nie w sposób, o którym pani wspomina. Jak mówiłam, kamień filozoficzny był często wykorzystywany do porozumiewania się z Bóstwami. Źródła twierdzą, że w pewien sposób działał jak lubrykant. Wierzę, że mogłam przez przypadek sprawić, że ten chłopak otworzył się na... czymkolwiek było to, co go opętało.

- Czymkolwiek było - powtarza Mulaghesh.

- Tak.

- Ale to... To nie było cokolwiek. Mnie to brzmi, jakby wiedziała pani, co to było.

- Tak.

- Ponieważ jeśli ma pani rację, to jedynym, co powodowało samozapłon, było...

- Tak. Główne Bóstwo.

- I... jeśli mówi pani, że to właśnie widziała, że to właśnie opętało chłopca, to znaczy, że...

- Tak — mówi Shara. — To znaczy, że przynajmniej jedno z nich przetrwało.

Wygranie Wojny jest z pewnością największym przełomem w historii Sajpuru. Jednakże zarówno Kaj, jak i sama wojna często rzucają cień na lata bezpośrednio po upadku Kontynentu- co było równie istotne dla Sajpuru, jak śmierć samych Bóstw. Ten okres popadł jednak w prawie całkowite zapomnienie.

Prawdopodobnie wynika to z faktu, że wydarzenia po Wojnie niemiło się wspomina.

Po tym, jak Kaj zabił ostatnie Bóstwo, stało się jasne, że Bóstwa chroniły kontynent— i do pewnego stopnia Sajpur - nie tylko przed napastnikami z zewnątrz, ale również przed wirusami i chorobami. Przez dwadzieścia lat po śmierci Dżukowa, ostatniego Bóstwa, wybuchy strasznej dżumy stały się przewidywalne na równi z opadami deszczu i śniegu.

Trudno oszacować straty poniesione podczas oficjalnych Lat Dżumy: są ogromne. Kontynent, tak bardzo zależny od Bóstw, był na nie szczególnie narażony: prawie jedna trzecia całej populacji zmarła od razu po Mgnieniu, na skutek różnych dolegliwości. Sajpurscy żołnierze - którzy byli równie podatni, jako że stacjonowali na Kontynencie - pisali do domu listy, opisując ulice wypełnione gnijącymi ciałami, rzeki trupów piętrzących się na dwukrotną wysokość człowieka, niekończące się sznury pudeł, w których wieziono ciała na stosy pogrzebowe na zewnątrz każdego polis. Każde polis przetrwało także atak owadów, szcurków, kotów, wilków— prawie każdego szkodnika, o jakich można było pomyśleć. Gdziekolwiek się nie poszło na Kontynencie, wszędzie można było napotkać przytłaczający zapach gnijącego ciała.

Jednakże Sajpur, jako kolonia która wcześniej jedynie w marginalnym stopniu korzystała z cudownej ochrony, dysponował większą wiedzą na temat niecudownej infrastruktury sanitarnej. Przeprowadzano kwarantanny zarażonych, a gdy żołnierze wrócili do domu, ich także bezzwłocznie poddano kwarantannie - decyzja, która w tamtym czasie spowodowała w Sajpurze wiele oburzenia. Ogólnie, chociaż Lata Dżumy nie były łatwe, Sajpur stracił w tym nagłym, ogromnym przyptywie choroby mniej niż dziesięć tysięcy ludzi.

Przydała się również Sajpurowi owa samowystarczalność, jeśli chodzi o technologię. Przez 867 lat służalczości, Sajpur był zmuszony dostarczać Kontynentowi zasoby głównie własnymi sposobami bez pomocy Bóstw (dlaczego dokładnie Bóstwa w ogóle potrzebowały Sajpuru do produkcji surowców- zamiast po prostu wytwarzać je osobiście dowolną ilością cudów- jest ulubionym i raczej niemile odbieranym pytaniem, krążącym wśród sajpurowskich historyków). Po latach bycia zmuszanym do wytwarzania takich technologicznych innowacji, teraz Sajpur nagle zorientował się, że dysponuje bogactwem surowców, które teraz mógł nazywać własnymi. Przeszedł więc fenomenalną technologiczną transformację właściwie w ciągu jednej nocy. Sama Vallaicha Thinadeshi, ogólnie uznawana za jednego z największych inżynierów tego okresu, przed swoim zniknięciem w Vurtjasztanie powiedziała, że przez te dwie dekady „można było wyrzucić kamień przez okno w Ghaladeshu i trafić nim czterech geniuszy” (być może warto zaznaczyć, że sam Kaj był uczonym-amatorem, wykonującym w swej rezydencji wiele eksperymentów).

Dla kontrastu, Kontynent - po przejściu dżumy i przy szalejącym głodzie- zatopił się we własnej bezradności. Wskutek braku jakiegokolwiek formy rządów wszystkie polis uległy wewnętrznym konfliktom. Wszelkiej maści watażkowie pojawiali się niczym grzyby po deszczu. Podczas odwrotu Sajpuru, niektórzy sajpurowscy żołnierze wspominali o kanibalizmie, torturach, niewolnictwie, masowych gwałtach. Ludzie, którzy byli niegdyś błogosławionymi znakomitościami świata w ciągu praktycznie jednej nocy przeistoczyli się w potwornych, barbarzyńskich dzikusów.

Dla nowo powstałego Rządu Sajpurowskiego mogła to być łatwa, jeśli nie wręcz satysfakcjonująca decyzja: Sajpur, będący przez długi okres podporządkowanym narodem, zainterweniuje w sprawy Kontynentu i zaprowadzi porządek. Dokona ponownej inwazji, tym razem pod sztandarem niesienia pokoju, i zacznie odbudowę.

Aczkolwiek nie jestem pewien, czy faktycznie rozumieli pamięć Kontynentu, która - pomimo Mgnienia, Lat Dżumy i watażków - pozostaje do dziś dość długa i gorzka.

Oni pamiętają, czym byli i wiedzą, co utracili.

- „NAGŁA HEGEMONIA”, DR EFREM PANGYUI

NIEBEZPIECZNIE SZCZERA



gliste światło poranka rozlewa się po dachach. Shara mruży oczy, próbując dostrzec, gdzie dokładnie zaczynają się i kończą mury Bułykowa, ale widzi jedynie poranne niebo — czy też wyobraża sobie diamentowe cętki gwiazd, błyszczących ponad wschodzącym słońcem. To nie do końca słońce, myśli. Nie widzę nieba. To po prostu obraz słońca i nieba, stworzony przez mury. Albo tak przynajmniej mi się wydaje... Bułykowskie gołębie nie są w stanie stwierdzić różnicy: wychodzą ze swoich gniazd, rozczesują pióra i całymi chmarami opadają na miejskie ulice.

Shara się nie boi. Powtarza to sobie w kółko, opanowanym, chłodnym głosem lekarza.

Nigdy nie myślałam o wiedzy jak o ciąży, myśli Shara, ale ta wyjątkowo mi ciąży...

Mały i cichy wewnętrzny głos przypomina jej, że nie jest to aż tak zaskakujące. Shara spędziła wystarczająco wiele czasu zarzucona tajnymi informacjami w Ministerstwie, by rozumieć, że historia wykładana w sajpurskich szkołach jest jedynie jedną z opcji historii - taką z wieloma dziurami. Ale koszmary, które już się wydarzyły, wcale nie stają się przez to mniej przerażające.

Coraz bardziej martwi się o to, co jest w Magazynie. A także o to, że ktoś poza Efremem mógł mieć do tego dostęp. To powinno być niemożliwe; niemniej fakt, że natrafiła na coś, co powinno być martwym Bóstwem sprawia, że Shara zdaje sobie sprawę, iż niemożliwego nie można już wykluczyć.

Podnosi z biurka poranną gazetę i po raz setny odczytuje listę poległych zeszłej nocy, zwracając uwagę szczególnie na te dwa akapity:

Vohannes Votrow wyraził żal z powodu swoich poległych pracowników i faktu, że nastąpił taki atak, ale twierdzi, że wcale go to nie zaskoczyło: „Biorąc pod uwagę dyskusję, jaka toczy się w mieście, nie dziwi mnie, że niektórzy obywatele poczuli, iż jedyną odpowiedzią może być przemoc. Dzień i noc mówi się im, że propozycja [Nowego Bułykowa] dla miasta oznacza zniszczenie i śmierć, że jesteśmy kłamcami i oszustami. Nie mam wątpliwości, że tacy ludzie uważają, iż mają moralny obowiązek działać w ten sposób - i tego żałuję chyba najbardziej ze wszystkiego.”

Ojciec Miasta Ernst Wykłów, częsty przeciwnik Votrowa i Nowego Bułykowa, szybko odparł te oskarżenia. „Sam pomyśl, że ktoś mógłby wykorzystać taką tragedię dla celów politycznych, jest odrażający” - powiedział kilka godzin po ataku. „To czas żałoby i namysłu, a nie wyniosłych postaw.” Nie uzyskaliśmy odpowiedzi od pana Vohannesa.

Ktoś puka do drzwi, które uchylają się i pojawia się w nich głowa Mulaghesh.

- Nie chciałam nikogo wpuszczać, ale pomyślałam, żeby zrobić wyjątek dla... jest tu ten twój chłopak.

- Kto?

Mulaghesh otwiera szeroko drzwi, odsłaniając stojącego w korytarzu Vohannesa, który wygląda dość niepewnie, mimo eleganckiego szarego garnituru i grubego płaszcza z białego futra.

- Ach - mówi Shara. - Wejdz.

Vohannes wchodzi, kulejąc.

- Muszę powiedzieć, że cieszę się, widząc cię w jednym kawałku...

Dwa zamachy na twoje życie w jeden dzień! Tak myślałem, że jesteś kimś ważnym, Shara, ale nie... - Pociera sobie biodro. - Nie aż tak ważnym.

Shara przewraca oczami.

- Widzę, że twój urok nie ucierpiał przez tę ekscytację. Vo, usiądź, proszę. Mam dla ciebie raczej złe wieści.

Podczas gdy on siada, Shara uświadamia sobie, że tylko odrobinę nie cierpi się za uważanie tego wszystkiego za szczęśliwy zbieg okoliczności: potrzebuje, żeby Vohannes był przestraszony, by zmusić go do zrobienia tego, co jest jej potrzebne.

- Złe wieści? - pyta Vo. - Gorsze niż wszystkie te uszkodzenia i... plamy w moim domu?

- Z radością wypłacimy ci za to odszkodowanie - mówi Shara. -W końcu uszkodzeń tych dokonał pracownik Ministerstwa.

- Ten człowiek pracuje dla Ministerstwa? Dla ciebie? Ale przecież jest Drejlingiem, prawda? Czy oni przypadkiem doszczętnie nie zdziczeli, odkąd upadły te ich małe królestwa?

- Może i tak - mówi Shara. - Ale ten ocalił ci życie.

Vohannes zastyga w trakcie wyciągania papierosa.

- Cóż, nie sądzę... Czekaj, co? Ocalił życie mnie?

- Tak - mówi Shara. - Ponieważ ci ludzie nie pojawili się tam z mojego powodu. Przyszli po ciebie, Vo.

Wpatruje się w nią. Papieros zawisa kilka centymetrów od jego otwartych ust.

- To właśnie te złe wieści, o których wspomniałam - mówi ostrożnie Shara.

- On... on co?

Shara podsumowuje to, czego dowiedziała się dzięki przesłuchaniu ocalałego napastnika.

- Można jednak powiedzieć, że masz dość szczęścia, że trafiłeś akurat na mnie — mówi łagodnie. — Prawdopodobnie jestem teraz jedyną osobą na Kontynencie, która może ci pomóc.

- W czym?

- Utrzymać się przy życiu. Nie widziałeś, jak ci goście byli ubrani?

Jego twarz przybiera gorzki wyraz.

- Stroje kolkasztańskie...

- Tak. Nie widziano ich na Kontynencie od dekad. Byli wyznawcami Bóstwa Kolkana. Vo, myślę, że to nie sprawa polityki - myślę, że to sprawa wiary. Ci ludzie są gotowi umrzeć za to, w co wierzą. I potrzebują czegoś od ciebie. A skoro są skłonni za to umrzeć, zdecydowanie spróbują ponownie.

- Spróbują ponownie... co?

- Napastnik, którego przepytywałam, nie był... w stanie, w którym mógłby podzielić się wieloma szczegółami, ale powiedział, że potrzebują od ciebie metalu. Wiesz, co to znaczy?

Vohannes wpatruje się w przestrzeń przez prawie minutę, zanim jest w stanie przetworzyć jej pytanie.

- Mojego metalu?

- Tak. Nie wydaje mi się, że miał na myśli coś drogiego - złoto, srebro czy coś w tym stylu. Ale tak jak powiedziałeś, grasz w grę zasobów... więc tak się zastanawiam...

- Cóż... Powiedziałem ci, że moim największym projektem jest saletra... Która, jak wiesz, nie jest metalem.
- Wiem co nieco o naturze metali - mówi Shara. - Chodziliśmy do tej samej szkoły.
- Racja, racja... Jedyne, co przychodzi mi na myśl - Vohan-nes drapie się po brwi, a potem ją przygląda - to stalownia. Ale ona jest bardzo nowa.
- Stal?
- Tak. Nikt inny na Kontynencie nie jest w stanie produkować stali. Głównie dlatego, że nikogo na to nie stać.
- Ale ciebie tak?
- Tak, do pewnego stopnia. Potrzeba do tego konkretnego rodzaju pieca, który jest drogi w budowie i konserwacji. To trochę projekt testowy, który mnie za bardzo nie interesuje, bo jest cholernie drogi. I ponieważ Bułyków nie buduje nic tak dużego, by potrzebna była do tego stal.
- Ale produkujesz stal?
- Tak. Chociaż nie mam pojęcia, dlaczego jacyś reakcyjni Odnowiciele mieliby jej chcieć.
- Tamten powiedział że do statków, które będą szybować powietrzu.
- Do czego?

Shara wzrusza ramionami.

- Tak powiedział.
- Więc tamten człowiek jest szalony. A przynajmniej mocno stuknięty. Przyznaję, że przynosi mi to pewną ulgę...

- Powiedzmy, że był w nieco pobudzonym stanie. Ale obawiam się, że nie możemy zadać mu kolejnych pytań. Umarł.

- Jak?

Shara milczy. Pokrótce przypomina sobie widok twarzy chłopaka, gdy płomień wypełniał mu usta, gdy próbował krzyczeć...

- Nie mogę teraz powiedzieć - mówi. - Ale nie było to przyjemne. Cała ta sprawa jest dla mnie mało przyjemna, Vo. I nie podoba mi się, że tkwisz w samym jej środku. Wygląda na to, że przyciągasz pioruny. - Delikatnie dotyka gazety przed nim. - I nie chcę, żebyś pogorszył ten stan.

Vohannes przygląda się jej uważnie.

- Och... Och, Shara. Mam nadzieję, że nie zamierzasz zasugerować tego, co wydaje mi się, że zamierzasz zasugerować.

- Po prostu założę się, że odwiedzili cię już wszyscy spośród twoich stronników i sojuszników - mówi Shara. — I założę się też, że wszyscy oni powiedzieli ci, na różne sposoby, że właśnie otrzymałeś bardzo cenny kapitał polityczny. Fakt, że zostałeś zaatakowany i przeżyłeś, sprawia, iż dostajesz w ręce potężną broń. Założę się również, że zarówno ty, jak i oni uważacie to za politycznie niezbędne, by dostać się na tak wiele czołówek gazet, jak to tylko możliwe.

- Zostałem zaatakowany - broni się Vohannes. - Czy nie wolno mi ostro potępić moich napastników?

- Nie wtedy, gdy próbuję ich złapać - tłumaczy Shara. -Vo, chcę, żebyś trzymał się z dala od gazet i żebyś jeszcze bardziej nie zaognił tej sytuacji.

Krótki śmiech.

- Serio?

- Serio. Ta konkretna robota okazała się być wyjątkowo trudna. Ale możesz mi ją ułatwić.
- Twoja robota jest trudna? Och, więc pojawiaasz się w moim mieście i nagle to twój teren? Ty masz decydować, jak powinno rozgrywać się wszystko w Bułykowie? Bogowie... Gdybym był gorzej poinformowany, powiedziałbym, że tego rodzaju zachowanie jest typowe dla...

Shara unosi brew.

Vohannes odkasłuje.

- Słuchaj, Shara. Spędziłem życie na budowaniu swojej kariery. Wydałem na to fortunę. Tłukłem i tłukłem w te niewidzialne mury otaczające Kontynent, próbując sprowadzić pomoc, bogactwo, wsparcie, edukację. A teraz, gdy wydaje się, że właśnie do czegoś dochodzę, gdy tylko wygląda na to, że mógłbym zjednoczyć pomoc dla Bułykowa... chcesz żebym przestał? Kiedy wybory na Ojców Miasta są już w przyszłym miesiącu?
- To ważniejsze niż głosy.
- Tu nie chodzi o głosy. Chodzi o miasto, o Kontynent!
- Tak jak w tym, czym zajmuję się ja.
- Ludzie na mnie polegają.
- Na mnie też — mówi Shara. — Po prostu tego nie wiedzą.
- Och, w taki sposób możesz usprawiedliwić wszystko.
- Nie jestem twoim wrogiem - oznajmia Shara. - Tylko sojusznikiem. Vo, byłem z tobą szczerą. Niebezpiecznie szczerą. Teraz musisz mi zaufać. Chcę, żebyś choć na trochę zniknął z publicznego widoku. Jeśli twój ruch odnosi taki sukces, jak twierdzisz, twoje zniknięcie na jakiś

czas nie powinno mu zaszkodzić.

To odwołanie się do jego próżności chyba go zadowoliło.

- Na jak długo?
- Mam nadzieję, że niedługo. Im szybciej to załatwię, tym szybciej możesz wrócić do pracy bez strażników.
- Ja... Czekaj, jakich strażników?

Shara miesza herbatę.

- Ochroniarzy. Sajpurskiej ochrony, jaką zamierzam ci przydzielić.

Vohannes wpatruje się w nią i wybucha śmiechem.

- Ty... Nie możesz przydzielić mi strażników. To niedorzeczne!
- Mogę. Ciągłe będziesz mógł chodzić tam, gdzie chcesz, przynajmniej do pewnego stopnia. Po prostu będą cię obserwować.
- Wiesz, jak okropnie będzie to wyglądało? Mam chodzić po mieście z gromadą zbrojnych Sajpurów?
- Myślałam, że właśnie ustaliliśmy, że w ogóle nie będziesz chodził po mieście - zauważa Shara. - Przez jakiś czas będziesz umiarkowanie prywatnym obywatelem, i to bezpiecznym, jeśli zrobimy to po mojemu. Ale możesz skrócić ten czas... Jeśli coś dla mnie zrobisz.
- O, bogowie... - Vohannes przeciera oczy. - Czegoś potrzebujesz? Czy tak właśnie Ministerstwo załatwia sobie to, czego potrzebuje?
- Vo, nie żyje szesnastu ludzi. Włączając w to twoją służbę. Biorę to na poważnie. I ty też powinieneś.
- Ja też biorę to na poważnie. To ty każesz mi nic nie robić!

- Nie nic. Coś jest przechowywane w skrytce bankowej jednego z tutejszych banków. Nie jestem pewna co, ale będę tego potrzebować.
- I chcesz, żebym ci to załatwił?

Shara kiwa głową.

- I jak to sobie wyobrażasz? Mam ubrać się na czarno i zinfiltrować to miejsce w środku nocy? Wydawało mi się, że masz od tego ludzi.
- Spodziewałam się, że wymyślisz coś prostszego. Głównie dlatego, że jesteś właścicielem tego banku.

Vohannes mruga.

- Ja... Tak?
- Tak. - Shara wręcza mu kopię odkodowanej wiadomości Pangyuia.

Vohannes odczytuje ją.

- Jesteś pewna, że jestem jego właścicielem? Ta nazwa nic mi nie mówi...
- To musi być takie fajne - stwierdza Shara. - Być tak bogatym, że człowiek sam nie wie, jakich instytucji jest właścicielem, a jakich nie. Ale tak. Potwierdziłam, że rzeczywiście jesteś właścicielem tego banku. Jeśli potrafiłbyś znaleźć sposób, by otrzymać zawartość tej skrytki i mi ją dostarczyć, wtedy może uda nam się to wszystko zrozumieć. A wówczas nie musiałabym trzymać cię pod strażą i mógłbyś wrócić do swoich spraw.

Vohannes mamrocze coś o pogwałceniu jego praw, po czym zgniata przekazany mu adres i ze złością wciska go do kieszeni. Wstaje i mówi:

- Jeśli jesteś moim sojusznikiem, to spodziewam się, że będziesz odpowiednio się zachowywać.

- To znaczy?
- Sama powiedziałaś, że chcemy tego samego: Bułykowa, w którym panuje pokój i rozwija się biznes. Czy tak?

Shara natychmiast żałuje tych słów - ponieważ wie, że Ministerstwo Spraw Zagranicznych wcale tego nie chce.

- Pracuj ze mną - mówi Vohannes. — Pomóż mi.
- Czy chodzi ci o to, że chcesz zacząć wytwarzać broń?
- Mówię o wzmożonym sajpurskim zaangażowaniu w Bułyków — wyjaśnia. — Prawdziwym zaangażowaniu. Prawdziwej pomocy. Nie o podstępach. Teraz dostaliśmy zaledwie stróżkę wody, a potrzebujemy powodzi, by zalać całą tę stagnację. Wyteż mięśnie, Shara. Daj mi prawdziwe polityczne wsparcie.
- Nie możemy okazać wsparcia lokalnemu politykowi. Może pewnego dnia będziemy mogli, ale nie teraz. Okoliczności...
- Okoliczności nigdy nie będą odpowiednie - mówi Vohannes - ponieważ to zawsze będzie trudne.
- Vo...
- Shara, moje miasto i mój kraj są bardzo, bardzo biedne i szczerze mówiąc, uważam, że stoją na ścieżce, która może doprowadzić wyłącznie do przemocy. Daję ci możliwość, byś spróbowała mi pomóc i postawić nas na innej ścieżce.
- Nie mogę z niej skorzystać — tłumaczy Shara. — Nie teraz, Vo. Przykro mi. Może pewnego dnia, całkiem niebawem.
- Nie. Sama w to nie wierzysz. Shara, ty nie wspierasz zmiany. Nie sprawiasz, że świat staje się lepszy - pracujesz, by rzeczy zostały takie, jakimi są. Odnowiciele spoglądają w przeszłość, Sajpur chce utrzymać

stan terazniejszy, ale nikt nie patrzy w przyszłość.

- Żałuję - mówi Shara. - Ale nie mogę ci pomóc.

- Nie, wcale nie żałujesz. Reprezentujesz swój kraj. A kraje nie czują żalu. - Vohannes odwraca się i odchodzi, kulejąc.

Shara znów stoi przy oknie. Świt rozkwitł już na dachach Bułykowa, nadając złote pasma wszystkim wędrującym kolumnom dymu z kominów. Shara bierze duży łyk herbaty. *Import*, myśli. *Może z Ghaladeshu*. Zastanawia się pobieżnie, czy nie jest może uzależniona raczej od smaku i zapachu odległego domu, niż od kofeiny w herbacie.

Otwiera okno, krzywiąc się na uderzenie chłodnego powietrza, zamyka zewnętrzne okiennice i zatrząskuje okno z powrotem.

Oblizuje palec, waha się przez chwilę, a potem zaczyna pisać na szybie.

Dlaczego zawsze robię to, myśli, gdy jestem najbardziej bezbronna?

Cienie zmieniają się powoli. Powietrze zyskuje nowy, osobliwy pęd. Gdzieś w pomieszczeniu, na jakiś niewidzialny sposób, otwierają się drzwi prowadzące dokądś indziej. A w szybie Shara dostrzega...

Puste biuro.

Siada więc, by poczekać.

Dwadzieścia minut później przybywa Vinya Komayd, niosąc wiele dokumentów. Odziana w coś, co sama nazywa swoim „pancerzem ochronnym”: w jasnoczerwoną, bardzo drogą sukienkę, jednocześnie atrakcyjną i onieśmielającą. Ubiór ten zawsze w dziwny sposób sprawiał, że Vinya staje się niezaprzeczalnym centrum każdego pomieszczenia. Gdy znalazła tę suknię w sklepie, kupiła pięć sztuk i

załatwiła wycofanie całej dostawy ze sprzedaży. Nigdy nie mogłabym powierzyć takiej sukni komukolwiek innemu, wyznała niegdyś Sharze. To zbyt niebezpieczne.

- Ważne spotkanie? - pyta Shara.

Ciocia Vinya spogląda w górę i marszczy brwi.

- Nie - odpowiada, lekko zirytowana. - Ale byli tam ważni ludzie. Dlaczego korzystasz z linii awaryjnej? Jeśli coś znalazłaś, prześlij to zwykłymi kanałami.

- Mamy szesnaście trupów - mówi Shara. - Kontynentanów. Zostali zabici podczas ataku na ważnego bułykowskiego polityka - Ojca Miasta. On przeżył.

Vinya zatrzymuje się. Spogląda na świstek papieru w swojej dłoni - pracę, która zapewne wymaga szybkiego wykonania - po czym wzdycha i odkłada go na bok. Podchodzi, by usiąść przed szybą.

- Jak?-pyta.

- Zdecydowali się zaatakować podczas wydarzenia kulturalnego. Na którym byłam obecna.

Vinya przewraca oczami.

- Ach. Razem z... jak mu tam...

- Sigrudem.

- Tak. Ile trupów?

- Szesnaście.

- Czyli wyrabia swoją normę. Na wszystkie cholerne morza, Shara, ja... nie mam pojęcia, dlaczego wciąż go zatrudniasz! Każdego dnia mamy kłopoty z Drejlingami! To piraci, moja droga!

- Nie zawsze tacy byli. Nie, póki żył ich król.
- Ach, tak, ich martwy król, o którym tak bardzo lubią śpiewać... On i ich zagubiony książę, który pewnego dnia przyplynie do nich z powrotem. Rozumiem, że śpiewają o tym przez cały dzień, gdy tak sobie palą połowę północnego wybrzeża Kontynentu! Znaczą, musisz przyznać, moja droga, że ci ludzie to prawdziwe dzikusy!
- Uważam, że udowodnił swoją wartość, zarówno zeszłego wieczoru, jak i wiele razy wcześniej.
- W pracy wywiadowczej chodzi o unikanie rozlewu krwi, a nie rozlewanie jej litrami!
- A jednak praca wywiadowcza jest tak samo zależna od otoczenia jak wszystko inne - mówi Shara. - Działamy według zestawu zmiennych, na które często nie mamy żadnego wpływu.
- Nie cierpię, gdy mnie cytujesz - mówi Vinya. - W porządku. No i co? Jacyś wieśniacy strzelali do radnego, czy kim tam on sobie jest. To jeszcze nic takiego. Normalny dzień roboczy. Dlaczego się ze mną kontaktujesz?
- Ponieważ jestem przekonana - mówi Shara - że jest to powiązane z Panguiem.

Vinya zastyga w bezruchu. Odwraca wzrok, a potem powoli spogląda z powrotem.

- Co?
- Podejrzewam - tłumaczy Shara - że śmierć Panguia była prawdopodobnie działaniem tutejszego ruchu reakcyjnego, którego celem jest podkopanie wpływów Sajpuru i przywrócenie Kontynentowi - a przynajmniej Bułykowowi - jego uprzedniej chwały.

Vinya siedzi w ciszy.

- I jak niby do tego doszłaś? - pyta wreszcie.
- Był obserwowany - mówi Shara. - I podejrzewam, że przyglądali się mu właśnie agenci tego ruchu reakcyjnego.
- Podejrzewasz?
- Powiedziałabym, że wydaje mi się to bardzo prawdopodobne. Konkretnie, chociaż jeszcze nie mogę tego potwierdzić, myślę, że jego śmierć jest powiązana z odkryciem przez nich prawdy o tym, czym dokładnie się tu zajmował. Co nie było, tak jak ich zapewniano, misją zrozumienia kultury.

Vinya wzdycha i masuje boki szyi.

- Ach. No więc.

Shara kiwa głową.

- No więc.
- Dowiedziałaś się o jego małej... ekspedycji historycznej.
- Czyli wiesz o Magazynie?
- Oczywiście, że wiem o Magazynie! - warczy Vinya. -Dlatego w ogóle tam pojechał!
- Zatwierdziłaś to?

Vinya przewraca oczami.

- Och. Czyli sama to zaplanowałaś.
- Moja kochana, oczywiście, że to zaplanowałam. Chociaż pomysł był Efrema. Po prostu bardzo mnie zainteresował.
- Na czym dokładnie polegał?

- No cóż, skoro jesteś taką specjalistką na temat Bóstw, to pewnie wszystko już wiesz... Albo wiedziałabyś, jeśli Efremowi pozwolono by to opublikować. Jego pomysł nie został, jak mówi się w żargonie naszej ery, zatwierdzony. No i wciąż jest bardzo niebezpieczny.

- O co dokładnie chodziło?

- Nie rozmawiamy tutaj za wiele o Bóstwach. Oczywiście wolimy, żeby pozostały martwe. Ale gdy już o nich rozmawiamy, my, tak jak i jak sam Kontynent, zakładamy, że był to związek oparty na hierarchii: Bóstwa stały na szczycie i mówiły Kontynentanom oraz, cóż, całemu światu, co ma robić. I wszyscy ich słuchali. Rzeczywistość ich słuchała.

- Więc?

- Więc - mówi wolno Vinya - podczas swojej kariery, Efrem po cichu nabierał coraz większego przekonania, że nie o to tu chodzi. Wierzył, że w tym związku ma miejsce dużo bardziej subtelny kompromis, bardziej niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. Bóstwa projektowały na nas własne światy, własne rzeczywistości, których nasi historycy mniej lub bardziej domyślali się ze wszystkich tych sprzecznych ze sobą historii stworzenia świata i życia pozagrobowego, z zakłóceń i całej reszty. — Macha ręką, chcąc przejść dalej od nieistotnych szczegółów.

- Oczywiście - mówi Shara, jako że jest to temat bardzo dobrze jej znany.

Jednym z największych problemów Kontynentu, wynikającym z posiadania sześciu Bóstw, było wiele, wiele sprzecznych mitologii: na przykład, jak świat może być rozżarzoną węglą z wyciągniętym z ognia sercem Olwos, będąc jednocześnie kamieniem wyrąbanym przez Kolkana z góry za zachodzącym słońcem? I w jaki sposób po śmierci dusza mknie, by dołączyć do brunatnych szpaków ze stada Dżukowa i jednocześnie spływa rzeką śmierci do brzegu ogrodu Ahanas, gdzie staje się orchideą? Wszystkie

Bóstwa były bardzo precyzyjne, jeśli chodzi o tego rodzaju sprawy, ale żadne z nich nie zgadzało się z pozostałymi.

Długi czas zajęło sajpurskim historykom zrozumienie, jak to wszystko zadziało dla Kontynentu. Nie robili żadnych postępów, dopóki ktoś nie wskazał im, że sprzeczne mitologie działały w sposób geograficzny: ludzie znajdujący się blisko konkretnego Bóstwa pamiętali historię będącą w ścisłej zgodzie z jego konkretną mitologią. Gdy historycy zaczęli przyporządkowywać geograficznie zapisywane wersje historii, zauważyli, że granice były szokująco jasne: można było niemal dokładnie zobaczyć, gdzie kończyły się wpływy jednego Bóstwa i zaczynały innego. I, jak historycy zmuszeni byli zakładać, jeśli człowiek znajdował w sferze nakładania się wpływów, zasadniczo egzystował w innej rzeczywistości, gdzie wszystko, co dane Bóstwa uznawało za prawdę, było niezaprzeczalną prawdą.

Tak więc na terytorium Vurtji świat stworzony był z kości armii, którą wycięła ona w pień na polu z lodu i nieba.

Jeśli natomiast człowiek przeniósł się w pobliże Ahanas, wtedy świat był ziarnem, które ocalała z błotnistej rzeki i podlęła swoimi łzami.

A jeśli przemieścił się w okolice Taalhawrasa, wtedy świat był maszyną, jaką ten wybudował z niebiańskich fundamentów, projektowaną i tworzoną przez tysiące lat. I tak dalej, i tak dalej.

To, co Bóstwa uznawały za prawdziwe, było w tych miejscach prawdziwe. A gdy Kaj je zabił, wszystko to nagle przestało być prawdą.

Ostatnią część dowodu popierającego tę teorię były kłócenia rzeczywistości”, które pojawiły się w następstwie zabicia przez Kaja czterech z sześciu głównych Bóstw: świat najwyraźniej „pamiętał”, że jego części istniały niegdyś w innych rzeczywistościach i miał problemy z ponownym złożeniem się w całość. Sajpurscy żołnierzy wspominali o rzekach, które płynęły w stronę nieba; srebrze zamieniającym się w ołów, jeśli przenosiło się je przez pewne miejsca; drzewach, które kwitły i przekwitały kilka razy na dzień i żywnych

ziemiach, które zamieniały się w popękane pustkowia, jeśli stanęło się w konkretnym miejscu, i natychmiast wracały do pierwotnego stanu, gdy się z niego wyszło. Jednakże w końcu świat mniej lub bardziej doprowadził się do porządku i przypadki zakłócenia rzeczywistości prawie całkowicie zniknęły z Kontynentu - zostawiając świat co prawda nie zrujnowany, ale również nie do końca w całości.

- Efrem wierzył, że śmiertelni agenci i wyznawcy Bóstw w jakiś sposób wpływali na kształtowanie tych rzeczywistości — kontynuuje Vinya. - Chociaż nigdy nie był pewny, w jaki sposób się to odbywa, ponieważ nigdy nie miał dostępu do właściwych źródeł historycznych. Niebezpiecznych źródeł historycznych.

- Z których wszystkie znajdowały się w Magazynie.

- Właśnie. Właściwie to napisał i złożył pracę na ten temat, którą bezzwłocznie mi przysłano, jako że tego rodzaju rzeczy są pod ścisłą obserwacją. Chyba spodziewano się, że wrzucę go do więzienia albo wygnam, czy coś w tym stylu.

- Ale zamiast tego dałaś mu dokładnie to, czego chciał. Dlaczego?

- Cóż, Shara, pomyśl o tym - mówi Vinya. - Sajpur jest obecnie najpotężniejszym narodem na świecie. Nasza potęga jest niezaprzeczalna. Nic na całym świecie nawet nie próbuje udawać, że nam zagraża. Poza... wiemy, że istniały kiedyś Bóstwa. I chociaż zostały zabite, nadal nie wiemy, czym były ani jak robiły to, co robiły, skąd się wzięły, ani nawet w jaki sposób je zabił.

- Myślisz o nich jako o broni.

Vinya wzrusza ramionami.

- Może i tak. Wyobraź sobie, że jeśli jakieś Bóstwo pragnęło krainy skąpanej w ogniu, to stawała ona w ogniu. Mogłyby stać się bronią, która stanowiłaby koniec współcześnie znanych sposobów działań wojennych. Żadnych więcej armii. Żadnej marynarki. Żadnych

żołnierzy. Tylko ofiary.

Shara czuje w żołądku rosnącą, lodowatą grozę.

- I chciałaś... stworzyć taką broń dla Sajpuru?

Vinya śmieje się.

- O rany, nie. Nie, nie, nie. Całkiem podoba mi się to, co mam. Byłabym szalona, gdybym sprowadziła tu coś, co będzie dźwżyć - jakby to powiedzieć - większą władzę od mojej. To, czego bym chciała, to zapobiec uzyskaniu jej przez innych. To... To coś, przez co ja, podobnie jak wielu Sajpurów, nie mogę spać po nocach. Jeśli Efrem poznałby odpowiedź na pytanie, skąd dokładnie wzięli się bogowie i w jaki sposób działali, byłibyśmy w stanie zapobiec ich powrotowi. A jeśli natrafiłby przy tym na informacje o broni Kaja - o której do tej pory wciąż nie wiemy absolutnie nic - to też spałabym odrobinę spokojniej.

- Wiedza, jak zabić boga, pomogłaby ci lepiej spać?

Lekceważące wzruszenie ramionami.

- To właśnie ciężar potęgi - mówi Vinya. - Efrem był nieco mniej chętny, by badać tę możliwość... Szczerze, to myślę, że go to znudziło. Ale cokolwiek byłoby lepsze niż to, co wiemy na ten moment.

- I my... Cóż. Dowiedzielibyśmy się, dlaczego odmówiono tego nam - mówi Shara.

Vinya przerywa i wolno kiwa głową.

- Tak. W końcu byśmy się dowiedzieli. - Żadna z nich nie mówi na ten temat nic więcej, bo nie muszą. Żaden Sajpur nie może przeżyć dnia bez rozmyślania o tym, jak to jego przodkowie żyli w okropnej niewoli, jak też zastanawiania się w każdej godzinie, dlaczego tak było. Dlaczego to właśnie im odmówiono boga? Dlaczego Kontynent został

pobłogosławiony opiekunami, siłą, narzędziami i przywilejami, które nigdy nie rozciągnęły się na Sajpur? Jak ktoś mógł zezwolić na tak ogromną niesprawiedliwość? Sajpurzy może i jawili się światu jako mali, ciekawscy, ale wykształceni i bogaci ludzie, ale każdy, kto spędza jakiś czas w Sajpurze, szybko zaczyna rozumieć, że w ich sercach gości zimna wściekłość, która może prowadzić do niespodziewanego okrucieństwa. Nazywają nas bezbożnymi, od czasu do czasu mówią o sobie Sajpurzy, tak jakby to był nasz wybór.

- Tak więc przedstawiliśmy to jako akt dyplomacji - mówi Vinya. - Próbę zmniejszenia przepaści pomiędzy naszymi narodami. Chcieliśmy jedynie zapoznać się z książkami z Magazynu. Nic więcej. Ja... szczerze, to nigdy nie podejrzewałam, że Efrem był w jakimkolwiek niebezpieczeństwie. Założyliśmy, że Bułyków nadal pozostanie Bułykowem, z całym swym brudem i plugastwem. I po prostu zajmie się swoimi sprawami.

Shara milczy, zastanawiając się, jak zadać to najoczywistsze pytanie.

- Zastanawiam się - zaczyna powoli - dlaczego nie powiedziałaś mi o tym, gdy po raz pierwszy przybyłam do Bułykowa?

Vinya pociąga nosem i siada wyprostowana. Ale przez moment jej oczy tańczą, gdy zastanawia się, co odpowiedzieć.

Shara pochyła się lekko do przodu i czujnie przygląda się cioci.

- To był bardzo, bardzo poufny projekt - orzeka Vinya. Przygląda się dolnej części szyby, zanim jej oczy z powrotem natrafiają na twarz Shary. — Gdybyś kogoś złapała, to dobrze. A jeśli nie, wyjaśnilibyśmy sprawę innymi sposobami..

Vinya uśmiecha się wyniośle.

Kłamstwo, krzyczy umysł Shary. Kłamstwo! Kłamstwo, kłamstwo, kłamstwo, kłamstwo!

W tym momencie Shara decyduje się nie mówić cioci, co widziała w więziennej celi. Jest to sprzeczne z jakąkolwiek przyjętą argumentacją - Vinya chce wiedzieć, w jaki sposób zniszczyć jakiegokolwiek nowe Bóstwo, więc oczywiście, że chciałaby wiedzieć, że Shara faktycznie napotkała taką istotę - ale Shara czuje, że coś jest bardzo, bardzo nie tak. Oczywiście wie, że powinna pozbyć się tej paranoi — Paranoja odnośnie własnych przełożonych, jak mawiała swoim informatorom, jest całkowicie naturalna - ale jej ciocia ostatnio wyraźnie nie była sobą, a dodatkowo każdy zmysł wykrzykiwał Sharze, że Vinya kłamie. A po prawie siedemnastu latach wywiadów i przesłuchań, Shara nauczyła się ufać swojemu instynktowi.

Z niemalą niewiarą zaczyna zastanawiać się, czy jej ciocia nie została w jakiś sposób zaszantażowana. Czy ktoś mógł zebrać wystarczająco wiele informacji, by zawłaszczyć i kontrolować następczynię na stanowisko premiera? Skorumpowany polityk, myśli Shara. Co za szalenie niekonwencjonalny pomysł. W końcu nikt nie może pokonać ostatnich stopni drabiny kariery bez wielu paskudnych kompromisów. Co więcej, jeśli ktoś zajrzał do szafy cioci Vinyi, z pewnością znalazł tam całą masę trupów.

Niemniej Shara jest zaskoczona, jak bardzo winna i zawstydzona czuje się w obliczu podjęcia takiej decyzji. W końcu ta kobieta wychowała ją, zajęła się nią i jej edukacją po tym, jak jej rodzice zginęli podczas Lat Dżumy. Ale, podobnie jak Vi-nya jest w pierwszej kolejności ministrem, a dopiero potem ciocią, Shara zawsze przede wszystkim była agentką.

Tak więc Shara powraca do swej starej maksymy: Gdy nachodzą wątpliwości, trzeba być cierpliwym i czekać.

- A teraz opowiedz mi coś więcej o tym ruchu - prosi Vinya.

Shara w kilku zdaniach podsumowuje ruch na rzecz Nowego Bułykowa.

- Och - mówi Vinya. - Och, przypominam sobie. Jest tam ten gość,

który chce produkować nam broń.

- Tak. Votrow.

- Tak, tak. Niektórzy ministrowie żywo się tym interesują, jle próbowałam opóźnić to, jak tylko byłam w stanie... Nie chcę, żebyśmy w czymkolwiek byli zależni od takich miejsc jak Bułyków. Szczególnie w kwestii prochu! Więc to Votrowa zaatakowano zeszłego wieczoru?

- Tak. - Shara ostrożnie rozważa, co może powiedzieć i decyduje się nie mówić o tym, że Odnowiciele chcieli jego stali.

- Votrow... to nazwisko z jakiegoś powodu brzmi znajomo...

- My... chodziliśmy razem do szkoły.

Vinya podnosi palec.

- Ach. Ach. Teraz sobie przypominam. To on? Chłopak z Fadhuri? To on chce produkować nam broń? Pamiętam, że strasznie bałam się, że zajdziesz z nim w ciążę.

- Ciociu...

- Nie doszło do tego, prawda?

- Ciociu!

- Dobrze, dobrze...

- Nie sądzę, że porzuci pomysł produkcji broni — mówi Shara. - Tak tylko mówię. Wydaje się bardzo zdecydowany, by sprowadzić na Kontynent przemysł.

- Może być tak zdecydowany, jak tylko chce — stwierdza Vinya. - Na mojej warcie nic takiego nie nastąpi. Lepiej dla Kontynentu, by pozostał takim, jaki jest. Obecnie ledwie udaje się utrzymać pokój.

- Ale wyraźnie nie tutaj - zauważa Shara.

Vinya macha ręką.

- Kontynent jest Kontynentem. Było tak od czasu Wojny. Shara, mam nadzieję, że się nad tym nie rozczulasz. Wiesz, że każdy kraj na świecie chce wyciągnąć z Sajpuru jak najwięcej. Przy każdej okazji będą twierdzić, że dzieci głodują na ulicach, że rozlewana jest krew niewinnych i tak dalej, i tak dalej...

Słyszymy to dziesiątki razy dziennie. Mędrcy opiekują się swoim ludem, a resztę pozostawiają przeznaczeniu — szczególnie, jeśli chodzi o Kontynent. Ale wystarczy już o tym. No więc. Zakładam, że chcesz, żeby rozszerzyć zakres twoich uprawnień. Co takiego odkryłaś i co chcesz z tym zrobić?

- Będziemy przesłuchiwać prawdopodobnego agenta Odnowicieli. Nieoficjalnie.
- Kto jest tym agentem, którego chcecie przechwycić?
- Pokojówka.

Vinya się śmieje.

- Kto?
- Uniwersytecka pokojówka! Przypomnę ci, że tam właśnie pracował Panguui. Jak wiesz, wszelkie operacje tego typu często polegają na najzwyczajniejszych pracownikach.
- Hm — mruczy Vinya. — Słuszna uwaga. A skoro już o tym mówimy, czy dowiedziałaś się czegoś nowego na temat morderstwa Panguuia?

No i proszę, myśli Shara. Próbuje wrócić do zimnego opanowania i zachowuje kamienną twarz.

- Nie, jeszcze nie. Ale sprawdzamy ślady.
- Nie? Nic?
- Do tej pory nic. Ale pracujemy nad tym.
- A to ciekawe. - Język Vyni, czerwony niczym granat, muska jeden z jej siekaczy. Vinya uśmiecha się. - Ponieważ wiem, że zaledwie dwa dni temu zleciłaś sprawdzenie pewnego banku. Nie wspominałaś o tym.

Sharze to stwierdzenie ścina krew w żyłach. *Monitoruje moje prośby o sprawdzanie?*

Shara poszukuje wymówki.

- Tak - odpowiada. - Sprawdzalam Votrowa.
- Czy aby na pewno? - pyta Vinya. - Votrow jest właścicielem kilku banków w Bułykowie. Wiele z nich jest dużo większych od tego, który sprawdzałaś. A ten posiada poprzez raczej gęstą sieć wzajemnych powiązań. Dlatego zastanawiam się - dlaczego właśnie ten akurat bank?
- Z powodów, które właśnie wymieniłaś. Wyglądało na prawdopodobne, że jeśli ma coś do ukrycia, to znajduje się to właśnie tam.

Vinya powoli kiwa głową.

- Ale sprawdzanie czegoś takiego wiąże się z pełnym raportem finansowym. Którego stworzenia nie zarządziłaś.
- Rozkojarzyłam się - mówi Shara. - Tak wiele trupów.

Twarze Vyni i Shary odbijają się na szybie i wpatrują w siebie nawzajem ze stoickim spokojem.

- W takim razie pewnie nie ma to nic wspólnego - mówi cicho Vinya
- z faktem, że to najbliższy Uniwersytetowi Bułykowskiemu bank ze skrytkami?

Ona wie.

- Ze skrytkami? - pyta Shara. Jej słowa ociekają niewinnością.
- Tak. W końcu skrytka bankowa to twój ulubiony sposób przekazywania informacji. Masz zwyczaj lubić ludzi finansjery. Podobnie jak ty, są bardzo przywiązani do procedur.
- Ciociu, nie miałam jeszcze wystarczająco dużo czasu, żeby zrobić cokolwiek, do czego potrzebna byłaby skrytka.
- Nie. - Oczy Vinyi zdają się zapadać głębiej w jej czaszce i Shara ma dziwne i straszne wrażenie, że ktoś przejrzał ją na wskroś. Nagle pojmuję, w jaki sposób Vinya tak pewnie przewodziła wielu komisjom i nadzorowała przesłuchania. - Ale prawdopodobnie nauczyłaś tego Efrema.

Mam nadzieję, że się nie pocę.

- Co chcesz przez to powiedzieć, ciociu?
- Moja droga Sharo - mówi powoli Vinya — nic przede mną nie ukrywasz, prawda?

Shara próbuje uśmiechnąć się niemrawo.

- To nie ja tutaj ukrywam różne rzeczy.
- Jestem twoją przełożoną. Moim zadaniem jest ograniczanie dostępu do informacji. I powiem ci, na co mi to wygląda... Dotarłaś do miejsca, poprzez które Pangyui przekazywał informacje, ale nie masz jeszcze do niego dostępu. Nie chcesz o tym mówić, dopóki nie zobaczysz, co tam jest. Jednakże muszę ci o czymś przypomnieć, moja

droga - jej słowa są tak lodowate, że Shara czuje się, jakby została właśnie spoliczkowana - Pangyui był moim agentem. To była moja operacja. Obecnie nie mam ich wiele, ale jakieś rozpoczynam, upewniam się, żeby pozostały moje. I rezultat tej operacji, jakkolwiek by nie był, trafi najpierw do mnie. Do mnie, Shara. Nie zostanie obejrzany przez innego agenta, który akurat się tam napatoczył, agenta, który nie był przypisany do tej operacji. Przynajmniej nie, jeśli tenże agent nie chce nagle zejść z wywiadowczej sceny. Czy wyrażam się jasno?

Shara mruga powoli.

- Rozumiesz, co mówię, Shara? - pyta ponownie Vinya.

Choć Shara wydaje się całkowicie bierna, w jej głowie ma miejsce zagorzała debata. Są cztery opcje. Może:

1. Powiedzieć cioci, że nawiązała kontakt z Bóstwem i dlatego potrzebuje dostępu do wszystkiego, co stworzył Pangyui (jednakże to wiązałoby się z opowiedzeniem być może szantażowanemu urzędnikowi o najbardziej niebezpiecznym wywiadowczym przełomie w historii nowożytnej).
2. Wstrzymać się z informacją o skrytce Pangyui i kontakcie z Bóstwem i dalej prowadzić śledztwo w obu tych sprawach (co wiązałoby się z ryzykiem odesłania z Bułykowa, chociaż jej ciocia zdaje się teraz interesować wyłącznie skrytką Pangyui).
3. Oddać cioci zawartość skrytki Pangyui - które prawdopodobnie stanowiły powód, dla którego ktoś zabił Pangyui, próbując się do nich dostać - i osobiście kontynuować śledz-pyo w sprawie kontaktu z Bóstwem i śmierci Pangyui.
4. Powiedzieć Vyni, że nie zamierza czytać tych materiałów, zobaczyć, co do powiedzenia ma pokojówka i wtedy zdecydować, co dalej.

W porządku, myśli Shara. Wybieram numer cztery.

- Jeśli znajdę cokolwiek stworzonego przez Efrema - mówi Shara - to bądź spokojna, ciociu, że w pierwszej kolejności dostarczę to tobie.
- Bez przeglądania?
- Oczywiście, że bez. Operacja Efrema interesuje mnie wyłącznie w kwestii, czy mogła spowodować jego śmierć.

Vinya kiwa głową i szeroko się uśmiecha .

- Cóż za satysfakcjonujący raport! Tak wiele intryg, historii, kultury... Wkrótce wyślę ci kilku posłańców, ponieważ spodziewam się, że praca Efrema zakończyła się stworzeniem jakiegoś produktu i spodziewam się, że niedługo go znajdziesz.

Tłumaczenie: Wiem, że zakończyła się stworzeniem produktu i wysłałam po niego kogoś już teraz, zanim będziesz mogła cokolwiek z nim zrobić.

- Dziękuję, ciociu - mówi Shara. - Doceniam wsparcie, jakiego mi udzielasz.
- Och, oczywiście, kochana - odpowiada Vinya. - Agencja wywiadowcza jest tylko tak silna, jak silni są jej agenci. Musimy wspierać naszych zamorskich agentów: tam, gdzie podeszwy deptają ziemię, tam wykonuje się robotę. - Uśmiecha się ponownie. - Uważaj na siebie, moja droga i informuj mnie na bieżąco - mówi i wyciera palcami szybę.

Gdy twarz cioci znika, Shara zastanawia się, skąd ta ukradła ten tekst i mamrocze:

- No to pa.

Ludzie mówią mi, jaką to wielką jestem kobietą, że pomagam Kajowi w zabijaniu bogów. Mówią mi to z oczami pełnymi łez. Oblapują moje ubrania, chcą mnie dotknąć. Traktują mnie, jakbym sama była bogiem.

Mówię im jednak: „Nie podniosłam ręki na bogów. Nie zgładziłam ich. Nie wypuściłam w ich stronę ani jednego ostrza. Dokonał tego on i tylko on. Jako jedyny wiedział, jak właściwie działa jego broń. A gdy umarł, zabrał swoje sekrety do grobu.”

Tak jak powinien, bo ludzie nie powinni wiedzieć takich rzeczy.

Po prawdzie, prawie w ogóle nie walczyliśmy na Kontynencie. Bogowie byli martwi albo właśnie umierali. Kraina była martwa lub właśnie umierała. Widzieliśmy wiele okropieństw, których nie umiem ani też nie chcę opisywać. Większość walki odbyła się w naszych duszach.

Jedyni ludzie, z którymi prowadziliśmy wojnę na Kontynencie to plemię Kontynentanów zwane „Błogostawionymi”. Pochodzili, jak rozumiem, ze związków pomiędzy ludzkością a Bóstwami, stanowili owoc perwersyjnego stosunku z bogami albo też stworzeniami bogów. Owe istoty zebrały część ludności Kontynentu, spośród których większość była chora i głodowała, i stanęli do walki.

Walka była gorzka i dlatego nienawidziłam Błogostawionych. Byli wręcz niemożliwie trudni do zabicia. Jednak ich skóra nie była z żelaza, ani ich ramiona silne; po prostu mieli szczęście, niemożliwe szczęście. Ich życia zostały zaczarowane, jako że byli dziećmi bogów, chociaż wygląda na to, że im bardziej mieszały krew ze śmiertelnikami tym mniej zaczarowani się stawali.

Nie byli jednak wystarczająco zaczarowani. Pokonaliśmy ich tak jak innych. Wyrznęliśmy ich małe armie i rozlaliśmy na ulicach ich krew. Wznieśliśmy stosy z ich ciał na rynkach i podpaliliśmy je. Palili się tak samo jak inni mężczyźni i kobiety. I dzieci.

Mieszkańcy miast wychodzili na zewnątrz, by obserwować ogień. I gdy tak patrzyli,

widziałam jak umierają ich serca i nadzieje.

Zastanawiałam się, czy my, żołnierze Sajpuru wciąż byliśmy wewnątrz mężczyznami i kobietami.

Tah właśnie smakuje zwycięstwo.

~ PAMIETNIKI JINDAY SAGRESHY

PIERWSZEGO PORUCZNIKA KAYA



Shara po raz szósty patrzy na zegar i potwierdza, że tak, wciąż jest trzecia trzydzieści po południu. Wzdycha.

Ten dzień jest wyjątkowo niefortunny. Sigrud został zwolniony z więzienia zaraz po rozpoczęciu dnia pracy, co znaczy, że gdy przybył po uniwersytecką pokojówkę, ta zdążyła już pójść do pracy — i choć Shara jest w stanie dokonać wielu rzeczy w ramach swych obowiązków dla Ministerstwa, to udanie się do miejsca pracy tej kobiety, zabranie jej stamtąd i oddalenie się nie jest czymś, na co może sobie pozwolić.

Wydaje jej się, że minie jeszcze półtorej godziny, zanim pokojówka wróci do swego mieszkania. Shara mamrocze do Pitry'ego, że idzie się przejść, na co on protestuje, ale jedno jej spojrzenie natychmiast go ucisza. Na wszelki wypadek Shara ma na sobie płaszcz z kapturem, więc nie od razu widać, że pochodzi z Sajpuru.

Ukazują się jej zdumiewające ulice i alejki, wilgotne szare mury, pobłyskujące kamienie i lodowe pagórki w kolorze khaki. Nos jej pierzchnie i chropowacieje, palce u nóg drętwieją. Myślała, że spacer uporządkuje jej myśli, ale wszystkie podejrzenia i paranoje przywarły do niej niczym mgła.

Podnosi wzrok, widzi mężczyznę stojącego przed nią i zatrzymuje się.

Ma on na sobie tylko bladopomarańczową szatę; żadnych butów ani kapelusza - właściwie jest kompletnie łysy - ani rękawiczek. Jego ramiona są jednakowo odsłonięte i, tak jak i twarz, mocno opalone.

Shara wpatruje się w niego. Nie... Niemożliwe. To nielegalne, prawda?

Zrywa się lodowaty wiatr. Mężczyzna nie zwraca na niego uwagi. Widzi, że Shara mu się przygląda i uśmiecha się łagodnie.

- Czegoś pani szuka? - Głos ma głęboki i radosny. - Czy też przybyła tu pani dla ciepła? - Wskazuje znak nad sobą: CIEPŁY PRZYTUŁEK PRZY ULICY DROVSKANI.

- Nie... nie jestem pewna - mówi Shara.

- Och. Czy może jest pani tu, by przekazać datek?

Shara zastanawia się i dochodzi do wniosku, że mężczyzna ją intryguje.

- Możliwe.

- Doskonale! — wykrzykuje jej rozmówca. — W takim razie proszę tędy. Pokażę pani, czym się tu zajmujemy. Doceniamy, że postanowiła pani do nas przyjść w tak przykry dzień.

Shara podąża za nim.

- Tak...

- Ludzie rzadko chcą nawet wyjść na zewnątrz, a co dopiero przekazać datek.

- Tak... Proszę mi wybaczyć. Czy mogę o coś spytać?

- Może pani mnie spytać - otwiera drzwi - o cokolwiek pani zechce.

- Czy jest pan... Olwosztaninem?

Mężczyzna zatrzymuje się i spogląda na nią, jednocześnie skonfundowany i nieco obrażony.

- Nie - odpowiada. - Wyznawanie Bóstwa byłoby nielegalne, prawda?

Shara nie jest pewna, co odpowiedzieć. Mężczyzna ponownie uśmiecha się swym migocącym uśmiechem i idą dalej w stronę schroniska.

Obdarte urwisy i trzęsący się mężczyźni oraz kobiety tłoczą się wokół szerokiego, podłużnego paleniska, ozdobionego wieloma bulgoczącymi kociołkami. Pokój wypełniają pokasywania i jęki oraz żalospny płacz dzieci.

- Ale pańskie szaty — mówi Shara. - I postawa...

- Co one mają wspólnego — pyta mężczyzna - z jakimkolwiek Bóstwem?

- Historycznie... są olwosztańskie.

- Historycznie, gdy ktoś chciał pomodlić się do Bóstwa, spoglądał w niebo z rozpostartymi rękami. - Wyciąga jeden z kociołków z kuchni i nalewa do niego zupy, z równomiernym stuk stuk stuk, gdy uderza łyżką o ściankę naczynia. - Ale jeśli ktoś chciałby zrobić to obecnie, na ulicy, czyż nie zostałby aresztowany?

Shara spogląda za siebie, w stronę kuchni. Widzi wielu innych pracowników schroniska, także ubranych w bladopomarańczowe szaty i radośnie wykonujących swoje obowiązki. Wszyscy są bezwłosi i jednakowo nieosłonięci przed mroźnym powietrzem.

- Skoro nie jest pan olwosztaninem - mówi Shara - to kim?

- Jesteśmy oczywiście ciepłym schroniskiem.

- No dobrze, ale kim jest pan?
- Myślę, że osobą. Osobą, która chce pomagać innym osobom.

Shara próbuje innej taktyki:

- Dlaczego nie chroni się pan przed chłodem?
- Chłodem?
- Na zewnątrz jest mroźno. Widzę, jak ludzie wyrabują w lodzie przeręble, żeby w nich łowić.
- To sprawa wody - mówi. - Temperatura wiatru jest sprawą wiatru. Temperatura moich stóp i rąk... to wyłącznie moja sprawa.
- Ponieważ - mówi Shara, przypominając sobie stare teksty - schwytał pan sercem sekretny płomień.

Mężczyzna przystaje i zdaje się rozdarty pomiędzy próbą przybrania neutralnego wyrazu twarzy a wyglądaniami na pozytywnie zachwyconego tym, co właśnie powiedziała.

- Czy jednak jest pan olwosztaninem? - pyta Shara.
- Jak mogę być olwosztaninem - pyta mężczyzna - skoro nie istnieje Olwos?

Wtedy to do niej dociera.

- Och — mówi. — Och, przypominam sobie. Jest pan... jednym z Rozproszonych.

Mężczyzna robi minę, która mówi: jeśli tak chcesz to nazywać.

Gdy Bóstwo Olwos opuściło Kontynent, jej ludzie tego nie zrobili - przynajmniej nie całkowicie. Dżukosztan i Vurtjasztan były pierwszymi miastami, w których zaobserwowano ludzi

przypominających olwoszańskich kapłanów, odzianych na żółto bądź pomarańczowo i nie mających na sobie nic więcej: żadnych butów, rękawiczek czy nawet włosów. Radośnie wystawiających się na działanie żywiołów. Ludzie ci sprawiali wrażenie nomadów, podróżujących poprzez wioski i miasta, przemierzających świat z jednym tylko celem: pomagania ludziom, gdy ci najbardziej tego potrzebowali. Mimo to nie określali się mianem olwoszańców czy kapłanów, nie byli też częścią jakiegoś większego zakonu. Niektórzy zwali ich „Opuszczonymi” albo „Rozproszonymi”, ale oni sami nie przypisywali sobie żadnego miana. „Jesteśmy tutaj.” - Zwykli mawiać. - „Czego potrzeba więcej?”

- Obawiam się, że trwa pani w błędzie — mówi mężczyzna. - Nie rościmy sobie praw do tej nazwy.

- Oczywiście, że nie - mówi Shara. - Odrzucacie wszelkie imiona, prawda?

- Nie ma tu czego odrzucać. Imiona są sprawami innych ludzi. Pomagają ludziom nazywać to, czym sami nie są.

- Więc co robicie w Bułykowie? Z jakiego powodu tu jesteście?

Mężczyzna wskazuje gestem tłumem pożałowania godnych ludzi tłoczących się przy ogniu. Niektórzy z nich to rodziny z małymi dziećmi: ojciec ściąga maleńkie buty swego niemowlęcia, by zbliżyć jego sine stopki do ciepła.

- To - mówi mężczyzna w szacie, teraz już bez śladu radości - wygląda na wystarczający powód.

- Więc żyjecie, by dawać nadzieję, tak jak mówią stare teksty. Żeby być światłem w ciemności.

- Stare teksty mówią wiele rzeczy. A pani mówi to, jakby było czymś wyjątkowym. Jakby było to niezwykle, że jedna osoba widzi cierpienie drugiej i chce jej pomóc. Jakby - peroruje cicho - żeby zrobić coś

nadzwyczajnego, czy też to, co wy uważacie za nadzwyczajne, człowiek musi działać na rozkaz Bóstwa.

- A czy nie jest tak?

- A w pani przypadku? Jeszcze pani nie złożyła datku, ale jeśli pani to zrobi... Czy będzie to dlatego, że ktoś pani kazał? -Podnosi bochen czarnego chleba.

- Nie.

- Czy pani, jako Sajpurka, potrzebuje do życia Bóstwa?

- To co innego. Pochodzimy z innych krajów.

- Nigdy wcześniej nie widziałem kraju - mówi mężczyzna. - Widziałem jedynie ziemię pod stopami.

- Czyni pan to wszystko - mówi Shara z uporem - ponieważ tak nakazała panu Olwos.

~ Nigdy nie spotkałem Olwos - zaprzecza mężczyzna. Nabija czarny chleb na gruby drut i trzyma go nad węgielkami. - A pani?

- Nie byłoby tu pana, gdyby nie Olwos - stwierdza Shara. — Olwos założyła pański zakon. Bez niej nie byłoby tego schroniska.

- Jeśli ta Olwos... uznawanie istnienia której, jeśli dobrze Pamiętam, jest zabronione przez prawo...

Shara, zirytowana i niecierpliwa, macha ręką.

- ...jeśli Olwos kiedykolwiek tu była, wtedy najistotniejszym jej darem byłaby świadomość, że nie potrzebujemy jej, by czynić dobro. Że dobro może być czynione w dowolnym czasie, miejscu, przez kogolwiek i komukolwiek. Żyjemy pośród tak wielu reguł... - Oddziera kawałek chleba. Gdy skórka się odrywa, nad nią wykwita malutki obłok pary.

- ...podczas gdy zwykle sprawy mogą być takie proste. -Proponuje jej kawałek parującego chleba i uśmiecha się. - Gryzą? Wygląda pani na zmarzniętą.

Zanim Shara jest w stanie odpowiedzieć, przybiega Pitry i woła ją. Shara rzuca mężczyźnie dziesięcioreklową monetę. Ten łapie ją w powietrzu z zadziwiającą szybkością i uśmiecha się. Wtedy Shara wychodzi.

Wciąż na swój własny sposób wyznaje swojego boga, myśli. Co prowokuje pytanie: kto jeszcze w Bułykowie robi to samo, ale z mniej dobroczynnymi intencjami?

Stara kobieta siedzi w korytarzu ambasady, oczy ma czerwone jak burak od płaczu. Jej górna warga połyskuje od smarków w świetle lampy. Jej knykcie poróżowiały od wielu lat namaczania ich w mydle i wodzie.

- To ona? - pyta cicho Shara.

- To ona - oznajmia Sigrud. - Jestem pewien.

Shara przygląda jej się bacznie. Więc to jest jedna z dwójki „agentów-ekspertów”, którzy przyglądali się im na uniwersytecie: Irina Torskeny, uniwersytecka pokojówka sprzątająca biura Pangyuia, która być może dorabia na boku jako Odnowicielka. Czy ta smutna, stara istota może w jakimś stopniu być odpowiedzialna za śmierć Efrema?

Shara marszczy brwi i wzdycha. Naprawdę nie mogę pozwolić sobie na drugie spartaczone śledztwo, myśli.

- Postaw stół i dwa krzesła w kącie recepcji, przy oknie - nakazuje Pitry emu. - Zaparz kawę. Jakąś dobrą. Witlowa, jeśli macie.

- Mamy, ale... jest droga - mówi z wahaniem Pitry.
- Nie interesuje mnie to. Zrób tak. Zorganizuj też najlepszą porcelanę. Tak szybko, jak to tylko możliwe.

Pitry czmycha czym prędzej.

- Ona uważa, że przyszłaś ją zabić - mówi łagodnie Sigrud.
- Dlaczego miałyby tak uważać? — pyta Shara.

Sigrud wzrusza ramionami.

- Nie stawiała oporu?
- Poszła ze mną - mówi Sigrud - jakby oczekiwała tego przez cały dzień.

Shara przygląda się staruszce chwilę dłużej. Irina próbuje wytrzeć łzy, ale ręce drżą jej tak, że musi użyć przedramienia. O ile byłoby to prostsze, myśli Shara, gdyby była jakimś zwykłym zbirem...

Gdy wszystko przy recepcji jest już ustawione, Pitry prowadzi staruszkę do miejsca, w którym czeka Shara, przy małym, skromnym stole na którym znajdują się dwie filiżanki herbaty, spodki, biszkopty, cukier, śmietanka i parujący imbryk kawy. Pomimo ogromnej przestrzeni, kącik ten przybrał teraz wygląd czyjegós uporządkowanego salonu.

- Proszę usiąść - mówi Shara.

Irina Torskeny siada, wciąż pociągając nosem.

- Czy chciałaby pani kawy? - pyta Shara.
- Kawy?
- Tak - odpowiada Shara. Nalewa sobie filiżankę.

- Dlaczego mielibyście częstować mnie kawą?
- Dlaczego nie? Jest pani naszym gościem.

Irina zastanawia się nad tym chwilę, po czym kiwa głową. Shara nalewa jej filiżankę. Irina wacha parę unoszącą się z małej filiżanki.

- Witlow?
- Chętnie wysłucham pani opinii — mówi Shara. — Zbyt często ludzie, którym służymy, czują się zobligowani komplementować wszystko, co robimy. To... grzeczne, ale nie do końca szczerze. Rozumie pani?

Irina smakuje kawę i mlaska.

- Jest dobra. Bardzo dobra. Zaskakująco dobra.

Shara się uśmiecha.

- Doskonale. - Jej uśmiech trochę wędnie. — Proszę mi powiedzieć... Dlaczego pani płakała?
- Słucham?
- Dlaczego ledwie skończyła pani płakać?
- Dlaczego? - Irina zastanawia się i w końcu mówi: - Dlaczego miałabym nie płakać? Istnieją wyłącznie powody do płaczu. Tylko tyle mi zostało.
- Czy zrobiła pani coś złego?

Śmieje się gorzko.

- To pani nie wie?

Shara nie odpowiada: jedynie obserwuje.

- Gdy spoglądam w przeszłość, widzę, że robiłam same nieodpowiednie rzeczy - mówi Irina. - Wszystko to... było wielkim błędem. To tego właśnie oczekuje się od pani, czy tak?

O to właśnie proszą panią idealisci i wizjonerzy. By popełniać dla nich błędy.

- A dla kogo popełniała błędy pani?

Ponownie odpowiada śmiechem.

- Och, są zbyt mądrzy, by pozwolić takiej staruszce jak ja wiedzieć zbyt wiele. Zdawali sobie sprawę, że stanowią - jak by to powiedzieć? - ryzyko. Niezbędne, ale jednak ryzyko. Och, matko, babko... Myślę o tym, jak by się czuły, patrząc teraz na mnie i... - Znowu prawie zaczyna płakać.

Jednak wcześniej Shara pyta ją:

- Do czego była pani niezbędna?
- Przecież jako jedyna z nim pracowałam, prawda?
- Z profesorem?

Kiwa głową.

- Jako jedyna miałam dostęp do jego spraw za uniwersyteckimi murami. Przyszli do mnie i zapytali: „Czyż nie jesteś dumnym dzieckiem Bułkowa? Czy przeszłość nie wypala ci serca niczym płonące polano?” I oczywiście, że się zgodziłam. Nie byli zaskoczeni czy wdzięczni. Spodziewam się, że ludzie często się z nimi zgadzają.

Shara kiwa ze współczuciem głową, choć wewnątrz gwałtownie rekalkuluje swoje podejście. Miała do czynienia ze źródłami takimi jak ta kobieta tylko kilka razy wcześniej: ludźmi tak wściekłymi, tak wyczerpanymi, tak zaniepokojonymi, że informacje wylewały się z

nich niebezpiecznym potokiem. Przepytywanie jej będzie niczym jazda na wściekłym koniu.

Próbuje spokojniej.

- Jak się pani nazywa?

Irina wyciera oczy.

- Nie wie pani?

Shara odpowiada smutnym spojrzeniem, które może znaczyć wszystko.

- Nazywam się Irina Torskeny - mówi łagodnie staruszka. - Jestem uniwersytecką pokojówką. Wcieram wodę z mydłem w te ściany i podłogi od dwudziestu czterech lat. Byłam tu, gdy budowano to miejsce - gdy je przebudowywano. A teraz czuję, że umrę i te kamienie mnie zapomną.

- I pracowała pani z doktorem Pangyuiem?

- Pracowała? Ha. Mówi to pani, jakbym była z nim na równi, jakby... konsultował się ze mną. „Hej, Irina, spójrz tylko na to”. Byłam jego pokojówką. Zbierałam jego filiżanki. Zamiatałam podłogę, polerowałam odznaczenia, przecierałam półki na książki... Wszystkie te półki. - Jej szlachetne rozgoryczenie ustępuje. - Zabijecie mnie?

- Dlaczego mielibyśmy robić coś takiego?

- Z powodu jego śmierci. Za przyzwolenie na śmierć waszego rodaka.

- „Przyzwolenie?” Nie brzmi to, jakby to pani go zabiła.

- Nie. Nie, nie zrobiłam tego. Ale myślę, że... to spowodowałam.

- Jak, Irino? Proszę mówić.

Bierze wdech, kaszle.

- Był na uniwersytecie dopiero od kilku dni, gdy się ze mną skontaktowali. Przyszli do mojego mieszkania. Widzi pani, chodziłam na... spotkania. Wiece dla ludzi, którzy nie chcieli układać się z ceb... Sajpurami.

Shara kiwa głową. Rozumie, i Irina to widzi.

- Czy nienawidzi mnie pani za to? - pyta Irina.

- Kiedyś bym nienawidziła - mówi Shara w chwili szczerości, która ją samą zadziwia.

- Ale teraz już nie?

- Nie mam czasu ani energii, żeby nienawidzić - mówi Shara. - Pragnę jedynie zrozumieć. Ludzie są tacy, jacy są. - Uśmiecha się słabo i wzrusza ramionami: Jakie mamy wyjście?

Irina kiwa głową.

- Myślę, że to mądry sposób patrzenia na świat. Nie byłam tak mądra. Chodziłam na te spotkania. Byłam zła. Wszyscy byliśmy. I ci mężczyźni mnie tam wypatrzyli.

- Kto?

- Nigdy nie zdradzili swoich imion. Pytałam, ale odpowiadali, że to niebezpieczne. Mówili że grozi im niebezpieczeństwo, ciągle niebezpieczeństwo. Z czyjej strony, tego nie powiedzieli.

- Ilu ich było?

- Trzech.

- Jak wyglądali?

Irina opisuje ich, a Shara notuje. Jej opisy pierwszych dwóch - niscy, ciemnoocy, ciemnowłosi, o wielkich brodach -mogą pasować do prawie każdego bułykowskiego mężczyzny. Ostatni jest jednak inny.

- Był wysoki — mówi. — I blady. I strasznie zagłodzony. Biedak wyglądał, jakby jadł jedynie rosół. Mógłby być całkiem przystojny, gdyby tylko o siebie zadbał. Mówił najmniej. Po prostu mi się przyglądał. Nic z tego, co mówiłam, nie wydawało się go zaskakiwać. Wiedzieli, że pracuję na uniwersytecie. Skąd, tego nie wiem. Ale poprosili mnie, żebym im służyła, żebym służyła Bułykowowi. Tak jak za dawnych czasów. I tak zrobiłam. - Irina ponownie kaszle. - Miałam szpiegować profesora. Miałam podkradać notatki, przeglądać szuflady, przeszukiwać jego teczki.

- W poszukiwaniu czego?

Irina rumieni się, ale nie odpowiada.

- Czego pani szukała, Irino?

- Niczego nie miałam szukać.

- Skąd w takim razie miałaby pani wiedzieć, gdyby pani coś znalazła?

Irina rumieni się jeszcze bardziej.

- Po prostu... Musiałam po prostu zgadnąć.

- Dlaczego?

- Ponieważ słowa... - Znów jest na granicy płaczu. - Patrzę na nie na kartce, a one nie mają dla mnie sensu.

- Co chce pani przez to powiedzieć?

- Nikt nigdy mnie nie nauczył, rozumie pani? Nie mieliśmy w Bułykowie szkoły, gdy dorastałam. A kiedy w końcu sprowadzili tu szkolnictwo, byłam zbyt stara i nie mogłam tego zrozumieć... Mogłam

jedynie udawać. Trzymałam książki, udawałam, że patrzę i... - Ściąga usta; Shara ma wrażenie, że patrzy na zawstydzone dziecko. — Próbowałam. - Kobieta sięga do kieszeni i wyciąga wymięte coś, co wygląda na antysajpurską propagandę. — Próbowałam się nauczyć. Chciałam się nauczyć, żeby być prawa. Chciałam wiedzieć. Ale mogłam tylko udawać...

Shara nie jest zaskoczona: większość Kontynentu wciąż jest niepiśmienna.

- Więc co pani zrobiła, gdy zechcieli, żeby pani go szpiegowała?

- Powiedziałam, że to zrobię. Nie chciałam ich rozczarować. I... nienawidziłam ich. Nienawidziłam profesora, bo zawsze tak podekscytowany czytał nasze historie, podczas gdy my, gdy ja... - Urywa. - Zdecydowałam się przynieść im listę.

- Listę czego?

- Nie wiem. Profesor cały czas pracował z tą listą, więc stąd wiedziałam, że jest ważna. Ale dla mnie była to po prostu lista z dużą ilością informacji. Wiele okienek, rozpościerających się na stronie z góry na dół, z boku na bok, z literami i numerami w środku. Robiłam tak przez kilka tygodni. Nie mogłam jej zabrać - wiedziałby, gdybym to zrobiła, a przy sobie miał zawsze tylko część listy - więc wykradałam jedną stronę, może dwie czy trzy, albo cztery, zabierałam do schowka na szczotki i kopiowałam, przerysowywałam. Pierwszy raz był najtrudniejszy, ale później umiałam już robić to szybciej. Nawet jeśli nie umiałam czytać, wiedziałam, jak kopiować - mówi z odrobiną próżności, pociągając nosem. - No i przynosiłam im te kopie.

- Ile kopii im pani dostarczyła?

- Dziesiątki. Może więcej niż sto, w ciągu wielu tygodni. Całkiem nieźle mi to wychodziło — mówi, zadowolona z siebie. - A oni byli bardzo zadowoleni, gdy przyniosłam im to po raz pierwszy. Nie posiadali się z radości. Płakali. Czulałam... czulałam... — urywa, nie mogąc

skończyć myśli.

- Dlaczego pani przestała?

- Poprosili mnie o to. Nie od razu. Po tym, jak po raz pierwszy przynosiłam im kopie, byli coraz mniej zadowoleni. „Och, to jest dobre, ale nie tego szukamy, nie tego chcemy.” Jakby to była moja wina! Ale wtedy, pewnego dnia, ten blade i wysoki zobaczył coś na liście i nie mogąc powiedzieć, że się uśmiechnął, ale jego oczy zmarszczyły się i kiwnął głową. Mężczyźni śmiali się i mówili: „Dobrze! Dobrze, dobrze, bardzo dobrze”. Jakby znaleźli to, czego szukali. I nigdy już nie prosili mnie, żebym im coś przynosiła.

Shara czuje, jak narasta w niej ogromny strach.

- Jaki to był dzień?

- Dzień? Nie jestem pewna...

- W takim razie miesiąc.

- Wciąż było jeszcze ciepło. Musiała to być późna jesień. Chyba miesiąc Tuwy.

- Czy może mi pani powiedzieć coś jeszcze na temat tej listy?

- Nie wiem nic więcej ponad to, co już powiedziałam.

- Kopiowała je pani. Setki stron. Co na nich było?

Irina się zastanawia.

- Cóż. Były tam numery stron.

- Poza nimi.

- Poza nimi, był... Był stempel w rogu. Nie, nie stempel... Jakiś znak w rogu każdej strony. Jak... ptak na szczycie muru.

Shara milknie.

- Czy miał czub na głowie? I rozpostarte skrzydła? - Wyciąga rękę, by to zaprezentować.

- Tak. Nigdy nie widziałam takiego ptaka.

Ponieważ żyją tylko w Sajpurze, myśli Shara, która dobrze zna te insygnia. Tylko jedna lista ze znakiem biura gubernator polis mogła podekscytować Odnowicieli tak bardzo: Więc nasi wrogowie nie tylko od miesięcy wiedzieli o Zakazanym Magazynie, myśli, ale również znali jego zawartość, coś, do czego nawet ja nie mam dostępu... W tym momencie Shara głęboko żałuje obietnicy złożonej cioci: być może skrytka Panguia zawiera jakiś ślad tego, czego szukali Odnowiciele.

- Co to wszystko znaczy? - pyta Irina.

- Nie jestem jeszcze pewna - odpowiada Shara.

- Myślałam, że nienawidziłam profesora - mówi Irina. - Ale kiedy dowiedziałam się, że nie żyje, zrozumiałam, że wcale tak nie było. Chciałam go nienawidzić. Ale nienawidziłam rzeczy znacznie większych. Nienawidziłam poczucia... upokorzenia. - Spogląda na Sharę, oczy ma mokre od nowych łez. - Co pani ze mną zrobi? Zabije mnie?

- Nie. Nie zajmuję się krzywdzeniem niewinnych.

- Ale ja nie jestem niewinna. To przeze mnie został zabity.

- Nie może pani tego wiedzieć. Jak już pani powiedziała, nienawidziła pani rzeczy znacznie większych od pani. A uważam, że mamy do czynienia ze sprawami znacznie większymi nie tylko od pani, ale też ode mnie czy od profesora.

Irina wygląda na pełną nadziei i ulgi.

- Tak pani uważa?

Shara stara się nie zdradzić twarzą strachu.

- Wiem to.

Obie kobiety podnoszą wzrok na odgłos krzyku, odbijającego się echem z ulicy na zewnątrz:

- Przepuście mnie! Przepuście!

- Co się dzieje? - pyta Irina.

Shara wychyla się i jednym palcem odgarnia zasłonę. Przed bramą ambasady ustawił się mały tłum. Shara widzi błysk złotej szarfy, sugerującej Ojca Miasta, oraz licznych oficjalnie wyglądających mężczyzn w szatach w kolorze złamanej bieli. A przed nimi, po wewnętrznej stronie bramy, stoi Mulaghesh.

Ręce ma założone na piersi, stopy ustawione w wojskowej pozycji i emanuje pogardą niczym ogień dymem.

Shara uśmiecha się do Iriny.

- Proszę mi wybaczyć.

Shara słyszy ryk, zanim jeszcze wychodzi przez drzwi frontowe.

- To polityczna i etniczna parodia, słyszysz? - krzyczy jakiś mężczyzna. - Zbrodnia, która jest prawie deklaracją wojny! Wyciąganie kobiety z jej domu? Starszej pokojówki, która spędziła życie na służbie najbardziej ukochanym i szanowanym bułkowskim instytucjom? Pani gubernator, nalegam, żeby pani ustąpiła i natychmiast ją wypuściła! Jeśli nie, zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby to stało się międzynarodowym incydentem. Czy to jasne?

Mulaghesh mruczy coś w odpowiedzi, ale jest zbyt cicho, by Shara była w stanie to usłyszeć.

- Atak? Atak? - odpowiada głos mężczyzny. - Jedyne atak, który powinien nas obchodzić to atak na prawa i przywileje obywateli Bułkowa!

Shara kroczy przez dziedziniec. Widzi, że Sigrud czai się w cieniu, opierając się o ścianę ambasady. Ojciec Miasta po zewnętrznej stronie bramy chwyta ją tak, jak więźniowie robią to z prętami celi. Jest wysoki jak na Kontynentanina, a twarz ma brązową i jednocześnie jaskrawoczerwoną. Sharze przychodzi na myśl obłany tłuszczem i upieczony w piecu ziemniak. Jednak pół jego twarzy pokryte jest grubą, wełnistą brodą, która wspina mu się prawie do oczu.

Wtedy Shara go rozpoznaje. Zdjęcie w gazecie, myśli, nie oddaje sprawiedliwości prawdziwemu Ernstowi Wykłowskiemu...

Stoi za nim co najmniej dwunastu brodatych mężczyzn w prostych szatach koloru złamanej bieli, właściwych dla bułkowskich adwokatów. Wszyscy obserwują Mulaghesh małymi, niewzruszonymi oczkami. W prawych rękach trzymają skórzane walizki, w sposób, w jaki większość mężczyzn trzyma miecze.

Teraz będziemy musieli użerać się jeszcze z prawnikami, myśli Shara. Gdybym miała teraz umrzeć, uznałabym to za łut szczęścia.

- Jako że ta ambasada jest technicznie na sajpurskiej ziemi... - mówi Mulaghesh.

Wykłowski zanosi się śmiechem.

- Och, jestem pewien, że byłabyś podekscytowana, gdyby cały świat nazwano sajpurską ziemią!

- Jako że ta ambasada jest częścią Sajpuru - mówi przez zaciśnięte zęby Mulaghesh - nie jesteśmy zobligowani informować was, kto

znajduje się na terenie naszej posiadłości, a kto nie.

- Ale nie musicie! Moi przyjaciele i współpracownicy osobiście widzieli, jak sprowadzono tu tę kobietę!

Shara spogląda na Sigruda, który marszczy brwi w wyrazie zatroskania. Zwykle jest w stanie spostrzec niemal wszystkich śledzących, więc jeśli ktokolwiek umknął jego uwadze, w rzeczy samej musiał być bardzo utalentowany.

- Pani gubernator Mulaghesh - kontynuuje Wykłów, przy okazji celowo kalecząc wymowę jej nazwiska - jeśli jakimkolwiek bułykowskiemu dziecku stanie się krzywda, albo wasi pracownicy będą mu grozić, wtedy ulice zaczną rozbrzmiewać okrzykami, by zburzyć waszą ambasadę i dzielnice oraz wyrzucić was, tak jak trzeba było to zrobić już dawno temu!

- Skończ z tą retoryką, Wykłów - mówi Mulaghesh. - Nie ma tu tłumu. Jesteś ty, ja i pusty dziedziniec.

- Ale pojawi się tu tłum, jeśli nie wypuścicie tej kobiety! Gwarantuję, że jeśli nie wypuścicie tej biednej kobiety, dojdzie do zamieszek!

- Wypuścicie? Wszyscy, którzy tu są, przebywają tu z własnej woli.

- Z własnej woli! Po wizycie tego czegoś? - Wykłów wskazuje palcem na Sigruda, który znudzony drapie się po nosie. - To zastraszanie! Groźby! Czym to się różni od pojmania jej?

Shara odchrząkuje.

- Myli się pan, proszę pana. Pani Torskeny piła ze mną na piętrze kawę. Mogę to osobiście poświadczyć.

Wykłów zwraca na nią swe pełne pogardy spojrzenie.

- A kim pani jest? Och, jest pani zastępstwem dla tego podłego osła Troonyi'ego? Jeśli tak, w takim razie nie uznaję w tej sprawie pani autorytetu bardziej niż w przypadku byle pijanego prostaka!

Shara mruga powoli. Minęło trochę czasu, od kiedy ktoś ostatni raz tak się do niej odnosił.

- Rozumiem, że pan to Ernst Wykłów? - pyta.

On dziko kiwa głową.

- Moje nazwisko musi być na jednej z waszych list. Podpisane: „wróg Sajpuru”. Jestem tego pewien i jestem dumny, że stałem się waszym celem!

- Wręcz przeciwnie, proszę pana - mówi Shara. - Przeczytałam o panu dopiero we wczorajszej gazecie.

Mulaghesh zakrywa usta, by nie wybuchnąć śmiechem. Wykłów się rumieni.

- Bezcelność to jedna z niewielu rzeczy, w jakich przodują wasi ludzie - mówi. - Panienko, ani ty, ani twoja pani gubernator nie jesteście w stanie wykaraskać się z tego za pomocą kłamstw. Nie istnieją żadne dyplomatyczne sztuczki, jakich można by tu użyć. Fakty są jasne: przetrzymujecie jako zakładnika obywatelkę Bułykowa, co prawie na pewno jest aktem małosłownego odwetu za wczorajszą szarpaninę!

- Szarpaninę? - pyta Mulaghesh. - Zginęło szesnastu ludzi. W bardzo brutalny sposób. Byłam tam. Widziałam ciała. A pan?

- Nie potrzebuję żadnego dalszego potwierdzenia waszego barbarzyństwa - oznajmia Wykłów.

- Najpierw szarpanina, teraz barbarzyństwo — zauważa Mulaghesh.

- Poruszyliśmy już tę kwestię — mówi Wykłów. — Czy macie na swoim terytorium kobietę o imieniu Irina Torskeny? Jeśli będziecie obstawać przy kłamstwach i upierać się, że nie, wtedy wraz z moimi współpracownikami sprawimy, że zrobi się głośno o waszych pogwałceniach wielu międzynarodowych traktatów! Osobiście upewnię się, żebyście zostali wygnani z naszego terytorium i nigdy nie wrócili! Czy to do was przemawia?

Shara wykrzywia twarz w grymasie. Oczywiście, że nie da się zastraszyć tak niedorzecznym, czczym pogróżkom. Niemniej Wykłów zdaje się przyciągać nadmierną uwagę, czego w tym momencie Shara nie potrzebuje. Od czasu wizji w celi więziennej, Shara czuje się, jakby siedziała na beczce niestabilnych materiałów wybuchowych, którą wszyscy próbują przewrócić.

- Ach! - wykrzykuje nagle Wykłów. - Oto i ona! Oto i ona! — Wszyscy się odwracają. Serce Shary zamiera, gdy ta widzi, jak Irina Torskeny wygląda przez frontowe drzwi ambasady.

- Widzicie! - krzyczy Wykłów. - Widzicie ją? A więc jest przetrzymywana! Mówiłem! To ona, czyż nie?

Shara podchodzi do Iriny, która wpatruje się w Wykłowa szerokimi, pełnymi podziwu oczami.

- Pani Irino, nie powinna pani schodzić na dół - oznajmia Shara. - Nie jest tu bezpiecznie.

- Słyszałam swoje imię - odpowiada łagodnie staruszka. - Czy to jeden z Ojców Miasta? Czy to Ojciec Miasta Wykłów?

- Zna pani jego albo kogoś z tych ludzi? - pyta cicho Shara.

Irina potrząsa głową.

- Czy pytali o mnie?

- Irina! - krzyczy Wykłów. - Nie słuchaj jej! Chodź tutaj! Nie słuchaj!
- Chyba ktoś obserwował pani mieszkanie - mówi Shara. - Śledzili panią, obserwowali, nawet po tym, jak wykonała już pani dla nich zadanie.
- Irina! Podejdź tu! Nie zwracaj na nią uwagi!
- Radziłabym nie iść z nimi, pani Irino. Nie wiem, dlaczego tutaj są, ale wątpię, żeby było to szczerze.

Irina spogląda poprzez dziedziniec. Wykłów trzęsie kratami bram. Mulaghesh warczy, by przestał, ale Wykłów krzyczy:

- Chcą cię skrzywdzić, Irina! Chcą zaszkodzić tobie i Bułykowowi! Nie słuchaj tej głupiej kobiety!
- Pani Irino... Radziłabym tego nie robić - mówi Shara. - Ludzie odpowiedzialni za te czyny są bardzo niebezpieczni. Wie pani o tym.
- Ale Ojciec Miasta nigdy by...
- Wszystko słyszę! — mówi Wykłów, co jest oczywistym kłamstwem.
- Słyszę, jak do niej mówisz i chcesz, żeby zrzekła się swych praw dziecka Bułykowa! Irino Torskeny, proszę jej nie słuchać!
- Pani Irino - mówi Shara. - Proszę się zastanowić.
- Ona nie jest z twojej rasy, z twojego ludu - ciągnie Wykłów. - Nie jest uświęcona, jak ty i ja, nasi bracia i siostry. Mówienie takich rzeczy pogwałca ich prawa, ale w swoim sercu wiesz, że to prawda!

Irina spogląda na Sharę, która widzi, że staruszka podjęła już decyzję.

- Przy... Przykro mi - szepce Irina i przechodzi przez dziedziniec.

Wykłów ponownie trzęsie kratami i ryczy, żeby Mulaghesh otworzyła bramę. Mulaghesh spogląda na Sharę. Shara próbuje coś wymyślić,

cokolwiek, ale nic nie przychodzi jej do głowy. Mulaghesh kiwa sztywno głową. Wyraz twarzy ma zgorzkniały. Mechanizm zaczyna szczerkać, koła obracają się i brama powoli się otwiera.

Rozciągać wasze lata po falach
Wyginać wasze dusze pośród klifów
Myć wasze ręce we krwi i soli
Zamykać wasze oczy do refrenu lasu
Jesteśmy źdźbłem na wietrze
Żarzącym się węgielkiem na śniegu
Cieniem pod falami
I pamiętamy
Pamiętamy dni mórz, rzekę złota
Dni wesolego podboju, niekończące się skarby
Zwali nas barbarzyńcami
Ale my wiedzieliśmy, że żyliśmy w pokoju
Ponieważ przemoc znamy zbyt dobrze
Przemoc, tego niechcianego przyjaciela
Jak długo żyliśmy w jej cieniu
Aż królowie wyciągnęli nas z jej głębin
Stalowa strzałka z okna
Z pochodni potok ognia

Skradanie się po krokwiach, czołganie po strzechach Krzyk w ciemności, bez odpowiedzi

Utraciliśmy go, utraciliśmy jego rodzinę

Naszą rodzinę, albowiem utraciliśmy naszego króla

Nawet nie mogliśmy opłakiwać jego odejścia

Unieśli ciało Harkvalda

Nakarmili nim fale i morskie stworzenia

Nakarmili nim plony, którymi my nakarmiliśmy nasze dzieci

Trwają dni czerwone, dni ciemne

Dni piractwa i bezprawia

Dni niekończących się wojen

Dni pustych wybrzeży i pełnych grobów

Pamiętamy go. Pamiętamy jego rodzinę

Pamiętamy jego utraconego syna

Pamiętamy Dauvkinda

I wiemy, że pewnego dnia On wróci

I nas ocali

-ANONIMOWA PIEŚŃ DREJLINGÓW, 1700

CO MÓWI NAM HISTORIA



Shara stoi na dziedzińcu, patrząc, jak rozchodzi się nieliczny tłum. Mulaghesh i Sigrud z wolna do niej dołączają.

- Cóż - mówi Mulaghesh. - To... nie poszło za dobrze.

Rzeczywiście, ostatnie trzydzieści sześć godzin nie poszło za dobrze, ani trochę. W opinii Shary, były one wręcz koszarne.

Analizuje sytuację: Odnowiciele wiedzą o Zakazanym Magazynie. Co gorsza, najprawdopodobniej dowiedzieli się o istnieniu czegoś wewnątrz Magazynu, co może bardzo im się przydać. Pytanie brzmi, myśli Shara, czy w jakiś sposób udało im się już dostać do środka Magazynu? A jeśli tak, to czy zaczęli już używać tego, co tam znaleźli? Czy to dlatego nawiązałam kontakt z tamtym Bóstwem?

I co jeszcze dziwniejsze: Dlaczego zabili Pangyuia po tym, jak otrzymali od niego to, czego szukali? Szczególnie, że mogło to sprowadzić do Bułykowa „złych ludzi”.

Shara przeciera oczy. Z gardła wydobywa jej się cichy warkot frustracji.

Pitry kaszle od strony wejścia.

- Czy... Czy wszystko w porządku?
- Nie - odpowiada łagodnie Shara. - Nie, nie jest w porządku.
- Czy mogę jakoś pomóc?

Shara szczypie się mocno palcem wskazującym i kciukiem w skórę drugiej dłoni. Tępemu bólowi nie udaje się skruszyć lodu, który aktualnie huczy w jej umyśle.

W takim razie pozostaje tylko jedno.

- Potrzebuję noża - mówi.
- Słucham? - pyta Pitry.
- Tak, noża. Bardzo ostrego.
- Uch - odpowiada, zaniepokojony.
- Oraz żelaznego rondla.

Mulaghesh przechyla głowę.

- Co?
- Oraz dwóch świeżych cebul, pietruszki, soli, pieprzu, papryki i, wydaje mi się, około półtora kilograma koźliny.

Sigrud wydaje z siebie jęk i zakrywa twarz. Shara ignoruje go i rusza z powrotem do ambasady.

- No, dalej - mówi i macha do nich.
- Co? - pyta Mulaghesh. - Co, do licha?

Sigrud mamrocze przez chwilę, ale w końcu z ociąganiem tłumaczy:

- Gdy jest naprawdę wściekła, bierze się za gotowanie.

Shara zatrzymuje się i bez patrzenia wskazuje na Sigruda.

- Czy wciąż utrzymujesz kontakt ze swoimi informatorami?
- Oczywiście - odpowiada Sigrud.
- Niech śledzą Torskeny i Wykłowa. I informują nas co godzinę-
- Nie chcesz, żebym sam się tym zajął?

- Potrzebuję cię przy sobie - odpowiada Shara. Przemierza sale ambasady. - Musimy uporządkować pewne rzeczy.
- Jakie rzeczy? - pyta Mulaghesh.
- Martwe rzeczy - oznajmia Shara. - Czy też rzeczy, które powinny być martwe.

Jakże przyjemnie byłoby być nożem, zawsze skłonny do pójścia po najmniejszej linii oporu, zawsze przyciąganym do słabych punktów, przecinającym ścięgna, skórę i skórę niczym źdźbło trawy niesione w dół strumienia. Nóż ześlizguje się i zsuwa, zjeżdża i spada, zostawia stosy malutkich spiralek skórek pomarańczy, cytryny, melona, niczym kopiec pozwijanych serpentyn. Piłuje powoli ciało, rozdziela żyły od mięśni, ścięgna od chrząstek, tnąc koźłące bitki, aż nie przypominają już części żywego stworzenia.

Dobry nóż i rondel to jedyne, co mi potrzebne, myśli Shara. Za pomocą tych prostych narzędzi można stworzyć wszystko.

Shara zapala zapałkę, rozgląda się za palnikiem gazowym. Płomienie rozkwitają wzdłuż pieca, obejmując rondel. Nalewa do rondla oleju, po czym łapie cebulę.

- Pierwotnie była ich szóstka - mówi cicho Shara. Twarz migocze jej w świetle gazowych płomieni. - Czy przynajmniej szóstka z nich dała o sobie znać. Olwos, niosąca światło. Kolkan, sędzia. Vurtja, wojowniczką. Ahanas, siewczyni ziaren. Dżukow, żartowniś i pasterz szpaków. Oraz Taalhawras, budowniczy.

Mulaghesh zaciska prawą pięść; jej knykcie wydają z siebie refren trzasków.

- Wiem to. Wszyscy to wiedzą.

- Wie pani jedynie część - mówi Shara. Stoi przed piekarnikiem w przestronnej kuchni ambasady, która niegdyś zapewniała posiłki podczas licznych wydarzeń towarzyskich, aż Troonyi zadbał o powolny upadek ambasady. Mulaghesh i Sigrud siedzą przy stoliku dla służących, tworząc małą chmurę dymu; Mulaghesh cygaretką, Sigrud fajką. Pitry biega do spiżarni i z powrotem, przynosząc więcej jarzyn, przypraw, solonych mięs. - Wielu rzeczy nigdzie się nie uczy. Regulacje Międzynarodowe mogą domagać się od Kontynentu milczenia na ten temat, ale istnieje równie wiele obostrzeń w Sajpurze. Historykom zezwala się publikować niektóre odkrycia: inne okłada się do zapomnienia. Szczególnie, jeśli chodzi o Starożytnych, Najbardziej Niebiańskich, Bóstwa. Cała szóstka narodziła się do życia na Kontynencie - nikt nie jest pewien kiedy - i cała szóstka zbudowała tutaj swe posiadłości. Oraz cała szóstka darła ze sobą koty przez ponad sto lat.

— Nie wiedziałam, że ze sobą walczyli — mówi Mulaghesh. - Myślałam, że byli po jednej stronie.

Nóż nacina skórę cebuli; Shara wyciąga go, obiera cebulę i wyrzuca błyszczącą zewnętrzną warstwę.

- W końcu byli. Ale z początku walczyli jak szaleni: o terytorium, wyznawców, wszystko. Ale jakoś na początku lat siedemsetnych zdecydowali się zaprzestać walk i zjednoczyć się. Krótko później, zdecydowali się także poszerzyć swoje wpływy. Gwałtownie. Zapoczątkowało to Złoty Wiek Kontynentu i saj-purskie niewolnictwo na Kontynencie. O którym oczywiście wiemy dużo, chociaż wolelibyśmy, żeby było inaczej. - Wyciąga deskę do krojenia, sprawdza jej sprężystość i z trzaskiem umieszcza na ladzie. - Ale proszę sobie wyobrazić Kontynent w formie ciasta, jako że jest z grubsza okrągły, podzielonego na sześć części. A w samym środku piasta tego koła...

— Bułyków — oznajmia Sigrud. Słowo to wydobywa się z jego ust wraz ze zwitkiem dymu.

- Właśnie - mówi Shara. Rozkłada cebulę, rzuca połowę na deskę do krojenia i chwytając ją wystarczająco mocno, by z małych żyłek pociekła biała krew. Nóż stukocze rytmicznie; następuje fala białych słupków i cebula zdaje się rozpadać. - Siedzisko Świata. Miasto nikogo i wszystkich, ustanowione, gdy postanowili się zjednoczyć. W końcu wszystkie Bóstwa miały swoje własne miasta. Kolkan miał Kolkasztan, Taalhawras Taalwasztan, Ahanas Ahanasztan, Dżukow Dżukosztan i Vurtja Vurtjasztan. Tak więc Bułyków miał należeć do wszystkich.

- Ale wymieniła pani pięcioro - odzywa się zza góry selera Pitry.

- Zgadza się. Olwos również miała niegdyś miasto. Ale opuściła Kontynent zaraz po decyzji pozostałych Bóstw o zjednoczeniu. Gdy odeszła, jej wyznawcy opuścili jej miasto. Oddali je we władanie popiołu i kurzu, jak określił to jeden z historyków. Nikt nawet nie wie, gdzie się znajdowało.

- Dlaczego odeszła? - pyta Mulaghesh.

- Nikt do końca nie wie. Może po prostu nie była towarzyskim Bóstwem. Może z czymś się nie zgadzała. Może nie chciała brać udziału w Wielkiej Ekspansji, gdy Kontynent podbił większość znanego świata. Jakikolwiek był tego powód, zniknęła z historii: ostatni raz ktoś widział czy rozmawiał z Olwos w roku 775.

- Chwila, moment - mówi Mulaghesh. - Więc wszyscy wiedzą, że przez te wszystkie lata jedno z Bóstw może dalej istnieć? Myślałam, że Kaj zabił ich wszystkich!

- Owszem, ale o których pani słyszała, że faktycznie ich zabił? Konkretne przykłady? - Shara odlicza na palcach. — Vurtję zabił w Sajpurze podczas Nocy Czerwonych Piasków. Taalhawrasa i Ahanas zabił, gdy jego armia po raz pierwszy dobiła do brzegów Kontynentu. A Dżukowa zabił w Bułykowie. Kiedy rzekomo nastąpiło definitywne zamordowanie Olwos? Czy Kolkana?

- Ale... Ale wszyscy zgadzają się, że historia mętnieje po inwazji Kaja — mówi Mulaghesh. — Nikt nie jest do końca pewien, co dokładnie się stało. Mógł wtedy zabić Olwos i Kolkana, prawda?

- Trochę prawdy w tym jest. Wiedzę czerpiemy jedynie ze strzępów historii. Wiemy, że Kaj użył swej broni - czymkolwiek by nie była - na Bóstwach, które zniknęły. Ale niekoniecznie znaczy to, że zupełnie zniknęły z teraźniejszości. Niektóre z cudów wciąż działają. Bóstwa nie opuściły całkowicie Kontynentu, pomimo naszych wysiłków i życzeń. Nasze źródła są nieścisłe również co do tego, jak Kaj zabił tych, o których wiemy - na przykład Dżukowa, którego zabił trzy lata po zdobyciu Bułykowa, o czym nigdy nie wspomina się w konwencjonalnych tekstach.

- Tego nie wiedziałem - mówi Pitry. - Myślałem, że dokonano egzekucji na Dżukowie podczas Wielkiej Czystki. Przynajmniej tak uczyli nas w szkole.

- Ponieważ unik Dżukowa nie jest popularnym tematem -mówi Shara. - Przez niego Kaj wygląda na słabego. Dżukow nie zaatakował ani nie starł się z siłami Kaja - jedynie się przed nimi ukrył. Mimo to Kaj parł naprzód, czy też być może wiedział, że czasami trzeba pokonać ducha przeciwnika, zanim pokona się jego ciało. Dlatego zapoczątkował Czystkę.

Shara zgniata nożem czosnek, kroi go w kostkę i dorzuca do cebuli.

- Wielka Czystka nie była prawym czynem, jak to często przedstawia się w sajpurskich książkach historycznych. Kaj nie używał swej broni, by bezkruwawo wyeliminować naraz wszystkie boskie istoty kontynentu. Nie odesłał ich też do nieba, ani do mórz.

- Co się w takim razie stało? - pyta Pitry.

- Zostali wyciągnięci z domów na ulice — odpowiada Shara. Obraca w rękach nóż. Rączka jest śliska od oleju. - Zostali zagonieni do zagrody, stłoczeni niczym zwierzęta i w podobny sposób wyrżnięci. W

przeciwieństwie do ich stwórców, pomniejsi boskie istoty mogą zostać zabite na konwencjonalne sposoby. - Sigrud szczerzy się paskudnie, wspominając jakieś cenne i brutalne wspomnienia. - Na przykład w Bułykowie znajduje się kilka masowych grobów - kontynuuje Shara. - Kto wie, jakie kości byśmy wydobyli, gdybyśmy zaczęli kopać? Delikatne skrzydła gityrów, uskrzydłonych kucyków Ahanas? Kości palców howtarika, harfisty o dwudziestu palcach u rąk, z dworu Taalhawrasa? Zniszczone kości muowosta, człowieka z knykcii, ulubieńca Dżukowa, rodem z horroru? Zakładając oczywiście, że Kaj i jego armia nie zniszczyli ich w sposób uniemożliwiający identyfikację... Co, jak myślę, wydaje się całkiem możliwe w tym wypadku. Być może czuli się usprawiedliwieni. Czyż każdy Sajpur nie żył przygnieciony obcasem tych stworzeń? Czy nie były one niebezpiecznymi potworami? Jeden z żołnierzy wspominał krzyki bólu dochodzące z ognia oraz opisywał, że istoty te wyglądały i zachowywały się jak dzieci. Błagały o litość. Której nie otrzymały.

Mulaghesh milczy; dym z jej cygaretki rozwił się do powolnej smugi. Sigrud przesuwa palcem po ostrzu czarnego noża.

Shara sprawdza ryż, który namaka w wywarze z kurczaka i sos, który stał się ciemny oraz kremowy. Wącha i dodaje odrobinę czosnku.

- Gdy Czystka dobiegła końca, pojawił się Dżukow. Mówią, że się ukrywał w szybie okna - nie mam pojęcia, co to dokładnie znaczy. Wiem tylko tyle, co mówi nam historia. Dżukow poprosił Kaja o bezpośrednie spotkanie. Sam na sam. Ku zaskoczeniu swych poruczników, Kaj się zgodził. Być może Kaj coś wiedział, ponieważ źródła podają, że gdy spotkał ostatnie Bóstwo, zobaczył, iż Dżukow nie był dla niego zagrożeniem: Bóstwo łkało spazmatycznie, zrozpaczone śmiercią i zniszczeniem, do których doszło na Kontynencie.

- W takim razie powinien był przybyć do Sajpuru - mówi gorzko Mulaghesh. - Wtedy byłby przygotowany na taką żalność.

- Prawdopodobnie. Spotkali się we dwóch, w opuszczonej świątyni.

Tak naprawdę w ruinie, choć relacje poruczników Kaja nie zgadzają się co do dokładnego położenia świątyni; gdzie jest, czy może była. Kaj i Dżukow spędzili tam większość nocy. Co sobie powiedzieli, tego nie wie nikt. Gdy Kaj nie wrócił, jego porucznicy obawiali się najgorszego. Ale wtedy Kaj pojawił się po osobistym zgładzeniu Dżukowa. I płakał. Nie powiedział, z jakiego powodu. Potwierdził jedynie śmierć Dżukowa. — Shara wyciera nóż. — Po swym finalnym zwycięstwie Kaj stał się humorzasty i milczący. Zaczął pić. Niecałe cztery miesiące później zmarł z powodu infekcji; prawdopodobnie był jedną z pierwszych ofiar Lat Dżumy.

Sigrud zaciąga się i pociera nos. Wydaje się jedynie śladowo zainteresowany tego rodzaju historiami, jednak Mulaghesh chłonie każde słowo.

- Więc Dżukow był ostatnim zabitym bogiem.

Shara soli koźlinę, po czym wrzuca ją do gotujących się jarzyn.

- Tak. Lata Dżumy nastąpiły zaraz potem, ostatnie resztki jego boskiej ochrony poszły w niepamięć, więc z pewnością wiemy, że odszedł z tego świata.

Mulaghesh się zastanawia.

- Strasznie dziwnie to wygląda - mówi. - Tak wymieniać Bóstwa, jak podejrzanych o rabunek. Jakbyśmy mogli ustawić ich w linii pod ścianą i ofiara miałaby podejść i wskazać złoczyńcę. Tak więc jedyne potwierdzone śmierci bogów, a przynajmniej te, które widzieli inni ludzie, to: Vurtja, Taalhawras, Ahanas i Dżukow?

- Tak wyglądałoby uczciwe oszacowanie tematu - mówi Shara.

- To znaczy, że zostają Olwos i Kolkan.

-Tak.

- O Kolkanie nie powiedziała pani nic.
- Zgadza się. O jego życiu wiemy całkiem dużo. A o końcu... O tym nie wie nikt. Nie wydaje się nam, żeby ktokolwiek na całym Kontynencie kiedykolwiek coś na ten temat wiedział.
- Czy odszedł, tak jak Olwos? - pyta Pitry.

Shara wyciera do czysta ręce.

- Nie. Przynajmniej tak nie uważamy.
- W takim razie co się z nim stało?

Shara spogląda na zegarek. Za dwadzieścia minut wszystko będzie gotowe.

- To - mówi, siadając — zupełnie inna historia.

- Mówi się, że Kolkan był Bóstwem osądu i porządku. Był Człowiekiem Z Kamienia, Tym z Wysokości, Odległym Pasterzem. Przedstawiany był na różne sposoby, ale najczęściej jako mężczyzna siedzący na górze, z oboma rękami wyciągniętymi do przodu, wnętrzami dłoni do góry. Bo widzicie, on czeka, by zważyć, zrównoważyć i wydać osąd. Był zdecydowanie najbardziej aktywny z całej szóstki Bóstw. Dżukow naigrywał się ze swoich śmiertelnych wyznawców, zamieniał ich w zwierzęta - czasami wilki, ale najczęściej brunatne szpaki - a czasami nawet posuwał się do zapłodnienia ich, i to niezależnie od płci, jeśli jesteście w stanie w to uwierzyć. - Pitry'emu opada szczeka, ale Shara kontynuuje: -Taalhawras i Ahanas jako budowniczy i hodowcy miewali większe sprawy i byli jedynie powierzchownie zainteresowani życiem śmiertelnych. Jak wiecie, Olwos zadowolila się odejściem. Vurtja była z kolei aktywna, ale na swój własny sposób: osobiście przewodząc łupieżczym i wojennym najazdom. Ale żadne z nich nie mogło się równać z Kolkanem, który

był zafascynowany - jeśli nie ogarnięty obsesją - sprawami śmiertelnych istot.

Shara delikatnie obraca koźle mięso. Tłuszcz trzaska i skwierczy. Shara cofa rękę, zanim odrobina oleju ma okazję kapnąć jej na knykcie.

- Kolkan pragnął jedynie, by jego wyznawcy prowadzili dobre i uporządkowane życie. Po tym, jak założono miasto Kolkasztan, powiedział swym wyznawcom, by przyszli do niego ze wszelkimi pytaniami i wątpliwościami, a on na nie odpowie, oceni i pomoże. A oni odpowiedzieli dość entuzjastycznie. Istnieją relacje dotyczące ludzkich kolejek długich na kilka, a nawet kilkanaście kilometrów. O tym, jak ludzie mdleli, padali z głodu, chorowali i niedołążnieli podczas czekania. Relacje historyczne są mgliste, ale szacuje się, że Kolkan wysłuchał milionów ludzi, osądzając dzień i noc, siedząc w jednym miejscu przez sto sześćdziesiąt lat.

- Na morza - mruczy Mulaghesh.

- Owszem - odpowiada Shara. - Historycy są zgodni, że prawdopodobnie wywarło to na Kolkanie jakiś efekt. W końcu zrozumiał, że ten proces jest nieefektywny. Tak więc zakończył swój okres sądu, wyłonił się ze swej świątyni i zaczął tworzyć edykty bazujące na tym, czego nauczył się podczas wydawania sądów.

Sigrud wyciąga ze spiżarni wędzoną szynkę. Siada, odkraja idealny plasterk swym czarnym nożem, zaczyna go przeżuwać i nieobecnie piłuje resztę twardego mięsa.

- Na przestrzeni dwóch lat Kolkan stworzył tysiąc dwieście edyktów. Jak na nasze współczesne standardy, były one mocno inwazyjnymi, a przy tym często arbitralnymi regułami: nie układać takiego rodzaju kamienia na takim; kobiece włosy nie powinny być plecione w taki sposób; te pory dnia są odpowiednie, by się odezwać, a te, by milczeć; te mięsa mogą być wędzone, a te nie... i tak dalej, i tak dalej, i tak dalej. Można by się spodziewać, że zwykli ludzie będą się sprzeciwiali,

próbowali się wyzwolić... Ale nie kolkaszanie. Przyjęli wszystkie tysiąc dwieście reguł. W końcu jeśli ich Bostwo powiedziało, że na nie zasługiwali, to czy nie tak właśnie było?

- Nie mówi pani poważnie - odzywa się Pitry.

- Całkiem poważnie. Szczerze próbowali stosować się do tych edyktów, nieważne jak bardzo były dziwaczne. Ale oczywiście nikt nie jest idealny, i bardzo niewielu stosowało się do edyktów w stu procentach. Ale edykty nie mogły być błędne -ludziom podobało się, że ktoś mówi im, co mają robić. Tak więc w pewnym momencie Kolkkan zdecydował, że nie istnieje wystarczająco duży bodziec, który kazałby stosować się do reguł. - Shara unosi pokrywkę garnka z ryżem. Wydobywa się z niego wirujący obłok pary, przez co zaparowują jej okulary. Cofa się o krok, odkłada wieko i wyciera szkła. - W taki sposób powstały Nakazy Kary. Żywy, dopracowywany i ciągle zmieniany dokument mówiący o tym, jak powinno się... zachęcać ludzi, by stosowali się do edyktów. Z perspektywy czasu widać rosnącą tendencję do... Jak by to powiedzieć... Okaleczania ciała.

- Okaleczania? — pyta Mulaghesh.

- Biczowania. Wypalania znaków. Okulawiania, oślepienia i amputacji dla najgorszych złoczyńców - odcinania prawej ręki złodziejowi i tak dalej. Nigdy nie karano śmiercią. Kolkkan oznajmił, że życie jest święte. Nawet on nie pogwałcił tego obwieszczenia. Jedną z najbardziej rzucających się w oczy kar nazywała się Palcem Kolkana: był to mały okrągły kamień, który po przyłożeniu do ciała stawał się coraz cięższy i cięższy, gorętszy i gorętszy. Kaci przywiązywali ofiary, kładli im Palec na nodze, brzuchu, klatce piersiowej albo...

Skórzana rękawiczka Sigruda wydaje z siebie pisk: prawą rękę Sigrud ma zaciśniętą w pięść, zęby zaś zaciśnięte na fajce; czarny nóż sterczy wbity głęboko w wieprzową nogę.

Shara odkasłuje.

- Więc macie pojęcie, jak to wyglądało - mówi. - Owe kary wykonywano prawie bez żadnych sprzeciwów. Ludzie się nie spierali. Witali te kary z trzeźwą służalczą skazańców.

Z czasem kary i reguły Kolkana stawały się coraz surowsze i dziwniejsze. Dostał obsesji na punkcie ciała i pragnień, seksualności i pożądania. Chciał nałożyć całkowitą cenzurę na te tematy. Jego pierwsza metoda represji dla Sajpurów może zabrzmieć śmiesznie. Zakazał bowiem publicznego przyjęcia do wiadomości żeńskiej płci oraz anatomii. W podobny sposób, w jaki nasze własne prawa cenzurują dyskusje.

- Co? - pyta Mulaghesh. — To nie... To w niczym nie przypomina Regulacji Międzynarodowych! My próbujemy zdławić coś niebezpiecznego!

- A dla Kolkana nie istniało nic niebezpieczniejszego od seksualności. Sajpurscy historycy nie są pewni, dlaczego postanowił zdławić akurat płęć żeńską... Wśród części specjalistów jest to mocno dyskusyjny temat. Niemniej Kolkana zażądał, by jego kapłani i święci zmusili kobiety do całkowitego zakrycia swych kształtów w miejscach publicznych oraz zdelegalizował wspomnianie o żeńskiej anatomii, seksualności, formie - o wszystkim tego typu - w miejscach publicznych. Nazwano to „Usunięciem Nieczystości”. Spowodowało to złowrogo zabawną zagwozdkę: jak stworzyć prawo zabraniające wspomnianie czegoś, jeśli nie można o tym wspomnieć nawet w tym prawie? Prawodawcy stworzyli mglisty termin „sekretnej kobiecości”, który może właściwie oznaczać cokolwiek. Tak więc prawo zezwalało albo na litość, albo ogromne okrucieństwo, w zależności od sędziego.

Chłód celi więziennej, szpony ciemności. Młody chłopiec szepce: Nie kuś mnie swoją sekretną kobiecością!

- Sytuacja pogarszała się coraz bardziej. Kolkana zaczął upierać się, by wszyscy jego wyznawcy „zakrywali swe ciała” i odmawiali sobie ziemskich przyjemności: smaku jedzenia, picia, dotyku nagiej ludzkiej

skóry; nawet wyspania się, jako że wszyscy wyznawcy Kolkana zostali zmuszeni do spania na łóżach z kamienia. Nie pochwalano żadnego rodzaju przyjemności fizycznej, a kary stawały się coraz bardziej groteskowe. Kastracja mężczyzn. Obrzezanie kobiet. Koszmarne, skrajne amputacje. I tak dalej.

- Ale wtedy pozostałe Bóstwa zaczęły zwracać na to uwagę.

Jako że wchodziły ze sobą w wiele interakcji, a nawet w związki, to w większości wystarczało im nie wpychanie się w sprawy innego Bóstwa. Niemniej, nowe fiksacje Kolkana zaczęły ogarniać coraz dalsze rejony. Upierał się, żeby Bułyków zaadoptował jego osobiste poglądy na seksualność. Na przykład homoseksualizm i rozwiązłość, na które zezwalały bardziej łagodne Bóstwa, stały się w Bułykowie nielegalne. Dżukow sprzeciwiał się temu wyjątkowo żarliwie, niemniej perspektywa Kolkana zapałała korzenie i nigdy już nie opuściła Bułykowa, pomimo tego, co stało się później. W końcu Dżukow przekonał pozostałe Bóstwa, by coś zrobiły.

- To znaczy? - pyta Mulaghesh. - Nie chce nam chyba pani powiedzieć, że nikt nie wie o tej drugiej wojnie.

- Nie - mówi Shara. - Nie było wojny. Ponieważ w roku 1442 Kolkana po prostu zniknął. Bez jakiegokolwiek wyjaśnienia.

Pauza.

- Po prostu... zniknął? - pyta Pitry.

- Tak.

- Tak jak bronie Kaja? - dopytuje się Mulaghesh.

- Nie do końca - odpowiada Shara. - Żadne z dzieł Kolkana nie zniknęły. Kolkasztan pozostał nienaruszony. Było jednak kilka zmian: w ciągu jednej nocy nagle wszyscy, których okaleczyły metody Kolkana, mieli znów wszystkie części ciała i byli uleczeni. Oczywiście

poza tymi, którzy wcześniej umarli. Co dziwne samo w sobie, ofiary nie mogły również nawet przypomnieć sobie momentu ukarania, zupełnie jakby te wspomnienia zostały w ich umysłach zamalowane.

- W takim razie jak... - Sigrud przewraca swym jedynym okiem, próbując sformułować pytanie. - Skąd w ogóle wiadomo, że zostali ukarani?

Shara kiwa głową.

- Dobra uwaga. Zajęło to chwilę, ale sajpurscy historycy określili 1442 jako rok wielkiego historycznego zamieszania. Śledzili je po regionach - wszystkie świadectwa, dzienniki i zeznania w Kolkaszanie i Bułykowie, traktujące o latach kar Kolkana, nagle i całkowicie zniknęły. Wiemy to, co wiemy, z tekstów uzyskanych z dala od Kolkasztanu i Bułykowa - tym w jakiś sposób udało się uniknąć owej historycznej czystki.

- I zakłada pani, że to sprawka pozostałych czterech Bóstw-mówi Mulaghesh.

- Tak zakładam. Szczególnie, że pozostałe Bóstwa nie wygłosiły uwag na temat nagłej absencji Kolkana. Nie natrafiliśmy na przejawy żadnych obwieszczeń czy wyjaśnienia... Nawet jakichś wspomnień. Zupełnie jakby nigdy nie istniał. Rzeczywistość została zmieniona.. Albo raczej nadpisana.

- A to... - mówi Mulaghesh. - Myśli pani, że właśnie to pani zobaczyła? Bóstwo, które zniknęło, ale nie umarło?

Shara zastanawia się nad tym.

- Nie — mówi w końcu.

- Dlaczego nie?

- Nasi napastnicy byli ubrani i zdecydowanie wyrażali się jak

tradycyjni kolkasztanie. Czytałam relacje z nawiązania kontaktu z Bóstwami. To, na co trafiłam w tej celi więziennej nie było aż tak spójne. Przypominało kakofonię głosów i obrazów - wielu ludzi w jednym. Nie wiem, jak to nazwać. Myślę, że nawet Kolkan mówiłby z większym sensem niż to, z czym rozmawiałam.

Milczą. Sigrud beka łagodnie.

- Co się stało? - Kolejne beknięcie. - Z ludźmi?

- Ludźmi?

Macha ręką.

- Od Kolkana.

- Och. Wiesz, że dalej robili mniej więcej to samo? Ubierali się w kolkasztańskie szaty, postępowali zgodnie z kolkasztańskimi zasadami, nawet do pewnego stopnia wymuszali Nakazy Kary. Mieli mgliste wspomnienie o Kolkaniu i pozostali przy jego edyktach, a przynajmniej tych, które nie zostały wymazane. I dalej robili to, co zawsze. Nigdy nie stało się to już tak okropne i dotkliwe jak pod rządami samego Kolkana, ale pozostała perspektywa, te same wierzenia... Jak wiecie, nawet dziś są widoczne w Kolkasztanie i Bułykowie.

- Więc powodem, dla którego przyjęcie i wystawa Votrowa były tak skandaliczne - mówi powoli Mulaghesh - jest to, w co trzysta lat temu wierzył pewien szalony bóg?

- Mniej więcej. - Shara spogląda na zegarek, potem na koźlinę: większość tłuszczu już się wytopiła. Wybiera pokrojone w kostkę mięso i pozwala mu się odsączyć. — Myślę, że te sprawy działają jak rozpęd - mówi. - Gdy już się zacznie, ciężko się zatrzymać.

Tłuszcz spada na płytę kuchenki i skwierczy niczym lawa spływająca do morza.

Sigrud, Mulaghesh i Pitry jedzą niczym zagłodzeni uchodźcy. Przyprawiona curry koźlina, delikatny biały ryż, smażone warzywa w cieście, melon owinięty wieprzowiną. W ciągu minut wszystkie przemysłne dania zostają zredukowane do smętnych resztek.

- Jest - Mulaghesh czka - cudowne. Najlepsze curry, jakie Jadłam od lat. Jak domowe. Gdzie nauczyłaś się gotować?

- Od innego agenta. - Shara sączy herbatę, ale nie je. - Podczas przeprowadzania operacji często tkwi się długo w jednym miejscu. Człowiek uczy się, jak radzić sobie z tym, co ma. Siada wyprostowana, spogląda w górę. Na kamiennym suficie widać ślady po dymie. Mają oleisty połysk. Bez wątplenia są to osady tłuszczu z dziesiątek bulgoczących potraw. - Jest pani całkowicie pewna, bez cienia wątpliwości, że w Magazynie nie doszło do żadnych ekscesów?

- Żadnych - odpowiada Mulaghesh z kęsem w ustach. - Niedawno wyprawiałam tam posłańca, żeby się upewnił. Ale nie mam wątpliwości, że nie dysponują spodkami niezbędnymi do przeprowadzenia ataku na Magazyn.

- Dlaczego?

— Atak na Votrowa zebrał spore żniwo. To nie było odwrócenie uwagi. Dla mnie wyglądało to na akt desperacji. Nie sądzę, żeby byli w stanie przeprowadzić naraz dwie takie operacje.

- Ale zwiększymy ochronę Magazynu.

- Zdecydowanie.

- W środku i na zewnątrz.

- No... nie. - Mulaghesh kaszle i wyciera usta. - Nie mamy żadnej ochrony wewnątrz Magazynu.

- Żadnej?
- Nie. Do Magazynu nie wchodzi nikt.
- Nawet patrole?
- Nawet, gdybym chciała tam patroli, wątpię, czy byłabym w stanie tam kogokolwiek wysłać. Pani Sharo, to miejsce jest pełne duchów. Cokolwiek się tam znajduje, nie chcemy zakłócać temu spokoju.
- Ale macie listę tego, co się tam znajduje?
- O, tak. Z pewnością.
- A macie może — zaczyna powoli Shara - więcej niż jeden egzemplarz? Skoro Efrem wynosił fragmenty listy, by ją studiować, zakładam, że potrzebna byłaby kopia zapasowa w przypadku, gdyby coś się z nimi stało...
- Tak, mamy dwa egzemplarze. O czym pani myśli?
- Myślę — odpowiada Shara łagodnie — że Irina Torskeny powiedziała mi, że skopiowała około stu stron z listy, zanim Odnowiciele znaleźli to, czego szukali lub to, co byłoby dla nich użyteczne.
- Więc?
- Więc. Wiemy, że byli zainteresowani kilkoma ostatnimi stronami. Gdy znaleźli to, czego szukali, czy co by im w jakiś sposób pomogło, przestali szukać. Według Iriny zdarzyło się to w miesiącu Tuwy. Musimy więc po prostu dostać te fragmenty listy, które sprawdzał w tym czasie...
- ...i dowiemy się, co znaleźli Odnowiciele! Oczywiście! Cholera, to genialne!
- Nie, po prostu zamienia igłę w stogu siana na igłę w nieco

mniejszym stogu siana - mówi Shara. - Z tego co Irina powiedziała mi o tej liście, na każdej stronie znajdują się dziesiątki wpisów. Zawężymy ilość wpisów do sprawdzenia z tysięcy do, hm, może kilkuset.

Twarz Mulaghesh poważnieje.

- Kilkuset...
- Przynajmniej mamy jakiś punkt zaczepienia - pociesza ją Shara. - A skoro już jesteśmy przy Irinie... - Odwraca się, by spojrzeć na Sigruda.
- Obserwujemy ją - mówi Sigrud.
- Jesteś pewien tych wynajętych ludzi?
- Wiem, ile im płacimy - odpowiada. - Z tak prostą robotą nie będzie żadnego problemu. Słyszałem, że wróciła do domu. Zostawili ją tam samą. Obserwujemy dalej.
- ~ Musimy upewnić się, że jej nie stracimy Stanowi jeden z naszych ostatnich tropów. I musimy uważnie obserwować Wykłowa.
- Obserwujemy - Sigrud wyciąga nóż z kawałka szynki -dalej.

Shara stuka w bok filiżanki. Uczep się tropów - jak mówi powiedzenie - aż padną pod twoim ciężarem.

- Jeśli pije pani herbatę wyłącznie podczas pracy - oznajmia Mulaghesh - to sugerowałabym zamianę jej na kawę. W najbliższej przyszłości czeka nas sporo pracy, a kawa daje większego kopa.
- Kawa orzeźwia ciało - informuje ją Shara. - Herbata orzeźwia duszę.
- Czy pani dusza jest tak poturbowana?

Shara nie odpowiada.

- Nie będzie pani jeść? - pyta Pitry. - Proszę spróbować, zanim wszystko zjemy.
- Nie zjemy tego wszystkiego - mówi Mulaghesh.
- Mhm. Nie - odpowiada Shara poprzez mgłę myśli.
- Dlaczego? Nie jest pani głodna?
- Nie o to chodzi. Po prostu - mówi Shara, dolewając sobie herbaty - ten smak za bardzo przypomina mi dom. Kiedy chcę posmakować Ghaladeshu, wolę w tym celu wypić herbatę.

Trumna idealnie wchodzi do skrzyni, prawie w ogóle nie pozostawiając przestrzeni po bokach. Zastanawiam się, myśli Shara, czy istnieje rynek skrzyni na trumny? Czy tak wielu ludzi umiera za granicami swojego kraju?

- Czy przybić już pokrywę? - pyta majster. Wraz z trzema pracownikami nie próbują nawet ukryć niecierpliwości.
- Jeszcze nie - odpowiada cicho Shara. Dotyka powierzchni trumny: lakierowana sosna, w której większość Sajpurów nie chciałaby być pochowana. — Dajcie mi chwilę, panowie.

Majster się waha.

- No... Pociąg do Ahanasztanu odjedzie za godzinę. Jeśli ruszy po czasie, to...

_ To potrąca wam to z pensji. Tak. Chętnie pokryję ten koszt, jeśli to przeze mnie się opóźni. A teraz chwila. Proszę.

Majster wzrusza ramionami, wskazuje na swych ludzi i Shara zostaje sama w alejce za ambasadą.

Powinna to być większa ceremonia, jednak zwykle się to nie udaje. Jej agent na Javracie; nadzorca kopalni, którego przekabacili w Kolkasztanie; domokrążca z Dżukosztanu, sprzedający od drzwi do drzwi aparaty fotograficzne, robiący mieszkańcom zdjęcia, rzekomo jako część zachwalania towarów... Żadnego z nich nie pożegnała we właściwy sposób. Ciągłe włóczą się po jej umyśle, tak jak za życia włóczyli się po świecie.

Gdybym mogła, wróciłabym z tobą do domu, mówi trumnie Shara, choćby tylko po to, żeby zobaczyć, że zostajesz złożony na spoczynek.

Przypomina sobie, jak po raz pierwszy przyszedł do niej w Ahanasztanie. Jak zachwycona była spostrzeżeniem, że jest to dokładnie taki jasnooki, schludnie ubrany człowieczek, jakiego zawsze sobie wyobrażała. Po dniu próbnym był pod wrażeniem jej odczytania: „Na jakim uniwersytecie pani studiowała? Tak mi przykro. Nie znam pani publikacji.” A gdy odpowiedziała mu, że nie ma żadnych publikacji, że nigdy nie będzie ich miała, że jej pracy bardzo daleko do środowiska akademickiego - wtedy urwał, zastanowił się i zapytał: „Przepraszam, ale muszę zapytać... Pani to, hmm, Ashara Komayd, tak? Wszyscy zdają się dość niechętnie o tym mówić... Ale tak wygląda sprawa, prawda?”

Shara uśmiechnęła się nieznacznie i z wahaniem kiwnęła głową.

- Pani rodzicami byli Ghonjesh i Ashadra?

Zesztywniała, ale znów kiwnęła głową.

Zastanawiał się nad tym przez moment.

— Wie pani, znałem ich. Ledwie. W czasach reformatorskich. Wiedziała pani o tym?

— Tak — odpowiedziała Shara bardzo cicho.

— Udzielali się znacznie bardziej ode mnie. Ja siedziałem za

biurkiem i pisałem listy oraz artykuły, a oni rzeczywiście poszli do slumsów, do miejsc zadżumionych, i wznosili namioty medyczne i szpitale... Chyba znali ryzyko... Dżuma była bardzo zaraźliwa... Ale i tak to robili. W świetle tego, co zrobili oni, czasami myślę, że ja sam byłem tchórzem. Odizolowanym z natury akademikiem.

— Wcale tak nie uważam — powiedziała Shara.

— Nie?

— Myślę, że... Zmienił pan historię. Zrobił pan to, gdy tego potrzebowaliśmy.

Jego rysy stają się bardziej surowe.

— Zmienił? Nie, nic nie zmieniałem, panno Komayd. Powiedziałem to, co uważałem za prawdę. Uważam, że historycy powinni być powiernikami prawdy. Musimy opowiadać o wszystkim tak, jak sprawy rzeczywiście się mają - szczerze i bez wygładzania. To największe dobro, jakie można uczynić. A będąc pracownicą Ministerstwa, musi pani sobie odpowiedzieć na jedno pytanie: jakiej prawdy chce pani bronić?

Shara doszła potem do wniosku, że musiał nieco się powstrzymać, jakby ją wywęszył, wyczuł, że jest stworzeniem o innych wartościach niż te jego, utrzymującym porządek i wersję historii, o którą wiedział, że kiedyś ją podważy. Shara chciałaby móc wtedy powiedzieć: „Nie, nie, proszę mnie nie odtrącać. Jestem historykiem, zupełnie tak jak pan. I tak jak pan poszukuję prawdy.”

Ale nie mogła tego powiedzieć, bo w głębi serca wiedziała, że byłoby to kłamstwo.

Nigdy nie spotkałam człowieka, który dysponując przywilejem nie wykorzystywałby go w najszerszym możliwym zakresie. Możecie mówić co wam się żywnie podoba o wierzeniach, partiach, systemie finansowania, władzy - ja widzę jedynie przywileje i ich konsekwencje.

W mojej opinii, państwa nie są stworzone ze struktur wspierających przywileje: Raczej tworzą struktury im zaprzeczające- innymi słowy: decydują, kto nie zasiądzie przy wspólnym stole.

Niestety, ludzie często pozwalają decydować o nieprzyznaniu przywilejów uprzedzeniom, urazom i przesądom- gdy tak naprawdę znacznie efektywniejsze byłoby zachowanie przy tym zimnej krwi.

- MINISTER SPRAW ZAGRANICZNYCH VINYA KOMAYD,

LIST DO PREMIERA, 1700



olejny zimny dzień. Gdy Shara otwiera główne drzwi ambasady, strażnik dziedzińca, zawinięty po nos w futra, odwraca się i mówi:

- Jest przy bramie frontowej. Nie wpuściliśmy go, ponieważ... -
Rozumiem — odpowiada Shara. Przechodzi przez dziedziniec ambasady. Drzewa chylą się pod ciężarem czegoś, co wygląda na warstwy czarnego szkła; liczne korozje i szczeliny ambasady wypełnia perłowa biel, jakby ktoś w ciągu nocy załatał je tynkiem. Kubek kawy w jej ręce pozostawia za sobą rzekę pary, tak jak statek pozostawia za sobą kilwater. Shara dochodzi do wniosku, że zupełnie inaczej jest w dzień: czysto, zimno i błyszcząco, niż poprzedniego wieczoru, gdy Wykłów ujadł przez kraty niczym pies obronny.

Brama otwiera się z łoskotem. Na podjeździe ambasady stoi chłopiec, trzymając w górze srebrny talerz. Ubrany jest w coś, co Shara identyfikuje jako uniform służącego, ale wygląda na to, że chłopiec przebył długą drogę. Na górnej wardze ma zmrożonego smarka. Gdyby tak mocno się nie trząsł, wyraz jego twarzy na widok Shary można by było wziąć za uśmiech.

- Pani ambasador Thivani?
- Kim jesteś? - pyta Shara.
- Mam... dla p-pani wiadomość. - Podaje jej srebrny talerz. Na jego środku leży mała, biała kartka.

Shara szamocze się z nią zziębniętymi rękami i mruży oczy, by ją odczytać.

JEGO EMINENCJA WOHANNES VOTROW
OJCIEC MIASTA W 14-TYM, 15-TYM I 16-TYM OKRĘGU
POLIS BUŁYKOWA
ZAPRASZA NA WSPANIAŁY WIECZÓR
DZISIAJ O 19:30 W KLUBIE GUOSZTOK-SOŁDA
BĘDZIE DUŻO DOBREJ ZABAWY

Shara zgniata kartkę.

- Dziękuję - mówi i wyrzuca ją. Ale mam farta, myśli. Wali się akurat to, co obiecałam zostawić w spokoju.
- Przepraszam panią - mówi chłopiec. - Nie chcę przerywać, ale... czy mogę iść?

Shara patrzy na niego przez chwilę, po czym wpycha mu do ręki kubek

z kawą.

- Proszę. Tobie przyda się bardziej niż mnie.

Chłopiec mozolnie odchodzi. Shara odwraca się i szybkim krokiem rusza w stronę frontowych drzwi ambasady.

Na ulicy za ambasadą zaczyna płakać dziecko. Bitwa na śnieżki przybrała zły obrót: jedna salwa zawierała zbyt dużą ilość lodu i chodniki pełne są wyciągniętych palców i uporczywych krzyków: „To nie fair!”

Po otwarciu drzwi wewnątrz Klubu Guosztok-Solda wydaje się być jednolitą ścianą dymu. Shara jest zakłopotana tym widokiem, ale pracownicy zdają się go nie dostrzegać: gestykulują, jakby ta gęsta chmura mgły zachęcała do wejścia wewnątrz. Wiatr z zewnątrz wpada do środka i zamienia dym w wirujące prążki, które tną na kawałki. Shara ledwo dostrzega mruganie świec, połysk tłustych widelców i twarze śmiejących się mężczyzn.

Następnie uderza ją obezwładniający smród tytoniu, od którego Shara prawie się cofa.

Gdy wchodzi do środka, jej oczy zaczynają się przyzwyczajać. Dym nie jest tak gęsty, jak jej się początkowo wydawało, niemniej sufitu wciąż nie widać. Żyrandole i lampy wyglądają, jakby zwieszały się z niebios. Odźwierny spogląda na nią zaskoczony oraz nieco oburzony, i domaga się nazwiska, jakby nie spodziewał się po Sajpurce niczego więcej.

- Votrow - mówi Shara. Mężczyzna kiwa sztywno głową, jakby myśląc: Powinienem był wiedzieć, i zamasyście wyciąga rękę.

Shara prowadzona jest przez labirynt boksów, prywatnych pokojów i barów, z których każdy wypełniony jest mężczyznami w garniturach i szatach, a wszyscy oni błyskają szarymi zębami, łysymi głowami i

czarnymi butami. Popiół z cygar tańczy w zaduchu niczym czerwono-pomarańczowe świetliki. Zupełnie jakby to miejsce zostało wysmarowane olejem i dymem. Shara wręcz czuje, jak dym posapuje przy brzegu jej spódnicy, zastanawiając się: Co to jest? Co za obce stworzenie przeniknęło w to miejsce? Co to może być?

Niektóre ze stołów cichną, gdy przechodzi obok. Łyse głowy wysuwają się z boksów i przyglądają się jej. Stanowią oczywiście podwójną obrazę, myśli Shara, starając się panować nad sobą. Kobieta, i do tego Sajpurka...

Szarpnięcie aksamitnej zasłony odsłania wielkie zaplecze. U szczytu stołu wielkości barki rzecznej siedzi Vohannes, w połowie zasłonięty namiotem z gazety i rozparty w wyściełanym fotelu, z jasnobrązowymi (ale zabłoconymi) butami opartymi na stole. Za nim, na wyglądających na wygodne krzesłach siedzą jego sajpurscy ochroniarze; jeden podnosi wzrok, macha i wzrusza przepaszając ramionami: To nie był nasz pomysł. Namiot z gazet Vohannesa zapada się nieco; Shara dostrzega spoglądające ponad nim jasnoniebieskie oko, po czym namiot całkiem się rozpada.

Vohannes wstaje tak szybko, jak tylko pozwala mu na to jego biodro. Kłania się.

- Panno Thivani!

Byłby z niego doskonały wodzirej.

- Nie minęły nawet dwa dni - zauważa Shara. — Daruj sobie te ceremonie.

- Och, ale przecież są bardzo potrzebne! Szczególnie, gdy spotyka się... Jak idzie to przysłowie? Wróg mojego wroga jest moim...

- O czym ty mówisz, Vo? Masz to, o co cię prosiłam?

- Och, oczywiście, że mam. Miałem z tego dużą frajdę. Ale najpierw...

- Vohannes klaszcze dwukrotnie. Jego rękawiczki, białe i aksamitne, poplamione są tuszem. — Och, jeśli można, proszę przynieść nam dwie butelki białego, śliwkowego wina oraz tacę ślimaków.

Mężczyzna kłania się niczym nakręcana zabawka.

- Oczywiście.

- Ślimaków? - pyta Shara.

- Czy panowie dżentelmeni - Vohannes odwraca się w stronę sajpurskich ochroniarzy - potrzebują napojów i zakąsek?

Jeden z nich otwiera usta, by odpowiedzieć, spogląda na Sharę, rozważa odpowiedź jeszcze raz, po czym kręci głową.

- Jak chcecie. Proszę. - Vohannes szerokim gestem wskazuje krzesło obok siebie. - Usiądź. Cieszę się, że wpadłaś. Musisz być strasznie zajęta.

- Wybrałaś ciekawe miejsce na nasze spotkanie. Chyba trędowatego powitano by tu wylewniej.

- Cóż. Pomyślałem, że skoro spotkałem się z tobą u ciebie w pracy, to równie dobrze ty możesz spotkać się ze mną u mnie... Chociaż to miejsce może sprawiać wrażenie wypełnionego starymi i lubieżnymi prykami, to gwarantuję, że tu właśnie żyje i umiera bułykowski handel, panno Thivani. Jeśli mielibyśmy wyobrazić sobie przepływ finansów jako złotą rzekę nad naszymi głowami, wtedy tu, właśnie tutaj, pośród całego tego dymu i głupich żartów, gotowanej wołowiny i łysych głów, znajdowałoby się najgęstsze, najbardziej nieprzeniknione, najbardziej nierozzerwalne jej zakole. Zapraszam do obejrzenia i kontemplacji rozklekotanego, opryskanego głównem statku, który niesie bułykowski handel na morza dobrobytu.

- Mam dziwne wrażenie - zauważa Shara - że nie lubisz tu pracować...

- Nie mam wyjścia - przyznaje Vohannes. - Jest jak jest. I chociaż wygląda to jak jeden budynek, w rzeczywistości jest ich kilka. Każdy dom w Bułykowie jest podzielony, a ten jest podarty na strzępy, mój bojowy toporku. Każdy boks mógłby mieć kolor zgodny z przynależnością partyjną. Można by namalować na podłodze linie, jeśli pozwoliłyby na to wypaczone deski podłogowe, by zaznaczyć granice, których niektórzy bywalcy klubu nigdy nie odważyliby się przekroczyć. Jednak ostatnio, ten klub, jak i cały Bułyków, zaczyna stawać po stronie jednej z dwóch głównych grup. Mojej oraz, cóż...

Rzuca jej na kolana gazetę. Zakreślono w niej mały artykuł:

WYKŁÓW WYSTĘPUJE PRZECIWKO AMBASADZIE.

- Zyskujesz rozgłos, moja droga — mówi Vohannes. Shara przegląda artykuł.
- Tak - odpowiada. - Zwrócono mi na to uwagę. Co tobie do tego?
- Cóż, zastanawiałem się, jak mogę ci pomóc.
- Och.
- I z Wykłowem mogę ci pomóc dość znacznie.

Kelner materializuje się z mgły z butelką białego śliwkowego wina. Podsuwa ją Vohannesowi; ten spogląda na etykietę, kiwa głową i leniwie wyciąga rękę, natychmiast pojawia się wypełniony po brzegi kryształowy kieliszek. Kelner spogląda z powątpiewaniem, jakby chciał zapytać: Czy na pewno chcesz, żebym ją też obsłużył? Vohannes kiwa głową ze złością, a zirytowany kelner obdarza Sharę niedbałą wersją tej samej ceremonii.

- Bezcelny fiut - mówi Vohannes, gdy kelner odchodzi. - Często spotykasz się z tego rodzaju traktowaniem?
- Co proponujesz, Vo?

- To proponuję, że mogę ci pomóc z Wykłowem. I zrobię to wyłącznie z dobrego serca... Pod warunkiem, że zgnieciesz tego tłustego sukinsyna.

Shara sączy wino, ale nie robi nic ponadto. Dostrzega przy Vohannesie walizkę, równie białą, aksamitną i niedorzeczną jak jego rękawiczki. Na morza. Czy naprawdę zwerbowałam na agenta takiego błazna? Po przeciwnej stronie zauważyła jednak drugą walizkę. Czy zawartość skrytki okazała się aż tak obszerna?

- W jaki sposób pomógłbyś nam z Wykłowem?

- Cóż, to ta trudniejsza część... Nie lubię podstępnych, oszukańczych politycznych machinacji, pomimo tego, co się dzieje, uhm, teraz. Ja działałam znacznie bardziej... - kręci smukłym palcem, zastanawia się - ...idealistycznie. Zdobywam poparcie głównie dlatego, że nie brudzę sobie rąk.

- Ale teraz jesteś skłonny to zrobić.

- Jeśli ten zaszary śmierdziel jest naprawdę, faktycznie powiązany z ludźmi, którzy nas zaatakowali, którzy zabili Pangyuię, wtedy nie zasmuciłoby mnie zbytnio doświadczenie końca jego pobytu na politycznej scenie. Ale ponieważ sam nie mogę zatopić mu w plecach sztyletu, być może mogę przekazać sztylet komuś, kto lepiej się nim posługuje. — Kelner ponownie wyłania się ze śmierdzącej mgły, z wielkim, płaskim kamieniem pokrytym małymi dziurkami. Kamień pływa w maśle, a dziury zdają się być wypchane małymi, beżowymi przyciskami.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Vo? - pyta ponownie Shara.

Vohannes pociąga nosem i podnosi widelec wielkości igły.

- Mam znajomego w domu handlowym Wykłowa. Wiesz, tak właśnie się dorobił. Wykłów jest jedną z niewielu ikon starej gwardii, które zajęły się handlem. Dorobił się na ziemniakach. W jakiś sposób

to do niego pasuje. Coś, co rośnie w błocie, z dala od słońca... — Nabija ślimaka, wrzuca do go ust, chrząka i mówi: Gouoe. Mm. - Przesuwa mięsistą kulkę na zęby, oddycha i dopiero wtedy połyka. — Bardzo gorące. Wracając do tematu. Przekonałem tego znajomego z domu handlowego Wykłowa, żeby przekazał mi listę wszystkich wydatków i zakupów, jakich Wykłów dokonał w *zeszłym roku*. - Uśmiecha się zwycięsko i stuka w drugą walizkę przy krześle. - Powiedzmy, że jestem pewien, że chowa pod szatami coś śmierdzącego. Niestety, pewnie nie jest to nic nieprzyzwoitego; kolkasztaninem jest się na całe życie, a Wykłów jest kolkasztaninem tak bardzo, jak tylko się da. Ale to zawsze coś. I bardzo bym chciał, żebyś to znalazła.

Shara przechodzi do sedna.

- Czy finansuje Odnowicieli?
- Przeglądałem te strony i przyznam, że niestety *tego akurat* nie zauważyłem. Ale wyróżnia się tam jedna rzecz.
- Co?
- Jego zakłady tkackie.
- Jego... Czeka, *co?*
- Zakłady tkackie — powtarza Vohannes. — Wykłów kupił, jawnie *kupił*, trzy zakłady tkackie niedaleko miasta. Wiesz, wielkie fabryki włókiennicze, w których produkuje się dywany?
- Rozumiem ogólny koncept...
- Tak. *Kupił* je. Wcale nie tanio. I nie zmienił im nazw.
- Więc uważasz, że nie chce, żeby ktokolwiek o tym wiedział - domyśla się Shara.
- Tak. Ale w całej tej historii musi być *coś* jeszcze. Po prostu tego nie

dostrzegam. Ale ja nie mam za sobą potężnej agencji wywiadowczej.

Shara zastanawia się.

- Czy przypadkiem nie kupił tych zakładów po miesiącu Tuwy?
- Ach... Cóż, nie jestem w stanie w tym momencie stwierdzić tego z całkowitą pewnością, ale *mogło tak być*.

Interesujące, myśli Shara.

- Jak dobre jest twoje źródło?
- Dość dobre.
- Tak, ale jak *bardzo* dobre?

Vohannes się waha.

- Znam go bardzo osobiście - mówi powoli. - Tyle powinno ci wystarczyć.

Shara prawie dopytuje dalej, ale wtedy pojmuje. Odkasłuje niezręcznie i mówi:

- Rozumiem. - Patrzy, jak Vohannes upija kolejny łyk wina. Poci się i jest blady; nagle wydaje się pomięty i delikatny, niczym wysokiej jakości płótno. - Słuchaj, Vo. Ja... Zamierzam zrobić coś, czego zwykle nie robię dla pomocnych źródeł.
- Znaczy co?
- Dam ci szansę jeszcze to przemyśleć.
- *Że co?*
- Dam ci szansę przemyśleć to, co tu robisz - mówi Shara. _ Ponieważ jeśli jeszcze raz zaoferujesz mi te papiery, wtedy ich *użyję*. Nie

byłabym profesjonalistką, gdybym przeoczyła taką okazję. A gdy ktoś zapyta skąd je wzięłam, a na pewno *zapyta*, wtedy będę musiała mu powiedzieć. Nie mogę przewidzieć co się wydarzy, ale gdy wszystko to już się rozegra, istnieje szansa, że w przyszłości, w pewnym bardzo publicznym miejscu w Sajpurze, ktoś zezna, że Vohannes Votrow, Ojciec Miasta Bułykowa, dostarczył sajpurskiemu rządowi istotne materiały, dzięki którym inny Ojciec Miasta zostanie potępiony. A coś takiego... Będzie mieć konsekwencje.

Vohannes przygląda się płomieniowi tańczącemu na szczycie świecy.

- Doświadczyłam już tego — mówi Shara. — Straciłam już tak informatorów. Ja *używam* ludzi, Vo. Tym się teraz zajmuję. To nie jest miłe. Ma wiele konsekwencji. I... Jeśli zaproponujesz mi ponownie te papiery, *wzmę* je, ponieważ muszę. Po prostu chcę, żebyś dobrze zastanowił się nad tym, co może ci się przydarzyć, jeśli dasz mi tę walizkę.

Vohannes spogląda na nią swymi niebieskimi oczami. *Wciąż muszę być*, wyobraża sobie Shara, *tak samo niebieskie jak wtedy, gdy byt niemowlęciem*.

- Zaczynaj pracować dla mnie - mówi nagle Vohannes.

- Co?

- Wydajesz się być nieszczęśliwa. — Nadziewa ślimaka i dmucha na niego. Kropelki masła opadają na obrus. — Zaczynaj pracować dla mnie. Zmieni się tempo. Nie jesteśmy starą gwardią. Nie jest nią żadna z moich firm. Dokonujemy wielkich, nowych rzeczy. No i mogę płacić ci obrzydliwie dużo pieniędzy.

Shara wpatruje się w niego niedowierzająco i zaczyna się śmiać.

- Nie mówisz poważnie.

- Mówię śmiertelnie poważnie. Poważnie jak sama śmierć.

- Ja... Ja *nie* będę dla ciebie pracować, Vo.
- Cholera, w takim razie przejmij stery. - Wypija wino, zjada kolejnego ślimaka. - Tylko przysparza mi to bólu głowy. Prowadź moje firmy. Zarządzaj moimi pieniędzmi. Ja po prostu będę siedział, zostawał wybierany i, bo ja wiem, brał udział w paradach, czy coś.

Shara, ciągle się śmiejąc, ukrywa twarz w dłoniach.

- Z czego się śmiejesz? — Vo stara się uprzejmie zachować powagę, ale zdradza go uśmiech. - Co? Mówię serio. Zostań ze mną. - Uśmiech niknie. - Zamieszkać ze mną.

Shara przestaje się śmiać. Krzywi się i wydaje z siebie jęk.

- Och, Vo. *Dlaczego?*
- Dlaczego co?
- Dlaczego musiałeś *to* powiedzieć?
- Chodziło mi... Och, chodziło mi o to, żebyś zamieszkała w *Bułykowie*.
- Nie tak to zabrzmiało. I... I dokładnie o to poprosiłeś mnie, gdy kończyłeś studia.

Vohannes, zmieszany, spogląda na sajpurskich ochroniarzy.

- Czy mogliby panowie, uhm, wybaczyć nam na moment?

Strażnicy wzruszają ramionami i wychodzą za drzwi zaplecza.

- To... Shara, *oczywiście*, że nie o to mi chodziło - mówi Vohannes. Śmieje się desperacko.

- Czy dlatego mnie tu zaprosiłeś? Dla wykwintnych potraw i propozycji?

- To *nie* jest wykwintne jedzenie. Na bogów, czuję jedynie tytoń...

Cisza. Gardłowy śmiech z sąsiedniego pokoju przechodzi w rozedmowy kaszel.

- Sprowadzenie mnie z powrotem do twojego życia nie sprawi, że będziemy szczęśliwi - mówi Shara.

Vohannes jak oparzony siada z powrotem na krzesło i wpatruje się w kieliszek.

- Zmieniłam się — mówi Shara. — I ty też.

- Dlaczego wszystko musi być takie niezręczne — pyta nadąsany.

- Jesteś *zaręczony*.

- Och, tak, zaręczony. - Podnosi rękę, opuszcza ją. *I co to niby znaczy?* — Jesteśmy bardzo wesołą parą. Dużo imprezujemy. Trafiamy do gazet.

- Nie kochasz jej?

- Niektórzy potrzebują w życiu miłości. Inni niekoniecznie. To jak kupno domu: „Chcesz kominek z centralnym ogrzewaniem? Okna w sypialni? Miłość? To nie jest część wymaganego przeze mnie pakietu.”

- Nie wierzę ci.

- Cóż, nie mam tak naprawdę wyboru - warczy. — Czy... Czy *widziałaś* tych ludzi w boksach, gdy wchodziłaś? Możesz sobie *wyobrazić* co też by...? - Ponownie, walczy z opanowaniem. - Pobrudziłem sobie rękę bardziej, niż ci się wydaje.

- Nie wiesz, co to znaczy pobrudzić sobie rękę.

- Nie znasz mnie. - Wpatruje się w nią. Policzki mu się trzęsą. Łza drży mu w wewnętrznym kąciuku prawego oka. - Mogę dać ci

Wykłowa. Zasłużył na to. Weź go. Weź go i spal na stosie.

- Przykro mi widzieć, jak z taką radością prześladujesz kolkasztanów.

Śmieje się złowrogo.

- Czy nie na to właśnie *zasługują*? Znaczy, cała moja cholerna *rodzina*... Chcesz mówić o prześladowaniach, to porozmawiaj z ludźmi, którzy z zapalem robili tak przez setki lat, nawet bez swojego cholernego - rozgląda się, zniża głos - boga.

- Ale czy oni także nie pozostają twoim ludem, tym, któremu chcesz pomóc? Czy naprawdę chcesz reformować Bułyków, Vo, czy może spalić go do gołej ziemi?

Vohannesa tak mocno to uderza, że przez chwilę nie jest w stanie mówić.

- Czy twoja rodzina była kolkasztanami? - pyta cicho Shara.

Kiwa głową.

- Nigdy mi nie powiedziałaś.

Jego skóra ponownie staje się blada i pergaminowa. Brew mu się marszczy, gdy Vo zastanawia się nad odpowiedzią.

- Nie - mówi. - Nie powiedziałem. Nie uważałem, żeby było to potrzebne. Wtedy większość Bułykowa była kolkasztanami. Wciąż jest. Duża część ludności Kontynentu wciąż nimi jest. Jak sądzę, przywykli już do życia bez Bóstwa. Po Kaju i Wojnie, zmiana była dla kolkasztanów prostsza niż dla kogokolwiek innego... - Nalewa sobie resztę wina, jeden z jego pierścieni wydaje radosne cyk cyk cyk, gdy wylewa ostatnie krople. - Mój ojciec był bogatym kolkasztaninem, co tylko pogarsza sytuację. Dla większości kolkasztanów, człowiek rodzi się z wieloma rzeczami, których należy się wstydić. Rodzi się we

wstydzie. Ale dla bogatych, inni ludzie dodatkowo rodzą się biedni. Jeszcze jedna sprawa, której należy się wstydzić. Surowy człowiek. Kiedy zrobiliśmy coś nie tak, musieliśmy ściąć dla niego różgę - wyciąga palec wskazujący - grubości naszych palców, którą nas bił. Jeśli wybieraliśmy za małą, wtedy on wybierał za nas. I choć był skąpy, nie skąpił nam różg... - Łyk wina. - Mój brat go kochał. Kochali się nawzajem, chyba tak powinienem powiedzieć. Może dlatego, że Wołka był starszy... Ojciec zawsze żywił do dzieci urazę za bezczelność, jaką jest niezachowywanie się jak rozsądni dorośli. I gdy ojciec zmarł, brat nigdy tego nie wybaczył... Cóż. Wszystkim. Światu. Szczególnie Sajpurowi, jako że my, Kontynentanie, zakładaliśmy, że

Dżuma to wynalazek Sajpurów. Wołka stał się kimś w rodzaju mnicha, w wieku piętnastu lat dołączył do grupy pielgrzymów i wybrał się na lodowatą północ, by spróbować odnaleźć jakąś cholerną świątynię. Zostawił mnie z gromadą niań i służących, gdy miałem dziewięć lat. I nigdy nie wrócił. Lata później dowiedziałem się, że zginęła cała ich grupa. Zamarzli na śmierć. Spodziewali się cudu. - Vohannes unosi do ust kieliszek wina. - A cud nigdy się nie wydarzył. Pewnie, może i chcę zrujnować Wykłowa. Być może jest przeszkodą dla przyszłości Kontynentu, bo jakoś nie widzę, żeby chciał ujrzeć nową, świetlaną przyszłość. Woli raczej martwą, matową, zakurzoną przeszłość. W każdym razie, nie uroniłbym łzy z powodu jego odejścia.

Shara zamyka oczy. *Jak szybko, myśli, szerzy się moje zepsucie.*

-Jeśli jeszcze raz mi to zaoferujesz, będę musiała się zgodzić.

- Zrób to, Shara. Jeśli tym właśnie się zajmujesz, chciałbym, żebyś mu dowaliła.

Shara otwiera oczy.

- Dobrze. Zrobię to. Zakładam, że zawartość skrytki jest w drugiej walizce?

- Zakładasz prawidłowo. - Podnosi ją, rzuca na stół i zaczyna

otwierać.

- Nie, nie - mówi Shara. - Nie otwieraj.
- Co? Czemu?
- Ja... Złożyłam niefortunną obietnicę. - *A ciocia Vinya pamięta o złożonych jej obietnicach... oraz tych niedotrzymanych.* Shara zastanawia się, czy jest skłonna sprzeciwić się cioci i otworzyć walizkę. Czuje, że sprowadziłoby to na nią szalejące piekło, szczególnie po groźbie Vyni. *W takim razie ostatnia szansa, myśli, zastanawiając się, czy tak głupcy usprawiedliwiają kiepskie wybory.* - Jeśli po prostu dasz mi walizkę, Ministerstwo z radością cię wynagrodzi.
- Chcesz, żebym po prostu *dał* ci walizkę? — Vohannes jest podekscytowany. — Ale to jest warte fortunę!
- Ile?
- *Ja...* Nie wiem... Nie ja go kupiłem. Mam od tego ludzi-skarży się i przygląda walizkom. - *Powinno być warte fortunę.*
- Prześlij nam rachunek, a odpowiednio cię wynagrodzimy. — Shara zsuwa walizkę ze stołu. Nie jest zbyt ciężka. *Papier?*, zastanawia się gorączkowo. *Książki? Jakiś artefakt?* Bierze od Vo drugą walizkę. Wstaje, czując się dość absurdalnie z walizką w każdej z rąk, jakby miała wyjechać na plażę, na odprężające wakacje.
- Dlaczego - zaczyna Vohannes, gdy odprowadza ją do drzwi — zawsze, gdy kończymy ubijać interes, wydaje mi się, że żadne z nas nie dostało tego, czego naprawdę chciało?
- Być może zajmujemy się nieodpowiednim rodzajem interesów.

Zostawienie za sobą powietrza klubu jest niczym wypłynięcie z morskich głębin. *Muszę wyrzucić te ubrania, myśli. Sam materiał został zatruty...*

- Och - mówi jakiś głos. - Czy... panna Thivani?

Shara podnosi głowę i zamiera jej serce. Na tylnym siedzeniu długiego i drogiego białego samochodu siedzi Iwańja Restrojka. Twarz ma białą niczym śnieg, usta pomalowane jasną, krwistą czerwienią. W jakiś sposób wygląda na jeszcze bardziej pozbawioną kolorów niż wtedy, gdy Shara widziała ją po raz ostatni, na przyjęciu Vohannesa. Jeden lok czarnych włosów wymyka się z futrzanej czapy, by zawinąć się na jej czole i za uchem. Lecz pomimo tych celowo dobranych elementów, wpatruje się w Sharę z bezwiednym szokiem.

- Och — powtarza Shara. - Dzień dobry, panno Restrojka.

Ciemne oczy Iwańji ześlizgują się na drzwi klubu i ciemnieją z rozczarowania.

- Więc to z panią spotkał się dziś wieczorem.

- Tak. - *Myśl szybko.* - Przedstawiał mi kilku partnerów biznesowych.

- Shara powoli podchodzi do okna samochodu. - Ma wiele interesów, które chciałby ubić z Sajpurem. Miło z jego strony. - Dobre kłamstwo: praktyczne, rozsądne, może nawet w jednej szóstej prawdziwe.

- W *tym* klubie. Najbardziej betonowym w całym Bułykowie.

- Jak to mówią, czasy się zmieniają.

Iwańja spogląda na białe walizki i kiwa głową, w oczywisty sposób nie wierząc w ani jedno słowo.

- Znała go pani kiedyś, prawda?

Shara zamyśla się na moment.

- Nie, tak naprawdę to nie.
- Hmm. Mogę panią o coś prosić, panno Thivani?
- Oczywiście.
- Proszę... obchodzić się z nim ostrożnie.
- Słucham?
- Pomimo całej brawury i przechwałek, jest znacznie wrażliwszy, niż się wydaje.
- Co pani...
- Czy powiedział pani, że złamał biodro spadając ze schodów? - Iwańja potrząsa głową. — Był w klubie. Ale nie takim jak ten. Takim, do których mężczyźni chodzą, by spotykać innych mężczyzn, myślę, że można tak to nazwać. Ale... tu podobieństwa się kończą.

Shara czuje, jak szybciej bije jej serce. *Przecież wiedziałam. Więc dlaczego mnie to dziwi?*

- Policja przeprowadziła nalot na to miejsce w noc, gdy tam był - mówi Iwańja. - Jak pani pewnie wie, Bułyków nigdy nie pozbył się kołkasztańskich skłonności. Tego rodzaju... *praktyki* są wyjątkowo nielegalne. Dość brutalnie obeszli się ze złapanymi ludźmi. Prawie umarł. Widzi pani, biodra wyjątkowo trudno się naprawia. - Uśmiecha się smutno. - Ale niczego go to nie nauczyło. Dlatego właśnie zajął się polityką. Chciał zmieniać świat. W końcu to właśnie Ernst Wykłów kazał przeprowadzić ten nalot.

Gromada pijanych mężczyzn wytacza się ze śmiechem z klubu. Dym przywarł do ich kołnierzyków jak w miłosnym uścisku.

- Dlaczego pani z nim jest? - pyta Shara.

- Ponieważ go kocham - odpowiada Iwańja. Wzdycha smutno. - Kocham go i kocham to, kim jest i to, czego chce dokonać. I chcę się o niego troszczyć. Mam nadzieję, że pani chce tego samego.

Biały samochód omiatają przednie światła innego pojazdu. Shara słyszy, jak Pitry woła ją z samochodu należącego do ambasady. Drzwi klubu otwierają się i wychodzi Vohannes. Biały futrzany płaszcz połyskuje w świetle ulicznych latarni.

Iwańja się uśmiecha.

- Do widzenia, panno Thivani. Życzę udanego wieczoru.

Shara wciąż pamięta ten dzień: zdarzyło się to dawno temu, pod koniec drugiego semestru jej drugiego roku w Fadhuri. Wchodziła po schodach budynku, w którym mieszkał Vohannes, a Rooshni Sidthuri właśnie po nich zbiegał. Przywitała się, ale Rooshni - rozchełstany i spocony - nic jej nie odpowiedział. Gdy weszła do pokoju Vo i zobaczyła, że ten siedzi na krześle przy biurku bez koszulki, z nogami na parapecie i rękami za głową, z jakiegoś powodu w jej głowie rozbrzmiał alarm — Vohannes siadał tak wyłącznie po seksie.

Rozmawiając z nim jak gdyby nigdy nic, Shara podeszła ukradkiem do łóżka. Dotknęła prześcieradła.

Było wilgotne, a w jednym miejscu - tam gdzie zwykle znajdowałyby się biodra i pas leżącego człowieka - wręcz przemoczone.

Młody Rooshni uciekał, jakby budynek właśnie się palił...

Nie zapytała go wtedy o to. Ale zaczęła mu się przyglądać (*zawsze taka byłam, myślała dużo później - byłam kimś, kto nie interweniuje we własne życie, a jedynie obserwuje i działa zza sceny*).

Obserwowała, jak Vo spędzał zastanawiająco wiele czasu z młodymi mężczyznami, patrzyła na sposób, w jaki ich obejmował. Przyglądała

się, jak on się im przyglądał, jak stawał się przy nich spokojniejszy, odprężony.

Czy on w ogóle zdaje sobie z tego sprawę? Zastanawiała się wtedy. A ja?

I pewnego dnia stwierdziła, że już dłużej tego nie zniesie, więc po cichu weszła do jego kwater, gdy on i — teraz już nawet nie pamięta imienia tego chłopaka, Roy — jakiś tam czy inaczej — ocierali się o siebie powoli i delikatnie w tym samym łóżku, w którym ledwie dwa dni temu Vo szeptał jej do ucha, jak bardzo ją kocha.

Pamięta ich spojrzenie, gdy odchrząknęła. Tamten chłopak wyparował z pokoju jak oparzony. Vo wrzeszczał na nią z wściekłości, podczas gdy ona stała w milczeniu.

Chciał, żeby także zaczęła na niego krzyżeć. Widziała to. Ale nie dała mu tej satysfakcji. To nie była sprzeczka. W tym, co robił, nie było jej winy. Nie potrafiła wyobrazić sobie jaśniejszego dowodu zdrady.

Najgorsze z tego wszystkiego było to, jak bardzo tamten chłopak ją przypominał. Shara nigdy nie mogła pochwalić się szczególnie kobiecymi kształtami; w swojej ocenie miała chłopcę sylwetkę, same ramiona i żadnych bioder. I prawie w ogóle nie miała piersi. *Czy byłam tylko zastępstwem?*, zastanawiała się później. *Sposobem, by symulować zakazaną miłość bez robienia czegoś zakazanego?* A jeśli tak, to okazała się niewystarczająca, niezdolna do spełnienia prawdziwych pragnień.

Błagał, by coś powiedziała, by odpowiedziała, by mu się odgryzła - ale tego nie zrobiła. Opuściła jego mieszkanie, a także jego życie na resztę ich szkolnej kariery (w jakiś sposób wciąż jest z tego dumna; była taka spokojna, zimna i opanowana. Ale jest tym też zawstydzona; czyżby była tak zszokowana, tchórzliwa i zamknięta w sobie, że nawet nie odważyła się na niego *nakrzyżeć?*).

Zajęła się nauką, nagle zapłonęła uczuciem patriotycznej dyscypliny.

On podszedł do niej zaraz po ukończeniu szkoły, wiele miesięcy później. Był spakowany i gotowy do jazdy pociągiem w stronę doków, a potem podróży do Bułykowa. Błagał, by z nim pojechała, by pomogła mu stać się mężczyzną, którym tak bardzo pragnie być. Próbował ją przekupić kłamstwem brzmiącym jak bajka: obiecywał, że jeśli tylko zechce, będzie w jego domu księżniczką. A Shara, zimna i nieprzystępna, zraniła go najmocniej jak potrafiła. Myślę, moje drogie dziecko, że najbardziej pragniesz księcia. Ale w domu nie możesz sobie na to pozwolić, prawda? Zabiliby cię za coś takiego - po czym zatrzęsnęła mu drzwi tuż przed twarzą.

Pewnego dnia się tego dowiesz, powiedziała jej ciocia Vinya.

I zrozumiesz. Poznasz siebie. I wszystko będzie dobrze.

To był jeden z tych kilku razy, rozpamiętuje często Shara, gdy ciocia Vinya strasznie i całkowicie się pomyliła.

Gdy wszedłem na wzgórze koło Dżukosztanu, czułem się dość mocno przerażony. Księżyc był żółto-brązowy niczym ślad po filizance z herbatą. Wzgórze surowe i białe, z małymi, powykrzywianymi drzewami. Ziemia tak nierówna, że zmuszała do schodzenia na najniższy jej poziom, w głąb dolin, gubiąc się w ciemności. Przynajmniej tak właśnie się czułem.

Czasami widziałem, jak światło ognia migocze na pniach powykręcanych drzew. Z ciemności rozlegały się krzyki: zwierząt, ludzi udających zwierzęta albo zwierząt udających ludzi. Czasami mówiły: „Chodź z nami”, szeptali. „Przyłącz się do naszego tańca .

„Nie” odpowiadałem. „Mam coś do załatwienia. Mam Ciężar. Muszę go dostarczyć do nikogo innego, jak samego Dżukowa”. Śmiali się w odpowiedzi.

Tak bardzo chciałem znaleźć się z powrotem w Taalwasztanie. Chciałem być w domu. Żałowałem, że przyjąłem ten Ciężar od świętego Trewskiego. Lecz mimo to byłem również ciekaw — nie wiem, czy to przez głosy na wietrze, chichot trzęsących się drzew czy światło żółtego księżyca, ale Dżukosztan był miejscem spraw tajemnych, ciągłej zagadki- i skrycie chciałem ujrzeć więcej.

Skręciłem za róg i znalazłem się w dolinie wypetnionej małymi namiotami ze skór. Pośrodku płonęło ognisko. Wokół ognia tańczyli ludzie, krzycząc i śpiewając. Schowałem się za drzewem i obserwowałem, przerażony, jak kopulują szaleńczo na piaszczystej ziemi.

Usłyszałem za sobą kroki. Odwróciłem się i na ścieżce za mną ujrzałem starca, ubranego w królewskie szaty. Włosy miał zaplecione i związane tak, by stały mu na głowie, jak w tamtych czasach czesało się wielu szanowanych taalwasztańskich dżentelmenów.

Przeprosił za przestraszenie mnie. Spytałem go czym się zajmuje i odpowiedział, że jest handlarzem z Bułykowa. Mnie również za takowego uważał, z powodu mojego Ciężaru.

- Plemię dzikusów, prawda? — zapytał

Przyznałem, że nie rozumiem, jak mogą tak żyć.

— Uważają się za wolnych - odpowiedział. — Ale tak naprawdę są niewolnikami swoich żądz.

Poinformował mnie, że jego dobrze ukryty namiot znajduje się niedaleko w tym dziwnym miejscu i zaproponował mi schronienie. Sprawił wrażenie uczynnego staruszka, więc zgodziłem się, po czym podążyłem za nim pomiędzy powyginanymi drzewami.

— Czasami chciałbym być młodszy — rzucił, gdy tak szliśmy. - Jako że jestem stary i nie tylko wątłego ciała, ale też ograniczony wieloma rzeczami, których przez lata mnie nauczono. Czasami chciałbym mieć odwagę, by być młodym, głośnym, niezależnym i wolnym od zmartwień.

Odpowiedziałem, że powinien być z siebie dumny, że dożył takiego wieku bez pobłażania zepsutym popędem.

— Zaskakuje mnie — oznajmił — że jak na tak młode stworzenie, jest pan całkowicie niezainteresowany ową zakazaną dzikością.

Oznajmiłem, że mnie ona odpycha, choć wiedziałem, że to kłamstwo.

— A nie zastanawia się pan, czy poddanie się własnym żądzom może chociaż w małym stopniu uczynić człowieka wolnym?

Poczułem, że się pocę: Mój Ciężar/ doskwierał mi u szyi. Przyznałem, że czasami moje myśli błąkały się po zakazanych miejscach. Oraz, że tego wieczoru zdawały się w nich błąkać bardziej niż zazwyczaj.

Skręcił gwałtownie pod ciemny baldachim drzew. Straciłem go z oczu, ale podążyłem za jego głosem.

— Sam Dżukosztan także jest w pewien sposób zakazanym miejscem— oznajmił z daleka. — Wiedział pan o tym?

Przeszedłem obok leżących na piaszczystej ziemi szat starca — zrzuconych, jak się zdawało, podczas marszu.

Stado brunatnych szpaków wzbiła się w powietrze z drzew nad nami , szybując w nocne niebo.

— Przesuwa się, zmienia— rzucił. — Tańczy na wzgórzach .

Przeszedłem obok zwisającej z drzewa peruki— zaplecionych włosów starca.

— Nigdy nie znajduje się tam, gdzie można by się go spodziewać— rzekł.

Minąłem kłęb materiału zwisający z krzaka. Jednak nie były to szaty ale maska- przedstawiająca twarz starca maska.

Głos unosił się pomiędzy drzewami.

- Podobnie jak sam Dżukow.

Wszedłem na polanę. Pośrodku niej stał niski, długi namiot ze zwierzęcych skór: Na gałęzi każdego drzewa wokół polany siedział mały, brunatny szpak. Wszystkie obserwowały mnie swymi ciemnymi, zimnymi oczami.

Zauważyłem ślady prowadzące do namiotu. Poszedłem za nimi i stanąłem przed wejściem.

- Wejź do środka - wyszeptał podekscytowany głos - i złóż swój Ciężar:

Zawahałem się. Odezwała się pokusa. I usłuchałem jej.

Pod spojrzeniem szpaków zdjąłem ubranie i zsunąłem sandały. Trząśnięciem się nagi,

czując na skórze chłodny wiatr. A potem wszedłem do środka.

Tak poznałem Dżukowa - Tancerza Niebios, Handlarza Twarzy, Pana Pieśni, Pasterza Szpaków. I myślę, że pokochałem go jeszcze zanim mnie dotknął.

~ PAMIĘTNIK ŚWIĘTEGO KIWREJA, KAPŁANA I
SIEDEMDZIESIĄTEJ ŻONY-MĘŻA DŻUKOWA, OK 982

OCALALI



ulaghesh biegnie.

Biegnie przez zmrożone wzgórza, po błotnistych drogach, pośród podmokłych lasów. Biegnie, chociaż oddech pali ją w piersiach, a nogi protestują z każdym kolejnym krokiem.

Mając czterdzieści osiem lat zdaje sobie sprawę, że już niedługo osiągnie wiek, w którym nie będzie już mogła sobie na to pozwolić. *Więc lepiej pozwolić sobie teraz, myśli, póki jeszcze mogę.* Lubi biegać, ponieważ jest to sport walki w najczystszej postaci - z każdym krokiem walczy się jedynie z samym sobą. Minęło już wiele czasu, odkąd walczyła z kimś naprawdę (jej wciąż podbite oko pobolewa nieco z każdym krokiem), że może nie stać jej już na innego rodzaju walkę.

Minął już prawie tydzień, odkąd ostatnio widziała Share Komayd, ale Mulaghesh nie może przestać myśleć o tym, co powiedziała jej „pani ambasador”. *Na morza, mam nadzieję, że dziewczyna się myli.* Myślenie o tym pozbawia ją sił — następne wzgórze wydaje się być znacznie trudniejsze do pokonania niż poprzednie - ale nie może przestać tego rozważać.

Jeden z bogów żyje. Może w ogóle nigdy nie odeszli.

Mulaghesh, jak wszyscy wojskowi - i każdy w Sajpurze - dorastała, pragnąc być Kajem. Ale teraz, gdy właśnie może dostać taką możliwość, pomysł ten ją przeraża. Każde sajpurskie dziecko dorasta z Bóstwami przechadzającymi się tuż poza granicą jego koszmarów: wielkie i ciemne nienazwane, pływające w odmętach historii... Shara mówi o nich, jakby byli politykami czy generałami, ale dla Mulaghesh i reszty Sajpuru zawsze będą największymi ze zmór, istotami tak napawającymi lękiem, że samo wspomnianie ich imion wydaje się zakazane i straszne.

W każdej chwili przyjąłabym zamiast tego prawdziwą wojnę, myśli. Coś z okopami i strzałami. Coś ludzkiego. Coś, co krwawi Jako weteran Lata Czarnych Rzek, Mulaghesh musi dostrzegać ironię w pragnieniu tych okropnych chwil, pełnych błota, grzmotów i walk w ciemności. Wszyscy Sajpurzy zgadzają się, że była to chwalebna wojna, ale Mulaghesh ma nadzieję, że nie będzie już nigdy musiała czegoś takiego oglądać.

Lecz i tak tamta wojna wydaje się lepsza niż to, z czym ma do czynienia teraz.

Dziewczyna jest bardzo pewna siebie. Czyżby tak dużo wyczytała? Czy też tak to właśnie jest być potomkiem Kaja?

Jednak Mulaghesh przypomina sobie też, jak dzień później młoda Shara Komayd drżała pod swoim kocem, próbując skupić uwagę na utrzymaniu filiżanki herbaty...

Na morza, myśli. Mam nadzieję, że dziewczyna się myli.

Biegnie truchtem z powrotem do swoich kwater, by znaleźć na biurku stos papierów. Na siedzeniu krzesła znajduje notkę od jednego z poruczników:

**SPRAWDZILIŚMY AKTA. OTO STRONY WYPOŻYCZANE
W TAMTYM MIESIĄCU. ZAJĘŁO TO TROCHĘ. MOŻNA BY
DAĆ DZIECIAKOM DZIEŃ WOLNEGO... TO TYLKO**

SUGESTIA.

Przygląda się dokumentom: dwadzieścia stron z listy przedmiotów z Zakazanego Magazynu.

Mulaghesh nigdy jej nie widziała - nigdy nie chciała jej oglądać - ale teraz czyta, przeglądając uwagi zapisane dekady temu przez obecnie już nieżyjących sajpurskich żołnierzy, którzy zamykali tam wszystkie te rzeczy:

368. Półka C5-158. Kryształ Kiwreja: Mały, szklany koralik, rzekomo zawierający śpiące ciało świętego Kiwreja, dzukoszańskiego kapłana, który w ramach cudów Dżukowa każdej nocy zmieniał płeć. Natura cudu nieznana.

369. Półka C5-159. Mały żelazny klucz: Nazwa nieznana, ale w przypadku użycia na dowolnych drzwiach, prowadzi one czasem do niezidentyfikowanego tropikalnego lasu. Wzorzec działania nie został odkryty. Wciąż cudowny.

370. Półka C5-160. Popiersie Ahanas: Niegdyś roniło łzy, posiadające pewne właściwości lecznicze. Użytkownicy też mieli również tendencję ku lewitacji. Straciło cudowną moc.

371. Półka C5-161. Dziewięć kamiennych filiżanek: jeśli pozostawiło się je na słońcu, napępniały się co świt kozim mlekiem. Straciły cudowną moc.

372. Półka C5-162. Ucho Dżukowa: grawerowana, kamienna framuga bez drzwi. Żelazne koła u podstawy. Spekuluje się, że mają bliźniaka, i nieważne, gdzie znajduje się drugie Ucho, jeśli używa się drzwi we właściwy sposób, można wejść jednymi i wyjść drugimi. Według naszych spekulacji, drugie Ucho zostało zniszczone. To straciło cudowną moc.

373. Półka C5-163. Edykty Kolkana, księgi od 783 do 797: piętnaście tomów, głównie objaśniających podejście Kolkana do tańca. Waga

całkowita: 171 kilogramów. Nie posiada cudownej mocy, ale zawartość jest zdecydowanie niebezpieczna.

374. Półka C5-164. Szklana kula. Zawierała mały staw i pochylone drzewo, które Ahanas lubiła odwiedzać, gdy coś ją martwiło. Kula straciła cudowną moc.

Dwadzieścia stron. Niemal dwieście przedmiotów cudownej natury, wiele z nich bardzo niebezpiecznych.

- Och - wzdycha Mulaghesh. Siada i nagle czuje się okropnie stara.

Torba brzęczy i szcęką, grzechocze i łomocze, gdy Shara wchodzi w alejkę. Spakowanie torby zajęło jej większość dnia - sztuki srebra, perła, torebki z płatkami stokrotki, kawały dmuchanego szkła - i chociaż spakowała ją całkiem nieźle, przedmiotów jest tyle, że Shara brzmi jak multiinstrumentalista poszukujący rogu ulicy, na którym mógłby grać. Shara cieszy się, gdy dociera do alejki, bo może się w końcu zatrzymać.

Przygląda się jej ostrożnie. Jak większość alejek, ta także jest zapomnianym pasmem kamiennej szczeliny, ale za to ciągnie się wzdłuż zaokrąglonych murów zachodniego budynku, który znajduje się nie dalej niż trzy przecznice od Domu Votrowów.

Shara spogląda na ziemię, gdzie zakręcające ślady opon na kamieniu zaczynają się rozmywać. *Skręcili tu, w ten zakręt*, myśli Shara, *i dalej w alejkę*. Przechadza się tam i z powrotem -ponad odsłoniętą rurą, wokół kupki śmieci. Czarny ślad gumy jest tu mniej wyraźny, niemniej wciąż widać nieliczne smugi. *Ponad tym wybojem, ponad rurą* - spogląda w górę, odnajduje zdemolowany kosz na śmieci i odrobinę potrzaskanego szkła *-przewrócił kosze, a potem...*

Ślady opon się kończą.

- Zatrzymał się — mruczy Shara. - Wysiadł i...

I co? W jaki sposób człowiek po prostu rozplywa się w powietrzu?

Shara nie trzusi się - tak jak Sigrud tego wieczoru na przyjęciu u Vohannesa - by sprawdzić kamienie i mury tego miejsca. Zamiast tego wyjmuje kawałek żółtej kredy i maluje linię na powierzchni alejki. *Gdzieś na tej linii, myśli, znajdują się drzwi. Ale jak je znaleźć?*

Odstawia torbę. Jej pierwsza sztuczka jest stara i prosta: wyciąga słoik, wsypuje do niego płatki stokrotek - *Święte dla Ahanas*, myśli Shara, *z powodu ich upartych powrotów* — trzęsie słoikiem i wysypuje płatki. Następnie bierze trochę cmentarnego błota, rozsmarowuje je na spodzie słoika, wyciera do czysta i przykłada otwór słoika do oka, jak teleskop.

Poprzez soczewkę słoika alejka wygląda dokładnie tak samo. Jednak Shara jest w stanie dostrzec w oddali mury Bułykowa -te błyszczą niebiesko-zieloną fosforescencją, wystarczająco jasno, by rozświetlić wieczorne niebo.

Odkłada słoik. Oczywiście teraz mury nie błyszczą; jak zwykle są przezroczyste. Ale oglądane przez soczewkę, która rozpoznaje dokonania Bóstw, w naturalny sposób się wyróżniają.

Znaczy to, że jakiegokolwiek drzwi, przez które umknął napastnik, nie zostały stworzone przez Bóstwa - w przeciwieństwie do murów Bułykowa.

Co powinno być niemożliwe, myśli Shara. Cokolwiek zdolnego sprawić\ żeby ktoś zniknął powinno być z natury Boskie.

Zaczyna przemierzać alejkę. Przez ostatnie cztery wieczory Shara odwiedzała to miejsce i to, gdzie zniknięcia doświadczył Sigrud. Przeprowadza tam wybrane testy i eksperymenty, zazwyczaj na próżno. Nie ma jednak nic innego do roboty. Sigrud przygląda się pani Torskeny w jej mieszkaniu. Pitry, Nidayin i kilku innych pracowników

ambasady przeczesuje listę rocznych inwestycji, jakie poczynił Wyków. Shara chciałaby też tam być i nadzorować ich pracę, ale jej wiedza na temat Bóstw czyni ją bardziej odpowiednią dla tego właśnie zadania.

I, co dziwne, nikt w Bułykowie nie widział Wykłowa od czasu zabrania przez niego pani Torskeny.

- Wyjechał do swojej posiadłości niedaleko Dżukosztanu - poinformowało ich jego biuro — w sprawach rodzinnych.

Tak wiele zniknąć, myśli Shara, gdy powraca do swojej torby. *I tak niewiele odpowiedzi...* Choć w swoim biurze, w białej walizce od Vohannesa, ma to, co mogłoby być całą skarbnicą odpowiedzi, nie jest jeszcze skłonna ryzykować gniewu Vinyi. Przynajmniej nie, kiedy wciąż ma przed sobą kolejną kuszącą zagadkę.

Shara próbuje jeszcze wielu innych sztuczek: rzuca na ziemię ziarna maku, ale nie układają się w żadnym kierunku,

- Trzymałaś się własnej wersji historii, nieważne jak bardzo wiercili ci dziurę w brzuchu i przepytawali - powiedziała Vinya. - Wszystkie odpowiedzi prawidłowe. Każda jedna, przez wszystkie sześć dni. Wiesz, jak często się to zdarza? Myślę, że możesz być druga albo trzecia w całej historii Ministerstwa. -Przyglądała się swojej dziewiętnastoletniej bratanicy przez półksiężycowe okulary, wyraźnie zadowolona. - Wiesz, większość daje się złamać trzeciego dnia bez snu. Dopada ich muzyka - ta sama linia basu w kółko i w kółko. Wyraźnie coś poluzowuje. I gdy zadaje im się pytanie, w końcu podają błędną odpowiedź. Ale ty przetrwałaś całość, jakbyś w ogóle nic nie słyszała.

- A ty? - zapytała Shara z ustami pełnymi ziemniaków.

- Co ja?

- Złamali cię?

Vinya zaśmiała się.

- *Ja stworzyłam* ten proces, moja droga. Nigdy nie musiałam brać w nim udziału. Więc powiedz — jak to zrobiłaś?

Shara duszkiem wypła herbatę.

- Jak *co* zrobiłam?

- Przetrwałaś. Nie złamano cię po *sześciu dniach* psychicznych tortur. — Shara przerwała jedzenie. Ząbki jej widelca wbiły się w pierś kurczaka.

- Nie chcesz mi powiedzieć? - zapytała Vinya.

- Wstydzę się.

- Kochana, jestem twoją *ciocią*.

- Jesteś również moim zwierzchnikiem.

- Och... - Machnęła ręką. - Nie dzisiaj. Dzisiejszy wieczór jest naszym ostatnim spędzonym wspólnie na długi czas.

- Na *długi* czas?

- Cóż. Nie aż *tak* długi, kochana. Więc... Jak?

- Myślałam... — Shara przełknęła ślinę. — Myślałam o rodzicach.

Vinya ściągnęła usta.

- Ach.

- Myślałam o tym, przez co musieli przejść, gdy umierali. Czytałam tę historię; wiem, że Dżuma jest... ciężkim sposobem na odejście.

Vinya kiwnęła smutno głową.

- Tak. Sama widziałam.
- Więc myślałam o nich i o wszystkim, przez co Sajpur musiał przejść pod rządami Kontynentu... O całym tym niewolnictwie, nadużyciach i żalości. I nagle okazało się, że przetrwanie tutaj jest proste. Muzyka, brak snu, wody, jedzenia, w kółko te pytania... Nic, co mogliby mi zrobić, nie dorównywałoby tamtemu. Nic.

Vinya uśmiechnęła się i zdjęła okulary.

- Myślę, że jesteś najbardziej zaciekłą patriotką, jaką kiedykolwiek widziałam. Jestem z ciebie bardzo *dumna*, moja droga. Szczególnie, ponieważ... Cóż... Trochę się martwiliśmy.
- O co?
- Cóż, moja droga... Zawsze wiedziałam, że interesuje cię historia. To była twoja mocna strona w Fadhuri. Szczególnie historia *Kontynentu*. Więc gdy do nas przyszłaś i daliśmy ci dostęp do *tajnych* dokumentów, gdzie trzymamy to, czego nie pozwalamy uczyć w Fadhuri... Cóż, spędziłaś *długie godziny* zapamiętując wszystkie te popleśniałe stare teksty! W rządzie taka fascynacja uznawana jest za trochę... niezdrową.
- Ale one tak wiele wyjaśniały! - odpowiedziała Shara. -W Fadhuri nauczono mnie jedynie fragmentów. Wielu informacji brakowało, ale tam na półkach, było wszystko!
- To, czym powinniśmy się zajmować - powiedziała Vinya - to *przeszłość*. Ale muszę przyznać, że bardziej martwiło mnie, że zostaniesz skażona przez tego chłopaka, z którym romansowałaś w szkole.

Na twarzy Shary pojawił się wyraz goryczy.

- Nie rozmawiajmy o nim — warknęła. — Jest dla mnie martwy. Był bezwartościowy i kłamliwy, pewnie tak jak i reszta tego cholernego

Kontynentu.

- Wiem, wiem - rzekła Vinya. - Wiele przeszłaś. Wiem, że po ukończeniu szkoły chciałaś zmieniać świat, by spełnił wszystkie twoje marzenia o tym, jak powinien wyglądać Sajpur. - Uśmiechnęła się smutno. - I wiem, że to prawdopodobnie dlatego w pierwszej kolejności badałaś sprawę Rajandry.

Shara spojrzała na nią, zaskoczona.

- Ciociu... Ja... Nie chcę mó...

- Nie obawiaj się przeszłości, kochana. Musisz zaakceptować swoje czyny. Podejrzywałaś Rajandrę Adesh o bezprawne działania. Uważałaś, że sprzeniewierzał fundusze Partii Narodowej. I miałaś rację. Sprzeniewierzał je. Był szalenie, szalenie zepsuty. To prawda. I chyba przez jego zdemaskowanie chciałaś mi zaimponować, zaimponować nam wszystkim. Ale musisz wiedzieć, że jeśli korupcja jest wystarczająco rozpowszechniona, wtedy nie jest już korupcją - tylko prawem. Niewypowiedzianym, niespisanym, ale prawem. Tak było w tym konkretnym przypadku. Rozumiesz?

Shara pochyliła głowę.

- Zrujnowałaś karierę człowieka, po którym wszyscy spodziewali się, że otrzyma stanowisko premiera. Zniszczyłaś przywództwo rządzącej partii. Twoje dochodzenie popchnęło nawet skarbnika partii do próby samobójstwa. Biedny sukinsyn nawet nie umiał skutecznie popełnić samobójstwa. Próbował powiesić się w swoim biurze, ale skończył na wyrwaniu z sufitu wodociągu. - Vinya mlasnęła z niezadowoleniem. - Kochana, należysz do Komaydów, a to nas do pewnego stopnia chroni. Ale ta sprawa będzie się za tobą ciągnąć przez lata.

- Przykro mi, ciociu - odpowiedziała Shara.

- Wiem - mówi Vinya. - Słuchaj, świat jest pełen zepsucia i nierówności. Zostałaś wychowana na patriotkę, by kochać Sajpur i

wierzyć, że jego wartości muszą zostać rozszerzone na cały świat. Ale nie to jest twoim zadaniem. Twoją rolą w Ministerstwie jest *położenie kresu* zepsuciu i nierówności. A raczej masz do dyspozycji narzędzia, by pomóc Sajpurowi na każdy możliwy sposób. Twoją rolą jest upewnienie się, że przeszłość nigdy się nie powtórzy, że nigdy już nie ujrzymy takiej biedy i bezsilności. Zepsucie i nierówność to użyteczne narzędzia; jeśli działają na naszą korzyść, musimy osiąść je całkowicie. Rozumiesz?

Shara pomyślała wtedy o Vohannesie. Malujesz swój świat szarym cynizmem.

- Rozumiesz? - zapytała ponownie Vinya.
- Rozumiem.
- Wiem, że kochasz Sajpur - dodała Vinya. - Wiem, że kochasz ten kraj tak, jak kochałaś rodziców i że pragniesz uhonorować pamięć ich oraz każdego Sajpura, który zginął w walce. Ale będziesz służyć Sajpurowi w cieniu i Sajpur poprosi cię o zdradę swych wartości, by zachować jego bezpieczeństwo.
- A wtedy...
- Wtedy co?
- Wtedy, gdy skończę... Będę mogła wrócić do domu?

Vinya uśmiechnęła się.

- *Oczywiście*, że tak. Jestem pewna, że twoja służba będzie trwać jedynie kilka miesięcy! Niedługo zobaczymy się ponownie. A teraz jedź i odpocznij. Twój statek wypływa rano. Och. Ależ *cudownie* widzieć moją bratanicę, pracującą dla mnie!

Uśmiechała się szeroko po wypowiedzeniu tych słów.

Rano, myśli Shara. Prawie szesnaście lat temu...

Podczas tych szesnastu lat Shara wzięła więcej spraw i wykonała więcej pracy niż jakikolwiek inny agent na świecie, a cóż dopiero na Kontynencie. Ale choć Shara Komayd była niegdyś energiczną patriotką, jej zapal gasł z każdą śmiercią i zdradą, aż jej pasja, by karmić Sajpur zmniejszyła się do stopnia, by ledwie go chronić, a następnie jeszcze bardziej, do zwykłej tęsknoty, by jeszcze raz przed śmiercią zobaczyć swój kraj rodzinny. Czasami wydaje jej się to bardzo mało prawdopodobne.

Powtarzanie, warunkowanie. zapal i wiara, rozmyśla, siedząc w alejce i pijąc herbatę. Wszystkie te wysiłki na tak niewiele się zdały. Być może tak to właśnie wygląda, gdy ktoś zwyczajnie przestaje wierzyć.

Co więcej, zaczęła także podawać w wątpliwość fakt, czy aby naprawdę znajduje się na wygnaniu. Zastanawia się, czy ów wielki skandal Partii Narodowej *wciąż* żyje w ludzkich umysłach? Czy *naprawdę* dlatego trzyma się ją z daleka? Chciałaby być wtedy wystarczająco sprytna, by nawiązać kilka kontaktów w Parlamencie. Póki jeszcze znajdowała się w Sajpurze (choć to prawda, przypomina sobie, że wszystkie jej doświadczenia z Bóstwami sprawiają, że jest tak niebezpieczna i bezprawna jak sam Zakazany Magazyn. Wygląda na to że istnieje jeszcze wiele powodów, dla których jej ojczyzna mogła ją odrzucić).

- Pani ambasador Thivani?

Spogląda ponad ramieniem. U wylotu alejki stoi Pitry. Samochód zaparkowany jest zaraz za nim. Tak bardzo pogrążyła się w myślach, że nawet nie usłyszała, jak podjeżdża.

- Pitry? Co pan tu robi? Dlaczego nie pracuje pan nad finansami Wykłowa?

- Wiadomość od Sigruda - wyjaśnia Pitry. - Panią Torskeny przeniesiono. Mówi, że Wykłów i jeszcze jeden mężczyzna eskortowali ją z jej domu. Podał mi adres i niewiele więcej.

Rozlega się brzęczący huk, gdy Shara pakuje wszystkie swoje rzeczy. Idzie wzdłuż alejki, chwyta srebrną monetę i wskakuje na tylne siedzenie.

Przejeżdżają prawie pół kilometra, zanim Shara zauważa, że srebrna moneta straciła nieco ze swojego blasku. Podnosi ją do okna, by przyjrzeć jej się w lepszym świetle.

Oczy otwierają się jej szerzej z zaskoczenia. A potem się uśmiecha.

Moneta nie jest już wcale srebrna: całkowicie transmutowała w ołów.

Shara i Pitry wjeżdżają do dzielnicy Bułykowa zdziesiątkowanej przez Mgnienie. Ona przygląda się z fascynacją mijanym, ściętym budynkom i zwężającym się uliczkom. Gdy tak jadą jedną z przecnic, pralnia na jednym z zakrętów rozciąga się, skręca i wygina, aż staje się połową banku z następnego zakrętu. Jeden rząd osobliwych frontów domów ukazuje niezwykle duże i wypaczone drzwi frontowe, które, jak można by przypuszczać, nie wydawały się być stworzone z myślą o ludziach. Musiały po prostu pojawić się w ciągu jednej nocy, myśli Shara.

- Jakież postępy w sprawie historii Wykłowa? - pyta.

- Tak myślimy - mówi Pitry. - Miała pani rację odnośnie zakładów tkackich. Potwierdziliśmy, że jest właścicielem trzech z nich we wschodnim Bułykowie. Ale zauważyliśmy też, że w momencie gdy Wykłów zaczął je wykupywać, zaczął też kupować materiały z sajpurskiej firmy Vidashi.

- Vidashi... -To nazwisko jest jedynie mgliście znajome... — Chwila.

Rafineria rud żelaza?

- Ano - odpowiada Pitry. Skreca samochodem po wijącej się drodze. - Wygląda na to, że Wykłów kupował od nich bardzo małe nadwyżki stali. Co miesiąc, jak w zegarku. Również bardzo arbitralne ilości - zawsze pomiędzy sześćset osiemdziesiąt a osiemset sześćdziesiąt kilogramów naraz. Nie jesteśmy pewni...

Shara siada wyprostowana.

— To kontrola wagi.

- Co?

— Kontrola wagi! Ministerstwo Spraw Zagranicznych automatycznie sprawdza wszystkich kupujących wielkie ilości materiałów! Ropy, drewna, kamieni, metalu... Chcemy wiedzieć, komu je sprzedajemy, skoro kupują tak duże ilości. A dla stali, kontrola wagi zaczyna się od...

- Dziewięćset kilo — przypomina sobie Pitry. — Więc Ministerstwo nigdy go nie sprawdziło.

Naszprycowany chłopak w celi więziennej wyznał, że uganiali się za Vohannesem z powodu „metal”. Co każe Sharze zastanowić się, po co porywać Vohannesa, jeśli już kupuje się stal na legalne sposoby?

Chyba, że ich przestraszyłam, myśli. Chciałam igrać z ogniem, czyż nie? Nie udało im się pozyskać wystarczającej ilości stali dla swych celów, jakiegokolwiek by one były... Więc gdy zabito Pangyuia i przybył pracownik Ministerstwa, puściły im nerwy i stali się zdesperowani.

Shara wygląda przez okno, a jej umysł gna. Co też mogą budować? Po co komu tyle stali?

Zastanawia się nad tym, aż dostrzega, że coś wystaje sponad dachów: wielka, czarna wieża, dziesięciopiętrowa smuga hebanu na tle szarego,

nocnego nieba.

Serce jej drży.

Och nie, myśli. Chyba nie zabierają jej właśnie tam. Nie tam...

Jeszcze nie widziała tego miejsca. Myśl, że ono wciąż istnieje, wydaje się nierzeczywista.

Ze wszystkich rzeczy jakich pozbył się Kaj, dlaczego pozostawił akurat tę?

Pitry parkuje w alejce. Ciemność migocze w starym wejściu; z cieni wylania się Sigrud i maszeruje dalej ulicą.

- Proszę, nie mów mi, że tam weszli - mówi Shara, wysiadając z auta.
- Gdzie? - pyta Sigrud.
- Do dzwonnicy.

Sigrud zatrzymuje się, zdezorientowany.

- Dlaczego pytasz?

Shara wzdycha i poprawia okulary.

- Pokaż - mówi.

Ulice Bułykowa w dzielnicach najbardziej dotkniętych Mgnieniem w nocy spowija prawie nieprzenikniona ciemność. Nikt nie był w stanie położyć tu gazociągów, jako że zaburzenia sięgają głęboko w ziemię. Jedna firma budowlana dokonała odważnej próby jedynie po to, by odkryć grubą na metr warstwę żelaza, sięgającą dwanaście metrów w głąb i (jak oszacowali) ciągnącą się na prawie pół kilometra, zwyczajnie zatopioną w glinie pod ulicami. Nikt nie był w stanie

logicznie wyjaśnić jej istnienia. W końcu, jak w przypadku wielu takich aberracji, założono, że jest to jeden z niezamierzonych i niewytłumaczalnych skutków Mgnienia. Chociaż *można* by poradzić sobie z tą warstwą żelaza, firma wycofała ofertę. Być może z obawy przed tym, co jeszcze może znajdować się pod Bułykowem.

Pośrodku tej zniszczonej okolicy znajduje się rozległy, pusty park. Młode jodły rosną w wilgotnej ziemi. Zostały zasadzone niedawno, jako że cała naturalna roślinność Bułykowa wyginęła wraz z gwałtowną zmianą klimatu. Za nimi znajduje się długi budynek z ogromną wieżą na północnym krańcu, dzwonnica z bardzo osobiwą, szkieletową strukturą u góry: metalową ramą w kształcie kuli, która wygląda, jakby niegdyś zawierała zestaw dzwonów, ale teraz jest pusta. Podstawę struktury stanowią pnące się gliniane mury o płaskim dachu, z którymi czas nie obszedł się zbyt łaskawie: dach opada i zakrzywia się pole zniszczone przez lodowiec.

- Tam weszli? - pyta Shara.

- Nie — odpowiada Sigrud. Wskazuje długą, ponuro wyglądającą miejską budowlę na skraju parku. - Wykłó i ten drugi zabrali ją tam. Tuż obok. Dlaczego tak cię to martwi?

- Ponieważ to - Shara wskazuje na dzwonnice - jest najstarszy budynek w Bułykowie. Zaraz po murach. Pierwotnie znajdował się w centrum Bułykowa, choć asymetryczne skutki Mgnienia wyraźnie to zmieniły. Centrum Siedziska Świata. Zwykle nazywane po prostu Siedziskiem Świata, choć ludzie spoza Bułykowa nazywali tak samo miasto.

- Świątynia?

- Coś w tym stylu. Rzekomo działało to jak Parlament Sajpurski, ale dla Bóstw. Choć zawsze wyobrażałam sobie, że będzie wyglądać na dużo większą. Muszę przyznać, że jest w dość opłakanym stanie, a pamiętam, że czytałam, iż miało niesamowite witraże. Ale Mgnienie nie pozwoliło im przetrwać w pierwotnym stanie. Najwyraźniej wieża

była wcześniej dużo, dużo wyższa. Wszystkie Bóstwa miały tu swoje dzwony, z których każdy wywoływał inne... efekty.

- Na przykład?

Shara wzrusza ramionami.

- Nikt nie wie. Dlatego też nie za bardzo uśmiecha mi się tu przebywać. Więc Wykłów przyszedł tu osobiście?

- Razem ze swoim pomagierem. Przyszli i wprowadzili Torskeny do tego małego budynku. Po czym, czterdzieści minut temu, Wykłów z pomagierem wyszli. Żadnych śladów Torskeny.

- Dość to odważne z ich strony, by działać tak jawnie. Gdzie poszli potem?

Twarz Sigruda ciemnieje.

- Niech zgadnę - mówi Shara. - Wiele razy skręcali w różne ulice, po czym nagle...

- Zniknęli - kończy Sigrud. - Tak. Trzeci raz. Ale zapamiętałem - stuka się w bok głowy wystarczająco mocno, by dało się słyszeć dźwięk — każde miejsce, w którym zniknęli ci ludzie. Jedyne wzór, jaki widzę, to fakt, że było to w tej dzielnicy oraz sąsiedniej, na zachodzie.

- Tych najbardziej zniszczonych przez Mgnienie - oznajmia Shara. - Co zgadza się z teorią, którą właśnie w połowie potwierdziłam. - Przebiega dłonią po pokiereszowanej ścianie z cegieł za nimi. - Wykorzystują dla własnych celów jakieś uszkodzenie czy skutek Mgnienia.

- Skąd ta pewność?

- Sztuka srebra - mówi Shara - zmieniła się w ołów nie dalej jak

godzinę temu, gdy przekroczyła alejkę, w której zniknął napastnik, który przeżył. Tego rodzaju rzeczy obserwowano jedynie bezpośrednio po Mgnieniu.

- Skąd pewność, że nie był to cud?
- Ponieważ użyłam wszystkich sztuczek, jakie znam, by poszukać takich cudów — mówi Shara — i żadnych nie znalazłam. Żadnych działań Bóstw, co jako jedyną możliwą przyczynę pozostawia Mgnienie. Chociaż warto zauważyć, że nikt nigdy nie był w stanie wystarczająco zbadać Mgnienia. Kontynent chroni swe uszkodzenia, tak jak chowa urazy zgryźliwa starucha. Gdy tylko będziemy mieli czas, to właśnie planuję zrobić. A póki co zbadajmy to, co mamy.

Gdy zbliżają się do budynku miejskiego, Shara ociąga się, by pozwolić Sigrudowi na inspekcję. Ten wszystkiemu się przygląda, po czym kręci głową i wskazuje, by podeszła.

- Nic - mówi, gdy stają obok siebie. - Drzwi są otwarte. Z tego co widzę, nikogo nie ma w oknach. Ale z kolei duża część budynku nie ma okien.

- Co to za miejsce?

- Zbudowało je miasto. Chyba było przewidziane na rozwój... Stworzenie z tej dzielnicy czegoś lepszego. Ale najwyraźniej zarzucono ten projekt.

Też bym tak zrobiła, myśli Shara.

Sigrud podchodzi do drzwi i wyciąga swój czarny nóż. Zagląda do środka i po cichu wślizguje się do środka. Shara czeka chwilę, po czym podąża za nim.

Wnętrze budynku jest prawie całkowicie pozbawione mebli i ornamentacji. Kolejne pokoje następują tuż po sobie, połączone serią małych drzwi. Najbardziej godną uwagi cechą budynku jest fakt, że w

przeciwieństwie do prawie każdej budowli obok, tutaj działa gaz: małe, niebieskie światełka migoczą wzdłuż sufitu, pozwalając na słabe oświetlenie pomieszczeń.

- Zostawili włączone światła - mruczy Shara, ale Sigrud przykłada palec do ust. Przekrzywia głowę, nasłuchuje i robi dziwną minę, jakby usłyszał coś niepokojącego.

- Ktoś tu jest? - pyta łagodnie Shara.

- Nie jestem pewien.

Sigrud wchodzi dalej w głąb budynku, zaglądając do każdego pokoju, zanim Shara do niego dołączy. Każdy pokój przypomina poprzedni: mały, nijaki, pusty. Nigdzie nie widać pani Torskeny. Shara zauważa, że wszystkie drzwi ustawione są mniej więcej w tej samej linii: można spojrzeć przez jedno i zobaczyć wszystko na przestrzał...

Poza drzwiami na samym końcu, które są zamknięte, a dziurka od klucza migocze słabym, żółtym światłem.

Coraz mniej mi się to podoba, myśli Shara.

Sigrud ponownie się zatrzymuje.

- Ciągle to słyszę. To... śmiech - mówi w końcu.

- Śmiech?

- Tak. Dziecka. Bardzo... cichy.

- Skąd?

Wskazuje na zamknięte drzwi.

I nic więcej nie słyszysz?

Kręci głową.

- Cóż - mówi Shara. - Wchodzimy.

Zgodnie z jej oczekiwaniami, wszystkie pokoje prowadzące do zamkniętych drzwi są puste. I gdy wreszcie się zbliżają, ona również to słyszy: śmiech, słaby i łagodny, jakby za tymi drzwiami jakieś dziecko dobrze się bawiło.

- Czuję coś - mówi Sigrud. — Sól i kurz...

- Dlaczego to niezwykle?

- Czuję je w niezwykłych ilościach. — Wskazuje ponownie na drzwi, po czym kuca, by zajrzeć przez dziurkę od klucza. Światło pada na jego oko: powieka drży, gdy Sigrud próbuje dojrzeć, co znajduje się po drugiej stronie.

- Widzisz coś?

- Widzę... krąg na podłodze. Z białego proszku. Dużo świec. Dużo. I ubrania.

- Ubrania?

- Stos ubrań na podłodze. Kobięcych ubrań - dodaje.

Shara klepie go po ramieniu i zajmuje miejsce przy dziurce od klucza. Wlewające się przez nią światło zdumiewa: przy ścianach w kręgu stoją kandelabry, w każdym znajduje się pięć, dziesięć, dwadzieścia świec. Sam pokój właściwie żyje ogniem. Shara czuje na policzku żar skoncentrowanej wiązki. Gdy oko jej się przyzwyczaja, dostrzega szeroki krąg czegoś białego na podłodze - Sól? Kurzu? - i wydaje jej się, że na skraju pola widzenia dostrzega stos ubrań, przy najdalszej krawędzi białego kręgu.

Serce jej zamiera, gdy dostrzega, że ciemnoniebieska szata jest prawie dokładnie w takim samym odcieniu, jak ta, którą miała na sobie pani Torskeny, gdy Shara widziała ją po raz ostatni.

Wtedy coś pojawia się na linii jej wzroku... Coś cienkiego i białego, poruszającego się zwiewnie — rąbek długiej, białej sukni? Shara podskakuje przestraszona, ale nie odwraca wzroku: ponad suknią widzi pokrytą włosami głowę, grube czarne loki, które lśnią w świetle świec. A potem białe coś się oddala.

- Ktoś tam jest — stwierdza cicho Shara.

Ponownie słycać dziecięcy śmiech. Ale coś jest nie tak...

- Dziecko - mówi. Może...
- Odsuń się - komenderuje Sigrud.
- Ale... Nie jestem pewna...
- Odsuń się.

Shara wykonuje polecenie. Sigrud sprawdza gałkę: drzwi są otwarte. Kuca nisko, w ręce ma nóż. Wreszcie otwiera drzwi.

Śmiech natychmiast przemienia się w okrzyki bólu. Shara ze swojego miejsca nie widzi, co jest w środku - ale Sigrud tak. Porzuca ideę istniejącego zagrożenia i spogląda na nią, zatroskany i zmieszany, po czym wchodzi do środka.

- Czekaj - mówi Shara. - Czekaj!

Shara rzuca się w kierunku otwartych drzwi i wpada do środka.

Wszystko dzieje się tak szybko, że Sharze ciężko jest rejestrować kolejne wydarzenia: błysk światła z kandelabrow ustawionych tak gęsto, że Shara musi lawirować pomiędzy nimi; szeroki krąg białych kryształków na podłodze - prawdopodobnie soli; a w środku kręgu, w szerokiej, lśniącej białej sukni znajduje się mała dziewczynka w wieku około czterech lat, o czarnych lokach i jasnoczerwonych ustach. Siedzi

w kręgu soli i pociera sobie kolano... Czy też Sharze wydaje się, że pociera kolano, jako że prawie cała postać dziewczynki ukryta jest pod białą suknią. Shara nie widzi nawet jej rąk, jedynie podobny do masowania ruch pod ubraniem.

- To boli! - krzyczy mała dziewczynka. - To boli!

Zapach kurzu jest wszechogarniający. Zdaje się pokrywać nawet wnętrze gardła Shary.

Sigrud niepewnie podchodzi do przodu.

- Czy... powinniśmy coś zrobić? - pyta.

Sól.

- Czekaj! - mówi ponownie Shara. Sięga, by złapać go za rękaw i przytrzymać. Sigrud jest znacznie większy od niej i prawie ją przewraca.

Mała dziewczynka zwija się w bólu.

- Pomóżcie mi!

- Nie chcesz, żebym coś zrobił? — pyta Sigrud.

- Nie! Stój! I spójrz - Shara wskazuje w dół. Pół metra dalej znajduje się zewnętrzna krawędź kręgu soli.

- Co to jest? - pyta Sigrud.

- Sól jest jak...

- Proszę, pomóżcie mi! - błaga dziewczynka. - Proszę! Proszę, musicie mi pomóc! - Shara przygląda jej się uważniej. Suknia jest dużo za duża na tak małą dziewczynkę, a pod nią znajduje się wybrzuszenie, jakby ciało dziecka było spuchnięte i zdeformowane...

Wiem, o co tu chodzi, myśli Shara.

- Po prostu stój, Sigrud. Daj mi spróbować i... - Odchrząkuje. - Jeśli możesz - mówi do małej dziewczynki - pokaż nam swoje stopy.

Sigrud jest zbity z tropu.

- Co?

- Proszę! - krzyczy dziewczynka. - Proszę, zróbcie coś!

- Pomożemy ci - mówi Shara - jeśli pokażesz nam swoje stopy.

Dziewczynka jęczy.

- Po co? Po... Boli tak bardzo!

- Pomożemy ci bardzo szybko — mówi Shara. — Jesteśmy doświadczonymi medykami. Po prostu pokaż nam proszę swoje stopy!

Dziewczynka zaczyna kołysać się w tył i w przód, skulona na ziemi.

- Umieram! - wrzeszczy. - Krwawię! Proszę, pomóżcie mi!

- Pokaż je. Już!

- Zakładam - mówi Sigrud - że nie uważasz jej za małą dziewczynkę?

Dziewczynka wydaje z siebie długi, udręczony wrzask. Shara zawzięcie kręci głową.

- Patrz. Pomyśl. Sól na ziemi wokół niej... Ubranie Torskeny, które wygląda jakby spadło na ziemię tam, gdzie przekroczyła sól...

Dziewczynka, wciąż wrzeszcząc z bólu, próbuje do nich podpełznąć. Jednak jej ruchy są bardzo dziwne: nie używa rąk ani ramion (Shara zastanawia się, czy w ogóle jakieś ma?), ale dziewczynka zaczyna się do nich zbliżać, pełznąć na kolanach. Zupełnie jakby była szmacianą

lalką, z małą twardą główką na szczycie. Niemniej jej policzki, łyzy i włosy wyglądają bardzo naturalnie...

Ale nie pokazuje stóp. Ani przez moment podczas tych dziwnych, chwiejnych ruchów.

Smak kurzu się zagęszcza: gardło Shary jest gliną; jej oczy piaskiem.

Coś znajduje się pod sukienką. Nie ciało małej dziewczynki, ale coś znacznie większego...

Och, na morza, myśli Shara. To nie może być...

- Pomóżcie mi, proszę! - krzyczy dziewczynka. - Tak bardzo mnie boli!

- Sigrud, odsuń się. Nie pozwól jej się zbliżyć.

Sigrud wykonuje polecenie.

- Nie! - krzyczy dziewczynka. Jak robak pełźnie do samego brzegu solnego kręgu, zaledwie centymetry od nich. - Nie! Proszę... Proszę, nie zostawiajcie mnie!

- Nie jesteś prawdziwa - mówi dziewczynce Shara. - Jesteś przynętą-

- Przynętą? - pyta Sigrud. - Na co?

- Na ciebie i na mnie.

Dziewczynka wybucha płaczem i kuli się przy krawędzi.

- Proszę - mówi. - Po prostu mnie podnieście. Nikt nie przytulał mnie już od tak dawna...

- Skończ już z tym - mówi ze złością Shara. - Wiem, czym jesteś.

Dziewczynka piszczy; w ich uszach rozlega się dźwięk ostry jak

brzytwa.

- Przestań! - wrzeszczy Shara. - Skończ ten nonsens! Nie jesteśmy głupi!

Krzyki urywają się w jednej chwili. Uderzająca cisza.

Dziewczynka nie podnosi wzroku. Siedzi zgięta w pół, zastygła i martwo nieruchoma.

- Nie wiem, w jaki sposób wciąż żyjesz - mówi Shara. - Myślałam, że wszyscy zginęliście podczas Wielkiej Czystki...

Grube loki drżą, gdy głowa dziewczynki szarpnięciem obraca się na jedną stronę.

- Jesteś muowostem, prawda? Jednym z ulubieńców Dżukowa.

Dziewczynka siada wyprostowana, ale w jej ruchach jest coś niepokojąco mechanicznego, jakby ktoś ciągnął ją za sznurki. Jej twarz, wcześniej wykrzywiona w wyraz przeszywającej serce agonii, teraz jest kompletnie pusta, jak u lalki.

Coś porusza się pod suknią. Dziewczynka zdaje się zapadać pod ubranie. Nagły podmuch kurzu.

Ubranie wiruje wokół niej, w miarę jak ta powoli wstaje.

Shara spogląda na nią i natychmiast zaczyna wymiotować.

W pewien sposób przypomina to człowieka: ma tors, ręce, nogi. Wszystkie jednak są dziwnie długie, wzdęte i wyposażone w wiele stawów, jakby ciało to składało się tylko z knykci; twardych bulw kości, ruszających się pod gładką skórą. Kończyny stworzenia są zawinięte w białą szatę, ubrudzoną szarym pyłem, a stopy są jakby połączeniem ludzkich i gęsich: wielkie, pozrastane i z błoną pławną, o

trzech tłustych paluchach, z których każdy ma mały, idealny paznokieć. Najgorsza jednak jest głowa: tył jest z grubsza jak głowa łysiejącego mężczyzny, udekorowana wokół czaszki pierścieniem długich, siwych i postrzępionych włosów. Zamiast twarzy czy żuchwy, głowa rozciąga się do przodu, tworząc coś na kształt szerokiego, długiego i płaskiego dzioba - ponownie jak u gęsi, ale bez oczu. Jednak zamiast twardej keratyny zwykle widzianej u kaczek czy gęsi, dziób składa się z pełnego knykci ludzkiego ciała, jakby po złączeniu dłoni zrosły się palce, i utworzyły staw u nasady dłoni.

Muowost kłapie dziobem na Sharę, wydając mokre klask klask klask. Gdzieś w głębi umysłu Shara słyszy echa dziecięcego śmiechu, krzyku, płaczu. Gdy cielisty dziób macha w kierunku Shary, dostrzega ona, że brak mu przełyku i zębów: ma tam jedynie więcej kościstego, włochatego ciała widocznego wewnątrz dzioba.

Shara ponownie wymiotuje na podłogę, ostrożnie omijając sól.

Sigrud wpatruje się pusto w tę abominację, krocząc przed nią niczym kogut bantamski, prowokując ją do ataku.

- Czy powinienem - pyta powoli - zabić to coś?
- Nie - sapie Shara. Odbija jej się wymiotami. Muowost kłapie przed nią dziobem i ponownie rozlegają się echa dziecięcych duchów. *Śmieje się ze mnie*, myśli Shara. - Nie przechodź przez krąg soli! Dzięki niemu jeszcze żyjemy!
- A mała dziewczynka?
- Nigdy jej nie było... Ten stwór jest cudowny z natury, choć mroczny.

Shara pluje na podłogę żółcią. Muowost wskazuje na nią wojowniczo. Ludzka natura jego ruchów jest odpychająca. Shara wyobraża sobie, jak ten mówi: No dalej! No dalej!

- Zabiłeś panią Torskeny, prawda? — pyta Shara. — Przyprawdzili ją tu i przeszła przez barierę z soli.

Muowost w dziwnie jasnej pantomimie spogląda na stos ubrań i wzrusza obojętnie ramionami: To stare coś? Macha lekceważąco. To nic. Ponownie kłapie na nich dziobem.

- Chciałbym - Sigrud raz po raz obraca w dłoni nóż - żeby przestał tak robić.

- Chce, żebyś przeszedł przez krąg. Jeśli cię dopadnie, połknie cię w całości.

Klask klask klask klask.

Sigrud spogląda na nią sceptycznie.

- To stworzenie ze skóry i kości — mówi Shara. — Ale nie z własnej skóry i kości. Obawiam się, że gdzieś wewnątrz niego znajdują się resztki pani Torskeny.

Muowost trąca swój brzuch palcami o wielu stawach, jakby właśnie jej tam szukał.

Dowcipniś. Ależ oczywiście, zważywszy na jego twórcę.

- W jaki sposób żyjesz? - pyta Shara. - Nie powinieneś zginąć wraz ze śmiercią Dżukowa?

Muowost zatrzymuje się. Spogląda na nią bez pomocy oczu. Zaczyna chodzić tam i z powrotem, tam i z powrotem, jakby sprawdzał granice solnego kręgu.

- Co on robi? - pyta Sigrud.

- Jest wściekły - mówi Shara. - Stworzony przez Dżukowa, gdy ten był w ponurym humorze. Człowiek z knykcii, głos pod szatą. Jego celem jest szydzić z nas i prowokować. Jedyнным sposobem, by je

zidentyfikować, jest spojrzenie na ich stop ponieważ nigdy do końca ich nie ukryją. Chociaż nie mani pojęcia w jaki sposób ten tutaj dalej żyje... Czy Dżukow nie żyje? - pyta stworzenie Shara.

Wciąż krążąc w tę i w tę, muowost kręci głową, po czym przystaje, wydaje się zastanawiać i w końcu wzrusza ramionami.

- W jaki sposób tu jesteś?

Ponowne wzruszenie ramion.

- Wiedziałam, że mogą funkcjonować jakiś czas - mówi Shara. - Ale nie sądziłam, że stworzenia Bóstw mogą istnieć tak długo po ich śmierci.

Muowost wyciąga odpychająco długą, płaską dłoń i przechyla ją raz po raz: Może tak. Może nie.

- Czy dwaj mężczyźni, którzy tu byli — mówi Shara. -Uwięzili cię tu?

Stwór ponownie krąży tam i z powrotem. Shara domyśla się, że właśnie go rozzłościła, więc pewnie ma rację.

- Jak długo już trzymają cię w tym budynku?

Stwór naśladuje śmiech. Shara ponownie zastanawia się, jak uderzająca jest to pantomima. Muowost macha do niej ręką: Co za głupie pytanie!

- W takim razie długo.

Wzruszenie ramion.

- Nie wyglądasz na niedożywionego. Ilu jeszcze zabiłeś?

Kręci głową, macha palcem: Nie nie nie nie. Następnie czule, troskliwie gładzi się po brzuchu: Dlaczego uważasz, że nie żyją?

Dzieci śmieją się w pustych przestrzeniach umysłu Shary. Ona sama zwalcza kolejny napad nudności.

- Ilu wepchnęli do kręgu?

Kłapie dziobem. Wzrusza ramionami.

- Dużo.

Kolejne wzruszenie ramion.

- W jaki sposób żyjesz? - pyta szeptem Shara.

Muowost zaczyna tańczyć wewnątrz kręgu, obracając się z gracją.

- Bardzo bym chciał to coś zabić - mówi Sigrud. Muowost obraca się i wskazuje kośćmi za Sigruda. - Bardziej niż wiele innych rzeczy — dodaje. — A zabijaliśmy już wcześniej boskie stworzenia...

- Słuchaj, abominacjo - mówi zimno Shara. - Pochodzę od człowieka, który zabił twoją rasę, który powalił i zgładził Bóstwa, który zrujnował i spustoszył tę krainę w ciągu tygodni. Mój przodek pochował w błocie dziesiątki, setki twoich braci i siostr i po dziś dzień tam gniją. Nie będę mieć skrupułów, by z tobą zrobić to samo. A teraz powiedz mi: czy twój twórca, Bóstwo Dżukow, faktycznie bezpowrotnie odszedł z tego świata?

Muowost wstaje wolno. Wygląda, jakby się nad czymś zastanawiał - przez moment niemal wydaje się smutny. Odwraca się, spogląda na Sharę i kręci głową.

- W takim razie gdzie jest?

Wzruszenie ramion, ale już nie tak złośliwe ani radosne, jak uprzednio: ten gest pełen jest żalu i dezorientacji, niczym u dziecka, które zastanawia się, dlaczego je porzucono.

- Ci dwaj mężczyźni, którzy tu byli. Jeden z nich był gruby i łysy,

tak?

Stwór zaczyna krążyć wzdłuż krawędzi kręgu, poruszając się w szaleńczym kole.

Czyli tak, zakłada Shara.

- A ten drugi jak wyglądał?

Muowost zaczyna poruszać się w bardziej zniewieściały sposób; jedną rękę kładzie na biodrze, drugą zgina w kobiecym geście w nadgarstku; gdy tak obraca się po kręgu, gładzi się po dziobie, jakby ciesząc się wspaniałymi rysami twarzy...

Nie wygląda to na kogoś, z kim normalnie zadawałby się Wykłów, myśli Shara.

- Jak Wykłów cię tu uwięził? - pyta.

Muowost przystaje, spogląda na nią i zgina się w pół w niemym śmiechu. Macha w jej kierunku, jakby doceniając dobry żart: Co za niedorzeczny pomysł!

- Więc to nie był Wykłów - mówi Shara. - Więc kto?

Stwór wygina nadgarstek, przybiera kobiecą pozę i kręci głową w sposób, który można określić wyłącznie jako jędzowaty.

- Uwięził cię ten drugi. Kim on jest?

Wykonuje zwinny obrót, staje na rękach i zaczyna truchtać wokół na dłoniach.

- Kim jest?

Światło w pokoju migocze wraz z tańcem płomieni świec na kandelabrach. Shara zauważa, że wszystkie płomienie wyginają się pod tym samym kątem...

Powiew?

Przygląda się ścianom. W dalszym kącie, głęboko w bursztynowym cieniu... Wydaje jej się, że dostrzega pęknięcie w kamieniu - być może tablicę albo drzwi.

Spogląda w dół, na podłogę. Krąg soli prawie idealnie wypełnia pomieszczenie: nie można dotrzeć do drzwi bez przejścia przez ogrodzenie muowosta. Niczym pies obronny...

- Co jest za tymi drzwiami? - pyta Shara.

Muowost spogląda na nią, obraca się po raz kolejny i ląduje na stopach. Przechyla głowę na psi sposób i teatralnie drapie się po łysej czaszce palcem o czterech stawach.

Bóstwa, przypomina sobie Shara, można było zabić wyłącznie za pomocą broni Kaja. Ich pomniejszych stworzenia były bardziej podatne, a wszystkie miały jakieś słabe punkty.

Shara podejmuje decyzję.

- Ilu pożarłeś podczas uwięzienia tutaj?

Stwór ponownie zgina się wpół w kpiącym śmiechu. Podtańcowuje do miejsca, gdzie stoi Sigurd i pokazuje na migi, że się mu przygląda, udając, że ściska mu uda, sprawdza brzuch...

- Chyba było ich zbyt dużo — mówi Shara. — I najwyraźniej ci się podobało.

Jednym ruchem muowost przesuwa się w jej stronę. Przeciąga palcem po bokach dzioba: niepokojąco seksualny gest.

Shara spogląda na kandelabr za nią.

- Oczywiście są bardzo nielegalne. - Podnosi jedną świeczkę, zagląda na spód. Zgodnie z jej przewidywaniami, znajduje się tam symbol

płomienia pomiędzy dwoma równoległymi liniami: insygnia Olwos, płomień w drewnie. — Te świece nigdy się nie wypalą i dają bardzo jasne, białe światło. - Przysuwa rękę do płomienia. - Ale żar, jakim emanują... Jest całkiem rzeczywisty. To już nie iluzja.

Muowost zatrzymuje się i powoli wyciąga palec z dzioba.

- Te wszystkie kandelabry są tu z jakiegoś powodu, prawda? - pyta Shara. - Ponieważ jeśli przypadkiem wydostałbyś się ze swojej klatki, taki pyłowy, suchy stwór jak ty musiałby bardzo uważnie stąpać, by się nie podpalić.

Muowost opuszcza rękę i cofa się o krok.

- Obstawiam, że pani Torskeny podbiegła do ciebie, prawda? - pyta łagodnie Shara. - Po tym, jak zobaczyła małą dziewczynkę w potrzebie.

Shara przypomina sobie staruszkę, pochyloną nad kawą: Próbowałam się nauczyć. Chciałam się nauczyć, żeby być prawa. Chciałam wiedzieć. Ale mogłam tylko udawać.

Zezłoszczony muowost kłapie na nią dziobem: klask klask klask kla...

Shara z zamachem rzuca w niego świeczką.

Stwór natychmiast staje w ogniu: rozlega się łupnięcie i jego pierś eksploduje pomarańczowym płomieniem. W ciągu kilku sekund muowost staje się ciemną sylwetką mężczyzny młócaącego powietrze w kłębach pomarańczowatej bieli.

Gdzieś z tyłu głowy Shara słyszy krzyki dzieci.

Ponownie przypomina sobie chłopaka w celi. *Ale się powtarzam.*

Płonący stwór gwałtownie zmienia kierunki w kręgu soli, wygląda, jakby odbijał się od niewidzialnych ścian. Resztki trzepoczących szat unoszą się w powietrze niczym żarzące się, pomarańczowe kwiaty

wiśni. Stwór łapie się za głowę, jego monstrualny pysk otwiera się w niemym krzyku.

Jego forma znika; płomienie przygasają. Garść popiołu tańczy wokół kandelabrow. Nie ma go już, a po nim pozostały jedynie przypalone ślady na podłodze.

I Olwos rzekła:

Nic nigdy nie jest naprawdę utracone

Świat jest niczym pływ

Powraca na moment do miejsca, gdzie był wcześniej

Lub ponownie opuszcza to samo miejsce

Świętujcie zatem, jako że to, co utracicie, zostanie wam zwrócone

Uśmiechajcie się zatem, jako że wszystkie dobre uczynki zastaną wam odwzajemnione

Płaczcie zatem, jako że wszystkie złe uczynki także do was wrócą

Lub do waszych dzieci lub ich dzieci

Zbieramy to, co siejemy.

Siejemy to, co zbieramy.

**- KSIĘGA CZERWONEGO LOTOSU, CZĘŚĆ IV,
13.51-13.61**

ODTWORZENIA



hara przechodzi przez pokój. Gdy jej stopy przekraczają sól, spodziewa się jakiegoś straszliwego nieszczęścia. Być może stwór odżyje i rzuci się na nią? Ale nic takiego się nie dzieje.

Czuje szczelinę w murze, bada ją palcami, ale ta nie ustępuje.

- Chodź, zobacz - mówi. - Widzisz jakiś uchwyt? Albo przycisk? Albo może dźwignię...

Sigrud delikatnie odpycha ją grzbietem dłoni. Robi krok w tył i mocno kopie w zamknięte drzwi.

Odgłos pęknięcia brzmi wręcz ogłuszająco w tym milczącym miejscu. Połowa drzwi wpada do środka. Pozostała część, nagle dziwnie sypka, roztrzaskuje się niczym lustro. Wznoszą się białe, gryzące kłęby kurzu.

Shara dotyka zniszczonych drzwi, które pozostawiają na jej palcach kredowe ślady.

- Ach - mówi. - Gips. - Wyciąga szyję do przodu, by spojrzeć w ciemność.

Schody z ubitej ziemi, prowadzące stromo w dół.

Sigrud łapie za jeden z trzaskających kandelabrow.

- Myślę - oznajmia - że może nam się przydać.

Schody się nie kończą: ciągną się i ciągną, miękkie i wilgotne, uformowane z ciemnej, czarnej gliny i lepkiego piasku. Shara i Sigrud nic nie mówią podczas schodzenia. Nie omawiają horroru, z jakim się właśnie zetknęli, ani też Sigrud nie pyta, skąd Shara wiedziała, jak pozbyć się stwora tak sprawnie: osiem czy dziewięć lat temu jeszcze by o tym rozmawiali, ale nie teraz. Oboje już na tyle długo zajmują się dziwnymi sprawami, że mało co ich zaskakuje. Po zetknięciu się z cudami należy zrobić, co trzeba i wrócić do pracy. Chociaż dawno już, zastanawia się Shara, nie mierzyliśmy się z takim koszmarem.

- Jak myślisz, w jakim kierunku idziemy? - pyta Shara.

- Na zachód.
- W stronę dzwonnicy?

Sigrud zastanawia się i kiwa głową.

- Więc wkrótce będziemy... pod nią.
- Mniej więcej.

Shara przypomina sobie, że firma gazowa porzuciła tę dzielnicę, postanawiając zostawić w spokoju to, co zostało zakopane pod Bułykowem.

- Przychodzi mi do głowy pytanie - mówi Sigrud. - Jak ktoś mógł zrobić coś takiego, żeby nikt inny nie zauważył?

Shara bada ściany tunelu.

- Wygląda, jakby od dłuższego czasu był w użyciu. Duża część się zatarła. Ale ten tunel wygląda prawie jakby go wypalono, gdy powstawał.
- Co?

Shara wskazuje na ślady po ogniu. Miejsca bardziej piaszczyste są roztopione, jak szkło.

- Ktoś wypalił taką głęboką dziurę? - pyta Sigrud.
- Tak to wygląda - mówi Shara. - Jakby ktoś potraktował masę metalu płomieniem palnika.
- Widziałaś coś takiego wcześniej?
- Szczerze... Nie. Dlatego też trochę mnie to martwi.

Białe światło świec podskakuje na glinianych ścianach.

Dziwny powiew pieści jej policzek. Shara poprawia okulary.

Schody zdają się przed nią roztopiać. Ściany cofają się, przekształcają w kamień — nie, w kamienne malowidła ściennie, wykonane we wspaniale zawiłych wzorach. Choć ciężko to stwierdzić przez migające światło, Shara jest pewna, że dostrzega we wzorze smukły kształt symbolu Ahanas oraz wskazującą dłoń Taalhawrasa.

Ściany wciąż się wycofują, aż w końcu wcale już ich tam nie ma.

- Och - mruczy Shara.

Światło świec pokonuje ciemność. Cienie ustępują niczym kurtyna, by odsłonić rozległą komnatę...

Shara dostrzega błyski, migotanie dalekiego kamienia...

- Och, no daję słowo!

Rozgląda się. Z tego co widzi, komnata jest duża i osobiwie maciczna: zarówno sufit jak i dach są wielkie i wklęsłe i dochodzą idealnie do miejsca na środku, łącząc się w coś na kształt stalagnatu. Komnata ma sześć przedsionków, schodzących się w centrum niczym płatki i znamię słupka bajecznie zawiętego kwiatu orchidei. Dodatkowo na każdym centymetrze ścian, sufitu i podłogi wyrzeźbiono glify, pieczęcie i piktogramy dziwnych i oszałamiających wydarzeń: człowiek wyciąga z czaszki ciernisty kwiat i zawiązuje jego łodygę wokół języka; trzy poddane wiwisekcji kobiety kąpią się w kamienistym strumyku, oczy mają niczym szklane koraliki, podczas gdy jelen przygląda się z brzegu; kobieta zaszywa nacięcie pod pachą, skąd wychodzi męska twarz o pustym spojrzeniu, jakby była więziona w środku niej; cztery wrony krążą po niebie, a pod nimi mężczyzna włócznią wydobywa wodę z ziemi... I tak dalej, i tak dalej - obrazy o wielkim i strasznym znaczeniu, dla niej całkowicie niezrozumiałe.

- Co... - Sigrud pryca, przygląda się uważnie, przełyka głośno ślinę. - Co to za miejsce?

W środku, gdzie znajduje się „stalagnat”, Shara dostrzega warstwę świeżej ziemi. Ale, zastanawia się, skąd się tu wzięła? Przyśpiesza, stawiając niepewne kroki, gdy przechodzi po pochyłym terenie.

Dostrzega, że stalagnat jest w rzeczywistości kręconymi schodami wznoszącymi się na pięciu podtrzymujących je kolumnach. Pierwotnie było ich sześć, ale jedna została usunięta.

Sześć przedsionków, przechodzi jej przez myśl, sześć kolumn i sześć Bóstw...

Schody kończą się zablokowaną szczeliną w suficie, wypełnioną luźnymi kamieniami i kruszejącą gliną, jakby cokolwiek, co znajdowało się powyżej zostało zawalone.

— Oczywiście. — Parska. — Oczywiście!

- Co? - pyta Sigrud.

Shara przygląda się jednej z kolumn: jest pięknie kuta, wyrzeźbiona tak, by przypominać pień sosny, z zarysem płomienia strzelającym wzwyż jej kory. Kolejne kolumna jest prosta i strzelista. Pokrywają ją skomplikowane, powtarzające się wzory, niczym wizualny wyraz wielu matematycznych form. Kolejna kolumna jest wyrzeźbiona tak, by przypominać trzon z zębów lub noży, tysiące stopionych razem i skierowanych w górę ostrzy, niczym pień palmy. Następna przypomina skręconą pętlę starych winorośli, z wieloma drewnianymi łodygami skręconymi wokół siebie. Kolumna jest nieco wygięta, sugerując elastyczność. Ostatnia z pięciu ocalałych kolumn jest pokręconym, chaotycznym tornadem kwiatów, futra, liści i piasku, niczego i wszystkiego.

Shara zaciska dłonie w pięści i drży niczym mała dziewczynka.

- To było to! - krzyczy. — To musiało być to! Naprawdę! Cały czas tu było, pod spodem!

- Znaczy co? - pyta Sigrud. Nie zrobiło to na nim wrażenia.
- Nie widzisz? Wszyscy mówią, że dzwonnica Siedziska Świata skurczyła się podczas Mgnienia! Ale to nieprawda! Ponieważ to jest podstawa dzwonnicy! - Wskazuje na kolumny wokół schodów. - Te schody prowadzą w górę!

-Więc...

- Więc dzwonnica nigdy się nie skurczyła! Cała świątynia musiała zatonać w błocie! Ta rozpadająca się gliniana budka w parku nigdy nie była prawdziwym Siedziskiem Świata! Choć wszyscy, nawet w Bułykowie, wciąż tak uważają. To jest to! To jest Siedzisko Świata! Tutaj spotykały się Bóstwa!

Jako że Shara poświęciła większość swego dorosłego życia historii, nie może nie doznać ekscytującego zawrotu głowy, jakkolwiek niepatriotyczne by się to wydawało; ale odzywa się ta nieporuszona część jej umysłu:

To nie może być przypadek. Najbardziej świętym strukturom Bułykowa po prostu zdarzyło się zatonać, by pozostały w ukryciu przez prawie osiemdziesiąt lat? A Ernst Wykłów po prostu przekopał się tu i na nie natrafił? Nie robi się takich rzeczy, jeśli nie wie się po co — a nie wie się, póki ktoś nie przekaże takiej informacji.

Shara wyciąga świecę z kandelabru Sigruda.

- Poślij po Mulaghesh. Już. Jeśli ludność Bułykowa dowie się, że to coś wciąż tu jest i będziemy musieli publicznie przejąć kontrolę nad tym miejscem, to znowu skończy się Latem Czarnych Rzek. I niech zarzuci sieć na Wykłowa. Wszystkie punkty kontroli granicznej poza granicami miasta i w samym mieście powinny zacząć się za nim rozglądać. Musimy go przynajmniej przepytąć.

- A ty co będziesz robić? - pyta Sigrud.

- Zostanę tu i się rozejrzę.
- I ta świeczka ci wystarczy?
- Właściwie to jest dla ciebie. - Podaje mu pojedynczą świeczkę i wskazuje na kandelabr. — Ja będę potrzebować tego.

Sigrud unosi brew, wzrusza ramionami i podaje jej kandelabr. Wycofuje się glinianym tunelem. Mdłe białe światło migocze na schodach, ciemnieje i wreszcie Shara zostaje sama w rozległej komnacie.

Świece syczą i spływają woskiem. Gdzieś w oddali słychać kapanie wody. Tysiąc kamiennych oczu przygląda się jej w milczeniu.

Zmiana sposobu myślenia zajmuje jej dłuższą chwilę. Shara przypomina sobie, że komnata nie była podziemną jaskinią, ale świątynią na powierzchni. To tłumaczy wielkie, ziejące dziury w ścianach każdej wybrzuszonej komory: były niegdyś olbrzymimi oknami, i choć ciężko to stwierdzić z miejsca, gdzie Shara stoi na schodach, wszystkie oprócz jednego są wybite. Więc to stało się z wielopiętrowymi witrażami Siedziska świata, myśli-Zniszczone i pogrzebane w bułykowskim błocie...

Wychodzi na sześć przedsionków. Każdy jest w innym stylu, przypuszczalnie zbieżnym z danym Bóstwem, podobnie jak kolumny podtrzymujące schody. Shara dostrzega pieczęcie Olwos, Taalhawrasa, Ahanas, Vurtji, Dżukowa i...

- Hm - mówi.

Pomimo pogrzebania, wygląda na to, że Siedzisko Świata nie jest w doskonałej kondycji: jeden przedsionek jest całkowicie pozbawiony jakichkolwiek rzeźbień, jakby ktoś przyszedł i całkowicie wygładził podłogę, sufit i ściany.

Shara widzi, że ktoś bardzo niedawno próbował odnowić podłogę pustej komnaty, kładąc tam grawerowane kamienie, znacznie ciemniejsze od pozostałych. Praca nie została jeszcze ukończona, pozostawiając zmieszany i zniekształcony nieład obrazów, słów i pieczęci, opowiadając niepełne historie i fragmenty mitów oraz pozostawiając pustymi ogromne połacie komnaty.

Każdy z owych ciemnych i nowych kamieni pokazuje dokładnie ten sam obraz: humanoidalną postać, która siedzi w środku pokoju i kogoś słucha. Towarzysząca jej pieczęć jest Sharze dobrze znana: przedstawia wagę, reprezentowaną przez dwie kreski, wspierane przez kwadratowe widełki.

Przypomina sobie: Ręce Kolkana. Oczekujące, by zważyć i osądzić...

Ogląda się za siebie. Brakuje kolumny odpowiadającej pustemu przedsionkowi.

Shara ma absurdalne przeczucie, że wpatruje się w zmienioną historię.

Niegdyś była równie udekorowana, jak pozostałe pięć, myśli. Zakładam, że całość straciła wzory w roku 1442, zaraz po tym, jak Kolkana zniknął z tego świata. Shara podchodzi do zagadkowego zbioru nowych piktogramów. Ale teraz ktoś pojawił się, by to naprawić.

Uśmiecha się pogardliwie. Być może biorą nazwę „Odnowiciele” trochę zbyt poważnie.

To daremny trud. Według jej oszacowań trzeba by odnowić tysiące metrów kwadratowych podłogi, sufitu i ścian. Ktokolwiek próbuje to zrobić, w oczywisty sposób nie ma pojęcia, co dekorowało komnatę Kolkana. I skąd w ogóle pochodzą te kamienie?

Shara zeskakuje na dół i zaczyna badać nowe fragmenty kamienia na podłodze. Już same te kamienie są fascynujące -ciemna, gładka ruda, jakiej jeszcze nigdy nie widziała - a piktogramy przedstawiają czyny i

wydarzenia, o których nigdy dotąd nie słyszała: Kolkan, przedstawiony jako zakapturzona figura, rozcina nagą ludzką postać, z której wylewa się czyste, jasne światło, by następnie opaść na zaokrąglone wzgórza.

Może pochodzą z innej świątyni. Shara wodzi palcem wzdłuż jednego ze żłobień. Ktoś zabrał kamienie z jednej z ocalałych świątyni Kolkana i próbował ją tutaj odbudować, by ponownie sprowadzić go do Siedziska Świata.

Czy to naprawdę mogła być sprawka Ernsta Wykłowa?

Dostrzega nad sobą ruch i powoli spogląda w górę. Coś drga na ścianie.

Po chwili przypatrywania się dostrzega wielką, pustą framugę stojącą pionowo ledwie kilka metrów przed nią; drżące płomienie świec musiały sprawić, że jej cień zatańczył na kamiennej ścianie.

Shara rozgląda się po pozostałych komnatach. Nigdzie indziej nie ma takiej framugi. Ktokolwiek próbował odnowić komnatę Kolkana, musiał ją tu sprowadzić. Przypuszczalnie był to ten sam człowiek, kto stworzył prowadzące w dół gliniane schody i pomyślał, by wcześniej uwięzić muowosta w charakterze psa obronnego.

Podchodzi do framugi. To kamienna konstrukcja, wysoka na około trzy metry. Shara przypomina sobie, że Kontynenta-nie byli w większości dużo wyżsi w latach przed Mgnieniem; obecnie są po prostu niedożywieni. Jak wiele przedmiotów pochodzących z ery Bóstw, framugę charakteryzują znakomite kamienne ornamenty, sprawiające wrażenie grubego futra, suchego drewna, kredowego kamienia i szpaków. Nic z tego arcyzmu nie pasuje do Kolkana, przynajmniej zgodnie z wiedzą Shary: Kolkan w ogóle gardził wszelkimi zdobieniami.

Shara dotyka rzeźbionych szpaków z framugi.

- Czy nie byliście przypadkiem ulubieńcami Dżukowa?

Gdy ich dotyka, drzwi się przesuwają. Spogląda w dół na ich podstawę. Framuga jest umieszczona na czterech małych, żelaznych kółkach. Shara popycha je, na co przesuwają się ze skrzypnięciem dalej. Po co komukolwiek mobilna framuga?

Spogląda na ramę okna w ścianie przedsionka Kolkana. Każdy przedsionek miał pierwotnie własne okno, witraże przedstawiały każde z Bóstw. Shara czytała fragmenty listów opisujących piękno boskich witraży w Siedzisku Świata - pełnych błękitów i czerwieni, których ludzkie oko nie mogło należycie zinterpretować, ale można je było poczuć. Choć przykro jej widzieć wszystkie witraże całkowicie roztrzaskane, to nie może się nadziwić, dlaczego szyba Kolkana pozostała w jednym kawałku, ale jest całkowicie pusta. Powoli macha kandelabrem tam i z powrotem, przyglądając się odbiciom: okno jest duże, przezroczyste, ale poza tym całkowicie zwyczajne. Być może po prostu straciło wzory, wnioskuje Shara, po zniknięciu Kolkana. Ale jeśli tak - czemu wciąż jest całe, a wszystkie inne są rozbite?

Podnosi kandelabr i wpatruje się w pozostałe, zaokrąglone komnaty.

Niegdyś, gdy była bardzo mała, ciocia Vinya zabrała ją do Biblioteki Narodowej w Ghaladeshu. Shara już wtedy była namiętym czytelnikiem, ale do tamtej chwili nie rozumiała znaczenia książek, ani prezentowanych przez nie możliwości. A można było chronić je po wieki, gromadzić tak, jak inżynierowie gromadzą wodę, nieskończone zasoby czasu i wiedzy pochwycone atramentem, przymocowane do papieru, leżące na półkach... Chwile w fizycznym kształcie, nietykalne, doskonałe, jak martwy szerszenia utrwalony w kryształ, z jedną kroplą jadu na zawsze zwisającą z jego żądła.

Wtedy czuła się tym przytłoczona. Było to - tu pokrótce myśli o sobie i Vo, czytających razem w bibliotece - trochę jak zakochanie się po raz pierwszy.

Odnalezienie tego pod ziemią, jakby wszystkie doświadczenia, słowa i

historie Kontynentu zostały zmyte i wypłukane przez deszcze, a następnie kap, kap, kapały do wydrążenia w lepkiem piasku, powoli zmieniając się w kryształ...

W ciemności pod Bułykowem Shara Komayd stąpa ponad starożytnymi kamieniami i ponownie się zakochuje.

Dudnienie kroków. Shara spogląda znad piktogramu Olwos na jaśniejące światłem świecy schody.

Wchodzi Mulaghesh, eskortowana przez Sigruda i dwójkę żołnierzy z kandelabrami. Rzuca spojrzenie na rozległą świątynię; ramiona jej opadają - Och, ale tu bajzel — i wzdycha.

- Ach, szlag.
- Całkiem niezłe znalezisko, co? - pyta Shara, gdy przechodzi przez przedsionek.
- Można tak powiedzieć - odpowiada Mulaghesh. - Tak.
- Rozstawiła pani swoich ludzi, by bronili wejścia?
- Tak, na zewnątrz jest pięciu żołnierzy.
- To - Shara okrąża kałużę błota - jest ogromne. Ogromne! To będzie najistotniejsze odkrycie związane z Bóstwami od czasu Wojny, od Mgnienia! Największe historyczne odkrycie... cóż, historii. Odkrycie jakiegokolwiek fragmentu tego miejsca, jakiegokolwiek fragmentu tych piktogramów, zostałoby uznane w Ghaladeshu za rewolucyjne, ale odnalezienie całego budynku, całości, w większości niezniszczonej to, to... — Sharze brakuje tchu. Nabiera powietrza. - To nie mieści się w głowie!

Mulaghesh przypatruje się zakrzywionemu sufitowi. Gładzi

knykciami blizny na szczęce.

- Rzeczywiście.

- Tu! Proszę spojrzeć tu, na ten fragment. - Shara się pochyla. - Tych kilka metrów rzeźbień opowiada o Ahanas więcej, niż ktokolwiek znalazł przez lata. Prawie nic o niej nie wiemy! Ahanasztan, jak pani zapewne wie, jest jednym z najbardziej uszkodzonych przez Mgnienie; prawie całe miasto praktycznie zniknęło. Niemal wszystko, co się tam teraz znajduje, zostało zbudowane przez Sajpur.

- Aha.

- Ale ten mural dowodzi, dlaczego zniknęło! Potwierdza to teorię, że Ahanas w rzeczywistości wyhodowała miasto, siejąc cudowne nasiona, które wykiełkowały w formie żywych budynków, domów, ulic, światła... Brzoskwinie, które świeciły w nocy niczym lampy, winoroślą, które doprowadzały wodę i odprowadzały ścieki... To fascynujące.

Mulaghesh drapie się po kąciku ust.

- Ano.

- A gdy Ahanas zginęła, wszystko to zniknęło. Co więcej, dostarcza to drugiego wytłumaczenia na braki w wiedzy: jeśli to prawda, Ahanasztanie uznawali wszelkie życie i wszystkie części ciała za święte. Nigdy nie stosowali lekarstw, nie podcinali włosów, nie golili się, nie przycinali paznokci, nie myli zębów, nigdy... cóż... nie myli dolnych części ciała.

- Oj..

- Ale przecież nie musieli! Ahanas była w stanie spełniać wszelkie ich potrzeby! Żyli w całkowitej harmonii z tym ogromnym, organicznym miastem! Po Mgnieniu, gdy na Kontynencie zaczęły szaleć choroby, odrzucili zapewne każde lekarstwo, każdą opiekę...

Tak więc prawie wszyscy Ahanasztanie na Kontynencie musieli wymrzeć! Wyobraża to sobie pani? Wyobraża?

- Ta - mówi Mulaghesh, po czym dodaje przyjaźnie: -Więc zdaje sobie pani sprawę, że będziemy musieli zawalić ten tunel, prawda?

- A ten fragment tu - mówi Shara - to... to.. - Opuszcza głowę i powoli wypuszcza powietrze. Spogląda na Mulaghesh.

Ta uśmiecha się ponuro i kiwa głową.

- Tak. Wie pani. Wie pani, że nie możemy trzymać czegoś takiego w sekrecie. Nie czegoś aż tak dużego. Musielibyśmy wystawić strażę. Wtedy ktoś by o nie zapytał, próbując dociec czego pilnują i zadawałby pytania, aż by się dowiedział. Albo trzeba by spróbować je odkopać, przestudiować i udokumentować, a wtedy ktoś zauważyłby cały sprzęt i ludzi i zacząłby zadawać pytania aż do skutku. Nie unikniemy problemów. - Mulaghesh opiłowuje paznokcie o jeden z grawerunków. - I co gorsza, wie o tym Wyklów, więc jeśli tu zostaniemy i spróbujemy cokolwiek zrobić, sami włożymy mu do ręki broń: „Spójrzcie na Sajpur: trzyma pod ziemią naszą najbardziej uświęconą świątynię, obmacując ją swymi brudnymi cudzoziemskimi paluchami”. Wyobraża sobie pani konsekwencje? Pani ambasador, czy wyobraża pani sobie co by się stało? Nie tylko z pani śledztwem, ale z Kontynentem, z Sajpurem?

Shara wzdycha. Spodziewała się takiego argumentu, ale liczyła, że rozwiązanie nie okaże się aż tak drastyczne.

- Naprawdę chce pani... po prostu zawalić ten tunel? To ma być nasza najlepsza opcja?

- Wolałabym zalać ten cholerny tunel cementem, ale sprzęt ściągnąłby na nas za dużo wścibskich spojrzeń. Przy drzwiach są drewniane rozporki, które z pewnością stanowią punkty nośne. Nie potrwałoby to dłużej niż godzinę.

- Ale są tu dowody. Ktoś tu był, odnawiał kolkaszański przedsionek. Nawet wstawiono tu kamienną framugę drzwi, chociaż nie mam pojęcia dlaczego. To... To musiał być ten, kto działa z Wykłowem!

- Jest pani tego pewna do takiego stopnia, że zaryzykowałaby pani, że Kontynentanie odkryją to miejsce?

Shara pociera oczy, po czym siada i wpatruje się w Siedzisko świata.

- Patrząc na to, po prostu wiem - mówi - że mogłabym spędzić całe życie na badaniu tego miejsca.

- Gdyby była pani profesorem historii - mówi Mulaghesh. - Ale pani nie jest.

Shara wzdryga się jak oparzona.

- Służy pani, pani ambasador - mówi łagodnie Mulaghesh. - Obie mamy swoje obowiązki. Żadna z nas nie będzie sprawować ich tutaj.

W głowie Shary Efrem Pangyui pyta: „Jakiej prawdy chce pani bronić?”

Kandelabry szcękają. Tańczą tysiąc cieni. Pradawne twarze spoglądają groźnie i znikają.

- Proszę to zrobić - mówi Shara.

Brnięcie z powrotem w górę schodów zdaje się nie mieć końca. Shara próbuje spamiętać wszystko, co widziała i przeczytała. Na morza, nie możemy stracić jeszcze tego.

- Więc nie było tam na dole nic cudownego? - pyta Mulaghesh.

- Nic widziałam - odpowiada w zamyśleniu Shara.

- Całe szczęście - mówi Mulaghesh. Wyciąga z kieszeni płaszcz kopertę i podaje ją Sharze. - Przeglądaliśmy skradzione strony listy z Magazynu. Boję się na samą myśl, że moglibyśmy znaleźć tego więcej gdzieś w terenie. Przypuszczamy, że właśnie te dwadzieścia stron tak podekscytowało Odnowicieli — albo coś na nich zawarte. Ale prawdopodobnie wiedzą dużo, dużo więcej.

Jeśli cokolwiek jest w stanie odwrócić uwagę Shary, to właśnie to. Porywa kopertę z rąk Mulaghesh, rozdziera ją i czyta:

356. Półka C4-145. Buty Trawertyna: obuwie, które w jakiś sposób wydłuża chód o całe kilometry - można przebyć Kontynent w niecały dzień. BARDZO WAŻNE: Jedną stopę należy zawsze trzymać na ziemi: pierwotnie były ich dwie pary, ale testujący drugą podskoczył i poszybował do atmosfery. Pozostała para wciąż pozostaje cudownej natury.

357. Półka C4-146. Dywan Kolkana: mały dywanik, który ZDECYDOWANIE posiada możliwości lotu. BARDZO trudny do kontrolowania. Zapisy wskazują, że Kolkan pobłogłósławił cudem lotu każdą nić dywanu, więc teoretycznie każda jedna powinna być w stanie wznieść w powietrze kilka ton - czego nie próbowaliśmy i nie zamierzamy. Wciąż cudownej natury.

358. Półka C4-147. Zabawkowy wagonik: znika podczas nowiu i pojawia się z powrotem podczas pełni, wypełniony miedzianymi monetami z wybitą twarzą Dżukowa. Raz powrócił załadowany kośćmi (nie ludzkimi). Wciąż cudownej natury.

359. Półka C4-148. Witraż: pierwotnie przetrzymywano w nim licznych ahanaszańskich więźniów, więząc ich wewnątrz szyby. Gdy zginęła Ahanas, szyba krwawiła przez dwa miesiące - więźniów nigdy nie odzyskano. Stracił cudowne właściwości.

360. Półka C4-149. Edykty Kolkana. Księgi od 237 do 243. Siedem tomów traktujących o tym, jak przygotowywać, nosić, wyrzucać, czyścić itd. damskie obuwie.

- Och - mówi miękko Shara. - Ojej.

Mulaghesh przystaje na krótko, by zapalić zapałkę o wystający ze ściany tunelu kamień.

- Ta.

- To wszystko znajduje się w Magazynie?

- Po prostu musieli zdobyć część listy z niezwykle dużą liczbą aktywnych przedmiotów o cudownej naturze. Chociaż większość to kawałki szkła.

- Bóstwa lubiły używać szkła jako bezpiecznego schronienia - mruczy Shara.

- Co ma pani na myśli?

- Chowały tam przedmioty, ukrywały się w nich. Wszyscy kapłani bóstw znali wiele cudów Uwalniających - Bóstwa zsyłały im zwykle szklane koraliki, po czym kapłani dokonywali odpowiedniego cudu, rozbijali szkło, po czym - macha palcami - pojawiały się góry złota, posiadłość, zamek, narzeczona albo... cokolwiek. - Zamiera przy czytaniu, zmagając się z fascynacją i przerażeniem, w miarę jak zapoznaje się z resztą. Jest ledwie świadoma, że wyłaniają się z tunelu, rejestruje jedynie jasne światło kandelabrow w pokoju muowosta.

Mulaghesh macha do dwójki młodych żołnierzy z siekierami i młotami.

- Działajcie - mówi.

Żołnierze wchodzi do tunelu.

Shara czyta ostatnie strony.

Zaciska ręce; prawie rozrywa papier na pół.

- Czekać! - mówi. - Czekać, stop!
- Czekać? - pyta Mulaghesh. - Na co?
- Proszę spojrzeć — mówi Shara. Wskazuje na jeden punkt:

372. Półka C5-162. Ucho Dżukowa: grawerowana, kamienna framuga bez drzwi. Żelazne koła u podstawy. Spekuluje się, że mają bliźniaka, i nieważne, gdzie znajduje się drugie Ucho, jeśli używa się drzwi we właściwy sposób, można wejść jednymi i wyjść drugimi. Według naszych spekulacji, drugie Ucho zostało zniszczone. To straciło cudowną moc.

- Pamięta pani - pyta Shara - kamienne drzwi w kolkasztańskim przedsionku, które przed chwilą widziałyśmy?
- Tak... — Twarz Mulaghesh nie zmienia się, gdy ta podnosi wzrok ze kartki na Sharę. - Myśli... Myśli pani...
- Tak.

Mulaghesh zastanawia się przez chwilę.

- Więc jeśli tam na dole jest drugie Ucho...
- A jego bliźniak wciąż znajduje się w Magazynie...

Obie patrzą na siebie przez chwilę dłużej, po czym zbiegają pośpiesznie po schodach.

Sigrud i pozostali dwaj żołnierze patrzą skonsternowani, po czym ruszają za nimi.

- Biorąc wszystko pod uwagę, wciąż najrozsądniejsze wydaje mi się -

Mulaghesh intonuje z cienia - zniszczenie tego cholerstwa.

Shara podnosi kandelabr wyżej, by przyjrzeć się framudze.

- Wolałaby pani stąd odejść, nie wiedząc, czy ktoś użył tych drzwi, by dostać się do Magazynu?

Słychać cmoknięcie, gdy Mulaghesh zaciąga się cygaretką.

- Mogli się tam dostać, dotknąć czegoś, czego nie powinni i zginąć.

- W takim razie osobiście chciałabym zobaczyć ciało. - Shara przygląda się rzeźbionym drzwiom w poszukiwaniu słowa, litery, przełącznika czy przycisku. Chociaż nie potrzebowałiby nic mechanicznego, przypomina sobie. Cała mechanika cudowności działa w znacznie bardziej abstrakcyjny sposób...

Sigrud leży na podłodze świątyni i wpatruje się w sufit, jakby wylegiwał się na słonecznym stoku, mając nad sobą błękit nieba.

Może - mówi - trzeba coś zrobić z tymi drugimi drzwiami.

- Wolałabym, żeby tak było - mówi Shara. Mruczy kilka zdań z Dżukosztawy; drzwi nie reagują. - W takim razie te drzwi są mniej lub bardziej bezużyteczne. Zakładając, że ochrona w Magazynie jest solidna.

- Jest - warczy Mulaghesh.

Shara próbuje wychwalać imiona kilku ważniejszych dżukoszańskich świętych. Drzwi nie reagują. Tak właśnie musi czuć się stary zboreźnik, myśli, próbujący zaczepiać dziewczyny na przyjęciach.

- Wydaje mi się - mówi w końcu - że źle się za to zabieram.

Mulaghesh tłumi ostre ziewnięcie.

- Skąd ten pomysł?

Shara błądzi wzrokiem po odległym piktogramie z przedsonka Dżukowa, przedstawiającym wyjątkowo skomplikowaną orgię.

- Dżukow za nic miał słowa czy pokazy wierności. Zawsze bardziej zajmowało go działanie, dzikość i brak planowania. — Na skraju orgii postać w spiczastym kapeluszu trzyma w górze dzban wina i nóż. - Składanie w ofierze krwi, potu, łez, emocji...

Przypomina sobie słynny fragment z Dżukosztawy: „Dlaczego miałbym pozwalać wstępować w swój cień tym, którzy niechętnie rozstają się z własną krwią i strachem, którzy odmawiają wina i dzikości, którzy stają w obliczu wyboru czy okazji i drżą przy tym ze strachu?”

Wino, myśli Shara, i ciało.

- Sigrud, daj mi swoją piersiówkę - mówi.

Ten podnosi głowę i marszczy brwi.

- Wiem, że masz. Nie obchodzi mnie to. Po prostu mi ją daj. Razem z nożem.

Z cygaretki Mulaghesh lecą iskry po tym, jak ta gasi ją o ścianę.

— Chyba nie podoba mi się, w którą stronę to zmierza.

Sigrud gramoli się na nogi i sięga do kieszeni płaszcza - słycać brzęk metalu, z pewnością jakichś nieprzyjemnych narzędzi — i wyciąga piersiówkę z ciemnobrązowego szkła.

— Co tam masz? — pyta Shara.

— Sprzedawca twierdził, że wino śliwkowe - mówi. - Ale sądząc po zapachu... chyba nie był do końca szczery.

— I... próbowałaś już tego?

— Tak. I nie oślepiłem. — Wyciąga też małe ostrze.

Albo to zadziała, myśli Shara, albo bardzo się zblażnię. Sigrud odkorkowuje piersiówkę - zapach przyprawia ją o mdłości — a ona ściga zębami rękawiczkę wolnej dłoni. Następnie nacina sobie skórę w jej wnętrzu.

Mulaghesh jest zszokowana.

— Co do...?

Shara przykłada usta do rany i ssie krew. Ta płynie obficie: smak soli i miedzi wypełnia jej usta, prawie ją dławi. Shara odrywa rękę i pospiesznie popija z piersiówki.

Nie jest to — zdecydowanie nie jest - znajomy alkohol. Torsje targają jej żołądkiem, jego zawartość podchodzi do przełyku; Shara połyka ją z powrotem. Podchodzi do framugi, krztusi się i wyrzuca z siebie mieszaninę alkoholu i krwi.

Nie kontroluje się wystarczająco, by zobaczyć, czy przyniosło to skutek. Oddaje Sigrudowi piersiówkę i nóż, pada na kolana i zaczyna ostro wymiotować, ale jako że większość zwróciła, gdy zobaczyła muowosta, teraz nie ma już za bardzo czym.

Słyszy, jak Mulaghesh pojękuje.

Rozlega się odgłos delikatnego tarcia, gdy czarny nóż Sigruda wydobywa się z pochwy.

— Co? - chrypi Shara i ociera łzy. - O co chodzi? Zadziałało?

Spogląda i musi stwierdzić, że ciężko orzec.

Wnętrze framugi jest całkowicie, w nieprzenikniony sposób czarne, jakby ktoś wsadził tam arkusz czarnego grafitu, kiedy nie patrzyła. Jeden z żołnierzy Mulaghesh, kobieta, zaciekawiona obchodzi

framugę i staje za nią. Żadne z pozostałych nie jest w stanie jej dojrzeć. Kobieta wystawia głowę zza bocznej krawędzi.

- Nic? - pyta.

- Nic - odpowiada Mulaghesh. - Czy to powinno robić — szuka słów - właśnie tak?

- Przynajmniej coś się stało - mówi Shara. Łapie kandelabr i podchodzi do framugi.

- Ostrożnie! - rzuca Mulaghesh. - Coś może... No nie wiem, może stamtąd wyjść.

Shara zauważa, że czerń wewnątrz drzwi nie jest tak jednolita, jak jej się wydawało. Gdy do niej podchodzi, cień ustępuje, aż może dostrzec zarys wysokich, kwadratowych i metalowych ram po drugiej stronie, a między nimi krzywą, drewnianą podłogę.

Półki, zdaje sobie sprawę. Widzę rzędy i rzędy półek.

- Och, na morza i gwiazdy—szepcze Mulaghesh. — Cóż to jest?

Czyżby to był - serce Shary drży - widok z półki C5-162, gdzie znajduje się drugie Ucho Dżukowa?

Shara podnosi grudkę ziemi. Ocenia odległość i wrzuca ją do środka.

Grudka wpada w cień framugi i ląduje głucho na drewnianej podłodze.

- Przechodzi - zauważa Sigrud.

I tak oto, duma Shara, Pan Dżukow pozwala nam wstąpić w swój cień.

Shara nie mówi tego głośno, ale głęboko ją to niepokoi: nie tylko odkryła, że jedno z boskich stworzeń Dżukowa wciąż żyje, ale teraz

jeszcze jedno z jego cudownych urządzeń okazuje się wciąż działać. Kto poza samym Kajem naprawdę widział śmierć Dżukowa?

Wraca do sprawy bieżącej.

- Może zajrzemy do środka?

Mijany cień sprawia, że płomienie świec w jej kandelabrze prawie całkowicie się kurczą. Shara czuje niepokojący podmuch, po nim słyszy skrzypnięcie drewna pod stopami.

I już jest po drugiej stronie.

Bierze wdech i od razu zaczyna kaszleć.

Wnętrze Zakazanego Magazynu jest stęchłe ponad wszelkie wyobrażenie, znacznie bardziej niż Siedzisko Świata. Zupełnie, jakby weszło się do domu dwójki bardzo starych ludzi, gromadzącej wszelkiego rodzaju rupiecie. Shara kaszle żałośnie w zakrwawioną chusteczkę wokół jej dłoni.

- Nie ma tu żadnej wentylacji?

Mulaghesh przed przejściem na drugą stronę przewiązała sobie wokół twarzy chustę.

- A dlaczego miałyby być? - pyta, poirytowana.

Sigrud przechodzi tuż za nią. Jeśli powietrze także mu przeszkadza, to nie daje tego po sobie poznać.

Mulaghesh odwraca się, by spojrzeć na drugą kamienną framugę, stojącą swobodnie na najniższym miejscu półki C5. Shara widzi, jak dwójka żołnierzy Mulaghesh przygląda się im z wyraźnymi obawami z drugiej strony.

- Naprawdę tu jesteśmy? — pyta na głos Mulaghesh. - Tak po prostu przenieśliśmy się kilometry za Bułyków?

Shara przytrzymuje kandelabr; półki górują nad nimi na wysokość prawie trzech czy czterech pięt. Sharze wydaje się, że dostrzega gdzieś nad nimi blaszany dach. Jakieś trzy metry dalej czai się antyczna, przesuwana na kółkach drabina.

- Powiedziałabym, że owszem - odpowiada Shara. — Tak.

Stoją w trójkę w Zakazanym Magazynie i nasłuchują.

Mroczne powietrze wypełniają westchnienia, skrzypnięcia i niskie pomruki. Grzechot monet, szuranie o drewno. Ciśnienie powietrza w pomieszczeniu wydaje się cały czas zmieniać. Albo coś w Magazynie zdezorientowało Sharę, jej wewnętrzne ucho i zatoki, albo niezliczone siły napierają na nią i znów oddalają się, niczym prądy oceanu.

Jak wiele cudów jest tu z nami, zastanawia się Shara, ile z nich działa w ciemności? Jak wiele słów Bóstw wciąż niesie się echem po tym miejscu?

Sigrud wskazuje na dół.

- Patrzcie.

Drewniana podłoga pokryta jest grubą warstwą kurzu, ale w tym miejscu widać świeże odciski stóp.

- Zakładam - mówi Mulaghesh - że to trasa naszego tajemniczego przeciwnika.

Shara próbuje się skoncentrować; widzi wiele śladów stóp, żadne nie są jednak jednoznaczne. Ten, kto wkroczył na ten teren, musiał wielokrotnie tędy przechodzić.

- Musimy szukać jakichkolwiek śladów manipulacji -mówi. - Wtedy

rozejrzemy się i poszukamy, czy czegoś brakuje. Jeśli tak, będzie to coś z tych stron, jako że tym właśnie interesowali się Odnowiciele. - Przewraca strony. - Chcemy więc obejrzyć półki C4, C5 i C6.

- Albo ktoś po prostu ukradł coś na chybił trafił - mówi Mulaghesh.
- Tak. Albo tak. - Dziękuję, myśli Shara, za podkreślenie beznadziei naszych poszukiwań. - Wszyscy mamy światło, prawda? W takim razie rozdzielimy się, ale nie traćmy z oczu... Opuścimy to miejsce tak szybko, jak to tylko możliwe. I chyba nie muszę tego mówić, ale niczego nie dotykajcie. Jeśli coś zwróci waszą uwagę, albo będzie się jej domagać... ignorujcie to.
- Czy te... przedmioty naprawdę mają własne umysły? -pyta Sigrud.

Pamięć Shary podsuwa jej litanie cudownych przedmiotów, które albo były żywe, albo rościły sobie takie prawo.

- Po prostu niczego nie dotykajcie - powtarza. - Trzymajcie się z dala od półek.

Shara zabiera się za półkę C4, Mulaghesh bierze C5, a Sigrud C6. Idąc swoim przejściem, Shara duma nad wiekiem tego miejsca. *Te półki mają prawie osiemdziesiąt lat*, myśli, przysłuchując się skrzypieniu. *I na tyle właśnie wyglądają.*

- Kaj nie traktował tego jako ostatecznego rozwiązania, prawda? - szepce, gdy spogląda wzdłuż przejścia. - Po prostu ignorowaliśmy to, licząc, że problem rozwiąże się sam.

Każde miejsce na półkach jest oznaczone małą, metalową etykietką z numerem. Poza nimi nie ma żadnego opisu zawartości, która wydaje się wyjątkowo losowa.

Na jednej z półek znajduje się wielka, zdemontowana figura. Jej twarz jest pusta, pozbawiona rysów, ale całą głowę zdobi mieniący się, fraktalny wzór. *Taalhawras*, myśli Shara, *albo jedno z jego wcieleń.*

Drewniane pudło, pokryte zamkami i łańcuchami, wyraźnie drży; ze środka dobiega dźwięk, jakby wiele małych, pazurzastych stworzeń drapało w drewno. Shara szybko przechodzi dalej.

Złoty miecz na półce nad nią błyszczy dziwnym światłem. Obok leży dwanaście krótkich, grubych, niczym niewyróżniających się szklanych słupów. Obok nich duży, srebrny puchar z wieloma klejnotami. Dalej wiele stosów książek i zwojów.

Shara idzie dalej. Następnie dostrzega sześćdziesiąt szyb. Stopę z mosiądzu. Zwłoki zawinięte w koc, przewiązane srebrnym szpagatem.

Shara nie widzi końca przejścia. *Ponad tysiąc pięćset lat cudownych przedmiotów*, myśli.

Jej wewnętrzny historyk mówi: *Jak dobrze, że Kaj zadbał, by je wszystkie zgromadzić.*

Jej wewnętrzny agent mówi: *Powinien był zniszczyć każdy jeden, gdy tylko miał taką możliwość.*

- Pani ambasador? - woła głos Mulaghesh.
- Tak?
- Czy... mówiła pani coś?
- Nie. - Shara milknie na chwilę. - Przynajmniej nie wydaje mi się.

Długa cisza. Shara przygląda się kolekcji srebrnych kciuków.

- Czy to możliwe, żeby te rzeczy odzywały się w czyjejs głowie? - pyta Mulaghesh.
- Wszystko jest tu możliwe — odpowiada Shara. — Proszę to zignorować.

Wiadro pełne dziecięcych butów.

Kij do podpierania się przy chodzeniu, wykonany z końskiego włosa.

Szafka, z której wysypują się starożytne pergaminy.

Skórzana maska wykonana w taki sposób, by przypominała twarz starego człowieka.

Drewniana rzeźba mężczyzny o siedmiu wzwodach różnej długości.

Shara usiłuje się skupić, ale jej umysł błądzi po różnych zapamiętanych historiach, próbując umiejscowić te przedmioty w tysiącu kontynentalnych legend. Czy to ten węzeł, który trzymał burzę w załężku, a gdy się rozwiązał, sprowadził niekończący się deszcz? Czy to może być harfa howtarika z dworu Taalhawrasa, która ożywiła gobeliny? A czy to czerwona strzała wykonana przez Vurtję, która przeszła brzuch przypływu i zamieniła go w łagodny prąd?

- Nie — mówi głos Sigruda. — Nie. To nie tak.
- Sigrud? - pyta Shara. - Wszystko w porządku?

Niskie buczenie z odległości kilku metrów.

- Nie! - krzyczy Sigrud. - To kłamstwo!

Shara idzie szybko wzdłuż przejścia, aż dostrzeżga, że Sigrud stoi po przeciwnej stronie półki, gapiąc się na małą, wypolerowaną czarną kulę, leżącą w wyściełanym aksamitem pudełku.

- Sigrud?
- Nie - mówi Sigrud do kuli. - Opuściłem to miejsce. Jestem... Już mnie tam nie ma.
- Czy wszystko z nim w porządku? — woła Mulaghesh.
- Sigrud, posłuchaj mnie - mówi Shara.

- Zginęli, ponieważ - szuka wyjaśnienia Sigrud - ponieważ próbowali mnie skrzywdzić.

- Sigrud...

- Nie. Nie! Nie, nie będę!

Czarna szklana kula na aksamicie okręca się nieco w lewo; Sharze przypomina ona psa, który przekręca głowę w niemym: „Dlaczego nie?”

- Ponieważ ja - przekonuje Sigrud. - Nie jestem. Królem!

- Sigrud! - krzyczy Shara.

Ten mruga zaskoczony. Czarna kula zagłębia się w aksamit, jakby rozczarowała ją utrata kompana do zabawy.

Sigrud pomалу odwraca się, by spojrzeć na Sharę.

- Co...? Co się stało?

- Jesteś tutaj - mówi. - Jesteś tutaj ze mną, w Magazynie.

Sigrud pociera skroń, wyraźnie wstrząśnięty.

-Tutejsze przedmioty są... bardzo stare - tłumaczy Shara. -Myślę, że są znudzone. I... żerują na sobie nawzajem. Jak ryby uwięzione w kurczącym się stawie.

- Niczego tu nie brakuje - mruczy. - Półki są dość pełne. Nawet bardziej niż pełne.

- Zgadzam się - oznajmia głos z następnej alejki. - Nie chcesz, żebyśmy wspinali się po drabinach, co?

- Czy wygląda na to, że ktoś ruszał drabiny? - pyta Shara. — Spójrz na kurz.

Pauza.

- Nie.

- W takim razie to coś powinno być na jednej z najniższych półek.

Shara kieruje wzrok na najniższe półki pozostałych alejek i kontynuuje poszukiwania.

Cztery miedziane lampy naftowe. Pusta, wypolerowana drewniana deska. Dziecięce lalki. Obracający się powoli kołowrotek, który wygląda, jakby nie miał lnu, ani z całą pewnością prządki.

W końcu, na ostatnim miejscu, na wprost...

Nic.

Może nic. Przynajmniej nic, co można by zobaczyć.

Czegoś brakuje?, zastanawia się Shara.

Zbliża się do pustej przestrzeni. Jej oczy tak bardzo przywykły do dostrzegania losowych obrazów na skraju pola widzenia, że nie zwraca uwagi na to, co jest poniżej. Ale gdy podchodzi do pustej przestrzeni na półce, przez głowę przemyka jej myśl: *Czy coś błyszczy na ziemi?*

Jakiś drut?

Coś łapie ją za kostkę; pociąga, zrywa się - metaliczny świst!

Brzęk metalu z następnego przejścia; malutki, stalowy klucz mknie po deskach.

Nagle Sigrud krzyczy:

- Padnij! Już!

Czarny obłok dymu unosi się wzdłuż przejścia po prawej.

Następuje po nim dziki rozkwit pomarańczowych płomieni i ogłuszający wstrząs.

Fala żaru uderza ją z prawej strony. Shara wzlatuje w powietrze. Uderza o półki obok, strącając z nich starożytnie skarby.

Skórzana torba leci w górę, wymiotując niekończącym się strumieniem złotych monet; serpentyna z białych wstążek uderza w ziemię i zmienia się w liście.

Kurz, metal i stare drewno wirują wokół niej. Shara opada na ziemię, chwyta się półki, ale nie może wstać.

Ogień szaleje po jej prawej. Dym wiję się i unosi przy suficie, niczym czarny kot, który znalazł azyl w promieniach słońca.

Po lewej figura Taalhawras spada z półki. Sigrud niezręcznie przedziera się, by uklęknąć przy Sharze.

- Wszystko w porządku? - pyta. Dotyka boku jej głowy. -Straciłaś trochę włosów...

- Co to kurna był za cud? - dyszy Shara.

- Żaden cud - stwierdza Sigrud. Spogląda na rozpowszechniający się ogień. - Mina. Wydaje mi się, że zapalająca, chyba że nie zadziałała właściwie.

- Co tam się do cholery dzieje? - wrzeszczy Mulaghesh.

Gdzieś w ciemności świergocze wiele drobnych głosów.

Płomienie suną po kurzu na podłodze, wskakują na półkę, wtulają się w zawinięte w koc zwłoki.

- Musimy stąd wyjść - mówi Sigrud. - To miejsce jest tak suche i stare, że spali się w jednej chwili.

Shara spogląda na rosnące płomienie. Góra półki po jej prawej jest całkowicie nimi objęta.

- Było tam puste miejsce - mruży do siebie. - Na tej półce z przodu. Coś zostało skradzione. — Próbuje je wskazać; jej palec chwiejnie i opada na ziemię.

- Musimy wyjść - mówi ponownie Sigrud.

Słysząc huki w ciemności. Coś piszczy w ogniu.

- Co się tam dzieje, do kurwy nędzy? — ryczy Mulaghesh.

Shara spogląda na Sigruda. Kiwa głową.

Ten bez problemu przerzuca ją sobie przez ramię.

- Wychodzimy! - krzyczy do Mulaghesh.

Biegnie wzdłuż przejścia, skręca w prawo i kieruje się prosto w stronę kamiennej framugi.

Rubinowy błysk prześwieca przez las górujących nad nimi póltek.

Dekady, myśli Shara. Setki lat. Więcej.

Stracone. Wszystko stracone.

Sigrud odstawia Sharę na ziemię, gdy są już z powrotem w Siedzisku Świata.

Ta kaszle.

- Jak źle jest ze mną? - pyta słabo.

Sigrud nakazuje jej, by poruszyła palcami rąk i nóg. Shara wypełnia

jego polecenie.

- Nie jest źle - orzeka Sigrud. - A nawet całkiem nieźle. Straciłaś większość brwi. Trochę włosów. A twarz masz czerwoną, bez poważnych poparzeń. Miałaś szczęście. - Spogląda na inferno szalejące po drugiej stronie kamiennej framugi. — Nie sądzę, żeby ten, kto zastawił pułapkę wiedział, co dokładnie robi. Ale kiedy to usłyszałem... - Kręci głową. - Taki dźwięk wydaje tylko jedna rzecz na świecie.

Mulaghesh opiera się na jednym z żołnierzy i pomiędzy napadami kaszlu próbuje zapalić kolejną cygaretkę.

- Więc te skurwysyny zaminowały Magazyn? Na wypadek, gdybyśmy poszli za nimi?

Piekący żar wlewa się przez framugę.

Cały czas, myśli Shara, byli o jeden krok przede mną.

- Zawalmy już ten cholerny tunel - mówi Shara - i skończmy z tym przeklętym miejscem.

W ciemności Magazynu, legendy i skarby skręcają się i giną w płomieniach. Tysiące książek obraca się w wirujący pył. Płomienie pożerają obrazy od wewnątrz. Wosk tworzy na podłodze kałuże, spływając z wielu świec ułożonych w stosy na półkach, wdrapując się w powykęcane tęczce nad drewnianymi listwami. W niektórych głębszych cieniach niewidzialne głosy szlochają ze smutkiem.

Ale nie wszystko zostaje zniszczone.

Wielki gliniany dzban stoi na półce, pławiąc się w żarze. Na jego błyszczącej powierzchni widać wiele delikatnych, czarnych śladów po pociągnięciach pędzla: pieczęcie potęgi, obrony i spętania.

W szalejącym żarze atrament bulgocze, pęka i blednie. Pieczęć z wosku wokół korka spływa w dół po powierzchni dzbanu.

Coś w środku zaczyna warczeć, powoli rozumiejąc, że jego więzienie się rozpada.

Dzban zaczyna kiwać się na boki. Gwałtownie spada z półki i roztrzaskuje się o ziemię.

Wybucho ciemnością. Jego zawartość rozszerza się gwałtownie, przewracając półki niczym domino. Więzień dzbanu rośnie, aż prawie dotyka sufitu Magazynu.

Pojedyncze, żółte oko obejmuje wzrokiem płomienie, dym, palące się półki.

Piskliwy głos krzyczy w zwycięskim gniewie: Wolny! Nareszcie wolny!
Nareszcie wolny!

Obchodzę się z wami delikatnie moje dzieci, albowiem was kocham.

Jednak miłość i delikatność nie tworzą czystości; na czystość można zasłużyć biedą, karą i umoralnieniem. Tak oto stworzyłem te święte istoty, by pomóc wam odnaleźć waszą drogę i by nauczyły was tego, czego ja nie jestem w stanie:

Uknie, niebiańskiego wędrowca i krocącego po murach, obserwatora i zaklinacza. Dostrzeże w was słabości, których sami nie widzicie, i sprawi, że będziecie z nimi walczyć, aż wzniesiecie się ponad siebie.

Usinę, podróżniczkę i wagabundę, okienną petzaczkę i kobietę z popiołu. Strzeżcie się biednych nikczemników, którymi poniewieraliście, jako że mogła to być Usina, a jej zemsta jest długa i bolesna.

A dla tych, którzy nie mogą zostać oczyszczeni, którzy nie okazują skruchy, którzy nie zechcą poczuć wstydu żyjącego w naszych sercach — dla tych jest Uraw, potwór morski i pływak rzeczny, ten o wielu zębach i jednym jasnym oku, mieszkawiec mrocznych miejsc. Grzesznicy, którzy są ślepi na światło, spędzą wieczność w jego brzuchu, paląc się pod jego pogardliwym spojrzeniem, aż zrozumieją poznają moją słusność, moje przebaczenie i moją miłość.

- KOLKASZTAWA, KSIĘGA TRZECIA

POZNASZ BÓL



od Driński siedzi na brzegu Sołdy i wmawia sobie, że nie jest aż tak pijany, jak mu się wydaje. Wypił większość butelki śliwkowego wina i myśli, że gdyby był tak pijany, to wino zaczęłoby smakować wyraziście i kwaśno. Ale póki co smakuje ono piekielnie dobrze i rozlewa się słodko na języku. A on potrzebuje wina, by przetrwać zimno - przecież jego oddech zamienia się już w parę! I spójrzcie na te

wielkie, lodowe kry na Sołdze; na sposób, w jaki czarna woda bulgocze w miejscach tak cienkich i przezroczystych jak szkło! Trwa chłodna noc, więc Vod myśli, że chyba powinno mu się wybaczyć jego słabość, nieprawdaż?

Spogląda na wschód, w stronę murów Bułykowa - wielkich białych klifów błyszczących w świetle księżyca. Spogląda na nie groźnie.

- Powinno! - mówi i beka. — Powinno mi się wybaczyć.

Gdy tak patrzy, nagle zdaje sobie sprawę, że na wzgórzu za nim zapaliło się dziwne, migoczące pomarańczowo światło.

Pożar. Wygląda na to, że pali się jeden z magazynów tamtejszego kompleksu.

- Ojej. - Vod drapie się po głowie. Czy powinien kogoś powiadomić? W tej chwili wygląda to na trudne przedsięwzięcie, więc tylko wypija kolejny łyk wina i wzdycha. - Ojej - powtarza.

Ciemny cień pojawia się przy siatce płotu wokół kompleksu magazynów. Coś niskiego i wielkiego.

Przeciągły, zgrzytliwy pisk. Ciemny kształt wzbiera przy płocie; druty siatki rozciągają się i pękają niczym struny harfy.

Coś wielkiego rusza w dół zbocza. Vod zakłada, że to niedźwiedź. To musi być niedźwiedź, ponieważ tylko niedźwiedź może być taki duży, głośny, sapiący i warczący... Niemniej brzmi to na coś znacznie, znacznie większego od niedźwiedzia.

Podbiega do granicy drzew i skacze.

Pijane oczy Voda widzą to tylko przez chwilę. Dymi się-być może ucieka z tamtego pożaru. Ale Vodowi wydaje się, że poprzez dym widzi coś grubego i bulwiastego, coś z wieloma pazurami i wąsami błyszczącymi w świetle księżyca.

Stworzenie uderza w lód na rzece i z głośnym trzaskiem wpada gwałtownie do ciemnej wody. Vod widzi, jak to coś rusza się pod lodem. Teraz wygląda na długie i falujące, niczym piękny, omszały kwiat. Z pełnym wdzięku wybiciem wprawia się w ruch i płynie pod prąd, w stronę białych murów Bułkowa. Kiedy się obraca, Vod dostrzega delikatną żółtą poświatę na jego powierzchni, łagodną fosforescencję, która bardzo go niepokoi.

Stwór znika w dole rzeki. Vod spogląda na połamany lód: jest gruby przynajmniej na pół metra. Co sugeruje, że cokolwiek na niego skoczyło, było bardzo, bardzo ciężkie...

Vod podnosi dzbanek, wacha go i spogląda mu w szyjkę, niepewny czy kiedykolwiek jeszcze kupi tę samą markę.

Fiwriem i Sohwrana siedzą w małym szałasie pod Mostem Sołdańskim, pilnując światła słabej lampy. To dość nietypowy czas na łowienie w Sołdze ryb, ale ci dwaj mężczyźni znają pewien sekret: bezpośrednio pod mostem, tam, gdzie Sołda jest najszersza i najgłębsza, zbierają się dziesiątki pstrągów, jak twierdzi Fiwriem, prawdopodobnie w poszukiwaniu jedzenia i ciepła.

- Tak daleko od wiatru, jak to tylko możliwe - mówi za każdym razem, gdy opuszcza czarną żyłkę do małego przerębla.

- I mądrze robią - mruczy Sohwrana.

- Narzekasz? Ile złapałeś zeszłej nocy?

Sohwrana przykładła dłonie odziane w rękawiczki bliżej ognia w zawieszonym koksowniku.

- Sześć - przyznaje.

- A poprzedniej nocy?

- Osiem. Ale muszę przyrównać liczbę ryb, jakie złapię z liczbą palców u nóg, które sobie przy tym odmrozę.

- E tam - mówi Fiwriej. - Prawdziwy rybak musi być ulepiony z twardszej gliny. To męska robota. Wymaga mężczyzny.

Ale inna męska robota, myśli Sohwrena, czeka w miękkich, ciepłych ramionach kobiety. Czy to takie niemęskie, że wolałby być tam, a nie tu?

Szałas wypełnia delikatne stukanie.

- Coś się złapało? - pyta Sohwrena.

Fiwriej sprawdza chorągiewkę zawieszoną nad sześciocalowym przerębłem; biała flaga na czarnej żyłce trzęsie się lekko.

- Nie - odpowiada. - Może się z nią bawią.

Do stukania dołączają wysokie piski, jakby ktoś pocierał rękami o szybę. Zanim Sohwrena ma czas to skomentować, chorągiewka na jego własnej wędce także zaczyna tańczyć.

- Mam to samo - mówi. - Nic się nie złapało, ale się... rusza.

Fiwriej szarpie swoją czarną żyłką.

- Może się myl... Czekał. - Szarpie po raz kolejny. - O coś się zahaczyło.

Sohwrena przygląda się, jak chorągiewka drga na wędce Fiwrieja.

- Jesteś pewien, że nic się nie złapało? — pyta Sohwrena.

- Nie puszcza. Jakby zaczepiło się o skałę. Co tak piszczy?

- Może wiatr? - Sohwrena, ciekawy, ciągnie za własną żyłkę. Ta również nie puszcza. - Z moją jest to samo. Obydwe nasze żyłki się o

coś zaczepiły? — Kręci głową. - Jeszcze kilka minut temu nic na nich nie mieliśmy.

- Może to śmieci, poniósł je prąd rzeki i coś się zaczepiło.
- Ale dlaczego żyłki się nie zerwały? - Sohwrna przygląda się lodowi poniżej. Być może ponosi go wyobraźnia, ale wyobraża sobie delikatne, żółte światło prześwitujące w jednym miejscu przez szron.
- Co to? - pyta i wskazuje to miejsce.

Fiwriem reaguje z opóźnieniem i też wpatruje się w żółte światło.

- Co to jest?
- Właśnie pytam.

Mężczyźni spoglądają najpierw na to zjawisko, a potem siebie nawzajem.

Ogień w koksowniku stopił trochę leżącego na lodzie śniegu; wstają więc i zaczynają uprzątać stopami resztę, aż lód staje się bardziej przejrzysty.

Fiwriem rozdziawia usta.

- Co do...? Na niebiosa, co to...?

Coś przykleiło się do wewnętrznej strony lodu, bezpośrednio pod nimi. Sohwrnie przypomina to widzianą kiedyś, przywiezioną z wybrzeża rozgwiadę, ale jest daleko większe, o średnicy prawie dziesięciu metrów i wielu, wielu ramionach, niektórych szerokich, a niektórych cienkich i delikatnych. W ich centrum błyszczy jasne światło i rozwiera się paszcza o wielu zębach, która zasysa lód, aż czarne dziąsła piszczą.

Stukot i huk się wzmagają. Sohwrna spogląda na końce ramion bestii i dostrzega wiele małych pazurów, drapiących lód wokół nich w

idealnym okręgu.

- Och, nie - mówi Sohwrena.

Światło miga dwukrotnie. To oko. To oko! - myśli Sohwrena. Z głośnym trzaskiem lód pod nimi ustępuje i pysk wypełniony tysiącami zębów otwiera się bezgłośnie.

Herbaciarnia Vohskoweniej zawsze ma niezły obrót, gdy tylko załamuje się pogoda, Magja Vohskoweniej sama rozumie, że to niekoniecznie jakość herbaty przyciąga tu klientów. Sama żywi opinię, że jej herbaciarki to kompletne beztalencia - ale gdzieś pomiędzy niekończącym się przepływem gorącej wody, wrzącymi kociołkami oraz dziesiątkami małych gazowych lamp oświetlających jej pomieszczenia, w herbaciarni Magji zawsze kotłuje się prażąca wilgotność, która wydawałaby się nie do zniesienia podczas normalnej pogody, ale jest nad wyraz zachęcająca w brutalnej ciemności zimy.

Handel herbatą na Kontynencie znacząco rozkwitł w ostatnich dekadach: to, co uprzednio uznawano za obrzydliwą sajpurską ekscentryczność, teraz stało się znacznie bardziej atrakcyjne gdyż klimat na Kontynencie ochładzał się z każdym kolejnym rokiem. Istniał też jeszcze jeden dodatkowy czynnik, który odkryła Magja, stary i prawie zapomniany, związany z zielarstwem: herbaty parzone z dodatkiem opium są o wiele bardziej... odstresowujące niż reszta. Po wprowadzeniu w życie owej sekretnej receptury zyski Magji zwiększyły się pięciokrotnie.

Magja zezuje na tłum ze swego miejsca w kuchennych drzwiach. Klienci oblegają stoły niczym szukający azylu uchodźcy. Ich włosy kręcą się, wiją i połyskują w ciepłe. Miedziane lampy rzucają słupy ochrowego światła na przemoczone, drewniane ściany. Zachodnie okna, które zwykle wychodzą na malowniczo rozciągającą się rzekę, teraz są tak zamglone, że wyglądają jak tosty ze zbyt dużą ilością śmietanki.

Mężczyzna przy barze próbuje chwycić swoją filiżankę, mrugając sówio. Magja zatrzymuje kelnera i wskazuje na mężczyznę.

- Za dużo — mówi i odsyła chłopca dalej.
- Dobrze idzie, jak na tę godzinę - mówi jeden ze służących, który zatrzymuje się, by otrzeć czoło.
- W zasadzie zbyt dobrze — mówi Magja. — Oprócz balkonu na drugim piętrze wszystko pełne.
- Jak to zbyt dobrze?
- Nie możemy pozwolić, by chciwość przesłoniła nam mądrość, mój kochany. - Magja klepie go po policzku. - Żadnych specjalnych mieszanek przez następny tydzień.

Kelner próbuje opanować swoje zdziwienie.

- Żadnych?
- Żadnych. Wolałabym nie wzbudzać jakichkolwiek podejrzeń.
- Ale co powiemy, jeśli ludzie zaczną narzekać na... jakość herbaty?
- Powiemy — odpowiada Magja — że zostaliśmy zmuszeni do użycia nowego typu beczki, co wpłynęło na smak. Nie wiem, jakiś nowy przepis sajpurskiego handlu. Uwierzą w to.

I powiemy, że wkrótce naprawimy sytuację.

Kelnera w pogardliwy sposób przywołuje para przy barze, mężczyzna w średnim wieku, obejmujący ramieniem chichoczącą młodą kobietę o krągłych kształtach. *Za czasów mojej babci*, myśli Magja, *za takie zachowanie w miejscu publicznym należałaby się chłosta. Jakże wszystko się pozmiało...*

- No dalej - mówi. — Zatkaj im czymś gęby, żeby się zamknęły.

Kelner odchodzi. Wzrok Magji, wyczulony na kłopoty, zauważa coś niepokojącego na górnym balkonie: jedna z lamp zaczęła dziwnie migotać.

Magja stęka, wchodzi po schodach i dostrzega, że się myliła: lampa nie migocze, ale podskakuje na łańcuchu, podrywając się i bujając niczym złapana na wędkę ryba.

- Co do...? - Magja spogląda wzdłuż łańcucha na belkę, do której lampa jest przymocowana.

Obserwuje z podziwem, jak belka wygina się, jakby ciągnęło ją coś na dachu. W tynku na suficie pojawiły się nawet pęknięcia, które rozprzestrzeniają się jak na lodzie pękającym pod wpływem zbyt dużego ciężaru.

Pierwszym odruchem Magji jest spojrzeć na okno, ale przypomina sobie, że przecież wszystkie są zaparowane... Dostrzega jednak, że i tu się myli: coś częściowo wytarło parę z zewnętrznej strony zachodnich okien.

Ale co mogło coś takiego zrobić, zastanawia się Magja, skoro jesteśmy na rzece, dziesięć metrów nad poziomem wody?

Podchodzi do okna, ściera warstwę wilgoci od wewnątrz i wygląda przez rozmazaną szybę.

Pierwszym, co widzi, jest pojedyncze żółte światło na brzegu rzeki poniżej.

Drugim, co widzi, jest coś dużego, czarnego i lśniącego, przyklepionego do ściany sklepu. Jak korzeń pokryty smołą, który jednak się rozwija, przylegając do coraz większej powierzchni muru.

Trzecim, co widzi, jest coś znajdującego się zaraz przed nią: zdaje się

to być długi i cienki czarny palec wznoszący się po drugiej stronie szyby. Ciemny szpon na jego końcu sięga i delikatnie stuka w szybę.

- Co...? - pyta Magja.

Następnie rozlega się grzmot, spada deszcz tynku i drewnianych odłamków, i cienia, ciepła wilgoć Herbaciarni Vohskowenej wznosi się pospiesznie w nocne zimowe powietrze, jako że sufit i górna część ścian zostają całkowicie oderwane od reszty.

Magja mruga, gdy dopada ją wiatr. Większość klientów jest zbyt zamroczone, by krzyknąć, ale części z nich udaje się znaleźć gardła. Niższa część ściany także odpada, krusząc się do zamrożonej rzeki i pociągając ze sobą balkon z drugiego piętra -oraz Magję Vohskowenej.

Spadając, Magja dostrzega, że ten sam los spotkał wielu jej klientów. *Rozbijemy się o lód, myśli gorączkowo, jak garstka jajek.* Ale w tych niekończących się sekundach, gdy obraca się w powietrzu, dostrzega także, że lodu już tam nie ma: widzi tylko żółte światło, wzburzone macki i pysek o wielu zębach, który właśnie się otwiera.

- Powiedziałam, że chcę, by *każdy* wolny żołnierz pomógł przy pożarze! - ryczy na dole Mulaghesh. - Upewnij się, żeby w telegramie położyć nacisk na *ilu tylko się da!* I niech kapral wie, że jeśli będzie cokolwiek utrudniał, to poniesie *poważne* konsekwencje!

Shara krzywi się, siedząc w biurze. Mulaghesh całkowicie przejęła kontrolę nad znajdującym się poniżej biurem ambasady, konfiskując każdy telegraf i ustawiając żołnierzy przy wszystkich wejściach. Normalnie zawiadywałyby wszystkim ze swoich kwater, ale ambasada była znacznie bliżej.

- Skontaktuj się z generałem Noorem w Forcie Sagreshy! — krzyczy Mulaghesh. — Trzeba go o tym zawiadomić i poprosić o całe wsparcie, jakiego jest w stanie udzielić. I natychmiast przyjdź do mnie z

odpowiedziami, nawet jeśli powiem, żeby mi *nie* przeszkadzać!

Shara pociera skronie.

- Na morza — mruży. — Czy ta kobieta nie może mówić ciszej? - Shara cieszy się, że Mulaghesh przejęła dowodzenie, a skoro technicznie sprawa podlega pod jurysdykcję Mulaghesh, Shara ma dość powodów, by się nie wtrącać. Niemniej osobiście wolałaby, żeby Mulaghesh i cała reszta po prostu sobie poszli.

Sigrud siedzi w kącie jej biura i ostrzy swój czarny nóż. Zgrzyt zdaje się narastać, aż Shara czuje, jak odbija się echem w jej głowie.

- Musisz robić to teraz? - pyta.

Sigrud zaczyna ostrzyć swój nóż nieco delikatniej.

- Zdajesz się być w złym humorze.

- Prawie zostałam dziś wysadzona w powietrze.

Sigrud wzrusza ramionami i spluwa na nóż.

- Nie po raz pierwszy.

- I doszczętnie spaliliśmy dokonania setek lat bezcennej historii! - syczy Shara, nie wając się mówić głośniej.

- No i?

- No i... W całej swojej zawodowej karierze *nigdy* nie doświadczyłam takiej porażki! A nie lubię porażek. Nie *przywykłam* do nich.

Odgłos ostrzenia zwalnia, gdy Sigrud nad czymś się zastanawia.

- To prawda, że nigdy nie mieliśmy do czynienia z taką pomyłką.

- Pomyłką? Od czasu, gdy pojawiliśmy się w Bułykowie, nie robimy

nic innego, jak tylko popełniamy błąd za błędem! -Shara łapczywie pije herbatę. Wygląda jak marynarz sączący whiskey.

- Ale to chyba dobrze, popełnić wszystkie błędy za jednym podejściem.

- Twój optymizm - mówi Shara - jest nie na miejscu. Prawie żałuję, że tu przyjechaliśmy.

- Prawie?

- Tak, prawie.Bo... jakkolwiek *posrana* jest ta sytuacja, nie chciałabym, żeby zajmował się nią ktoś inny z Ministerstwa. Pomyśl tylko, co by się stało, gdyby znaleźli się tu Komalta albo Yusuf!

- Nawet nie wiedziałem, że jeszcze żyją. Myślałem, że już dawno udało im się zabić.

- Właśnie! - Shara wstaje, podchodzi do okna i otwiera je. - Potrzebuję powietrza. Głowa mi pęka od tego *hałasu!* -Oddycha przez chwilę, nasłuchuje i przeciera w irytacji oczy. -Nawet na ulicach krzyczą! Czy w całym cholernym mieście nie ma jednego cichego... - Zamiera. - Czekał. Która godzina?

Sigrud dołącza do niej przy oknie.

- Późna. Zbyt późna na taki hałas. - Przechyla głowę. -A już na pewno na takie krzyki. Nie przesadzałaś.

Shara przygląda się ciemnym ulicom Bułykowa.

- Co się dzieje?

Kolejne wycie pośród nocy. Ktoś biegnie wzdłuż ulicy na dole, wrzeszcząc nieskładnie.

- Nie mam pojęcia — mówi Sigrud.

Na dole Mulaghesh ze złością dyktuje odpowiedź dla generała Noora, uściślając, że *nie* był to bezpośredni atak, ponieważ oznaczałoby to zagrożenie dla ich bezpieczeństwa, ale Noor powinien działać tak, jakby to *był* atak bezpośredni, jako że potrzebują *natychmiastowej* pomocy.

Shara otwiera okno na oścież. Słyszy dudnienie dochodzące ze strony rzeki. Ponad dachy wzbija się chmura białego kurzu.

- Czy właśnie zawalił się jakiś *budynek*?- pyta Shara.

Więcej ludzi biegnie wzdłuż ulic. W oknach zapalają się świece; drzwi otwierają się gwałtownie. Jakiś mężczyzna krzyczy, pytając raz po raz co się dzieje. W końcu ktoś odpowiada:

- *Coś jest w wodzie! Coś jest w wodzie!*

Shara spogląda na Sigruda, ale może jedynie zapytać:

- Co?

Krzyk z dołu.

- Shara! — wrzeszczy Mulaghesh. - Jakiś kretyn ma do ciebie sprawę!

Shara z Sigrudem schodzą w dół. W drzwiach stoją Pitry i wyraźnie bardzo zdenerwowanego policjant.

- Wiadomość z Bułkowskiego Wydziału Policji - mówi Pitry. - Dla pani ambasador Thivani, od kapitana Nesrhewa.

- Pozbądź się tego gościa - mówi Mulaghesh. - Tonę już w wystarczającej ilości gówna.

Shara bezowocnie poszukuje wewnętrznego spokoju.

- O co chodzi?

Policjant przełyka ślinę, poci się.

- Ee...ewakuujemy wszystkie domy i budynki przy rzece. Ambasada jest priorytetem - oznajmia, jakby chciał zasugerować: *I przypadło to oczywiście mnie* - dlatego wszyscy państwo musicie niezwłocznie opuścić budynek.

Mulaghesh kończy inną rozmowę, po czym zrywa się na nogi.

- Czekajcie, o co do cholery chodzi? Nigdzie się nie wybieramy.
- Cóż... Kapitan Nesrhew...
- To dobry policjant, ale do cholery, nie ma prawa nam rozkazywać! To terytorium Sajpuru.
- My... Zdajemy sobie z tego sprawę, pani gubernator, ale... *stanowczo* sugerujemy, żeby pani oraz pani ambasador szybko się stąd ewakuowały.
- Dlaczego? - pyta Shara.

Policjant poci się jeszcze bardziej.

- My... Nie możemy jeszcze powiedzieć.
- Czy ma to związek z tym, co dzieje się na zewnątrz? - pyta Shara.

Policjant niechętnie kiwa głową.

- A co właściwie się dzieje?

Policjant zdaje się zastanawiać, czy im powiedzieć; w końcu przygarbia się, jakby miał zamiar wyjawić coś zawstydzającego.

- Coś... jest w Sołdze — mówi. — Coś dużego.
- I?

- I... zabija ludzi. Porywa ich z brzegu.

Mulaghesh masuje sobie środek czoła.

- Och, na morza...

- Nawet wyszło na brzeg i zaatakowało budynki - mówi policjant. - Jest... wielkie. Nie wiem co to, ale ewakuujemy wszystkie dzielnice w pobliżu rzeki. Dotyczy to także ambasady.

- I zaczęło się to bardzo niedawno? - pyta Shara. - W ciągu ostatnich kilku godzin?

Policjant kiwa głową.

Shara i Sigrud patrzą się na siebie w milczeniu. Wzrok Shary pyta: *Z Magazynu?* Sigrud ponuro kiwa głową: *Zdecydowanie.*

- Dziękujemy panu za powiadomienie nas - mówi Shara. Wyciąga rękę i Sigrud rzuca jej płaszcz. - Wkrótce opuścimy ambasadę. Gdzie jest teraz Nesrhew?

- Jest na Moście Sołdańskim i obserwuje - mówi policjant. - Ale dlaczego...?

- Doskonale - Shara zakłada płaszcz. - Z chęcią do niego dołączymy.

Niskie mury Mostu Sołdariskiego nie stanowią żadnej ochrony przed zimnym wiatrem, więc prawie wszyscy kulą się tak nisko, jak to tylko możliwe. Shara chciałaby zawinąć każdą wystającą część ciała w futra, a stopy w warstwę gumy, a Mulaghesh nie przestała przeklinać od czasu opuszczenia ambasady, choć teraz robi to nieco bardziej drżącym głosem. Kapitan Nesrhew siedzi przy ścianie, przyjmując wiadomości i gońców od swoich oficerów, którzy kryją się pośród ulic i domów stojących przy rzece. Tylko Sigrud nie zasłonił twarzy i

kucając, wpatruje się w przenikliwy wiatr wiejący nad szerokim i mroźnym bezmiarem rzeki.

Shara zagląda za mur. Sołda przypomina układankę; w łodzi pojawiło się wiele dziur o kształcie idealnych okręgów oraz półksiężyców. Dwa budynki na zachodnim brzegu mają kompletnie zdarte fasady i przednie ściany: biały wapień leży rozbity w błocie, wyglądając jak twarożek.

- To tam... - pyta Shara - tam właśnie zaatakowało?

- Tak - mówi Nesrhew. - Nie widzieliśmy tego. Powiadomiono nas zbyt późno. To cud... - przerywa, ale Shara ponaglająco macha ręką. - To dobrze, że to coś nie zaatakowało mostu. Chociaż liczymy, że i tak wytrzyma. To jedyny sposób na przekroczenie Sołdy w obrębie kilku kilometrów.

- Ilu zabitych? - pyta Mulaghesh.

- Dwudziestu siedmiu zaginionych lub martwych - mówi Nesrhew. - Porwanych z brzegów rzeki, wessanych przez łód lub wyciągniętych z własnych domów.

- O kurczę — mruczy Shara. — Więc... co to jest?

Nesrhew waha się.

— Dostaliśmy informację — mówi powoli - że to potwór morski o wielu ramionach.

Następuje cisza, podczas gdy Shara przyswaja tę myśl; Neshrew i policjanci obserwują ją, czekając na jej reakcję.

— Jak smok? - pyta w końcu.

Nesrhew wyraźnie odczuwa ulgę, że jest brany na poważnie.

— Nie, jakby... bardziej potwór morski. Ale ogromny. Shara kiwa

głową, zastanawiając się. *Potwór morski o wielu ramionach*, myśli. *To zostawia bardzo krótką listę możliwości...*

— Więc czy wie pani, co to do cholery może być? - pyta Nesrhew.

Shara patrzy, jak kawałki zrujnowanych budynków odrywają się i z pluskiem wpadają do rzeki.

— Mam kilka pomysłów - mówi. - Ale... Cóż. Powiem tylko tyle, że podejrzewam, iż to coś jest pogwałceniem Regulacji Międzynarodowych.

Weteran Nesrhew po raz pierwszy wygląda na zszokowanego.

— Twierdzi pani, że to coś jest boskiej natury?

— Być może. Nie wszystko, co boskiej natury jest dobre czy pobożne
— mówi Shara.

— Więc co zrobimy? - pyta jeden z poruczników Nesrhewa. -
Ukarzemy to grzywną?

Sigrud wzdycha.

Shara prostuje się.

— Widzisz to?

— Coś widzę. - Sigrud przechyla głowę i mruży oczy. Wszyscy zerkają ponad murem Mostu Sółdańskiego. Jakieś pół kilometra na południe, mdłe, żółte światło prześlizguje się pod grubym lodem w stronę wschodniego brzegu.

— Są tam Michaił i Ornost — odzywa się zaniepokojony Nesrhew. —
Kryją się tuż za murem na brzegu.

Żółte światło zatrzymuje się. Następnie jakieś niewyraźne trzaski odbijają się echem wzdłuż rzeki. Shara patrzy w zdumieniu, jak na

lodzie pojawia się szeroki okrąg, jakby ktoś ostrożnie piłował go spod wody.

- Viktorze — mówi Nesrhew do jednego z policjantów — idź tam i powiedz tamtej dwójce, żeby stamtąd uciekali, i to już. -Policjant biegnie.

Krąg lodu tonie powoli i wsuwa się pod zamarznąłą tafelę. *Sprawny stwór*, myśli Shara. Żółte światło pnie się przez dziurę. Nesrhew przeklina kwieciście. Coś bardzo małego i cienkiego wychyla się z przerębła i obraca w powietrzu, jakby za czymś węszyło. Na skraju tafli pojawia się dużo więcej cienkich kończyn - macek?

Żółte światło chowa się. *Przygotowuje się do skoku*, zdaje sobie sprawę Shara...

Stwór wyskakuje z wody, wysyłając w powietrze odpryski lodu; erupcja jest tak potężna, że mgła dociera nawet do nich.

Nesrhew i jego policjanci zaczynają krzyczeć; Mulaghesh przykłada dłoń do ust; Shara i Sigrud, przyzwyczajeni już do takich horrorów, obserwują wszystko w milczeniu.

To nie do końca meduza ani kałamarnica, ani też właściwie krewetka, ale prawie dziesięciometrowa kombinacja wszystkich trzech: lekko prześwitujący stwór o długim, czarnym i opancerzonym grzbiecie i — być może — głowie, z pyskiem prawie ukrytym za kręcącym się zestawem mlójących macek, które są wystarczająco długie, by już badać brzeg, wznosząc się niczym ostrza falangi.

Dwa kształty pojawiają się na brzegach i uciekają z krzykiem. Wygląda na to, że jedna z postaci porusza się zbyt wolno - macka wystrzeliwuje w jej stronę i postać obraca się.

- Na wszystkich bogów, *nie* - szepce Nesrhew. Ale kolejny policjant przybiega z płonąłą pochodnią, którą okłada zbliżające się macki. Stwór zatrzymuje się na wystarczająco długo, by obaj policjanci

zdołali odbiec z dala od brzegu Sołdy.

Stwór wspina się dalej na brzeg i piszczy na nich w dziwny, ptasi sposób. Jego macki przeszukują okolicę, podnoszą kamienie i rzucają nimi w wycofujących się policjantów. Żaden z kamieni ich nie trafia; większość uderza w dach i ściany małego i niezbyt szczęśliwie umiejscowionego domu. Stwór popiskuje jeszcze dwa razy, po czym wycofuje się z powrotem pod lód, gdzie płynie dalej z prądem rzeki.

- *Bogowie* — mówi Nesrhew. - *Bogowie. Co to jest?*

Shara kiwa głową, zadowolona, że jej przeczucie było trafne.

- Chyba wiem. - Wyciera okulary szalem. *Ten, który czeka w mrocznych miejscach, myśli. I wciąga tam niegodnych i pożera ich...* — Kapitanie Nesrhew, wierzę, że właśnie mieliśmy okazję zobaczyć legendarnego Urawa.

Krótką ciszą.

- *Urawa?* - pyta policjant. - *Urawa Karzącego?*

Nesrhew klepie go nerwowo, jakby chciał powiedzieć: *Wie pan, z kim ma do czynienia?*

- Proszę się tak nie patrzeć, kapitanie - mówi Shara. - Może pan spokojnie przyznać, że zdaje sobie sprawę z jego istnienia. Nawet jeśli Regulacje Międzynarodowe zabraniają przyjęcia tego do wiadomości. Usprawiedliwiają pana... okoliczności.

- Myślałem, że Uraw to bajka - mówi niechętnie jeden z policjantów.

- Och, nie - odpowiada Shara. - Kolkan lubił wykorzystywać chowańce i boskie stworzenia, by wykonywały za niego pracę. Uraw był z nich najgorszy, najniebezpieczniejszy— i możliwe, że był jego ulubieńcem. — Przygląda się złotemu oku, obracającemu się pod lodem, być może obserwującemu brzeg, poszukującemu grzeszników.

Ale dla Urawa, przypomina sobie Shara, kto nie jest grzesznikiem? — Stworzenie z głębin, w którego brzuchu dusze przeklętych kulą się pod jego spojrzeniem.

- Więc co, do cholery, robi w moim mieście, zabijając niewinnych ludzi? - pyta Nesrhew.

- Nie jestem jeszcze w stanie panu odpowiedzieć - mówi Shara, co jest oczywiście kłamstwem. Przypomina sobie coś, co przeczytała, będąc jeszcze w Ghaladeshu: po nagłym zniknięciu Kolkana, Uraw podobno oszalał bez nadzoru swego twórcy. Dżukow był zmuszony go pochwyć, zwabiając do dzbanu z winem, wydestylowanym z ludzkiego grzechu. I tam go uwięził.

I jeśli to wszystko prawda, myśli Shara, to istnieje tylko jedno prawdopodobne miejsce, gdzie taki dzban mógł być przechowywany

Cicho przeklina się za potknięcie się o tamten drut. Kto wie, co jeszcze wypuściłam z powrotem na świat?

- Co, do cholery, możemy zrobić z tym czymś? - pyta Mulaghesh.

- Cóż - odzywa się Shara. - Niektóre z pomniejszych boskich stworów *mogą* zostać zabite normalnymi sposobami. Działają w określony sposób, mają więc też swoje słabości. Przypomnijcie sobie Wielką Czystkę - dokonano jej nożami, włóczniami i siekierami.

Policjanci skrecają się nieco, słysząc dyskusję na tak zakazany temat. Niektórzy wyglądają na oburzonych, nawet zgorszonych; Shara jest zadowolona, że nie wspomniała, iż kilka godzin wcześniej sama dokonała podobnego wyczynu.

- Nie podoba mi się pomysł - mówi Nesrhew - żeby wystarać na niebezpieczeństwo moich oficerów, zmuszając ich do strzelania do tego czegoś na rzece.

- Bełty i tak nie przebiją lodu - zauważa Mulaghesh.

- Powinniśmy zaczekać, aż lód stopnieje - mówi Nesrhew - albo rozpalić na nim ogniska i wtedy zobaczymy co dalej.

- To znaczy co? - pyta Mulaghesh. - Zaatakujecie z łodzi? Włóczykami? Jak wieloryba?

Nesrhew się waha; rozgląda się po swoich oficerach, którzy nie wyglądają na zachwyconych tym pomysłem.

Sigrud wzdycha po raz kolejny, jakby się nad czymś zastanawiał.

- Mogę to zabić - mówi w końcu.

Cisza.

Wszyscy powoli odwracają się w jego stronę.

Shara spogląda na niego zaniepokojona: *Jesteś pewien, że chcesz to zaczynać?* Ale wyraz twarzy Sigruda jest nieprzenikniony.

- Co? - pyta Mulaghesh. - Jak?

- To... - robi minę, jakby cierpiał na zaparcie; jak zawsze, gdy próbuje przetłumaczyć jakieś drejlińskie powiedzenie - stworzenie z wody - dokańcza. - A ja zabiłem wiele takich stworzeń.

- Ale... Mówi pan *poważnie*? - pyta Nesrhew.

- Zabiłem wiele stworzeń z wody - powtarza Sigrud. - To trochę się różni... - Przygląda się przenikliwie, jak Uraw wyraźnie zastanawia się nad wydrążeniem kolejnego przerębla, ale rezygnuje. — Ale nie tak bardzo.

- Co dokładnie mieliby zrobić moi ludzie? - pyta Nesrhew.

- Nie wydaje mi się - Sigrud drapie się w zastanowieniu po podbródku - by w ogóle byli mi do tego potrzebni.

- Autentycznie sugeruje pan, że sam osobiście tak *po prostu* zabije koszmar boskiej natury? - pyta Mulaghesh.

Sigrud rozważa tę kwestię, po czym kiwa głową.

-Tak. Okoliczności nam sprzyjają. Rzeka nie jest aż tak duża.

- Sołda - mówi Nesrhew - jest szeroka na prawie półtora kilometra!

- Ale nie jest morzem - odpowiada Sigrud. - Ani oceanem. Do których jestem przyzwyczajony. A z lodem... - Wzrusza ramionami. - Jest to nawet bardzo możliwe.

- Proszę pana, to coś zabiło dziś już prawie trzydziestu ludzi — przekonuje Nesrhew. — Łatwo mu będzie zabić także pana.

- Być może. Ale jeśli tak... — Sigrud ponownie wzrusza ramionami - to po prostu zginę.

Nesrhew i pozostali policjanci wpatrują się w niego z niedowierzaniem.

Shara odchrząkuje.

- Zanim podążymy dalej tym tokiem myślenia - odzywa się. — Najpierw muszę zapytać, czy kapitan Nesrhew na to zezwoli.

- Dlaczego, do cholery, miałyby to mieć jakieś znaczenie? -pyta Nesrhew. - Jeśli pański człowiek zamierza dać się zabić, to wyłącznie pani sprawa.

- Cóż, pomimo Regulacji, to coś pod lodem *jest* uznawane za święte przez większość Kontynentu — mówi Shara. — To stworzenie z historii i mitów, cenione przez waszą kulturę. Część waszego dziedzictwa. Jeśli chcecie, żebyśmy to zabili... Zabili coś, co jest żywą legendą... To chcielibyśmy od was wyraźnego przyzwolenia na to, by tak uczynić.

Twarz Nesrhewa kwaśnieje.

- Próbujecie - oznajmia - chronić własne tyłki.
- Być może. Ale Uraw jest nieodłączną częścią *waszych* cennych mitów. *My* nie jesteśmy Kontynentanami. Jeśli zabijemy Urawa, dla niektórych będzie to równoznaczne ze zniszczeniem dzieła sztuki o charakterze historycznym.
- W takim razie - mówi Mulaghesh - jest to dzieło sztuki, które krąży wokół miasta i zabija ludzi.

Shara kiwa głową.

- Dokładnie.

Nesrhew wykrzywia twarz w grymasie. Gdy tak zмага się sam ze sobą, podchodzi chwiejnie trzech dyszących policjantów. Jednym z nich jest Viktor, ten, którego wysłano, by ostrzegł Michaiła i Ornosta. Pozostali to prawdopodobnie tamci dwaj. Jeden z nich trzyma się za ramię, które wygląda na śliskie od krwi.

- Michaił jest ranny — mówi Viktor. — Dorwało jego ramię i... zabrało palce.

Nesrhew zastyga. Spogląda na delikatne światło spod lodu.

- Wracajcie obaj na komendę i idźcie do izby chorych. -Spogląda na Sigruda. - Czego pan potrzebuje?

Sigrud patrzy z powrotem na rzekę.

- Będzie mi potrzebne - zaczyna z zastanowieniem - sześćdziesiąt metrów liny holowniczej, trzy liny żeglarskie po trzydzieści metrów każda, latarnia, harpun, trzy mocne włócznie oraz z dwadzieścia litrów tłuszczu.
- *Czego?* — pyta Mulaghesh.

— Tłuszczu — odpowiada Sigrud. - Zwierzęcego tłuszczu. Jeśli macie, to wielorybiego, jeśli nie, wołowego albo wieprzowego.

Mulaghesh spogląda na Sharę, która wzrusza ramionami: *Też nie mam pojęcia.*

Sigrud gładzi się po brodzie.

- Potrzebuję też, żebyście rozpalili duże ognisko na mój powrót. Bo żeby to zrobić, będę musiał się rozebrać.

- Siemię lniane - mówi Shara i wrzuca je do kotła pełnego ciepłego, wołowego tłuszczu. - Rdest wodny. Sznur o sześciu węzłach. Oraz smoła cedrowa. - Spogląda z powrotem na taczkę ze składnikami dostarczonymi z ambasady. Po rzece ponownie niosą się echem krzyki. Ignoruje je. - Sól i srebro... Z tym może być trudniej. - Wsuwa srebrną łyżeczkę deserową do torebki z solą kamienną i potrząsa nią. - Ale mam nadzieję, to wystarczy... - Całość również wysypuje do kotła.

Pitry przygląda się jej, rozdarty pomiędzy fascynacją a niewiarą.

- Myśli pani, że to coś da?

- Mam taką nadzieję - mówi Shara. Bierze garść mąki ararutowej i dosypuje. - Wszystkie boskie chowańce nie przepadały za bardzo konkretnymi składnikami... Jak zwykle, nie jesteśmy pewni, czy taki był *zamiar* Bóstw. Może miał to być sposób, by zapewnić śmiertelnym wyznawcom jakieś możliwości obrony przed własnymi tworem, tak na wszelki wypadek. Albo też był to kompletny przypadek, coś, na co żadne z Bóstw naturalnie nie mogło się przygotować. W każdym razie, boskie stworzenia można było odstraszyć za pomocą tych właśnie składników. Powodowały one duszenie się, swędzącą wysypkę, paraliż, nawet śmierć...

- Jak alergia? - pyta Pitry.

Shara przerywa, zdając sobie sprawę, że Pitry właśnie nazwał coś, z czym przez lata mieli problem sajpurscy historycy.

- Tak. Dokładnie tak.

- I Uraw ma alergię na... na to *wszystko*?

- Nie mam pojęcia. To tylko niektóre z rzeczy, jakie odstraszały boskie stworzenia. Mam nadzieję - mówi, dorzucając piołunu - że jeden czy dwa z nich dadzą jakiś efekt. Można powiedzieć, że zastosujemy szerokie spektrum.

Sigrud wraz z policjantami Nesrhewa prawie skończyli: obwiązali grubą linę holowniczą wokół samego mostu i mocno ją zacisnęli. Shara widzi, jak z Sigruda wychodzi żeglarz: w krótkiej chwili wiąże węzły, owija zwoje grubej liny wokół swoich ramion, wspina się na most, jakby miał na palcach haki. Przerzuca przez most trzy liny żeglarskie, które lądują z hukiem na lodzie. Pozwala także opaść na lód reszcie liny holowniczej, prawie trzydziestu metrom. Uraw jak na razie nie przejmuje się ich wyczynami, przedkładając nad to łupienie doków jakieś półtora kilometra w dół rzeki. Wyruszył na poszukiwanie tych, którzy postanowili zignorować nakaz ewakuacji.

Sigrud podchodzi do miejsca, gdzie leży zawinięta w zawojowane płótna broń. Podnosi jedną z włóczni, o końcu tak grubym, jak ramię Shary; u dołu znajduje się żelazna pętla, przeznaczona dla niesamowicie grubej liny. *Na jakie ryby*, myśli Shara, *przeznaczono coś takiego?* Sigrud sprawdza naciąg, kiwa z zadowoleniem głową, opada na kolano i przeciąga palcem wzdłuż ostrza harpuna.

- Dobra stal - orzeka. - Dobra jakość.

- A ty nie wątpisz - pyta Shara - w mądrość swoich decyzji?

- Robiliśmy już takie rzeczy - odpowiada. - Czym różni się od nich

ta?

- To nie jest *muowost*.
- Tamto - mówi pogardliwie Sigrud - nie stanowiło żadnego wyzwania.
- Cóż. Nie jest to też ahanasztańska *domowa* - odpowiada Shara. - Nie jest to... byle diablík czy nieszczęśnik, na którym należy przeprowadzić brutalną egzekucję.
- Za chwilę powiesz, że nie przypomina też tamtego smoka.
- To był *mały* smok - zauważa Shara. Pokazuje rękami długość około metra. - Poza tym, to *ja* go w końcu zabiłam.
- Po tym, jak ja odwaliłem całą robotę - mówi Sigrud, kręcąc nosem.
- Nie bierzesz tego na poważnie. Jakkolwiek zajmujące mogą być nasze wyczyny, *to coś* — wskazuje palcem rzekę - jest najbliższym przejawem żywego Bóstwa, jaki świat widział od dziesiątków lat!

Sigrud wzrusza ramionami.

- Jak mówiłem, jest to stworzenie z wody. Wszystkie stworzenia z wody są w gruncie rzeczy do siebie podobne. Nieważne kto je stworzył, ani skąd pochodzą.
- Jesteś tak strasznie pewny siebie, że naprawdę chcesz spróbować zrobić to *sam*?
- Im dłużej przebywa się na morzu - tłumaczy Sigrud - tym człowiek więcej się uczy. A im więcej się uczy, tym bardziej wszelka pomoc wydaje mu się niepotrzebnym kłopotem. -Ściąga płaszcz, koszulę i bryczesy, odsłaniając bardzo obcisłą i wiekową długą bieliznę. Jest muskularny, szeroki w barach, plecach i szyi, lecz zamiast wyglądać zwaliście, ma w sobie coś chudego i wilczego; jak zwierzę, które

zużywa znacznie więcej energii na walkę o pożywienie, niż jej w nim otrzymuje. - Mierzenie się ze śmiercią jest w końcu sprawą osobistą.

- Czasami... przysięgam, czasami mam dość twojego nastawienia! - desperuje Shara.

Sigrud spogląda w górę, zmieszany i nieco zaniepokojony.

- Możesz sobie uważać swoją lakoniczną niedorzeczność za cnotę, ale nie jest taką dla *mnie*. Nie dla kogoś, kto ceni twoje życie, nawet jeśli nie cenisz go ty sam. - Shara spogląda na niego, pełna szczerých obaw. - Nie prosiłam cię, żebyś to zrobił. Wiesz o tym, prawda? Nigdy bym cię o to nie poprosiła.

- Wiem — mówi.

- Więc dlaczego?

Zastanawia się.

- Dlaczego? — pyta ponownie Shara.

- Ponieważ na tym właśnie się znam - mówi Sigrud ze wzruszeniem ramion. - I jestem w tym dobry. Mogę dziś ocalić życie wielu ludziom. A zagrożone będzie tylko moje.

Shara nic na to nie odpowiada.

- Sharo Komayd, czy mam twoje błogosławieństwo?

- Nie zajmuję się błogosławieństwami - odpowiada Shara. - Ale akceptuję to, co robisz. Nawet, jeśli mi się to nie podoba.

Sigrud kiwa głową.

- Dobrze — mówi i zdejmuje podkoszulek. Shara widziała go już bez koszuli - i nie tylko bez niej - podczas lat, jakie ze sobą spędzili, ale zawsze szokuje ją płatanina strasznych blizn, ciągnących się przez

jego ramiona i plecy: dostrzega ślady wypaleń, batów, cięć, pchnięć... Ale wie, że i tak największą ranę, jaką odniósł, chowa pod rękawiczką na prawej dłoni.

Sigrud zaczyna zsuwać z siebie resztę długiej bielizny.

- Nie sądzę - mówi Shara - by konieczne było zdjęcie *wszystkich* ubr...

- E tam - mówi Sigrud i opuszcza kalesony, całkowicie nieprzejęty.

Shara wzdycha. Nesrhew i policjanci - ci wszyscy ponurzy, beznamiętni bułykowianie - wpatrują się w ten szczery pokaz nagości. Mulaghesh uśmiecha się niczym rekin.

- Chwilami - stwierdza - lubię swoją pracę.

Sigrud nie ma na sobie nic prócz butów, futerału na nóż (teraz upiętego wokół prawego uda), rękawiczki na prawej dłoni i złotej bransolety na lewej. Sięga do kotła z tłuszczem i nabiera pełną garść. Unosi brew na mąkę ararutową i inne substancje, które pływają w środku.

- Na wszelki wypadek - wyjaśnia Shara. Sigrud wzrusza ramionami i zaczyna rozsmarowywać sobie maź na ramionach, klatce piersiowej, rękach i udach.

- Daj znać, jeśli potrzebujesz pomocy - mruczy Mulaghesh. Shara rzuca jej ganiące spojrzenie; nieskruszona Mulaghesh ponownie się uśmiecha.

Sigrud zachowuje twarz i włosy na koniec. Wygląda teraz bardzo pierwotnie: brudna, dzika istota ludzka, porzucona przez wszystkich dawno temu.

- Myślę, że jestem gotowy - stwierdza. Spogląda na Nesrhewa. - Jeśli do tego dojdzie, niech się pan stara utrzymać to w okolicy mostu.

- Nie wiem, ile jesteśmy w stanie zrobić - przyznaje Nesrhew. - Ale spróbujemy.

- Nie potrzeba niczego więcej - mówi Sigrud. - Chcę, żeby skupił się na mnie. Na *mnie*, rozumie pan? — Nesrhew kiwa głową. - Dobrze. - Sigrud spogląda tam i z powrotem przez całą długość mostu, jakby nie do końca przekonany, czy cała ta konstrukcja wytrzyma. Ciągnąc za sobą naręczce broni, rusza wzdłuż mostu w stronę brzegu.

Mulaghesh podaje mu latarnię.

- Powodzenia, żołnierzu - mówi. Sigrud kiwa w zamyśleniu głową, jakby powitał go właśnie znajomy przechodzień podczas pełnego refleksji spaceru.

Zatrzymuje się przy Sharze, ściąga z ręki złotą bransoletę i podaje jej.

- Przechowam ci ją - mówi Shara.

- Wiem. Jeśli dziś *zginę*... - Sigrud wpatruje się z wahaniem w lodowy bezmiar Sołdy. - Moja rodzina... Czy...?

- Upewnię się, żeby twojej rodzinie dobrze się wiodło — mówi Shara. - Wiesz o tym.

- Ale czy powiesz im... o mnie? Kim byłem?

- Tylko, jeśli będzie to bezpieczne.

- Dziękuję — mówi i kiwa głową. Kroczy do zejścia z mostu.

- Słuchaj, Sigrud... jeśli do tego dojdzie, prawdopodobnie Uraw wcale cię *nie* zabije.

Sigrud ogląda się w jej stronę.

- Co?

- Możliwe, że ludzie, których dziś zabrał, nie są wcale martwi. Właściwie to mógł ich spotkać los *gorszy* od śmierci. Zgodnie z Kolkasztawą, w brzuchu Urawa jest się żywym, ale karanym, pełnym bólu, wstydu, żalu... Pod jego spojrzeniem nikt nie pozwala sobie na nadzieję.

- W jaki sposób on może się wpatrywać - pyta Sigrud - skoro jest się w jego brzuchu?

- To jeden z cudownych aspektów jego natury. Jak rozumiem, w jego wnętrzu znajduje się konkretny rodzaj piekła. A jedyne, co może kogoś uratować, to błogosławieństwo Kolkana...

- Możesz mi je dać?

- ...którego nie otrzymał nikt od czasu jego zniknięcia, prawie trzysta lat temu.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- To, że jeśli Uraw miałby cię pożreć... - spogląda na jego nóż — to może mądrze byłoby wziąć sprawy we *własne* ręce.

Sigrud kiwa powoli głową.

- Dziękuję. Przy okazji, z twojej strony mądrze byłoby raczej zejść z mostu.

- Dlaczego?

- Nigdy nie wiadomo - oznajmia Sigrud - jak potoczy się dobra walka.

Buty Sigruda łupią głucho, gdy ten kroczy po lodzie. Od razu jest w stanie stwierdzić, że lód ma grubość nieco mniejszą niż pół metra.
Dobry lód dla sań i koni.

Idzie po zamarznętej rzece. Wiatr gryzie i szczypie go w uszy. Ręce i nogi ma ozdobione milionami lodowych cętek, uwieczonych w tłuszczu na jego ciele: wkrótce cały błyszczący, brnąc poprzez rozległe, szaro-błękitne pole.

Przypomina sobie podobną sytuację: jazda po lodzie, szurające za nim sanie; uderzenia końskich kopyt; spogląda za siebie i widzi Hild oraz swoje córki, zakopane w stosie futer na saniach, chichoczące i wesołe...

Nie chcę o tym myśleć.

Sigrud mruga i koncentruje się na zwisających z mostu linach. Światła Bułykowa wydają się teraz bardzo odległe, jakby ta ogromna metropolia była jedynie malutkim, nadmorskim miasteczkiem na bardzo dalekim brzegu.

Jak wiele razy widział coś takiego podczas swych dni żeglugi? Dziesiątki? Setki? Przypomina sobie olbrzymie klify krain Drejlingów i błysk światła pośród małych chat rozsianych po wybrzeżu. Budzenie się przy dźwięku kołowrotek i krzyku ptaków, okrążających szczyty klifów.

Nie chcę o tym myśleć, upomina się po raz drugi. Wspomnienia pojawiają się boleśnie, jak ciernie wydłubywane z ciała.

Chichot wody. Bezśłoneczne dni. Ogniska na zaszronionych plażach.

Przypomina sobie ostatni raz, gdy żeglował. Młody mężczyzna, jakim wtedy był, wraca do domu, pragnie ujrzeć rodzinę. Ale gdy przybili do drejlińskiego wybrzeża, załoga zastała wioskę w kompletnym chaosie:

*Król Zabili króla i wszystkich jego synów. Palą domy: Palą miasto.
Co zrobimy?*

Jakże był zszokowany... Nie rozumiał wtedy, nie mógł rozumieć, jak to

się mogło stać. Nieważne, ile razy pytał: *Wszystkich synów? Wszystkich? Na pewno?* Odpowiedź była taka sama. *Dynastia harkwaldzka przestała istnieć. Wszyscy królowie zginęli, umarli, a my jesteśmy zgubieni.*

Lód trzeszczy pod stopami Sigruda. *Świat jest tchórzliwy, myśli Sigrud. Nie zmienia się tuż przed tobą; czeka, aż się odwrócisz i wtedy...*

Sigrud kroczy po Sołdze. Tłuszcz na jego kończynach utwardził się; jest mlecznobiały, trzeszczący, jak golem wyrobnika świec. Sigrud podchodzi do miejsca, w którym lina holownicza zwisa ze środka mostu. Gdy stał na górze, Most Sołdański wydawał się dość wąski, nie więcej niż dwanaście metrów szerokości. Ale widziany od spodu jest masywną, czarną kością rozpościerającą się po niebie.

Sigrud przekonuje się, że most wytrzyma. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, to wytrzyma.

Słyszy odgłos chłęptania wody. Obraca się w prawo, w stronę cienia mostu, i dostrzega w łodzie idealnie geometryczne koło. Gruba warstwa drewnianych rupieci kołysze się w górę i w dół, uwięziona w przeręblu. Prawdopodobnie był to szalas — ale jego lokatorów dawno już nie ma.

W końcu podchodzi do lin. Robi pętlę na końcu grubej liny holowniczej, po czym wykorzystuje tę do żeglugi, by przewiązać ją mocno, przytrzymać pętlę. Zna ten węzeł; ręce samoistnie poruszają się, tworząc pętlę i nawlekając linę.

Gdy Sigrud zawiązuje węzeł, zalewają go wspomnienia.

Przypomina sobie, jak pędził do domu po usłyszeniu wieści o przewrocie. Przypomina sobie, jakim go ujrzał: spalony i opuszczony, ziemię pokierszowaną i posypaną solą.

Przypomina sobie wygrzebywanie delikatnych białych kości,

zagubionych w wilgotnych popiołach zrujnowanej, doszczętnie spalonej sypialni. Przypomina sobie kopanie grobów na dziedzińcu. Mieszankę spalonych kości, niekompletnych, niepełnych, jak poplątane ludzkie układanki.

Nie rozpoznał w nich swojej żony i dzieci. Ale oddzielił kości najlepiej jak umiał, pochował je i zapłakał.

Dość. Wystarczy.

Sigrud przywiązuje pozostałe liny żeglarskie do pętli i związuje ich końce z włócznie. Te wbija w lód na tej samej linii, piętnaście metrów od siebie.

Ustawia latarnię przed środkową włócznią i używa czubka ostrza harpuna, by wyryć w lodzie cztery głębokie, długie linie, zbiegające się tuż przed latarnią. Gdy kończy, przypomina to gigantyczną lodową gwiazdę. Sigrud siada w środku, gołymi pośladkami na lodzie i czeka z harpunem na kolanach.

Kaczka kwacze niepocieszenie.

Krzyki ze wschodniego brzegu. Dmący wicher.

Chociaż Sigrud pragnie się skoncentrować, wspomnienia są bezlitosne.

Przypomina sobie moment, kiedy usłyszał o utworzeniu nowego państwa, „Republik Drejlińskich”. Ale zarówno ta nazwa, jak i termin „państwo” wzbudzały w nim śmiech; były to ledwie pirackie stany, trawione korupcją i chciwością.

Sigrud, jak wielu przybity i pełen furii, zdecydował się walczyć. I, również jak wielu, nie udało mu się. Wtrącono go do Slondheimu, więzienia na klifie. Jak twierdzono, był to los gorszy od śmierci.

Mówiono prawdę. Nie jest pewien, ile lat spędził w odosobnieniu,

żywiąc się kleikiem i pomstując w ciemności. Oczywiście, po części sam był sobie winien; gdy tylko go wypuszczano, próbował zabić kogokolwiek, kto spróbował się do niego zbliżyć. I często mu się to udawało. W końcu zdecydowano, że nie dostanie kolejnych szans. Sigrud miał żyć w ciemności aż do śmierci.

Ale pewnego dnia okienko celi otworzyło się i ujrzał twarz, jakiej jeszcze nie widział: twarz kobiety o brązowej skórze i długim nosie, ciemnych oczach i ciemnych ustach. Miała na twarzy *szkło* - dwa małe kawałki szkła, po jednym przed każdym z oczu. Jednak całe jego zdziwienie zniknęło, gdy twarz powiedziała:

- Twoja żona i dzieci żyją i są bezpieczni. Namierzyłam ich. Przyjdę jutro, jeśli zechcesz ze mną rozmawiać.

Okienko zatrzęsnęło się. Jej kroki oddaliły się.

Tak Sigrud poznał Sharę Komayd.

Ile lat już z nią spędził? Dziesięć? Jedenaście? Bez różnicy. Te nowe lata nie mają dla niego znaczenia.

Sigrud mruga jedynym okiem. Powieka klei mu się od tłuszczu.

Myśli o dzieciach, których nigdy nie znał, teraz już dorosłych. I młodej kobiecie, która była kiedyś jego żoną. Zastanawia się, czy ma ona nowego męża, a jego dzieci nowego ojca.

Spogląda w dół na pokryte bliznami, połyskujące ręce. Nie poznaje ich.

Na horyzoncie łagodne żółte światło mruga pod lodem.

Sigrud wyciera tłuszcz z dłoni i sprawdza chwyt na harpunie.

Tak właśnie powinno być, myśli. Śmierć nadciągająca pośród zimna i ciemności.

Czeka.

Żółte światło podpływa bliżej, coraz bliżej, porusza się płynnie i z gracją. Sigrud słyszy, jak coś uderza w lód niczym ślepiec laską. *To słucha echa, żeby dowiedzieć się, co znajduje się u góry.*

Lód pod nim pęka. Żółte światło jest już sześć metrów od niego; ma prawie trzydzieści centymetrów średnicy. *Jak oko olbrzymiej kałamarnicy*, myśli Sigrud i przypomina sobie, jak dawno temu jadł jedną taką, która została przerobiona na gulasz. *Ostro walczyła...*

Nie widzi, co jest pod lodem, ale słyszy, jak coś pęka cztery, może trzy metry dalej. Spogląda w tamtą stronę i dostrzega, jak wokół niego powstaje krąg. Widzi też, że dobrze oszacował szerokość stwora: krańce okręgu przecinają cztery linie, jakie wyrzeźbił w lodzie; zaczyna to wyglądać, jakby siedział pośrodku wielkiego, białego ciasta, pokrojonego na osiem kawałków.

Powoli wstaje. Lód pod jego stopami skarży się, osłabiony wieloma rysami. Sigrud wrywa środkową włócznię i staje na środku kręgu.

Coś ciemnego kłębi się tuż pod nim. Żółte światło znajduje się prawie pod jego stopami.

Ciekawe, myśli Sigrud, czy dowiem się, jak smakujesz...

Przygotowuje włócznię w prawej ręce. Nabiera w płuca powietrza.

Zanim stwór pod lodem kończy wykrajać krąg, Sigrud lewą ręką podnosi harpun i uderza jego wielkim ostrzem.

Oslabiony lód natychmiast się pod nim rozbija i Sigrud spada gwałtownie do lodowatej wody.

Uraw - jak nazwała go Shara - rzuca się w tył, zaskoczony tą

ingerencją. Sigrud jest maleńki przy jego wielkim, ogromnym cielsku; jak jaskółka na tle czarnej chmury burzowej.

Sigrud dostrzega wiele machających ramion, jedno wielkie, jasne oko o czarnych żyłkach, a pod spodem pysk szeroki na dwa metry... mimo że nie jest jeszcze otwarty.

Uderza włócznią. Ostrze z zadziornymi wbija się głęboko w czarne ciało Urawa, zaledwie centymetry od jego wielkiego oka.

Uraw kłapie pyskiem, ale raczej z bólu niż w ataku. Oko obraca się, by skupić się na Sigrudzie, który uderza harpunem i wybija stworowi błyszczące zęby, które wirują w wodzie niczym fajerwerki.

Uraw wije się z bólu i wściekłości. Sięga mackami, łapie Si-gruda za nogi, ale gruba warstwa tłuszczu sprawia, że nie może porządnie go uchwycić... Co więcej, macki cofają się gwałtownie, jako że tłuszcz je parzy. Sigrud widzi, jak na czarnej skórze, w miejscach, które go dotknęły, robią się pęcherze.

Jeśli Shara dowie się, że jej gambit zadziałał, to nie będzie się dało z nią wytrzymać.

Woda burzy się wokół niego. Sigrud czuje, jak kolejna macka próbuje złapać go za kostkę; i również się zsuwa. Uraw koncentruje na nim całą swoją uwagę, niezliczone kończyny wirują wokół, przygotowując się do uderzenia.

Teraz, teraz, myśli Sigrud i sięga lewą ręką. Odnajduje linę żeglarską - trzyma ją mocno - i wspina się w górę, z wody na lód.

Jego ciało doznaje termicznego szoku, ale Sigrud zmusza się, by o tym nie myśleć i zamiast tego skupia się na biegu do włóczni po swojej prawej. Słyszy, jak lód trzaska tuż pod nim. Spogląda za siebie, by ujrzeć, jak Uraw walczy z liną żeglarską, załamując wokół siebie lód — ale lina trzyma mocno.

Doprowadzony do furii stwór gramoli się na lód, tysiące ramion ciągną za sobą bulwiastą głowę. Jedna z macek wyciąga się i łapie Sigruda za lewe ramię. Szpon żłobi dziurę w skórze jego bicepsa. Sigrud potyka się i czuje, jak stwór wciąga go z powrotem.

Mężczyzna opiera się; macka utrzymuje uścisk, mimo tego, że aż skwierczy w miejscu dotyku. Uraw ryczy z bólu i furii; wgryza się w lód, siekąc go niczym zwykły śnieg. *Nie. Nie. nie puszczę cię.*

Sigrud dźga mackę harpunem; raz, drugi. To wydaje się wystarczyć, by osłabić uchwyt. Słysząc niskie *pop* i Sigrud jest wolny.

Dzięki morzom, myśli w biegu, za krowy o bogatej diecie...

- Strzelać! - krzyczy Nesrhew z góry. - Zasypcie cholernego stwora bełtami!

Bełty przeszywają powietrze, wbijają się w lód. Wiele trafia Urawa; skrzeczy on dziko, uderzając o linę żeglarską, która brzdąka jak struna gitary.

Sigrud sięga po drugą włócznię, ale Uraw jest skoncentrowany na ludziach na moście. Macki wzrastają niczym mrowie kobr i uderzają w sam most. Słysząc chór krzyków; dwa ludzkie ciała wirują w powietrzu, spadając z dalszego brzegu mostu. *Proszę, myśli Sigrud, niech to nie będzie Shara.*

Jedna z macek zawija się w dół. Wyrywający się, pochwycony przez nią policjant trafia do otwartej paszczy Urawa. Rozlega się głośny trzask, gdy nawet lód zaczyna protestować przeciw bitwie.

Nie tego chciałem, myśli Sigrud.

Podbiega do przodu z harpunem wciśniętym pod jedno ramię i rzuca drugą włócznią. Prawie nie trafia, gdyż stwór miota się, ale włócznia ląduje jednak głęboko w plecach Urawa. Stwor ryczy i smaga powietrze. Żółte oko spogląda gniewnie. Sigrud patrzy na mackę,

lecając w jego stronę niczym drzewo spławiane w dół rzeki. A potem świat wybuchą gwiazdami i światłami i Sigrud szoruje ciałem po lodzie.

Spodziewa się kolejnego ataku, ale ten nie następuje. Podnosi z jękiem głowę i dostrzega, że Uraw zaplątał się w liny i teraz nie może się ruszyć; ale lina żeglarska z pierwszej włóczni już się zerwała, więc nie będzie uwięziony wiecznie.

Sigrud warczy, kręci głową, sprawdza kończyny: mniej więcej działają. Harpun leży obok, ale się złamał, przez co przypomina teraz co najwyżej bardzo krótki topór. Sigrud podnosi go i gna w stronę trzeciej i ostatniej włóczni.

Niech się zapłaczę, myśli. Niech się zmęczy, wtedy zatłucze się to na śmierć. Trzeba rąbać w płuca tak długo, aż utopi się we własnej krwi...

Z Mostu Soldańskiego zaczynają osypywać się kamienie.

Chyba że zniszczy most...

Sigrud przygląda się, jak Uraw raz po raz wali w most. Do wody wpada jeszcze więcej małych kamieni.

Wolałby, żeby Nesrhew nie nakazał strzelać. Wolałby, żeby Uraw skupiał się tylko na nim.

Dlatego właśnie nie cierpię, gdy mi się pomaga.

Młócenie Urawa zniszczyło już prawie cały lód pod mostem; kra z ostatnią włócznią Sigruda kołysze się w górę i w dół niczym spławik. Sigrud z westchnieniem wskakuje do wody - zimno uderza go niczym młot - podpływa, wyciąga włócznię i szarpie liną, aż udaje mu się podciągnąć na mocniejszy lód.

Kończyny ma zdrętwiałe; ręce i stopy oznajmiają, że już nie istnieją.

Uraw okręca się wokół liny i otwiera paszczę, by zaskrzeczeć. Sigrud nie waha się i ciska włócznią prosto w podniebienie stwora.

Ten skręca się z bólu, walcząc z wieloma więzami i wystawiając miękkie, czarne, podobne do galaretki podbrzusze.

Teraz.

Sigrud rusza do przodu z harpunem, unika ciosu macką, ślizga się po lodzie, wstaje...

Mija zaporę mlócających macek. Zaczyna bezlitośnie siec brzuch stwora.

Uraw wyje, skomle, skrzeczy, walczy. Czarna krew leje się na Sigruda szerokim strumieniem. Jego ciało oznajmia, że jest albo lodowato zimno albo upalnie gorąco. Uderza dalej, raz po raz.

Przypomina sobie, jak zakopywał kości na dziedzińcu.

Uderza harpunem.

Przypomina sobie, jak spoglądał w górę w swej celi i dostrzegał przedostającą się do niej smugę światła. Pamięta próbę złapania tego światła w dłonie.

Uderza harpunem.

Przypomina sobie, jak z pokładu sajpurskiego okrętu bojowego obserwował oddalające się brzegi rodzinnego kraju.

Uderza harpunem. Dociera do niego, że krzyczy.

Przeklinam świat nie za to, co zostało mi ukradzione, myśli, ale za to, że na długo po tym, jak świat sprawił, że stałem się innym człowiekiem, odkryłem, że nie ukradziono mi niczego.

Uraw jęczy, skomle. Macki wiotczeją. Bestia wygląda, jakby uszło z

niej powietrze, pada powoli, niczym ogromne, czarne drzewo. Wiele lin brzdęka i jęczy pod jego ciężarem, gdy pokonany Uraw zawisa na ich sieci.

Sigrud jest mgliście świadom wiwatów na moście. Ale wciąż widzi, że organy wewnątrz stwora pompują i kotłują się. *Jeszcze nie padł, jeszcze nie...*

Jasnozłote oko wynurza się z morza macek u jego stóp. Przygląda się mu zmrużone.

Nagle macki wcale nie są już słabe; strzelają w górę, łapią najsłabsze przęsło mostu i ciągną.

Sigrud jest przelotnie świadom ciemnego cienia, który pojawia się po jego prawej stronie i ciągle powiększa; wielki kamień przebija lód ledwie kilka metrów od niego.

- O kur... - zaczyna Sigrud.

Lód pod podrywa się w górę niczym katapulta i Sigrud wylatuje w powietrze na co najmniej dwanaście metrów. Następnie czuje tylko zimną wodę.

Czuje, jak woda uderza go w nos i usta. Strumień przeciska mu się przez zatoki, łaskocze go w płuca, prawie wzbudza kaszel.

Nie utop się.

Powietrze pali go w środku. Sigrud obraca się i spogląda w górę; niebo jest ciekłym kryształem, nie do sforsowania.

Nie utop się.

Widzi jak nad nim Uraw walczy z linami. Ponad stworem majaczy solidny, czarny łuk: most.

Sigrud kopie nogami, celując w poszerzającą się wyrwę w lodzie.

Solidny, czarny łuk mostu staje się nieco... mniej solidny. Widziany poprzez soczewkę wzburzonej wody i lodu zdaje się znikać; następnie kamień, szeroki na trzy metry, wpada do ciemnej wody; wokół niego skręcają się sznury bąbelków; Sigrud płynie byle dalej, jest wypychany jego siłą.

Nie utop się, myśli, i nie daj się zgnieść.

Do wody wpada więcej kamieni, powodując ogromne wstrząsy, które wypychają Sigruda w górę...

Powierzchnia wody jest membraną, która go więzi; nie jest pewien, czy potrafi się przebić.

Drapie rękami, otwiera usta i wdycha zimne powietrze.

Sigrud wyciąga się z wody na lód. Tak daleko od mostu lód na szczęście jest nadal solidny; Sigrud ogląda się i dostrzega, że mostu nie ma: zawalił się do wody, tworząc wielkie fale... i nigdzie nie widać Urawa.

Słaby i trzęsący się, opada na kolano na lodzie i rozgląda się za jakimś sygnałem nadziei: ogniem, liną, łódką, czymkolwiek. Ale dostrzega jedynie kulę miękkiego, żółtego światła ślizgającego się przez wodę w jego stronę, rozpychającego kawałki lodu, jakby były chusteczkami.

- Hm - mówi.

Spogląda na swoje ręce i ramiona: tłuszcz prawie całkowicie zmył się podczas walki, prawdopodobnie tracąc ochronne właściwości, jakie zapewniła mu Shara.

W następnej chwili roi się wokół niego od macek, a drżąca paszcza - o brakujących zębach - rozdziawia się, gdy coś popycha go w jej stronę.

Sigrud otwiera oko.

Siedzi na rozległej, czarnej równinie. Niebo nad nim jest równie czarne; Sigrud zdaje sobie sprawę z istnienia równiny tylko dlatego, że na horyzoncie widzi wielkie, płonące żółcią oko, które rzuca mdłe, żółte światło na czarne piaski.

- POZNASZ BÓL - mówi głos.

Sigrud rozgląda się w lewo i prawo; wokół niego znajduje się rozległe pole pełne siedzących zwłok, bladych i suchych, jakby została z nich wygotowana cała wilgoć. Jedne z nich są ubrane jak policjant; inne trzymają sieć rybacką. Wszystkie zwłoki siedzą zwrócone w stronę płonącego oka, a na każdej z twarzy, wysuszonej i szarej, da się rozpoznać straszne cierpienie.

Wtedy Sigrud dostrzega, że klatki piersiowe zwłok się ruszają, delikatnie oddychają.

Żyją..., zdaje sobie sprawę.

- POZNASZ BÓL, JAKO ŻE UPADŁEŚ - mówi głos.

Sigrud spogląda w dół. Wciąż jest nagi, wciąż ma ze sobą tylko buty, nóż i rękawiczkę na prawej dłoni.

Dotyka noża i przypomina sobie słowa Shary: *mądrze byłoby wziąć sprawy we własne ręce...*

- POZNASZ BÓL, JAKO ŻE JESTEŚ NIECZYSTY -mówi głos.

Sigrud wyciąga nóż i rozważa przyłożenie ostrza do nadgarstka, otwarcie żyły... ale coś sprawia, że się waha.

- POZNASZ BÓL I ODNAJDZIESZ POPRZEZ NIEGO SŁUSZNOŚĆ.

Odczekuje, czubek ostrza zawisa w powietrzu nad nadgarstkiem. Czarna równina zlewa się niczym farba, wiruje, aż tworzy ściany jego

starej celi w Slondheimie, gdzie mroczne dni wysączały z niego po trochę życia. *Czy to właśnie, zastanawia się, cudowne piekło Urawa?* Na to wygląda, ale Sigurd nie obniża noża, jeszcze nie.

W drzwiach celi tkwi wielkie, żółte oko.

- POZNASZ BÓL - mówi głos. - POZNASZ CIERPIENIE.
ZOSTANIESZ OCZYSZCZONY Z GRZECHU.

Sigurd czeka. Spodziewa się, że może wszystkie rany, złamania i urazy, których doznał w tym miejscu nagle zbudzą się do życia, boląc z całą agonią, jakiej tu doświadczył... ale tak się nie dzieje.

- POZNASZ BÓL - mówi głos, nieco sfrustrowany.

Sigurd rozgląda się, nadal unosząc nad nadgarstkiem nóż.

- Okej — mówi powoli. — Kiedy?

Głos milczy.

- Czy to nie jest piekło? — pyta Sigurd. - Czy nie powinienem cierpieć?

Głos nie odpowiada. Ściany gwałtownie przeobrażają się w zróżnicowane, straszne sytuacje: Sigurd leży na łóżku z gwoździ; wisi nad aktywnym wulkanem; jest uwięziony na dnie morza; powraca do Drejlandu i dostrzega dym na horyzoncie; jednak żaden z tych scenariuszy nie sprawia mu fizycznego czy mentalnego bólu.

Rozgląda się.

- Co się dzieje? - pyta, szczerze zdezorientowany.

Ściany ponownie wirują. Jest z powrotem na czarnej równinie, z całym tym rzeżeniem, bladymi zwłokami i jasnożółtym ślepiem wpatrującym się w niego z furją. Zastanawia się przez moment, czy nie jest przypadkiem odporny, ponieważ jest Drejlingiem, ale to

wydaje się mało prawdopodobne.

Wtedy zdaje sobie sprawę, że jego prawa dłoń pulsuje. Spogląda na nią, ukrytą w rękawiczce, i już rozumie.

- BÓL JEST TWOJĄ PRZYSZŁOŚCIĄ. BÓL CIĘ OCZYŚCI.

- Nie możesz nauczyć mnie bólu - mówi Sigrud, zsuwając rękawiczkę z palców - ponieważ już go znam.

Ściąga rękawiczkę.

Na środku dłoni znajduje się potworna, jasnoczerwona blizna, która przypominałaby wypalony znak, gdyby nie była tak bardzo zagłębiona w ciele: okrąg z symbolem wagi w środku.

Ręce Kolkana, przypomina sobie, oczekujące, by zważyć i osądzić...

Podnosi rękę do jasnożółtego oka.

- Dotknął mnie palec twojego boga - mówi. - I przeżyłem. Poznałem jego ból i nosiłem go ze sobą. Nadal go noszę. Każdego dnia. Więc nie możesz mnie skrzywdzić, prawda? Nie możesz nauczyć mnie czegoś, co już znam.

Wielkie oko wpatruje się w niego.

I wtedy mruga.

Sigrud rzuca się naprzód i wbija w nie swój nóż.

Na brzegu rzeki Shara i Mulaghesh wpatrują się w miejsce, gdzie Uraw wycofał się pod wodę.

- Dalej! — wrzeszczy Nesrhew. - Dalej!

Zarówno Shara, jak i Mulaghesh, ociekają wodą, po tym jak wyciągnęły Nesrhewa z Sołdy. Ma złamane obie ręce, nogę i doznał lekkiej hipotermii. - Na miłość boską, zabierzcie mnie stąd - krzyczy, ale Shara go ignoruje, wpatrując się w rzekę, czekając na jakiś niewiarygodny zwrot akcji. Być może Uraw wynurzy się na powierzchnię, wypłuje Sigruda i rzuci nim o wodę niczym kamieniem...

Ale z ciemnej wody wystaje tylko delikatne wybrzuszenie lodu.

- Musimy się stąd zebrać - mówi Mulaghesh.
- Tak! - krzyczy Nesrhew. - Tak, na bogów, właśnie o tym mówię.
- Co? - pyta cicho Shara.
- Musimy - powtarza Mulaghesh - odsunąć się od rzeki. To coś jest wściekle. Wiem, że nie chcesz zostawić przyjaciela, ale musimy iść.

Policjanci na brzegach rzeki wykrzykują do siebie rozkazy. Nesrhew wyje i zawodzi. Nikt nie wie, jak przekroczyć Sołdę. Nie ma jednego przywódcy, ale policjanci najwyraźniej zagłosowali *en masse*, by rozlać na rzekę naftę i ją podpalić.

Zdecydowanie musimy już iść - ponagla Mulaghesh.

Shara obmyśla nosze ze swojego płaszcza. Razem z Mulaghesh kładą na nich Nesrhewa i zaczynają holować go dalej od brzegu. Pozostali policjanci wycofują w stronę rzeki wóz pełen beczek. Nawet nie próbują ich ściągać i wyrzucać, po prostu roztrzaskują boki beczek siekierami, aż te pękają i ich zawartość wycieka do rzeki.

Shara zastanawia się nad rozwiązaniem, jakąś tajemną sztuczką - modlitwą do Kolkana, cytatem z Dżukosztawy - ale nic nie przychodzi jej do głowy.

Ogień niesie się po rzece w węzowych spiralach. Rzeczny lód syczy,

wygładza się niczym marmur i gwałtownie się wycofuje.

Prawie docierają do nadrzecznej promenady, gdy zasłona ognia zaczyna gwałtownie opadać.

- Patrzcie - mówi Shara.

Ogień zaczyna burzyć się i syczeć.

- Proszę - jęczy Nesrhew. - Nie zatrzymujcie się.

Skręcający się Uraw wyskakuje nad powierzchnię Sołdy, skrzeczy przenikliwie i zaczyna walić o lód swymi wieloma ramionami.

- Ogień! - krzyczy ktoś. - Działa!

Shara nie jest jednak taka pewna. Uraw zdaje się nie reagować na cokolwiek konkretnego: raczej wygląda, jakby miał jakiś atak. Shara przypomina sobie, że widziała kiedyś w parku staruszka, który akurat miał wylew. Jego kończyny drżały i młóciły powietrze...

Uraw, rycząc i bulgocząc, przebija się przez lód, wpada do jeziora ognia, uderza mackami o brzeg, odbija się od pozostałości Mostu Sołdańskiego i w końcu wypada na brzeg rzeki. Jego wielka, drżąca paszcza otwiera się i zamyka, zawodząc i skomląc jak przestraszony pies.

- Co się do cholery dzieje? - pyta Mulaghesh.

Uraw otwiera paszczę, skrzeczy przeciągle... i mały, czarny ząb wysuwa mu się z brzucha, zaraz spod rozerwanego żołądka.

Nie, nie ząb. Nóż.

Uraw ponownie skrzeczy; nóż przekręca się i pomału zaczyna wycinać dziurę w brzuchu stwora. Gorąca krew rozbryzguje się o ziemię, skwiercząc na lodowej rzece. Ręka z palcami zaciśniętymi na ostrzu, przebija się przez długie rozcięcie.

- No chyba sobie jaja robisz - wyrywa się Mulaghesh.

W czymś, co można opisać jedynie jako strasznie perwersyjny poród, wokół tryskają wnętrzności, wylewają się nieczystości, po czym mokry od tłuszczu i krwi kształt Sigruda wydostaje się z rozcięcia w konającym potworze, by położyć się na ziemi spojrzeć w niebo. Następnie obraca się, podpira ramionami oraz kolanami i obficie wymiotuje.

Shara mgliście zdaje sobie sprawę z odległych wiwatów, gdy pędzi w dół rzeki, w miejsce, gdzie leży Sigrud. Zwalnia, gdy się do niego zbliża: smród jest na tyle potworny, że prawie nie da się podejść, ale Shara zwalcza odruchy, by uklęknąć tuż obok.

- Jak! - krzyczy. Mały glut zwisa Sigrudowi z ucha; Shara delikatnie go zdejmuje. - Jak to zrobiłeś? Jak udało ci się przeżyć?

Sigrud przewraca się na plecy i łapie powietrze. Kaszle i sięga do ust, by wyciągnąć z nich długi, włóknisty kawałek szarej tkanki.

- Szczęście — stęka. - Odrzuca wyciągnięty strzęp, który z mokrym pacnięciem upada w kałużę wnętrzności. - Szczęście i głupota.

Wewnątrz martwego cielska Urawa coś się przesuwa i jeszcze więcej wnętrzności wypływa z broczącego wybrzuszenia. Shara podnosi Sigruda na nogi, zanim zaleją ich wnętrzności. Zauważa, że Sigrud nie ma rękawiczki na prawej ręce, czego jeszcze u niego nie widziała.

Sigrud z niedowierzaniem spogląda z powrotem na Urawa.

- Myśl... - Zatyka palcem jedno nozdrze i wydmuchuje z drugiego mały ocean słonawej krwi. - Myśl, że całe to miejsce mieściło się w tym stworze...

- Co tam było? Czy naprawdę było tam piekło?

Sigrud opada na kolana i trzęsie się od kolejnego napadu kaszlu. Rosnące crescendo wiwatów i okrzyków niesie się echem po Sołdzie. Shara spogląda w górę i widzi nie tylko dziesiątki policjantów, którzy gromadzą się na wybrzeżu by świętować, ale także zwykłych obywateli, mężczyzn, kobiety i dzieci, którzy wylewają się z domów, by klaskać i śpiewać.

Ojej, myśli Shara. Wszyscy to widzieli, co?

Seria błysków z lewej strony: trzech fotografów ustawiło swe trójnogi i właśnie nakręcają kamery, by wykonać kolejne zdjęcia.

A za nimi znajduje się ktoś, kogo nie spodziewała się tutaj zobaczyć.

Vohannes Votrow stoi na tyłach tłumu. Najwyraźniej zrezygnował ze swej zwykle ostentacyjnej garderoby na rzecz ciemnobrązowego płaszcza i czarnej, zapiętej pod szyję koszuli. Wygląda mizernie i blado. Obserwuje Sharę ze spokojną pogardą, jak ktoś przyglądający się owadowi bzyżącemu przy oknie. Zrozumienie, że nie ma swojej laski, zajmuje jej dłuższą chwilę.

Tłum wzbiera wokół Vohannesa i fotografów. Sigrud i Shara zostają zagarnięci przez przyływ życzliwych uderzeń w plecy i wykrzykiwanych gratulacji. Gdy udaje jej się spojrzeć z powrotem w stronę fotografów, Vohannesa już tam nie ma.

Nikogo nie winię za wychwalanie sajpurskiej historii - historia jest w końcu opowieścią, która czasami bywa wspaniała. Ale trzeba pamiętać ją w całości - tak, jak sprawy rzeczywiście się miały - i unikać wybiórczej amnezji. Wielka Wojna nie zaczęła się wraz z inwazją na Kontynent, ani też wraz ze śmiercią Bóstwa Vurtji.

Raczej zaczęła się wraz z dzieckiem.

Nie znam jej imienia. Wolałbym je znać- powinna mieć imię, biorąc pod uwagę to, co się z nią stało. Niemniej z informacji sądowych wiem, że mieszkała z rodzicami na farmie w prowincji Mahlideshi w Sajpurze i że była jedynaczką, dotkniętą przez naturę w taki sposób, że zahamowało to jej inteligencję. Jak wiele dzieci w pewnym wieku ją także pociągał ogień, a być może jej prosta natura jedynie nasiliła to uczucie.

Pewnego dnia, w roku 1631, natrafiła ona na drodze na przewrócony, opuszczony wóz. Przewoził mnóstwo pudeł z papierami- i fakt, że był to wyłącznie papier i nie było żadnego dorosłego... Sądzę, że była to dla niej pokusa nie do odparcia.

Rozpaliła na drodze małe ognisko, paląc w nim strony jedna po drugiej.

Wtedy wrócili pasażerowie wozu. Byli Kontynentanami, bogatymi taalwasztanami, właścicielami pobliskich pól ryżowych. Gdy ujrzeli płonące papiery, wpadli w gniew - jako że dziewczynka nieświadomie paliła kopie Taalwasztawy, świętej księgi Taalhawrasa, co było dla nich poważnym wykroczeniem.

Zabrali ją do najbliższego magistratu i domagali się sprawiedliwości za ten heretycki akt. Rodzice dziewczynki błagali o litość, jako że była ona prosta i nie wiedziała, co robi. Ludzie z miasta dołączyli do nich i domagali się, jeśli w ogóle, to lekkiej kary.

Jednakże Kontynentanie powiedzieli sędziemu, że jeśli jakiś Sajpur umieścił ich święte słowa w ogniu, to i on powinien znaleźć się w ogniu. I sąd - także Kontynentanin- postuchał.

Spalono ją żywcem na rynku Mahlideshi, co widzieli wszyscy mieszkańcy; akta podają, że

zawieszono ją na przymocowanym do drzewa łańcuchu i wzniesiono u jej stóp ognisko- a gdy zaczęła płakać i wspinać się na łańcuch, by uciec ogniowi, odcięto jej dłonie i stopy. Nie umiem stwierdzić, czy umarła przez wykrwawienie się czy spłónięcie.

Nie sądzę, by Kontynentanie spodziewali się, że ludzie zareagują to taki sposób - wszyscy byli końcu tylko biednymi Sajpurami, a nie osobistościami o dużej władzy czy mocy, więc brutalne poniżenie było dla nich normą. Ten makabryczny widok sprowokował jednak całą populację Mahlideshi do buntu, zniszczenia magistratu oraz ukamienowania jego pracowników, włącznie z katami dziewczynki

Przez tydzień świętowano wolność. Chciałbym powiedzieć, że Rebelia Kolonialna zaczęła się właśnie wtedy, że Sajpur tak zainspirował się tym odważnym zachowaniem, że Kaj powstał i zdobył Kontynent w tym dokładnie momencie. Jednak w następnym tygodniu Kontynentanie wrocili z odwetem... Mahlideshi nie istnieje już na żadnej mapie, jest jedynie spaloną krainą wzdłuż wybrzeża i bryłą ziemi długą na dziesięć kilometrów — miejscem ostatniego spoczynku zwycięskich mieszkańców Mahlideshi.

Wieść o rzezi szybko się rozeszła. Ciche, pełne nienawiści wzburzenie przetoczyło się przez kolonie.

Nie wiemy za dużo o Kaju. Nie wiemy nawet, kim była jego matka. Ale wiemy, że żył w prowincji Tohmay, zaraz obok Mahlideshi; wiemy, że tuż po tej masakrze zaczął swoje eksperymenty których rezultatem musiała być broń, której użył w końcu, by obalić Kontynent.

Lawina strąca mały kamień do oceanu; przez tajemnicę losu, ten mały kamień tworzy tsunami.

Chciałbym nie znać niektórych wydarzeń z przeszłości; chciałbym, żeby nigdy się nie wydarzyły. Ale przeszłość jest przeszłością i ktoś musi o niej pamiętać i mówić.

- „O UTRACONEJ HISTORII”, DR EFREM PANGYUI

ZBAWIENIE



adnych złamań - mówi lekarz. - Prawdopodobnie kilka pęknięć. Zdecydowanie siniaki, do tego stopnia, że spodziewałbym się także stłuczeń kości. Oczywiście, byłbym w stanie to stwierdzić, gdyby pacjent pozwolił mi się zbadać...

Sigrud chrząka, opierając się na łóżku, z dzbanem wina ziemniaczanego na kolanach. Pół twarzy ma jaskrawoczerwone; drugie pół czarnoszare, jak spleśniały owoc. W świetle słabych lamp naftowych ambasady wygląda jak ghul. Jak na razie pozwolił lekarzowi szturchnąć się w brzuch i poświadczył, że może ruszać głową, rękami i nogami; poza tym Sigrud odpowiada na pytania lekarza z ponurym chrząkaniem.

- Nie zgłasza bólu brzucha - mówi lekarz. - Co moim zdaniem jest dość niewiarygodne. Nie widzę też żadnych śladów odmrożeń, to także jest całkiem niewiarygodne.
- Co to jest odmrożenie? - pyta Sigrud. - Nigdy o czymś takim nie słyszałam.
- Czy chce pan powiedzieć - dziwi się lekarz - że Drejlingowie nigdy nie doznają odmrożeń?
- Istnieje zimno - Sigrud bierze wielki łyk wina - i mniejsze zimno.
- Myślę, że jeśli przetrwa noc, to przeżyje - oznajmia lekarz Sharze. Jest przy tym zdenerwowany i sfrustrowany. - Chciałbym również powiedzieć, że jeśli ogólnie chce przetrwać, to powinien pozwolić zawodowcom wykonywać swoją pracę, a nie traktować nas jak... zboczeńców.

Sigrud śmieje się paskudnie.

Shara także się uśmiecha.

- Dziękuję, doktorze. To wszystko.

Lekarz mruczy coś pod nosem, kłania się i Shara wyprowadza go na zewnątrz. Tłum tłoczy się przed bramą ambasady, odkąd przybył za nimi od strony rzeki.

- Jeśli jest taka możliwość — mówi Shara - to docenilibyśmy dyskrecję. Jeśli mógłby pan uniknąć zdradzania szczegółów odnośnie tego, czego pan tu doświadczył...

- Zdradzanie ich byłoby wbrew mojemu zawodowi - zapewnia ją lekarz. - Zresztą, to badanie zostało przeprowadzone tak nieprofesjonalnie, że wolałbym, żeby nikt o nim nie wiedział. — Energicznie wkłada na głowę kapelusz i odchodzi.

- Tu jest! — krzyczy ktoś z tłumu i bramy rozbłyskują błyskami fotografii.

Shara wykrzywia twarz w grymasie i zamyka drzwi. Fotografia to dość nowy wynalazek, ma mniej niż pięć lat. Ale Shara już wie, że nie będzie się jej podobać: Utrwalanie obrazów - myśli - wiąże się z wieloma konsekwencjami dla mojej pracy...

Ponownie wchodzi do środka i kieruje się w stronę schodów. Pracownicy ambasady patrzą, jak się oddala - z podbitymi oczami, wykończona, czekając na pozwolenie, by móc pójść spać; Mulaghesh podchodzi do niej, tupiąc pośpiesznie.

- Pożar Magazynu został ugaszony - oznajmia. Podnosi butelkę do ust i upija łyk. - Zamykam ambasadę do czasu, aż zdecydujemy, czy to miasto ma zamiar zabić nas za zamordowanie zwierczka ich boga, czy czym tam było to coś. Ojcowie Miasta zdecydowali, że sami zajmą się mostem. Upijam się i śpię tutaj. Pani może się tym zająć.

- Tak zrobię — mówi cicho Shara.

- I lepiej niech się pani upewni, że gdy to się skończy, ja znajdę się na Javracie.

- Tak zrobię.

Zostawia Mulaghesh za sobą, wchodzi do pokoju Sigruda i siada w nogach jego łóżka. Sigrud raz po raz przesuwając palcem wskazującym po otworze butelki.

- Masz - odzywa się Shara. Wyciąga bransoletę Sigruda i umieszcza ją w jego wielkiej dłoni.

- Dziękuję - mówi on i zakłada ją wokół lewego nadgarstka.

- Czy na pewno wszystko w porządku? - pyta Shara.

- Tak myślę - mówi Sigrud. - Bywało gorzej.

- Naprawdę?

Sigrud kiwa głową, zagubiony w myślach.

- Jak udało ci się przetrwać?

Sigrud zastanawia się, po czym podnosi prawą rękę, zawiniętą w medyczną gazę. Rozplątuje ją, by odsłonić na dłoni jasnoróżowo-czerwony ślad przedstawiający wagę.

- Dzięki temu.

Shara spogląda na symbol.

-Ale to... To nie jest błogosławieństwo Kolkana...

- Może i nie. Ale myślę... Ze bycie pokaranym przez Kolkana, a przez niego pobłogosławionym... To może być jedno i to samo.

Shara przypomina sobie Efrema, jak czytał z Księgi Czerwonego

Lotosu Olwos i komentował na głos, że Bóstwa nie rozumieją siebie samych w sposób, w jaki my siebie rozumiemy, a przypadkowe skutki ich działań często mówią o nich więcej, niż te intencjonalne.

Sigrud wpatruje się w swoją dłoń. Oko błyszczy mu poprzez spuchnięte powieki niczym miękki grzbiet żuka pomiędzy jego skrzydłami. Sigrud mruga - Shara stwierdza, że chyba się upił - i pyta:

- Wiesz, skąd to mam?
- Poniekąd - odpowiada. - Wiem, że to ślad Palca Kolkana,

Kiwa głową. Milczenie się wydłuża.

- Wiedziałaś, że go masz - mówi Shara. - Wiedziałaś, co to jest. Ale nigdy nie czułam, że powinnam zapytać.

- Mądrze. Blizny to okna do goryczy. Najlepiej ich nie ruszać. - Sigrud rozmasowuje dłoń.

- Nie wiem, skąd one wzięły się w Slondheimie. To takie rzadkie i potężne narzędzie. Wyglądało na niewiele więcej niż marmur; szary marmur z małym znakiem wagi. Musieli przetransportować je w pudle, ze specjalną podszewką...

- Prawdopodobnie szarą wełną — mówi Shara. — Kolkasztanie darzyli ją wyjątkowym szacunkiem.

- Skoro tak mówisz. Było nas dziewięciu. Trzymano wszystkich razem, w jednej celi. Piliśmy pełną rdzy wodę z przeciekających rur, sraliśmy w kącie, głodowaliśmy. Bardzo długo głodowaliśmy. Nie wiem, ile dokładnie. Ale pewnego dnia strażnicy przyszli do nas z kamieniem w pudełku i talerzem kurczaka — całego kurczaka - i powiedzieli „Jeśli jeden z was przytrzyma przez minutę ten mały kamyczek, damy wam to zjeść.” I wszyscy zgłaszali się na ochotników, żeby to uczynić, ale ja nie, ponieważ znałem tych ludzi. Pogrywali z nami, więzionymi w Slondheimie. Zmuszali do walk między sobą,

zabijania się... - Rozwiera lewą pięść: bieleją różowe blizny rozlane na jego knykciach. - Wiedziałem, że coś jest nie tak. Pierwszy gość spróbował przytrzymać kamyk i zaczął krzyczeć już w momencie, gdy go podniósł. Ręka krwawiła mu, jakby ktoś dźgnął ją nożem. Upuścił go. Brzmiało to, jakby na podłogę upadł ogromny głaz, a strażnicy zaśmiewali się i chcieli, żeby znów go podniósł, czego nie był w stanie zrobić. Jakby kamyk ważył tysiąc ton. Strażnicy potrafili go podnieść jedynie za pomocą szarego materiału. Nie rozumieliśmy, co to było, ale wiedzieliśmy, że głodu jemy, więc chcieliśmy spróbować ponownie, żeby chociaż odrobinę zjeść... Żadnemu z nich się nie udało. Niektórzy wytrzymali dwadzieścia sekund. Niektórzy trzydzieści. Z rąk lała im się rzeka krwi. Mały kamyk okrutnie ich ranił. I wszyscy w końcu go upuszczali. Taki mały Palec Kolkana. - Bierze kolejny łyk wina. - I wtedy... ja też spróbowałem. Ale zanim go podniosłem, pomyślałem... Pomyślałem o wszystkim, co utraciłem. To coś w sercu, co dawało mi chęć do życia; ten ogień się wypalił. Nawet teraz się nie pali. I... I chciałem, żeby ten kamień mnie zmiażdżył. Rozumiesz? Pragnąłem tego bólu. Więc go podniosłem. I trzymałem. - Odwraca zabliznioną dłoń, jakby kamień wciąż tam był. - Nadal go czuję. Jakbym trzymał go w tej chwili. Trzymałem go nie żeby zjeść, ale żeby umrzeć. - Dłoń zaciska się w pięść. - Ale zjadłem. Trzymałem Palec Kolkana nie przez jedną, ale przez trzy minuty. I wtedy zabrali mi kamień, bardzo nieszczęśliwi, i powiedzieli, że mogę zjeść, bo wygrałem. Ale zanim to zrobię, muszę zdecydować, czy zjem całego kurczaka, czy podzielę się nim z pozostałymi. Wszyscy patrzyli na mnie jak... duchy ludzi, chudzi, bladzi i wygłodzeni, jakby znikali na moich oczach...

Sigrud zaczyna ponownie nawijać bandaż na rękę.

- Nie zastanawiałem się nad tym - mówi delikatnie - nawet przez sekundę. Strażnicy umieścili mnie w innej celi, a ja zjadłem wszystko i poszedłem spać. Nie minął nawet tydzień, gdy z mojej starej celi zaczęli wyciągać ciała. - Zawiązuje bandaż, rozmasowuje dłoń. - Bóstwa mogły stworzyć wiele piekieł - kończy - ale myślę, że wszystkie błędą przy tym, co ludzie zgotowali sobie samym.

Shara zamyka drzwi do pokoju Sigruda i zatrzymuje się w korytarzu. Nogi jej drżą i chwilę zajmuje jej zrozumienie, że zaraz się przewróci. Siada i bierze głęboki wdech.

Podczas swojej kariery Shara miała do czynienia z wieloma agentami i wielu z nich utraciła. Myślała wtedy, że jest bezbłędną profesjonalistką; wydajną, lecz nieangażującą się osobiście w szczegóły pracy, zachowującą sumienie i zdrowie psychiczne w swojej małej, hermetycznie zamkniętej bańce, znajdującej się z dala od całej tej makabrycznej rzeczywistości.

Ale myśl, że miałaby stracić Sigruda... Wydawało się jej, że wie, co to horror, ale gdy ujrzała, jak ten znika w ciemnych wodach Sołdy...

Żyje. Żyje i będzie z nim dobrze. Przynajmniej na tyle, na ile może być dobrze z kimś tak poobijanym i obtłuczonym, kto siedzi w swoim małym, śmierdzącym pokoiku

Shara kręci głową. Ależ terażniejszość naśladuje przeszłość, myśli. To było dziesięć lat temu, ale dziś wydaje się, jakby od tego czasu minęło całe życie.

Shara przypomina sobie, jak małe były tamte drzwiczki. Malutkie, ledwie jak wejście na strych. Prawdopodobnie była to też najmniejsza kabina na sajpurskim okręcie. Shara zapukała do drzwi, *puk puk* rozniosło się echem po korytarzu okrętu, ale nie nastąpił żaden odzew. Wtedy otworzyła drzwi i uderzył ją smród, a nogi, już chwiejące się przez chorobę morską spowodowaną bujającym się pod nią okrętem, zatrzęsły się nawet bardziej na ten zapach. Zakaszłał nawet sajpurski porucznik, który poprosił ją, żeby była ostrożna i pewnie zastanawiał się, czy ta dziewczyna, ledwie wtedy dwudziestopięcioletnia, naprawdę chce zginąć.

Weszła do środka. W pokoju nie było światła, ale i tak widziała olbrzyma siedzącego w kącie ze skrzyżowanymi nogami. Wyglądał jak

zbity pies; włosy miał nierówne i skołtunione, skórę pokrytą pręgami i ranami. Głowę trzymał spuszczoną, więc nie widziała jego oczu - czy raczej oka - ale wzdrygnął się na wpadające nagle światło.

Zamknęła drzwi, usiadła w kącie naprzeciwko i czekała. Prawie w ogóle się nie ruszał.

- Opuszczamy drejlińskie wody. Nie chcesz po raz ostatni zobaczyć swojego kraju? - zapytała.

Nie odpowiedział.

- Nawet nie wyszedłeś z kajuty - oznajmiła. - Jesteś wolny. Nie chcesz pierwszy raz od lat trochę się pokręcić?

Żadnej odpowiedzi.

- Nie chcesz przynajmniej się wykąpać? Mamy gorącą wodę.

Olbrzym mruknął coś niewyraźnie, jakby już chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił.

- Tak?

Jego akcent był tak mocny, że prawie nie dało się go zrozumieć.

- To... nie jest prawdziwe.

- Co?

Machnął ręką.

- Wszystko.

-Jest. Przysięgam, że jest. Drzwi są otwarte. Jesteś wolny.

Pokręcił głową.

- Nie. Niemożliwe... Oni... Moja rodzina...

Shara czekała, ale nie powiedział nic więcej.

- Żyją, tak jak ci powiedziałam — oznajmiła łagodnie.

- *Pochowałem* ich. Trzymałem w rękach ich kości.

- Nie wiem, czyje to były kości, ale na pewno nie twoich bliskich.

- Kłamiesz.

- Nie. Twoją żonę Hild i dwie córki przemycił z kraju twój sługa, jeszcze przed zamachem. Przekroczyli granicę z Vurtjasztanem ledwie dwa dni przed tym, jak do niego doszło. Mieszkali tam przez ostatnich sześć lat, twierdząc, że są krewnymi Mojego sługi. Pracowali jako rolnicy; jak podejrzewam, byli biedni, bo wątpię, żeby ktoś o pochodzeniu twojej żony kiedykolwiek uprawiał ziemię, ale jakoś sobie radzili.

Długie milczenie.

- Jak... Jaki masz na to dowód?

— Twoja rodzina nie była całkowicie bezpieczna, gdy ich odnalazłam. Już wtedy byli poszukiwani, teraz też są. Wielu agentów wciąż szuka ludzi z twojego rodu. Zabraliśmy twoją rodzinę z Vurtjasztanu, ponieważ uznałam, że to miejsce nie jest już bezpieczne. Nie było to proste. Twoja żona jest, jakby to powiedzieć... kobietą o dość silnej woli.

Uśmiechnął się lekko.

— Ale udało się. Gdy mieliśmy to już za sobą, twoja żona dała jednemu z policjantów prezent, jako wyraz wdzięczności. - Shara sięgnęła do kieszeni i wydobyła z niej mały, jutowy worek. Sięgnęła do niego i wyciągnęła połyskującą złotą bransoletę o wielu splotach,

wykonaną tak, by przypominała surowe, wzburzone fale.

Podawała mu ją.

— Czy to ci coś mówi?

Wpatrywał się w bransoletę. Metal wydawał się bardzo jasny i czysty w jego brudnych, pobliźnionych rękach. Palce zaczęły mu drżeć.

— Może wyjdiesz ze mną na pokład? - zapytała łagodnie Shara.

Pomału wstał, wciąż wpatrując się w bransoletę. Shara otworzyła drzwi, a on podążył za nią w górę schodów, wyglądając jak zaspane dziecko prowadzone do łóżka.

Uderzenie zimnego powietrza wystarczyło, żeby Shara się zatrzymała, zgięła w pół i zatoczyła po pokładzie okrętu. Olbrzym obok niej nie zwrócił na to uwagi. Przekroczył próg drzwi i z niemym podziwem wpatrywał się w niebo. Unikał spoglądania w górę, gdy wprowadzano go na pokład i Shara zastanawiała się nad tego przyczyną. *Oczywiście, pomyślała. Jak wiele czasu minęło od chwili, gdy był na zewnątrz? Widok nieba musiał go przerażać.*

- Chodź - powiedziała i poprowadziła go do barierki. Ciemne klify drejlińskich wybrzeży czaiły się za falami. - Podobno nie jest to tak daleko, jak wygląda. Pomyślałam, że będziesz o tym wiedzieć więcej ode mnie.

Spojrzał w dół na złotą bransoletę, założył ją na nadgarstek i podniósł rękę, przyglądając się jej uważnie.

- Nie mogę się z nimi zobaczyć, prawda?

Pokręciła głową.

- Nie byłoby to bezpieczne. Ani dla ciebie, ani dla nich. Jeszcze nie. Ale może kiedyś.

- Czego ode mnie chcesz?
- Ja? Na razie niczego.
- Ocaliłaś moją rodzinę. Uwolniłaś mnie z więzienia. Dlaczego?
- Ponieważ wierzę, że twoja wiedza na temat państw drejlińskich z pewnością okaże się cenna - mówi Shara. - I prawdopodobnie zdestabilizuje związek Republik Drejlińskich z Kontynentem. - W jej głos zakradł się ślad samozadowolenia. Był to pierwszy w jej karierze tak duży sukces jej wywiadu, i nie była jeszcze wystarczająco doświadczona, by przejmować się ukrywaniem swej dumy.
- To nie wystarczy.
- Do czego?
- Do tego, co dla mnie zrobiłaś.

Shara zamilkła, niepewna, co odpowiedzieć.

- Poproś mnie o coś - rzucił.
- Co?
- Poproś mnie o coś. O cokolwiek.
- Niczego od ciebie nie potrzebuję.

Roześmiał się.

- Akurat.
- Jestem agentką sajpurskiego wywiadu - oznajmiła, rozdrażniona. - Nie potrzebuję niczego, co mógł...
- Jesteś młodą dziewczyną - powiedział - która nie potrafi żeglować ani walczyć, i która nigdy w życiu nie przelała czyjejś krwi. Może i

jesteś mądra, ale myślę, że mnie potrzebujesz. Tylko jesteś zbyt dumna, by o to poprosić.

Shara wpatrywała się w niego ponuro.

- Co proponujesz? Zostaniesz moim asystentem? *Sekretarzem*?
Zniżysz się do czegoś takiego?

- Zniżę? - Omiótł spojrzeniem morze. - Poniżenie... Nie znasz znaczenia tego słowa. Nie wiesz, co mi tam robili. Nie da się tego opowiedzieć. Noszenie wody, serwowanie posiłków, walka, zabijanie... Cokolwiek czeka mnie w przyszłości, jest mi to obojętne. Zobojętniałem. - Powiedział to, jakby sam próbował się o tym przekonać. Obrócił się, by na nią spojrzeć, blady i prześladowany przez wspomnienia. - Poproś mnie o coś. Cokolwiek.

Chociaż twarz miał pobliźnioną i brudną, Shara poczuła, że potrafi przejrzeć go na wskroś i zrozumiała, że w jakiś pokręcony sposób prosił o jej pozwolenie, by umrzeć, ponieważ nie spodziewał się, że może jeszcze zrobić cokolwiek innego.

Shara spoglądała na malejące drejlińskie klify. I wtedy zrobiła coś, czego już teraz by nie zrobiła: odsłoniła swe serce, powiedziała mu prawdę i złożyła obietnicę, co do której nie była pewna, czy jej dotrzyma.

- Poproszę cię zatem - powiedziała powoli - żebyś był świadom, że to nie jest dla ciebie koniec. Pewnego dnia pomogę ci wrócić do domu. Pomogę ci poskładać to, co się rozpadło. Obiecuję, że przywrócę cię światu.

Spojrzał na morze. Oko mu błyszczało. I wtedy, ku jej kompletnemu zaskoczeniu, opadł na kolana, złapał za barierkę i wybuchnął płaczem.

- Jesteś pewna, że nie chcesz jeszcze się zastanowić? - mówi jakiś

głos.

- Jestem pewna, że nie *pozwolono* mi się zastanowić — odpowiada głos Mulaghesh. - Twoja cholerna rada nie dała mi nawet wyboru.

- Przecież nie mogą tego *przegłosować*. - mówi głos. -Turyin, zgromadzenie nie było pełne! Musisz jedynie trochę podziałać!

- Och, na litość morską - mruczy Mulaghesh, zmęczona, pijana. - Czy nie podziałałam już dziś wystarczająco? Będę działać zgodnie z zaleceniami, dziękuję bardzo. A wyjątkowo wyraźnie usłyszałam, że mam się *odpieprzyć*.

Shara wchodzi do kuchni, by ujrzeć Vohannesa Votrowa, odzianego w swój zwykły, biały, futrzany płaszcz, jak stoi przed Mulaghesh, która spogląda na niego kwaśno ponad wypełnioną po brzegi szklanką whiskey. Laska Votrowa uderza niecierpliwie - *stuk stuk* - o obcas jego buta.

- Myślałam, że zamykamy ambasadę i nie przyjmujemy gości - mówi Shara. - *Szczególnie* tego gościa.

Vohannes obraca się i spogląda na nią.

- A więc oto zwycięska wojowniczką, świeżo po podboju. Cóż to była za epicka noc!

- Vo, szczerze, to nie mam czasu na twój domniemany urok. Jak się tu dostałeś?

- Oczywiście poprzez szczodre dysponowanie moimi urokami - odpowiada Vohannes. - Proszę, pomóż mi. Musimy przekonać panią gubernator Mulaghesh, żeby *wstała*. Wszyscy przepuszczacie fenomenalną okazję!

- Nie zamierzam — oznajmia Mulaghesh - podnosić tyłka z tego krzesła nawet o centymetr. Nie dzisiaj.

- Ale miasto kompletnie oszalało! — woła Vohannes. — Jedna połowa może dostać się do drugiej tylko idąc dookoła, wzdłuż murów! *Wiem, że Bułyków nie dysponuje odpowiednimi środkami, by zacząć prędką rekonstrukcję Mostu Sołdańskiego.*

— Czy przypadkiem nie jesteś *właścicielem* większości firm budowlanych w mieście? — pyta Shara.

— Cóż, prawda... Ale podczas gdy moje własne firmy *mogłyby* dopiero zacząć robić postępy, w porównaniu z wpływami biura gubernator polis... czy nawet biura gubernatora regionalnego...

— I dlaczego mielibyśmy tego chcieć?

— Myślisz, że nie macie nic do zyskania - pyta Vohannes -poprzez sprawienie, że Bułyków stanie się zależny od waszych planistów i przedsiębiorców budowlanych?

— I musielibyśmy też współpracować ze wszystkimi *jego* firmami — mówi Mulaghesh.

— To zaledwie przyjemny bonus - mówi Vohannes.

— Dosłownie - zauważa Mulaghesh.

— Vo, Zginęły dziś dziesiątki ludzi — mówi Shara. - Wiem, że masz swoją misję, swój plan, ale czy mógłbyś wykazać odrobinę przyzwoitości? Nie powinienesz oplakiwać swoich?

Uśmiech Vohannesa kwaśniej, aż przeradza się w nienawistny grymas.

— Nie chciałem być tym, który ci to powie, *pani ambasador*— mówi jadowicie Vo - ale to nie jest pierwsza klęska, jaka spada na Bułyków. Wiesz, co stało się z ulicą Oszkewską, zde-stabilizowaną przez losowy ubytek po Mgnieniu, która nagle *zawałiła się*, zabierając ze sobą dwa budynki mieszkalne i szkołę? Płakaliśmy i przeżywaliśmy żalobę, ale

co to dało? A jak było wtedy, gdy Kontynentalna Spółka Gazowa nieudolnie próbowała doprowadzić gaz do Dzielnicy Sołdańskiej i wznieciła pożar, którego nie można było ugasić przez *sześć dni*? Płakaliśmy i przeżywaliśmy żalobę, i co to dało?

Shara spogląda na Mulaghesh, która niechętnie wzrusza ramionami:
Nie, nie zmyśla.

- Niestety jest nieodłącznym towarzyszem Bułykowa, pani ambasador - mówi Vohannes. - Smutek i przyzwoitość są zaledwie dekoracjami, które zasłaniają rzeczywisty problem: Bułyków desperacko potrzebuje pomocy i odbudowy. *Prawdziwej odbudowy.* Nie jesteśmy w stanie zrobić tego sami!

- Przykro mi - mówi Shara. - Nie powinnam była tego powiedzieć. - Siada, a jej nogi wyśpiewują dziękczynne pieśni. Przeciera ponownie oczy. - Most ledwo co się zawalił - skarży się - a my już musimy znowu spiskować... O co chodzi z tą radą?

- Ojcowie Miasta zwołali spotkanie kryzysowe, by omówić, co należy zrobić - wyjaśnia Vohannes. - Po podjęciu decyzji w kwestii podstawowych spraw związanych z poszukiwaniem i ratowaniem, chciałem, aby rada poprosiła Sajpur o pomoc w odbudowie. Ostatecznie zagłosowali przeciwko mnie, chociaż nie zaproponowali alternatywnego rozwiązania. Ale to głosowanie nie jest tak naprawdę ważne, jako że po Wykłowie urwał się wszelki ślad.

Shara bębni palcami o stół.

- Naprawdę?

- Tak. Zabawne, prawda? W zasadzie nikt nie widział go od prawie tygodnia, od czasu gdy stanął u bram ambasady i obrzucił cię obelgami.

Chociaż Sigrud widział, jak Wykłow doprowadził Torskeny do muowosta, myśli Shara, a potem zniknął w alejce... Spogląda

błagalnie na Mulaghesh wciąż załzawionymi oczami.

- Proszę, nie chce mi się wstawać - błaga Mulaghesh.
- Nie będę o nic prosić - mówi Shara. - Nie dzisiaj. To... Vo, to *musi* poczekać do rana.
- Trzeba kuć żelazo, póki gorące — ponagla Vohannes.
- Nie ja tu decyduję o polityce publicznej!
- Ale musisz mieć wielu przyjaciół na wysokich stanowiskach, prawda?
 - Przyjaźń z nimi była już wystawiana na próbę, albo tak już *będzie*, po tym co stało się dzisiaj. — Wzdycha. - Vo, nie wiesz, co działo się w przeciągu ostatnich kilku godzin. Mówię to w największym zaufaniu, ale ponieśliśmy *znaczne* straty. I wciąż nie mamy zielonego pojęcia, kim są nasi wrogowie, ani co teraz robią! To nie czas na wielkie plany. Na dziś zostawimy Bułyków Bułykowowi.
 - Ta polityka - mówi Vohannes - prawie z pewnością była główną przyczyną pojawienia się Odnowicieli i będzie matką dalszych konsekwencji. To miasto marynuje się wewnątrz własnych murów. Shara, każda katastrofa jest pewną okazją! Wykorzystaj ją.
 - Odcierpiałam dziś wiele katastrof. — Shara śmieje się pusto. — Vo, nie chcesz, żebym była po tej samej stronie, co ty. Moja kariera może zakończyć się jeszcze przed świtem.
 - Bardzo w to wątpię. *Szczególnie* teraz, gdy każdy mężczyzna, kobieta i dziecko w Bułykowie uważają was za wspaniałych, wielkich bohaterów.

Mulaghesh i Shara obie kiwają tylko głowami, siedząc w swoich fotelach, ale na to stwierdzenie otrząsają się.

- C-co? — pyta Mulaghesh.
- Jak to co? - pyta Vohannes.
- Możesz powtórzyć?
- Och? *Naprawdę* nie zdajecie sobie z tego sprawy? Ten tłum... - Wskazuje na północ, w stronę drzwi. — Myślałyście, że są wściekli? Że chcą obalić bramę? Nie, są *zachwyceni!* Zabiliście potwora, który groził przerażonemu miastu! To... Cóż, tak powstają legendy.
- Ale to było święte stworzenie — mówi Shara. - Na rynku stała kiedyś świątynia poświęcona wyłącznie Urawowi! Ten kraj *czcił* to coś!
- Czas przeszły. To było ponad trzysta lat temu! A to coś próbowało nas *pozabijać!*
- Ale... Ale to był Sigrud! Prawie wszystkiego dokonał sam!

Vohannes wzrusza ramionami.

- Zasługi przechodzą na najbliższe osoby. Ojcowie Miasta nie wiedzieli, co zrobić. Chyba stałaś się pierwszym Sajpurem w historii, któremu udało się zdobyć przychylność miasta. A jeśli wy albo ktoś z Ghaladeshu podjąłby taką próbę, Sajpur mógłby tu przyżegłować, odbudować most i na wieki zostać uznany zbawcą!

Shara i Mulaghesh obie siedzą oniemiałe. Vohannes wyciąga papierosa ze srebrnej papierośnicy i wkłada go w lufkę.

- Ale miejmy nadzieję - mówi - że nie dowiedzą się, kim *naprawdę* jesteś. Znajac historię twojej rodziny, stworzyłyby to paskudne porównania, nieprawdaż?

Shara pije. W tej chwili wydaje się to odpowiednie: jest żołnierzem

pośród żołnierzy, świętującym przeżycie, gdy tak wielu poległo. Wino miesza się ze zmęczeniem, Vohannes dołącza do niej i Mulaghesh, a wieczór przeradza się z pełnego zszarganych nerwów i potwornej traumy w noc w iście akademickim stylu, jakby siedzieli we wspólnym pokoju razem z kolegami z grupy, wymieniali się plotkami i z determinacją ignorowali oszalały świat wokół nich.

Ależ świetne było, myśli Shara, to poczucie wspólnoty.

Mulaghesh chrapie w swoim fotelu podczas purpurowych godzin tuż przed świtem. Vohannes musi pomóc Sharze na schodach. Ta zatrzymuje się, by złapać oddech przy szerokich oknach klatki schodowej. Gwiazdy spoczywają na kocu z miękkich, purpurowych chmur, podtrzymywanych krajobrazem Bułykowa. Jest malowniczy do tego stopnia, że mógłby zostać namalowany przez sentymentalnego, bardzo nietaktownego malarza.

Vohannes powoli kuśtyka za nią. Nagle wydaje się całkiem kruchy.

- Jestem... - Shara wie, że zaraz powie coś, czego nie powinna, ale jest zbyt pijana, by się powstrzymać. - Przykro mi z powodu twojego wypadku, Vo.

- Bywa - odpowiada łagodnie Vohannes. Jeśli zdaje sobie sprawę, że Shara wie, jak to się stało, nie okazuje tego. - Proszę tylko o twoją pomoc w ich przemianie.

Gdy w końcu dochodzą do jej pokoju, Shara siada na łóżku, trzymając się za czoło. Pokój wiruje i kołysze się jak pokład statku.

- Minęło trochę czasu - dobiega z ciemności głos Vohanne-sa - odkąd ostatni raz byłem w sypialni kobiety...

-Ty i Iwańja...?

Kręci głową.

-To... To nie tak.

Shara opada na łóżko. Vohannes uśmiecha się, siada koło niej i kładzie się, opierając się na jednej ręce, tak, że znajduje się zaraz nad Sharą. Ich uda się stykają.

Shara mruga, zaskoczona.

- Nie sądziłam - mówi - że to cię interesuje.

- Cóż, to... też nie do końca *tak*.

Shara uśmiecha się smutno. *Biedny Vo*, myśli. *Zawsze rozdarty pomiędzy dwoma światami...*

- Nie brzydzisz się mną? - pyta.

- Czemu miałabyś tak pomyśleć?

- Nie robię niczego, co byś chciał. Nie pomagam ani tobie, ani Bułykowowi, ani Kontynentowi. Jestem twoim wrogiem, przeszkodą.

- To twoja polityka jest moim wrogiem. — Vohannes wzdycha. — Pewnego dnia zmienię twoje zdanie. Może nawet dziś w nocy.

- Nie bądź niedorzeczny. Czy bogacze tacy jak ty często wykorzystują pijane kobiety?

- Hmm. Wiesz - odzywa się Vohannes - że gdy wróciłem, rozeszła się plotka, że znalazłem sobie sajpurską kochankę? Obrzucano mnie obelgami. I chyba też mi zazdroszczono... Ale nic z tego nie miało dla mnie znaczenia. - Jego oczy wydają się być jak polakierowane: czy on płacze? - Nie przyciągnęła mnie do siebie chęć przeżycia egzotycznej przygody. Przyciągnęłaś mnie do siebie, ponieważ jesteś właśnie sobą.

Jak on może być taki ładny, myśli Shara?

- Jeśli chcesz, żebym sobie poszedł - zastrzega Vo - to po prostu

powiedz.

Shara zastanawia się i wzdycha dramatycznie.

- Zawsze stawiasz przede mną takie trudne wybory...

Vohannes całuje jej szyję. Jego broda łaskocze linię jej szczęki.

- Hm - mówi Shara. - Cóż... Cóż. - Sięga, łapie róg narzuty i podnosi ją. - No to... - tłumy śmiech, gdy Vohannes całuje jej obojczyk - no to lepiej wskakuj.

- Kimże jestem, żeby odmawiać pani ambasador jej pragnień? - Vohannes zrzuca swój biały, futrzany płaszcz.

Czy jego zebranie rady było aż tak ważne, zastanawia się Shara, że musiał się do tego przebrać?

Musiała powiedzieć to na głos, ponieważ Vohannes spogląda na nią i mówi:

- Nie przebrałem się. Miałem to na sobie cały wieczór.

Shara próbuje skupić się na jednej myśli - *Cos tu się nie zgadza* - ale wtedy Vohannes zaczyna rozpinać jej koszulę i Shara zaczyna myśleć o wielu różnych rzeczach naraz.

- Jak mam się położyć?

- A jak byś *chciała*?

— Cóż, pytam... z powodu twojego biodra.

— Och. Och, tak... Prawda.

— Tak... Tak jest dobrze?

— Tak jest dobrze. Bardzo dobrze. Mmm.

To zły pomysł, myśli Shara, ale próbuje zignorować tę myśl i zagubić się w tej krótkiej chwili rozkoszy...

Ale nie potrafi.

-Vo...

-Tak?

— Czy to... czy sprawia ci to przyjemność?

- Tak.

— Na pewno?

- Tak.

— Pytam, bo...

— Wiem! Wiem... Po prostu... Za dużo wina...

— Jesteś *pewien*, że nie robię ci krzywdy?

— Nie! Jest w porządku! Całkowicie... W porządku.

— Cóż... Może się obróczę... O tak. Lepiej?

— Lepiej. - Brzmi bardziej na zdeterminowanego niż rozkochanego.

— To...

- Tak?

— To...

— ...tak?

— To nie powinno być takie... trudne...

— Vo... Jeśli *nie chcesz*...

— *Chcę!*

-Wiem, ale... ale nie powinieneś czuć się, jakbyś musiał...

— Po prostu... Po prostu... *Bogowie*. — Opada obok niej. Sekundy tykają w ciemnym pokoju. Shara zastanawia się, czy zasnął.

— Przepraszam — mówi łagodnie Vo.

— W porządku.

- Chyba nie jestem — szepcze — tym, kim byłem.

- Nikt tego od ciebie nie wymaga.

Przez chwilę ciężko oddycha; Shara podejrzewa, że płacze.

- Świat jest naszym stosem - mruczy. - I kształtujemy się z nim wraz z każdym spłonieniem.

Shara zna ten wers.

- Kolkasztawa?

Vohannes śmieje się gorzko.

- Może Vołka miał rację. Kolkasztaninem jest się na całe życie...

Milknie.

Shara zastanawia się, jakiego rodzaju człowiek, będąc nagi w łóżku kobiety, myśli o swoim bracie.

Oboje śpią niespokojnym snem.

Świadomość Shary rozbudza się, płynąc przez ciemne, oleiste wody kaca. Poszewka poduszki jest niczym papier ścierny; odsłonięte ramiona są lodowato zimne, podczas gdy stopy, zakopane głęboko w kołdrze, właśnie się przypiekają.

- Wstawaj - warczy jakiś głos. - Wstawaj.

Poduszka na jej głowie podnosi się i Sharę dźga okrutne światło dnia.

- Obróć się - mówi głos Mulaghesh - i wstawaj!

Shara obraca się na prześcieradle. Mulaghesh stoi przy jej łóżku i trzyma poranną gazetę, jakby ta była odciętą głową wroga.

- Co? - pyta Shara. - Co? - Na szczęście wciąż ma na sobie halkę; Vohannesa jednak od dawna już nie ma. Zastanawia się, czy zbiegł ze wstydem i boli ją, że mógł tak źle o niej pomyśleć.

- Przeczytaj to — mówi Mulaghesh. Wskazuje na rozmazany artykuł.

- Chcesz, żebym...

- Czytaj! Po prostu to przeczytaj.

Shara przekopuje poduszki w poszukiwaniu okularów. Po włożeniu ich na nos, natrafia na swoją czarno-białą twarz na pierwszej stronie gazety. Zdjęcie przedstawia ją, jak stoi u brzegu Sołdy: za nią znajduje się martwe cielsko Urawa, a u stóp klęczy pokryty krwią Sigrud, który twarz ma zakrytą welonem tłustych włosów. Shara ocenia, że to najlepsze zdjęcie, jakie ktokolwiek kiedykolwiek jej zrobił: widać jej królewski profil, a wiatr odpowiednio złapał jej włosy, układając je w delikatną rzekę hebanu ciągnącą się za jej głową.

Jej konsternacja rozwiewa się, gdy czyta znajdujący się poniżej artykuł:

BUŁYKÓW URATOWANY!

Centralne dzielnice Bułykowa zostały zeszłego wieczoru sterroryzowane przez nagły, niewytłumaczalny atak z Sołdy. Potwierdzono, że ogromne stworzenie wodne (jego natura zobowiązuje gazetę do nazywania go „stworzeniem”, jako że inna, bardziej precyzyjna nazwa mogłaby ściągnąć konsekwencje prawne) popłynęło w górę Sołdy, przebiło lód i zaczęło wciągać przechodniów spacerujących nad rzeką do lodowatej wody.

Rozmiar i masa owego stworzenia były tak wielkie, że zdołało ono zrównać z ziemią kilka nadrzecznych budynków, zanim siły miejskie zdążyły jakoś zareagować. Szokująca liczba dwudziestu siedmiu mieszkańców straciła życie, a w chwili oddawania tego numeru do druku, o czwartej nad ranem, nadal napływały kolejne relacje. Odnaleziono jeszcze kilka ciał.

Departament Policji Bułykowa prędko przypuścił atak w celu pochwylenia bądź zabicia stworzenia, co doprowadziło do tak dużego uszkodzenia Mostu Sołdańskiego, że ten zawalił się, zabijając przy tym sześciu i raniąc dziewięciu policjantów, włączając w to słynnego kapitana Mikława Nesrhewa. Kapitan Nesrhew dzisiaj rano był już jednak w stabilnym stanie i aktualnie dochodzi do siebie w Domu Siedmiu Sióstr.

Sposób, w jaki zażegnano to niebezpieczeństwo może być w tym wszystkim najbardziej zdumiewającą sprawą, jako że stworzenie zostało powalone przez niespodziewaną bohaterkę: ujawniono, że niedawny nabytek ambasady sajpurskiej, Ashara Thivani, to w rzeczywistości Ashara Komayd, bratanica Minister Spraw Zagranicznych Sajpuru Vinyi Komayd, oraz prawnuczka kontrowersyjnego generała Avshakty si Komayda, niesławnego ostatniego Kaja Sajpuru. Źródła potwierdzają, że to dzięki jej działaniom i pomysłom stworzenie zostało powstrzymane i zabite.

- Pani ambasador i jej współpracownicy zidentyfikowali to stworzenie oraz znaleźli sposób, by je powstrzymać i zatłuc — mówi pracownik służb miejskich, który woli pozostać anonimowy. - Bez jej pomocy zginęłyby dziesiątki, jeśli nie setki mieszkańców Bułykowa.

Kilku policjantów również wypowiedziało się na temat zachowania pani ambasador podczas ataku.

- Próbowaliśmy ewakuować ambasadę, ale ona uparła się, że nam pomoże - mówi Viktor Powroj, sierżant bułykowskiej policji. - Razem ze współpracownikami zabrała się do roboty. Nie widziałem nigdy wcześniej, by ktoś tak szybko poskładał tak śmiały plan.

To właśnie pani ambasador wraz z panią gubernator polis Bułykowa, Turyin Mulaghesh, uratowały życie kapitana Nesrhewa.

- Bez nich — zeznał Powroj - albo by utonął, albo zamarznął na śmierć.

Pozostaje jednak odpowiedzieć na pytanie: dlaczego pani ambasador ukrywała swą tożsamość? Dlaczego tak świetnie poradziła sobie w walce z tym stworzeniem? I co oznacza dla

Bułykowa fakt, że na tak wysokim stanowisku w mieście znowu zasiada członek rodziny Komaydów?

W momencie oddawania tego numeru do druku ambasada nie wydała jeszcze oficjalnego oświadczenia.

Shara wpatruje się w gazetę, gorączkowo żywiąc nadzieję, że słowa zatańczą jeszcze i ułożą się tak, że będą przedstawiać zupełnie inną historię.

- Och, nie - szepcze.

Ujawnienie tożsamości... Czym innym jest rozpoznanie przez jakąś odległą i zabójczą agencję. Każdy agent jest przygotowany na coś takiego.

Ale umieszczenie nazwiska i historii w gazetach, pojawienie się ich nie w tajnych dokumentach rządu, ale w pokojach, jadalniach i pubach całego świata... To horror ponad horrory.

- Nie - powtarza Shara. - Nie. To... niemożliwe.

- Ta — mówi Mulaghesh.

- I to jest...

- Zwiastun Kontynentalny.

- Więc nie wydają go tylko w Bułykowie, ale...

- Na całym Kontynencie - mówi Mulaghesh. - Ta.

Rzeczywistość zwała się na Sharę z całym impetem.

- Och... och nie, och nie, och nie!

- Kto wiedział, kim jesteś? - pyta Mulaghesh.

- Ty - odpowiada Shara. - Sigrud, Vo... Kilku tutejszych pracowników wiedziało, że jestem kimś więcej niż osobą, za którą się podaję, ale istnieje różnica pomiędzy tym a...

- Byciem prawnuczką Kaja - podpowiada Mulaghesh. -Ta. Bez jaj. Wiem tylko, że ja niczego nie powiedziałam. Nigdy nie rozmawiam z prasą.

- Sigrud też by tego nie zrobił - mówi Shara. - Więc...

Rozważa opcje, możliwości.

Może Vinya? Shara nie jest już pewna, co ma myśleć o swojej ciotce; jest za to prawie pewna, że Vinya w jakiś sposób jest szantażowana, ale dla niej to zapewne kwestia polityczna, groźba utraty władzy jedynie w celu większego zysku. A politycznie to by jej bardzo, bardzo zaszkodziło.

Shara dalej zastanawia się nad opcjami, licząc, że uda jej się uniknąć rozważania tego, co coraz bardziej wydaje się jej jedynym

rozwiązaniem.

- W takim razie to może być jedynie Vohannes — mówi w końcu.
- Okej, ale... dlaczego?

Zastanawia się, czy to jakaś małosłowna zemsta za zeszłą noc? Raczej mało prawdopodobne. Czy może karze ją za zaniechanie interwencji w Bułykowie? Albo...

- Czy... czy on może próbować wykorzystać mnie, by zdobyć uwagę Ghaladeshu? - pyta na głos.

- A co ma do tego utrata twojego aliasu? - pyta Mulaghesh.

- Cóż... To świetna historia, prawda? Prawnuczka Kaja, która pojawia się i ratuje Bułyków. Ludzie zaczynają gadać... A w świecie geopolityki gadanie zawsze jest dobre. Wszyscy skupią się na Bułykowie - i wtedy on będzie mógł wykonać swój ruch. Znaczący, znasz go. Vo potrzebuje tylko znaleźć się w centrum zainteresowania.

- Tak, ale... — mówi Mulaghesh — ale to musi być najgłupszy możliwy sposób, by zmusić do czegoś Ghaladesh! Prawda?

Shara nie przeczy całkowicie, ale też niezupełnie się zgadza. Przypomina sobie, co Vo mamrotał zeszłej nocy: Kolkasztaninem jest się na całe życie...

Nie może pozbyć się poczucia, że coś przeoczyła. Jakikolwiek jednak byłby tego powód, rozumie, że nie może już ufać Vo i pojmuję, że zrobiła błąd: współpraca z tak pełnym pasji, złamanym i rozdartym stworzeniem zawsze była złą decyzją.

W pobliżu ktoś odchrząkuje.

Mulaghesh spogląda na okno.

- Co to było? - pyta.

Shara zna ten dźwięk aż nazbyt dobrze, jako że słyszała go przez całe dzieciństwo: protekcyjność i dwa razy więcej niecierpliwości.

- Nic na zewnątrz - mówi Mulaghesh, wyglądając przez zasłonięte okno - oczywiście poza tłumem. Nie wymyśliłam sobie tego dźwięku, prawda?

Shara spogląda na zamkniętą okiennicę przy biurku. Lewa dolna szyba lśni dziwnie, a odbicie jest lekko wypaczone.

- Pani gubernator - mówi Shara - proszę... wybaczyć mi na moment.

- Źle się czujesz?

- Może. Po prostu muszę... się uspokoić.

- Zejdę na dół - mówi Mulaghesh. - Ale nie mogę czekać zbyt długo. Jest tak wiele do sprzątnięcia, że niebawem muszę wrócić do swoich kwater.

- Rozumiem.

Drzwi zamykają się. Shara podchodzi do okna w chwili, gdy pojawia się na nim twarz jej ciotki.

- Chyba... Jestem temu winna w prawie takim samym stopniu co ty - mówi Vinya.

Shara nie mówi nic. Nie rusza się. Nie odzywa. Po prostu patrzy. Vinya jest równie zachowawcza i wycofana, co sama Shara. Obie patrzą na siebie przez szkło z lekką podejrzliwością, rozczarowaniem i urazą.

- Powinnam była cię powstrzymać, jeszcze gdy byłaś młodsza - mówi Vinya. - Twoje zainteresowanie Kontynentem zawsze było dość niezdrowe. Ufałam ci coraz bardziej, pozwalając na zajmowanie się

swoimi sprawami bez mojego nadzoru... Teraz tego żałuję. Być może powinnam była częściej sprowadzać cię do domu. Może miałaś rację. Chciałabym, żebyś mogła tu przybyć i zobaczyć jak zmieniają się sprawy w Parlamencie, przekształcają się i... i jakie to wszystko jest kruche i niepewne.

Ach. Naraziłam jej polityczną karierę. Po zszłonocnym zetknięciu się z ogniem i Urawem, Sharze ciężko jest współczuć komuś uwikłanemu w parlamentarne sprzeczki. W istocie, Sharze ciężko jest jakkolwiek reagować w tej rozmowie. Cieszy się, że jej ciocia cały czas mówi, co pozwala samej Sharze obserwować, jak w szklanym odbiciu, niczym pierwsze przymrozki, krystalizują się intencje i motywy Vinyi.

- Dyskusja znacznie zmieniła tory, prawie w ciągu jednej nocy. Przez długi czas nikt nawet nie myślał o zajęciu się Kontynentem, ale teraz... Teraz jesteśmy otwarci na ten pomysł. Teraz nagle jesteśmy ciekawi. Pomimo moich wysiłków z zeszłej dekady, ministrowie ponownie rozważają swoje stanowisko wobec Kontynentu. Wszyscy doradcy i asystenci przeglądają osobistą korespondencję z Kontynentu i odnajdują jedno i to samo nazwisko na setkach kolejnych petycji: Votrow, Votrow, Votrow...

Shara czuje dreszcz w żołądku. Tego się nie spodziewała. Czy jednak miała rację? Czy ujawnienie jej tożsamości naprawdę mogło być szalonym gambitem Vo? I — co jeszcze bardziej szalone - czy naprawdę zadziałało? I to zaraz przed wyborami na Ojców Miasta...

- Najwyraźniej czekasz - mówi Vinya - aż przejdę do części, w której informuję cię o podjętych decyzjach.

Shara ściąga usta, mruga; poza tym nie robi nic innego.

Vinya kręci głową.

- Powinnam była ci zabronić wchodzić do Magazynu — mówi. - Powinnam była od razu wiedzieć, że przez twoją obsesję na punkcie Kontynentu nie będziesz mogła się temu oprzeć.

Shara unosi brwi.

- Czekaj... Co chcesz przez to...?
- Ale oczywiście, w momencie, gdy tylko dowiedziałaś się o jego istnieniu, musiałaś spróbować się do niego dostać - kontynuuje Vinya.
- Dostać, wściubić do niego nos i tak czy inaczej obrabować jego półki.
- Co? Ciociu, ja nie chciałam, ale musiałam dostać się do Magazynu!
- Och? Naprawdę? Ostatnio słyszałam, że przepytujesz uniwersytecką sprzątaczkę na temat śmierci doktora Panguia. Następnie, przeniknęłaś do Magazynu, najtajniejszego budynku, jaki obecnie istnieje na świecie, spaliłaś go, a teraz walczysz z boskimi potworami rzeczonymi na czołówkach gazet! Z ujawnioną tożsamością! Shara, nie potrafię zrozumieć, jak dokładnie mogłaś naturalnie dojść do czegoś takiego! Znacznie prawdopodobniej wygląda to tak, że po prostu włamałaś się tam, ze swoją obsesją na punkcie stęchłych i martwych bogów, żeby zobaczyć na własne oczy, co tam się znajduje, jakby to było cholerne muzeum. I dosłownie sparzyłaś się i uwolniłaś jakąś upiorną boską kreaturę!

Sharze opada szczeka. Jest całkowicie i kompletnie przerażona: ze wszystkich szalonych rzeczy, jakich doświadczyła w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin... Wszystkie są niczym w porównaniu z tym.

- Ja... W Magazynie ktoś podłożył miny!
- Och, może Odnowiciele? — Vinya wymawia tę nazwę, jakby opisywała grupę niepiśmiennych farmerów sadzących ziemniaki.
- Tak!
- I jak się tam dostali?
- Oni... Użyli cudu!

- Ach - odpowiada Vinya. - Cudu. Bardzo wygodna wymówka. Szczególnie, gdy teoretycznie większość z nich nie powinna już działać. Dlaczego mieliby zaminować Magazyn, skoro był pełen rzeczy, które uważają za święte?

- Żeby zatrzeć ślady!

- A dokąd prowadziły te ślady, kochana?

- Było... Było tam coś, co chcieli ukraść! - To znaczy co?

- Nie wiem! Miejsce było zaminowane!

- Więc to ty zainicjowałeś wybuch.

Shara jest tak wściekła, że ledwo potrafi mówić.

- Wchodzili do Magazynu używając starożytnego, boskiego cudu! Przez wiele miesięcy!

- I co zamierzaliby zrobić z tym, co stamtąd ukradli?

- Nie wiem!

- Nie wiesz.

- Nie! Jeszcze nie. Wiem... że ma to coś wspólnego ze stalą! — Brzmi to żałośnie nawet dla Shary. - Właśnie prowadzę śledztwo!

Vinya kiwa głową i powoli siada z powrotem na krześle. Myśli.

- Porozmawiaj z Mulaghesh! Z Sigrudem! Z kimkolwiek, kto jest tutaj! - krzyczy Shara.

- Reputacja Mulaghesh nie jest już tak nienaganna jak kiedyś - mówi Vinya - jako że Magazyn znajdował się właśnie pod jej jurysdykcją, a teraz jest kupą popiołu. A prędeż posłucham psa ze wścieklizną niż twojego Drejlinga. Ale Shara, moja droga, przede

wszystkim żaden inny agent na całym Kontynencie nie potwierdził choć części tego, o czym mówisz.

- To dlatego, że ci ludzie są cholernie dobrzy! W przeciwieństwie do nas! Przybyłam do Bułykowa i ujrzałam mury rojące się od szczurów! Te machinacje były przeprowadzane już na długo przed moim przyjazdem!

Vinya przewraca oczami i kręci głową, zatroskana, skonsternowana, jakby słuchała obłąkanego krewnego przy obiedzie.

- Nie wierzysz mi - mówi z desperacją Shara.

- Shara, pojechałaś do Bułykowa z własnej inicjatywy, by zbadać ogromny, międzynarodowy skandal. A teraz spowodowałaś znacznie, znacznie większy. Dzięki morzom, że Kontynent nie wie o Magazynie. Jeśli wiedzieliby, że spaliłaś setki lat ich historii, domagaliby się twojej głowy, i mojej także! Potrafisz wyobrazić sobie konsekwencje? I najwyraźniej gdzieś po drodze ujawniłaś swoją tożsamość, co na tym etapie wcale mnie nie dziwi. Jesteś albo głupia i próżna, albo głupia i lekkomyślna. I nie jestem pewna, co bym wolała. Zauważyłam też, że nie wspomniałaś jeszcze nic o morderstwie Panguia. Powiedz mi, jeśli się mylę, ale był to główny powód, dla którego pozwoliłam ci pozostać w Bułykowie, prawda? Czy twoje śledztwo w sprawie tych ogromnych, mrocznych intryg rzuciło świadko na to, kto mógł go zabić i dlaczego?

Shara spogląda na białą walizkę Vohannesa, leżącą pod jej biurkiem.

- Być może miałabym coś — mówi wściekle - jeśli pozwoliłabyś mi przejrzeć materiały ze skrytki!

Vinya naskakuje na nią.

- Jeśli byś to zrobiła, bezpośrednio sprzeciwiłabyś się rozkazowi Ministerstwa! To ja muszę je pierwsza przejrzeć! Jeśli zdecyduję, że mogą ci się przydać, dopiero wtedy dam Ci do nich dostęp! Tak

właśnie działa hierarchia służbowa! Tak orzekła cała nasza agencja wywiadowcza! Nie pozwolę mojej aroganckiej bratanicy przeciwstawić się systemowi. Zwłaszcza skoro uważa, że przeczytanie wystarczająco wielu zakurzonych starych ksiąg da jej jaśniejszy obraz sytuacji niż jakimukolwiek innemu agentowi! Twoja fascynacja Bóstwami zawsze była wadą, a nie cnotą! I powiem ci teraz, w tej chwili, że moim pierwszym odruchem była chęć wycofania cię z Bułykowa i wsadzenia na najbliższy statek do Sajpuru!

Pomimo tego argumentu, pomimo obietnicy kary, *pomimo* wszystkiego, serce Shary podskakuje z radości na ten pomysł. Powrót do domu, do Ghaladeshu... Mimo to odnosi niepokojące wrażenie, że rozczarowanie Vinyi jest nieco zbyt pełne: *Czy Vinya chce mnie zdyskredytować?* Shara jest zdumiona tą myślą, ale również zdaje sobie sprawę, że sama wielokrotnie robiła tak swoim wrogom: w końcu po co kogoś zabijać, skoro można ukazać go jako niekompetentnego głupca?

- Ale - kontynuuje Vinya. - Nie mogę tego zrobić. Z powodu tego, co zrobiłaś ty. Jesteś w Sajpurze wielką bohaterką, Shara. Obrończynią Bułykowa. Czycicie zdobywczynią i bohaterką, która pokonała zagrożenie, które sama stworzyła! Wiele się teraz o tym mówi pośród warstw rządzących i nie mam pojęcia, jak to się skończy. Chciałabym dokładnie im opowiedzieć, jak strasznie wszystko spartaczyłaś, ale to wiązałoby się z ujawnieniem istnienia Magazynu - czego stanowczo nie mogę zrobić. Tak więc zamiast narażać moją pozycję i produktywną politykę, nie zrobię nic. Nie zrobię nic, ale dam im to, czego chcą - ciebie.

- Mnie?

- Tak. Niniejszym dostajesz awans, kochana. Oficjalnie mianuję cię naczelnym dyplomatą Bułykowa. I od razu wysyłam cię tam, gdzie nie będziesz w stanie uczynić żadnej szkody swoimi dalszymi działaniami.

Shara blednie.

- Och nie.

- Och tak. Staniesz się stworzeniem publicznym. Na ten moment zawieszam ci wszystkie zezwolenia wywiadowcze. Tracisz dostęp do wszystkich tajnych materiałów, do wszystkich działań. Wszystkie prośby, jakie skierujesz do pozostałych agentów Ministerstwa nie doczekają się odpowiedzi. W rezultacie staniesz się szanowaną i ogólnie znaną twarzą Sajpuru w Bułykowie. I jestem pewna, że usłyszysz wiele pochwał i oklasków - kończy jadownicę.

Sharze jest niedobrze. Nie ma niczego - absolutnie niczego - bardziej przerażającego dla agenta wywiadu niż stanowisko publiczne, wystawienie na wszystkie te błagania i ograniczenia, których wcześniej mógł unikać, żyjąc w cieniu.

— Myślę, że będziesz bardzo zajęta - mówi dalej Vinya. - Wygląda na to, że Bułyków i Sajpur bardzo chcą ze sobą porozmawiać. I ty będziesz ich mediatorem. Nie wiem, czy razem z tym całym Votrowem uknuliście to wspólnie, ale jeśli tak, to musisz być bardzo dumna, że zadziałało - więc na ten moment upewnię się, że to tobie przypadnie większość tego ciężaru.

Więc to właśnie jest jej kara, myśli Shara. Prawie wolałabym zostać oskarżona i wtrącona do więzienia. Ale Vinya nigdy nie była litościwa.

Odchrząkuje. Narasta w niej wrażenie, że rozgrywa partię Batlanu, podczas gdy jej przeciwnik gra w zupełnie coś innego. Niemniej, w tym momencie Shara jest skłonna spróbować czegokolwiek.

— Ciociu... Posłuchaj.

— Tak?

— Jeśli... Jeśli powiedziałabym ci, że istnieje rzeczywiste, wiarygodne zagrożenie dla Bułykowa... Że widziałam dowody na to, iż jedno z pierwotnych Bóstw w jakiejś formie przetrwało... To co byś

zrobiła?

Vinya spogląda na nią z politowaniem.

— Czy to twój wielki sekret? Twoje straszne przypuszczenie? Dlatego poszłaś do Magazynu?

— Tak, ciociu. Jestem tego pewna. Naprawdę.

— Och, Shara... Zrobiłabym to co ostatnio, gdy dwa miesiące temu usłyszałam dokładnie to samo. I siedem miesięcy temu. I przed tym, i wcześniej, i jeszcze wcześniej... Dostaję średnio prawie dziesięć raportów rocznie, że bogowie nie umarli i że wciąż się gdzieś panoszą oraz planują powrót. Odbieramy nieustający strumień takich informacji już od czasu Wojny. Jeśli byśmy je gdzieś składowali, stos byłby wysoki na trzy piętra!

I wszyscy *zawsze* są przekonani, że to zaraz się wydarzy — ponieważ Kontynent jest przekonany że tak właśnie będzie. To taka ich głupiotka bajeczka, desperacki sen, jak Dauvkind u Drejlingów. Zagubieni królowie i królowe, którzy pewnego dnia przyłyną z powrotem... Shara, przecież to nonsens.

- Ale... Jestem najbardziej doświadczonym ekspertem w kwestii Bóstw. Czy to nie ma żadnego znaczenia?

- Jesteś agentem o największej obsesji na punkcie Bóstw — mówi łagodnie Vinya. - A to coś zupełnie innego. Możesz mieć swoje zainteresowania i dziwactwa, ale w pierwszej kolejności służysz Sajpurowi.

Jak ty? Shara prawie krzyczy. Kto ma cię w garści, ciociu? Kto się do ciebie dobrał? Dlaczego nagle jesteś znacznie bardziej skryta i irracjonalna? Nie zadaje jednak tego pytania; grzebanie w takich sprawach byłoby niemądre.

- Być może będzie to dla ciebie dobre - mówi Vinya. — Może

wreszcie, wreszcie się czegoś nauczysz.

Shara kiwa głową. Sprawia wrażenie załamanej. *Wydaje mi się, że już dużo się nauczyłam, ciociu.*

- Przykro mi to mówić, ale proszę, byś nie kontaktowała się już ze mną w ten sposób, kochana - mówi Vinya. - Przynajmniej do czasu, aż wszystko się wyjaśni. Musimy być bardzo ostrożni po tym, co się wydarzyło. Wszyscy jesteśmy teraz bardzo uważnie obserwowani. A cuda, jak wiesz, są okropnie niebezpieczne.

- Uśmiecha się smutno. — Do widzenia, moja droga.

Przeciera szybę palcami i już jej nie ma.

Shara stoi w pustym pokoju, czując się nagle bardziej samotna niż w całym swoim dotychczasowym życiu.

Shara powoli zamyka okiennice. Ręce drżą jej z gniewu. Nigdy nie czuła się tak zupełnie i całkowicie pokrzywdzona: jakby z zewnątrz widziała własne zabójstwo i nie mogła nic na to poradzić. *To zbyt doskonale. Vinya zbyt łatwo mnie rozgromiła. Dlatego jestem taka wściekła - dokładnie wiedziała, co powiedzieć. Ani trochę jej to jednak nie uspokaja.*

Shara chciałaby z kimś o tym porozmawiać. Jediną osobą, z którą szczerze dyskutowała o Bóstwach był Efrem Pangyui -podczas tych nielicznych dni, jakie ze sobą spędzili.

Spogląda z powrotem na białą walizkę pod biurkiem.

Podchodzi, wyciąga ją, kładzie na biurku i zastanawia się.

Shara Komayd ukończyła akademię Ministerstwa Spraw Zagranicznych z rekordowo niską liczbą negatywnych ocen.

Ukończyła Akademię Fadhuri z najlepszymi możliwymi stopniami. Do tego zawsze była jedną z zaledwie kilku wysokiej rangi agentów Ministerstwa, którzy osobiście wypełniają swoją papierkową robotę - co zawsze było dla niej powodem do dumy.

Zawsze byłam dobrym żołnierzem. Nie wychylałam się ani na milimetr. I gdzie mnie to zaprowadziło?

Wciąż jednak nie może się zmusić do otwarcia walizki.

Pamiętaj, przypomina sobie, że nie masz już za bardzo kariery, którą mogłabyś utracić.

Zapięcia odskakują z trzaskiem i górna część walizki unosi się.

Wewnątrz niej znajduje się sterta papierów, powiązanych razem sznurkiem. Papiery te są pokryte pająkowatym charakterem pisma i Shara nie musi się przyglądać, by dostrzec koślawe T czy wykrzywione M i poznać rękę Efrema. Pierwsza strona jest inna od pozostałych, spisana naprędce i rzucona na wierzch.

Shara dochodzi do wniosku, że tylko dziś będzie mogła ją przeczytać. Po tej sprawie z Urawem ludzie Vinyi z pewnością wkrótce pojawią się w ambasadzie.

Shara usadawia się na krześle i rozwiązuje sznurek.

Cześć,

Jeśli to czytasz, to znaczy, że znalazłaś skrytkę należącą, poprzez kolejne aliasy, do doktora Efrema Pangyuia z Ghaladeshu.

Mało prawdopodobne, żebyś jeszcze o tym nie wiedziała, ponieważ jedyną oznaką istnienia skrytki jest wiadomość zakodowana w połączeniu starogheshatijskiego, chotokanskiego, drejlinskiego i avranti. Prawdopodobieństwo wskazywałoby, że wyłącznie ktoś z wielkim doświadczeniem w starożytnych przekładach byłby w stanie w ogóle odnaleźć to pudło.

Czyli chyba powinienem powiedzieć cześć, Sharo.

Skoro to czytasz, w takim razie ja jestem martwy, zaginałem albo znajduję się bezpieczny pod twoją opieką. Mam nadzieję, że to ostatnie: mam nadzieję, że gdy to czytasz, siedzę obok i oboje śmiejemy się z tego przesadnie dramatycznego i w takim razie niepotrzebnego listu.

Jednak na ten moment wcale nie jestem przekonany, że jest niepotrzebny.

Poniżej znajduje się mój osobisty dziennik (czy przynajmniej to, co udało mi się porwać z mojego biura), spisywany podczas pobytu w Bułykowie, od dwunastego dnia miesiąca skorpiona do czwartego dnia miesiąca szczura.

Mam nadzieję, że to, co tu znajdziesz wystarczy, by dokończyć moje badania. Zbliżyłem się w Bułykowie do prawdy na tyle niebezpiecznej, że wydaje mi się, iż grozi mi niebezpieczeństwo - ale nie jestem jeszcze do końca pewien, o jaką dokładnie prawdę chodzi. To w końcu ty jesteś w wielu aspektach mądrzejsza bardziej światowa niż ja kiedykolwiek pragnąłbym być. Mam nadzieję, że poradzisz sobie z tym, z czym ja nie dałem sobie rady.

Mam nadzieję, że jeszcze cię zobaczę, a jeśli nie, to życzę bezpiecznych

badań.

Twój,

Efrem Pangyui

Szesnastego dnia miesiąca szczura.

DZIENNIK EFREMA Pangyuia

DWUNASTY SKORPIONA

BUŁYKÓW

To niedorzeczne.

Przeoglądam notatki w swoim biurze (równie brudnego i ciemnego miejsca ze świecą szukać) oraz listę z magazynu pani minister Komayd i uderzają mnie dziwy tego, co zachowaliśmy, co zgromadziliśmy, jak i ogrom czekającego mnie zadania.

Jak na razie jestem ledwie w trzech czwartych tworzenia listy dokumentów: wydań edyktów kontynentalnych kapłanów, Bóstw czy boskich agentów; wszystkiego, co wspomina o istotnych „zmianach w polityce” (jestem zmuszony używać tego okropnego terminu na to, czego szukam). Sterta papierów już teraz piętrzy się do wysokości kolan. Kiedyś dla żartu powiedziałem, że umrę zakopany w dokumentach, ale teraz wydaje się to znacznie bardziej prawdopodobne. Z pewnością jest to fascynujący materiał — kilka miesięcy temu zabiłbym za ledwie jego fragment — ale teraz czuję, że utonę w nawale skarbów.

Szkice, szkice... Mam nadzieję, że znajdę miejsce, gdzie będę mógł je wszystkie trzymać...

DWUDZIESTY SIÓDMY SKORPIONA

Pojawia się już pewien wzór.

Muszę dopuścić myśl, że mogę być uprzedzony. Szukałem najbardziej oczywistej współzależności — Nocy Zwołania i dnia założenia Bułykowa — i chociaż rzeczywiście dostrzegam sporą współzależność, niekoniecznie znaczy to, że mam rację.

Mimo to fakty pozostają faktami:

W roku 717, gdy Bóstwa i ich ludy wciąż spierały się i walczyły o terytoria, taalwasztański kapłan napisał cykl esejów objaśniających korzyści sprzymierzenia się z Dżukosztanem. Stały się one niezmiernie popularne w całym Taalwasztanie, gdzie odczytywano je na głos w licznych miejscach zgromadzeń.

W roku 720, po drugiej stronie Kontynentu, Vurtjasztański zbiór zasad pomógł wrócić do domu zabłąkanemu olwosztańskiemu mnichowi, który rozważał potem, jak wiele wspólnego jego lud miał z sąsiadami, z którymi walczył. Ta refleksja pojawiła się w kilku listach wysłanych do głównego Vurtjasztań-skiego akolity, który napisał, że podziela ten pogląd.

Tego samego roku, w Ahanasztanie, sędzia hrabstwa napisał kilka listów do swojej siostry, w których to opisywał zgromadzenie miejskie, podczas którego wyrażono wiele współczucia dla kolkasztanów, pomimo wciąż trwającej wojny pomiędzy wszystkimi sześcioma stronnictwami.

I tak dalej, i tak dalej... Mógłbym zacytować nawet trzydzieści kolejnych przypadków otwartego współczucia dla pozostałych frakcji, a i tak wyłaniać się będą kolejne, pomimo tego, że wojna Bóstw toczyła się dokładnie w tym samym czasie.

Wtedy - „nagle” — w roku 723, wszystkich sześcioro Bóstw poczuło konieczność, by usiąść razem w Noc Zwołania, w przyszłej lokalizacji Bułykowa, wyłożyć sobie nawzajem różnice i stworzyć coś, co stało się mniej więcej panteonem równych sobie Bóstw... Jednak wszystkie

teksty religijne, z jakimi miałem do czynienia wskazują, że postanowiono tak bez żadnej konsultacji z ich śmiertelnymi wyznawcami! Jak można by się spodziewać, była to podobno „jednogłośna” decyzja Bóstw, bo dlaczego niby jakikolwiek bóg miałby konsultować się ze swoimi wyznawcami niczym polityk z wyborcami? A jednak w oczywisty sposób zmiana ta dokonywała się latami, i to pośród ich śmiertelnej trzódki!

Obydwie grupy - śmiertelnicy i Bóstwa — nie były aż tak podzielone, jak twierdzi historia.

Jest to absurdalnie wielki przykład, zbliżony do odszyfrowywania celu podróży statku na podstawie tego, w którą stronę wiatr znosi morskie ptaki... niemniej daje to obraz tego, co spodziewałem się zobaczyć.

Chciałbym móc skontaktować się w tej sprawie z Sharą. Nie jestem jednak całkowicie pewien, na ile szczerze było jej zainteresowanie — w jaki sposób można stwierdzić co jest, a co nie jest udawane u takich ludzi?

Jest taka kawiarnia, w której często bywam, zaraz przy Siedzisku Świata. Bułyków jest tam prawdziwie poplątany -Mgnienie wciąż odzywa się echem w kościach miasta. A ja przyglądam się tam, jak dzieci bawią się i tłuką, żony plotkują i śmieją się, mężczyźni palą, piją, grają w karty i, często bez skutku, zabiegają o kobiece względy.

Ludzie zakochują się i sprzecząją o błahostki, nawet w tak szalonym miejscu jak to. Życie trwa dalej i po prostu muszę się uśmiechnąć.

PIĘTNASTY LENIWCA

Wiele mówi fakt, że nawet takiego weterana bibliotek jak ja zaczyna męczyć to moje zadanie. Z niecierpliwością oczekuję jego zakończenia, żebym mógł przystąpić do następnego zadania: szukania informacji o Kajju. Jakże to niedorzeczne, że chociaż jego profil zdobi wiele monet, flag i tak dalej, wiemy o nim prawie tak niewiele jak o Bóstwach. Szczególnie biorąc pod uwagę fakt, że udało mu się je

zamordować. Jestem w stanie zrozumieć, dlaczego pani minister chciała, żebym najpierw przestudiował ten właśnie temat, ale głupio przekonałem ją, że Kontynentanie wciąż czerpią od Bóstw pewien rodzaj słuszności, więc badanie ich natury zaoferowałoby więcej wyraźnych korzyści geopolitycznych.

Powinienem się posłuchać. Brzmie jak Shara.

Oczywiście, że trawa jest zawsze zieleńsza przy następnym zadaniu, ale Kaj też zawsze bardzo mnie fascynował. Wygląda na to, że pojawił się nagle. Syn bogatej rodziny współpracującej z Kontynentanami, który wtyka nos w historię i wyrywa się do przodu. Przeglądałem wiele drzew genealogicznych i prawie nic o nim nie znalazłem. Niektórzy nawet twierdzą, że jego ojciec nigdy się nie ożenił! Czy to możliwe, żeby Kaj był bękartem? Czy w ogóle był synem swojego ojca?

Nie brzmię już jak Shara. Brzmie jak plotkująca położna.

Czasami chadzam do miejsc w tym mieście, które najbardziej ucierpiały przez Mgnienie. Schody wyglądają tam jak pola wielkich kukurydzy, które wnoszą się ku niebu i nagle gwałtownie urywają. Dzieci znalazły sobie świetną zabawę: wbiegają po schodach, sprawdzają, kto jest najodważniejszy i wbiegł najwyżej, a potem zbiegają w dół.

Biegają tak w górę i dół schodów, tam i z powrotem, zawsze śpieszą się, jednak nigdy donikąd nie trafiają.

Współczuję im.

Muszę się skupić... Muszę zbadać nici historii, kalendarze, oś czasu... i zobaczyć, czy do siebie pasują.

Jeśli nie jest tak, jak się spodziewałem, to co to oznacza dla Kontynentu? Co to oznacza dla Sajpuru?

DWUDZIESTY DZIEWIĄTY LENIWCA

Wczoraj natrafiłem na kogoś, kto zgodnie z prawem chyba nie powinien istnieć: na olwoszańskiego mnicha.

Przynajmniej wydaje mi się, że to był mnich... Nie jestem pewien. Robiłem sobie przerwę od pracy, upajając się światłem słońca nad Sołdą, szkicując most (jest znacznie węższy niż wszystkie mosty, jakie kiedykolwiek widziałem — zapomniałem oczywiście, że był stworzony wyłącznie dla pieszych i koni) i ściany za nim, gdy podeszła do mnie niska, łysa kobieta w pomarańczowych szatach.

Spytała mnie, co robię i odpowiedziałem jej. Pokazałem jej moją pracę. Podobała się jej.

— Udało się panu uchwycić jego istotę — powiedziała. -A mówią, że nie ma już cudów!

Spytałem o jej imię. Odpowiedziała, że nie ma żadnego. Spytałem, do jakiej należy organizacji. Odpowiedziała, że istnieje tylko dezorganizacja (jak przypuszczam, był to dowcip).

Spytałem, co myśli o obecnym Bułykowie. Wzruszyła ramionami.

—Jest odkrywany na nowo.

Spytałem, co ma na myśli.

- Zapominanie - powiedziała - to piękna rzecz. Gdy się zapomina, człowiek stwarza się na nowo. Kontynent musi zapomnieć. Próbuje tego nie robić - ale musi. By zostać motylem, gąsienica musi zapomnieć, że w ogóle była gąsienicą. Wtedy będzie tak, jakby nigdy nie było gąsienicy, a jedynie od zawsze istniał motyl.

Tak mnie to uderzyło, że na pewien czas zamyśliłem się głęboko. Puściła dwie kaczki na Sołdze, ukloniła się i odeszła.

DRUGI ŻÓŁWIA

Niesłychane i przerażające odkrycia. Dyskusje, jakich zapiski odnalazłem, mające miejsce przez Wielką Ekspansją, rzuciły o wiele więcej światła na dziwny związek pomiędzy Bóstwami i śmiertelnikami.

W 768 i do 769:

W Ahanasztanie kapłan stoi na brzegu i codziennie naucza swych przemyśleń na temat zagranicznych krain; w Vurtjasztanie nauczyciel walki wskazał ciągnące się na wschód górskie kaniony (wtedy) poniżej terenów należących do Drejlingów i zauważył, że deszcz pada pewnie po obu stronach gór, inspirując tym wiele ekspedycji; później, w Dżukosztanie, szpak-śpiewak (muszę później dokładniej przyjrzeć się tej sprawie) śpiewał przez trzy dni poemat o prądach oceanu oraz o tym, jak niosą one do odległych lądów oraz być może odległych ludzi... i tak dalej, i tak dalej.

Można zauważyć, że już wtedy Kontynentanie myśleli o krainach położonych dalej niż swoje. Odkryłem obfitość tekstów, które traktują o granicach ich wiedzy geograficznej.

Mimo to brnąłem przez wszelkiego rodzaju dekrety Bóstw z tego samego okresu i nie znalazłem w nich żadnej wzmianki o lądzie leżącym poza granicami i wybrzeżami Kontynentu!

Dziwne, że Bóstwa milczały na tematy narastające wśród ich śmiertelnych wyznawców.

Wystarczy jednak spojrzeć, jak zmienia się dyskurs wśród Kontynentanów pomiędzy 771 a 774 rokiem:

W Kolkasztanie, sędzia miejski zarządził, że skoro Bóstwa pobłogosławiły Kontynent, nie istnieje nic, co by do niego nie należało - ma we władaniu gwiazdy, chmury i fale w oceanie. W Vurtjasztanie „kapłanki szubienicy” pytały, dlaczego tworzą ostrza, które nie

rozlewają krwi, jako że nie ma już wojen, w których można by walczyć; dyskutowały czy jest to grzech. W Ahanasztanie „mechanka” (jakiś rodzaj zakonnic?) napisała epicki poemat o tym, co się stanie, gdy Ahanasztan rozrośnie się do tego stopnia (czy miasto było żywe? Muszę poszukać czegoś więcej na ten temat), że zacznie sobie szkodzić, sprowadzi dysharmonię, głód i wyczerpanie. Poemat okazał się ogromnym sukcesem, przyczynił się do wielu debat i powstania jeszcze większych niepokoju — niektórzy nawet domagali się uwięzienia owej mechanki.

Kontynentanie, choć nieśmiało, myśleli jednak o ekspansji. To oczywiste, że obawiali się wyczerpania zasobów i głodu. Co więcej, zaczęli czuć, że zasługują na ekspansję i pozyskiwanie nowych miejsc.

Bóstwa jednakże nie myślały o ekspansji - Kolkan wpadł właśnie na ciąg myślowy, który miał rozpocząć jego okres otwartych sądów; Taalhawras, zawsze najbardziej wycofany ze wszystkich Bóstw, rozwijał właśnie bułykowskie mury — i wierzę, że zmieniał naturę miasta na wiele gruntownych i niewidzialnych sposobów... Wszystkie Bóstwa były zajęte swoimi sprawami, podczas gdy mieszkańcy Kontynentu martwili się o przyszłość.

Ale wtedy, w roku 772, wszystkie sześcioro Bóstw nagle spotkało się w Bułykowie i zdecydowało się — w tym, co wcześniej uznawaliśmy za niezbadany, spontaniczny gest — rozpocząć Wielką Ekspansję, inwazję i zdobywanie dominacji nad wszystkimi pobliskimi nacjami i krajami, łącznie z Sajpurem.

Nawet samych Kontynentanów zaskoczyła ta decyzja — tylko dlaczego, skoro sami już o tym myśleli?

Argument, który wytoczę może wydawać się mizerny, ale rekompensuje to ilość dowodów — podczas moich badań odnalazłem prawie sześćset innych przypadków podobnych fenomenów, choć na znacznie mniejszą skalę: edykty ustanowione długo po tym, jak ukształtowała się opinia publiczna, prawa spisane po tym, jak wszyscy

już ich przestrzegali, prześladowania i uprzedzenia, które miały miejsce przed tym, jak Bóstwa, czy ich instytucje w ogóle je ogłosiły...

Lista ciągnie się dalej.

Wzorowi temu nie sposób zaprzeczyć: Kontynentanie podejmowali decyzje, kształtowali swe postawy... i Bóstwa podążały za nimi, uoficjalniając je.

Więc kto tu komu przewodził? Czy to jakiegoś rodzaju dowód nieświadomego głosowania, którego wynik Bóstwa następnie po prostu odgrywały?

Czasami zastanawiam się, czy Kontynentanie nie byli czasem niczym ławica ryb, w której każdy najmniejszy ruch jednej z nich powoduje podobny ruch kolejnych, aż cała połyskująca chmura całkowicie zmienia kierunek.

Czy Bóstwa były sumą tej chmury? Ucieleśnieniem, być może, narodowej podświadomości? Czy może były uprawnione przez myśli i modlitwy milionów ludzi, ale też zaprzęgnięte do każdej z tych myśli – ogromne, straszne kukielki, zmuszone tańczyć na sznurkach milionów lalkarzy?

Myślę, że ta wiedza jest potwornie niebezpieczna. Kontynentanie czerpią wiele dumy i siły z posiadania boskiej aprobaty... Ale czy słyszeli zaledwie echa własnych głosów, zwielokrotnionych przez dziwne pieczary i tunele? Gdy mówili do Bóstw, czy przemawiali do własnych, ogromnych odbić?

Jeśli mam rację, oznacza to, że Kontynentanom nigdy nie kazano najeżdżać na Sajpur, nigdy nie kazano im nas zniewalać, nigdy nie *kazano* im nakładać ich brutalnego reżimu na cały znany im świat: bogowie wprowadzili to, ponieważ tego właśnie chcieli Kontynentanie.

Wszystko, co wiemy, jest kłamstwem.

Skąd się wzięli bogowie? Czym byli?

Trudno mi zasypiać z tą wiedzą. Relaksuję się nocami układaniem kart, które uskuteczniłam na dachu ambasady. Widać stamtąd blizny miasta. Są jak mapa miejsc, gdzie ścierają się rzeczywistości...

Tak wiele zapomniano. Jeśli Bułyków jest poczwarką, to wyjątkowo paskudną.

DWUDZIESTY CZWARTY ŻÓŁWIA

Pani minister jest zadowolona z moich postępów, ale prosi o dokładniejszą weryfikację. Opracowałem już ogrom sprzeczności w historii Kontynentu - dla mnie to wystarczy - ale dla niej znajdę jeszcze więcej.

Stało się coś absurdalnego: pośród stosów w biurze odkryłem rozpadające się listy napisane przez żołnierza, który był bliski pani porucznik Sagreshy... i w ten sposób bliski samemu Kajowi! Jak mogłem o nich zapomnieć, czy też je przeoczyć? Być może nigdy nawet na nie nie spojrzałem... Chociaż czasami martwię się, że ktoś grzebie w moim uniwersyteckim biurze. Ale może to być tylko nedorzeczna paranoja.

Ale to, co ten żołnierz pisze, co najmniej otwiera oczy.

Od jakiegoś czasu podejrzewaliśmy, że Kaj użył pewnego rodzaju wyrzutni pocisków: armaty, strzelby czy kuszy, która wystrzeliwała specjalny rodzaj ognia czy błyskawicy, przed którym Bóstwa nie umiały się bronić.

Sądzę jednak, że myśleliśmy o tym w zły sposób: zastanawiamy się nad bronią, nad samą armatą, zamiast nad tym, czym właściwie strzelała. Relacje żołnierzy wskazują na „twardy metal” czy „czarny ołów”, który Kaj osobiście wyprodukował, przechowywał i chronił! To o egzekucji przez Kaja Bóstwa Dżukowa:

„Podążyliśmy za Kajem do pewnego miejsca w mieście -świątyni bieli i srebra, której ściany ułożone były na wzór gwiazd z fioletowego szkła. Nie widziałem w tej świątyni boga i obawiałem się, że to pułapka, ale nasz generał się nie martwił, załadował czarny ołów do swej wyrzutni i wszedł do środka. Minął jakiś czas i coraz bardziej się obawialiśmy, ale wtedy rozległ się strzał i nasz generał - płacząc! - pomału stamtąd wyszedł.”

Z pewnością jest to wartościowa historia, ale jakże rewolucyjnej natury!

Co jeśli to nie armata była tutaj istotna? Co, jeśli chodziło o metal, który wystrzeliwała? Wiemy, że Kaj był kimś w rodzaju alchemika: mamy dowody na jego eksperymenty. Co jeśli stworzył materiał, na który Bóstwa nie mogły wpłynąć, tak jak my nie możemy nic zrobić ze strzałą w sercu?

Co jeszcze dziwniejsze, żołnierz ten pisze, że Kaj wspominał o „dżinifrycie”, którego trzymano w posiadłości jego ojca w Sajpurze. Wiemy, że niektórzy współpracujący z Kontynentem otrzymali w nagrodę boskiej natury służących, ale odkrycie, że Kaj był w tak bliskim kontakcie z jakimkolwiek agentem Bóstw byłoby skandaliczne! Dżinifryccy słudzy ścielili panom łóżka, serwowali im posiłki, podawali wino... Nie mogę sobie wyobrazić, co by powiedziano, gdyby wyszło na jaw, że Kaj był przez nich tak rozpieszczany.

Poczekam z wysłaniem tych informacji do pani minister do czasu, aż dowiem się czegoś więcej.

DWUDZIESTY KOTA

Nie jestem pewien, czy to, co odnalazłem, pomaga sprawie Kaja... Odkryłem więcej listów z wewnętrznego kręgu Kaja, pochodzących z czasu, który spędził na Kontynencie, bezpośrednio po przechwyceniu Bułykowa; w którym wpadł w depresję tak poważną, że do nikogo się nie odzywał.

Potwierdziłem, że tajemnicza broń Kaja rzeczywiście była „czarnym ołowiem” czy „twardym metalem” – metalem, na który Bóstwa nie mogły wpływać. Zarówno Bóstwa, jak i ich słudzy byli wobec niego bezradni: Kaj potrzebował zaledwie odkryć sposób, by wprawić go w ruch, tak jak w zwykłej broni palnej.

Ale w jaki sposób go stworzył... Tego się nie spodziewałem.

Po brutalnej Masakrze w Mahlideshi, gdy Sajpurzy zbuntowali się przeciwko straszliwej egzekucji tej biednej dziewczyny, wyglądało na to, że Kaj był tak przerażony i tak wściekły, że naprawdę przeprowadzał eksperymenty, dokładnie tak jak myśleliśmy... ale przeprowadzał je na dżinifryckim służącym swojej rodziny! Z tego, co przeczytałem, wyglądało to na tortury, dość potworne: dżinifryt został związany z rodziną Komaydów, by jej służyć, więc Kaj zmusił go do stosowania się do swych prób, przypalając i raniąc dżinifryta, aż udało mu się stworzyć materiał, który działał nie tylko na samego dżinifryta, ale na wszystkie stworzenia boskiej natury, włącznie z samymi Bóstwami... Po odkryciu tego, na czym mu zależało, Kaj zgładził swego posiadanego od dzieciństwa sługę.

Czy tym faktem zjedna sobie co bardziej nacjonalistyczne frakcje Sajpuru? Czy też, jak i ja, będą one przerażone tym, czego się dowiadują? Wciąż nie natrafiłem na żadne ślady rodziny Kaja ze strony matki... Czyżby, tak jak i Bóstwa, po prostu zmanifestował swoją obecność i pojawił się bez żadnego wytłumaczenia, jakby wyrzuciły go na wybrzeże Sajpuru morza historii?

DZIEWIĘTNASTY NIEDŹWIEDZIA

Nie sądzę, abym nadal był bezpieczny.

Jestem pewien, że ktoś mnie śledzi. Kierowca taksówki na ulicy, sprzątaczką na uniwersytecie, sprzedawca gazet, który zdaje się nie opuszczać mojej ulicy ani też sprzedawać żadnych gazet... Jestem obserwowany.

Przeprowadziłem dziś test — wysłałem swój raport do pani minister przez nasze urządzenie telekomunikacyjne i patrzyłem na ulicę. Sprzedawca gazet wciąż tam był, wciąż mnie obserwował, ale podbiegł do niego młody mężczyzna, wyszeptał mu coś do ucha i ponownie odbiegł... Sprzedawca gazet stał tam jeszcze przez kilka minut, po czym również odszedł.

Czy czyta moje raporty? Czy ktoś przechwytuje nasze wiadomości?

Jak mogę skontaktować się z panią minister? Czy mógłbym skontaktować się z Sharą? Z panią gubernator?

Czy w ogóle mogę pójść gdzieś bez ich wiedzy?

SZÓSTY SKOWRONKA

Jestem już tego pewien: niektóre z moich szkiców zostały skradzione, brakuje również fragmentów listy pani gubernator z tym, co znajduje w Magazynie... Mimo to, nie jestem pewien, czy mogę ufać samej pani gubernator. Być może ma informatorów wśród własnych pracowników! Ojcowie Miasta pomstują na mnie. Chcą mnie zlinczować, zamordować... Na uniwersytecie dochodzi do protestów, a ambasada też nie jest pomocna, jako że naczelny dyplomata jest skończonym idiotą. Ależ głupi byłem, że zgodziłem się tu przybyć!

Zacząłem wysyłać pani minister wiadomości, które mam nadzieję wzbudzą jej podejrzenia, jeśli nie gniew: opóźnienia, wymówki i tym podobne. Musi zdać sobie sprawę, że coś jest nie tak.

Ale zaczynam podejrzewać nawet ją. Całymi dniami myślę o Błogosławionych i co mogą oznaczać nie tylko dla Sajpuru, ale dla samego Kontynentu...

Czy wszystko, w co wierzymy, jest wierutnym kłamstwem?

DWUDZIESTY DZIEWIĄTY S..

Czy wogule powinienem pisać w tym

Wogule wogule

Robię błędy

Błogosławiony

Obserwuj okna, obserwuj

CZWARTY SZCZURA

Historia nie pozwoli nam zapomnieć: przywdziewa przebrania, ponownie się nam przedstawia, twierdzi, że jest kimś nowym i wspaniałym... Ale nie pozwoli nam zapomnieć.

Myślę, że umrę w Bułykowie.

I być może wtedy poczwarka się otworzy...

Shara podnosi ostatnią kartkę, delikatnie ją odwraca i umieszcza razem z pozostałymi.

Ktoś na dole prosi o więcej kawy; w odpowiedzi słychać, że zaraz ją dostanie.

Gołębie gruchają i mamrocą na dachu ambasady, wymieniając się plotkami w swoim języku.

Sharze robi się słabo. Prawie spada z krzesła.

Światopogląd jest serią założeń postrzeganych jako pewność; prawem, zgodnie z którym pewne rzeczy muszą być takimi, jakimi są, ponieważ zawsze tak było i nie może być inaczej: jakiegokolwiek inne prawo, jakiegokolwiek inny świat jest kompletnie dla tego światopoglądu niewyobrażalny.

Shara zawsze czuła, że pewne światopoglądy są bardziej elastyczne od innych: niektóre są krótkowzroczne i zagorzałe, a inne dość szerokie, o nieszczęlnych krańcach i granicach, przez które pomysły i wydarzenia przepływają bez żadnego oporu... I przez długi czas Shara uważała, że bliżej jej do tych drugich.

Ale teraz... Teraz wydaje się jej, że wszystkie przypuszczenia i pewności, na których zbudowany był jej świat, rozpuszczają się u jej stóp, a ona sama spada gwałtownie w dół, w dół, w dół... Świat jest kruchym, malutkim miejscem.

Wszystkie tajemnice, morderstwa i intrygi minionych dni kurczą się, aż kompletnie tracą dla niej znaczenie.

To kłamstwo. Wszystko jest kłamstwem. Wszystko, czego się kiedykolwiek dowiedzieliśmy, jest wierutnym kłamstwem.

Shara związuje papier nowym sznurkiem, odkłada go do białej walizki i ponownie ją zamyka.

Śpiewam i podskakuję

Tańczę i wiruję

I tkam wielce radosny wzór

Ale nie sprzeciwiajcie mi się, dzieci

Ponieważ nie staje węgla we wszystkich ogniach Bułykowa

Szalejących sztormów na wszystkich Morzach Południowych

Ani czegokolwiek na tej ziemi czy świecie

Co mogłoby równać się mojej furii.

Imię me Dżukow

I nie zapominam.

- DŻUKOSTAWA, KSIĘGA SZÓSTA

MIASTO BÓSTW



ijają dni.

Spotkania i spotkania. Shara przestała być zwykłą osobą: jest teraz osobistością, fizycznym przedstawicielstwem biura. Mimo to, jak na ironię, funkcja ta sprawia, że czuje się całkowicie bezsilna. Przerzuca się ją z jednego spotkania na drugie, musi wysłuchiwać próśb Bułykowa i Kontynentu, podatników, kupców, bogatych i zubożonych... Żywi się dietą porządku dziennego, którego każdy punkt programu wpychany jest jej w rękę, gdy tylko przechodzi przez drzwi;

a także paradą mdłych i nieciekawych imion. Ktoś mówi jej, że „dziś mamy Ustawodawcze Stowarzyszenie Wspólnego Działania w Dzielnicach Kiwrejskich” albo „kulturalną Pomoc Charytatywną Komitetu Przyrzeczeń” czy „potem mamy Miejskie Planowanie i Nowy Podział Grup Roboczych Centralnego Bułykowa”.

Pojmuje, że nie ma okrutniejszego piekła niż praca w komisjach, a Vinya musi czerpać z tej wiedzy wielką przyjemność. Shara przesiaduje teraz w komisjach, które decydują, kto zostanie nominowany na stanowisko przewodniczących komisji innych komisji; następnie, przesiaduje na spotkaniach komisji, które mają za zadanie sformułować program następnych spotkań; a jeszcze później chodzi na spotkania komisji, które decydują, kto powinien zostać powołany, by powoływać powołania do komisji.

Shara przesiaduje w nich z uśmiechem, co uważa za duże osiągnięcie: w środku gotują się w niej, wiją i zawodzą tajemnice. Chwilami czuje się, jakby miasto wypełnione było tykającymi bombami, które mogą odpalić w każdej chwili, i jedynie ona jest tego świadoma, ale nie może nikogo przed nimi ostrzec. Każdego ranka budzi się spocona i pędzi obejrzyć gazety, pewna, że zaledwie kilka budynków dalej odkryje jakiś śmiertelny spis.

Ale świat jest cichy i spokojny. Sajpurskie żurawie kawałek po kawałku odbudowują Most Soldański. Vohannes nie kontaktował się z nią od czasu ich niezręcznej wspólnej nocy i Shara nie zdecydowała jeszcze, czy jest to dowód skazujący, czy nie - nawet jeśli nie spodziewała się, że to on ujawnił jej tożsamość, wciąż nie jest pewna, czy byłaby w stanie spojrzeć mu w oczy. Nieobecność Ernsta Wykłowa coraz bardziej się przedłuża. Po otrzymaniu gorzkich telegramów z biura gubernatora regionalnego, Mulaghesh niechętnie wróciła do zwykłych obowiązków. Shara nie musi przesadnie się dopatrywać, by ujrzeć w tym rękę cioci Vinyi.

Ale strony dziennika Panguia śmigają w jej myślach tam i z powrotem. Zmusza się do uśmiechu, gdy słucha zmartwień Bułykowa

i Kontynentu, cały czas myśląc: To kłamstwo. Wszystko to jest kłamstwem. Wszystko, w co ci ludzie wierzą, wszystko, w co wierzy Sajpur, zbudowano na kłamstwie. A ja jestem jedyną osobą, która zdaje sobie z tego sprawę.

Co najbardziej frustrujące, wciąż nie zbliżyła się do rozwiązania morderstwa Pangyua. Po wszystkich naruszeniach, zdradach i strasznych odkryciach, dalej umyka jej to, przez co w ogóle w pierwszej kolejności przybyła do Bułkowa.

Dalej, dalej - uczep się śladów, aż padną pod twoim ciężarem...

Nie widziała Sigruda od ponad tygodnia. To właściwie dobrze - przypisała go do pilnowania zakładów tkackich Wykłowa. Sam Wykłów mógł zniknąć, ale nie mógł zabrać ze sobą całych fabryk, a zakłady tkackie tworzą jedną część trójnogu Odnowicieli — pozostałe dwie to stal i to, co zostało ukradzione z Magazynu. Vinya mogła ostrzec Sharę przed próbą jakiegokolwiek rodzaju potajemnej pracy, ale stanie na ulicy i obserwowanie budynku nie jest z natury potajemne, prawda?

Na ten moment obserwuje więc i czeka.

Konkretnie na zapadnięcie zmroku. Ponieważ wieczorem może w końcu załatwić coś ważnego.

Sigrud spogląda w górę z miejsca w alejce, w którym kłęczą. Jest tak ciemno, że ciężko stwierdzić, którego oka mu brakuje.

- Spóźniłaś się - mówi.

- Cicho bądź - odgryza się Shara, gdy do niego podbiega. - Cały wieczór próbowałam się wyrwać. Te spotkania są jak złodzieje. Podążają za tobą, czekają, aż nie patrzysz i wtedy się na ciebie rzucają.
- Shara zatrzymuje się i opiera o mur, ciężko dysząc. Zaraz za

Sigrudem, na powierzchni alei znajduje się namalowana kredą linia — ta sama, którą kilka tygodni wcześniej narysowała Shara, gdy po raz pierwszy próbowała wydedukować, jak ktoś mógł zniknąć w środku miasta.

- Masz je?

Sigrud podnosi płócienną torbę, która dzwoni nieco.

- Nie były tanie.

- Och, nie spodziewałabym się, żeby stare pieniądze były tanie. Spójrzmy.

Siada na drodze i przegląda torbę, która zawiera prawie trzy kilogramy monet, wielu różnych rodzajów i nominalów. Wszystkie mają jednak jedną cechę wspólną: są bardzo stare i bardzo kontynentalne.

- Wygląda na to, że mamy wszystkie - mrućy Shara. - Taalwasztan, Vurtjasztan, Kolkasztan, Ahanasztan, Ol... Czekaj. Olwosztan?

Sigrud wzrusza ramionami.

- To bezcenne znalezisko!

- Chciałaś, żebym się postarał. Po prostu nie pytaj, jak udało mi się tak postarać.

Shara przygląda się monetom.

- Tak... No. Wiele różnych zdobień, wiele różnych znaczeń... Pytanie to: które ze znaczeń ma znaczenie?

Sigrud wpatruje się w nią tępo.

- Co?

- Nieważne - mówi Shara. - Istnieje tylko jeden sposób, by się

dowiedzieć. - Odwraca się i rzuca monetami w alejkę, za linię kredy. Te dzwonią o beton, brzęczą, odbijają się i turlają, by zatrzymać się pośród śmieci.

Sigrud z Sharą czekają, aż wszystkie się zatrzymają, a potem idą wzdłuż alejki, by się im przyjrzeć.

- Srebro, srebro - mruczy Sigrud. - Srebro... Ach. Tutaj. Ołów. - Shara wyciąga rękę. Sigrud podaje jej monetę i szukają dalej. - Srebro, srebro, srebro... Srebro... Ołów. I srebro... Dwa ołowie...

Shara i Sigrud spotykają się wieczorami w tej alejce jakieś dwa razy na tydzień. Shara chciałaby trzy, ale nie pozwala jej na to grafik - wiele wieczornych wydarzeń, przyjęć, kolacji i tym podobnych domaga się obecności naczelnej dyplomatki Bułykowa. Ale to ta aleja, ze swoimi niewidzialnymi drzwiami, zajmuje każdy moment życia Shary na jawie.

Czy ta aleja funkcjonuje według jakiegoś kalendarza? Czasu? Faz księżyca? Trzeba w nią wejść pod określonym kątem? Sigrud widział, jak ludzie wbiegają i wypadają przez te niewidzialne drzwi, więc to ostatnie jest raczej mało prawdopodobne. Czy ktoś musi być po drugiej stronie drzwi, by pozwolić komuś innemu przejść? Czy działa to tylko dla mężczyzn, a nie dla kobiet? Nie, oczywiście, że nie, nie bądźmy niedorzeczni.

Metoda prób i błędów, prób i błędów. Pozbywaj się różnych możliwości, aż zostanie tylko jedna.

Po zbieraniu ołowianych monet przez prawie dziesięć minut, Shara ma pełne garści. Siada, by się im przyjrzeć, jednej po drugiej.

- No i? - pyta Sigrud.

Shara kontynuuje liczenie pod nosem.

- No i?

- Tak! Tak jak myślałam — wszystkie ołowiane są z Dżu-kosztanu, Kolkasztanu albo Olwosztanu. Pozostałe są srebrne.

Sigrud zapala fajkę. Podniszczone ceglane mury lśnią pomarańczowo. Oko Sigruda błyszczy.

- Więc?

- Więc cokolwiek dzieje się w alei, dzieje się z konkretnym przedmiotem o konkretnych zdobieniach. Zachodzi reakcja, jak w chemii. Aleja czeka na właściwe rzeczy. Nie szuka zaklęcia czy jakiegoś gestu, ale... Nie wiem. Żeby coś odpowiednio wyglądało.

- Jak strażnik — mówi Sigrud.

- Co?

- Jak strażnik, który pilnuje bramy fortecy. Masz oznakę? Odpowiednie kolory? Właściwą flagę? Jeśli nie, to nie przejdiesz.

- Tak, chyba może to być jak mun... - Shara urywa. Siada powoli, wyprostowana i wpatruje się wzdłuż alei.

- Co? - pyta Sigrud.

- Mundur... Sigrud, co ostatnie zniknęło w tej alei? - pyta łagodnie Shara.

- Gość, który jechał samochodem.

- Tak. Ale pomyśl o alei jak o bramie fortecy i że jest tu coś niewidzialnego, co zachowuje się jak wspomniany przez ciebie strażnik...

- ...sprawdzający mundur - mówi Sigrud. - Więc chcesz powiedzieć...

- Zapytać - spogląda na niego, okulary błyszczą jej w świetle księżycy
- na ile byłoby ci łatwo zdobyć kolkasztańskie ubrania, które mieli na

sobie ci, których zabiłeś?

Sigrud wzdycha.

- O rany.

Kolejna zimna noc, kolejne niebo zadymione cienkimi chmurami, kolejny księżyc słaby i bezkształtny niczym plama po kawie. Shara stoi, gdy Sigrud podchodzi do niej chodnikiem. Z ramienia zwisa mu ciężka torba.

- Teraz ty się spóźniłeś. Co tak długo? Czy tak trudno było zdobyć te ubrania?

- Ubrania - mówi powoli - nie były problemem. Ale mam je. - Sięga do torby i podaje jedno Sharze.

Jest to mocna, chropowata, gęsta kula wełny. Materiał jest tak mocno zwarty, że sprawia wrażenie foczey skóry. Ależ oczywiście, myśli Shara.

Kolkasztanie nie chcieliby brać pod uwagę nawet możliwości, że coś mogłoby prześwitywać.

— Doskonale... Doskonale! - mówi. - Czy chcę wiedzieć, skąd je wzięłeś?

Sigrud wzrusza ramionami.

— Poszedłem z paroma policjantami na dziwki. Często najprostsze rozwiązania są najlepsze. Lubią mnie po Urawie.

Shara bada krańce materiału, jej małe palce badają je przez nitki.

— Dalej, dalej... Musi być... Czekaj. - Materiał wokół szyi jest sztywny i drapiący, jakby wyschła na nim farba... - Czekaj, czy to...?

Czy to krew?

— Myślisz, że miałem czas je uprać?

Shara wzdycha.

— Cóż. Chyba się nada. A teraz... Hm. Tak. Tu. — Czuje coś twardego na kołnierzu, odwraca go na lewą stronę i wyciąga wełniane nitki. Jest tam mały, miedziany naszyjnik z wygrawerowanym symbolem Kolkana. Przeszukuje resztę ubrania i odnajduje grudki w nadgarstkach, kostkach, pasie... wszystkie ozdóbki i biżuteria, na których znajduje się waga Kolkana.

Shara się śmieje.

— Tak — mówi. — W końcu! Tego się spodziewałam! To nie są monety w ścisłym znaczeniu, ale zdecydowanie mają podobne pieczęcie i zdobienia. To przełom! To takie oczywiste! Nie wiem, dlaczego nie... - Spogląda na Sigruda z uśmiechem, ale widzi, że ten przygląda się jej smętnie. - Co jest?

— Zastanawiam się... jak ci coś powiedzieć - mówi.

— Jak mi coś powiedzieć? Szczerze i szybko, mam nadzieję.

Sigrud pociera podbródek.

— Cóż. Zakłady tkackie... te, które miałem obserwować...

— Tak?

— Przez jakiś czas był to normalny biznes. Po prostu... Wełna. Nici. Pracownicy. Pledy. Nuda.

- Tak. I?

- Ale dzisiaj i wczoraj, w dwóch zakładach... Widziałem kogoś. Tę samą osobę w obydwu miejscach. Z wizytą.

Shara powoli obniża materiał.

- Kogo?

Sigrud pociera podbródek nieco mocniej.

- Votrowa.

- Co?

-Wiem.

Shara wpatruje się w niego.

- Vohannes Votrow odwiedza te zakłady tkackie?

Sigrud z grymasem kiwa głową.

- Tak.

- Ale... dlaczego miałyby to robić?

- Nie wiem. Ale widziałem go. Vohannesa Votrowa. Była to bardzo... tajemnicza wizyta. Próbował zakraść się tylnym wejściem. Ale zauważyłem go. Pomyślałem, „może chce kupić te zakłady”, wiesz, może wetrzeć sól w rany Wykłowa, ale nie, sprawdziłem. Wszystkie należą do Wykłowa i na razie nie ma dowodów na to, by ktokolwiek chciał to zmienić. Dlatego się spóźniłem.

- Ty... Jesteś pewien?

- Jestem. Vohannes Votrow. We własnej osobie. Ale nie wyglądał dobrze. Wyglądał na chorego. I nieszczęśliwego. Jakby umierał. Nawet nie był ubrany tak jak zwykle. Wyglądał jak smutny, mały mnich.

Shara czuje się tak bardzo zdezorientowana, że przestaje myśleć o alei.

- Sugerujesz, że Vohannes Votrow zachowuje się, jakby miał coś wspólnego z Odnowicielami?

Sigrud podnosi rękę w obronnym geście.

- Mówię to, co widziałem. Wymknął się do fabryki, której właścicielem jest Wykłów, dobił jakiegoś targu i poszedł do drugiej fabryki. Tamtejsi ludzie sprawiali wrażenie, jakby go znali. Myślę, że nie była to jego pierwsza wizyta w tym miejscu.

- Więc dlaczego... Dlaczego mówiłby nam o zakładach tkackich i kierował na nie swoje podejrzenia, jeśli sam... robiłby to, co tam robi?

Sigrud wzruszył ramionami.

- Wyglądał na chorego. Szczerze mówiąc, myślę, że jest chory.

Tymi słowami trafił prosto w serce Shary, do podejrzeń, jakie od jakiegoś czasu skrywała: że Vohannes Votrow nie jest sobą. Jego czyny stały się zbyt niewytłumaczalne. Dlaczego miałby ujawniać jej tożsamość? Dlaczego, po tym jak dostał od sajpurskiego rządu dokładnie to, czego chciał, miałby nie porozmawiać z nią, obecnym symbolicznym przywódcą sajpurskiej obecności w Bułykowie? Dlaczego człowiek, którego życie zostało zniszczone i wypaczone przez kolkasztańskie wychowanie miałby w pijackich głębiach snu mamrotać wersy z Kolkasztawy?

Jedyną odpowiedzią jest to, że Vohannes, człowiek już rozdarty, jest jeszcze bardziej rozdarty, niż się jej wydawało. Być może do tego stopnia, że źle się czuje. Że nie do końca wie, co robi.

- Nic z tym nie możemy tu zrobić - mówi w końcu Shara. - Musimy... Musimy wytrwale dążyć do celu.

- Dobra - mówi Sigrud. - Co w takim razie proponujesz?

Shara próbuje na nowo się skupić.

- W tych ubraniach znajduje się wiele małych uroków. Medalionów, bransoletek i kawałków metalu ze znakiem Kolkana. Na pewien sposób zupełnie jak na monetach. Więc tak jak w ich przypadku, za każdym razem, gdy napotykają to miejsce w alei, dochodzi do jakiegoś rodzaju reakcji.

- Znaczy...

- Znaczy... - Shara zgniata ubranie, aż staje się ono małą kulką, obraca je i rzuca w stronę narysowanej kredą linii.

Ale ubranie nie przelatuje dalej.

Sigrud mruga.

Kula szarego ubrania zniknęła.

- Dobrze - mówi Shara. - Jeśli mam być całkowicie szczerą, nie byłam do końca pewna, czy to zadziała.

- Co...?

- Ale chyba jednak trochę mi przykro. Mam nadzieję, że masz więcej niż jedno czy dwa...

- Co się...? Co się właśnie stało?

- Myślę, że miałam rację - mówi Shara. - Ta aleja jest bardzo mocno uszkodzona przez Mgnienie. Zresztą nie tylko ta aleja. Cała rzeczywistość. - Wyciera ręce i odwraca się, by ruszyć w stronę linii. - To pierwsze miejsce zakłóceń rzeczywistości, jakiego ktokolwiek doświadczył od końca Wielkiej Wojny.

- Po Wojnie, po tym, jak zabito Bóstwa, rzeczywistości sporo czasu zajęło zrozumienie, jak właściwie powinna wyglądać - wyjaśnia Shara.

- W jednym mieście jedna zasada była absolutną i kompletną prawdą; w innym było na odwrót. Gdy zabito Bóstwa, te dwa tereny musiały się ze sobą pogodzić i zdecydować, jaka jest ich prawdziwa natura. Podczas gdy się to wyjaśniało, miały miejsce...

- Zakłócenia - mówi Sigrud.

- Właśnie. Miejsca, w których zasady zostały zawieszane. Spowodowana Mgnieniem głęboka blizna na fundamentalnej naturze rzeczywistości.

- Jak rzeczywistość może wciąż być tu załamana i nikt tego nie zauważył?

- Myślę, że część problemu polega właśnie na tym - Shara macha na ulicę - że tak dobrze się wtapia. - Miejsce to jest jak większość Bułykowa: wykręcone, wypaczone, ospowate; budynki uwięzione wewnątrz budynków; ulice kończące się w płataninie schodów. — Jak można łatwo zauważyć, Bułyków nigdy do końca nie pozbiierał się z Mgnienia.

— A po drugiej stronie tych zakłóceń — Sigrud wskazuje na niewidzialne miejsce w przestrzeni, zastanawiając się, jak je nazwać — znajduje się inna rzeczywistość?

— Tak myślę — przytakuje Shara. — Konkretnie to rzeczywistość, która zwraca uwagę na to, jakie Bóstwo wyznajesz, czyje zdobienia, pieczęcie i znaki masz na sobie.

— W takim razie to chyba prawda: szata czyni człowieka...

— Ile kompletów ubrań masz ze sobą?

Sigrud spogląda do torby.

— Trzy.

— W takim razie daj mi proszę najmniejsze. Przechodzimy.

Shara i Sigrud zakładają ubrania: dla Shary są absurdalnie wielkie, dla Sigruda absurdalnie małe.

— Wolałabym, żebyś je uprał - mówi Shara. - Ta jest ciągle sztywna w środku.

— Jesteś pewna, że to zadziała? - pyta Sigrud.

— Tak. Ponieważ raz prawie tam przeszedłeś.

Sigrud marszczy brwi.

- Tak?

— Tak. Gdy zobaczyłeś pierwsze zniknięcie, człowieka skaczącego w aleję, powiedziałeś, że zobaczyłeś przelotnie wysokie, rozrzedzone, białe i złote budynki... I myślę, że jedynym powodem, dla którego je widziałeś - wskazuje na jego prawą dłoń w szarej rękawiczce - jest właśnie to.

— Ponieważ dotknął mnie — dodaje Sigrud — palec Kolkana.

— Nosisz znamię Bóstwa, więc było skłonne cię przyjąć.
Przynajmniej połowicznie.

Shara nakłada kolkasztański kaptur i podchodzi do linii kredy.

- Powinienem pójść pierwszy - mówi Sigrud. - Znajduje się tam wrogie terytorium. Przeszli tam tylko nasi napastnicy.

Shara uśmiecha się szeroko, chyba po raz pierwszy od tygodni.

- Spędziłam pół życia, czytając o innych rzeczywistościach. Nigdy nie odrzuciłabym możliwości bycia pierwszą, która do nich wejdzie, nawet ryzykując życiem.

Z tymi słowami przechodzi.

Nie ma zmiany, w przeciwieństwie do tego razu, gdy przechodziła do Zakazanego Magazynu. Nie jest nawet pewna, czy coś się stało: wciąż znajduje się w alejce, stoi na kamiennej powierzchni, patrząc na ulicę, która wygląda prawie identycznie jak poprzednio.

Shara spogląda w dół. U jej stóp leży kolkaszańskie ubranie, zgniecione w ciasny tobolek.

Odwraca się, by ujrzeć, jak Sigrud manifestuje swoją obecność - nie można tego nazwać inaczej - pośrodku alei. Jego jedyne oko mruga za kolkaszańskim kapturem.

- Przeszliśmy? - pyta.

- Tak sędzę - mówi Shara. - Ale to, gdzie jesteśmy, nie robi takiej różn...

Urywa i spogląda ponad ramieniem Sigruda.

- Co? - pyta Sigrud i odwraca się. - Och - mówi tylko.

Pierwszą dostrzegalną różnicą jest to, że za następnym budynkiem jest dzień. Nie zwykły dzień, ale piękny dzień - o bezchmurnym, przenikliwie pięknym, błękitnym niebie. Shara spogląda w przeciwną stronę i dostrzega, że nad budynkami tamtej strony niebo jest atramentowo, dymnie fioletowe: tam, skąd przyszła, trwała noc. Nawet czas się tu nie zgadza...

Nie umywa się to jednak do drugiej prawdziwej różnicy: za końcem alei, tam, gdzie zaczyna się piękny dzień, znajdują się wielkie, wspaniałe, białe drapacze chmur, obramowane i wykończone złotem, pokryte wstęgami wijącej się i splatającej roślinnej ceramiki, przenikanej delikatnymi, białymi łukami i dekoracyjnymi oknami,

ozdobionymi masą perłową i szkłem.

- Co to jest? - pyta Sigrud.

Shara, której zabrakło w piersi tchu, chwieje się na ulicy i dostrzega, że cały blok jest ustawiony w jednej linii ze wspaniałymi, liliowobiałymi budynkami, z których każdy posiada własny fryz. Ściany pokryte są pełnymi kaligrafii fasadami, przypominającymi splecione winoroślą czy wersy tekstu: Shara dostrzega, że jeden z budynków pokryty jest olbrzymimi wersami z Vurtjasztańskiej Księgi Włóczni. Mózg zaczyna się Sharze przegrzewać, gdy ta próbuje zidentyfikować obrazy: Porażka świętego Varczeka w Zielonym Świcie... Taalhawras naprawia łuk pod światem... Ahanas odzyskuje źródło słońca...

- Ojej. - Shara się trzęsie. Opada na kolana. - Och. Ojej...

— Co to za miejsce? - pyta Sigrud, podchodząc.

Shara przypomina sobie to, co powiedział święty Kiwrej: Zupełnie jakbym mieszkał w mieście zbudowanym z płatków kwiatów.

— Bułyków — mówi Shara. - Ale stary Bułyków. Miasto Bóstw.

— Myślałem, że to wszystko zostało zniszczone - zauważa Sigrud.

- Nie. Zniknęło - mówi Shara. - Bułyków znacznie skurczył się podczas Mgnienia. — Całe fragmenty miasta po prostu nagle zniknęły. Oczywiście część została zniszczona. Ale, jak się okazuje, nie wszystko. Ten... ten fragment Bułykowa musiał zostać ocalony, ale zagubiony, przywiązany do naszej rzeczywistości za pomocą garści połączeń.

Ćmy podskakują i wirują w promieniach słońca. Kryształowe okna dziedzińca wysyłają złote błyski, które tańczą po ulicy.

- Więc o to walczyli? - Sigrud spogląda swym jedynym okiem na wysoką prawie na kilometr wieżę, zakończoną szeroką, złotą kopułą dzwonnicy. - Jestem w stanie zrozumieć dlaczego.

- To jedynie część tego, co było - mówi Shara. - Znacznie więcej zostało autentycznie zniszczone, włącznie z ludźmi w budynkach.

Fontanna wyrzeźbiona na kształt stosu kwiatów jaśminu wesoło tryska wodą. Wążki śmigają od jednego krańca do drugiego, ich zielone oczy pobłyskują.

- Tysiące ludzi — mówi Sigrud.

Shara kręci głowa.

- Miliony. - Zastanawia się. - Tu. Chcę czegoś spróbować... Wyciąga ręce i zaczyna mamrotać. Pierwsze trzy próby okazują się nieudane.

- Co robisz? - pyta Sigrud. Za to czwarta...

Szklana kula wielkości jabłka pojawia się w jej rękach. Shara śmieje się radośnie.

- Zadziałało! Zadziałało! Niech no zobaczę, czy mogę... — Obraca nią tak, że kula łapie promień słońca: od razu rozbłyskuje czystym, żywym złotem. Shara trajkocze dalej, kładzie kulę na ziemi i popycha ją w stronę Sigruda. Ten zatrzymuje ją swoim butem: błysk utrzymuje się, podświetlając ją od dołu.

- Cud - mówi Shara. - Z Księgi Czerwonego Lotosu Olwos. Ten, który nigdy nie działa... cóż, najwyraźniej w naszym Bułykowie. Ale tu...

- Działa wystarczająco dobrze.

- Ponieważ rzeczywistość stosuje się tu do innych zasad. Spójrz. Pchnij ją do mnie. - Shara podnosi kulę, rzuca ją wysoko w powietrze i krzyczy:

- Stój i pokaż! - Świetlista kula zawisa trzy metry nad nimi, skąpując ulice wokół nich w delikatnym świetle. - Można było je znaleźć w całym Bułykowie, używane zamiast lamp. Są znacznie wygodniejsze.
- To dobry sposób, by zdradzić nasze położenie - mówi z dezaprobatą Sigrud. - Ściągnij ją proszę na dół.
- No... Właściwie to nie wiem, jak to zrobić.

Psiocząc pod nosem, Sigrud podnosi kamień i rzuca nim w kulę. Shara krzyczy i przykrywa głowę. Rzut jest zabójczo celny i kula eksploduje; zamienia się w chmurę pyłu, który niesie się z wiatrem wzdłuż ulicy.

- Przynajmniej wciąż działają tu kamienie - stwierdza Sigrud.

Włóczą się po Starym Bułykowie — jak określiła to miejsce Shara — niepewni, czego szukają. Miasto jest całkowicie opuszczone: ogrody są nieurodzajne, dziedzince puste. Wszystko jest za to dość czyste i białe. Shara cieszy się, że ma na sobie kolkashtańskie ubranie, jako że pomaga to zredukować błysk. Ale choć miasto jest piękne, nie może go chłonąć bez myślenia o teorii Efrema: Czy to bogowie stworzyli to miejsce, zastanawia się, czy po prostu uczynili to, czego życzyli sobie Kontynentanie?

Czasami, gdy wpatrują się w okna przy alei w tym pustym mieście, nie widzą tego, czego oczekują: zamiast większej liczby alejek czy wnętrza budynku, widzą zabałaganione, brudne ulice, wypełnione Kontynentanami o zmarszczonych czołach, albo studzienkę kanalizacyjną prowadzącą do Sołdy, albo po prostu pustą ścianę z cegieł.

— Więcej zakłóceń rzeczywistości — mówi Shara. — Połączenia z Nowym Bułykowem. Z naszym Bułykowem.

Sigrud zatrzymuje się i patrzy w jedno z okien, które wychodzi na

kuchnię starszej kobiety. Przygląda się, jak obcina ona głowy czterem pstrągom.

- W ogóle nas nie widzą?
- Przepraszam - mówi Shara do okna. - Przepraszam!
- Ależ ja nie cierpię pstrągów - mruczy stara kobieta. — Bogowie, jak ja nie cierpię pstrągów...
- Chyba nie - mówi Shara. - Chodź.

Po przejściu wzdłuż kilku budynków kierują się do rozległej posesji z rezydencją o białych ścianach, o łukach w kształcie podków, wysianych trawą dziedzińcach (zarośniętych obecnie chwastami) i dziesiątkach lustrzanych sadzawek, z których każda jest tak położona, by odzwierciedlać cytadelę w kształcie kwiatu.

- Zastanawiam się, jakaż to szanowana osoba tu mieszkała — mówi Shara. - Wysoki kapłan czy może jeden z Błogosławionych...

Sigrud wskazuje na jeden z łuków w kształcie podkowy.

- Właściwie to ktoś, kogo znamy.

Na górze łuku widnieją słowa:

DOM VOTROWÓW

- Ach - mówi delikatnie Shara. - Powinnam się była domyślić. Vohannes mówił, że oryginalny budynek zniknął podczas Mgnienia. Nie zdawałam sobie jednak sprawy, że był tak ładny.
- Kogo masz na myśli, mówiąc: jeden z Błogosławionych? -pyta Sigrud.
- Ludzi, którzy krzyżowali się z Bóstwami - mówi Shara. -Ich potomkowie byli herosami, świętymi... Ludźmi, którym wyjątkowo

sprzyjał los; byli legendami. Świat zmieniał się wokół Błogosławionych, by dać im to, czego pragnęli.

Shara przypomina sobie jeden z ostatnich wpisów z dziennika Efrema i pojedyncze słowo: Błogosławiony.

- To musiało być niezłe - stwierdza Sigrud. - I myślisz, że Votrowowie byli jednym z takich rodów?

- Och, nie, ani trochę. Tego rodzaju rodowody są zawsze dobrze udokumentowane. Jeśli Vohannes byłby jednym z nich, jestem pewna, że jego rodzina nigdy nie pozwoliłaby nikomu o tym zapomnieć. Czeka... Spójrz. - Shara wskazuje na rozgięte krzaki na jednym z dziedzińców. - Ktoś tu był. Dość niedawno.

Sigrud podchodzi do wskazanego miejsca, kuca i przygląda się śladom na ziemi.

- Wielu ludzi. Wielu. Mężczyzn, jak mi się wydaje. I niedawno, tak jak mówiłaś. — Ostrożnie wchodzi pomiędzy krzaki. — Większość z nich była czymś obciążona. Nieśli... coś ciężkiego. - Wskazuje naprzód, w stronę kolejnego łuku w kształcie podkowy, który wychodzi na opadające zbocze. - Tam poszli. — Wskazuje cytadelę domu Votrowów. — A stamtąd przyszli.

- Znajdziesz ślady?

Spogląda na nią, jakby chciał zapytać: Czy naprawdę właśnie mnie o to zapytałaś?

Shara rozważa rozdzielenie się, ale jednak decyduje się tego nie robić. Jak się stąd wydostaniemy, jeśli się tu zgubimy?

- Pójdziemy ich śladem. Tam, dokąd poszli - mówi. - A jeśli będziemy mieli czas, zobaczymy skąd przyszli.

Chodzą więc wzdłuż białych ścieżek, poprzez dziedzińce, wokół

ogrodów. Cisza maści spokój Shary, aż kobieta bierze każdy błysk za obniżający się belt kuszy.

Wszyscy Kontynentanie konspirują przeciw nam. Nigdy nie powinnam była wpuszczać Vohannesa do łóżka.

- Dlaczego nie tańczysz? — mówi Sigrud.

- Co?

- Myślałem - mówi Sigrud - że na widok Starego Bułkowa będziesz tańczyła z radości. I biegała tam i z powrotem, próbując wszystko naszkicować...

- Jak Efrem. - Shara zastanawia się nad tym. - Chciałabym. Gdybym mogła, chętnie spędziłabym tu resztę życia. Ale tu, w Bułkowie, każdy fragment historii wydaje się wypełniony ostrzami i im bliżej podchodzę, by się przyjrzeć, tym bardziej się ranię.

Zakrzywiony dom, zaprojektowany, by przypominać wulkan, góruje nad szemrzącym strumykiem z białych kamieni.

- Nie wydaje mi się, żeby to była natura historii - mówi Sigrud.

- Och? W takim razie czego?

- To - oznajmia - jest natura życia.

- Tak myślisz? Wydaje się to dość dołującą perspektywą.

- Życie jest pełne pięknych niebezpieczeństw i niebezpiecznych piękności - mówi Sigrud. Wpatruje się w niebo, a białe światło słoneczne rozbłyskuje na jednej z jego wielu blizn. -Ranią nas na sposoby, których nie widzimy: blizna marszczy się, jak kamień rzucony w wodę, dotykając chwil w przyszłości odległych o lata.

- Chyba masz rację.

- Wydaje się nam, że się poruszamy, biegniemy, posuwamy się dalej, ale myślę, że na wiele sposobów wciąż biegamy w miejscu, uwięzieni w chwili, która przytrafiła się nam dużo wcześniej.

- Co w takim razie powinniśmy robić?

Sigrud wzrusza ramionami.

- Musimy nauczyć się z tym żyć.

Wiatr wznosi małą burzę pyłową i posyła ją chwiejnie wydłuż dróżki z białych kamieni.

- Czy to miejsce skłania cię do takich refleksji? - pyta Shara.

- Nie - odpowiada Sigrud. - To coś, w co wierzę chyba od dłuższego czasu.

Wybruszone, kryształowe okno u góry zaokrąglonego domu chwyta błękitne niebo, rozciąga je i stwarza idealną, lazurową bańkę.

- Nie jesteś już - mówi Shara - tym człowiekiem, którego uwolniłam z więzienia.

Sigrud ponownie wzrusza ramionami.

- Może nie.

- Jesteś mądrzejszy niż on. Wydaje mi się, że jesteś mądrzejszy ode mnie. Myślisz czasem o powrocie do domu?

Sigrud na moment się zatrzymuje; jego oko tańczy po kremowobiałych kostkach brukowych.

- Nie.

- Nie? Nigdy?

- Nie znają mnie już. To było dawno temu. Są już innymi ludźmi. Tak jak i ja. Nie chcieliby ujrzeć tego, kim się stałem.

Przez kilka chwil podążają za śladem w ciszy.

- Uważam, że nie masz racji - mówi Shara.
- Myśl co chcesz - odpowiada Sigrud.

Ślad ciągnie się i ciągnie.

- Oczywiście, nie mogli zabrać samochodów, co? — zastanawia się na głos Shara. - Zakłócenia rzeczywistości nie pozwoliłyby im się przedostać, ponieważ są one takie nowoczesne.
- Wolalbym, żeby przenieśli ze sobą konia albo dwa.
- I po prostu by je tu dla nas zostawili? Tyle szczęść... -Shara urywa i wpatruje się w wysoki, zaokrąglony budynek po swojej lewej.
- Co? - pyta Sigrud.

Shara przygląda się murom, których okna ułożone są we wzór ośmioramiennych gwiazd, wypełnionych jasnofioletowym szkłem.

- Co znowu? - pyta Sigrud.

Shara przygląda się fasadzie: u góry znajduje się skrócony cytat z Dżukosztawy:

**DLACZEGO MIAŁBYM POZWALAĆ WSTĘPOWAĆ W SWÓJ CIEŃ
TYM, KTÓRZY STAJĄ W OBLICZU WYBORU CZY OKAZJI I DRŻĄ
PRZY TYM ZE STRACHU?**

- Czytałam o tym miejscu - mruczy Shara.

- Zakładam, że czytałaś o każdym miejscu w tym mieście.
- Nie! Nie, po prostu czytałam o tym miejscu... dość niedawno.

Shara podchodzi i dotyka białych ścian. Przypomina sobie wers z dziennika Efrema, cytującego listy sajpurskiego żołnierza na temat śmierci Dżukowa: Podążyliśmy za Kajem do pewnego miejsca w mieście - świątyni bieli i srebra, której ściany ułożone były na wzór gwiazd z fioletowego szkła. Nie widziałem w tej świątyni boga i obawiałem się, że to pułapka, ale nasz generał się nie zmartwił, załadował czarny ołów do swej wyrzutni i wszedł do środka.

Shara czuje mrowienie. Podchodzi do drzwi świątyni – pomalowanego na biało drewna, wyrzeźbionego we wzór gwiazd i futer - i otwiera je.

Drzwi otwierają się na wielki, pusty dziedziniec. Mury są wysokie i otaczają rozdzierające jasnobłękitne niebo powyżej. W środku dziedzińca znajduje się nieczynna fontanna, wokół której umieszczono cztery małe ławki.

Shara powoli do nich podchodzi. Ich również dotyka, jakby chciała się upewnić, że naprawdę tu są.

Czy tu, zastanawia się, siedział kiedyś bóg?

I czy mój pradziad siedział obok niego, czy stał nad nim?

Siada powoli na ławce. Drewno skrzypi delikatnie.

Czy to faktycznie może być miejsce, w którym umarł Dżuków? Czy właśnie je znalazłam?

Tak jej się wydaje. Nierzeczywiste wydaje się za to ujście tego miejsca, uwięzionego we fragmencie rzeczywistości, który dawno temu znikł z rzeczywistego świata. Shara zdaje sobie jednak sprawę, że to całkowicie możliwe. Okres po Mgnieniu był pełen chaosu,

fragmenty rzeczywistości powoływane były do istnienia i znikaly...

Shara spogląda w prawo. Niska galeria okrąza dziedziniec, gdzie ciężkie, kwadratowe dachy wsparte są na białych, drewnianych kolumnach.

W jednej z nich znajduje się mały, czarny otwór. Na wysokości ramienia, jeśli się siedzi.

Siedzi i, być może, trzyma się pistolet. Być może przy czyjejs głowie.

Shara podchodzi do otworu i ma niesamowite wrażenie, że coś znajduje się w środku i ją obserwuje. Bardzo długo, zdaje się mówić ten mały otwór, czekałem tu właśnie na ciebie!

- Sigrud - mówi Shara ochryple. - Podaj mi swój nóż.

Sigrud umieszcza w jej dłoni rękojeść ciężkiego, czarnego noża. Shara bierze wdech i wpycha ostrze do dziury w drewnie.

Słychać brzęk, gdy trafia ono na coś metalowego. Shara zaczyna uderzać w kolumnę, wycinając kawałki drewna, aż to coś w środku zaczyna latać luźno.

Coś małego i czarnego stuka o powierzchnię dziedzińca. Shara pochyla się i podnosi to.

Kawałek bardzo ciemnego metalu, wielkości sporej figi, na wpół zgniecionego w miejscu, gdzie uderzył w drewno.

Shara obraca go w dłoni i sprawdza jego wagę.

Dżukow musi być martwy, myśli Shara. Musi. W przeciwnym razie, jak to mogłoby się tu znajdować?

- Co to? - pyta Sigrud.

- To małe coś - mówi Shara łagodnie - obaliło bogów.

Kontynuują drogę wzdłuż śladu, który skręca i wije się przez ulicę, aż niespodziewanie kończy się w połowie czegoś, co wygląda jak czyjś salon.

- Gdzie oni są? - pyta Sigrud. - Ślady się tu kończą.

Shara kuca i przygląda się posadzce, ale niczego nie dostrzega.

- Nigdy nie mogę zrozumieć, czego dokładnie używasz przy śledzeniu. Gdzie ślady się kończą?

Sigrud wskazuje na miejsce na posadzce, nie do końca w kącie, nie do końca na środku pokoju.

- Więcej zakłóceń, jak się domyślam - mówi Shara. - Po prostu to wyjątkowo subtelne miejsce, które bardzo ciężko zobaczyć.

- I myślisz, że możemy przejść tu z powrotem?

- Nie uważam, żeby nasza rzeczywistość — prawdziwa rzeczywistość - miała kogoś odrzucać. W przeciwieństwie do tej. Pytanie raczej: gdzie się pojawimy?

- Myślę, że mądrze byłoby pozwolić mi tym razem przejść pierwszemu — mówi Sigrud. - Wiemy, że nasi wrogowie są gdzieś tam i robią... coś. Byłoby głupio pozwolić ci przejść. W porządku?

- W porządku.

Sigrud podchodzi do tego miejsca. Stopniowo zanika, jego jedna stopa rozpuszcza się. Za nią znikają pas i ramiona, ale wszystko to dzieje się zbyt szybko dla jej oczu, by mogła to zrozumieć.

Shara czeka. Poddaje się dziwnemu widokowi głowy i ręki Sigruda, pojawiających się w powietrzu.

Sigrud wskazuje gestem, by podążyła za nim, ale przykłada palec do ust.

Shara podchodzi, zbierając siły.

Ostatnim razem jej otoczenie zdawało się w ogóle nie zmieniać, ale tym razem zmiana jest całkowita: białe miasto zacierą się, a niebiesko-purpurowe niebo świtu rozlewa się u góry, otoczone surowymi, piaszczystymi górami. Niskie, postrzępione drzewa wystają z kredowej gleby wokół i wyginają się, by otrzeć się o ziemię.

- Więc - mówi Sigrud - gdzie teraz jesteśmy?

Umysł Shary pędzi.

— Na pewno nie w Bułykowie. Ciekawe... Wygląda na to, że nie ma ustalonego geograficznego związku pomiędzy Starym Bułykowem a rzeczywistym Bułykowem.

Sigrud niecierpliwie kręci palcem wskazującym: No dalej.

— Myślę... że jesteśmy poza Dżukosztanem. - Shara sięga, łapie smukłą gałąź drzewa i przygląda się liściom. - Tak myślę. Ten rodzaj jałowca rośnie tylko blisko Dżukosztanu. Jego jagód używano do przyprawiania wina.

- Więc... Dżukosztan jest w to w jakiś sposób zamieszany?

- Szczerze mówiąc, to nie mam pojęcia - mówi Shara. Odwraca się i przygląda miejscu, przez które ledwie przeszli: nosi ono nieznaczące efekty Mgnienia - piasek jest stopiony ze sobą, a wiele drzew jest powykręcanych i zmutowanych - ale poza tym nie dałoby się stwierdzić, że w tym miejscu znajduje się jakiś ślad zakłóceń rzeczywistości.

Shara odłamuje gałąź z pobliskiego drzewa i obiera ją z kory, by ujrzyć w smukłym pasku zielone wnętrze. Wbija je w ziemię.

— Żeby zaznaczyć miejsce wejścia - mówi. - A teraz prowadź.

Ślad prowadzi w dół doliny, w górę pagórków, w górę, w górę, aż dochodzą do szczytu i wtedy...

- Padnij - szepcze Sigrud. - Padnij! - Łapie Sharę za ramię i rzuca przed siebie, uderzając nią w miękkie, piaszczyste wzgórze.

Shara leży bez ruchu i nasłuchuje. Wtedy słyszy: głosy i uderzenia młotków.

Sigrud przygląda się im spomiędzy poszycia.

— Widzieli nas? — szepcze Shara.

Sigrud kręci głową.

— Nie. Ale nie jestem pewien, co to jest.

- Czy mogę się ruszyć?

- Tak myślę - odpowiada. — Są bardzo daleko w dolinie...

I bardzo zajęci.

Shara podnosi głowę i podpełza do miejsca, skąd może coś zobaczyć. Dno doliny jest usiane ogniskami, jakby ludzie przygotowywali się do nocnej pracy. Ciężko jednak dostrzec, nad czym pracują: jest tam sześć długich, szerokich kształtów błyszczących metalem, które Shara w pierwszej chwili bierze za ogromne buty, zastrzone na przedzie i kwadratowe na końcu niczym drewniaki noszone w Vurtjasztanie. Ale w ogromnych metalowych butach znajdują się drzwi i okna, schody i zapadnie... a w środku mieści się coś podobnego do masztu bez żagla.

- Prawie wyglądają na... - zaczyna Shara.

- Statki - kończy Sigrud. - Łodzie. Wielkie łodzie z metalu, bez oceanu i żagli.

Shara zerka na postacie krzątające się wokół statków, dokręcające śruby, spawające płyty. Wszyscy pracownicy ubrani są w tradycyjne stroje kolkaszańskie.

- To zdecydowanie Odnowiciele - mruczy Shara. - Ale po co mieliby tu budować łodzie z metalu? Setki kilometrów od oceanu! Chyba po to była im cała ta stal...

- To nie jest jakaś przerażająco wielka flota - mówi Sigrud z pewną pogardą. - Tylko sześć statków? Jeśli mieliby dokądś płynąć, to tą flotą za dużo nie działają.

Shara zastanawia się.

- Prawie dziewięćset kilo stali miesięcznie przez nieco ponad rok - to nie aż tak dużo statków. Ale po to musiała im być ta stal!

- I co dalej?

- Nie jestem pewna. Być może znaleźli w Magazynie coś, dzięki czemu mogą w dowolnym miejscu stworzyć ocean.

Ośmiu mężczyzn wpycha coś przez rampę na jedną z metalowych łodzi. Chociaż światło jest słabe, serce Shary prawie zatrzymuje się na ten widok.

- Ojej - mówi.

- Czy to jest to, o czym myślę? - pyta Sigrud.

- Tak - odpowiada Shara. - Sześciocalowe działo. Dotychczas widywałam je jedynie na sajpurskich okrętach wojennych. - Spogląda na zasłony dział na innych statkach. - Wygląda na to, że mają, albo będą mieć, trzydzieści sześć sztuk tego cholerstwa.

- I co planują z nimi zrobić? Zbombardować wzgórze? Wyruszyć na wojnę z wiewiórkami?

- Nie wiem - przyznaje Shara. - Ale ty się dowiesz.

Chwila ciszy.

- Co? - pyta Sigrud.

- Wracam do Bułkowa. Rzeczywistego Bułkowa. - Shara spogląda przez ramię, zakłopotana faktem, że nigdzie go nie widać - Żeby nadać telegram do Mulaghesh. Ale nie możemy po prostu zostawić tu Odnowicieli, żeby... cóż... zrobili to, co chcą zrobić.

- Więc chcesz - mówi Sigrud - zostawić mnie tu, żebym walczył z sześcioma metalowymi statkami załadowanymi działami?

- Proszę cię, żebyś obserwował. Zrobił coś jedynie, jeśli oni coś zrobią.

- Przez coś masz na myśli...

- Jeśli możesz, to infiltrację. W swoim czasie musiałeś mieć do czynienia z pasażerami na gapę, tak? Mam nadzieję, że czegoś się od nich nauczyłeś. Jeśli dotrę na czas do Bułkowa, w ciągu kilku dni możemy wrócić tu z małą armią.

- Dni... Więcej niż jeden?

Shara ściska go za ramię.

- Powodzenia - mówi i ostrożnie schodzi w dół zbocza.

Podróż powrotna przez białe miasto Starego Bułkowa jest dla Shary dziwna i trudna. Próbuje zająć myśli dziesiątkami tajemnic, jakie ma do rozwiązania - statkami bez dostępu do morza, przygotowującymi się do inwazji; Vohannesem współpracującym z Wykłowem i możliwe, że organizującym przejście dla Odnowicieli z i do Starego

Bułykowa; jednak myślami wciąż powraca do grudki w kieszeni, której znaczenie rośnie z każdym krokiem.

Mam przy sobie coś, co posmakowało boskiej krwi.

Chwilę zajmuje jej zrozumienie, że otrzymała gruntowną technologiczną przewagę: niezależnie od tego, co kombinują Wykłów, Vohannes i Odnowiciele, nikt z nich nie może wyobrazić sobie, że - chociaż małą - Shara jednak posiada część broni Kaja. Ale jak użyć czegoś, co jest ledwie większe od szklanej kulki?

Gdy wraca do Bułykowa - rzeczywistego, obecnego Bułykowa - od razu zrzuca z siebie kolkasztańską szatę i kieruje się prosto do ślusarza.

- W czym mogę pomóc? - Sprzedawca reaguje z opóźnieniem, gdy zdaje sobie sprawę, że ma do czynienia ze słynną Zwycięzczynią Urawa.

- Potrzebuję, żeby pan coś dla mnie wykonał - mówi Shara, zanim ten może skomentować.

- Och... Oczywiście. Co miałyby to być?

Shara kładzie na ladzie małą, metalową kulę.

- Czubek bełtu - mówi. - Albo mały nóż.

- Co... Co pani woli?

- Coś, co może być jednym i drugim, gdy zajdzie taka potrzeba. Chciałabym, żeby to było dość uniwersalne.

Sprzedawca podnosi kulę czarnego metalu.

- Jeśli mogę zapytać, na co będzie pani polować?

Shara uśmiecha się.

- Na jelenie?

ND KOMAYD DO GHS₅₁₂

SYTUACJA KRYZYSOWA STOP

ODNOWICIELE PLANUJĄ ATAK NA PEŁNĄ SKALĘ STOP

WNIOSEK O PRZENIESIENIE I UMOCNIE NIE WSZYSTKICH

SIŁ POLIS BUŁYKOWA STOP

CES₅₁₂

GP MULAGHESH DO CES₅₁₂

CZYŚ TY OSZALAŁA STOP

CZY W OGÓLE POWINNAŚ ZAJMOWAĆ SIĘ TĄ SPRAWĄ STOP

POTRZEBNE WIĘCEJ SZCZEGÓŁÓW STOP

GHS₅₁₂

ND KOMAYD DO GHS₅₁₂

NIE MOGĘ UJAWNIĆ SZCZEGÓŁÓW STOP

NIE Z POWODU NIEPEWNOŚCI Z POWODU DŁUGOŚCI STOP

PYTANIA O JURYSDYKCJĘ NIEISTOTNE Z POWODU STOPNIA
ZAGROŻENIA STOP

PROSZĘ NATYCHMIAST ZMOBILIZOWAĆ SIŁY STOP

CES₅₁₂

GP MULAGHESH DO CES512

PROSZĘ O JAKIEŚ INFO ODNOŚNIE STOPNIA ZAGROŻENIA STOP

COKOLWIEK STOP

RUSZENIE PIĘCIUSET UZBROJONYCH ŻOŁNIERZY NA

TEREN ZABUDOWANY TO COŚ INNEGO NIŻ ZAWRÓCENIE
WOZU

PEŁNEGO ZIEMNIAKÓW STOP

GHS512

ND KOMAYD DO GHS512

POTWIERDZONO, ŻE ODNOWICIELE POSIADAJĄ 30

I WIĘCEJ SZEŚCIOCALOWYCH DZIAŁ PRZEZNACZONYCH

ZWYKLE DLA OKRĘTÓW WOJENNYCH STOP

CELE OBECNIE NIEZNANE STOP

CES512

GP MULAGHESH DO CES512

JEŚLI CIĘ POSŁUCHAM, CZY WEŹMIESZ ZA TO
ODPOWIEDZIALNOŚĆ STOP

W OGÓLE CO STAŁO SIĘ Z JAVRATEM STOP

GHS512

ND KOMAYD DO GHS512

JEŚLI ODPOWIEDŹ WOJSKA NIE NASTĄPI NATYCHMIAST

WTEDY

PRAWDOPODOBIEŃSTWO ISTNIENIA MINISTERSTWA BY WZIAĆ

ODPOWIEDZIALNOŚĆ BARDZO MAŁA STOP

NIE MÓWIĄC JUŻ O JAVRACIE STOP

CES512

GP MULAGHESH DO CES512

ZACZNIEMY MOBILIZACJĘ NATYCHMIAST STOP

JEŚLI PRZEZ CIEBIE ZACZNĘ NOWĄ WOJNĘ NIGDY

CI NIE WYBACZĘ STOP

GHS512

ND KOMAYD DO GHS512 WOJNA JUŻ SIĘ ZACZEŁA STOP

CES512

Chociaż raz chciałabym przespać ciągiem osiem godzin, myśli Shara.
Zapłacę za nie. Ukradnę je. Cokolwiek.

Ale nie umie zasnąć. Pracuje nad ostatecznym terminem -siły
Mulaghesh przybędą w ciągu kilku godzin — ale i tak wie, że coś jej
umyka. Mimo to czuje, jakby zalewały ją informacje: dziennik
Efrema, listy z Magazynu, transakcje finansowe, historia Kontynentu,
zakazane listy, filie Votrowa, właściciele zakładów tkackich - wszystko
to tańczy jej przed oczami, aż Shara nie umie skupić się na żadnej
myśli poza jedną: Proszę, uspokój się, przestań myśleć i uspokój się,
przestań, przestań, przestań...

Stuknięcie w drzwi.

- Nie! - krzyczy Shara.

Pauza. Głos Pitry ego.

- Cóż, myślę, że...

- Nie! Żadnych spotkań. Żadnych! Mówiłam.

- Wiem, ale...

- Wszystkie spotkania są odwołane! Wszystkie. Powiedz im, że... Że się rozchorowałam! Powiedz, że umieram, wszystko mi jedno.

- W porządku, ale... ale to coś trochę innego. - Wchodzi powoli do pomieszczenia. - To list.

- Och, Pitry... - Shara przeciera oczy. - Dlaczego mi to robisz? Czy to od Mulaghesh?

- Nie. Od Votrowa. Przyniósł go chłopak na srebrnej tacy. Jest bardzo... dziwny.

Shara odbiera wiadomość.

W ROZGRYWCE TOVOS VA JEDNO ZAGRANIE MOŻE ZAKOŃCZYĆ
GRĘ

ALE PRZECIWNIKOWI MOŻE ZABRAĆ CHWILĘ

ZROZUMIENIE, ŻE TO KONIEC.

UMIEM POZNAĆ PORAŻKĘ.

PRZYJDŹ NA NOWY MOST SOŁDAŃSKI, ALE PRZYJDŹ PROSZĘ

SAMA.

NIE CHCĘ, ŻEBY DOWIEDZIAŁA SIĘ PRASA. NIE CHCĘ
ZNISZCZYĆ

WSZYSTKIEGO DOBREGO, CO PRÓBOWAŁEM ZROBIĆ.

V.

Shara czyta list kilka razy.

- Nie może mówić poważnie.
- O co chodzi?
- Szczerze mówiąc, nie mam najmniejszego pojęcia - odpowiada Shara. Czy Votrow faktycznie może być powiązany z Odnowicielami? Brzmi to absurdalnie, ale jeśli tak, to czy wezwanie wojska zdusiło ich plan w zarodku? I co więcej, skąd się dowiedział?

Nic z tego nie ma sensu. Albo Vohannes stracił rozum -czego Shara nie jest w stanie jeszcze wykluczyć - albo brakuje jej ogromnego kawałka układanki.

- Co pani zamierza zrobić? - pyta Pitry.
- Cóż, jeśli chciałby się ze mną spotkać w domu, w miejscu Prywatnym, nigdy bym nie poszła. Ale Nowy Most Sołdański jest miejscem publicznym, do tego ogromnie popularnym. Myślę, że musiałby oszaleć, żeby czegoś tam próbować.

Wciąż nie odpowiada to jednak na pytanie: co zamierza zrobić? Agent osobiście zajmuje się swoimi źródłami, mówi sobie. I chociaż on nie jest źródłem, to jest mój. Shara w gruncie rzeczy nie chce, by jakikolwiek inny przedstawiciel Ministerstwa zajmował się Vo. W końcu ogromna ilość powstańców i wrogich agentów skończyła w okropny sposób.

Jeśli ktokolwiek ma spróbować ściągnąć Vo z drabiny, na którą wlaź,

powinnam to być ja.

— Pitry, proszę przynieść mi płaszcz i termos z herbatą -mówi Shara.
— Jeśli nie wrócę w ciągu dwóch godzin, ma pan od razu powiedzieć Mulaghesh, żeby przeprowadziła nalot na rezydencję Votrowa. Coś bardzo dziwnego dzieje się z tym człowiekiem.

Gdy Pitry odbiega, Shara ponownie odczytuje wiadomość. Nigdy nie byłam w stanie stwierdzić, jaką to grę prowadziłam z Vo.

Ale być może teraz się dowie.

Spacer dobrze robi Sharze na myśli: naglące pytania przygasają, ścierane przez każde spiralne schody czy zakręconą ulicę, aż Shara staje się tylko kolejną osobą spacerującą wzdłuż Sólidy.

Wyobraź sobie, szepcze do siebie. Za tym kruszącym się miastem znajduje się ukryty, mityczny raj i by go odnaleźć, wystarczy tylko poskrobać rzeczywistość paznokciem.

Mewy i kaczki krążą i skrzeczą, ścigając się za okruchami chleba.

Ale jakiegokolwiek piękne cuda stworzyły Bóstwa, przypomina sobie, mogły one być niewolnikami Kontynentu prawie w takim samym stopniu, co Sajpur.

Tłum bezdomnych na brzegu rzeki piecze ryby w prowizorycznych rondlach; jeden z nich, w dość oczywisty sposób pijany, twierdzi, że każda z jego ryb jest częścią Urawa, co spotyka się z głośnymi nawoływaniem, by usiadł.

Shara nagle podejmuje decyzję, że gdy cała ta sprawa z Wykłowem i Votrowem się zakończy - w jaki sposób, tego nie ma pojęcia - odejdzie z Ministerstwa, powróci do Starego Bułykowa, gdzie będzie kontynuować pracę Efrema. Dwa miesiące temu uznałaby pomysł

odejścia za szalony, ale z ciocią Vinyą u steru, co może potrwać wieczność, Ghaladesh i wszystkie jego siły są dla niej obecnie bolesnym tematem, a wszystkie odkrycia ożywiły jej zainteresowanie historią Kontynentu. Cała jej kariera w Ministerstwie blednie przy tym krótkim czasie, jaki spędziła w Starym Bułykowie, jakby uciekła duszającym wyziewom i odetchnęła górskim powietrzem.

W tajemnicy cieszy się na tę pokręconą radość z wykonania kolejnego cudu. Zastanawia się, jakie inne cuda zadziałają w Starym Bułykowie: czy można przechodzić przez ściany, przywoływać jedzenie z nieba lub ziemi, czy nawet latać czy...

Czy nawet...

Shara zwalnia i zatrzymuje się.

Dwie mewy sięgają w powietrzu po skórę ziemniaka i naskakują na siebie.

- Latać - szepcze Shara.

Przypomina sobie wpis na liście z Zakazanego Magazynu.

Dywan Kolkana: mały dywanik, który ZDECYDOWANIE posiada możliwości lotu. BARDZO trudny do kontroli. Zapisy wskazują, że Kolkana pobłogosławił cudem lotu każdą nić dywanu, więc teoretycznie każda z nich powinna być w stanie wznieść w powietrze kilka ton.

Dywan o pobłogosławionej każdej z nici.

Zakłady tkackie, które z łatwością mogą rozerwać dywan.

I mała flota stalowych statków na wzgórzach bez oceanu.

Chłopiec szepczący w policyjnej celi: Nie możemy latać na łodziach z drewna.

Być może w ogóle nie będą potrzebowali oceanu.

- Ojej — szepcze Shara.

Sigrud podnosi głowę, gdy słyszy pobrzękiwanie. Przenosi wzrok z dróg prowadzących do i z doliny na sześć statków, wciąż uwięzionych na ziemi. Żagle zakładane są na maszty, a coś innego jest rozciągnięte z ich lewych i prawych burt.

Żagle wznoszone na stalowych masztach to dość nietypowy widok: Sigrud widywał już różne rodzaje żagli, ale te wyglądają, jakby zostały stworzone na niewiarygodnie brutalne wiatry. Ale to, co rozciąga się na bokach każdego statku... to coś, czego nie widział jeszcze nigdy w życiu. Owe ozdoby są długie, szerokie i grube, o wielu obracających się elementach. Przypominają Sigrudowi rybie płetwy i jeśli nie wiedziałby co to, założyłby, że to...

- Skrzydła - mówi cicho.

Przygląda się mężczyznom, przygotowującym statki.

Nie rób nic, powiedziała Shara, chyba że oni coś zrobią.

To zdecydowanie liczy się jako „coś”.

Sigrud sprawdza nóż, który wciąż ma w pochwie i zaczyna schodzić po wzgórzu.

Nowy Most Sołdański jest płataniną rusztowań i ram. Wielkie cementowe cokoły są składane do zimnej wody, kierowane przez sajpurskie żurawie i sajpurskich inżynierów. Kontynentanie spoglądają z brzegów czy dachów domów, niechętnie podziwiając ten pokaz siły.

Umysł Shary wciąż brzęczy ostatnim olśnieniem: Statki można wybudować i cumować wszędzie i nikt nie mógłby nawet odrobinę być przygotowany na ich atak z nieba.

Kolejne wątpliwe pytanie chodzi jej po głowie: Ale jeśli Vohannes za tym stoi, dlaczego Odnowiciele mieliby zaatakować jego dom?

Dostrzega, że będzie miała szansę go zapytać: Vohannes siedzi na ławce z przodu parku, nogi ma fircykowato założone na siebie, ręce na kolanach, i wpatruje się w nadrzeczną promenadę, w dal. Nie ma na sobie swych zwykłych, ostentacyjnych ubrań: powrócił, jak widzi Shara, do ciemnego, brązowego płaszcza i czarnej koszuli zapiętej po szyję - jak podczas wieczoru z Urawem.

Shara przypomina sobie, jak Sigrud mówił, że nawet nie był ubrany tak jak zwykle. Wyglądał jak smutny, mały mnich.

Shara przygląda się ludziom. Vohannes jest zdecydowanie sam. Mimo to zdaje się ją dostrzegać i odwraca wzrok, więc Shara widzi jedynie tył jego głowy...

- Co z tobą, Vo? - pyta, gdy podchodzi. - Jesteś chory? Czy oszalałeś? Czy może przez cały czas nad tym pracowałeś?

Odwraca się do niej i uśmiecha. Shara dostrzega, że nie ma ze sobą laski.

-To ostatnie, co przyznaję z radością- mówi z zadowoleniem.

Shara zastyga i natychmiast dostrzega dlaczego odwracał do tej pory twarz.

Jest ona prawie taka sama jak ta, którą zna: ta sama silna, kwadratowa szczeka, ten sam olśniewający uśmiech. Ale oczy tego człowieka są ciemniejsze i bardzo głęboko osadzone.

Shara nie czeka: odwraca się i zaczyna uciekać.

Ktoś, kto spaceruje obok - raczej niski, niewyglądający na stanowiącego zagrożenie — podstawia jej nogę. Shara upada na ziemię.

Obcy wstaje i podchodzi do niej, nadal z wyrazem zadowolenia na twarzy.

— Zastanawiałem się, czy przyjdiesz — mówi — ale chyba wspomnienie o Tovo Va załatwiło sprawę. W końcu nauczyłem go tej gry. Jakże miło zobaczyć, że na coś się to przydało!

Shara zaczyna wstawać. Obcy wskazuje na nią i mruczy coś. Słysząc dźwięk przypominający uderzenie bata. Shara spogląda w dół i zdaje sobie sprawę, że jest kompletnie przezroczysta: poprzez nogi widzi kostkę brukową, czy raczej miejsce, gdzie jej nogi być powinny.

Szafka Parnesiego, myśli, zaraz przed tym, jak ktoś za nią zaciska jej szmatę na ustach: nozdrza wypełnia dym, oczy zachodzą mgłą i nagle jest jej bardzo trudno wstać.

Wpada w ich ramiona: dwóch mężczyzn, może trzech. Obcy - Vohannes, a jednocześnie nie on - wyciera nos.

— Bardzo dobrze — mówi. — Chodźcie.

Niosą ją wzdłuż nadrzecznej promenady. Dym znajduje drogę jeszcze głębiej do jej mózgu. Dlaczego nikt mi nie pomaga?, myśli Shara, ale przechodnie ledwo przyglądają się jej z zaciekawieniem, zastanawiając się, dlaczego ci mężczyźni udają, że niosą coś ciężkiego.

Shara poddaje się; dym okręca się wokół niej. Zasypia.

Poprzez śnieżne wzgórza

W dół zamarzniętej rzeki

Poprzez lasek drzew

Będę na was czekać

Zawsze będę tam na was czekać.

Mój ogień będzie się palił

Światło w chłodzie

Światło dla was i dla mnie

Ponieważ was kocham.

Choć czasami mogę wydawać się nieobecna

Wiedźcie, że mój ogień zawsze będzie gotów

Dla tych z sercami pełnymi miłości

I chęcią podzielenia się nią

-- KSIĘGA CZERWONEGO LOTOSU, CZĘŚĆ 2, 9.12-9.24

WIĘZY RODZINNE



Shara budzi się naprzeciwko pustej, szarej ściany. Strużka powietrza pojawia się w jej płucach, zanim ciałem wstrząsa kaszel.

- Oho! - mówi radosny głos. - Dobroci! Obudziła się.

Shara obraca się, jest niezbyt przytomna i lekko zamroczona. Znajduje się w pustym pokoju bez okien, który wydaje się jej cokolwiek znajomy.

W pomieszczeniu jest dwoje drzwi, jedno zamknięte, drugie otwarte. Ubrany po kolkaszańsku nieznajomy staje w tych otwartych i uśmiecha się do niej. Jego oczy są niczym umiejscowione w czaszce mokre kamienie.

- Naprawdę nie jestem w stanie stwierdzić - mówi - co on mógł w tobie zobaczyć.

Shara mruga powoli. Chloroform, przypomina sobie. Minie prawie godzina, zanim w pełni odzyskam świadomość...

- Na ile mogę to stwierdzić, jesteś niczym niewyróżniającą się Sajpurką - mówi. - Niska, brudnobrązowa... Być może lepiej oddałyby to słowa: gliniasta, ziemista, piżmowa, szpetna, nie do końca cielistą ciemność. Z charakterystycznym, małym podbródkiem i zakrzywionym nosem. Nadgarstki, wzorem waszego rodzaju, masz potwornie cienkie i delikatne, a twoje ramiona są owłosione i brzydkie, tak jak, spodziewam się, reszta ciała. Domyślam się, że musiałabyś dość często się golić, by w ogóle równać się z ciałami kobiet ze Świętych Ziemi. Twoje piersi nie są dyndającymi, ciężkimi masami, jakie często widuję u twoich pobratymców, ale nie są też do końca zarysowane. Istotnie, prawie w ogóle nie istnieją. A twoje oczy, moja droga... Spójrz tylko na te okulary. Czy twoje oczy w ogóle

funkcjonują? Zastanawiam się, jak to jest być takim karłowatym, przypadkowym pokurczem? Twoje życie musi być bardzo smutne, jako stworzenia krainy popiołu, uformowanego z gliny... - Kręci z uśmiechem głową. Jest to potwornie perwersyjna wersja uśmiechu Vohannesa; podczas gdy ten należący do Vo jest pełen bezgranicznego, ochoczego uroku, uśmiech tego mężczyzny sugeruje ledwie wstrzymywany gniew. — Ale prawdziwa natura twojej zbrodni, rzeczywiste naruszenie, jakie popełniasz ty i tobie podobni, polega na tym, że nie chcecie tego przyjąć do wiadomości. Nie przyjmujecie własnych słabości. Waszych żalonych, szpetnych słabości! Nie znacie wstydu! Nie chowacie ciała! Nie kulicie się przed naszymi stopami! Nie widzicie, że wy, nietknięci przez Bóstwa, nieświadomi, jesteście niepotrzebni, przypadkowi, w najgorszym razie zbyteczni, a w najlepszym służalczy! Wasz rodzaj żywi wyniosłe pretensje. I dopiero to jest waszym prawdziwym grzechem, jeśli stworzenia takie jak wy są w ogóle zdolne do grzechu.

Na wiele sposobów mężczyzna ten przypomina Vohannesa: zarówno sporą ilością gestów, jak i postawą. Jest w nim jednak coś znacznie dziwniej zepsutego i delikatnego: coś w tym, jak przekrzywia biodra, jak krzyżuje ramiona... Shara przypomina sobie muowosta i jego zniewieściały chód tam i z powrotem, gdy udawał kogoś jej nieznanego.

Przełyka ślinę.

- Kto...?

- Jeśli zechciałbym cię rozciąć — mówi nieznajomy — wewnątrz byłabyś pusta... Gliniana skorupa człowieka, godna uwagi tylko z powodu podobieństwa do siebie. Co w niej takiego widziałeś, Vohannesie?

Nieznajomy spogląda w kąt pomieszczenia.

Na podłodze w kącie siedzi Vohannes: ręce ma oplecione wokół kolan, twarz mocno poobijaną, jedno oko zapuchnięte i podbite, górną wargę

rdzawą od zaschniętej krwi.

- Vo... - szepcze Shara.

- Liczyłem, że pokusi mnie choć trochę ciałem - mówi nieznajomy. -
Wtedy możnaby ci wybaczyć te igraszki. Ale jest na niej bardzo mało
ciała, którym można kusić. Szczerze, nie mogę zidentyfikować ani
jednej cechy, która mogła wydać ci się atrakcyjna w tym stworzeniu.
Naprawdę nie mogę, braciszku.

Shara mruga.

Braciszku?

- V... V...

Nieznajomy obraca się do niej powoli i unosi brew.

Dociera do niej echo głosu Vohannesa: w wieku piętnastu lat dołączył
do grupy pielgrzymów i wybrał się na lodowatą północ, by spróbować
znaleźć jakąś cholerną świątynię.

- V-Vołka? - pyta. — Vołka Votrow?

Mężczyzna się uśmiecha.

- Ach! Więc znasz moje imię, gliniane dziecię.

Shara próbuje zebrać myśli.

- My... Myślałam, że nie żyjesz.

Kręci głową z promiennym uśmiechem.

- Śmierć - mówi - jest dla słabych.

- Dla tych, którzy chcą mnie poznać - cytuje Wołka - dla tych, którzy chcą zostać przeze mnie dostrzeżeni i kochani, nie istnieje zbyt wielki ból, zbyt straszny proces, zbyt prosta kara. Jesteście bowiem moimi dziećmi i musicie cierpieć, by osiągnąć wielkość.

Wołka uśmiecha się pobłaźliwie do Vohannesa, ale to Shara mówi:

- Kolkasztawa.

Uśmiech Wołki przygasa. Mężczyzna przygląda się jej zimno.

- Księga Druga, jak mi się wydaje - dodaje Shara. — Jego nakazy do świętego Mornwiewy, tłumaczące, dlaczego jego siostrzeniec został pogrzebany pod lawiną.

- I Mornwiewa tak się zawstydził — mówi Wołka — że spytał Ojca Kolkana, dlaczego tak się stało i że przepytował go w ten sposób...

- ...że sam odebrał sobie prawą rękę - kończy Shara - i prawą nogę, wyłupił sobie prawe oko i pozbył się prawego jądra.

Wołka szczyrzy się.

- Dziwnie słyszeć takie rzeczy od stworzenia takiego jak ty! Zupełnie jakby mówił ptak.

- Sugerujesz - pyta Shara - że chcesz nas ulepszyć przez tortury?

- Nie będę was torturować. Przynajmniej nie bardziej niż mojego brata. Ale ulepszyłyby to was, owszem. Poznalibyście, co to wstyd. Pozbawiłoby to was tego dumnego błysku w oku. Czy w ogóle wiesz, o czym mówisz?

- Jestem skłonna się założyć, że uważasz, iż Kolkan żyje — mówi Shara.

Uśmiech Wołki zniknął już całkowicie.

- Gdzie pan był, panie Votrow? - pyta Shara. - Jak przetrwałeś? Słyszałam, że zginąłeś.

- Och, ale ja umarłem, popielna panienko - mówi Vołka. -Zginąłem na górze na dalekiej północy. I odrodziłem się na nowo.

Odwraca dłoń: jej wnętrze migocze światłem świecy, choć Shara nie widzi żadnego płomienia.

- Stare cuda wciąż są we mnie żywe. - Chwyta niewidzialny płomień i ogień gaśnie. - Była to próba ducha. Ale właśnie po to w pierwszej kolejności wyruszyliśmy do klasztoru Kowasz-ty: by się sprawdzić. Wszyscy inni zginęli podczas naszej pielgrzymki. Wszyscy mężczyźni, dużo ode mnie starsi. Bardziej doświadczeni. Silniejsi. Umarli z głodu czy zimna albo zachorowali i zginęli. Jedynie ja brnąłem dalej. Jedynie ja byłem godzien. Jedynie ja zmagąłem się z wiatrem, śniegiem i górskimi szczytami, by odnaleźć to miejsce - Kowaszę, ostatni klasztor, zapomnianą siedzibę naszego Ojca Kolkana, gdzie wyśnił swe święte edykty i naprawiał świat. Spędziłem tam prawie trzy dekady życia, sam w tych ścianach, żywiąc się resztkami, pijąc topniejący śnieg... i czytając. Wiele się nauczyłem. - Wyciąga palec wskazujący i dotyka czegoś, zupełnie, jakby w drzwiach była szyba, i przesuwa palcem do środka. Opuszek ma biały i płaski, przyciśnięty do niewidzialnej bariery. - Kokon Motyla. Jeden z najstarszych cudów Kolkana. Pierwotnie używany, by zmuszać ludzi do wyznawania grzechów... Widzisz, powietrze nie może ani wchodzić, ani wychodzić, a jedynie na krawędzi śmierci jesteśmy naprawdę prawdomówni... Ale nie martw się. To nie jest twój los. - Spogląda na Sharę. - Przegrałaś, wiesz? Ty i twój lud.

Shara milczy.

- Wiesz?

- Nie - odpowiada Shara. - Nie wiem, o co ci chodzi.

- Oczywiście, że nie. Prymityw... Ponieważ, odnalazłem jego. - Sięga

do wnętrza szaty i wyciąga talizman: wagę Kolkana. - Medytowałem przez lata i nic nie słyszałem. I w końcu pewnego dnia postanowiłem medytować do śmierci, aż usłyszałem jego szept, jako że śmierć była lepsza niż ta gorzka cisza... Prawie zagłodziłem się na śmierć. Może i zagłodziłem się na śmierć. Ale wtedy go usłyszałem, jak szepcze w Bułykowie. Usłyszałem Ojca Kolkana! Nigdy nie umarł! Nigdy nie odszedł z tego świata! Nigdy nie został... dotknięty przez waszego Kaja! — Ostatnie słowo jest dzikim warkotem: Shara dostrzega żółto-brązowe zęby. - Miałem wizję: istniała cała część Bułykowa - prawdziwego Bułykowa, Miasta Bogów - wolna od waszych wpływów! Ukryta przed wami, przed wszystkimi! I wtedy zrozumiałem, że istnieje nadzieja dla mojego ludu. Ujrzałem światło pośród sztormu, ocalenie, oczekujące na świętych i posłusznych. Mógłbym wrócić i uwolnić nas wszystkich z niewoli. Była to jedynie sprawa dotarcia do niego, odnalezienia go i uwolnienia... Naszego ojca. Naszego zaginionego ojca.

- Zupełnie jak za dawnych czasów - mówi Vohannes. - Biegniesz do Tatusia...

Błoga radość Vołki wyparowuje.

- Zamknij się! - odwarkuje. - Zamknij się! Zamknij swoją parszywą, zdradziecką mordę!

Vohannes milknie.

Vołka mu się przygląda. Trzęsie się.

— Twoja... Twoja skazona mordą! Czego dotykała, ty brudny szczeniaku? Czyjego ciała? Kobiet? Mężczyzn? Dzieci?

Vohannes przewraca oczami.

— Jesteś obrzydliwy.

- Wiedziałeś, że jesteś skrzywiony - mówi Vołka. - Zawsze byłeś,

mały Vo. Zawsze coś było z tobą nie tak; nadwyręzenie niedoskonałości, które powinno zostać wyplenione.

Vohannes bez zainteresowania pociąga nosem i wyciera go.

- Nie masz dla siebie wymówki?
- Nie byłem świadom - mówi Vohannes - że jakiejś potrzebuję.
- Ojciec się ze mną zgadzał. Wiedziałaś o tym? Powiedział mi raz, że wolałby, żebyś umarł razem z Matką podczas porodu! Powiedział, że uwolniłoby go to od słabej żony i słabowitego syna.

Vohannes beznamiętnie przelyka ślinę.

- Ta rewelacja - mówi - ani trochę mnie nie dziwi. Tatuś był bardzo wrażliwy.
- Obrażasz imię naszego ojca tylko po to, żebym bardziej cię nienawidził, jakby to mogło być możliwe.
- Sram - odwarkuje Vohannes - na imię ojca, na nazwisko Votrowów i na imię Kolkana! I cieszę się, że Kaj nigdy nie zabił Kolkana, bo gdyby Sajpurzy zamordowali go jak innych bogów, nie miałbym szansy wspiąć mu się na podbródek i nasrać mu do ust!

Vołka wpatruje się w niego, zaskoczony.

- Nie będziesz miał takiej szansy - szepcze. - Utrzymam cię przy życiu, ciebie i ją, więc Kolkan sam będzie mógł przyjść, ocenić was oboje i złożyć swoje edykty. Nawet nie wiesz, co? Jest tu, w Bułykowie, podliczając grzechy tego miejsca. Obserwował cię. Czekał. Wie, co zrobiłeś. Wzniosę Siedzisko Świata z jego grobowca. A gdy powstanie, poznasz ból, braciszku. - Shara dochodzi do wniosku, że zdecydowanie zna to pozbawione mebli i zdobień pomieszczenie: przypomina sobie, jak muowost się z niej śmiał i jak rzuciła mu świecę na pierś, i schody prowadzące w głąb ziemi...

Wiem dokładnie, gdzie jesteśmy, myśli, i gdzie jest Kolkan.

- Jest w Siedzisku Świata, prawda? - mówi na głos.

Vołka spogląda na nią, jakby właśnie go trzasnęła.

Vohannes marszczy brwi.

- W tym gnijącym, starym miejscu?

- Nie, nie. Znacznie głębiej, gdzie ukryte jest prawdziwe Siedzisko, kilka metrów niżej, gdzie jesteśmy w tej chwili. - Shara zamyka oczy. Dym ze szmat przytępił ją, ale tej myśli nic nie jest w stanie zatrzymać. — A Bóstwa lubiły używać szkła jako miejsca do przechowywania... Ahanas ukrywała więźniów w szybie i nawet miała swoje małe miejsce w szklanej kuli. Dżukow trzymał ciało świętego Kiwreja w szklanym koraliku. A gdy tam byłam, w Siedzisku Świata, szukałam słynnego witrażu, o którym tyle słyszałam... ale wszystkie okna były wybite. Wszystkie poza jednym, w kolkaszańskim przedsionku. I pomyślałam, że to takie ciekawe: okno było całe, niewybite, ale puste.

Shara otwiera oczy.

— Tam uwięzili go inni bogowie, prawda? Tam uwięziono Kolkana na ostatnich trzysta lat. Żywego boga zamknięto w szybie.

— Nie wiem za bardzo, co się dzieje — mówi Vohannes wesoło - ale to dość zajmujące, co, Vołka?

— Jak zamierzasz go uwolnić? - pyta Shara.

Vołka wpatruje się w nią ze wściekłością, powietrze świszcze mu w nozdrzach.

— Chyba że - mówi Shara - jest to prosty cud Uwolnienia... jaki znalazłby każdy kapłan.

— Nie każdy - mówi Wołka ochryple.

— Więc musi to być coś znacznie potężniejszego. Być może... — mówi Shara powoli. — Być może coś od mnicha z Kowaszty? Coś, co znalazłeś zapisane w krypcie?

Wołka warczy, jakby właśnie został uderzony.

- Jesteś taki pewien, bracie — pyta Vohannes — że jest od ciebie gorsza?

- A Wykłów? — pyta Shara. — Będzie brał w tym udział? To ty za nim biegłeś, prawda? To ty uwięziłeś tu muowosta i pozostawiłeś go jako psa obronnego.

- To, co przytrafiło się Wykłowowi będzie brzmieć jak błogosławieństwo w porównaniu z tym, co przytrafi się tobie — odgryza się Wołka. - Wykłów, on był... On wierzył. Prawdziwy kolkasztanin. Ale gdy naprowadził cię na Siedzisko Świata i gdy zdałaś sobie sprawę, jak odnalazłem Magazyn ukradzionych przedmiotów, nie mogłem mu przebaczyć.

- Co zrobiłeś? - pyta Shara.

Wołka wzrusza ramionami.

- Musiałem dowiedzieć się, czy Kokon Motyla w jakiś sposób zadziałał. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś go wykonywał. Wykłów był... nie najgorszym testerem. Przypomniałem sobie, że jesteśmy jedynie narzędziami w rękach Bóstw. Nie miałem pretensji, że ściagałaś Wykłowa. W oczywisty sposób nie miałaś pojęcia, że w ogóle tu byłem, bo w końcu przedsięwzięciem pewne plany wiele lat wcześniej, zanim tu przybyłaś.

- Ale zaskoczyłam cię, prawda? — pyta Shara. — Gdy przybyłam, myślałeś, że musisz się śpieszyć — więc zaatakowałeś dom Vohannesa, żeby spróbować zmusić go, aby dał ci to, czego potrzebowałeś.

- Przybycie prawnuczki Kaja zmartwiłoby każdego prawdziwego Kontynentanina - mówi Wołka. - A ja wiedziałem, kim jesteś. - Kolejne mignięcie zębów, brązowych niczym stare drewno. - Wpatrywałem się w portrety Kaja przez wiele godzin, dni, myśląc o nim, nienawidząc go, pragnąc, bym mógł tam być, by zakończyć jego życie, zatrzymać historię przed zaprowadzeniem nas w to miejsce... I w chwili, gdy cię dostrzegłem - twoje oczy, nos, usta - zobaczyłem, jak przeszłość budzi się do życia. Wiedziałem, że pochodzisz od niego. Od tego momentu łatwo było dowiedzieć się, kim jesteś i powiedzieć o tym moim rodakom.

- Czekaj... To ty ujawniłeś moją tożsamość? - Shara spogląda na Vohannesa, który wpatruje się w nich oboje bez zrozumienia.

- Mimo to nie powstali przeciwko tobie, ani nie powiesili cię na ulicy, jak się spodziewałem — mówi Wołka. — Wychwalali cię za zabicie Urawa, jednego z uświęconych dzieci Kolkana. Szczerze, nie jestem w stanie stwierdzić, czy rzeczywiście jesteś taka utalentowana, czy twoje niefortunne pojawienie się jest dziełem przypadku. Jak dziś. Czy faktycznie podążyłaś za nami do rzeczywistej posiadłości Votrowów czy po prostu natknęliście się na nią przypadkiem?

— Och — mówi Shara. - Byłeś w domu, prawda? Gdy razem z SigruDEM przenieśliśmy się do Starego Bułkowa. Widziałeś nas.

— Gdyby wszystko poszło po mojej myśli, nie musiałbym nawet wykonywać tego rytuału - mówi Wołka. — Ale twoje wtrącenie zmusza nas do pośpiechu. Przybyłaś do prawdziwego Bułkowa. Widziałeś czekające statki. Więc, raczej arbitralnie, niestety, nowa era będzie musiała zacząć się dzisiaj.

— I zniszczysz teraz miasto swoimi statkami wojennymi? -pyta

Shara. - Po co ci w ogóle latające statki wojenne, skoro uwalniasz Bóstwo? Czy Kolkan nie może po prostu wskazać palcem i zamienić nas w kamień?

- Czemu mielibyśmy przejmować się miastem? - pyta Vołka. - Mądrzej jest dzielić i podbijać. Sajpur jest zaślubiony morzu — jego siła leży w statkach. Nasze okręty powietrzne polecą bezpośrednio do samego Sajpuru i ostrzelają jego porty i stocznie, zanim twój bluźnierczy naród w ogóle zda sobie sprawę, co się dzieje. Chcielibyśmy mieć więcej statków, ale nie mam wątpliwości, że nawet z sześcioma okrętami Sajpur nie będzie miał szans. Pomimo całej swojej potęgi, nigdy nie będzie spodziewał się ataku z powietrza. Ostrzelamy go z chmur ognistym deszczem. Deszcz zniszczenia opadnie z nieba niczym anioły. Wykastrujemy twój podły kraj tak, jak na to zasługuje.

Irracjonalnie, ta rewelacja przerażają bardziej niż odrodzenie się jakiegokolwiek Bóstwa. Prawdopodobnie sześć sześciocalowych dział na statek, myśli szybko. Trzydzieści sześć w sumie. Będą mogły zniszczyć naszą infrastrukturę i w ciągu jednego dnia uszkodzić marynarkę Sajpuru na miesiące, nawet lata. Będziemy walczyć z obiema rękami związanymi za plecami.

- To dobre - mówi Vołka. - To prawidłowe. Świat jest naszym stosem. I z każdym spalaniem, kształtujemy się. Poznasz ból. Oboje poznacie ból. Nie ma wyjścia. Z ubiczowanym ciałem, ogołoceni z grzechu, niektóre części z was, jakieś strzępki kości, mogą zostać zachowane i uznane w jego oczach za godne. - Bierze wdech. - A zobaczy was oboje. Jakże zadowolony ze mnie będzie. Jako że dostarczę mu nie tylko jednego z najpotworniejszych zdrajców starych obyczajów, ale również dziecko człowieka, który zabił bogów.

Vołka odchodzi na bok. Dwóch przysadzistych mężczyzn w kolkasztańskich szatach dołącza do niego w drzwiach. Słychać bardzo nikły odgłos pęknięcia, gdy aktywuje Kokon Motyla. Dwaj mężczyźni podchodzą do Shary i Vohannesa, rap-towanie rzucają ich na ziemię i

mocno związują im ręce. Shara wciąż jest zbyt zamroczona, by się opierać, a Vohannes jest dość poważnie ranny.

- Och, Vołka? - pyta Shara, gdy mężczyźni ją podnoszą. -W związku z twoimi poprzednimi komentarzami na mój temat... Zdajesz sobie sprawę, że pierwotni Kontynentanie byli prawie tak brązowi jak Sajpurzy? Dzisiejsi są jaśniejsi głównie dlatego, że klimat się zmienił i nie otrzymujecie już tak wiele słońca. Więc chociaż sam możesz podziwiać ową jasność, myślę, że można powiedzieć, że nie jest to boska cecha. Ale wiesz o tym, skoro przeczytałeś inne teksty Bóstw poza Kolkanem. On wołał w ogóle nie pisać o ciele, nie wspominając już nawet o kolorze skóry.

Vołka usiłuje przybrać królewską pozę.

— Cebulaki kłamią — szepcze i odchodzi.

Kapitan Miwsk Aszkowski z dobrego statku Mornwiewy spogląda poprzez zielone soczewki gogli na dziki zamęt świtu. Chmury przylegają do horyzontu niczym nagłówki gazet. W dole — może nawet kilka kilometrów niżej, Miwsk nie jest pewien — przesuwają się szary, ciemny, wiejski krajobraz Kontynentu.

Miwsk przeszukuje kieszeń swetra, wyciąga kieszonkowy zegarek i dokonuje obliczeń.

— Dwie godziny! — ryczy, przekrzykując szalejące wiatry. -Dwie godziny do wybrzeża!

Załoga wiwatuje. Wszyscy opatuleni są w ciepłą odzież, wszyscy mają na sobie gogle i maski i wszyscy przywiązani są do pokładu Mornwiewy za pomocą mocnych lin Dżakobi prawie stał się ofiarą przenikliwego wiatru z nawietrznej burty, gdy zniosło go z pokładu. Został jednak wciągnięty przez kamratów. Kłął i pluł, a twarz miał purpurową.

Dwie godziny, myśli Miwsk. Dwie godziny do momentu, aż odkryje, ile naprawdę jest wart dobry statek Mornwiewa -razem ze swoimi dwudziestoma trzema marynarzami, sześcioma działami i trzema setkami sześciocalowych pocisków - poza bardzo szybkim lotem w linii prostej bardzo wysoko nad ziemią. Nie był nawet pewien, czy w ogóle wzniesie się nad ziemię, jako że eksperymenty z Dywanem Kolkana nie zawsze się udają: podczas pierwszej próby użyto tylko jednej nici, a gdy kapłan Vołki dokonał rytuałów aktywacyjnych, nie wzniosła się tak szybko, że nieprzygotowany na to kapłan stracił większość twarzy.

- Cuda - zauważył Vołka, podczas gdy mężczyzna wrzeszczał - wymagają wiele ostrożności.

Opracowanie konstrukcji, która ustabilizowała nici -w przypadku Mornwiewy pięć, z których każda podnosi osiemset ton - a później zdobycie wymaganej ilości stali zajęło wiele miesięcy. I przez cały ten czas Miwsk — chociaż uważał się za człowieka wierzącego — nie spodziewał się, że to zadziała.

A jednak znajdują się teraz wyżej niż najwyższy budynek w Ahanasztanie i pędzą poprzez atmosferę, ciągnięci przez przypominające miecze żagle i ogromne skrzydła.

Nie zapominaj, nakazuje sobie, że masz zadanie i obowiązek. Nie lecimy ani dla twojej chwały, Miwsku Aszkowski, ani dla załogi - ale dla glorii Ojca Kolkana. I w głębi serca Miwsk nie może się doczekać, by zobaczyć, co Kolkan pomyśli o spustoszeniu, jakie działa będą siać na paskudnych Sajpurach, którzy choć raz zostaną wreszcie stłamszeni. Obraz obracających się w płonące gruzy wielkich, potwornych stoczni Ghaladeshu... Oto co sprawia, że jego serce śpiewa.

Miwsk po raz chyba siódmy schodzi pod pokład, by dokonać przeglądu dział. Żaden Kontynentanin nie dysponował jeszcze tak potężną siłą ognia, więc oglądanie ogromnych, masywnych dział i ich wielkich

pocisków, dłuższych i grubszych od ramienia Miwska, daje mu poczucie siły, jakiej nigdy jeszcze nie czuł. Wszystko jest zmechanizowane; by wystrzelić z działa, trzeba jedynie pociągnąć dźwignię.

Miwsk sprawdza trzy działa na bakburcie: świętego Kiwreja, świętego Oszkę, świętego Vasilija - wszystkie są w dobrym stanie. Następnie sprawdza trzy ze sterburty: świętego Szowskę, świętego Guowrosa i świętego...

Miwsk zatrzymuje się przed świętym Toszkiejem. Nad działem pochyla się wysoki mężczyzna, ubrany w podartą kolkaszańską szatę. Wpatruje się przez otwór strzelniczy w miejsce, gdzie znajdują się dobre statki Usina i Ukma, sterburtowa część ich małej, rwącej chmury armady.

Kapitan Miwsk spogląda na niego, zbity z tropu.

- Kim... Kim...?
- Nigdy nie żeglowałem na statku powietrznym - przyznaje mężczyzna. — Żeglowałem na wielu statkach, ale nigdy na powietrznym.

Miwsk chce zapytać go, dlaczego nie ma na sobie gogli, munduru, ani nie jest przypięty liną bezpieczeństwa, ale wszystkie te pytania wydają się absurdalne, ponieważ Miwsk zdaje sobie sprawę, że nikt z jego załogi nie jest aż tak wielki... prawda?

Mężczyzna spogląda na Miwska; jedno, widoczne spod kolkaszańskiej szaty oko jest ciemne.

- Czy steruje się nim - pyta nieznajomy — jak zwykłym statkiem?
- Cóż... - Miwsk spogląda za niego, zastanawiając się, jak poradzić sobie z tą dziwną sytuacją. — Dlaczego nie jesteś na pokładzie, marynarzu? Dlaczego nie jesteś przywiązany do masztu? Możesz

wypaść i...

- A działa? Czy potrafią również funkcjonować w walce powietrznej?

- Ja... Dlaczego?

- Tak mi się wydaje. Tak. Tak. Tak myślałem. - Mężczyzna przechyla głowę i myśli na głos: - Sześć dział na pokładzie i pięć innych statków... Jeden strzał na statek... Nie powinno być żadnego problemu. — Kiwa głową. — Dziękuję. Dobrze wiedzieć.

Następnie obraz się zamazuje i kapitan Miwsk nagle czuje, jakby połknął wielki kawał lodu.

Spogląda w dół i dostrzega rękojeść bardzo dużego noża, który wystaje mu pomiędzy żeber. Statek zaczyna obracać się razem z nim.

- Kapitan powinien umrzeć - mówi głos mężczyzny — zanim będzie musiał oglądać śmierć załogi. Odejść po cichu i z wdzięcznością.

Ostatnią rzeczą, jaką Miwsk widzi, jest olbrzymi mężczyzna stojący za świętym Toszkiejem, kantem dłoni ustawiający działo w jednej linii z odległym dobrym statkiem Usiną.

W opinii Shary oboje są prowadzeni znajomą ścieżką: w dół małych, pustych korytarzy, z powrotem do pomieszczenia, w którym znajdował się muowost - na podłodze wciąż widać krąg soli - i z powrotem do tunelu prowadzącego do Siedziska Świata, które, jak zauważa Shara, jest teraz całkowicie odnowione.

- Zawaliliście ten tunel, ale łatwo było go naprawić - mówi Wołka. - Wątpię, żebyś zgadła, jakiego cudu użyłem.

Shara nie zauważyła, by stworzony tunel był cudownej natury, ale teraz, gdy dopuszcza taką możliwość, rozwiązanie jest oczywiste.

- Światło Świecy Owskiego - mówi.

Twarz Vołki tężeje. Mężczyzna macha ręką i prowadzi ich w dół tunelu, trzymając swój niewidzialny płomień. Vohannes chichocze.

Nie uwolnił jeszcze Kolkana, myśli Shara. Może Mulaghesh... Może ona... Shara zdaje sobie sprawę, że Mulaghesh właśnie przeprowadza najazd na posiadłość Votrowów. Albo fortyfikuje ambasadę. Ani jedno ani drugie nie ocali żadnego z nich. Sigrud z kolei jest wiele kilometrów dalej, na obrzeżach Dżukosztanu. Zostali sami.

Tunel ciągnie się dalej. Shara wyobraża sobie, że Kolkan czeka na nich na dole - postać z gliny, o szarych i pustych oczach, która siedzi z tyłu jaskini.

- Przykro mi, Vo - szepcze w ciemności.

- Niepotrzebnie - odpowiada Vohannes. - Wstyd mi, że musiałś spotkać tego małego skur...

- Cisza - ostrzega ich jeden z porywaczy i szturcha Vohannesa w nerkę. Ten, pojękując, z trudem idzie dalej.

Wchodzą do Siedziska Świata. Zszokowany Vohannes ciężko nabiera powietrza.

- Ojej - Shara chciałaby się czuć tak zachwycona, jak w chwili, gdy po raz pierwszy zobaczyła to miejsce, ale teraz świątynia wydaje się jej mroczna i spaczona, pełna ciemnych kątów i szeptów.

Ponad dwudziestu Odnowicieli - wszyscy ubrani w kolkasztańskie szaty - stoi w przedsionku Kolkana, przed pustym oknem. Obok Shara dostrzega drabinę.

To dzieje się naprawdę.

Vołka podchodzi do schodów prowadzących do niedziałającej

dzwonnicy Siedziska. Podnosi rękę, która błyszczy pomarańczowym światłem.

- Najpierw przywróćmy świątyni należną jej chwałę -mówi. Wskazuje na Sharę i Vohannesa. Mruczy coś. Słysząc pisk, jakby ktoś potarł palcami szybę. Shara wciąż ma związane ręce, ale wysuwa na próbę palec u nogi i trafia na niewidzialny mur. Ponownie Kokon Motyla.

- Nie oddychajcie zbyt głęboko - mówi Vołka z uśmiechem. — Ten jest dużo mniejszy. — Szczercząc się niczym nadęty reprezentant szkoły, wchodzi po schodach na dzwonnice. Shara traci go z pola widzenia.

- Musiał znaleźć sposób na odnowienie dzwonnicy - mówi.

- Cisza - nakazuje im jeden z Odnowicieli.

- Kilka dni temu była wypełniona ziemią.

- Cisza!

- Bo co zrobisz, wypchniesz mnie za barierkę? - pyta Vohannes.

Odnowiciel wykonuje pełen groźby gest i zostawia ich, jakby miał lepsze rzeczy do roboty.

- Powinam była to przewidzieć - stwierdza Shara. - Powinam była to wszystko przewidzieć.

- Shara, przymknij się — szepce Vohannes. - Słuchaj... Masz jakiegoś asa w rękawie, prawda? Zawsze masz.

- Cóż... Nie. Nie tym razem.

- Ale wkrótce przybędą po nas żołnierze, prawda? Zauważą, że cię nie ma... Prawda?

- Może, ale z pewnością nie będą szukać tutaj.
- W porządku, ale... Shara, proszę. Proszę, pomyśl! - syczy. - Musisz coś wymyślić! Musisz, ponieważ ja z pewnością tego nie zrobię. Nie mam kurwa pojęcia, co tu się dzieje! Więc proszę... Cokolwiek?

Shara usilnie się zastanawia, ale nie ma pojęcia, jak wpłynąć na Kokon Motyla - na cud, z którego istnienia aż do tej pory nie zdawała sobie sprawy. Nawet jeśli by się wydostali, to co mogli zrobić? Ranny, kulejący mężczyzna i otumaniona, czterdziestokilogramowa kobieta przeciwko dwudziestu pięciu Odnowicielom? Mogłabym wydostać nas za pomocą Światła Świecy Owskiego... Jeśli znałabym ten cud. Ale nie znam. Wiem, że istnieje, ale to nie to samo. Jeśli tylko byłby jakiś inny sposób, by się ukryć, może tunel w ziemi, albo...

...albo zniknąć.

- Szafka Parnesiego — mówi cicho.
- Co? - szepcze Vohannes.
- Szafka Parnesiego. Twój brat użył jej, żeby mnie porwać. Umieszcza się ludzi w niewidzialnej kieszeni powietrznej, której nie może zobaczyć żaden śmiertelnik ani Bóstwo. Ponieważ stworzył ją Dżukow, przypomina sobie, żeby jeden z jego kapłanów mógł zakraść się do żeńskiego klasztoru Kolkana. Tutaj zadziałałoby to doskonale.
- Więc jeśli sam Kolkan by się tu pojawił...
- Bylibyśmy ukryci. I bezpieczni.
- Świetnie! Cóż... Czemu w takim razie tego nie użyjesz?
- Ponieważ mam związane ręce - szepce Shara. - Muszę wypowiedzieć wers z Dżukosztawy oraz wykonać konkretny gest.
- Szlag - mówi Vohannes. Spogląda na Odnowicieli. -Chociaż. Czeka,

zobaczmy, czy możemy się odwrócić...

Powoli odwracają się do siebie plecami. Vohannes związanymi rękami, zaczyna niezręcznie szamotać się z jej więzami.

- Powodzenia - mruczy Shara. - Ale chyba wiedzieli co robią, gdy je zawiązywali.

Jeden z Odnowicieli wybucha śmiechem.

- Cóż za doskonały podstęp! Rozwiąż sobie ręce, jeśli chcesz, mały zboczeńcu. Jedynym, który może cię wydostać z Dzwonu, jest sam Ojciec Kolkan.

- A gdy to uczyni - mówi inny - będziesz żałować, że sam się nie udusiłeś.

- Czy po raz pierwszy dotykasz kobiety, Votrow? - pyta inny. - Tak mi się wydaje.

Vohannes ignoruje ich.

- Naprawdę myślisz, że mój brat może sprowadzić z powrotem Kolkana? - szepcze.

Shara spogląda na przezroczystą szybę w przedsionku Kolkana.

- Cóż. Na ten moment uważam, że znajduje się tam jakieś Bóstwo.

- Ale... nie Kolkan?

- Właściwie, to rozmawiałam ostatnio z Bóstwem. Tak mi się wydaje — mówi Shara. — W tę noc, gdy zaatakowano twój dom.

Ujrzałam wiele scen z różnych boskich tekstów... Ale żadna z nich nie była spójna. Co więcej, zobaczyłam, że wiele z cudów Dżukowa wciąż działa — na przykład Szafka Parnesiego — więc nie jestem do końca pewna, czy Dżukow naprawdę odszedł.

Vohannes chrząka, gdy szarpie za węzeł, który nie chce ustąpić.

- Więc chcesz powiedzieć... że nie wiesz.
- Tak.
- Świetnie.

Dalej tarmosi jej linę. Z jakimś chorobliwym rozbawieniem Shara zdaje sobie sprawę, że jest to najbardziej intymny kontakt, do jakiego doszło między nimi od nocy po Urawie.

- Cieszę się, że jestem tu z tobą - mówi Vohannes. — Na końcu tego wszystkiego.
- Gdy się uwolnimy, zostań blisko — mówi Shara. — Szafka Parnesiego nie jest zbyt duża.
- W porządku, ale chcę, żebyś wiedziała... Cieszę się, Shara. Rozumiesz?

Shara milczy.

- Nie powinieneś - mówi wreszcie.
- Dlaczego?
- Bo gdy ujawniono moją tożsamość... Myślałam, że ty to zrobiłeś.

Vohannes zaprzestaje prób jej rozwiązania.

- Ja?
- Tak. Ty... Vo, nagle dostałeś wszystko, czego chciałeś. Wszystko. I jako prawie jedyny wiedziałeś, kim jestem. Myśleliśmy, że widzieliśmy cię w zakładzie tkackim, ale to naprawdę nie byłeś ty. To musiał być...

- Vołka. - Shara nie widzi go, ale Vohannes ciągle się nie Porusza. - Ale... Shara, ja... Nigdy bym ci tego nie zrobił. Nigdy. Nie mógłbym.

- Wiem. Teraz to wiem, Vo. Ale myślałam, że jesteś chory! Myślałam, że coś jest z tobą nie tak. Wydawałeś się taki nieszczęśliwy, tak pełen żalości...

Shara czuje, że Vohannes się rozgląda.

- Może się nie pomyliłaś - mówi łagodnie. - Być może coś jest ze mną nie tak. Ale może nigdy nie mogło być ze mną w porządku.

- Co masz na myśli?

- No... No spójrz na tych ludzi, tych, wśród których dorastałem. — Odnowiciele zebrali się w przedsionku Kolkana i klękają właśnie na podłodze, by zacząć modlitwę. - Spójrz na nich! Modlą się o ból, o karę! Uważają nienawiść za coś świętego, myślą, że wszystko w byciu człowiekiem jest niewłaściwe. Więc oczywiście, że dorastałem w błędzie! Żadnej istot-cie ludzkiej nie mogłoby wyjść na dobre dorastanie w takim miejscu!

Gdzieś z daleka słychać bicie dzwonu.

- Co to było? — pyta Vo.

- Musimy się pośpieszyć - mówi Shara. Zaczyna również bić inny dzwon, nieco delikatniej.

- Dlaczego?

Kolejny dzwon. I kolejny. I jeszcze jeden. Każdy brzmi inaczej, jakby niektóre były bardzo duże, a inne bardzo małe, na dodatek każdy rezonuje w sposób, jakby mógł być odbierany przez różne części umysłu, dostarczając obcych wrażeń: gdy bije jeden z dzwonów, Shara wyobraża sobie gorące, ciemne bagna, płataninę winorośli i zakwitające orchidee; gdy bije inny, czuje paloną smołę, trociny i

moździerz; gdy bije następny, słyszy huk metalu, wrzask wron, jęki działań wojennych; z następnym czuje wino, surowe mięso, cukier, krew i coś, co wydaje się jej sperma; z kolejnym słyszy druzgoczący odgłos szlifowanych kamieni, ocieranych o siebie, czuje ogromny, zrzucony na nią ciężar; i gdy do bicia dołącza ostatni dzwon, Shara czuje zimny dreszcz w ramionach i migoczący ogień w stopach i sercu.

Po jednym dzwonie dla każdego z Bóstw, myśli Shara. Nie wiem, jak to uczynił, ani nawet co dokładnie robi, ale Volka znalazł jakiś sposób, by zadzwonić wszystkimi dzwonami w Siedzisku Świata.

- Shara, co się dzieje? - pyta Vohannes.
- Spójrz na okno - mówi Shara - a zobaczysz.

Z każdym pulsem niewielkie światło pojawia się w oknie. Żółte światło słoneczne, jakby słońce było tak jasne, że penetrowałoby wszystkie warstwy ziemi, by zaświecić w tym ciemnym, ponurym miejscu.

Słońce nie świeci przez ziemię, myśli Shara. To my się wznosimy.

- Porusza nim - oznajmia. - Podnosi je. Podnosi Siedzisko Świata.

Żołnierze Mulaghesh bez entuzjazmu fortyfikują dziedziniec ambasady, gdy światło nagle zaczyna się zmieniać.

Mulaghesh osobiście nadzoruje pracę z bram ambasady: jej mury są wysokie i białe. Mają na górze żelazne ogrodzenie i chociaż są dość ładne, daleko im do funkcji obronnych. Ambasada jest bardzo odsłonięta, znajduje się na skrzyżowaniu dwóch głównych dróg. Jedna z nich biegnie wzdłuż murów, druga ciągnie się przez cały Bułyków i prosto pod bramy ambasady. Mulaghesh może wyrzeć przez kraty bramy i ujrzeć śródmieście Bułykowa. Jeśli Shara nie myliła się co do tych sześciocalowych dział, myśli, mogą nas zetrzeć w pył z miliona

różnych pozycji.

Pomimo ich odkrytego położenia, Mulaghesh nie goni za bardzo swoich żołnierzy, głównie dlatego, że wierzy, iż Shara bardzo, bardzo się myli. Ale gdy zaczyna słyszeć w oddali dzwony, a cienie żelaznych ogrodzeń zaczynają tańczyć na kamieniach dziedzińca, szczęka opada jej na tyle, że z ust wypada trzymana w nich cygaretką.

Odwraca się. Samo słońce się porusza: choć jest dziwnie niewyraźne przez mury Bułkowa, jest jak kropla płynnego złota i przemyka w miejscu, gdzie się znajdowało, tuż nad horyzontem, wiruje i tańczy na lewo, obraca się poprzez niebo i rośnie nieco, aż pojawia się na drugim horyzoncie, właśnie zaczynając zachodzić.

Mulaghesh zastanawia się: czy właśnie zobaczyła, że cały dzień minął w jednej chwili?

Kakofonia dzwonów atakuje jej zmysły, jakby każdy dzwon roznosił niewidzialne struktury i jednocześnie je odbudowywał.

Żółtopomarańczowe światło pulsuje nad dachami Bułkowa. Jeden promień słoneczny opada niczym strzał poprzez zasłone chmur - chociaż Mulaghesh nie dostrzega żadnych chmur - i odbija się od dzwonnicy w centrum miasta, które świeci bardzo jasno.

Mulaghesh razem z żołnierzami zmuszona jest odwrócić wzrok; gdy spoglądają ponownie, dostrzegają światło słoneczne — zachodzące światło słoneczne — które rozbłyskuje na wielkim, kunsztownym dachu. Mulaghesh musi osłonić oczy, by nie zostać oślepią.

Kolosalna, zdobiona, mlecznobiała katedra nagle znajduje się w centrum Bułkowa. Jej dzwonnica jest wysoka na prawie kilometr.

- Co to jest? - pyta jeden z poruczników Mulaghesh. -Skąd to się wzięło?

Mulaghesh wzdycha. Ależ nie cierpię, myśli, gdy panikarze okazują się

mieć rację.

- Dobra! - krzyczy. - Zechciejcie przestać gapić się na panoramę i bierzcie dupy do roboty! Zaczynjcie montować fortyfikacje i artylerię za murami ambasady, i to szybko!

- Artylerię? — pyta jeden z kaprali. Jest to nieco ponad dwudziestoletnia dziewczyna. Wyciera ze zdenerwowania czoło. -Pani gubernator, jest pani pewna?

- Jestem całkowicie pewna. Więc ruszcie się, a jeśli potrzebny wam kopniak w dupę, to z przyjemnością dostarczę wam go w te wasze drobne tyłki! Na co się tak wszyscy gapicie! Ruszać się, kurwa!

Zagubiłem się pośród mórz losu i czasu

Ale przynajmniej znalazłem miłość.

- WIADOMOŚĆ NAGRYZMOŁOMA NA ŚCIANIE POKOJU
WSPÓLNEGO W FADHURI

TO, CO ZBIERAMY



Zadowolony Vołka schodzi po schodach w Siedzisku Świata.

- Dokonałem dobrych czynów - mówi na głos. - I myślę, że Ojciec Kolkana będzie zadowolony.

Vohannes nie może nie drwić z niego z obrzydzeniem.

- A teraz - Vołka pokonuje ostatni schodek - sprowadzę go do domu.
- Spogląda w bok, gdzie uwięzieni są Vohannes i Shara. - Może obejmiemy się po tym jak bracia. Być może cię oczyści. Być może okaże ci łaskę.

— Vołka, jeśli stworzył cię na swoje podobieństwo — mówi Vohannes - wtedy kurewsko w to wątpię.

Vołka pociąga nosem i przechodzi do przedsionka Kolkana. Odnowiciele ustawili się przed przezroczystym oknem - klęcząca kongregacja oczekująca proroka. Vołka spokojnie przechadza się pomiędzy nimi. Sharze kojarzy się z debiutantem na balu. Wreszcie zatrzymuje się przed jednym z nich.

Więzy Shary puszczają coraz bardziej.

- Próbuj dalej - mówi z desperacją. - Proszę, Vo.

Vohannes odchrząkuje i ciągnie mocniej.

— Młot — mówi delikatnie Vołka.

Mężczyzna wyciąga długi, srebrny młot. Vołka zabiera go ostrożnie, podchodzi do drabiny i powoli wspina się do okna.

Shara prawie już przełożyła kciuk przez pętlę liny, ale zacisnęło to mocniej inny sznur wokół jej nadgarstka.

Vołka przykłada srebrny młot do ust i szepce do niego, coś intonując.

Nie chcę go zobaczyć, myśli Shara. Nie mogę. Kogokolwiek innego, kogokolwiek, byle nie Kolkana...

Okręca sznury. Coś gorącego kapie jej na dłoń. Czuje, jak jeden sznur przeciąga się wokół knykcia małego palca, a następnie kciuka.

Srebrny młot drży, jego brzegi zamazują się, jakby sam metal się trząsał, wypełniony energią, którą ledwie jest w stanie w sobie utrzymać.

Vohannes chwytą sznury; Shara rzuca się do przodu, licząc na to, że pękna, ale trzymają mocno.

Vołka wysoko trzyma młot. Żółtopomarańczowe światło słoneczne płonie na obuchu młota.

Kapiące na dłoń Shary ciepło płynie teraz nieprzerwaną i mokrą strużką.

Niech ktoś coś zrobi, myśli Shara.

Vołka krzyczy i zamachuje się młotem.

Z metalicznym brzękiem szkło roztrzaskuje się na kawałki.

Złote światło wlewa się do środka, oświetlając biały kamień na

posadzce świątyni, aż ten błyszczy jasno. Jest to słońce, gwiazda, błysk światła, które jest czyste, straszne, zimne.

Vohannes i Shara krzyczą, oślepieni. Wybuch światła jest tak szokujący, że odwracają się i przewracają. Coś miażdży niewygodnie nadgarstek Shary: być może go zwichnęła.

Następnie cisza. Shara czeka chwilę i wreszcie spogląda w górę.

Mężczyźni w kolkasztańskich szatach wpatrują się w coś przed nimi.

Przed wybitą szybą stoi postać. Na jej ramiona pada słoneczne światło.

Przypomina ona człowieka, jednak jest bardzo wysoka: na prawie trzy metry. Jest on — jeśli to naprawdę on - okryty od stóp do głów grubymi, szarymi szatami, zakrywającymi mu twarz, ręce, stopy; jednak głowa obraca się wolno z jednej strony na drugą ze zdębiałym wyrazem twarzy, obejmując wzrokiem otoczenie i klęczących przed nim mężczyzn, jakby obudził się z bardzo dziwnego snu.

— Nie — szepce Shara.

— On żyje - mówi Vołka. - Żyje!

Przyodziana postać obraca się i spogląda prosto na niego.

— Ojcie Kolkanie! — krzyczy Vołka. — Ojcie Kolkanie, sprowadziliśmy cię z powrotem! Jesteśmy ocaleni! Ocaleni!

Vołka pędzi w dół po drabinie i dołącza do mężczyzn przed Kolkanem, który wciąż prawie się nie poruszył. Vołka opada na kolana i twarz, ręce rozpostarte ma przy stopach Bóstwa.

— Ojcie Kolkanie - mówi Vołka - czy wszystko w porządku?

Kolkan milczy. Można by go pomylić ze statua, jeśli wiatr nie

szeleściłby tak jego szatami.

— Byłeś daleko przez wiele, wiele lat - przemawia Vołka. -Chciałbym ci powiedzieć, że świat jest prawy i dobry teraz, gdy się przebudziłeś, ale podczas twej nieobecności, wszystko spaliło na panewce: nasze kolonie zbuntowały się przeciw nam, pomordowały naszych braci i siostry i zniewoliły nas wszystkich!

Wszyscy mężczyźni wokół niego kiwają głowami i zerkają na Kolkana, oczekując, że zareaguje szokiem, ale Kolkan nie rusza się ani nie odzywa pod swymi szarymi szatami.

— Vo - szepcze Shara.

- Tak?

— Zrób to, co ci powiem. — Wciąż ze związanymi rękami, obraca się na twarz, klęka i kłania się, aż dotyka czołem podłogi.

- Co ty...?

- Skrucha - mówi cicho Shara. - Kolkan zawsze pozna skruchę.

- Co?

- Padnij na twarz przed nim! I nie rób niczego innego! Wszystko inne zostanie uznane za przewinienie!

Vohannes obraca się z wahaniem i również pokłania.

A jeśli Kolkan nie będzie zbytnio zwracał uwagi, myśli Shara, może będę w stanie skończyć to, co Vo zaczął robić z moim węzłem.

- Vurtję zabito w koloniach — mówi Vołka. — A gdy nas najechały, zabito także Taalhawras i Ahanas. A Dżukow, tchórzliwy Dżukow, poddał im się i został stracony! Najeźdźcy rządzą nami, jakbyśmy byli psami i zakazali miłości do ciebie, Ojcie Kolkanie. Nie pozwala się

nam czcić cię tak, jak byśmy tego chcieli, by utrzymać cię w naszych sercach. Ale oczekiwaliśmy cię, Ojczy Kolkanie! Moi towarzysze i ja nie traciliśmy wiary, by sprowadzić cię z powrotem! Nawet odbudowaliśmy dla ciebie twój przedsionek w Siedzisku Świata! Trudziłem się, by sprowadzić do tego kamienia z samej Kowaszty, tak byś po swym powrocie został powitany z należnymi honorami i czcią! Pojmaliśmy również największego heretyckiego zdrajcę twych obyczajów oraz dziecko człowieka, który obalił nasze Święte Ziemie! - Wołka wskazuje na Sharę i Vohannesa i zerka na nich ponownie, gdy dostrzeżę, że oboje pochylają się w skrusze. -Mądre tchórze, wystawiają się na twoją łaskę. Ale czynimy tak wszyscy! Wszyscy wystawiamy się na twoją łaskę, Ojczy Kolkanie! Jesteśmy twymi oddanymi sługami! Stworzyliśmy powietrzną armię, by prowadzić w twoim imieniu wojnę, ale obawiamy się, że to nie wystarczy! Błagamy cię i prosimy, pomóż nam odrzucić kajdany, powstań i sprowadź z powrotem na świat prawość i chwałę!

W Siedzisku Świata jest cicho. Shara przechyla lekko głowę i zaczyna po cichu wyciągać rękę ze sznurów.

Kolkan obraca głowę tam i z powrotem, gdy przygląda się swej małej, odzianej w czerń trzódce.

Przenosi ciężar ciała z jednej nogi na drugą i przygląda się także reszcie Siedziska Świata.

Gdzieś w świątyni rozlega się wtedy głos; nie słyszą go uszy Shary, ale rozbrzmiewa gdzieś w jej umyśle - przytłumiony głos, który mógłby być dźwiękiem miażdżonych o siebie skał, choć jest to tylko jedno słowo:

- GDZIE?

Wołka waha się i podnosi głowę.

- C-co gdzie, mój Ojczy Kolkanie?

Kolkan wciąż rozgląda się po Siedzisku Świata. Głos rozbrzmiewa ponownie:

- GDZIE JEST PŁOMIEŃ I WRÓBEL?

Vołka mruga i spogląda na swych poruczników, którzy są równie osłupiali, jak on sam.

- Ja... nie jestem pewien, co masz na myśli, Ojczy.

- GDY SIĘ MNIE SPOTYKA - mówi głos - WITA SIĘ MNIE PŁOMIENIEM I WRÓBLEM.

Długa cisza.

- DLACZEGO ICH NIE MACIE?

- Ja... nigdy nie słyszałem o tym rytuale, Ojczy - mówi Vołka. Podnosi się na kolana, podobnie jak reszta jego wyznawców. — Czytałem o tobie tak wiele... ale nie było cię na tym świecie przez setki lat. Musi to być rytuał, który przegapiłem.

- CZY OBRAŻASZ MNIE? - pyta głos.

- Nie! Nie, nie! Nie, Ojczy Kolkanie, nigdy byśmy czegoś takiego nie zrobili! — Pozostali wyznawcy żarliwie kręcą głowami.

- DLACZEGO WIĘC ICH ZE SOBĄ NIE MACIE?

- Ja po prostu... Nie wiedziałem, Ojczy Kolkanie. Nawet nie wiem co...

- IGNORANCJA - oznajmia głos - NIE JEST WYMÓWKĄ.

Kolkan podchodzi do przodu i spogląda na swoją trzódkę. Przechyla głowę tam i z powrotem, jakby widział w nich wiele rzeczy.

- JESTEŚCIE NIEGODNI.

Vołka z szoku nie może mówić.

- KĄPALIŚCIE OWOCE W WODACH OCEANU -mówi głos. -
MIESZALIŚCIE LEN I BAWELNĘ Z WASZYMI UBRANIAMI.
STWORZYLIŚCIE SZKŁO O WIELU WADACH.
POSMAKOWALIŚCIE CIAŁ PTAKÓW ŚPIEWAJĄCYCH. WIDZĘ TE
WASZE WADY. NIE OKAZUJECIE Z ICH POWODU SKRUCHY. I
TERAZ, GDY SIĘ OBJAWIAM, NIE WITACIE MNIE PŁOMIENIEM I
WRÓBLEM.

Vołka wraz z pozostałymi wyznawcami spoglądają na siebie i
zastanawiają się, co zrobić.

- O-Ojcie Kolkanie, proszę - mamrocze Vołka. - Proszę... wybacz
nam. Stosowaliśmy się do wszystkich edyktów, jakie mogliśmy
znaleźć, jakie znaliśmy. Ale uwolniliśmy cię, Ojcie! Proszę wybacz...

Kolkan wskazuje na niego. Vołka zastyga, jakby go zamroziło.

- PRZEBACZENIE - mówi Kolkan - JEST DLA GODNYCH.

Kolkan spogląda na swych wyznawców.

- JESTEŚCIE JAK PYŁ, KAMIEŃ I BŁOTO.

Z tego, co Shara widzi, nie następuje żadna zmiana, żaden błysk
światła; ale w jednej chwili są oni ludźmi, a w następnej statunami z
ciemnego kamienia.

Vołka stoi przed Kolkanem, wciąż zamrożony, ale żywy: Shara widzi,
jak obraca oczami.

— A TY - mówi Kolkan - MYŚLISZ, ŻE NIE JESTEŚ JAK PYŁ,
KAMIEŃ I BŁOTO. PRZYPOMNĘ CI, CZYM JESTEŚ.

Jakkolwiek Kolkan go przytrzymał, teraz przestaje i Vołka ze
stęknieniem upada na ziemię.

— Ja... ja - mówi. - Tak, Ojczy. Zapam... — Krztusi się, zatacza do przodu i krzyczy z bólu. - Ach! Ach, mój brzuch... -Shara dostrzega, jak ten pęcznieje, puchnie, jakby Wołka zaszedł w ciążę. Przerazona, obraca głowę do ziemi.

Krzyk Wołki narasta i narasta, aż przechodzi w bulgot. Shara słyszy, jak pada on na ziemię. Słysząc pęknięcie, gdy Kokon Motyla wokół nich znika i Wołka milknie, chociaż Shara słyszy, jak się szarpie.

— POZNASZ BÓL.

Słysząc odgłos, jakby rozdzierano grubą szatę. Nie mogąc się powstrzymać, Shara spogląda w górę. Czarne, okrągłe kamienie — całe setki — wylewają się z otwartego brzucha Wołki, połyskując w plusku krwi. Na oczach Shary stos coraz bardziej się powiększa.

Shara krztusi się. Kolkan podnosi wzrok i Shara spogląda z powrotem na ziemię.

— HMM.. - mówi Kolkan.

Shara milczy, razem z Vohannesem. Słyszy, jak ten oddycha, trzęsąc się obok ze strachu.

— DOBRZE ZNAM TEN WIDOK - mówi. - I LUBIĘ GO. MINEŁO TROCHĘ CZASU, ALE CIELIŚCI WCIAŻ POTRZEBUJĄ OSADU.

Shara czuje, jak sztywniej ją jej kończyny. Zastanawia się, czy Kolkan zmieni ich w kamień, ale ewidentnie nie: jest sparaliżowana, tak jak Wołka.

Słysząc trzask i Vohannes zaczyna przesuwać się w stronę Kolkana, jakby kamienna posadzka świątyni była przenośnikiem taśmowym. Shara kątem oka dostrzega, jak Vohannes patrzy na nią, przerażony, zszokowany. Nie zostawiaj mnie! - zdaje się mówić. Nie!

- UKAŻ MI SIĘ - mówi Kolkan. - I BROŃ SWOJEJ SPRAWY.

Shara nie widzi Vohannesa, ale słyszy jego głos.

- M-mojej sprawy?

- TAK. PRZYBRAŁEŚ POZĘ WSTYDU I SKRUCHY. BROŃ SWOJEJ SPRAWY, A ROZWAŻĘ MÓJ OSĄD.

Zupełnie jakby osądzał przed ogłoszeniem edyktów, myśli Shara. Ale Vo nie ma pojęcia, co robi.

Długa cisza.

- J-jestem... Nie jestem starym człowiekiem, Ojcie Kolkanie, ale poznałem życie. Ja... straciłem rodzinę. Straciłem przyjaciół. Na wiele sposobów, straciłem także dom. Ale... ale nie będę cię rozpraszał tymi opowieściami.

Vohannes prawie krzyczy słowo rozpraszał. Jeśli Shara by o tym pomyślała, pewnie przewróciłaby oczami. Niezbyt subtelna wiadomość, Vo...

- Wyrażam skruchę, Ojcie Kolkanie - mówi Vohannes. Jego głos staje się głośniejszy. - Wyrażam. Wyrażam smutek. Wstydzę się. Mianowicie, wstydzę się, że zostałem poproszony, bym się wstydził, że tego ode mnie oczekiwano. — Przełyka ślinę. - I do pewnego stopnia wstydzę się, że zrobiłem tak, jak chcieli. Zrobiłem tak i nienawidzę się za to. Nienawidziłem się, bo nie znałem innego sposobu na życie. - Jest mi smutno. Jest mi smutno, że urodziłem się w świecie, gdzie brzydzenie się sobą jest czymś naturalnym. Jest mi smutno, że moi pobratymcy uważają, że bycie człowiekiem jest czymś, co należy tłumić, czymś obrzydliwym i paskudnym. To... To kurewski wstyd. Naprawdę.

Jeśli Shara mogłaby się ruszyć, szczęka opadłaby jej w szoku.

- Wyrażam żal - mówi Vohannes. - Wyrażam żal za wszystkie relacje, jakie ten wstyd zniszczył. Wyrażam żal, że pozwoliłem mojemu

wstydowi i nieszczęściu roznieść się na innych. Pieprzyłem się i z mężczyznami, i z kobietami, Ojcie Kolkanie. Ssałem wiele fiutów i dawałem ssać mojemu wielu ludziom. Pieprzyłem ja i pieprzono mnie. I było to cudowne, naprawdę cudowne. Rewelacyjnie spędziłem czas i chętnie bym to powtórzył. Naprawdę. - Śmieje się. — Miałem dość szczęścia, by natrafić na naprawdę pięknych ludzi, naprawdę pięknych, kochanych, cudownych ludzi... I przepelnia mnie żal, że moja okropna nienawiść do samego siebie odpędziła ich ode mnie. Kochałem cię, Shara. Naprawdę. Byłem w tym okropny, ale kochałem cię na swój własny, dziwaczny, pokręcony sposób. Nadal cię kocham. Nie wiem, czy stworzyłeś świat, Ojcie Kolkanie. I nie wiem, czy stworzyłeś mój lud, czy sami się stworzyli. Ale jeśli to twoich słów uczono mnie za dziecka, jeśli to twoje słowa zachęcają do tego podłego samoobrzydzenia, tego nedorzecznego samobiczowania się, tego nieprawdopodobnie szkodliwego pomysłu, że być człowiekiem, kochać i ryzykować popełnienie błędów jest niewłaściwe, to... Cóż. W takim razie pierdoł się, Ojcie Kolkanie.

Długa, długa, długa cisza.

A po niej głos Kolkana, trzęsący się od gniewu:

- NIE JESTEŚ GODZIEN.

Siedzisko Świata wypełnia się krzykami.

Shara walczy z paraliżem, pragnąc wstać i pobiec do Vo, ale nie jest w stanie: cud, jakiego użył Kolkan, wciąż ją trzyma.

Chce krzyczeć razem z Vohannesem, nawet gdy jego krzyki się wzmagają - krzyki niewyobrażalnego bólu, nie do zniesienia, coraz głośniejszego - gdy Kolkan torturuje go na okrutne sposoby.

Wtedy cud puszcza i Shara jest wolna.

Siada prosto i patrzy: Kolkan stoi przed Vohannesem, jeden długi, zawinięty w gałgany palec przycisnął do jego czoła; Vohannes drży,

jego ciało trzęsie się, jakby Bóstwo wlewało w niego niekończącą się agonię i ból, a o niej kompletnie zapomniało.

Idź do niego! - myśli jakaś jej część.

Inna mówi: rzucił Kolkanowi przynętę, żeby cię uwolnić. Kolkan jest tak wściekły, że póki co przestał zwracać na ciebie uwagę - więc co zrobisz z tą szansą?

Shara z płaczem wyciąga ręce z luźnych lin, zamyka oczy, przypomina sobie wersy z Dżukosztawy i kreśli w powietrzu drzwi.

Słysząc dźwięk trzaskającego bicia. Shara podchodzi do Szafki i jej ciało znika.

Kolkan spogląda w górę. Vohannes pada na posadzkę, blady jak śnieg. Nie rusza się.

Shara zamyka oczy. Nie ma odwagi oddychać: Szafka Parnesiego nie ukrywa dźwięku.

Kolkan rusza do przodu, ogarnia wzrokiem Siedzisko Świata. Shara czuje obrzymi nacisk, jakby zanurzała się głębiej i głębiej w ocean. Szuka mnie, próbuje namierzyć...

- SZAFKA - mówi Kolkan. - PAMIĘTAM JĄ.

Sharę mdli ze strachu. Kolkan jest teraz mniej niż półtora metra od niej i Shara jest zafascynowana jego wielkością, brudem i smrodem rozkładu, dobywającymi się spomiędzy jego wielu nakryć.

- MÓGŁBYM ZAWALIĆ TĘ ŚWIĄTYNIĘ - mówi -I CIĘ ZMIAŹDZYĆ. JEŚLI WCIAŻ TU JESTEŚ.

Spogląda w górę, na sufit Siedziska Świata.

- ALE MAM LEPSZE RZECZY DO ROBOTY.

Po czym, nagle, Kolkan znika, jakby nigdy go tu nie było.

Shara wciąż nie oddycha. Wpatruje się w Siedzisko Świata, zastanawiając się, czy Bóstwo może czaić się w którymś ciemnym kącie.

Z niebios dochodzi ją głos:

- TO MIASTO STAŁO SIĘ NIEGODNE.
- Och, nie - mówi Shara. Spogląda na Vohannesa, pragnąc do niego podejść. Priorytety, upomina ją głos agenta. Żaloba na później.
- Przykro mi, Vo - szepcze. Wstaje i wybiega ze świątyni.

W całym Bułykowie, na targach rybnych i w alejkach, nad Sołdą i w herbaciarniach, mieszkańcy wpatrują się w ogromną, białą katedrę, jaka nagle pojawiła się w ich mieście i podskakują na dźwięk głosu Kolkana, niosącego się echem po ulicach.

- ZŁAMALIŚCIE NIEZLICZONE PRAWA - mówi głos. Dzieci zaprzestają zabaw i słuchają.
- SPÓŁKOWALIŚCIE ZE SOBĄ W RADOŚCI. Zamiatacz ulicy, wciąż z miotłą w ręce, powoli obraca się, by spojrzeć w niebo.
- BUDOWALIŚCIE POSADZKI Z BIAŁEGO KAMIENIA Starsi mężczyźni w Klubie Guosztok-Sołda wpatrują się w siebie i w butelki wina oraz whiskey.
- JEDLIŚCIE JASNE OWOCE - mówi głos. - I POZWOLILIŚCIE ICH NASIONOM GNIĆ W ŚMIECIACH.

W zakładzie fryzjerskim nad Sołdą, oniemiały fryzjer pozbawił większości wąsów starszego mężczyznę; ten, równie oniemiały,

jeszcze tego nie zauważył.

- I KROCZYLIŚCIE W DZIEŃ — mówi głos — Z ODSŁONIĘTYM CIAŁEM. ŻYJECIE Z CIAŁAMI INNYCH CIAŁ. PRZYPATRYWALIŚCIE SIĘ ICH SEKRETEM I POZNALIŚCIE JE I DLATEGO PŁACZĘ NAD WAMI.

W Domu Siedmiu Sióstr kapitan Nesrhew, wciąż zawinięty w wiele bandaży, odkłada fajkę na bok.

- Co się dzieje, do chuja? - woła do pielęgniarek.

- ZAPOMNIELIŚCIE TEGO, JACY POWINNIŚCIE BYĆ - mówi głos.

Przerwa.

- PRZYWRÓCĘ WAS.

Ochrowe światło słoneczne oblewa Bułyków. Mieszkańcy osłaniają oczy, odwracają wzrok od okien...

I gdy spoglądają z powrotem, dostrzegają, że widok się zmienił: zupełnie jakby wszystkie budynki w mieście zostały poprzestawiane, odsunięte, by zrobić miejsce na...

Starsza kobieta na rogu Świętego Guosztoka i Świętego Gjeli opada na kolana w podziwie.

- Bogowie... — mówi. — Bogowie.

... wspaniale, piękne, białe drapacze chmur, ozdobione i uwieńczone złotem. Wyglądają niczym wielkie, białe czaple, brodzące w niskich, szarych bagnach nowoczesnego Bułykowa.

- ZAPOMNIELIŚCIE WSZYSTKIEGO, CZEGO WAS NAUCZYŁEM - mówi głos. - WRÓCIŁEM, BY WAM PRZYPOMNIEĆ. ZOSTANIECIE POZBAWIENI GRZECHU. OCZYSZCZENI Z KUSZENIA.

Wiatr wieje wzdłuż ulicy świętego Vasilija. Jak we śnie, dziesiątki przechodniów nagle podchodzą do środka ulicy, stają razem ramię w ramię i kierują spojrzenia na północ. Są tam matki, ojcowie, synowie i córki; żadne z nich nie reaguje na płaczliwe krzyki przyjaciół i krewnych, którzy pytają, co jest nie tak.

Wzmaga się wiatr. Obywatele Bułykowa zmuszeni są wznieść ręce i obrócić głowy. Słyszą brzęki i szczęknięcie, jakby wiatr w jakiś sposób zdmuchnął tysiące metalowych płyt wzdłuż ulicy. Gdy ludzie obniżają ręce i spoglądają z powrotem, szokuje ich ten widok:

W miejscu przechodniów na ulicy stoi teraz pięciuset opancerzonych żołnierzy. Panczerze mają wielkie, mocne i błyszczące, chronią one każdy cal ich ciała: są tak mocne, że mogą nawet nie być żołnierzami, ale zaledwie ożywionymi zbrojami. Ich hełmy przedstawiają lśniące oblicza krzyczących demonów; miecze mają ogromne, są długie na prawie dwa metry i migoczą zimnym ogniem.

Jedynie Shara Komayd, która spogląda na żołnierzy, gdy biegnie do ambasady, skądś ich kojarzy: czyż nie prosiła Sigruda, by ściągnął ten obraz ze ściany ND Troonyi'ego ledwie kilka tygodni temu?

- POZNACIE BÓL I ODNAJDZIECIE POPRZEZ NIEGO SŁUSZNOŚĆ.

Żołnierze odwracają się do ludzi na chodniku i unoszą miecze.

Mulaghesh dostrzega, że Shara podbiega w stronę fortyfikacji, więc ryczy do niej:

- O czym do piekieł mówi ten głos?
- To Kolkan! - krzyczy Shara, dysząc.
- Ten bóg?

- Tak! Mówi o swoich edyktach!
- Posadzki z białego kamienia? Jedzenie jasnych owoców?

Żołnierze pomagają Sharze wgramolić się na fortyfikacje.

- Tak, to są jego edykty!
- A skąd do cholery wzięły się te białe budynki?
- To Stary Bułyków - mówi Shara. — Części Bułykowa takiego, jakim był. Musiał wyciągnąć je z powrotem i dorzucić budynki do już istniejącego Bułykowa!
- Nie... - Mulaghesh próbuje znaleźć słowa. - Nie mam kurewskiego pojęcia, o czym mówisz! Zapomnij o tym wszystkim — co teraz zrobi? Co my zrobimy?

Metaliczne krzyki niosą się echem po ulicach. Mulaghesh osłania oczy, by spojrzeć.

- Ludzie biegną w naszą stronę - mówi. - Co się dzieje?
- Czy widziałeś kiedyś obraz Noc Czerwonych Piasków? Rishny?
- Ta?
- Pamiętasz kontynentalną armię, naprzeciwko której staje Kaj na tym obrazie?
- Ta, ja... - Mulaghesh obniża rękę z oczu i obraca się, by w przerażeniu spojrzeć na Sharę.
- Tak - mówi Shara. - Wygląda na to, że Rishna dość wiernie ich przedstawił.
- Ilu...? Ilu?

- Setki — mówi Shara. — A Kolkana może stworzyć więcej, jeśli tylko zechce. Jest w końcu Bóstwem. Ale mogą mieć broń, o której nie wie.

Shara wbiega wraz z Mulaghesh na górę, do swego biura. Otwiera szufladę i wyciąga kawałek czarnego ołowiu, który przekuła w ostrze.

- To - mówi łagodnie.

- Co to ma być?

- Metal, którego Kaj użył, by zabić Bóstwa - mówi Shara. - Jest odporny na boskie wpływy. Tą właśnie kulą przebił czaszkę Dżukowa podczas egzekucji. Musimy jedynie wywabić Kolkana i wtedy ktoś będzie mógł użyć go, by w niego strzelić, jak podczas Wielkiej Wojny.

- W porządku... Zakładając, że wszystko to jest prawdą -mówi Mulaghesh — czy podczas Wielkiej Wojny Kaj nie miał setek czy tysięcy takich kul?

- No... Tak.

- A ty masz tylko tę jedną?

- Tak.

- Dobrze. Jak go wywabimy?

- Coż...

- I co, jeśli ktoś chybi?

- Cóż, wtedy... Chyba trzeba będzie po nią pójść. Mulaghesh gapi się na Sharę z jednakowym niedowierzaniem i wściekłością.

- Nie miałam czasu tego zaplanować! - mówi Shara.

- No co ty.

- Nie miałam pojęcia, że to się wydarzy już!
- Ale dzieje się. I muszę przyznać, pani Naczelną Dyplomatko, że nie wierzę zbytnio w ten plan!

Podłoga dudni. Żołnierze na zewnątrz zaczynają strzelać. Shara i Mulaghesh podbiegają do okna, akurat by zobaczyć, jak trzypiętrowy budynek dziesięć przecznic dalej zawala się, jakby został zburzony. Migoczące, stalowe kształty wyłaniają się z pyłu i ruin, trzymając prosto swe wielkie miecze.

- Są tak silni, żeby burzyć budynki? - pyta głośno i z niedowierzaniem Shara.
- A jaki masz plan - pyta Mulaghesh - na poradzenie sobie z nimi?

Shara poprawia okulary.

- Ile macie broni?
- Mamy typowe kusze plus pięć wielostrzałowych małych dział. - Pokazuje małe „O” palcem wskazującym i kciukiem.
- Kręci się nimi i wystrzeliwują serie mniej więcej takiej wielkości dwukrotnie na sekundę.

- Żadnego wielkiego kalibru?

Mulaghesh kręci głową.

- Nie. Regulacje zakazały przenośnej ciężkiej artylerii na Kontynencie.
- I myślisz, że te serie mogą przebić pancierz tych... ich?
- Cóż, to boski pancierz, prawda?
- Ale być może Kolkan - zastanawia się na głos Shara - nie zna

jeszcze prochu.

- Nie mam zamiaru tego sprawdzać. Moją sugestią byłby odwrót...
Chociaż te rzeczy zdają się poruszać bardzo szybko.

- A nawet, gdybyśmy się wycofali, wciąż pozostają latające statki -
mówi Shara.

Mulaghesh wpatruje się w nią z niedowierzaniem.

- Jakie latające statki?

- Nie ma czasu wyjaśniać. Mamy działający telegraf?

Mulaghesh kręci głową.

- Linia padła kilka minut temu. Właściwie, to padło wszystko, co
elektryczne.

- To musi być wpływ Kolkana. Ale nie sądzę, żebyśmy mogli się
wycofać ani żebyśmy mogli tu zostać. I nie możemy wysłać sygnału do
Ghaladeshu... - Shara pociera skronie. Zawsze zastanawiałam się, czy
umrę za swój kraj, myśli, ale nigdy nie spodziewałam się, że to może
tak wyglądać.

Spogląda z powrotem na otwartą szufladę, pragnąc - głupio - żeby
znalazł się tam drugi kawałek czarnego ołowiu.

Zamiast niego dostrzega małą, skórzaną torbę, w której, jak wie,
znajduje się około tuzina białych pigulek.

- Hm - mówi. Podnosi torbę i zagląda do niej.

- Jeśli coś przychodzi ci do głowy - mówi Mulaghesh - radzę myśleć
szybko.

Shara wyciąga jedną z pigulek i podnosi ją.

- Kamienie filozoficzne.
- Narkotyk, którego użyłaś na tym dzieciaku w więzieniu?
- Tak. Pomagają komunikować się z Bóstwami, ale też... Wzmacniają efekty wielu cudów.
- Więc?

To samobójstwo, myśli Shara.

- Więc? - pyta ponownie Mulaghesh.

Jeśli tego nie zrobię, również będzie to samobójstwo.

- Znam wiele cudów - mówi niechętnie.

- W porządku - krzyczy Mulaghesh. - Słuchajcie! - Inny budynek zawala się kilka przecznic dalej; sajpurscy żołnierze spoglądają na siebie z niepokojem, ale Mulaghesh kontynuuje: — Od maleńkości chcieliście być Kajem, prawda? Chcieliście walczyć w wojnach, osiągać zwycięstwa, poczuć chwałę? Więc przypomnę wam, chłopcy i dziewczęta, lekcję historii... -Coś eksploduje nad Sołdą; szeroka na sześć metrów kula ognista wznosi się w powietrze pomiędzy dwoma wysokimi, białymi drapaczami chmur. - Pamiętajcie, skąd wzięła się nazwa Nocy Czerwonych Piasków? Otóż wzięła się stąd, że gdy Kaj przyprowadził swoją mizerną armię, setki uwolnionych wojowników, na pustynię Hadesh, okazało się, że mają walczyć nie tylko z Bóstwem Vurtją, ale też pięcioma tysiącami opancerzonych wojowników Kontynentu. Wojownikami takimi jak ci. - Wskazuje na ulicę, gdzie srebrne kształty tną i siekają tłumy, wozy, samochody i budynki; zasadniczo wszystko. - Byli w mniejszości dziesięć do jednego, na płaskim terenie, bez jakiegokolwiek przewagi strategicznej! Każdy sensowny strateg orzekłby, że są skończeni! Cholera, sama bym tak zdecydowała! Ale nie byli, ponieważ Kaj sprowadził działą załadowane

specjalnym pociskiem i wystrzelił go bezpośrednio w cholerną twarz Vurtji! - Mulaghesh stuka się w środek czoła. - I w chwili gdy Vurtja zginęła, wszystkie zbroje, jakie nosili ci Kontynentanie - które były tak grube, masywne, nie do sforsowania i cudownie lekkie - nagle stały się tak ciężkie, jakimi powinny być. I armia padła pod ich ciężarem. Ci przerażający wojownicy byli bezradni bez swojego Bóstwa, uwięzieni pod setkami kilogramów żelaza i stali! I armia Kaja, gromada niewytrenowanych niewolników i farmerów, którzy całe swe życie byli karani i wykorzystywani przez tych żołnierzy, naskoczyła na nich i użyła noży, kamieni i cholernych narzędzi ogrodniczych, żeby ich wykończyć! - Jeden z żurawi pracujących nad Nowym Mostem Sołdańskim kiwa się do przodu i do tyłu niczym metronom, po czym przewraca się do lodowatej wody. Stado brunatnych szpaków kołuje nad miastem z krakaniem i piskiem. - W ciągu jednej nocy wyrznęli pięć tysięcy ludzi! Wyrznęli ich tak, jak zrywa się winogrona z winorośli! Krwi było tak dużo, że mieli jej po kostki! I dlatego, chłopcy i dziewczęta, nazywa się to Nocą Czerwonych Piasków!

Shara stoi na środku dziedzińca, liczy pigułki i próbuje ustalić odpowiednią dawkę. Czy oszaleję? Czy Kolkan zdominuje mój umysł i mnie zniszczy? Czy po prostu przewrócę się martwa i zostawię swych żołnierzy i ludzi na śmierć? Albo być może będzie to jak wypicie zbyt dużej ilości herbaty...

- A teraz przypomnę wam o waszym obecnym położeniu! - mówi Mulaghesh. - Mamy absurdalne małe szanse, tak! Absurdalnie! Ale jesteśmy wyszkolonymi żołnierzami! I mamy po swojej stronie prawnuczkę Kaja, która ledwie miesiąc temu uporała się z potworem boskiej natury, który siał spustoszenie w tym właśnie mieście! Chcecie odgrywać historię? Czy wasze standardy są takie niskie? Dzisiaj ją stworzycie! Jesteście bohaterami, o których będzie się śpiewać przez setki lat! Jesteście legendami! I odniesiecie zwycięstwo!

Ku zaskoczeniu Shary, wśród żołnierzy wznosi się żądny krwi wiwat. Zaczynają skandować:

- Komayd! Komayd! Komayd!

Shara czerwieni się niczym burak i mruczy:

- Ojej.

- A teraz obsadźcie stanowiska - mówi Mulaghesh. - Chcę, żebyście celowali tym skurwielom w oczy, słyszycie? Może i mają pancerze, ale nie są doskonali!

Żołnierze wiwatują i pędzą na stanowiska za murami ambasady. Mulaghesh podchodzi do miejsca, w którym stoi Shara.

- Jak poszło?

- Bardzo dobrze - zauważa Shara. — Powinnaś to robić zawodowo.

- Zabawne - mówi Mulaghesh. Wygląda za bramę. -Te stwory wiedzą, że tu jesteśmy. Wygląda na to, że wypada jakiś tuzin na każdy budynek, a my oberwiemy swoją działkę. Jesteś gotowa?

Shara się waha.

- To pięciokrotna dawka tego, co dałam temu chłopcu w więzieniu.

- I?

- Absolutnie nie mam pojęcia czy siła ma związek z ilością.

- I?

- Nawet jeśli to zadziała, jest duża szansa, że przedawkuję i umrę.

Mulaghesh wzrusza ramionami.

- Ta, możliwe. Witamy na wojnie. Zobaczmy, czy możesz zrobić coś pożytecznego, zanim umrzesz, dobra?

- Jak możesz... Jak możesz być taka spokojna?

Mulaghesh przypatruje się nacierającym, opancerzonym żołnierzom.

- To jak pływanie — mówi. - Myślisz, że zapomniałaś, jak to się robi, ale wskakujesz do wody i nagle czujesz, jakbyś nigdy nie przestała. Jeśli masz to zrobić, Naczelną Dyplomatko... -Wskazuje na pigułki w ręce Shary. - Zrób to. Ponieważ zaraz przekonamy się, czy nasze strzelby są cokolwiek warte przeciwko tym stworom.

Uzbrojeni żołnierze ustawiają się w linię i rozpoczynają marsz w stronę ambasady z precyzją metronomu. Powodujące zgrzytanie zębów brzęki niosą się echem po ulicach i ponad murami. Mulaghesh wchodzi na czołową artylerię i krzyczy:

- Celujcie w tego po prawej! - Strzelcy powoli obracają celownik na żołnierza najbardziej po prawej, który w ogóle nie reaguje.

Mulaghesh czeka, aż uzbrojeni żołnierze pojawią się w zasięgu strzału, opuszcza rękę i ryczy:

- Ognia!

Strzały w ogóle nie brzmią jak działa, myśli Shara, ale raczej jak wielkie piły w tartaku. Tęcze brązowych łusek sypią się z brzękiem na dziedziniec ambasady. Shara patrzy, licząc, że opancerzony żołnierz po prostu eksploduje: zamiast tego ten zwalnia, małe otwory i wgniecenia pojawiają się na jego napierśniku, twarzy i nogach. Wydaje to dźwięk, jakby kuchenna szafka zalewana była niekończącym się naporem garnków i patelni.

Strzelcy kontynuują lawinę pocisków; opancerzony żołnierz zaczyna chwiać się na pokiereszowanych nogach; po upływie prawie pół minuty strzelania przewraca się. Stado brunatnych szpaków wylatuje od razu z wielu otworów pancerza, który rozpada się, jakby trzymały

go sznurki. Brunatne szpaki, myśli zaskoczona Shara. Ale to przecież sztuczka Dżukowa. Żołnierz za nim zaczyna zaciekle przechodzić po poniszczonym pancerzu, jakby śmierć jego towarzysza nic nie znaczyła.

Mulaghesh spogląda z powrotem na Sharę i posepnie kręci głową. Niedobrze.

- Strzelać dalej! — rozkazuje swym ludziom, którzy wylewają strumień ognia na nacierających żołnierzy, co spowalnia ich, ale w żaden sposób nie zbliża się do ich zatrzymania.

Dziesięciu, myśli Shara. Zabicie ich wszystkich potrwa całe pięć minut.

Żołnierze znajdują się już sto metrów dalej. Stopy pobrzękują i grzechoczą z każdym krokiem.

- Dalej, Shara! - krzyczy Mulaghesh. - Nie powstrzymamy ich!

Shara spogląda na małe, białe pigułki w ręce.

Siedemdziesiąt metrów.

- Dalej!

Całym sercem przeklinam los, myśli Shara.

Wrzuca pigułki do ust i przełyka.

Shara czeka. Nic się nie dzieje.

Opancerzeni żołnierze znajdują się już pięćdziesiąt metrów dalej.

- Ojej - mówi Shara. - Och, nie. To w ogóle nie działa! To w... Dławi się. Następnie szarpie nią nieco w przód i ścisną w żołądku. Shara

ale w środku znajdują się prawdziwi ludzie, którzy siłą zostali wcieleni, by służyć Kolkanowi. Dostrzega, że gdy tylko pancierz jest zbyt uszkodzony, cud zmienia ich w szpaki i odsyła... Co z pewnością zrobiłby Dżukow.

Podbiega do stanowisk strzeleckich i krzyczy:

- Jaki macie na sobie pancierz? Kolkana czy Dżukowa? Któremu Bóstwu jesteście wierni? - Oczywiście, nie odpowiadają. Śmieje się dziko. - Och, czekajcie. Czekajcie! Zapomniałam! Zapomniałam, zapomniałam, zapomniałam!

Dwadzieścia metrów.

- O czym? - krzyczy Mulaghesh.

- Zapomniałam, że znam Światło Świecy Owskiego! - krzyczy radośnie Shara. - Nauczyłam się go dawno temu!

Napotyka pluton opancerzonych żołnierzy - strachów na wróble, jak się jej wydaje - i przypomina sobie istotę tego cudu: Wszystkie serca są niczym świece. Skoncentruj światło swojego, a ściągnie wszystkie bariery.

Shara wyobraża sobie żołnierzy przed nią niczym metalowy mur.

Ci migocą miodowozłotym światłem. Wtedy...

Zupełnie jakby ogromna kolumna palącego wiatru przeleciała przez nich na wskroś: żołnierze świecą gorącą czerwienią, zamazują się...

...i nagle ulicę zapełnia ogromne stado szpaków, które kraczą i piszczą. Podlatują kanionem budynków do nieba, ciemna chmura burzowa, z której opadają brunatne pióra.

Opancerzeni żołnierze przewracali się w chlupoczące jezioro płynnego metalu. Pozostały po nich jedynie dolne części nóg,

wystające z jasnego, żółtoczerwonego przypiływu niczym dziewięć par zapomnianych, metalowych butów.

Shara wpatruje się w swoje ręce. Wewnątrz dłoni widzi napis z wielkich liter: KURWA, NIE WIERZĘ.

- Kurwa, nie wierzę! - krzyczy Mulaghesh. Żołnierze wrzeszczą triumfalnie i także nie dowierzają, waląc kuszami w mur ambasady.

Trzech kolejnych opancerzonych żołnierzy obraca się i maszeruje ulicą w ich stronę. Strzelcy zaczynają ostrzał, a metalowi żołnierze trzęsą się jakby z zimna, ale nie zatrzymują się.

Cuda to jedynie formalne prośby, myśli Shara dziko. Zupełnie jakby otrzymało się przygotowany wcześniej formularz, wypełniło się go i złożyło, żeby otrzymać dokładnie to, czego się chce! Ale nie zawsze trzeba to robić w taki sposób! Możesz to przygotowywać w miarę, jak będziesz się posuwać, tak długo, jak będziesz to robić dobrze!

- Co ona tam krzyczy? - pyta Mulaghesh.

- Coś o wypełnianiu formularzy - mówi zdezorientowany żołnierz.

Shara wskazuje na żołnierza najbardziej z lewej. Masz na sobie zbroję, myśli, zrobioną z łyżek!

Opancerzony żołnierz zdaje się słabnąć niczym dziecięcy zamek z piasku uderzony falą, zapada się w chmurę tysięcy spadających metalowych łyżek, które brzęczą o cement. Kolejny wylot szpaków, które kołują po ciemniejszym niebie.

Shara wybucha śmiechem i klaszcze jak dziecko na pokazie magii.

- Co, do cholery? - pyta Mulaghesh. Shara wskazuje na pozostałą dwójkę i krzyczy: - Łyżki! Łyżki! - i obaj również się rozpuszczają. Więcej szpaków wylatuje, jakby ich gniazda zapadły się pod nimi.

- To łatwe! - krzyczy Shara. - To łatwe, gdy się o tym pomyśli! Po prostu nigdy nie myślałam o tym w ten sposób!

Istnieje tak wiele mięśni, które można napiąć, z których istnienia ludzie nie zdają sobie sprawy!

Niebo migocze: zupełnie jakby było tłem, a ktoś za nim -coś bardzo dużego - właśnie go dotknęło.

W powietrzu pojawia się napięcie, które zdaje się czuć tylko Shara.

Słyszy, jak Kolkan szepce jej do ucha:

- Olwos? Czy to ty?

Shara przestaje się uśmiechać.

- Och - mówi. - Ojej.

- O co chodzi? - pyta Mulaghesh.

Głos wewnątrz jej głowy pyta:

- Olwos? Co ty wyprawiasz? Dlaczego nam nie pomogłaś?

- Co się dzieje? - pyta Mulaghesh z niecierpliwością.

- Wie, że tu jestem - mówi Shara. - Kolkan wie, że tu jestem.

- Jesteś pewna, że po prostu nie masz halucynacji? - pyta Mulaghesh.

Głos pyta: Olwos? Siostrzo-zono? Dlaczego ukrywasz się przede mną, przed nami?

- Zdecydowanie - mówi Shara. - Nie sądzę, żebym mogła

halucynować coś tak dziwnego.

- Co masz zamiar zrobić?

Shara pociera policzek.

- Muszę poczynić własne zbrojenia przeciw temu konkretnemu atakowi. - Odwraca się twarzą do miasta. Ale dlaczego on uważa mnie za Olwos?, zastanawia się Shara.

Czuje coś, jakby rękę sięgającą do jej umysłu, próbującą pochwycić jej myśli. Olwos?, pyta głos. Czy to naprawdę ty? Jesteś ranna tak jak my?

Shara musi oczyścić umysł. Musi oczyścić umysł.

Zaczyna od fizycznej rzeczywistości wokół niej: żołnierze są kompletnie fizycznymi stworzeniami, więc wychodzi na ulicę i biegnie wzdłuż murów ambasady (sajpurscy żołnierze wpatrują się w znikający kamień i asfalt) i wypełnia je lodowatą wodą: wodą tak zimną, że roztrzaska metal...

Gruba wstęga dymu wije się z przodu ambasady. Dwóch opancerzonych żołnierzy wychodzi z ruin sklepu; strzelcy posyłają krótką salwę, zanim żołnierze wchodzą do jeziora wirującej, zamarzającej mgły; słychać syk gwałtownie kurczącego się metalu i żołnierze pokrywają się szronem. Następny wystrzał strzelców sprawia, że eksplodują niczym roztrzaskujące się lustra i setki brunatnych szpaków wznoszą się do nieba.

Głos — czy są już dwa? — w jej głowie pyta: dlaczego z nami walczysz? Czy zrobiłaś coś nie tak?

Muszę stworzyć bariery, myśli Shara. Muszę zabronić wejścia...

Shara dochodzi do wniosku, że informacje można otrzymywać na wiele różnych sposobów i niewiele z nich się ze sobą łączy: tak jak

antena nie może otrzymać telegramu, odbiornik radiowy nie widzi sensu w zwykłym dokumencie, nawet jeśli to wszystko są informacje. Ludzki mózg również ma ograniczoną liczbę kanałów — tak mało anten, tak mało odbiorników... Shara zdaje sobie sprawę, że jej własny mózg właśnie otrzymał niewypowiedzianą ilość anten i odbiorników, więc wszystkie informacje, które do tej pory uważała za ukryte, trafiają bezpośrednio do jej umysłu.

Shara spogląda na Bułków i dostrzega za rzeczywistością maszynię o wielu kołach, przekładniach i podporach. Dostrzega, jak wszystko jest zrujnowane i połamane. Jakże fenomenalnie pokomplikowane było to miasto przed Mgnieniem — bardziej niż ktokolwiek mógłby zgadnąć! To właśnie stworzył

Taalhawras przed śmiercią, myśli... Łańcuch cudów nad cudami działającymi po wieczność za kurtyną.

Wyrusza, by stworzyć schron z ruin podrzeczywistości wokół niej. Dla Mulaghesh i żołnierzy wygląda to, jakby Shara dowodziła niewidzialną orkiestrą, ale nie widzą niemożliwie ciężkich kawałków, które przesuwają, boskich struktur ukrytych przed ich oczami. Zupełnie jak przybudówki z ruin mostu, myśli Shara.

Dlaczego od nas uciekasz?, pyta głos w jej głowie. Olwos, dlaczego nas opuściłaś?

Shara zastanawia się: co się dzieje?

Manewruje wielkim fragmentem, by zablokować wyrwę i gdy jej się to udaje, świat czernieje i Shara dostrzega...

...Kolkana stojącego przed nią pośród morza ciemności. Jego szaty falują. Uwięzili mnie, szepce jej. Zamknęli mnie, wcisnęli w malutki kąt wszechświata, za to, że próbowałem pomóc mojemu ludowi... I wtedy przyszedł do mnie Dżukow. Odwiedził mnie w celi i skrzywdził mnie. Skrzywdził mnie tak bardzo...

Kolkan znika, a w jego miejsce pojawia się chudy mężczyzna, ubrany w trójgraniasty, ozdobiony dzwonkami kapelusz oraz futrzany strój białego. Musiałem! - warczy. Jego głos przypomina tysiąc kraczących szpaków. Zabijali nas! Zabijali nasze dzieci! Porzucali ciała naszych dzieci, by gniły w gigantycznych grobach! Musiałem coś zrobić! Musiałem się ukryć!

Wizja znika. Shara ocieka zimnym potem i drży.

Muszę ich zagłuszyć, mówi sobie. Muszę ich zagłuszyć.

W kątku oczu dostrzega kolejny oddział opancerzonych żołnierzy, którzy podchodzą, dotykają mgły i zastygają.

- Ognia - mówi Mulaghesh. Strzelcy zjadają ich na śniadanie, a na ulicach wirują szpaki.

Shara bada swym umysłem niewidzialną barierę. Prawie dostrzega otwory, jako że dziury w niebie są koloru żółtego pergaminu. Na zewnątrz, myśli Shara, Kolkan zmienia świat na swój - jego boski wpływ zmienia rzeczywistość Bułkowa. Pociąga ze sobą więcej rozporok i używa ich do przykrycia otworów, ale gdy tak czyni...

...pojawia się Kolkan, który mówi: Byłaś ode mnie starsza, tylko ty byłaś starsza. Słuchałem cię, Olwos. Gdy zniknęłaś, przestraszyłem się i spytałem moją trzódkę, co robić... Myślę, że popełniłem wiele błędów, Olwos...

Kolkan ponownie znika. Chudy mężczyzna w trójgraniastym kapeluszu pojawia się i krzyczy w gniewie: Szukałem cię! Szukałem cię, Olwos! Jako jedyna poza mną się uratowałaś! Potrzebowałem twojej pomocy! Zostałem zmuszony, by sfingować własną śmierć, by wycofać moje stworzenia, i pozwolić, by moje dzieci umarły! Zostałem zmuszony, by ukryć się z Kolkanem w jego żalostnej, małej celi na wiele lat!

Shara próbuje się skoncentrować.

Dżukow również żyje, myśli zszokowana, gdy wypełnia otwór. Ale dlaczego tylko Kolkan pojawił się po rozbiciu szyby?

Tak wiele małych otworów... Tak wiele małych miejsc, gdzie on czy oni albo to czy cokolwiek to jest, mogło się wślizgnąć.

Nie powstrzymuję go, myśli Shara. To po prostu obrona, odkładanie wszystkiego, podczas gdy Bułyków pali się, a ludzie umierają.

Piętnastu opancerzonych żołnierzy dotyka lodowatej mgiełki i zamarza. Strzelcy Mulaghesh roznoszą ich na kawałki. Szpaki wzlatują niczym chmara much.

Kolkan pojawia się przed nią: Co mam robić? Co mamy robić? Następnie znika.

Pojawia się Dżukow, plując i złorzecząc: Zabić ich wszystkich! Zabić ich za to, co nam zrobili! Kazirodztwo, mordowanie matek, gorycz i okropności! Moje własne potomstwo, moja własna, Błogosławiona rodzina powstaje przeciwko nam i morduje nas jak owieczki! Niech się palą! Palą!

Wtedy Shara zaczyna rozumieć: Nie... Nie, to niemożliwe. Ujrzałam tylko jedno Bóstwo stojące w Siedzisku Świata, słyszałam tylko jeden głos - prawda?

Brzęczenie i stukot kroków opancerzonych żołnierzy. Krzyk strzelców. Krzyk milionów szpaków...

Wtedy niebo zaczyna falować jak powierzchnia ciemnego jeziora.

Poprzez Bułyków niesie się głos Kolkana: STOP.

W jednej chwili armie brzęczących, opancerzonych żołnierzy zatrzymują się.

Shara czuje, jak olbrzymie oko obraca się w jej stronę.

Spogląda na ulicę przed ambasadą. Wysoka postać w szatach stoi i przygląda się jej sześć przecznic dalej.

Kolkan przekrzywia głowę.

- TY - mówi - NIE JESTEŚ OLOWOS.

Shara gorączkowo szamocze się z boskimi maszynami wokół niej, próbując je poskładać, próbując chronić swój lud, swych rodaków.

Kolkan kręci głową.

- SZTUCZKI I PODSTĘPY. - mówi.

Powietrze drży. Rzeki opancerzonych żołnierzy wychodzą z alejek i wszyscy ustawiają się w linii na ulicy prowadzącej do ambasady.

- WSZYSTKO TO SZTUCZKI I PODSTĘPY.

Morze opancerzonych żołnierzy obraca się w stronę ambasady i zaczyna swój marsz.

- Nie - szepcze Shara. - Nie, nie, nie...

W jednej chwili czuje wielką, straszną presję na wszystkich mechanizmach obronnych, jakie stworzyła: jej rzeka lodowatej wody zaczyna zanikać; jej boski schron skrzypi i jęczy; jej własny umysł drży. Szaleństwo wlewa się jej do czaszki niczym woda na tonący statek. Próbuje je odepchnąć, ale jest jak owad, myśli, próbujący odepchnąć obniżającą się ludzką stopę.

Lodowata woda znika. Ulice zapełniają połyskujący żołnierze. Trzech z nich rzuca ogromnymi mieczami w mury. Miecze przebijają się przez biały kamień i sajpurscy żołnierze ze stanowiska strzelniczego zataczają się z krzykiem do tyłu. Ku zaskoczeniu Shary, mały Pitry Sutturashni, z marnym okrzykiem wojennym, przejmuje kontrolę nad opuszczonym działem i strzela. Shara próbuje użyć Światła Świecy

Owskiego, ale czuje się, jakby z powietrza zassano tlen. Nie może nawet wykrzesać iskry.

Wszystko na nią napiera, napiera, napiera i napiera, wzbierająca powódź napiera na tamę...

Umrę jak niezliczeni Sajpurzy, myśli.

Tysiąc boskich żołnierzy napiera na jej niewidzialne mury.

Zgnieciona pod boską maszynerią.

Wtedy jeden z żołnierzy przy niej krzyczy:

- Patrzcie na niebo! Statki! Po niebie żeglują statki!

Shara czuje, jak ucisk natychmiast maleje. Opada na ziemię, dysząc, pólżywa.

Spogląda ponad murem i dostrzega wpatrującego się w nie Kolkana - najwyraźniej te wydarzenia zaskoczyły nawet jego.

Shara dusi się i kaszle. Nie, nie! Czy zniszczyły już Ghaladesh?, zastanawia się. Czy po tym wszystkim jednak przegraliśmy?

Próbuje dojrzeć coś poprzez łyżę... i dostrzega, ku jej zmieszaniu, że na niebie jest tylko jeden statek.

Wtedy słyszy głos innego żołnierza:

- Czy on leci pod drejlińską flagą?

- Kojarzę - mówi Mulaghesh. - To flaga króla Harkvalda. Co się dzieje, do cholery?

- Sigrud - odpowiada Shara.

Dobry statek Mornwiewa, niegdyś zapełniony dwudziestoma trzema ludźmi, teraz zaś zajmowany przez jednego samotnego pasażera na gapę, przecina chmury i wiatr niczym marzenie. Sigrud stoi u koła sterowego, pyka z fajki i obiera kierunek na południowy zachód.

Śmieje się. Nie pamięta, kiedy ostatnio to robił. Wozi się statkiem po raz pierwszy od lat i pali fajkę... To błogosławieństwo, jakiego spodziewał się już nie zaznać.

Nie ma większej przyjemności, myśli, niż pożeglować jeszcze raz.

Na maszcie przed nim znajduje się wielki stalowa płyta, zbrojona bardzo dużym pierścieniem; niegdyś były do niego przywiązane dwadzieścia trzy liny, przymocowując tym samym członków załogi do statku. Teraz jednakże z pierścienia zwisają dwadzieścia trzy odcięte liny. Trzaskają i klekoczą na brutalnym wietrze.

Szczerze mówiąc, był to najprostszy sposób, w jaki Sigrud kiedykolwiek przejął kontrolę nad statkiem: jeśli wyceluje się działa w pozostałe statki floty, wystrzeli raz (z perspektywy czasu Sigrud dostrzega, że statek nie został stworzony do wielu strzałów naraz, więc miał szczęście, że całość nie rozpadła się pod siłą nacisku), w całym tym zamieszaniu podbiegnie do pokładu, poprzecina wszystkie liny, pochwyci koło sterowe i tylko nieznacznie przechyli statek...

Sigrud uśmiecha się szelmowsko, gdy przypomina sobie te wszystkie czarne postaci spadające poprzez chmury, śpieszące na spotkanie ze światem.

Odnowiciele postawiliby wszystko, że Sajpur nie spodziewa się walki powietrze-ziemia; ale oni z kolei nie rozważali bitwy powietrze-powietrze.

Sigrud dostrzega poniżej ambasadę, znajdującą się przed nią rzekę żołnierzy i stojącą z jej tylnej strony wielką postać w szacie.

Ustawia kurs i gna pod pokład. Nie ma pojęcia, czego się spodziewać

— zdecydowanie nie tego — ale wszystkie działa ma w pogotowiu, chociaż kilka z nich potrzebuje drobnych regulacji.

Naprzód, przypomina sobie. Zaczynij na początku tego pasa srebra i dalej.

- Ognia - mówi Sigrud.

Riposta pierwszego sześciocalowca brzmi, jakby zapadała się cała góra.

— Padnij! - krzyczy Mulaghesh, ale Shara jej nie słucha.

Zamiast tego odwraca się w stronę ulicy, podnosi bardzo gruby mur miękkiego śniegu i każe mu zawisnąć w powietrzu.

Pierwsza grupa opancerzonych żołnierzy eksploduje. Choć boski pancerz został stworzony, by chronić przed wieloma rzeczami, Bóstwa ewidentnie nie spodziewały się sześciocalowych dział.

Podmuch odrzuca Sharę i wszystkich innych na stanowiskach do tyłu. Metal dźwięczy o fronty budynków. Odłamki lecą w welonie śniegu, spowalniają i upadają miękko na ziemię. Niebo jest czarne od szpaków.

Następna riposta wybrzmiewa w niebie. I następna, i następna, jakby rozpętywał się nad nimi ogromny sztorm. Wielkie eksplozje maszerują ulicami w stronę Kolkana, który stoi z przekrzywioną głową, jakby myśląc: to bardzo niezwykle, to bardzo niezwykle.

Sigrud przygląda się, zadowolony, jak boska armia jest stopniowo dziesiątkowana przez ostrzał z dział. Ustawia Mornwiewę tak, że celuje dziobem w postać w szacie. Kilkaset wybuchających łusek, myśli, powinno załatwić niezłą eksplozję.

Dostrzega białą strukturę z kryształowym dachem ze Starego Bułkowa - Co tu robią wszystkie te budynki?, zastanawia się. Podchodzi do burty statku i przygotowuje się.

- Pewnie tego nie przeżyję - mówi na głos. Wzrusza ramionami. Ach, cóż. Zawsze mi się wydawało, że umrę podczas żeglugi.

Sigrud skacze; kryształowy dach pędzi w jego stronę stanowczo zbyt szybko; Sigrud dostrzega niebo w jego połyskującym odbiciu.

Moja ręka, zdaje sobie sprawę, przestała boleć.

Wtedy niebo się rozpada.

Shara wstaje akurat na czas, by zobaczyć, jak kadłub stalowego statku rozdziela dym nad nimi. Mały, czarny kształt spada z jednej strony na jeden z białych budynków.

Kolkan z ciekawością patrzy, jak metalowy statek żeglujecie w dół, leci prosto na niego, skrzydła przecinają fasady ulic i kamienny deszcz opada na chodniki.

Shara zdaje sobie sprawę, co się zaraz stanie. Podnosi kolejną warstwę śniegu, potem drugą, trzecią i krzyczy:

- Opuścić mur! Wszyscy opuścić mur!

Kolkan przygląda się z lekkim niedowierzeniem, jak dziób statku leci prosto na niego, zgniata jego czoło...

Świat wybucha ogniem.

Shara jest ogłuszona, przytępiona i ślepa... Świat dźwięczy, dzwoni,

rozbija się, huczy, piszczy, trzepocze i Shara dochodzi do wniosku, że ogromna ilość psychodelików, jaką wzięła, wcale jej nie pomaga. Słyszy, jak Mulaghesh jęczy gdzieś obok:

- Moja ręka, moja ręka. Kurwa, moja ręka...

Shara siada i spogląda przez wygiętą i poszarpaną bramę. W pierwszej chwili widzi jedynie dym i ogień. Następnie wiatr powoli, delikatnie zdmuchuje dym.

Budynki, sklepy i domy na ulicy prowadzącej do ambasady zostały przepołowione. Drewniane szkielety i fragmenty salonów zwisają ponad odsłoniętymi fundamentami. Sama ulica przemieniła się w kamienisty, dymiący rów. Szpaki siedzą na parapetach, na latarniach, na chodnikach, milcząco wpatrując się w... coś.

Kolkan stoi na środku ulicy, lekko przechylony, a z jego trzepoczących szat unosi się dym.

Nie, myśli Shara. Nie Kolkan.

Shara wstaje, wyciąga z kieszeni ostrze z czarnego ołowiu i kulejąc rusza w stronę milczącego Bóstwa.

- Bolało, co? — woła.

Bóstwo nie odpowiada.

- Nigdy nie doświadczyłeś niszczycielskich możliwości naszej epoki — mówi Shara. - Być może współczesność odrzuca cię tak, jak ty odrzucasz ją.

Bóstwo podnosi głowę, by na nią spojrzeć, ale oprócz tego nie robi kompletnie nic.

- Może i dalej będziesz walczyć. Ale nie spodziewam się, że masz w sobie to, co trzeba. Świat już cię nie chce. Co więcej, ty sam go nie

chcesz.

- JESTEM BÓLEM - mówi gniewnie Bóstwo.

Shara staje przed nim i dodaje:

- Oraz przyjemnością.

Bóstwo waha się i mówi:

- JESTEM SADEM.
- Jesteś korupcją.

Następnie, wyzywająco:

- JESTEM PORZĄDKIEM!
- Jesteś chaosem.
- JESTEM SPOKOJEM!
- Jesteś szaleństwem.
- JESTEM DYSCYPLINĄ!
- Jesteś rebelią.

Trzęsąc się ze złości, Bóstwo mówi:

- JESTEM KOLKAN!

Shara kręci głową.

- Jesteś Dżukow.

Bóstwo milknie. Chociaż Shara nie może dostrzec jego oczu, wie, że wpatruje się właśnie w nią.

- Dżukow sfingował swoją śmierć, prawda? - mówi Shara. - Widział, co działo się z Kontynentem, więc sfingował swoją śmierć, ukrył się i wysłał na swe miejsce sobowtóra. W końcu był Bóstwem podstępny. Stare teksty mówią, że ukrył się w szybie, ale nigdy nie wiedzieliśmy, co to znaczy - przynajmniej nie ja, aż do dzisiaj - ale gdy ujrzałam więzienną celę Kolkana... Pojedynczą, przezroczystą szybę...

Bóstwo opuszcza głowę. Zdaje się lekko drżeć. Podnosi dłoń i ściąga szaty.

To Kolkan: surowy człowiek, stworzony z gliny i kamienia.

To Dżukow: chudy, śmiejący się człowiek z futra i dzwonów.

To oni obaj: obydwie Bóstwa splątane razem, połączone, stopione w jedną postać. Głowa Kolkana i wypaczona twarz Dżukowa na jego szyi; jedna ręka po jednej stronie, rozwidlona ręka o dwóch zaciśniętych pięściach po drugiej; dwie nogi, z których jedna ma dwie stopy...

Wpatruje się w nią zmieszany, szalony wzrokiem, chwiejący się wrak torturowanej, ludzkiej istoty. Jego twarz marszczy się i zaczyna płakać. Dwie pary ust krzyczą w dwóch głosach:

- Jestem wszystkim! Jestem niczym! Jestem początkiem i jestem końcem! Jestem ogniem i wodą! Jestem światłem i ciemnością! Jestem chaosem i porządkiem! Jestem życiem i jestem śmiercią! — Odwraca się w stronę zrujnowanych budynków Bułkowa. - Słuchaj mnie! Wysłuchasz mnie? Wysłuchałem cię! Wysłuchasz mnie? Po prostu powiedz, czym powinienem dla ciebie być! Powiedz! Proszę, powiedz! Powiedz, proszę!

— Widzę teraz - mówi Shara - że cela więzienna była przeznaczona jedynie dla Kolkana, prawda?

— Żeby Dżukow mógł się ukryć, musiał stać się Kolkanem! - odpowiada Bóstwo. Kładzie dłonie na uszach, jakby słyszało ryczącą

kakofonię. - Zbyt wiele rzeczy, zbyt wiele, wszystko w jednym.
Musiałem być zbyt wieloma rzeczami. Musiałem służyć zbyt dużej
ilości ludzi. Za dużo, za dużo... Świat to za dużo. — Spogląda na Sharę
błagalnie. - Nie chcę już tego.

Shara spogląda na małe, czarne ostrze w dłoniach.

Bóstwo podąża za jej spojrzeniem, kiwa głową i mówi dwoma parami
ust:

— Zrób to.

Pomimo wszystkiego, Shara się waha.

— Zrób to - powtarza Bóstwo. - Nigdy naprawdę nie wiedziałem,
czego chcieli. Nigdy naprawdę nie wiedziałem, czym mam dla nich
być. — Bóstwo klęka. — Zrób to. Proszę.

Shara podchodzi do Bóstwa z tyłu, kuca i kładzie czarne ostrze na jego
gardle.

— Przykro mi - mówi, na co Bóstwo odpowiada:

— Dziękuję.

Shara łapie je za czoło i przeciąga ostrzem.

W jednej chwili Bóstwa nie ma, jakby nigdy nie istniało.

Powietrze wypełnia się hukiem, rumorem — gdy setki białych
drapaczy chmur walą się na ziemię — i krzykiem, gdy niezliczone
szpaki wzbijają się w powietrze.

Dobrzy historycy trzymają przeszłość w głowach, a przyszłość w sercu.

- EFREM PANGYUI, „O UTRACONEJ HISTORII”

TO, CO SIEJEMY

Shara leży w wannie z ciepłą wodą w ciemnym pokoju, starając się nie myśleć. Czysta, biała bielizna przywiera i przy-sysa się do jej ciała. Oczy ma zabandażowane, by nie dopuszczać światła, niemniej wciąż widzi wybuchy kolorowego światła i kolorowe słowa, a głowa wciąż dudni jej i huczy od ogromnej migreny. Nie jest pewna, czy nie wolałaby po prostu umrzeć od kamieni filozoficznych: nie oczekiwała starcia z kaczem aż tak piekielnym i psychodelicznym.

Zdaje sobie sprawę, że miała szczęście, iż w ogóle otrzymała pomoc. Szpitale Bułykowa są przepelnione rannymi i okaleczonymi. Tylko tutaj, w szpitalu w kwaterach pani gubernator, Shara i jej towarzysze mogą liczyć na opiekę.

Słyszy, jak otwierają się drzwi i ktoś wchodzi w miękkich butach.

Shara prostuje się i pyta ochryple:

- Ilu?

Jej gość siada powoli na krześle obok wanny.

- Ilu? - pyta ponownie.

- W tej chwili ponad dwa tysiące - odpowiada Pitry.

Shara zamyka oczy za bandażami. Czuje gorące łzy na policzkach.

- Generał Noor poinformował, że mimo wszystko to coś dobrego. Wiele zostało zniszczone — cóż, przynajmniej z tego

Bułykowa, który był tu wcześniej, zanim pojawiły się budynki ze starego. Ale cóż, prawie wszystkie z tych nowych budynków zostały zniszczone, gdy zabiła pani Kolkana.

- To nie był Kolkan - mówi oschle Shara. - Ale proszę przejść do sedna.

- Cóż, ekhm, generał Noor mówi, że dwa tysiące ofiar to nie tak dużo, biorąc pod uwagę ogrom zniszczenia. Uważa, że odwróciła pani uwagę Kolk... Ach, uważa, że odwróciła pani uwagę Bóstwa i spowolniła je, co dało czas na ewakuację. Wielu ludzi, jak rozumiem, zostało zamienionych w jakiegoś rodzaju ptaki. Kilka godzin po śmierci Bóstwa wszystkie one zmieniły się z powrotem w ludzi — zdezorientowanych, zziębniętych i hmm, kompletnie nagich.

- Poważnie?

- Tak. Wzgórza wokół Bułykowa zapełniły się nagle setkami nagich ludzi. Hipotermia stała się palącym tematem, ale ubraliśmy ich i zaopiekowaliśmy się nimi jak tylko mogliśmy. Noor pytał, czy byłaby pani w stanie to wyjaśnić.

- To jedna z ulubionych sztuczek Dżukowa, jakie przeprowadzał na masową skalę - mówi Shara. — Gdy chciał kogoś ukryć, zmieniał go w stado szpaków. Rozumiem, że aby uchronić ludzi od losu, jaki zaplanował dla nich Kolkan, Dżukow po prostu objął ich ochroną: zamiast ucierpieć, wzlecieli w niebo jako stado ptaków. W jaki sposób zginęło tak wielu?

Pitry odkasłuje.

- Większość zginęła pod zwalonymi budynkami, ale wielu również podczas ewakuacji... Najwyraźniej doszło do panicznej ucieczki.

Ależ nijakim słowem są „ofiary”, myśli Shara. Jakże miło musi się siedzieć za biurkiem i redukować utracone życia do statystyk.

- To wielka tragedia, Pitry - mówi Shara. - Okropna, potworna tragedia.
- Cóż, tak, ale... To był ich bóg, prawda? Który robił to, o co oni prosili?
- Nie - mówi Shara. — I tak - dodaje.
- General Noor zdaje sobie sprawę, że pani powrót do zdrowia może być bardziej natury, hm, mentalnej niż fizycznej... ale zapytał, czy mogę dostarczyć mu jakiegoś rodzaju wyjaśnienie.
- Dostał pan awans, Pitry. Gratuluję.

Zakłopotany Pitry ponownie kaszle.

- Trochę, tak. Pomagam teraz w biurze gubernatora regionalnego. Głównie dlatego, że cała ambasada i pracownicy gubernator polis są... niedysponowani.
- Pańskie zachowanie podczas walki było godne podziwu. Zasłużył pan na to. Co z Mulaghesh?
- Jest w stabilnym stanie. Ręki... nie udało się uratować. Została zmiażdżona. Przynajmniej nie była to ręka, którą głównie się posługuje.

Shara pojękuje.

- Mulaghesh jednak nie da się tak łatwo złamać. Upiera się, żeby palić w szpitalu, co nie pasuje wszystkim innym obecnym. Ale nie słucha. Jednak Sigrud...

Shara napina się. Proszę, myśli. Nie on...

- Wprawił w osłupienie wszystkich lekarzy.
- Jak to?

- Cóż, w pierwszej kolejności przez przeżycie - mówi Pitry. - A po wyciągnięciu z jego ran szkła - prawie półtora kilograma szkła i odłamków, lekarze znaleźli... - papier szeleści, gdy Pitry wyciąga listę - cztery ostrza z kuszy, jedną kulę, pięć strzałek... jakiegoś rodzaju egzotycznych, plemiennych akcesoriów... - Z Qivos, myśli Shara. Mówiłam mu, żeby poszedł z tym do lekarza... - i sześć zębów, które najwyraźniej pochodzą od jakiegoś rekina. Lekarze doszli do wniosku, że większość tych ran i kontuzji miała miejsce na długo przed tą bitwą.

- Zgadza się. Ale czy przeżyje?

- Tak. Pewnie będzie musiał zostać przez jakiś czas w szpitalu, ale tak. Wygląda na to, że pomimo wszystkiego, co niewiarygodne, w pełni wróci do zdrowia. I sprawia wrażenie dość... radosnego.

- Radosnego? Sigrud?

- Hmm, tak. Zapytał co u mnie, po czym dał mi trochę pieniędzy i powiedział, żebym poszedł - Pitry kaszle - na kobiety lekkich obyczajów.

Shara kręci głową. Ojej. Człowiek opuszcza świat na kilka dni i słyszy, że wszystko się zmieniło.

- Proszę wybaczyć, że zapytam — mówi Pitry — ale generał Noor nalegał, żebym dowiedział się czegoś w sprawie, hmm, Bóstwa albo Bóstw, czy...

Shara nie odpowiada. Siada pomału w wannie.

- Nawet jeśli nie ma pani konkretnych wniosków... Nawet jeśli jedynie domyśla się pani tego, co miało miejsce. Z pewnością chętnie to rozważy.

Shara wzdycha i pozwala ciepłej wodzie napłynąć do uszu. Niech wymyje moje wspomnienia, myśli. Wszystkie. Podsumowuje wnioski

na temat Dżukowa, ukrywającego się w szybie z Kolkanem.

- Podejrzewam, że to sam Dżukow zatopił Siedzisko Świata na boski sposób, by zabezpieczyć jego kryjówkę. Ale zanim to zrobił, wysłał chowańca - być może muowosta przebranego za samego siebie - żeby spotkał się z Kajem i się poddał. To właśnie jego zamordował Kaj, a gdy to uczynił, Dżukow w zasadzie pociągnął za sznurki wielu swych boskich stworzeń i pozwolił, by wszystko, co zbudował, zostało zrujnowane... Tylko po to, by nikt nie uwierzył, że wciąż żyje.

- Po co miałyby to robić?

- Z zemsty, jak myślę - mówi Shara. - Może i jest bardzo radosnym Bóstwem, ale tylko do momentu wejścia mu w drogę.

Wtedy stawał się szalenie żądny zemsty. Dżukow wiedział, że Kaj posiadał broń, przeciw której nie mógł nic poradzić, więc jak sądzę, postanowił poczekać i wrócić, gdy zagrożenie minie. Nie jestem pewna, jak zamierzał to zrobić. Być może wymyślił jakiś sposób, by skontaktować się z kimś, kto wystarczająco mocno szukał Bóstwa - to tłumaczyłoby przynajmniej, w jaki sposób dotarł do Vołki Votrowa. Jak mówiłam, to tylko przypuszczenie. Ale wątpię czy Dżukow spodziewał się efektów ubocznych poddania się więzieniu z Kolkanem.

- Połączenia?

- Tak. Wypaczone stworzenie, jakie spotkałam, powiedziało mi, że więzienie było stworzone wyłącznie dla Kolkana. Żeby tam zostać, Dżukow powoli, ale niezawodnie łączył się z Kolkanem, być może nawet został przez niego pochłonięty. Byli dwoma kompletnie przeciwstawnymi Bóstwami — chaosu i porządku, pożądania i dyscypliny... To w końcu Dżukow przekonał pozostałe Bóstwa, by uwięzić Kolkana. Skutkiem było oszalałe, zdezorientowane stworzenie, które błagało o śmierć.

- Noor chce, żebym potwierdził, że nie pojawi się już więcej Bóstw.

- Mogę tylko potwierdzić, że nikt nie wie, gdzie podziewa się Olwos, która przetrwała jako jedyne z Bóstw. Nikt jednak nie widział jej od prawie tysiąca lat i wątpię, żeby stała się zagrożeniem. Olwos nie wykazywała zainteresowania sprawami świata od chwili zniknięcia, co nastąpiło na długo przed narodzeniem Kaja.

- I... chcemy również potwierdzić, że siły, jakich pani doświadczyła przy wykorzystaniu kamieni filozoficznych, nie mogą zostać powtórzone.

- Tego nie mogę powiedzieć z całą pewnością... Ale prawdopodobnie tak. Kontynent staje się coraz mniej boski, co oznacza, że kamienie filozoficzne zapewniają coraz mniej potęgi.

— Czy tak to właśnie wyglądało u szczytu rozwoju Kontynentu? Brało się garść pigulek i otrzymywało siłę równą boskiej?

Shara uśmiecha się złośliwie.

— Jeśli pan już zapomniał, to Bóstwo prawie zmiądzżyło mnie jak robaka, gdy tylko zwróciłam na siebie jego uwagę. Z pewnością nie dysponowałam boskimi mocami. Ale tak właśnie sprawa wyglądała: istnieją świadectwa kapłanów i akolitów, którzy po wzięciu ogromnych ilości kamieni filozoficznych dokonywali zdumiewających cudów... i często krótko po tym umierali. - Pociera czoło. - Szczerze mówiąc, prawie im zazdroszczę.

Pitry milczy przez kilka chwil.

— Gazety w Ghaladeshu... uważają panią za b...

— Proszę przestać — mówi Shara.

— Ale wszyscy święt...

— Nie chcę o tym słyszeć. Nie wiedzą, co to znaczy. Powinni być w żałobie. Owszem, może i zginęli głównie Kontynenanie. To

Kontynentanie - zdeorientowani i wprowadzeni w błąd -uwolnili swego kontynentalnego Boga i poprosili go, by nas zaatakował. Ale przed katastrofą wielokrotnie pytano mnie, czy możemy w jakiś sposób pomóc Kontynentowi. Myślę, że w chwili, gdy słyszałam te apele, było już za późno. Ostrzegano mnie jednak, że to się wydarzy i zdecydowałam się zamiast tego posłuchać polityki.

— Pani Naczelną Dyplomatko, Noor zobowiązał się do pomocy ocalałym. Sajpur pomoże Bułykowowi przetrwać.

- Przetrwać - mówi Shara, zniżając się. — Przetrwać i co dalej?

Woda zalewa jej uszy i przykrywa twarz, ale pośród chlupotu i bąbelków, Shara wyobraża sobie, że słyszy głos Efrema Pangyui — jedna śmierć wobec tysięcy. Owszem, ale będzie ją prześladować do końca jej dni.

Trzy dni później Shara przeprowadza inspekcję trwającej odbudowy z komisją wykonawczą generała Noora. Opancerzony samochód porusza się z hukiem po zniszczonych ulicach miasta, co nie pomaga Sharze na ból głowy, który zmalał jedynie nieznacznie. Zmuszona jest nosić ciemne okulary, jako że światło słoneczne wciąż sprawia jej ból - lekarze poinformowali ją, że uszkodzenie może być trwałe. W jakiś sposób wydaje jej się to łatwe do zaakceptowania: spoglądałam na to, czego nie powinno się oglądać i nie wyszłam z tego bez szwanku.

- Zapewniam, że nie jest to niezbędne — mówi generał Noor, obruszając się z dezaprobatą. - Wszystko mamy pod kontrolą. Powinna pani wypoczywać, Naczelną Dyplomatko Komayd.

- Moim obowiązkiem jako naczelnej dyplomatki Bułykowa - mówi Shara - jest zaprzątanie sobie głowy interesami przypisanego mi miasta. Będę chodzić tam, gdzie mi się podoba. Do tego muszę się zająć pewnymi sprawami osobistymi.

To, co widzi, rani jej serce: rodzice i dzieci, wszyscy pokryci bandażami, szpitale polowe wypełnione po brzegi pacjentami, szalasy, wiele rzędów drewnianych trumien, z których niektóre są bardzo małe...

I stracony pośród całej tej rzezi Vo.

Jeśli odkryłabym Vołkę wcześniej, myśli Shara, to nigdy nie miałyby to miejsca.

- Zupełnie jak Mgnienie - mówi. - Tak wyglądało to po Mgnieniu.

- Mówiliśmy - oznajmia Noor cicho przy jednym z namiotów polowych - że nie spodoba się pani to, co zobaczy.

- Wiem, że mi się to nie spodoba — mówi Shara — ale zobaczenie tego jest moim obowiązkiem.

- Nie wszystko jest ponure. Otrzymaliśmy pomoc od miejscowych. - Noor wskazuje gestem część szpitala polowego, gdzie krzątają się łysi Kontynentanie, bez butów i w jasnopomarańczowych szatach. - Ci ludzie zapełnili nasze biura i w gruncie rzeczy przejęli część obowiązków. Muszę przyznać, że są nieocenioną pomocą. Odciążają nas, gdy oczekujemy na wsparcie Ghaladeshu.

Jeden z olwoszańskich mnichów — niska, przysadzista kobieta - odwraca się w stronę Shary i kłania się nisko.

Shara odpowiada ukłonem. Zdaje sobie sprawę, że płacze.

- Naczelną Dyplomatko - mówi zaskoczony Noor. - Czy...? Czy mamy zabrać panią z powrotem?

- Nie, nie - odpowiada Shara. - Nie, w porządku. — Podchodzi do olwoszańskiej mniszki i ponownie się jej kłania.

- Dziękuję za całą waszą pomoc - mówi.

- To nie - odpowiada mniszka. Uśmiecha się dobrotliwie. Oczy ma szerokie i dziwnie czerwono-brązowe, koloru żarzących się węgielków. — Proszę nie płakać. Dlaczego pani płacze?

- Po prostu... cieszę się, że przyszliście nieproszeni.

- Ale zostaliśmy poproszeni - odpowiada. - Poprosiło o nas cierpienie. Musieliśmy odpowiedzieć. Proszę nie płakać. — Bierze Sharę za rękę.

Coś suchego i kwadratowego pojawia się w dłoni Shary. Liścik?

- Dziękuję tak czy siak - mówi Shara. — Bardzo dziękuję.

Mniszka kłania się po raz kolejny i Shara dołącza do ludzi Noora. Gdy nikogo przy niej nie ma, prędko sięga do kieszeni i wyciąga liścik.

ZNAM PRZYJACIELA EFREMA Panguia.

SPOTKAJMY SIĘ PRZED BRAMĄ KWATER GUBERNATOR

DZIŚ WIECZÓR O 9:00, TO PANIĄ DO NICH ZAPROWADZĘ.

Shara podchodzi do palącego się ogniska i wrzuca do niego liścik.

Wiejskie powietrze poza Bułkowem jest zimne, ale nie tak, jak bywało jeszcze niedawno. Shara przygląda się, jak jej oddech tworzy jedynie mały obłok pary i zdaje sobie sprawę, że nadchodzi wiosna. Pory roku ignorują nawet śmierć jednego z Bóstw.

Gwiazdy nadają miękki kształt wzgórzom za murami kwater pani gubernator. Księżyc jest białą plamą za chmurami; droga jest wstęgą o kolorze kości.

Z ciemności słychać kroki. Shara spogląda w górę i stwierdza, że nie ma żadnych strażników.

- Jest tu kto? - pyta.
- Tędy - szepcze głos w odpowiedzi. Na krańcu lasu krótko błyska i znika światło świecy.

Shara podchodzi w to miejsce. Ktoś odrzuca kaptur, ukazując połysk łysej głowy. Gdy Shara się zbliża, poznaje twarz mniszki ze szpitala polowego.

- Kim pani jest? - pyta Shara.
- Przyjaciółką - odpowiada mniszka. Wskazuje gestem, by Shara się zbliżyła. - Dziękuję za przybycie. Czy jest pani sama?
- Tak.
- Dobrze. Poprowadzę panią przez resztę drogi. Proszę trzymać się blisko. Niewielu kroczyło tą drogą; może to być niebezpieczne.
- Gdzie mnie pani zabiera?
- Do innego przyjaciela. Widzę, że wciąż ma pani wiele pytań. Znam kogoś, kto może być w stanie odpowiedzieć przynajmniej na część z nich. - Odwraca się i prowadzi Sharę do lasu.

Gdy idą, pręgi księżycowego blasku przesuwają się po ramionach mniszki.

- Może pani powiedzieć mi coś więcej?
- Mogłabym powiedzieć dużo więcej — odpowiada mniszka — ale wcale się to pani nie przysłuży.

Zirytowana Shara zadowala się więc podążaniem za nią.

Droga wiję się, zbacza i zakręca. Shara poddaje w wątpliwość pomysł spotkania się na zewnątrz kwater gubernator, po czym zauważa, że nigdy nie zwróciła uwagi, jak duży jest tutejszy las...

Teren się wznosi. Shara i mniszka stąpają ostrożnie po kamienistych rowach, wypełnionym białymi kamieniami korycie rzeki, pośród sosnowego lasu.

Shara zastanawia się: kiedy zasadzono tu sosny?

Jej ciężki oddech tworzy wielkie chmury pary. Wspinają się na kamieniste wzgórze i Shara spogląda na wypełniony śniegiem krajobraz o barwie kości. Wydawało mi się, że robi się cieplej...

— Co to za miejsce?

Mniszka wskazuje gestem naprzód, nie odwracając się. Jej nagie stopy zostawiają w śniegu małe ślady.

Kroczą w dół po zamarzniętych wzgórzach, po zamarzniętej rzece. Świat jest alabastrowy, bezbarwny, kule i nacięcia blasku księżyca i lodu na czarnym tle. Z przodu jednak czerwony ogień migocze właśnie w sosnowym lasu.

Znam to, myśli Shara. Czytałam o tym.

Wchodzą do lasu. Kłody leżą przy ognisku i służą jako siedzenia, a kamienna półka opiera się o pień drzewa. Znajdują się na niej małe kamienne kubki i prymitywny, cynowy czajnik. Shara spodziewa się, że ktoś ich powita, być może wyjdzie zza drzewa. Ale nikt nie podchodzi.

— Gdzie oni są? — pyta Shara. — Gdzie ten przyjaciel, z którym mam się spotkać?

Mniszka podchodzi do kamiennej półki i nalewa do dwóch kubków.

- Nie ma ich jeszcze? - pyta Shara.

- Są tu - odpowiada mniszka. Ściąga szatę. Plecy ma nagie: pod szatą nie ma nic oprócz spódnicy z futra.

Odwraca się i wręcza Sharze jeden z kubków: jest ciepły, jakby grzał się nad ogniem. Ale znajdował się tylko w jej ręce, myśli Shara.

- Pij - mówi mniszka. - Ogrzej się.

Shara nie spełnia jej polecenia. Wpatruje się podejrzliwie w kobietę.

- Nie ufasz mi? - pyta mniszka.

- Nie znam cię.

Kobieta się uśmiecha.

- Jesteś pewna? - Światło ogniska błyszczy w jej oku i lśni niczym jasnopomarańczowy klejnot. Nawet gdy odchodzi od ognia, jej twarz wygląda na podświetloną przez ciepłe, migoczące światło.

Światło w ciemności.

Nie, myśli Shara. Nie. Nie, niemożliwe.

- Olwos? - szepce.

- Mądra dziewczyna - odpowiada mniszka i siada.

- Jak...? - pyta Shara. - Jak...?

- Wciąż się nie napiłaś — mówi Olwos. — Powinnaś spróbować. Jest dobra.

Zdezorientowana Shara pije z kamiennego kubka i dochodzi do wniosku, że Bóstwo ma rację: mieszanka jest ciepła, ostra i sprawia wrażenie, jakby wrzuciło się do brzucha mały, miękki, rozżarzony węgielek. Shara dochodzi do wniosku, że zna ten smak.

- Czy... to herbata?

- Tak. Herbata z Sajpuru. Muszę przyznać, że mi zasmakowała. Chociaż kurewsko ciężko dostać naprawdę dobrą.

Shara wpatruje się w nią, w kubek, ogień, pobliski las.

— Ale... myślałam, że odeszłaś — udaje jej się w końcu powiedzieć.

— Bo odeszłam — mówi Olwos. — Rozejrzyj się za siebie, wokół. Widzisz Bułyków? Nie. Odeszłam, i cieszę się, że to zrobiłam. Całkiem miło tu być, samej z myślami, z dala od tego całego zgiełku. - Shara milczy, gdy zastanawia się: czy po tym wszystkim weszłam prosto w pułapkę?

— Zastanawiasz się właśnie — mówi Olwos — czy przyprowadziłam cię tu, by się na tobie zemścić.

Shara nie jest w stanie ukryć niepokoju.

— Cóż, odeszłam, ale wciąż jestem Bóstwem. A to moje miejsce. — Olwos poklepuje kłodę na której siedzi. — Tego nikt mi nie odbierze. A serca tych, którzy tu dołączają, nie ukryją się przede mną. Sharo Komayd, prawnuczko Avshakty si Komayda, ostatniego Kaja Sajpuru, zastanawiasz się, czy odciągnęłam cię od Kontynentu, by się z tobą rozprawić i cię zniszczyć - zniszczyć cię za zbrodnie twojej rodziny, twoje, za niezliczone zniszczenia, jakie sprowadziły wasze wojny i prawa. — Oczy Olwos błyszczą jasno, jak pierścienie ognia ukryte w połowie pod jej powiekami; wtedy ogień przygasa. — Ale byłoby to, jak to się mówi, głupie. Bardzo głupie, niepoważne i niepotrzebne. I jestem trochę rozczarowana, że oczekiwałabyś czegoś takiego po mnie. W końcu opuściłam świat, gdy Kontynent postanowił stworzyć swoje imperium. Nie tylko dlatego, że było to złe, ale ponieważ była to bardzo krótkowzroczna decyzja: czas ma taką zdolność, że odpłaca za nieostrożność tym, którzy ją popełnili... nawet jeśli jest się Bóstwem.

Shara wciąż próbuje wziąć się w garść w obliczu tego, co się dzieje, ale Olwos jest tak kompletnie inna od wyobrażeń Shary odnośnie bogów, że ta nie jest pewna, co myśleć: Olwos zachowuje się raczej jak

przekupka czy szwaczka, niż jak Bóstwo.

- Dlatego odeszłaś z Kontynentu? Bo nie zgadzałaś się z Wielką Ekspansją?

Olwos wyciąga długą, cienką fajkę. Trzyma cybuch bezpośrednio nad ogniem, pyka z fajki i wpatruje się w Sharę, jakby zastanawiając się, czy będzie dobrą towarzyszką.

- Czytałaś notatki pana Pangyuia, prawda?

- T-tak? Skąd...

- Więc wiesz, że przypuszczałaś, że, można powiedzieć, umysły Bóstw nie były zawsze ich.

- Uważałaś, że... istnieje jakaś forma podświadomego głosowania.

- Dość niewyszukane określenie - mówi Olwos. - Ale nie aż tak odległe od prawdy. Sharo Komayd, jesteśmy - czy raczej byliśmy - Bóstwami: czerpiemy moc z ludzkich serc, umysłów i wierzeń. Ale fakt, że trzeba ją czerpać, znaczy, że nie mieliśmy wcześniej tej mocy. - Olwos kreśli cybuchem w błocie półokrąg. - Ludzie wierzą w boga - zamyka okrąg - i bóg mówi im, w co mają wierzyć. To cykl, jak woda, która trafia do oceanu, następnie w niebo i dalej spada z deszczem i spływa do oceanu. Ale różni się to o tyle, że idee mają swoją wagę. Mają pęd. Idea rozprzestrzenia się, rośnie i staje się cięższa do tego stopnia, że nikt nie może się jej sprzeciwić. Nawet Bóstwo. — Olwos wpatruje się w ogień, ścierając błoto z fajki kciukiem i palcem wskazującym.

- Jakie idee? - pyta Shara.

- Pierwszy raz zauważyłam to podczas Nocy Zwołania. Czułam w sobie idee, pomysły i przymusy, które nie były moje. Robiłam pewne rzeczy nie dlatego, że chciałam, ale ponieważ czułam, że muszę — jakbym była postacią w historii pisanej przez kogoś innego. Tej nocy

postanowiłam, jak wszystkie inne Bóstwa, zjednoczyć się, założyć Bułyków i żyć w tym, co uważaliśmy za pokój... Ale to doświadczenie kompletnie mnie dobiło.

— Więc jak mogłaś odejść? — pyta Shara. — Jeśli byłaś związana z wolą swego ludu, jak mogli pozwolić, żebyś opuściła ten świat?

Olwos spogląda na Sharę z pogardą: nie umiesz sama tego razem złożyć?

— Chyba że - mówi Shara — twoi wyznawcy poprosili cię, żebyś odeszła...

— Tak było.

— Dlaczego mieliby tak robić?

— Cóż, wydawało mi się, że dobrze sobie z nimi radzę -mówi Olwos z niejaką dumą. Spogląda na kubek Shary. -Wszystko już wypijaś?

— Umm... Tak?

— Rany. — Olwos kręci głową, mlaska z dezaprobatą i nalewa Sharze kolejny kubek. - To powinno wystarczyć, żeby ożywić konia. W każdym razie... Jeśli wykonuje się te sprawy właściwie — a ty, jako po części polityk, pewnie to rozumiesz — same zaczynają się utrwać. Bardzo szybko nauczyłam się nie rozmawiać z moimi wyznawcami z wyższością, ale schodzić do nich, być wśród nich, raczej pokazywać im, jak się zachowywać, zamiast nakazywać. Sugerowałam, że sami powinni tak się ze sobą obchodzić: że nie potrzebują księgi zasad, ale doświadczeń i działania, by wiedzieć co mają robić, a czego nie. Gdy zaczęłam czuć ten... pęd wewnątrz mnie - te idee, które wypychały i ciągnęły, grożąc wciągnięciem mnie i wszystkich innych — skonsultowałam się z najbliższymi wyznawcami i oni - Olwos szczerzy się z radosnym niedowierzaniem - po prostu powiedzieli, że już mnie nie potrzebują.

- Żartujesz.

— Nie — odpowiada Olwos. — Związek ludzkości z Bóstwami przynosi obustronne korzyści i obie strony postanowiły się rozstać. Ale to utrwalenie — ustanowienie sposobu myślenia i pozwolenie, aby działał swoim rytmem - nie zawsze przynosi dobre skutki. - Kręci głową. - Biedny Kolkan... Nigdy tak naprawdę nie rozumiał ani siebie, ani swoich wyznawców.

- Przemówił do mnie - mówi Shara. - Powiedział, że w pewien sposób polegał na tobie.

- Tak - przyznaje Olwos ze smutkiem. - Kolkan i ja byliśmy pierwszymi Bóstwami. Chyba jako pierwsi zrozumieliśmy, jak to wszystko działa. Ale działanie zawsze sprawiało mu nieco kłopotów. Zwykł pozwalać swym wyznawcom, aby decydowali, co robić. Przyglądałam się mu z odległości, gdy tak siedział i wysłuchiwał ich... Powiedziałam wszystkim, gdy odchodziłam, że to się dobrze nie skończy.

- Więc nie uważasz, żeby to Kolkan był całkowicie odpowiedzialny za swoje czyny?

Olwos pociąga nosem.

- Sharo Komayd, ludzie są dziwni. Cenią karę, ponieważ wydaje im się, że to co robią jest ważne — że oni sami są ważni. W końcu nie dostaje się kary za zrobienie czegoś nieważnego. Spójrz na kolkasztanów - uważają, że cały świat powstał, by ich zawstydzić, poniżyć, karać i kusić... Wszystko kręci się wokół nich, nich, nich, nich! Świat jest pełen okropieństw i bólu, ale wciąż kręci się wokół nich! Kolkan po prostu dał im to, czego chcieli.

- To... szaleństwo.

- Nie, to próżność. Przyglądałam się na uboczu, jak ta sama próżność zepchnęła Bóstwa na ścieżki, które sprowadzą ich i ich ludzi do

upadku - przewidziałam próżność i ostrzegałam przed nią, ale postanowili mnie zignorować. Owa próżność nie jest nowa, panno Komayd. I nie skończyła się wraz z odejściem Bóstw. Po prostu się przeniosła.

- Chcesz powiedzieć, że przeniosła się do Sajpuru?

Olwos kołysze głową - ani tak, ani nie.

- Znajdujemy się za to teraz w punkcie zwrotnym historii, gdy możemy albo dać się zdominować naszej próżności i dalej kroczyć znajomą ścieżką... albo ruszyć zupełnie nową.

- Więc przyszedł do mnie, żeby spróbować to zmienić? -pyta Shara.

- Cóż - mówi Olwos - nie byłeś moim pierwszym wyborem...

Coś trzaska w ogniu; iskry tańczą z sykiem w błocie.

- Spotkałeś się z Efremem, prawda? - pyta Shara.

- Tak.

- Spotkałeś go nad rzeką, gdy szkicował, i przemówiłeś do niego.

- Zrobiłam znacznie więcej — przyznaje Olwos. — Od czasu do czasu zdarza mi się interweniować, Sharo Komayd. Cóż, może nie interweniować - „delikatnie wpłynąć” byłoby lepszym określeniem. Pomagałam Efremowi w prowadzeniu jego badań, szturchałam go tam, gdzie odniósłby największe korzyści, sprawdzałam od czasu do czasu, jak się miewa.

- Z radością chciałby porozmawiać z tobą tak jak ja teraz.

- Nie wątpię. Był bardzo bystrym, pełnym współczucia stworzeniem. Liczyłam, że znajdzie sposób, by przekierować całe to rosnące niezadowolenie. Wygląda na to, że jednak się myliłam. Być może tak wiekowy gniew może ugasić tylko przemoc. Chociaż wciąż żywię

nadzieję, że kiedyś to pokonamy.

Shara dopija resztę herbaty i przypomina sobie coś, co zafrasowało ją, gdy po raz pierwszy przeczytała jego dziennik.

- Czy to ty umieściłaś mu na biurku dziennik żołnierza Kaja?
Znałam Efrema i nigdy nie przeoczyłby czegoś tak istotnego.

Olwos kiwa głową, twarz zdradza smutek.

- Tak. I to mogło być moim największym przeoczeniem. Miałam nadzieję, że zrozumie delikatność powagi tych listów. Ale nie. Uważał, że informacjami należy dzielić się ze wszystkimi... Nie trzymał jakiegś konkretnej prawdy - po prostu prawdę taką, jaką ją widział. Była to jego największa cnota, ale też sprowadziła na niego zgubę.

- Ale... co takiego ważnego było w tych listach? - dopytuje się Shara.
- Czarny ołów?

Olwos odkłada fajkę.

- Nie, nie. Cóż, trochę... Niech no cię spytam - nie zastanawiasz się, panno Sharo Komayd, w jaki sposób twój pradziadek stworzył czarny ołów?

- Eksperymentował na domowym dżinifrycie. - Prawda?

- Tak - odpowiada Olwos ponuro. - To prawda. Ale nawet biorąc to pod uwagę, szanse, że stworzyłby taki materiał, są wyjątkowo małe, prawda?

Shara gorączkowo myśli o wszystkim, co zapamiętała, ale na nic nie natrafia.

- Nie powiedziałaabyś - pyta powoli Olwos - że stworzenie czarnego ołowiu nie miało nic wspólnego z cudami?

Słowo to porusza kamień w jej umyśle, który wpada do morza myśli.

Teksty Efrema: Nie wiemy dużo o Kaj u. Nie wiemy nawet, kim była jego matka.

- I nie każdy był zdolny do cudów - mówi Olwos.

Delikatny wiatr tańczy w lasku drzew, a węgielki błyszczą jasno.

Dziennik Efrema: Dżinifryccy słudzy ścielili panom łóżka, serwowali im posiłki, podawali wino... Nie mogę sobie wyobrazić, co by powiedziano, gdyby wyszło na jaw, że Kaj był przez nich tak rozpieszczany.

Szczapa drewna leniwie przewraca się w ogniu, niczym wieloryb w morzu.

I gdy ujrzała Dżukowa: Moje własne potomstwo, moja własna, Błogosławiona rodzina powstaje przeciwko nam i morduje nas jak owieczki!

Płatki śniegu wirują w dół i umierają po cichu, gdy zbliżają się do ognia.

- Sharo Komayd, Błogosławieni byli legendami i bohaterami - mówi cicho Olwos. - Potomstwem Bóstw i śmiertelników, przed którym ugiął się świat.

Shara kręci głową.

- Nie... Nie chcesz powiedzieć, że...

- Chyba nikt nie zgadywał, kim była jego matka - przyznaje Olwos z namysłem — bo i tak nikt by w to nie uwierzył.

- Miała na imię Lisza — mówi cicho Olwos. — Jako potomek Bóstw, była dość potężna - na swój własny sposób. Niemniej była to słodka

istota: o dobrym sercu, spokojna, niezbyt bystra, ale skłonna do pomocy... szczególnie swemu ojcu. — Olwos pyka z fajki. - Kapłani Dżukowa chcieli zwiększyć poparcie Sajpurów, jako że to sajpurska kukurydza i winogrona utrzymywały Dżukosztan. Więc zaproponował on, że wypożyczy -to słowo sprawia, że marszczy jej się czoło - swoją córkę Sajpurom, a ona przez pewien czas będzie spełniać ich potrzeby. Nie miało to być nic seksualnego: jedynie niewola. Ale wtedy zdarzyło się coś, czego Dżukow się nie spodziewał: zakochała się z wzajemnością w mężczyźnie, który ją wykupił.

- Utrzymywali to w tajemnicy. Pozostała z nim jako jego... służąca. - Shara czuje, jak do głosu dochodzi zimny gniew Olwos. - I gdy powiła dziecko, natura jego pochodzenia była tak niebezpieczna i straszna, że nawet samo dziecko nie mogło go znać.

Sharze robi się niedobrze.

- Kaj - szepce.

- Tak. Gdy był młody, zmarł jego ojciec. Nigdy nie powiedziano mu, że Boska służka w jego domu była jego matką.

Ponieważ, jak sędzę, dorastał nienawidząc Boskości; a jego matka - słodka, o miękkim sercu i niezbyt bystra - nie chciała sprawić mu przykrości. Wtedy pojawiła się sprawa Mahlideshi. - Coś wpada z sykiem do śniegu: Shara dostrzega, że była to gorąca łza z policzka Olwos. - I Avshakta si Komayd postanowił, że trzeba coś zrobić.

Olwos próbuje mówić dalej, ale nie jest w stanie.

- Więc torturował własną matkę - mówi Shara - żeby dowiedzieć się, co jest w stanie zabić Bóstwa.

Olwos udaje się skinać głową.

- I, chociaż nie zdawał sobie z tego sprawy, ponieważ był Błogosławiony, był w stanie faktycznie coś stworzyć i za pomocą tego

obalić Kontynent.

- Oczywiście po zabiciu swej ohydnej służki.

Shara zamyka oczy. Okropieństwo tego wszystkiego to dla niej prawie za dużo.

- Żyłam z tym brzemieniem długo - mówi Olwos. - Mogłam jedynie podsuwać i sugerować to panu Panguuiowi, ale nigdy nikomu tego nie powiedziałam. A dobrze jest, jak mi się wydaje, powiedzieć to na głos. Dobrze powiedzieć komuś, co przytrafiło się mojej córce.

- Twojej córce? Chcesz powiedzieć, że ty i Dżukow...

- Potrafił być bardzo czarujący - przyznaje Olwos - i chociaż dostrzegałam w nim okropne szaleństwo, i tak nie mogłam mu się oprzeć.

- Współczuję - mówi Shara.

- Mądry Dżukow rozgryzł to wszystko po inwazji Kaja. Rozumiał, że poprzez własną dumę i arogancję stał się przyczyną śmierci Kontynentu i pozostałych Bóstw. Zanim ukrył się z Kolkanem, jego ostatnim gorzkim czynem było wykorzystanie chowańca, by powiedział temu przerażającemu najeźdźcy prawdę o jego pochodzeniu.

- Rozumiem - mówi Shara. - Kaj wpadł w głęboką depresję po zabiciu Dżukowa i praktycznie zapił się na śmierć.

- Gorycz rodzi gorycz - mówi Olwos. - Wstyd rodzi wstyd.

- „Siejemy to, co zbieramy” - mówi Shara - i „zbieramy to, co siejemy”.

Olwos uśmiecha się.

- Pochlebiasz mi moimi własnymi słowami. - Uśmiech znika. -

Żyłam z tą wiedzą bardzo długo... I przez wszystkie te lata wiedziałam, że balans sił na świecie, ten nowy wspaniały kraj polityki i maszynierii, został oparty wyłącznie na kłamstwach. Sajpur i Kontynent nienawidzą się nawzajem, kompletnie niepomne faktu, że jedno jest produktem drugiego. Nie są rozdzielne - są ściśle ze sobą powiązane. Gdy Efrem tu przybył, zdecydowałam, że czas wyjawić ten sekret. Ale rozumiesz, co to oznacza... dla ciebie.

Shara dobitnie zdaje sobie sprawę z własnego oddechu. Czuje swój puls na czole i za uszami.

- Tak - mówi słabo. - To znaczy, że ja i moja... moja rodzina...

Ogień jest tak gorący, że Shara czuje, jakby kipiały jej oczy.

- ...mamy w sobie ślad Boskości.

- Tak.

- Jesteśmy... Dokładnie tym, czego nasz kraj się obawia.

- Tak.

- I dlatego Kolkan i Dżukow myśleli, że jestem tobą.

- Prawdopodobnie tak.

Shara płacze: nie z żalu, ale z gniewu.

- Czyli... Nic z tego, co zrobiłam, nie jest prawdziwe?

- Prawdziwe?

- Świat zmienia się, by dostosować się do Błogosławionych, prawda? Pomaga im w wielkich osiągnięciach, nie z powodu tego, w jaki sposób to robią, ale kim są. Czy nic z tego co zrobiłam naprawdę... się nie liczy?

Olwos pyka z fajki.

- Oczywiście zapominasz - mówi - że natura Błogosławionych słabnie z kolejnymi pokoleniami. Często bardzo, bardzo szybko. - Spogląda z góry na dół na Sharę, oczy jej błyszczą. - Panno Komayd, uważasz, że miałaś łatwe życie?

Shara wyciera oczy.

- N-nie.

- Czy otrzymałaś wszystko, czego chciałaś?

Shara przypomina sobie Vo, jak ten upada na ziemię, błądy i nieruchomy.

- Nie.

- Czy myślisz - pyta Olwos - że zmieni się to w najbliższej przyszłości? - Shara kręci głową. Jestem skłonna się założyć, że moje życie może jedynie znacznie się pogorszyć.

- Nie jesteś Błogosławiona, Sharo Komayd - mówi Olwos. - Choć jesteś odlegle spokrewniona ze mną, z Dżukowem i Bóstwami, świat traktuje cię jak wszystkich innych - z kompletną obojętnością. Uważaj się za szczęśliwą. Twoi pozostali krewni... Mogą być inni.

Po karku Shary przechodzi dreszcz.

Kolejny trzask ognia i tańczące iskry.

- Rozumiem - mówi.

Olwos przygląda się jej zza kaptura, ocenia ją.

- Sporo ci powiedziałam, Sharo Komayd, na tematy, o których bardzo niewiele wie czy śni. Zastanawiam się... Co planujesz z tym zrobić?

Gniew, litość, żal i smutek splatają się razem w umyśle Shary, zawijając się i kręcąc niczym fajerwerki. I gdzieś pod wszystkimi tymi chaotycznymi konstrukcjami - szaleńczymi, bezowocnymi obrotami i pościgami - zaczyna kiełkować idea.

Olwos kiwa głową.

- Dobrze. Być może jestem mądrzejsza, niż mi się wydawało. Bóstwa nie zawsze wiedzą o sobie wystarczająco dużo: może jesteśmy tylko narzędziami losu, jak wszyscy inni śmiertelnicy... A być może wybranie przeze mnie Efrema wiązało się wyłącznie z tym, żeby sprowadzić do mnie ciebie.

Shara oddycha powoli.

- Myślę - mówi - że chciałabym teraz wrócić do moich kwater.

- Dobrze - odpowiada Olwos. Wskazuje fajką pomiędzy dwa drzewa. — Jeśli przejdiesz między nimi, trafisz do swojej sypialni. Możesz wyjść, kiedy tylko będziesz chciała.

Shara wstaje i spogląda na Olwos, rozdarta.

— Czy jeszcze cię zobaczę?

— Czy chcesz mnie jeszcze zobaczyć?

— Ja... w gruncie rzeczy myślę, że bardzo bym chciała.

— Cóż... Myślę, że obie wiemy, iż jeśli podejmiesz wybory, jakich się po tobie spodziewam i jeśli odniesiesz sukces, twoja ścieżka zaprowadzi cię z dala od tych brzegów. Nie pragnę odejść z tego miejsca - nie mówię moim wyznawcom, co mają robić, ale miło mieć na nich oko. - Stuka fajką o palec. - Ale jeśli kiedyś wrócisz, *mogłabym znaleźć czas na spotkanie.*

- Dobrze - mówi Shara. - Mam jeszcze jedno pytanie.

— Tak?

— Skąd się wzięłaś?

- Ja?

- Ty i pozostałe Bóstwa - wy wszyscy. Skąd *pochodzicie*? Czy istniejecie po prostu dlatego, że ludzie wierzą w wasze istnienie? Czy jesteście czymś... innym?

Olwos rozważa to pytanie, poważna i smutna.

-To... skomplikowane. - Cmoka. - Bóstwa posiadają bardzo dziwną umiejętność nadpisywania rzeczywistości. Wiedziałaś o tym?

- Oczywiście.

- Ale nie tylko *waszej* rzeczywistości. Nie tylko rzeczywistości waszych ludzi - ale naszej rzeczywistości, naszej własnej. Za każdym razem, gdy ludzie wierzyli, że pochodziłam z nowego miejsca, wtedy stamtąd pochodziłam - było to tak, jakbym nigdy nie pochodziła z innego i nigdy nie wiedziała, czym byłam wcześniej. - Bierze wdech. - Jestem Olwos. Wyciągnęłam żarzący się, złoty węgielek świata z ogni mojego własnego serca. Uformowałam gwiazdy z własnych łez, gdy opłakiwałam słońce podczas pierwszej nocy. I narodziłam się, gdy cała ciemność świata stała się zbyt ciężka i tarła się o siebie, aż powstała iskra - i tą iskram byłam ja. Tyle wiem. Nie wiem, czym byłam, zanim się tego dowiedziałam. Próbowałam się dowiedzieć, skąd pochodzę, i to zrozumieć - ale jak wiesz, historia jest niczym spiralne schody, które dają iluzję wchodzenia w górę, ale w gruncie rzeczy nigdzie się nie dochodzi.

- Ale dlaczego Sajpurzy nigdy nie mieli własnego Bóstwa? Czy po prostu nie mieliśmy szczęścia?

- Sharo, widziałaś, co się stało - mówi Olwos. - I znasz historię. Jesteś pewna, że Sajpurowi nie poszczęściło się z brakiem Bóstwa? -

Wstaje i całuje Sharę w czoło. Usta ma tak gorące, że prawie się palą. - Życzyłabym ci na odchodne szczęścia, moje dziecko - mówi - ale uważam, że sama o to zadbasz.

Shara odchodzi od ognia i przechodzi między dwoma drzewami.

Odwraca się, by się pożegnać, ale dostrzega nad ramieniem jedynie pustą ścianę sypialni. Odwraca się ze zmieszaniem i napotyka łóżko.

Siada na nim i zaczyna się zastanawiać.

- Turyin! - szepcze Shara. - Turyin!

Mulaghesh jęczy i spogląda na nią.

- Na morza — mówi ochryple. - Cieszę się, że przychodzisz, czy to musi to być o drugiej w nocy?

Mulaghesh nie jest już tą krzepką kobietą, którą Shara знаła zaledwie kilka dni wcześniej: podczas pobytu w szpitalu straciła sporo z wagi, oczy wciąż ma podbite. Lewa ręka kończy się jej zaraz pod łokciem, w zawiniętych ciasno białych bandażach. Zauważa, że Shara się temu przygląda.

- Mam nadzieję, że to - podnosi zranioną rękę - nie powstrzyma mnie przed pływaniem na Javracie. Ale przynajmniej wciąż pozostała mi ręka do podnoszenia drinków.

- Wszystko w porządku?

- W porządku. Jak się masz, dziewczyno? Wyglądasz... na żywą. To dobrze. Ciemne okulary nadają ci, hmm, ciekawy wygląd...

- Żyję - odpowiada Shara. - Turyin, chciałabym... żeby to się nigdy...

- Oszczędź mi — mówi Mulaghesh. — Mówiłam już wcześniej to, co

ty teraz. Tyle że ja mówiłam to do dzieciaków, o których wiedziałam, że nie przeżyją. Ale ja żyję. I cieszę się z tego faktu. To, co miało miejsce, to nie twoja wina. Ale daje mi cholernie dobrą wymówkę na przeniesienie.

Shara uśmiecha się słabo.

- *Wciąż* mnie przenoszą, prawda? Javrat dojdzie do skutku...
prawda?
- Tak, jest na to duża szansa.
- To brzmi jak furтка w umowie. A nie przypominam sobie, żebym jakąś podpisywała. Pamiętam, że mówiłam „Jeśli to zrobię, przeniosą mnie na Javrat”, a ty odpowiedziałas „Okej.” Pamiętasz inaczej?
- Pociągnęłam za kilka sznurków na średnich szczeblach Ministerstwa - mówi Shara.
- Czuję, że nadchodzi „i” albo „ale”...
- Tak. - Shara wciska okulary na nos. — Za dwie godziny wsiadam w pociąg do Ahanasztanu, a jutro wypływam do Ghaladeshu.
- W porządku? - pyta podejrzliwie Mulaghesh.
- Jeśli zniknę... Nie będę owijać w bawełnę - jeśli zostanę *zamordowana*, czy to podczas podróży, czy już po przybliżeniu do Sajpuru, przeniosą cię na Javrat w ciągu kilku miesięcy.
- Jeśli co?
- Jeśli jednak przeżyję tę podróż - kontynuuje Shara - wtedy obecna sytuacja mocno się zmieni.
- Co masz na myśli?
- Na przykład Ministerstwo Spraw Zagranicznych.

- Co ma się zmienić?
- Cóż, na początek prawdopodobnie przestanie istnieć.

Gdzieś w szpitalu ktoś kaszle.

- Jesteś pewna, że nie uderzyłaś się w głowę, gdy...
- Turyin, myślę, że obie wykonywałyśmy tę samą pracę - mówi Shara. - Nie miałaś wtrącać się w sprawy Bułykowa - wszystko miało zostać takie samo. Ja ciągle wtrącałam się w sprawy Kontynentu, ale po to, by wszystko zostało takie samo - to znaczy, by Kontynent pozostał rozpaczliwie ubogi, a cały handel przekierowywany był do Sajpuru. „Pozostawić Kontynent Kontynentowi” - mówi Shara z pamięci. - To znaczy biednym, dzikim i nieistotnym.
- Nie musisz mi cytować polityki. Zmarnowałam dwie dekady życia, próbując ją wprowadzać w życie. Więc co chcesz, żebym zrobiła?
- Chcę to zmienić. A jeśli mam to zrobić - mówi Shara -w takim razie potrzebuję na Kontynencie sojuszników.
- O, cholera.
- Szczególnie tu, w Bułykowie.
- O, cholera.
- Ponieważ jeśli ktoś ma mnie wspierać - mówi Shara - to chciałabym, aby była to generał Turyin Mulaghesh.
- W pierwszej kolejności jestem gubernatorem, ale moim stopniem wojskowym jest pułkownik.
- Jeśli przeżyję i zrobię to, co mam w planie - mówi Shara -wtedy już nie będzie.

Mulaghesh mruga i śmieje się głucho.

- Chcesz być Kajem, a ja mam być twoją Sagreshą? Mówiłam, że nie interesuje mnie awans. *Wynoszę się z tej rozgrywki.*
- A ja mam zamiar kompletnie ją zmienić - mówi Shara.
- Och, na morza... Mówisz *poważnie?*

Shara bierze głęboki wdech.

- Tak, w rzeczy samej. Nie jestem pewna, jak wiele radykalnych zmian jestem w stanie przeforsować — ale planuję spróbować zrobić tyle, ile mogę. W zeszłym tygodniu Ministerstwo zawiodło Bułyków. Zawiodło ciebie, Turyin. Zawiodło wszystkich i w rezultacie tysiące ludzi straciły życie.
- Naprawdę uważasz, że będziesz w stanie? Nie uważasz, że jesteś - Mulaghesh śmieje się - cóż, kurewsko naiwna?

Shara wzrusza ramionami.

- W zeszłym tygodniu zabiłam boga. Ministerstwo to powinien być przy tym pikuś, prawda?
- To chyba dość dobra uwaga.
- Pomożesz mi, Turyin? Obie miałyśmy służyć i przez lata służyłyśmy głównie polityce. Oferuję rzeczywistą okazję do tego, aby po raz pierwszy faktycznie służyć.
- O, cholera... - Mulaghesh gładzi blizny na szczęce prawą ręką i zastanawia się. - Cóż. Muszę przyznać, że to wszystko jest nieco interesujące.
- Miałam nadzieję, że tak powiesz.
- I ostatnio gdy sprawdzałam, generałowie pobierali dwukrotnie wyższy żołd od pułkowników...

Shara się uśmiecha.

- Wystarczy, by opłacać częste wakacje na Javracie.

Shara maszeruje przez szpitalny korytarz w stronę pokoju Sigruda.

Czy tak właśnie powstają rządy? Wymuszając decyzje na rannych w środku nocy?

Zatrzymuje się, gdy wchodzi na oddział i spogląda na morze łóżek - każde z bladobiałym ciężarem, niektóre z podpartymi rękami i nogami, niektóre przesłonięte w bandażach - i zastanawia się, który z jej wyborów sprawił, że ludzie teraz tu leżą i jak inaczej można było rozegrać pewne sprawy.

Dochodzi ją głos Sigruda zza ściany.

- Słyszę cię, Shara. Jeśli chcesz wejść, to wejdź.

Shara otwiera drzwi i wchodzi do środka. Sigrud jest górą szwów, bandaży, rurek; płyny wlewają się do niego i wylewają z niego, odpływając do różnych worków; gruby zestaw szwów ciągnie się z jego lewej brwi po skórę czaszki; lewe nozdrze ma przecięte, a lewy policzek jest czerwoną masą. Poza tym zdecydowanie jest to ten sam Sigrud.

- Skąd wiedziałeś, że to ja? - pyta Shara.
- Stąpasz małymi krokami - odpowiada. - Jak kotek.
- Potraktuję to jako komplement. - Siada na łóżku. - Jak się masz?
- Dlaczego nie przychodziłaś?
- Dlaczego cię to rusza?

- Myślałaś, że nie?
- Sigruda, którego znalazłam i zatrudniałam przez dziesięć lat, nigdy nie zajmowała troska. Nie mów mi, że otarcie się o śmierć dało ci nową perspektywę na życie - ocierałeś się o nią wcześniej wiele razy, często na moich oczach, i jakoś to na ciebie nie wpływało.
- Ktoś - mówi Sigrud - opowiadał ci o mnie bajki. - Zastanawia się. — Wiesz, nie jestem pewien, o co chodzi. Gdy zeskoczyłem z tego statku, nie spodziewałem się, że czeka mnie jakaś przyszłość. Myślałem, że zginę. Ale po raz pierwszy, poczułem się... dobrze. Czułem, że świat, który opuszczam, jest dobry. Nie *światny*, ale dobry. A teraz żyję w świecie, który może być dobry. — Wzrusza ramionami. - Być może chciałbym ponownie wypłynąć.

Shara się uśmiecha.

- Jak to wpłynęło na twoje przyszłe plany?
- Dlaczego pytasz?
- Pytam, ponieważ jeśli wszystko pójdzie zgodnie z moim planem, nie będę już urzędnikiem najniższego stopnia. Wrócę do Ghaladeshu i zacznę pracować za biurkiem. I nie będę już potrzebować twoich usług.
- Czyli zostawisz mnie? Opuścisz, żebym zgnił w tym łóżku?
- Nie. Ta konkretna praca za biurkiem będzie bardzo, bardzo ważna. Nie ma jeszcze nazwy - jeśli wszystko się powiedzie, pewnie będę musiała jakąś wymyślić. Ale potrzebna będzie mi każda zamorska pomoc, jaką tylko będę mogła dostać. Przypuszczam, że będę mieć silnego sojusznika w Bułykowie, ale będę potrzebować więcej.
- To znaczy...
- Gdyby, przypuśćmy, Morza Północne nagle zostały okiełznane...

Zmieszane spojrzenie Sigruda nabiera czujności.

- Nie.

— Gdyby, przypuśćmy, osobistość uznana przez większość Drejlingów za martwą, nagle powróciła...

— Nie!

— Jeśli poddano by w wątpliwość legalność przewrotu, który obalił króla Harkvalda, i szerzące się piractwo miało się zakończyć...

Sigrud bębni palcami o ramiona i w milczeniu kipi ze złości.

Coś wycieka z jednej z jego rurek z cichym pluśnięciem.

— Nawet tego nie rozważysz? - dopytuje się Shara.

- Nawet gdy żył mój ojciec — mówi Sigrud — nie cieszyła mnie myśl o... rządzeniu.

- Cóż, nie pytam cię o to. Nigdy tak naprawdę nie przepadałam za monarchiami. To, o co pytam - mówi Shara, powoli i zdecydowanie — to czy jeśli ty, *Dauvkind*, zagubiony książę drejlińskich brzegów... — Sigrud wywraca okiem - ... powróciłbyś do pirackich krajów Republik Drejlingów i miał za sobą *pełne* poparcie Sajpuru... — Widzi, że Sigrud zaczął słuchać — ... czy nie zaczęłoby to *jakiegoś* rodzaju reform? Czy nie zaoferowałoby to *jakiejś* obietnicy Drejlingom?

Sigrud milczy przez długi czas.

- Wiem - grzebie głęboko w bandażach na ramieniu i drapie się - że nie pytałabyś mnie o coś takiego dla żartu.

- Nie. To może się nigdy nie wydarzyć. Wracam do Sajpuru, ale... istnieje szansa, że tego nie przeżyję.

- W takim razie będziesz mnie potrzebować!

- Nie - mówi Shara. - Nie będę. Częściowo dlatego, że jestem pewna, że mi się uda. Ale również dlatego, że chciałabym, żebyś zaczął żyć *własnym* życiem, Sigrudzie. Chcę, żebyś tu zaczekał i wyzdrowiał, nieważne co się stanie. I jeśli nic w Ministerstwie Spraw Zagranicznych się nie zmieni, wtedy będzie to oznaczać, że nie żyję.

- Shara...

- Jeśli tak się stanie - wyciąga świstek papieru i wkłada mu go do ręki - w tej wiosce ukryte są twoja żona i córki.

Sigrud mruga, zdumiony.

- Sigrudzie, jeśli zginę, chcę, żebyś do nich wrócił - mówi Shara. - Powiedziałeś, że ojciec i mąż, jakiego znali już nie żyje, że ogień się w tobie wypalił. Ale wydaje mi się, że głupio tak myśleć. Uważam, że ty, Sigrudzie je Harkvaldssonie, *boisz się*. Boisz się, że twoje dzieci dorosły, że twoja rodzina nie będzie cię znać ani chcieć mieć z tobą do czynienia.

— Shara...

— Sigrudzie, jeśli w ciągu swojego życia czegoś pragnęłam, to poznać moich rodziców. Chciałam poznać ludzi, których oczekiwania tak bardzo chciałam spełnić. Nigdy nie będę mieć tej możliwości, ale twoje dzieci owszem. I uważam, że nie będą posiadać się z radości z twojego powrotu. - Sigrud wpatruje się w świstek papieru w dłoni.

— Nie byłem przygotowany - narzeka - na taki atak.

— Nigdy wcześniej nie musiałam cię przekonywać - mówi Shara. — Teraz już wiesz, dlaczego jestem dobra w tym, co robię.

— Te bzdury z *Dauvkindem*... — mówi Sigrud. — To tylko bajka dla dzieci! Wierzą, że syn króla Harkvalda będzie księciem z bajki! Mówią, że powróci, jadąc na fali i grając na flecie. Na flecie! *Wyobrażasz to sobie?* Nie będą spodziewać się... *mnie*.

— Po wszystkich bitwach, jakie stoczyłeś, akurat ta cię powstrzymuje?

— Zabijanie to jedno — mówi Sigrud. — *Polityka* to co innego.

Shara poklepuje go po rękę.

— Upewnię się, że ktoś ci pomoże. I nie wszystko to będzie polityką. Wielu pirackich królów, jak przypuszczam, odejdzie dość niechętnie. Sigrudzie, pomimo twoich obaw, spodziewam się, że twoja służba daleka jest od końca. - Shara spogląda na zegarek. — Jestem spóźniona. Pociąg odjeżdża za godzinę i muszę się przygotować do ostatniego wywiadu.

— Kogo jeszcze musisz zastraszyć, by ci pomógł?

— Och, to nie będzie *zastraszanie* — mówi ponuro Shara, gdy wstaje. - To będą po prostu *czcze pogrożki*.

Sigrud ostrożnie składa świstek papieru.

— Zobaczymy się wkrótce?

— Prawdopodobnie. - Uśmiecha się, bierze go za rękę i całuje poranione knykcie. — Jeśli dobrze się spisujemy, możemy spotkać się na równym szczeblu, jako światowi gracze.

- Nieważne co nam się przydarzy - mówi Sigrud - zawsze byłaś dla mnie dobrą przyjaciółką, Sharo Komayd. Znałem bardzo mało dobrych ludzi. Ale sądzę, że ty jesteś jedną z nich.

- Nawet jeśli tyle razy prawie przeze mnie zginąłeś?

- Śmierć... Pff. - Jego jedno oko lśni w świetle gazowej lampy. - Czym ona jest dla dobrych przyjaciół?

Mury Bułkowa mają w świetle świtu kolor brzoskwini. Wznoszą się przed nią, wystając z purpurowego krajobrazu, gdy pociąg przemyka obok. Shara zastanawia się, *czy mury są w świetle dnia raczej alabastrowe? Kościane? Jakie słowo najlepiej je opisuje? Co powinnam napisać? Co powinnam wszystkim powiedzieć?*

Koła pociągu świszczą i skrzypią. Shara dotyka okna, ducha swej twarzy schwytanego przez szkło.

Nie wolno mi zapomnieć. Nie wolno mi zapomnieć.

Nie wjedzie do Bułkowa; pociąg jedzie prosto z kwater gubernator prosto do Ahanasztanu. Shara nie ujrzy zapadającej się świątyni Siedziska Świata. Nie zobaczy żurawi przy Moście Sołdańskim. Nie będzie jej dane obejrzeć, jak ekipy budowlane wywożą z gruzu starożytne białe kamienie Miasta Bogów, nie zobaczy też, co z nimi zrobią. Nie ujrzy armad gołębi krążących pośród dymu wraz z początkiem dnia. Nie będzie się przyglądać, jak maty na targu są rozwijane, jak układa się na nich towary, a kupcy idą przez ulice, wykrzykując ceny, żyjąc dalej, jakby nic się nie stało.

Nie będę cię oglądać, mówi miastu Shara, ale cię zapamiętam.

Mury dalej wznoszą się przed nią; gdy pod nimi przejeżdża, maleją.

Gdy do ciebie wrócę, zastanawia się, jeśli do ciebie wrócę, czy cię poznam? Czy będziesz miastem, jakie zapamiętałam? Czy może będziesz zupełnie nieznajome?

Może zapytać o to samo Ghaladesh: miasto, w którym się urodziła i dorastała, miasto, w którym nie była od szesnastu lat. *Czy je poznam? Czy ono pozna mnie?*

Mury skurczyły się do małego, brzoskwiniowobiałego cylindra, puszek unoszącej się na czarnych falach.

Przeszłość może być przeszłością, mówi im, ale ja będę pamiętać.

Shara czeka przez ponad dwie godziny. Jak dotąd ruchy statku są płynne i spokojne, ale już niedługo statek wpłynie na głębokie wody, gdzie fale będą znacznie mniej przyjazne.

Kabina Shary jest tak przestronna, na ile jest to możliwe na okręcie kupieckim, a ona sama obiecała godziwe wynagrodzenie od Ministerstwa, gdy w końcu wróci do Ghaladeshu. *W przeliczeniu na kilogram, duma, jestem prawdopodobnie najdroższym ładunkiem, jaki ten statek kiedykolwiek transportował.*

Wpatruje się w iluminator w ścianie kabiny. Po drugiej stronie znajdują się Morza Południowe, ale w odbiciu okna widać wielkie, ciemne pomieszczenie i duże biurko z drewna tekowego.

Ciocia Vinya w końcu się ukazuje. Wygląda na udęconą i rozdrażnioną. Gwałtownie przetrząsa biurko, otwiera szuflady, zatrząskuje szafki.

— Gdzie one są? - mruczy. - Gdzie one są! Te pytania, te cholerne *pytania!* - Podnosi stertę papierów, wertuje je i ze złością wrzuca do kosza na śmieci.

— Wygląda na to - mówi Shara - że miałaś kilka ciężkich spotkań.

Vinya spogląda na Sharę i wpatruje się w nią przez okno.

- Ty...

- Ja.

— Co ty wyprawiasz? - warczy Vinya. — Powinnam cię za to areztować! Dokonywanie cudów na Kontynencie to zdrada!

- Cóż, w takim razie bardzo dobrze, że nie jestem już na Kontynencie.

- Co?

- To przecież nie jest moje biuro. - Wskazuje gestem na pokój za sobą. - Jestem na Morzach Południowych, w kabinie statku płynącego do Ghaladeshu.

Vinya otwiera i zamyka usta, ale nic nie mówi.

- Wracam do domu, ciociu - mówi Shara. - Nie możesz dłużej trzymać mnie z dala.

- Ja... Cholera, oczywiście, że mogę! Jeśli wrócisz, trafisz do więzienia! Mogę cię *wygnać*! Sprzeciwiasz się rozkazom Ministerstwa Spraw Zagranicznych i w skrócie dopuszczasz się *zdrady*! Nie... Nie obchodzi mnie, jak jesteś teraz sławna, nie masz pojęcia, co jestem w stanie zrobić bez zadawania zbędnych pytań!

- To znaczy co dokładnie, ciociu?

- Mam możliwość wyeliminowania wszystkiego, co zagraża Ministerstwu Spraw Zagranicznych, bez pytań, bez szczegółów, bez zeznań przed jakąkolwiek cholerną komisją nadzorczą!

- Czy to właśnie - pyta powoli Shara - przydarzyło się doktorowi Panguiowi?

Sprawiedliwa furia Vinyi znika. Ramiona opadają jej, jakby zniknął jej kręgosłup.

- C...co?

- Może zechcesz usiąść - proponuje Shara.

Vinya jest jednak zbyt zszokowana, by się ruszyć.

- Jak chcesz - mówi Shara. - Będę się streszczać. Powiedzmy, że mam przecucie, że gdzieś pośród wszystkich linii, transmisji i rozkazów wychodzących z Ministerstwa - w całej tej nieodgadnionej,

nieprzeniknionej, tajnej, technicznie nieistniejącej korespondencji - znajduje się wiadomość dla jakiegoś bezwzględnego zbira na Kontynencie, informująca jego czy ją o istnieniu zagrożenia narodowego, czyli doktora Efrema Pangyui na Uniwersytecie Bułykowskim i on czy ona ma autoryzację, by wyeliminować to zagrożenie z najwyższą dyskrecją, a następnie by przeszukać i zniszczyć jakiegokolwiek wrażliwe materiały znajdujące się w jego biurze i bibliotece. -Shara poprawia okulary. - Czy tak to było?

Vinya potwornie błednie.

- Chcesz zakończyć tę rozmowę, prawda, ciociu? - pyta Shara. - Ale chcesz też wiedzieć, co dokładnie wiem ja i oczywiście skąd. Chcesz wiedzieć, czy na przykład wiem, że oznaczenie doktora Efrema Pangyui jako zagrożenia było dla ciebie sprawą bardzo osobistą.

Shara czeka, ale Vinya nie rusza się ani nic nie mówi. Sharze wydaje się, że dostrzega jak coś na policzku cioci drży.

- Wiem - mówi Shara. - Wiem, ciociu. Wiem, że jesteś Błogosławioną, Vinyo. Wiem, że pochodzisz od tego, co nawiedza koszmary Sajpuru.

Vinya mruga. Łzy spływają jej po policzkach.

- Efrem Pangyui wywnioskował w Bułykowie, skąd pochodzili rodzice Kaja - oznajmia Shara. - I, będąc posłusznym i uczciwym sajpurskim historykiem, wysłał raport, nie wiedząc, że jednocześnie sprowadza na siebie wyrok śmierci. Dla niego prawda była najważniejsza. Nawet nie przeszło mu przez myśl, żeby ją ukrywać.

Vinya, która przez prawie piętnaście lat przeciwstawiała się późnemu wiekowi średniemu, siada w swoim fotelu spowolnionymi ruchami staruszki.

- Oczywiście nie podobało ci się to - mówi Shara. — Tak jak i Kajowi, gdy on się o tym dowiedział. Efrem oczywiście nie miał zamiaru

trzymać tego w tajemnicy - był historykiem, a nie szpiegiem. Więc zareagowałaś tak, jak na zagrożenie narodowe i postanowiłaś go, jak to się mówi, wyeliminować.

Vinya przełyka ślinę.

- Tak to było, co, ciociu?

Vinya zмага się ze sobą przez prawie pół minuty.

- Ja... po prostu chciałam, żeby nie było tematu. Chciałam wierzyć... że nigdy o tym nie usłyszałam.

Morska mgiełka spryskuje kadłub. Ktoś na górnym pokładzie opowiada dowcip, po którym ktoś inny śmieje się szelmowsko.

- Dlaczego? - pyta Shara. - Dlaczego w ogóle pozwoliłaś mi zostać w Bułykowie? Wiedziałaś, że istnieje szansa, iż się tego dowiem. Dlaczego nie wykorzystałaś swojego stanowiska, by od razu wysłać mnie gdzieś indziej?

- Ponieważ... bałam się.

- Czego?

- Ciebie - wyznaje Vinya.

- Mnie?

- Tak - odpowiada. - Zawsze się ciebie obawiałam. Od czasu, gdy byłaś dzieckiem. Sajpur zawsze był bardziej skłonny lubić ciebie niż mnie, z powodu tego, kim byli twoi rodzice. Mam wielu wrogów. Łatwo byłoby usunąć mnie ze stanowiska przez zwykłe wsparcie ciebie.

- I dlatego pozwoliłaś mi pozostać w Bułykowie?

- Wiedziałaś, że jeśli cię odeślę, nabierzesz podejrzeń -mówi Vinya.
- Przywiązujesz się do ludzi. Jeśli odmówiłabym ci tego, obawiam się,

że stałabyś się jeszcze bardziej zdeterminowana. I wydawało mi się, że zniszczyliśmy wszystkie notatki Efrema. Opłakałabyś przyjaciela przez tydzień, wyjechała z Bułkowa, zajęła się następną sprawą i wszystko to by się skończyło.

- Ale wtedy ludzie Vołki zaatakowali rezydencję Votro-wów - mówi Shara - i wszystko się zmieniło.

Vinya kręci głową.

- Nawet nie wiesz, jak to było usłyszeć ten raport — mówi. — Nie dość, że pochodzę... od potworów, to nagle wszystko, co kiedykolwiek osiągnęłam... nagle stało się nieprawne! Jakbym wszystko dostała, zamiast na to zapracować! Obrzydziło mnie to, rozwścieczyło, obraziło... Czy nie rozumiesz jak to jest? Że ja — my - mamy w sobie ślad Boskości?

Shara wzrusza ramionami.

— Wychowano mnie, bym uważała Kaja za kogoś w rodzaju boga — mówi. - Zbawcę. Spędziłam wiele lat, próbując zadowolić pamięć o nim. Szczerze, dla mnie niewiele to zmienia.

— Ale nic z tego, co miało miejsce, nie jest rzeczywiste! Nie istnieje nic oprócz kłamstw. Kaj jest kłamstwem. Sajpur jest kłamstwem. Ministerstwo...

— Tak — dopowiada Shara. — Ministerstwo też.

Vinya wyciera oczy.

— Jak ja nie lubię płakać. Nie ma nic bardziej pozbawionego godności. — Wpatruje się w Sharę przez iluminator. — Co zamierzasz?

Shara zastanawia się, jak to powiedzieć.

— Błogosławieni zdają się kończyć na tragiczne sposoby -mówi. —

Kaj zabił prawie wszystkich podczas Wielkiej Wojny. Następnie umarł on sam, samotny i nieszczęśliwy na Kontynencie. A teraz ty...

— Nie zrobiłabyś tego - szepce Vinya.

— Nie - przyznaje Shara. - I nie jestem w stanie. Dysponujesz znacznie większą zabójczą siłą ode mnie, ciociu. Oczywiście, zabicie mnie podczas szczytu mojej popularności naturalnie spowoduje szczegółowe dochodzenie — takie, na które nawet ty nie możesz sobie pozwolić. Więc dam ci wybór: zrezygnuj i przekaz władzę mnie.

- To... tobie?

- Tak.

— Mam... mam dać ci kontrolę nad wszystkimi generałami we wszystkich krajach? Dać tobie kontrolę nad całym wywiadem i wszystkimi operacjami?

- Tak - odpowiada łagodnie Shara. - Albo ja, albo żadna z nas. Ponieważ jeśli nie ustąpisz, ciociu, wtedy na światło dzienne wydobędzie się potworny sekret naszej rodziny.

Vinya wygląda, jakby zaraz miała zwymiotować.

- Rozumiem, że moje akcje wzrosły ostatnio w Ghaladeshu - mówi Shara, uroczo i ze skromnością wydymając usta. -W końcu jestem jedyną osobą od czasów Kaja, która zabiła Bóstwo - właściwie to dwa, w porównaniu z trzema Kaja. No i Uraw. Nie uchwalono żadnego Kaja od czasów Avshakty, ale nie wątpię, że przynajmniej kilkoro ludzi w Sajpurze już o tym mówi. Sądzę, że gdy będę to mówić, ludzie będą słuchać. I ciociu, uważam, że twój czas w Ministerstwie dobiegł końca.

Vinya pociera twarz i kołysze się w krześle.

- Dlaczego...?

- Co dlaczego?
- Dlaczego to robisz? Dlaczego mi to robisz?
- Ciociu, nie robię tego tobie. Schlebiasz sobie, myśląc w ten sposób. Wszystko się zmienia. Cztery dni temu sama historia została wskrzeszona w Bułykowie i odrzuciła terażniejszość, tak jak terażniejszość odrzuciła ją. Możemy teraz wkroczyć na nową ścieżkę. Albo możemy utrzymać sytuację taką, jaka jest - niezbalansowaną, gdzie jeden naród trzyma całą władzę...
- Albo?
- Albo możemy zacząć współpracować z Kontynentem -mówi Shara - i stworzyć równego sobie, który będzie się nam przyglądał.

Vinya jest przerażona.

- Chcesz... wznieść Kontynent?
- Tak. - Shara poprawia okulary. — W istocie planuję wydać miliardy, by odbudować ich kraj.
- Ale... to Kontynentanie!
- To ludzie — mówi Shara. — Którzy poprosili mnie o pomoc. I zamierzam im jej udzielić.

Vinya masuje skronie.

-Ty... ty...

- Zamierzam również — kontynuuje Shara - unieważnić RM i odtajnić całą historię Kontynentu.

Ciocia Vinya osuwa się w fotelu i blednie niczym ściana.

- Nie sędzę, żebyśmy mogli zbudować przyszłość — mówi Shara -

bez poznania prawdy o przeszłości. Czas zacząć być szczerym na temat tego, jaki świat był kiedyś, a jaki jest teraz.

— Zaraz się pochoruję — mówi Vinya. — Dałabyś im z powrotem wiedzę o ich bogach?

— Ich bogowie nie żyją - mówi Shara. - Te czasy minęły. Tyle wiem. Nastął czas, żebyśmy wszyscy ruszyli naprzód. Z czasem, mam nadzieję, że ujawnimy nawet naturę rodziców Kaja — chociaż mogą jeszcze minąć dekady, zanim to nastąpi.

— Shara... kochana...

— Będzie tak, ciociu — mówi Shara. - Powiemy, że świat się zmienił — co jest prawdą - i stare zwyczaje i wojownicy, którzy się ich trzymali, muszą się dostosować albo odejść. Możesz odejść wytwornie i po cichu: przekazać władzę nowemu pokoleniu, po tym jak odniosłam nieporównywalny z niczym sukces. Możesz nawet zostać pochwalona za zdolność przewidywania, jako że to ty zdecydowałaś się zostawić mnie w Bułkowie - to byłoby miłe. Mogę ci obiecać, że wyjdiesz na swoje, zostaniesz dyrektorką jakiegoś instytutu naukowego czy wybitnej szkoły, która dobrze się tobą zajmie. Alternatywnie mogę cię odsunąć od władzy. Mówiłaś wcześniej, że masz wrogów w Ghaladeshu. Mam teraz w rękach bardzo duży sztylet, który mogę im przekazać, a który bez wątpienia w tej samej chwili wbiją ci w plecy.

Vinya wpatruje się w nią.

- Ty... Ty naprawdę...

- Przyślę za dwa dni, ciociu - oznajmia Shara. - Zastanów się.

Wyciera iluminator dwoma palcami i jej ciocia znika.

Światło słoneczne przebija się przez chmury, poprzez fale, tańczy na pokładzie. Znacznie wyżej mewy krążą i opadają płynnie z jednego prądu w drugi, manewrując w powietrzu. Shara chwytła nieco mocniej ceramiczne naczynie, w miarę jak statek kołysze się w stronę portu: nigdy nie była żeglarzem — co załoga szybko wydedukowała i do czego podchodzili ostrożnie - i jest wdzięczna, że morze jest dziś spokojne.

- Jakoś niedługo, kapitanie? - pyta.

Kapitan przerywa rozmowę ze swym kadetem.

- Mógłbym podać dokładny czas - mówi - gdyby podała mi pani dokładne miejsce.

- Podałam, kapitanie.

- „Miejsce dokładnie w połowie drogi pomiędzy Sajpurem i Kontynentem” nie jest tak dokładnym określeniem, jak się pani wydaje, jeśli mogę tak powiedzieć, Naczelną Dyplomatko.

- Nie musi być bardzo dokładne - mówi Shara. - Po prostu jak długo, aż się zbliżymy?

Kapitan przechyla głowę.

- Około pół godziny. Na tak spokojnych wodach i z tak łaskawym wiatrem, może mniej. Dlaczego w ogóle chce pani wiedzieć?

Shara odwraca się i podchodzi do rufy statku z naczyniem w ręce. Przygląda się wzburzonemu oceanowi za nimi i kilwaterowi znaczącemu drogę ich podróży. Pas dziwnie gładkiej wody rozciąga się na wiele kilometrów; dalej wznoszące się i wyginające fale pożerają go, aż znika.

Shara wpatruje się w morze przez długi czas. Wiatr pieści jej włosy i płaszcz. Jej okulary są ozdobione kryształowymi klejnotami morskiej mgiełki. Powietrze lawiruje pomiędzy przyjemnym ciepłem i

przyjemnym chłodem.

- To była bardzo długa podróż, co, Vo? - mówi Shara do ceramicznego naczynia. - Ale spoglądając w przeszłość, wygląda to, jakby skończyło się w jednej chwili.

Mewa opada nisko i skrzeczy w stronę Shary, być może o coś prosząc.

Oczywiście nie chcieli go skremować: na Kontynencie byłby to akt herezji. Ale ona sprzeciwiła się pochowaniu go w grobowcu Votrowów, żeby leżał wśród ludzi, którzy uczynili jego życie piekłem. Wzięła więc do małego naczynia to, co z niego zostało po spaleniu, zredukowane i przesypane do małego naczynia. Wolne od wszelkiego bólu, wszelkich wspomnień, wszelkich tortur, jakich zaznał przez swój kraj i swojego boga.

Nie będzie płakać. Podjęła decyzję. Nie ma nad czym: stało się to, co się stało.

- Bóle porodowe - mówi na głos. - Tym były nasze życia, prawda? Koła czasu przesuwiają się, pogrążają o siebie i rodzą nową epokę.

Zimny wiatr uderza ją w policzki.

- Ale przed bólami, gwałtowne skurcze. Niestety byliśmy to akurat my, ale...

Kapitan woła, że są blisko albo wystarczająco blisko.

- ... motyl musi w końcu kiedyś się przepoczwarzyć...

Shara zaczyna odkręcać naczynie. Serce bije jej szybciej.

... i zapomnieć, że w ogóle był gąsienicą.

Kolejny płaczliwy krzyk mew.

Shara obraca urnę; wydobywa się z niej delikatna chmura popiołu,

wirując na wietrze, by usadowić się na pasie spokojnych wód za statkiem.

Wyrzuca urnę za burtę. Niemal natychmiast tonie ona pod ciemnymi falami.

Shara przygląda się falom, zastanawiając się co wiedzą, a co pamiętają.

Czas ucisza wszystkich ludzi i wszystkie rzeczy, myśli. Ale będę o tobie mówić, o was wszystkich, przez cały czas, jakim dysponuję.

Odwraca się i podchodzi do dziobu statku, by spojrzeć do przodu na słońce, wiatr i jasne, nowe fale. Oczekuje widoku domu.